

# Bractwo Tajemnego Znaku

Michael Peinkofer



calibre 0.9.27

# MICHAEL PEINKOFER

BRACTWO

TAJEMNEGO

ZNAKU

PROLOG

BANNOCKBURN

W ROKU PAŃSKIM 1314

Bitwa dobiegła końca.

Niebo było ponure i szare niczym leżące długo na deszczu żelazo, które straciło swój blask. Nieliczne strzępy błękitu, które można było dostrzec w ciągu dnia, skryły się za powałą gęstych chmur, które teraz spowiły ponurą szarością kotlinę pod Bannockburn.

Ziemia zdawała się odzwierciedlać mrok nieba. Brudny brąz i ziemista żółć przeważały w barwach ubogo porośniętych wzgórz okalających mokradła. Rozległe pole przypominało rolę, na której zaorano już skiby czekające na siew. Jednak było to ziarno śmierci, które zostało rozrzucone na polach pod Bannockburn.

O świcie pozycje naprzeciw siebie zajęły wojska angielskie, zjednoczone pod berłem niezwyciężonego władcy Edwarda II, który po raz kolejny usiłował rzucić na kolana osiadłych Szkotów, oraz siły zbrojne szkockich książąt stojących na czele klanów i szlachty, zwołane przez ich króla Roberta Bruce'a, by podjąć ostatnią, rozpaczliwą walkę o wolność.

Dwie armie spotkały się na grząskim bagnisku pod Bannockburn

w owej bitwie, która miała nieodwołalnie przypieczętować los Szkocji.

Ostatecznie zwyciężyli woje Roberta, jednak triumf ten został drogo okupiony.

Na rozległych polach leżało niezliczone mnóstwo pozbawionych życia wojowników. Cały obszar pokrywały ciała leżące w błocie, z niemym wyrzutem w martwych oczach spoglądając w niebo, ku któremu wznosiły się strzępy pułkowych chorągwi i proporców. Zimny wiatr śmierci omiatał równinę, zawodząc ckliwie, jak gdyby również matka natura litowała się nad ludzką niedolą. Uniósł się welon mgły, otulając jak całun okrutną scenerię.

Tylko gdzieniegdzie coś jeszcze się poruszało. Ranni i okaleczeni, w których wciąż tliła się isierka życia, usiłowali zwrócić na siebie uwagę, wołając chrypliwymi głosami.

Koła zaprzęzonego w woły wozu, który toczył się przez grzęzawisko bitewnego pola, skrzypiały cicho. Jechała nim gromada mnichów pośród zakrwawionych trupów starali się wypatrzeć rannych. Od czasu do czasu zatrzymywali się, jednak najczęściej nie byli w stanie uczynić nic poza mówieniem modlitwy za konającego i udzieleniem ostatniej posługi.

Mnisi nie byli jednak jedynymi, którzy w tej ponurej godzinie krążyli po polu bitewnym pod Bannockburn. Z gęstej mgły, tam gdzie ciemność zaczęła już spowijać kotlinę, z zarośli i krzaków zaczęły wyłaniać się obdarte postacie, które nie miały żadnego szacunku do śmierci i które bieda zmuszała do zbierania rzeczy pozostawionych

przez poległych - były to hieny cmentarne i złodzieje, którzy towarzyszyli każdej bitwie, podobnie jak padlinożercy podążający za stadami zwierząt.

Bezszelestnie wmykali się spomiędzy rzadkich zarośli i rozpełzali się po pobojowisku niczym robactwo. Rzucali się na poległych, by zrabować im doczesne mienie. Tu i ówdzie dochodziło do waśni, gdy przedmiotem sporu był nieuszkodzony miecz lub łuk, i nierzadko dobywano wyszczerbionych głowni, by rozstrzygnąć kwestię, kto ma zostać nowym właścicielem.

Dwóch złodziei toczyło zażarty spór o jedwabną pelerynę, którą w trakcie bitwy nosił angielski szlachcic. Rycerz już jej nie potrzebował, gdyż topór woja szkockiego klanu roztrzaskał mu czaszkę. Podczas gdy rabusie spierali się o wartościową zdobycz, nagle tuż przed nimi z mgły wyłoniła się ciemno odziana postać.

Była to stara kobieta.

Była drobnej postury, do tego chodziła przygarbiona, a mimo to w czarnym płaszczu z grubo tkanej wełny, z długimi białymi jak śnieg włosami tworzyła widok napawający trwogą. Przymknięte oczy spoglądały z głęboko osadzonych oczodołów, a wąski orli nos zdawał się dzielić zrytą zmarszczkami twarz staruchy na dwie połowy.

- Kala - syknęli ze zgrozą złodzieje i w następnym momencie walka o pelerynę rozstrzygnęła się. Hieny cmentarne porzuciły cenną zdobycz i rozpierzchły się we mgle, która coraz szczelniejszym całunem okrywała kotlinę.

Stara kobieta patrzyła za nimi z potępieniem. Nie czuła sympatii do tych, którzy zakłócali spokój zmarłych, nawet jeśli czynili to, walcząc o przetrwanie, bowiem najczęściej to właśnie pchało większość z nich do uprawiania tego niecnego procederu. Czujnymi, bladoniebieskimi oczyma starucha rozejrzała się i w gęstej mgle dojrzała niewyraźne sylwetki mnichów, którzy opatrywali rannych. Z gardła Kali wydobył się pomruk niezadowolenia.

Mnisi. Przedstawiciele nowego porządku.

Ostatnimi czasy stawali się coraz liczniejsi, wszędzie z ziemi wyrastały klasztory niczym grzyby po deszczu. Już od dawna nowa wiara wypierała stare wierzenia. Nowa religia okazywała się silniejsza i potężniejsza. Przedstawiciele nowego porządku kontynuowali niektóre uświęcone tradycją dawne obyczaje. Innym, pielęgnowanym od pokoleń obrządkom groziło teraz całkowite zapomnienie.

Tak jak tego dnia.

Żaden z mnichów nie wiedział, co tak naprawdę wydarzyło się na polu bitewnym pod Bannockburn. Widzieli tylko to, co oczywiste. To, o czym będzie pamiętać historia.

Stara kobieta szła powoli przez usiane zwłokami, przesiąknięte krwią poległych pole. Okaleczone ciała i odrąbane członki zagradzały jej drogę, bezpieczeństwa miecze i części rynsztunku umazane były krwią i błotem. Wrony, które dogadzały sobie, uczując na ciałach zabitych, wzleciały w niebo, głośno kracząc, kiedy zbliżyła się do nich.

Kala przyglądała się temu z obojętnością.

Żyła zbyt długo i widziała zbyt wiele, żeby wciąż jeszcze odczuwać prawdziwy strach i przerażenie. Była świadkiem, jak jej ojczyzna została podbita przez Anglików i okrutnie ujarzmiona. Przeżyła upadek swojego świata. Krew i wojna były nieustannymi towarzyszami jej życia, a teraz w głębi ducha odczuwała cichy triumf z powodu zupełnego pogromu, jaki stał się udziałem Anglików. Choć cena, jaką za

niego zapłacono, była wysoka. Wyższa, niż którykolwiek z mnichów czy ktokolwiek spośród śmiertelnych mógł przewidzieć.

Stara kobieta doszła do środka bitewnego pola. Tam, gdzie toczyły się najbardziej zgorzałe walki i gdzie król Robert wraz z zachodnimi klanami oraz ich przywódcą Angusem Ogiem przyjął impet głównego natarcia, trupy poległych ścieliły się gęsto, znacznie gęściej niż gdzie indziej. Ciało przebite strzałami leżały porozrzucone po polu, tu i ówdzie poruszali się jeszcze ranni, którzy mieli raczej wątpliwe szczęście wymknąć się łaskawej śmierci.

Stara Kala nie zwracała jednak na nich uwagi. Przyszła tu tylko z jednego powodu - chciała na własne oczy upewnić się, czy spełniło się to, co wyjawiały jej runy.

Energicznym ruchem ręki odgarnęła na bok śnieżnobiałe włosy, którymi zimny wiatr wciąż na nowo przesłaniał jej twarz. Jej oczy, które mimo podeszłego wieku nie straciły ostrości widzenia, spoglądały tam, gdzie stał Robert Bruce.

Nie było tam żadnych poległych.

Niczym w oku cyklonu, w którym nie czuć najłżejszego powiewu wiatru, ziemia, na której walczył król, pozostała nietknięta. Żadne ciało nie leżało w zasięgu kręgu, którego bronił król, zupełnie jakby Bruce w trakcie bitwy otoczony był niewidzialnym murem.

Stara Kala знаła powód. Wiedziała o pakcie, który został zawarty, oraz o nadziei, jaka się z nim wiązała. Złudnej nadziei, która raz jeszcze przywoływała duchy starych czasów.

W zapadającej ciemności dotarła do skrawka ziemi pozbawionej ciała i wstąpiła do wnętrza okręgu nietkniętego stopą wroga. Wtedy go dostrzegła.

Runy nie kłamały.

Miecz Bruce'a, ów oręż, którym król walczył z Anglikami, którym ich pokonał, pozostał na bitewnym polu.

Porzucony tkwił pośrodku kręgu, wbity w błotnisty grunt mokradła, zapadając się powoli w grzędawisko. Ostatnie promienie dziennego światła pozwalały dostrzec połyskujący znak, który został wyryty na płaskim ostrzu miecza. Symbol z dawnych pogańskich czasów o ogromnej niszczycielskiej sile.

- Dokonało się - wymamrotała cicho Kala i odczuła ulgę.

Brzemie, które dźwigała przez ostatnie miesiące i lata, opatrność zdjęła z jej barków.

Przez pewien czas zwolennikom starego porządku udało się przekonać króla do siebie. To właśnie oni umożliwili Robertowi zwycięstwo na polu bitwy pod Bannockburn. Jednak u kresu boju król

odwrócił się od nich.

- Pozostawił miecz - powiedziała cichym głosem wieszczka

runiczna. - Tym samym zapadło rozstrzygnięcie. Ofiara nie była daremna.

Gdyby król i wierni mu słudzy zapragnęli na koniec dnia

zatriumfować i cieszyć się owocami zwycięstwa, nie trwałoby to długo.

Triumf na polach pod Bannockburn niósł załóżek klęski. Wkrótce kraj

znow rozpadłby się i pogrążył w chaosie oraz wojnie. Jednak tego dnia

odniesiono wielkie zwycięstwo.

Głównia ta już od dawien dawna rozstrzygała o losach szkockiego

narodu. Teraz jednak, zdradzona i porzucona przez możnych, straciła

cały swój blask. Nadeszła pora, by miecz zabrać tam, skąd pochodził, i

by uwolnić go od ciężącej na nim klątwy.

Walka o los Szkocji została rozstrzygnięta dokładnie tak, jak

przepowiedziały to runy. Historia nie będzie pamiętać o tym, co tak

naprawdę wydarzyło się dzisiaj, a nieliczni, którzy to wiedzieli, już

wkrótce opuszczą ziemski padół.

Lecz runy nie powiedziały Kali wszystkiego.

KSIEGA PIERWSZA

*Runiczny znak*



## ARCHIWUM OPACTWA Z DRYBURGHA, KELSO

MAJ 1822

W wiekowej sali panowała absolutna cisza.

Cisza wypełniała bibliotekę z Dryburgha od stuleci i biorąc we władanie każdego, kto przestąpił jej progi, nakazywała szacunek.

Samo opactwo od dawna nie istniało. W 1544 roku Anglicy pod wodzą Somerseta zrównali z ziemią szacowne mury. Jednak dzielnym mnichom zakonu premonstratensów udało się uratować większą część zbiorów biblioteki klasztornej i ukryć w nieznanym miejscu. Jakies sto

lat temu księgi zostały ponownie odnalezione, a pierwszy książę

Roxburghe, znany mecenas sztuki i kultury, zatroszczył się o to, aby

zbiory biblioteki z Dryburgha znalazły nową siedzibę na wschodnich

obrzeżach osady Kelso, w starym zbożowym spichlerzu z palonej cegły,

pod którego wysokim dachem od tamtej pory spoczywały niezliczone

ilości foliałów, manuskryptów, woluminów oraz zwojów.

Była tu przechowywana wiedza minionych stuleci: odręcznie

sporządzone kopie oraz przekłady antycznych rozpraw, które zdołały

przetrwać mroczne wieki średnie, kroniki i annały średniowieczne, w

których uwieczniono czyny i dokonania monarchów. Tu, na

pergaminie oraz kruchym już papierze, na którym czas odcisnął swoje

piętno, historia była wciąż żywa. Każdego, kto się w to miejsce

zagłębił, ogarniało tchnienie przeszłości.

I to właśnie był powód, dla którego Jonathan Milton tak bardzo

lubił tę bibliotekę. Już kiedy był chłopcem, historia pobudzała jego wyobraźnię, bardziej interesowały go opowiadane przez dziadka historie o starej Szkocji oraz o klanach regionu Highlands niż wojny i despoci współczesnych czasów. Jonathan był też przekonany, że historia może ludzi wiele nauczyć - wszakże pod warunkiem że są świadomi swojej przeszłości. Miejsce tak przesiąknięte historią jak biblioteka w Dryburghu wręcz zapraszało do studiowania minionych dziejów.

Dla młodego człowieka, który na uniwersytecie w Edynburgu rozpoczął studia historyczne, możliwość pracy tutaj była niczym dar od losu. Serce mu waliło, kiedy zdejmował z regału ogromny foliał.

Unoszące się obłoki kurzu wywoływały kaszel. Mimo to niczym cenny skarb przycisnął mocno do siebie księgę, która mogła ważyć dobre trzynaście kilogramów. Następnie sięgnął po świecznik i zszedł wąskimi krętymi schodami na dół, gdzie stały stoły do czytania.

Ostrożnie położył wolumin na masywnym drewnianym stole i zajął przy nim miejsce z zamiarem przejrzenia zawartości. Z wypiekami na policzkach Jonathan zamierzał przekonać się, jakież to skarb wyciągnął z otchłani dziejów.

Chodziły słuchy, że jeszcze sporo czasu upłynie, zanim zostaną sprawdzone i skatalogowane wszystkie biblioteczne dokumenty.

Nieliczni mnisi, których odesłano z klasztoru z zadaniem sprawowania pieczy nad bibliotecznym księgozbiorem, nie byli w stanie podołać tej pracy. Zakurzone i okryte gęstą pajęczyną regały ciągle jeszcze mogły ukrywać prawdziwe perły. Już sama myśl, że mógłby trafić na coś

takiego, sprawiła, iż serce Jonathana zaczęło bić szybciej.

Chociaż prawdę mówiąc, nie był tu po to, by wzbogacić wiedzę historyczną o nowe odkrycia. Jego prawdziwe zadanie polegało na tym, by prowadzić proste poszukiwania, co było czynnością dosyć monotonną, choć dobrze płatną. Oprócz tego Jonathan miał niewątpliwie zaszczyt pracować dla sir Waltera Scotta, człowieka, który dla wielu młodych Szkotów stanowił wzór godny naśladowania.

Nie tylko dlatego, że sir Walter, który mieszkał w położonej niedaleko

posiadłości Abbotsford, był odnoszącym sukcesy

powieściopisarzem, którego dzieła czytano zarówno w rzemieślniczych warsztatach, jak i w szlacheckich dworach. Człowiek ten był Szkotem

z krwi i kości. Dzięki jego wstawiennictwu oraz wpływowi na

brytyjskim dworze wiele szkockich zwyczajów, które przez setki lat były zakazane, mogło

ponownie ujrzeć światło dzienne. Ponadto w niektórych kręgach

brytyjskiego społeczeństwa nastąpiła moda na szkockie obyczaje.

Ostatnio uchodziło za eleganckie noszenie szkockich kiltów i tartanów.

By zapewnić nowe teksty wydawnictwu założonemu w Edynburgu

do spółki z przyjacielem Jamesem Ballantyne'em, sir Walter pracował dosłownie dzień i noc, zazwyczaj pisząc kilka powieści jednocześnie.

Wsparciem dla niego byli sprowadzani z Edynburga studenci, którzy pomagali mu w badaniu historycznego tła utworów. Biblioteka

opactwa z Dryburgha, która mieściła się w Kelso i tym samym była

oddalona o zaledwie dziewiętnaście kilometrów od rezydencji Scotta, oferowała sprzyjające warunki.

Jonathan otrzymał miejsce wolontariusza dzięki jednemu z przyjaciół ojca, z którym sir Walter studiował na Uniwersytecie w Edynburgu w młodych latach. Chociaż jego praca była niezbyt wymagająca umysłowo i polegała raczej na suchym zgłębianiu źródeł niż na poszukiwaniu zaginionych kronik i starodawnych palimpsestów, chudy i kościsty młody człowiek z włosami splecionymi w krótki warkocz mógł ten fakt przeboleć. Bowiem przy tej okazji miał sposobność spędzenia wielu godzin w miejscu, w którym zamierzchłe dzieje stykały się z czasami współczesnymi. Niejeden raz przesiadywał tu do późnej nocy i zupełnie zapominał o upływającym czasie pochylony nad starodawnymi epistołami i dokumentami.

Tak jak tego wieczora.

Przez cały dzień Jonathan prowadził poszukiwania i gromadził materiał: zapiski z annałów, raportów składanych władcom, klasztornych kronik oraz innych źródeł pisanych, które mogły okazać się przydatne sir Walterowi do pisania najnowszej powieści.

Jonathan sumiennie i skrupulatnie wypisywał wszystkie znaczące daty i fakty, a potem umieszczał je w notatniku, który dał mu sir Walter. Po skończonej pracy jednak znów oddał się własnym studiom i w tym celu ruszył ku tej części biblioteki, która najbardziej przyciągała jego uwagę. Były tam oprawione w skórę zbiorowe księgi, które przechowywano na górnej kondygnacji i które w sporej części wciąż

jeszcze nie zostały przejrzone.

Jak stwierdził Jonathan, były wśród nich pergaminy z XII i XIII wieku: dokumenty, epistoły i fragmenty tekstów z tamtej epoki, której zgłębianie wciąż jeszcze opierało się przede wszystkim na angielskich źródłach. Wszakże gdyby udało mu się znaleźć nieznane dotąd szkockie źródło, byłaby to prawdziwa naukowa sensacja, zaś jego nazwisko znalazłoby się na ustach wszystkich mieszkańców Edynburga...

Młodego studenta ambicja rozpierała do tego stopnia, że każdą wolną minutę wykorzystywał, by na własną rękę badać zbiory biblioteczne. Miał pewność, że ani sir Walter, ani opat Andrew, kustosz archiwum, dopóty nie będą mieli nic przeciwko jego poszukiwaniom, dopóki punktualnie i sumiennie wywiązuje się z powierzonego mu zadania.

W świetle świecy, która rzucała na blat stołu ciepły migoczący blask, studiował teraz zebrane razem fragmenty tekstów pochodzących sprzed kilku stuleci - wrywki z annałów, które sporządzili mnisi klasztoru w Melrose, a także dokumenty, listy, sprawozdania poborców podatkowych i inne podobne pisma. Łacina, którą spisano te teksty, nie była wykwintnym językiem z czasów Cezara i Cyncerona, której obecnie uczono w szkołach. Większość autorów posługiwała się językiem, który tylko częściowo przypominał klasyczną łacinę. Było to znaczną korzyścią dla Jonathana, który bez trudu mógł tłumaczyć te teksty.

Pergamin, na którym zapisano te dokumenty, był sztywny, lecz kruchy, zaś atrament w wielu miejscach do tego stopnia wyblakły, że ledwo można było odczytać litery. Dramatyczne dzieje biblioteki oraz długi okres, przez który księgi trzymano w odludnych jaskiniach i wilgotnych piwnicach, nie wpłynęły korzystnie na ich stan. Foliały oraz zwoje były w znacznym stopniu podniszczone. Zbadanie ich treści oraz zachowanie jej dla potomności musiało stać się celem każdego zaangażowanego historyka.

Jonathan uważnie przeglądał poszczególne strony. Dowiadywał się z nich o darowiznach szlachty na rzecz podległych jej wasali, o daninach pobieranych od chłopów. Znalazł też kompletną listę wszystkich opatów klasztoru w Melrose. Wszystko to było rzeczywiście interesujące, jednak w żadnym wypadku nie mogło stać się sensacyjnym odkryciem.

Nagle Jonathan odkrył coś, co całkowicie pochłonęło jego uwagę. Kiedy odwrócił kolejną stronicę, zmienił się wygląd oraz forma zapisów. To, co miał teraz przed sobą, nie było ani listem, ani też żadnym formalnym dokumentem. Prawdę mówiąc, miał trudności z określeniem pierwotnego przeznaczenia tego zapisku, który sprawiał wrażenie, jakby był wyrwany z większej całości, być może jakiejś kroniki albo starych klasztornych rejestrów.

Kaligrafia oraz kształt liter zapisanych pędzelkiem różniły się zasadniczo od tych z poprzednich stron. Także pergamin sprawiał wrażenie cieńszego i bardziej porowatego, co pozwalało domyślać się,

że również był znacznie starszy.

Skąd mógł pochodzić ten urywek?

I dlaczego został wyrwany z właściwego woluminu?

Gdyby któryś z mnichów administrujących biblioteką znajdował się w pobliżu, Jonathan mógłby go o to zapytać. Jednak o tej późnej godzinie opat Andrew oraz jego współbracia udali się już na modły, a potem do swoich samotnych cel. Mnisi przywykli już do tego, iż Jonathan całymi dniami szperał w spuściźnie po dawno minionych czasach. Ponieważ sir Walter cieszył się całkowitym zaufaniem braci zakonnych, przekazali jego studentowi klucz, który umożliwiał mu odwiedzanie biblioteki o dowolnej porze.

Jonathan poczuł, jak włosy na karku stają mu dęba. A zatem to jemu samemu przypadło w udziale rozwiązanie zagadki, na którą natrafił tak niespodziewanie.

Przy migoczącym płomyku świecy pogрузił się w lekturze tekstu. Szło mu znacznie trudniej niż w przypadku innych zapisków - po części dlatego, że strona ta była w dużo gorszym stanie, a po części dlatego, że autor posługiwał się bardzo rzadką formą łaciny, pełną obcych pojęć.

Na pierwszy rzut oka Jonathan zdołał stwierdzić, że strona ta nie była częścią kroniki. Sądząc po formie - wciąż pojawiały się takie określenia jak „dostojni panowie” - mógł mieć do czynienia z listem, jednak jak na list styl języka był bardzo nietypowy.

- Być może jest to relacja - Jonathan mruknął pod nosem z

namysłem. - Relacja wasala dla pana lub króla...

Z detektywistyczną ciekawością czytał dalej. Ogarnęła go ambicja popychająca do wyjaśnienia zagadki, do kogo skierowane było to pismo i jakie było jego przeznaczenie. W badaniach nad minionymi dziejami liczyła się nie tylko gruntowna historyczna wiedza, ale także ciekawość. Jonathan posiadał i jedno, i drugie.

Jednak odszyfrowanie tego tekstu okazało się znużającym przedsięwzięciem. Chociaż w międzyczasie już zdobył pewne doświadczenie w czytaniu i tłumaczeniu źródeł pisanych, w których roiło się od skrótów i zagadek, zdołał się uporać zaledwie z kilkoma wierszami. Autor tego tekstu pisał w sposób tak bardzo zawiły, że posługujący się szkolną łaciną Jonathan stanął przed zadaniem przekraczającym jego umiejętności.

Co chwilę pojawiały się nowe słówka, które przyciągały jego uwagę. Nieustannie natrafiał na *papa sancto* - czy w tym wypadku chodziło o Ojca Świętego z Rzymu? W wielu miejscach pojawiały się też słowa *gladius* oraz *rex*, które w łacinie oznaczały miecz oraz króla.

Poza tym Jonathan raz po raz natrafiał na pojęcia, których nie był w stanie przetłumaczyć, ponieważ nie wywodziły się jednoznacznie z języka łacińskiego ani też nie przypominały żadnej pokrewnej formy znanych mu słów. Wyszedł z założenia, że w tym przypadku chodziło o słowa zaczerpnięte z języka gaelickiego albo piktyjskiego, które we wczesnym średniowieczu były jeszcze szeroko rozpowszechnione.

Jak opowiadał sir Walter, niektórzy starsi Szkoci wciąż posługiwali



się tymi archaicznymi, od dawna zakazanymi językami. A może

przepisać stronę tego tekstu i pokazać ją komuś z nich?

Jonathan pokręcił głową z powątpiewaniem.

Dysponując tylko tą jedną stroną, nie zajdzie daleko. Musi odnaleźć resztę dokumentu, który został ukryty gdzieś w zakurzonych zakamarkach przepastnej starej biblioteki.

Z namysłem wziął do ręki świecznik. Widząc migoczące błyski, którymi płomień rozświetlał ciemności, rozejrzał się dookoła.

Zauważył przy tym, że jego tętno przyspieszyło. Uczucie, że jest na tropie tajemnicy, nappełniło go euforią. Słowa, które zdołał rozszyfrować, nie mogły mu wyjść z głowy. Czyżby rzeczywiście chodziło o jakiś raport? Być może o przesłanie papieskiego legata? Ale cóż mógł mieć z tym wspólnego król i miecz? I o którym królu mowa?

Jego wzrok pobiegł ku balustradzie, za którą w regularnych odstępach rysowały się regały górnej kondygnacji. Stamtąd właśnie wy-

dobył wolumin, w którym odkrył tajemniczy fragment. Być może tam znajdzie resztę.

Jonathan nie miał złudzeń co do tego, że szanse na to były raczej niewielkie, ale chciał przynajmniej podjąć próbę. Całkowicie stracił poczucie czasu - nawet nie zauważył, że dawno minęła północ.

Pospiesznie wszedł na stopnie krętych schodów, gdy nagle do jego uszu dobiegł jakiś hałas. Gwałtowne, choć przytłumione pukanie.

Ktoś otworzył masywne dębowe drzwi biblioteki i potem je zamknął.

Z ust Jonathana wyrwał się krzyk przerażenia. Trzymał świecę przed sobą, próbując oświetlić przestrzeń pod balustradą, gdyż chciał zobaczyć, kim był nocny gość. Jednak płomień świecy nie sięgał na tyle daleko, by rozproszyć ciemności zakurzonej mrocznej czeluści.

- Kto tam? - zapytał donośnym głosem Jonathan.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Ale usłyszał kroki. Ciche, miarowe kroki, które zbliżały się ku niemu po zimnych płytach kamiennej posadzki.

- Kto tam jest? - raz jeszcze zapytał student. - Opacie Andrew, czy to ojciec?

I znów nie uzyskał odpowiedzi. Jonathan poczuł, jak w dopiero co pobudzoną ciekawość nagle wkrada się strach. Zgasił świecę, zmrużył oczy i w nikłej poświacie biblioteki, którą oświetlał jedynie blask księżycy wpadający przez wąskie szczeliny brudnych okien, usiłował dojrzeć cokolwiek przed sobą.

Kroki zbliżały się bezlitośnie. Po chwili student wypatrzył w półmroku zarys jakiejś postaci.

- Kim... kim pan jest? - zapytał przerażony.

I tym razem nie otrzymał odpowiedzi.

Postać odziana w szeroką pofałdowaną opończę z kapturem nawet nie spojrzała w jego kierunku. Niczym nieporuszona szła przed siebie, mijając ciężkie dębowe stoły, potem weszła na schody, które prowadziły do balustrady.

Mimowolnie Jonathan cofnął się, czując nagle krople zimnego

potu na czole.

Drewniane stopnie zatrzeszczały, gdy ledwie widoczna postać postawiła na nich stopę. Powoli wchodziła na górę, a z każdym krokiem Jonathan cofał się coraz dalej.

- Błagam - powiedział cicho. - Kim pan jest? Niech mi pan powie, kim pan jest...

Tajemnicza postać dotarła do szczytów schodów, a kiedy słaby blask księżyca padł na sylwetkę, Jonathan mógł dostrzec twarz.

Twarz, której nie było.

Jonathan z przerażeniem wpatrywał się w nieruchome rysy maski, przez szczeliny której spoglądały na niego zimne oczy.

Jonathan poczuł dreszcze na całym ciele. Ten, kto nosił budzącą grozę szatę i do tego jeszcze skrywał twarz za maską, musiał mieć złe zamiary!

Jonathan szybko obrócił się i zaczął biec. Nie mógł uciec schodami w dół, ponieważ złowroga postać zagroziła mu drogę. Dlatego pobiegł w przeciwnym kierunku, wzdłuż balustrady, jedną z alejek, która ciągnęła się między regałami z książkami.

Czuł narastającą panikę. Stare księgi i dokumenty nagle przestały cieszyć jego serce. Jedyne, czego pragnął, była ucieczka - jednak po kilku krokach nie miał już dokąd uciekać.

Alejka kończyła się masywną ścianą z cegły i Jonathan zrozumiał, że popełnił niewybaczalny błąd. Zawrócił, chcąc go naprawić, i spostrzegł, że jest już na to za późno.

Człowiek w masce stał przy drugim końcu alejki. W słabym świetle widoczna była tylko jego sylwetka. Ponuro i groźnie zagroził Jonathanowi drogę.

- Czego pan chce? - zapytał raz jeszcze, choć nie miał nadziei na to, że usłyszy odpowiedź.

W panice błądził wzrokiem, szukając wyjścia, którego już nie było.

Z trzech stron otaczały go wysokie ściany, był więc zdany wyłącznie na łaskę i niełaskę upiora.

Postać zbliżała się ku niemu. Jonathan cofał się, aż natknął się na zimną ścianę. Drżąc ze strachu, przytulił się do muru. Jego paznokcie wbiły się w chropowate wystające krawędzie cegieł tak mocno, że nabiegły krwią. Poczuł przejmujący chłód, jakim emanowała złowieszcza postać.

Uniósł ręce w obronnym geście, zakrywając twarz, osunął się na ziemię i zaczął cicho szlochać, podczas gdy zamaskowana postać podeszła do niego.

Peleryna tajemniczej osoby zsunęła się w dół, a Jonathan Milton pograżył się w ciemności ponurej jak noc.

Był wczesny ranek, kiedy posłaniec zastukał do bramy posiadłości w Abbotsford.

Sir Walter Scott, pan tych dumnych włości, które rozciągały się nad brzegiem rzeki Tweed, nazywał swoją posiadłość romancą z kamienia i murarskiej zaprawy - to określenie idealnie pasowało do Abbotsford.

Wnętrze murów z brązowego piaskowca, ozdobionych krużgankami i wieżyczkami, które wznosiły się nad portalami posiadłości, sprawiało wrażenie, jak gdyby czas stanął w miejscu, jak gdyby przeszłość, którą sir Walter opisywał w swoich powieściach, wciąż tu żyła.

Wczesnym rankiem, gdy słońce jeszcze nie zdążyło wznieść się nad horyzont, a mgła podnosiła się znad rzeki, Abbotsford raczej budziło trwogę, niż przypominało przytulny obraz. Jednak posłaniec, który zsiadł z karego konia i energicznie walił pięścią w ciężkie drewniane wrota, zupełnie nie zwracał na to uwagi. Nowina, którą miał do przekazania panu Abbotsford, była zbyt pilna.

Pod uderzeniami drewno znów wydało z siebie głuche dźwięki i nie trwało długo, gdy po drugiej stronie rozległy się odgłosy kroków chrzęszczących na żwirze.

Ktoś odsunął rygiel judasza i w szparze pojawiła się zrzędlawa twarz, która zapewne należała do rządcy domostwa. Szare falowane włosy otaczały ogorzale oblicze ze sterczącym i zaczerwienionym orlim nosem.

- Kim jesteś i czego chcesz o tej niechrześcijańskiej godzinie? -

zapytał rządcę opryskliwie.

- Przybywam na polecenie szeryfa z Kelso - odparł posłaniec i pokazał pieczęć, którą przywiózł ze sobą. - Mam pilne wieści dla pana tego domostwa.

- Wieści dla sir Scotta? O tej porze? Czy nie można z tym zaczekać przynajmniej do chwili, gdy wzejdzie słońce? Nasz pan jeszcze śpi i nie chciałbym go niepotrzebnie budzić. W tych dniach sypiał naprawdę bardzo niewiele.

- Usilnie proszę - odparł posłaniec. - To pilne. Coś się wydarzyło. Wypadek.

Rządcę domu lustrował posłańca badawczym wzrokiem.

Stanowczy ton wypowiedzi przekonał go, iż sprawa rzeczywiście nie cierpi zwłoki, dlatego w końcu odsunął rygiel i otworzył wrota.

- Zatem dobrze, wejdź do środka. Ale ostrzegam cię, młody przyjacielu. Jeżeli pozbawisz snu sir Waltera z powodu błahostki, pożałujesz tego.

Posłaniec opuścił głowę z pokorą. Zostawił konia przed bramą wejściową i podążył za rządcą krużgankiem, który prowadził przez ogród do pańskiego domostwa.

Gdy doszli do głównego budynku, zarządca nakazał posłańcowi poczekać w holu. Chłopak pozostał z tyłu zaciekawiony gotyckim przepychem i starodawną elegancją tego miejsca. Natomiast zarządca oddalił się, by sprowadzić pana tego domu.

Hol wejściowy domu w Abbotsford wyglądał, jakby pochodził z

wcześniejszej epoki. Wzdłuż kamiennych ścian ustawione były zbroje i stara broń, na murach wisiały obrazy oraz gobeliny, które głosiły świetność dawnych dziejów Szkocji. Wysoki sufit był, jak w dawnych czasach, ozdobiony kasetonami i sprawiał, że wewnątrz przypominało salę rycerską. Ponad murowanym kominkiem, który zajmował frontową ścianę holu, widniał herb rodu Scottów, ozdobiony kolorami z tar-tanu klanu.

Z drzwi znajdujących się po prawej stronie kominka zniecka wyłonił się mężczyzna, który mógł mieć około pięćdziesięciu lat.

Człowiek ten o wzroście około stu osiemdziesięciu centymetrów robił naprawdę imponujące wrażenie. Przyprószone siwizną, krótko obcięte włosy nosił zaczesane do przodu. Charakterystyczne rysy jego twarzy, współgrające z rosłą sylwetką, świadczyły o typowej dla mieszkańców wsi krzepkości, która była rzadko spotykana u szlachetnie urodzonych panów. Jednakże małe oczy, które sprawiały wrażenie bystrych i uważnych i którym nic nie mogło ujść uwagi, zadawały kłam jakiegokolwiek toporności.

Mimo wczesnej godziny mężczyzna był kompletnie ubrany, jak przystało na dżentelmena. Do szarych wąsko skrojonych spodni nosił białą koszulę oraz zielony surdut. Kiedy szedł w stronę pościąca, ten stwierdził, iż gospodarz lekko utyka.

Bez wątpienia - był to Walter Scott, pan Abbotsford.

Chociaż posłaniec nigdy wcześniej nie spotkał osobiście Scotta, słyszał wiele o jego niezwykłym wyglądzie, a także o kalectwie, które

było następstwem choroby, jaką przeszedł w dzieciństwie.

Scott sprawiał wrażenie osoby całkowicie rozbudzonej, co zdawało się potwierdzać pogłoski, jakie przekazywano pocztą pantoflową - że pan Abbotsford prawie nie miał czasu na sen, lecz całe dni i noce spędzał w swoim gabinecie, gdzie pracował nad kolejnymi powieściami.

- Sire - rzekł posłaniec i uklonił się, gdy pan domu podszedł do niego. - Proszę o wybaczenie, że zakłócam pański spokój o tak wczesnej godzinie.

- Już dobrze, mój synu - odparł sir Walter, a na jego dość grubo ciosanej twarzy pojawił się młodzieńczy uśmiech. - Nie położyłem się jeszcze do łóżka i dzisiaj zapewne już tego zrobię. Mój wierny Mortimer przekazał mi, że masz dla mnie nowinę. Od szeryfa z Kelso.

- To prawda, sir - przytaknął posłaniec. - I żałuję, iż nie jest to dobra nowina. Chodzi o pańskiego studenta, Jonathana Milтона...

Na twarzy sir Waltera pojawił się teraz serdeczny uśmiech.

- Dobry Jonathan. Co z nim? Czy w swoim zapale znów zapomniał o upływie czasu i zasnął nad starymi dokumentami i foliałami?

Oczekiwał, że posłaniec przynajmniej odwzajemni jego uśmiech.

Jednak twarz młodego mężczyzny pozostała poważna.

- Obawiam się, że stało się coś znacznie gorszego niż to, sir - oznajmił cichym głosem. - Miał miejsce nieszczęśliwy wypadek.

- Wypadek? - sir Walter uniósł brwi.

- Tak, sir. Potworny wypadek. Pański student, Jonathan Milton,



nie żyje.

- On... on nie żyje? Jonathan nie żyje? - sir Walter usłyszał

wypowiadane przez siebie słowa.

Miał wrażenie, jakby słowa te wypowiadał ktoś obcy, i nie był w

stanie dać wiary temu, co usłyszał.

Posłaniec przytaknął speszony. Po pauzie, która zdawała się trwać

wieczność, dodał:

- Bardzo mi przykro, że to ja muszę przynieść panu tę wieść, sir.

Ale szeryf życzył sobie, aby bezzwłocznie pana o tym powiadomić.

- Naturalnie - przytaknął sir Walter i z trudem zdołał zapanować

nad sobą. - Co się wydarzyło? I gdzie? - chciał wiedzieć.

- W bibliotece, sir. Najwidoczniej młody panicz przebywał tam

o późnej porze, kontynuując studyjne prace, i musiał przy tym spaść

ze schodów.

W duszy sir Waltera przerażenie połączyło się natychmiast z

poczuciem winy. Jonathan przebywał w Kelso z jego polecenia i dla

niego zgłębiał księgozbiory w starej bibliotece. A zatem przynajmniej

po części także on ponosił winę za to, co się wydarzyło.

- Wyruszę natychmiast do Kelso - oświadczył zdecydowanie.

- Z jakiego powodu, sir?

- Ponieważ muszę - wyjaśnił bezradnie sir Walter. - Przynajmniej

to mogę zrobić dla Jonathana.

- Niech pan tego nie czyni, sir.

- Dlaczegoż nie?

- Szeryf z Kelso prowadzi dochodzenie i w odpowiednim czasie  
przekáže panu wszystkie ustalenia. Ale... niech pan nie ogląda zwłok.

Widok jest potworny, sir. Nie powinien pan...

- Nonsens - sir Walter obcesowo mu przerwał. - Dostatecznie  
długo pełniłem obowiązki szeryfa i wiem, czego mam się spodziewać.

Cóż byłby ze mnie za nauczyciel, gdybym nie wyruszył teraz, żeby  
rozpytać o okoliczności, w jakich Jonathan poniósł śmierć?

-Ale sir...

- Wystarczy - przerwał szorstko sir Walter, a posłańcowi nie pozo  
stało nic innego, jak ukłonić się i wycofać, nawet jeśli przeczuwał, że  
jego przełożony, szeryf z Kelso, nie ucieszy się z wizyty sir Waltera.

Miejscowość Kelso leżała w odległości około dziewiętnastu  
kilometrów od Abbotsford. Większa część Kelso była własnością  
księcia Roxburghe'a, którego przodek przed stu laty kazał wznieść  
zamek nad brzegiem rzeki Tweed, gdzie od tamtej pory rezyduje  
książęca rodzina. Wraz z osadami Selkirk i Melrose Kelso tworzyło  
trójkąt, który Scott chętnie nazywał swoim krajem. Wzgórza i lasy,  
przez które płynęły spokojne wody rzeki Tweed, stanowiły dla niego  
uosobienie szkockiej ojczyzny. W jego oczach Kelso uchodziło za  
najbardziej romantyczną osadę w okolicy, w której wciąż jeszcze żywy  
był duch starej Szkocji, tak chętnie przywoływany przez sir Waltera w  
jego powieściach.

Czasem kazał swemu woźnicy zawozić się do Kelso, by  
spacerować nad brzegiem rzeki Tweed między starymi budynkami z

kamienia i szukać inspiracji w tchnieniu dawnych dziejów. Jednak tego ranka droga do Kelso była pełna goryczy.

W pośpiechu sir Walter powiadomił resztę domowników o nieszczęśliwym wypadku. Lady Charlotte, jego dobrotliwa małżonka, zapłakała gorzko, gdy tylko dowiedziała się o śmierci Jonathana Milтона; znała go jako uprzejmego i niezwykle grzecznego młodzieńca, który swoim marzycielskim patriotyzmem oraz niezaspokojoną ciekawością minionych czasów nierzadko przypominał jej własnego małżonka z młodych lat. W międzyczasie sir Walter kazał zaprząć konie do powozu i wyruszył w drogę do Kelso wraz ze swoim siostrzeńcem Quentinem, który przebywał w Abbotsford i pragnął towarzyszyć wujowi.

Dzieciństwo i młodość Quentin spędził w Edynburgu. Był siostrzeńcem sir Waltera; dwudziestopięcioletni mężczyzna miał mocną budowę ciała i okazałą posturę, jak większość Scottów.

Cechował się przy tym pewną prostolinijnością i naiwnością, której powodem w głównej mierze było to, że jeszcze nigdy dotąd nie opuścił na dłużej domostwa rodziców. Quentin przyjechał do Abbotsford, by pobierać nauki u sir Waltera - zgodnie z wolą swej matki młody człowiek miał zostać pisarzem, tak jak jego sławny wuj.

Chociaż sir Walterowi bardzo schlebiał ten plan, jednak obawiał się, że Quentin nie posiadał większości przymiotów niezbędnych do tego, by zostać odnoszącym sukcesy powieściopisarzem. Wprawdzie młody człowiek miał żywy temperament oraz wybujałą fantazję, które

to cechy można zaliczyć do podstaw pisarskiego warsztatu, jednak bogactwo jego wypowiedzi, jak również znajomość klasyków, od Plutarcha do Szekspira, pozostawiały wiele do życzenia.

Oprócz tego Quentin wykazywał skłonność do komplikowania spraw i omijania istoty rzeczy z niezwykle skuteczną, co niewątpliwie odziedziczył po swoim ojcu. Brakowało mu całkowicie analitycznego i bystrego umysłu oraz zdolności podejmowania szybkich decyzji, które były przymiotami charakterystycznymi dla wszystkich Scottów; ponadto nie dało się zaprzeczyć, że młodzieńca cechowała wrodzona niezdarność.

Mimo to Scott z miejsca zadeklarował gotowość przyjęcia Quentina do siebie i zadbania o jego wykształcenie. Być może, powtarzał sobie, jego siostrzeniec musi dopiero odnaleźć swoje prawdziwe przeznaczenie. Niewykluczone, że czas spędzony w Abbotsford okaże się pod tym względem pożyteczny.

- Wciąż nie mogę dać temu wiary - rzekł poruszony Quentin.

Siedzieli w powozie, który toczył się po pokrytej liśćmi leśnej drodze. Jak na tę porę roku noce były nadzwyczaj chłodne, więc obaj mężczyźni opatulili się szczelnie pelerynami.

- To po prostu niepojęte, że Jonathan już nie żyje, wuju.

Walter Scott pogrążył się w ponurych rozważaniach. Myśl, że Jonathan przebywał w Kelso wyłącznie z jego powodu i że gdyby on sam nie wysłał młodzieńca do biblioteki, mógłby wciąż być wśród żywych, nie opuszczała go ani na chwilę.

Rzecz jasna zdawał sobie sprawę z tego, że młody człowiek bardzo interesował się minionymi dziejami, on zaś za swój obowiązek uważał wspieranie takich zainteresowań historycznych i talentów, które posiadał Jonatan. Teraz jednak własne motywy działania wydawały mu się egoistyczne i nieszczerze.

Cóż powie rodzicom Jonatana, którzy wysłali do niego swego syna, by ten dalej uczył się i rozwijał? Poczucie, iż zawiódł ich nadzieje, położyło się ciężkim brzemieniem na sumieniu sir Waltera. Czuł też, jak ogarnia go nieopisane zmęczenie. Przez całą noc nie zmrużył oka, kontynuując prace nad najnowszą powieścią, jednak bohaterski epos o miłości, pojedynkach i intrygach nagle zupełnie mu zubożał. Jego myśli krążyły wyłącznie wokół młodego studenta, który przeniósł się na tamten świat w archiwum z Dryburgha.

Quentin również był w opłakanym stanie. On i Jonathan byli w podobnym wieku, a przez ostatnie tygodnie bardzo się zaprzyjaźnili. Nagła śmierć kolegi głęboko go poruszyła. Co chwilę nerwowo przesuwał dłońią po gęstej czuprynie brązowych włosów, które sterczały na wszystkie strony. Surdut Quentina jak zawsze był wygnieciony, a kokarda zawiązana niechlujnie. Kiedy indziej sir Walter zapewne zwróciłby mu uwagę na to, że taki wygląd w żadnym przypadku nie przystoi dżentelmenowi. Jednak tego ranka było mu wszystko jedno.

Powóz wyjechał z lasu, a przez boczne okno można było teraz dostrzec wstęgę rzeki Tweed. Nurt rzeki i jej brzegi spowijała mgła.

Słońce, które w międzyczasie wzniosło się ponad horyzont, skryło się za gęstymi szarymi chmurami, co tylko pogłębiło ponury nastrój sir Waltera.

W końcu między wzgórzami wyłoniły się pierwsze budynki Kelso.

Powóz przejechał wiejską drogą obok tawerny i starej kuźni, by zatrzymać się przed kamiennymi murami starego zbożowego spichlerza. Sir Walter nie czekał, aż stangret zejdzie z kozła. Otworzył drzwi powozu i wysiadł. Quentin podążył za nim.

Powietrze poranka było wilgotne i rześkie, dlatego oddechy obu mężczyzn zamieniały się na chłódzie w kłęby pary. Patrząc na konie oraz powóz, który stał przed budynkiem, sir Walter poznał, że szeryf wciąż jeszcze był na miejscu. Kazał zaczekać stangretowi i ruszył w stronę wejścia, przy którym straż pełniło dwóch członków landwery.

- Przykro mi, sir- odezwał się jeden ze strażników, młodzian o grubych rysach twarzy, którego rudoblond włosy sugerowały irlandzkie pochodzenie, kiedy sir Walter i Quentin podeszli do nich. - Szeryf zakazał wstępu do biblioteki wszystkim nieuprawnionym.

- I miał rację - zgodził się sir Walter. - Ja jednak jestem nauczycielem chłopca, który stracił życie w bibliotece. Z tego też powodu mam prawo żądać wstępu.

Wypowiedział te słowa z taką stanowczością, że rudowłosy nie odważył się sprzeciwić.

Młodzian, który sprawiał wrażenie powolnego, spojrział z wyrazem bezradności na twarzy na swojego towarzysza, potem wzruszył

ramionami i ustąpił z drogi. Przez wielkie wrota z dębowego drewna sir Walter i Quentin weszli do szacownej budowli, która kiedyś służyła za zbożowy spichlerz dla całego regionu, teraz zaś stała się skarbnicą wiedzy i mądrości. Po obu stronach głównej sali ciągnęły się dwustronne, wysokie na cztery i pół metra regały poprzedzielane wąskimi alejkami. Wolne miejsce pośrodku zajmowały liczne stoły do czytania. Ponieważ spichlerz był bardzo wysoką konstrukcją, wzdłuż jego boków urządzono galerię ograniczoną drewnianą balustradą i podpartą ciężkimi filarami z dębiny. Na górnej kondygnacji stały kolejne regały z książkami i foliałami. Woluminów było tak dużo, że jeden człowiek nie byłby w stanie choćby przejrzeć ich w ciągu całego życia.

U stóp krętych schodów, które prowadziły na galerię, coś leżało na ziemi przykryte ciemną narzutą z płótna.

Sir Walter poczuł ściśnięcie w żołądku, kiedy pojął, że muszą to być zwłoki Jonathana. Obok stało dwóch mężczyzn, którzy rozmawiali ze sobą ściszonymi głosami. Sir Walter znał obydwu.

John Slocombe, szeryf Kelso, był przysadzistym mężczyzną w średnim wieku, który miał na sobie znoszony surdut oraz oznaki szeryfa gminy. Jego włosy były już przerzedzone, zaś nos zaczerwieniony od whisky, którą raczył się ochoczo nie tylko w chłodne wieczory.

Drugim, mężczyzną, odzianym w prosty wełniany habit zakonu premonstratensów, był opat Andrew, przełożony oraz kustosz

miejscowej biblioteki. Chociaż klasztor w Dryburghu już nie istniał, zakon przysłał tu opata Andrew oraz kilku jego współbraci, żeby zatroszczyli się o księgozbiór starego archiwum, który zaiste cudem przetrwał zawieruchę reformacji. Andrew był roslym, szczupłym mężczyzną o surowych rysach twarzy, które jednak w żadnym wypadku nie sprawiały wrażenia nieprzyjaznych.

Jego ciemnoniebieskie oczy były niczym jeziora krainy Highlands, pełne tajemnic i niezgłębione. Sir Walter cenił spokój oraz opanowanie, które opat tego dnia zdawał się zachowywać.

Kiedy obaj mężczyźni dostrzegli przybyszy, przerwali rozmowę.

Na twarzy Johna Slocombe'a pojawiło się prawdziwe przerażenie, gdy rozpoznał sir Waltera.

- Sir Scott! - zawołał i ruszył ku obu gościom, załamując ręce. - Na świętego Andrzeja, co pan tutaj robi?

- Zamierzam poznać bliżej okoliczności tego potwornego wypadku

- odparł sir Walter głosem, który nie tolerował żadnego sprzeciwu.

- To przerażające, zaiste przerażające - lamentował szeryf. - Nie powinien pan tu przyjeżdżać, sir Walterze. Nieszczęsny młodzieniec...

- Gdzie on jest?



Slocombe zauważył, że pan Abbotsford nie ma zamiaru tracić czasu na jego utyskiwania.

-Tam, sir- powiedział, ociągając się, potem przesunął się na bok, odsłaniając widok zakrwawionego zawiniątka, które leżało na nagiej i zimnej kamiennej posadzce biblioteki.

Sir Walter dosłyszał, jak Quentin cicho jęknął, lecz nie zważał na to. Jego współczucie w tym momencie było skierowane wyłącznie do młodego Jonathana, który utracił życie w sposób tak nieoczekiwany i najwyraźniej bezsensowny. Chociaż sir Walter był krzepkim mężczyzną o mocnej budowie ciała, poczuł, jak nogi uginają się pod nim, kiedy podchodził do zmarłego.

Podwładni szeryfa nakryli zwłoki narzutą, która w paru miejscach całkowicie przesiąkła krwią. Krew można było dostrzec również na posadzce. Nieregularnymi strużkami rozlała się po kamiennych płytach, a potem zakrzepła na chłodzie.

Szeryf Slocombe stał z boku sir Waltera i dalej żywo gestykulował.

- Musi pan uwzględnić fakt, iż był to upadek z dużej wysokości.

Widok jest potworny. Chcę pana przestrzec przed obejrzeniem cia...

Sir Walter nie dał sobie jednak wyperswadować swojego zamiaru.

Po krótkim namyśle pochylił się, chwycił narzutę i ściągnął ją. Widok, jaki ukazał się czwórce mężczyzn, był rzeczywiście makabryczny.

Nie ulegało wątpliwości, iż był to Jonathan. Jednak po śmierci jego ciało było straszliwie zniekształcone. Student leżał na posadzce dziwnie wykręcony. Wydawało się, że upadł na głowę i z

ogromnym impetem uderzył o podłogę. Wszędzie była krew, a do tego

jeszcze coś, co sir Walter uznał za mózg, który wypłynął z czaszki.

- Makabryczne, nieprawdaż? - skomentował szeryf i spojrzał poruszony na sir Waltera.

Pan Abbotsford, blady jak ściana, przytaknął równie wstrząśnięty.

Quentin nie mógł wytrzymać tego widoku. Młody mężczyzna wydał z siebie bulgoczący odgłos, zakrył dłonią usta i wybiegł na zewnątrz, gdzie z wymiotował.

- Pański siostrzeniec nie zdołał znieść tego widoku - oznajmił szeryf Slocombe z cichym wyrzutem. - Mówiłem przecież, że to jest potworne, lecz pan nie chciał dać mi wiary.

Sir Walter nic nie odparł. Zamiast tego przewyciężył w sobie odrazę oraz przerażenie i pochylił się, chcąc pożegnać się z Jonathanem.

Jakaś część jego duszy żywiła nadzieję na znalezienie przebaczenia, kiedy spoglądał na bladą, umazaną krwią twarz zmarłego. Jednak sir Walter odnalazł tam coś innego.

- Szeryfie? - odezwał się pytająco.

- Tak, sir?

- Czy nie zwrócił pan uwagi na wyraz twarzy zmarłego?

- Co ma pan na myśli, sir?

- Oczy są szeroko otwarte, usta wykrzywione. W ostatnich sekundach życia coś musiało przerazić Jonathana.

- Zdał sobie sprawę, że stracił równowagę. Być może w ułamku

sekundy pojął, iż to jego koniec. Coś takiego się zdarza.

Sir Walter przeniósł wzrok na wąskie drewniane kręte schody,

które zaledwie o parę kroków dalej pięły się ku górze.

- Czy Jonathan miał przy sobie jakieś książki, kiedy spadał ze schodów?

- O ile jesteśmy w stanie stwierdzić, nie - głos zabrał opat Andrew, który do tej pory w milczeniu tylko przysłuchiwał się rozmowie.

- W każdym razie żadnej nie znaleziono.

- Żadnych ksiąg - podsumował cicho sir Walter.

Spojrzał raz jeszcze na schody i usiłował wyobrazić sobie, jaki przebieg mógł mieć ten tragiczny wypadek. Jednak mimo usilnych starań nie udało mu się tego dokonać.

- Niech pan wybaczy, szeryfie - rzekł w rezultacie. - Jest tu kilka rzeczy, których nie rozumiem. W jaki sposób młody mężczyzna, który nie dźwigał żadnego ciężaru i miał obie ręce wolne, żeby przytrzymać się balustrady, mógł spaść ze schodów tak pechowo, że uderzył się w głowę i rozbił sobie czaszkę?

Twarz Johna Slocombe'a zrobiła się odrobinę bledsza, a sir Walter, który dzięki uprawianej profesji stał się znakomitym obserwatorem, zdołał dostrzec błysk, który na moment pojawił się w oku szeryfa.

- Co pan chce przez to powiedzieć, sir? - zapytał.

- To, że nie daję wiary, iż Jonathan spadł ze schodów - oznajmił sir

Walter, który powoli się wyprostował, podszedł do schodów i wszedł na

najniższy stopień. - Niech pan spojrzy na krew, szeryfie. Gdyby

rzeczywiście Jonathan spadł w tym miejscu, plamy krwi musiałyby wskazywać w stronę wyjścia. Jednak ich układ wskazuje przeciwny kierunek.

Szeryf i opat wymienili krótkie spojrzenia.

- Być może - wyraził opinię stróż prawa i wskazał ku górze - po pełniliśmy pomyłkę. Możliwe jest, że biedny chłopiec wypadł przez balustradę.

- Z tego miejsca u góry? - sir Walter wszedł na górę po stopniach, które skrzypiały pod jego ciężarem.

Bez pośpiechu ruszył wzdłuż ozdobionej przez snycerza balustrady, aż dotarł do miejsca, pod którym leżały zwłoki studenta.

- Ma pan rację, szeryfie - stwierdził, przytakując. - Jonathan mógł spaść z tego miejsca. Potwierdzałyby to palmy krwi.

- A widzi pan - na twarzy Johna Slocombe'a zagościła widoczna ulga.

- Jednakże - sir Walter wyraził swoje wątpliwości - nie bardzo wiem, w jaki sposób Jonathan mógłby wypaść przez balustradę. Jak pan widzi, szeryfie, poręcz sięga mi niemal do wysokości piersi, a Stwórca obdarzył mnie znaczną posturą. Biedny Jonathan był niższy ode mnie o głowę. W jaki więc sposób mógł mu się przydarzyć na tyle nieszczęśliwy wypadek, iż wypadł przez balustradę na głowę?

Po wyrazie twarzy szeryfa dało się poznać, iż znów nakłonił umysł do pracy. Jego szczęki ocierały się o siebie, co nawet było widać. Wziął głęboki oddech, zamierzając udzielić odpowiedzi, lecz w końcu zmienił zamiary.

Mrucząc coś cicho pod nosem, wszedł schodami na górę i stanął obok sir

Waltera, chcąc zamienić z nim kilka słów konspiracyjnym szeptem.

- Dawałem panu jasno do zrozumienia, żeby zostawił pan zwłoki w spokoju, sir. I miałem ku temu swoje powody. Nieszczęsnego studenta spotkał dostatecznie okrutny los, zatem niech pan nie staje na drodze zbawienia jego duszy.

- Cóż chce pan przez to powiedzieć?

- Chcę przez to powiedzieć, sir, że pan i ja bardzo dobrze wiemy, iż młody panicz Jonathan nie mógł wypaść przez balustradę, ale lepiej będzie, jeśli tę wiedzę zachowamy dla siebie. Zdaje pan sobie sprawę - kontynuował swoje wywody szeryf, rzucając spojrzenie na opata Andrew, który stał obok zwłok i modlił się z opuszczoną głową - czego Kościół odmawia tym, którzy poważyli się odrzucić największy dar od Stwórcy.

- Do czego pan zmierza? - sir Walter spojrzał badawczo na zaczerwienioną od alkoholu twarz. - Sugeruje pan, że nieszczęsny Jonathan miałby popełnić samobójstwo?

Wypowiedział te słowa głośniej, niż zamierzał, jednak wydawało się, iż opat Andrew ich nie dosłyszał. Zakonnik ciągle stał w postawie pełnej pokory i odprawiał modły za duszę Jonathana.

- Byłem tego pewien od pierwszej chwili, kiedy wszedłem do biblioteki - odrzekł Slocombe. - Lecz zatrzymałem tę wiedzę dla siebie, chcąc umożliwić młodzieńcowi godny pochówek. Niech pan pomyśli o jego rodzinie, sir, oraz o hańbie i wstydzie, jakie musieliby znosić najbliżsi. Niech pan nie naraża na szwank pamięci pańskiego

uczni, wyciągając na światło dzienne prawdę, którą lepiej byłoby na zawsze ukryć.

Walter Scott spojrział głęboko w oczy człowiekowi, który w hrabstwie był odpowiedzialny za egzekwowanie prawa i pilnowanie porządku. Upłynęła chwila, która Johnowi Slocombe'owi wydawała się niemal wiecznością, zanim na twarzy sir Waltera pojawił się uprzejmy uśmiech.

- Szeryfie - powiedział cicho. - Rozumiem, co chce pan powiedzieć, i doceniam pańską - tu zrobił krótką przerwę - dyskrecję.

Ale Jonathan Milton w żadnym wypadku nie popełnił samobójstwa.

Mogę na to przysiąc w razie potrzeby.

- Skąd bierze się ta pańska niezbita pewność? Przecież on spędzał czas samotnie, nieprawdaż? Prawie nie miał przyjaciół i o ile wiem, nigdy nie spotykał się z żadną dziewczyną. Cóż zatem możemy wiedzieć o sprawach, jakie dzieją się w chorej duszy?

- Dusza Jonathana nie była chora, szeryfie - zaproponował sir

Walter. - Był człowiekiem całkowicie zdrowym na umyśle i bardzo byстрыm. Rzadko miałem do czynienia ze studentami, którzy wypełnialiby powierzone im zadania z większym zapałem i nieskrywaną ochotą. Chce mi pan wmówić, że Jonathan świadomie rzucił się przez balustradę, żeby położyć kres swej egzystencji? Znajdujemy się w bibliotece, szeryfie. Jonathan żył po to, by studiować historię. Nie miał zamiaru za nią umierać.

- W takim razie jak wyjaśni pan to, co się tu wydarzyło? Czyż sam

nie stwierdził pan na początku, że młodzieniec w żadnym wypadku nie mógł spaść ze schodów?

- Bardzo prosto, szeryfie. Fakt, że Jonathan nie rzucił się przez balustradę z własnej woli, nie oznacza wcale, że coś takiego się nie stało.

- Nie bardzo rozumiem...

- Niech pan posłucha, szeryfie - rzekł sir Walter i zmierzył

Slocombe'a lodowatym wzrokiem. - Uważam, iż pan doskonale

rozumie, do czego zmierzam. Wykluczam ewentualność, że mamy do czynienia

z tragicznym wypadkiem, który kosztował życie nieszczęsnego

Jonathana. Nie jestem również w stanie uwierzyć w to, iż sam odebrał sobie życie. Zatem pozostaje tylko jedna możliwość.

- Zabójstwo? - szeryf wypowiedział to potworne słowo tak cicho, że było ledwo słyszalne. - Sądzi pan, iż pański student został zamordowany?

- Logika wyklucza każdy inny wniosek - oznajmił sir Walter, a w jego głosie pobrzmiwała gorycz.

- Jakaż logika? Na razie wysuwa pan wyłącznie przypuszczenia, sir, nieprawdaż?

- Które jednak w moim mniemaniu pozwalają na wysnucie tylko jednej konkluzji - dodał sir Walter i spojrzał w dół na pozbawione życia ciało swego ucznia. - Jonathan Milton zmarł tej nocy nagłą śmiercią. Ktoś zepchnął go przez balustradę, odbierając mu życie.

- To przecież niemożliwe!

- Dlaczegoż nie, szeryfie? Ponieważ przysporzy to panu pracy?

- Z całym szacunkiem, sir, wzbraniam się przed takim

pomówieniem. Po tym jak usłyszałem, co się wydarzyło, pospieszyłem

tu bez chwili zwłoki, by wyjaśnić okoliczności śmierci Jonathana

Miltona. Znam swoje obowiązki.

- W takim razie niech je pan wypełnia, szeryfie. Dla mnie jest

pewne, że popełniono tutaj zbrodnię. Oczekuję więc, iż uczyni pan

wszystko, co w pańskiej mocy, by sprawę wyjaśnić.

-Ale... to przecież niemożliwe. To po prostu niemożliwe, rozumie

pan? Odkąd pełnię urząd szeryfa, w tym hrabstwie nigdy nie doszło do

zabójstwa.

- W takim razie powinien pan mieć pretensje do zabójcy Jona

thana, iż nie zastosował się do tej reguły - odparł kąśliwie sir Walter.

- Ja natomiast nie spocznę, dopóki nie odkryję, co się tutaj rzeczywi

ście wydarzyło. Ktokolwiek ponosi winę za śmierć Jonathana Milto

na, odpokutuje za to.

Scott zrezygnował z szeptania i mówił teraz normalnym głosem,

przyciągając tym samym uwagę opata Andrew. Mnich podniósł wzrok,

a sir Walter odniósł wrażenie, iż w jego twarzy dostrzegł zrozumienie.

- Proszę, sir - rzekł Slocombe, którego głos przybrał teraz niemal

błagalny ton. - Niech pan będzie rozsądny.

- Nigdy nie myślałem bardziej rozsądnie, mój zacny szeryfie -

zapewnił sir Walter.



- Ale co zamierza pan teraz zrobić?

- Wydam polecenie, by sprawę zbadano. I uczyni to ktoś, kto nie lęka się prawdy, tak jak pan.

- Uczyniłem to, co uznawałem za słuszne - bronił się Slocombe. -I wciąż jestem przekonany, iż pan się myli. Nie ma żadnego powodu, by powiadamiać garnizon.

Sir Walter, który stał już plecami do szeryfa, zamierzając zejść na dół, ponownie się obrócił.

- Czyżby? - zapytał ostro. - Czy tego właśnie obawia się pan, szeryfie? Że mógłbym powiadomić garnizon i tutejszą komendę przejmie jakiś Anglik?

Szeryf nie odpowiedział nic, lecz skonsternowane spojrzenie skierowane w ziemię zdradziło go.

Sir Walter westchnął ciężko. Znał ten problem. Brytyjscy oficerowie w garnizonach, do których obowiązków należało utrzymanie publicznego ładu i porządku oraz realizowanie zadań o charakterze policyjnym, posiadali tę szczególną cechę, iż nie wykazywali chęci do współpracy. Arogancja, z jaką traktowali szkockich kolegów, była wręcz sławna. Skoro tylko przejmą sprawę, szeryf w praktyce nie będzie miał nic więcej do powiedzenia.

W czasie kiedy Scott piastował urząd szeryfa Selkirk, sam miał wielokrotnie do czynienia z dowódcami garnizonów. Większość z nich nienawidziła tego, że oddelegowano ich tu, na surową północ, co miejscowa ludność nierzadko odczuwała na własnej skórze.

Powiadomienie garnizonu oznaczało wydanie Kelso na łaskę i niełaskę Anglików.

- Nie musi się pan martwić, szeryfie - oświadczył cichym głosem sir Walter. - Nie zamierzam powiadamiać garnizonu. Sami spróbujemy dociec, co się przydarzyło nieszczęsnemu Jonathanowi.

- Ale jak, sir? Jak zamierza pan to uczynić?

- Kierując się darem przenikliwej obserwacji oraz zdrowym rozsądkiem, szeryfie.

Wyprzedzając Slocombe'a, który z namysłem pocierał dłonią o dłoń, sir Walter zszedł po schodach do opata Andrew, który jak zawsze wydawał się spokojny i pogrążony w swoich myślach nawet w obliczu tego przerażającego wydarzenia.

- Jak słyszę, nie podziela pan teorii szeryfa? - chciał wiedzieć mnich.

- Nie, wielebny opacie - potwierdził sir Walter. - Zbyt wiele jest tu sprzeczności. Zbyt wiele rzeczy, które do siebie nie pasują.

- Taka jest również moja opinia.

- Także twoja opinia, wielebny opacie? - jęknął Slocombe. -

Dlaczegoż więc nie powiedział mi ojciec nic na ten temat.

- Ponieważ nie uchodzi mi podawać w wątpliwość twojego osądu.

Ty, Johnie, jesteś stróżem prawa, nieprawdaż?

- Zgadza się - przyznał bezradnie szeryf i zrobił przy tym minę, która pozwalała domyślać się, że z pewnością poczułby się znacznie lepiej w towarzystwie szklanki pełnej szkockiej whisky.

- A zatem, ojczy, również jesteś przekonany, że biednego

Jonathana ktoś zepchnął z góry? - zapytał sir Walter.

- Mam takie uzasadnione podejrzenie. I to bez względu na fakt, że myśl, iż w tych szacownych murach dopuszczono się mordu z zimną krwią, napęła mnie niepokojem i trwogą.

- Być może jednak nie był to mord - Slocombe podjął jeszcze jedną próbę. - Być może był to tylko nieszczęśliwy wypadek, nieudany żart.

- Rzeczywiście, nieudany - odparł z goryczą sir Walter i skierował spojrzenie w bok, ku makabrycznie wykręconym zwłokom. - Czy wypytywałeś, opacie Andrew, swoich współpracowników?

- Oczywiście. Ale żaden z nich nic nie widział ani nie słyszał. W krytycznej porze wszyscy znajdowali się już w swoich celach.

- Czy są na to świadkowie? - drążył sir Walter i tym samym zasłużył sobie na pełne wyrzutu spojrzenie mnicha.

- Proszę o wybaczenie - podjął kwestię półgłosem. - Nie chcę nikogo podejrzewać. To tylko...

- Wiem - zapewnił opat. - Ma pan poczucie winy, ponieważ Jonathan był na pańskich usługach. Również z pańskiego polecenia znajdował się tutaj, gdy do tego doszło, i z tego powodu czuje się pan współodpowiedzialny za jego śmierć.

- Czy można mi to mieć za złe? - Scott bezradnie rozłożył ręce. - Wczesnym rankiem do drzwi mego domostwa zastukał posłaniec i przyniósł nowinę, że mój student nie żyje. A wszystko, co jest w stanie stwierdzić urzędujący szeryf, to kilka niewiarygodnych

wyjaśnień. Jak zareagowałbyś na moim miejscu, wielebny opacie?

- Podjąłbym próbę wyjaśnienia tego, co się stało - odparł

przełożony zakonnej wspólnoty. -1 nie zważałbym przy tym wcale na stanowisko innych, związanych ze zdarzeniem. Odkrycie prawdy w tym przypadku to absolutny priorytet.

Sir Walter przytaknął wdzięczny za słowa otuchy. W głębi duszy czuł chaos. Znacznie chętniej znalazłby inne wyjaśnienie tego przypadku. Jednak poszlaki pozwalały na wyciągnięcie tylko jednego wniosku. Jonathan zmarł nagłą śmiercią. Ktoś zepchnął go z galerii przez balustradę, innej ewentualności po prostu nie było. Powinnością jego nauczyciela było teraz odgadnięcie, kim był sprawca.

- Czy drzwi biblioteki były zamknięte, kiedy znalazłeś Jonathana, wielebny opacie?

- W istocie - opat skwapliwie udzielił informacji.

- Nie było żadnych śladów, że ktoś włamał się tu siłą?

- Nie, o ile jesteśmy w stanie to ocenić.

- Czy widniały jakieś ślady na posadzce? Wskazówki, na podstawie których można by wyciągnąć wniosek, że poza Jonathanem ktoś jeszcze był w bibliotece?

- Również nie, o ile można to stwierdzić. Wydaje się, że Jonathan był tu zupełnie sam.

- To niesamowite - skomentował szeryf tonem spiskowca. - Kiedy byłem jeszcze młody, dziadek opowiedział mi o podobnym przypadku.

Mordercy nigdy nie wykryto, a sprawa na zawsze pozostała

nierozwiązana.

- Teraz jednak - westchnął sir Walter - chcemy przynajmniej spróbować, prawda? Czy wiesz, wielbny opacie, gdzie Jonathan ostatnio pracował?

- Tam, przy tamtym stole - mnich wskazał na jeden z masywnych stołów z dębowego drewna, które zajmowały środkową część pomieszczenia. - Znaleźliśmy jego przybory do pisania, lecz obok nie leżała żadna księga.

- A zatem musiał odejść od stołu, by odnieść wolumin na swoje miejsce - snuł przypuszczenia sir Walter. - Być może zamierzał zakończyć swoje badania.

- Niewykluczone. Nad czym ostatnio pracował młody panicz?

- Szukał materiałów potrzebnych do nowej powieści, której akcja rozgrywa się w późnym średniowieczu.

- Jednak tam, na górze, nie ma dokumentów, które pochodziłyby z tej właśnie epoki.

Sir Walter uśmiechnął się pobłażliwie.

- Wiesz przecież, wielbny opacie, że Jonathan nie zajmował się wyłącznie poszukiwaniami potrzebnych mi materiałów. Jego zapał do nauk historycznych był ogromny.

- To prawda. Młody panicz często spędzał tu całe noce w poszukiwaniu tajemnic minionych dziejów. Być może więc...

- Tak? - zachęcił go sir Walter.

- Nic - opat pokręcił przecząco głową. - To było tylko

przypuszczenie. Nic ważnego.

- Czy uważasz, wielbny opacie, za możliwe, by zakradł się tutaj złodziej. Ktoś, kto ukrył się w bibliotece i kto zaczął się na Jonathana?

- Raczej nie. Cóż bowiem można by stąd ukraść, mój przyjacielu.

Nie ma tu nic poza kurzem i starymi księgami. W naszych czasach złodzieje i rabusie interesują się bardziej nakarmieniem brzucha i napełnieniem sakiewki.

- To prawda - przytaknął sir Walter. - Czy mimo to byłbyś w stanie, wielbny opacie, sprawdzić, czy czegoś nie ukradziono?

Opat Andrew zwlekał.

- Byłoby to trudne. Znaczna część pism i tomów zgromadzonych w tym archiwum nie została skatalogowana. Wsparcie, jakie otrzymuję od zakonnej wspólnoty, jest, między nami mówiąc, nieco... skąpe. W tych warunkach stwierdzenie, czy coś wykradzono z księgozbioru, byłoby raczej niemożliwe. Zwłaszcza że nie wydaje mi się zbyt prawdopodobne, żeby jakiemuś złodziejowi zależało na starych manuskryptach.

- Mimo to byłbym bardzo wdzięczny za twoje, ojcze, wysiłki - zapewnił sir Walter. - Przyślę, wielbny opacie, Quentina, aby służył wsparciem twoim współbraciom w przeglądaniu księgozbioru. I oczywiście nie omieszkam wesprzeć twojej wspólnoty finansową dotacją.

-Jeśli tak bardzo panu na tym zależy...

- Proszę o to. Odzyskam spokój duszy dopiero wtedy, kiedy

dowiem się, dlaczego Jonathan musiał umrzeć.

- Rozumiem - przytaknął mnich. - Mimo to muszę pana ostrzec, sir Walterze.

- Przed czym?

- Lepiej, żeby niektóre tajemnice pozostały ukryte w mrokach przeszłości - oznajmił zagadkowo opat. - Nie powinno się podejmować prób wyciągnięcia ich na światło dzienne.

Sir Walter spojrział na opata Andrew badawczym wzrokiem.

- Ale nie ta tajemnica - rzekł i odwrócił się, zamierzając wyjść. -

Nie ta tajemnica, mój czcigodny opacie.

- Co zamierza pan teraz uczynić, sir? - zapytał zatroskany Slocombe.

- To proste - odparł zdecydowanym tonem sir Walter. -

Przekonam się, co ma do powiedzenia lekarz.

## POGRANICZE SZKOCJI W

### TYM SAMYM CZASIE

Zimny wiatr smagał wzgórze krainy Highlands.

Niektóre wzniesienia, jakie sięgały aż po horyzont, bez oporu poddały się nieustannemu wpływowi sił natury. Natomiast inne stawiały zawzięty opór przez miliony lat, czego rezultatem były strzeliste, ostre skały formowane nieustrudzenie przez wiatr i deszcz.

Pozółkła trawa była głównym elementem pejzażu; gdzieniegdzie pojawiały się kolorowe plamy wrzосу i janowca, które wyrastały ze stromych wapiennych skał. Szczyty górskich masywów pokrywał śnieg; w kotlinach zalegała mgła", nadając tej krainie wrażenie nietkniętej i dziewiczej. Wąska, połyskująca srebrzyście nitka rzeki wpływała do jeziora o podługowatym kształcie, w którego gładkiej tafli, jak w zwierciadle, odbijał się majestatyczny krajobraz. Pejzaż wieńczyło błękitne niebo, częściowo przesłonięte obłokami.

Wydawało się, że kraina Highlands nie zna pojęcia czasu.

Biały jak śnieg koń z rozpuszczoną grzywą i powiewającym na wietrze ogonem pędził wzdłuż brzegu jeziora. Na jego grzbiecie siedziała młoda białogłowa.

Koń nie miał uprzęży ani siodła. Niewiasta, której jedyną szatą była zgrzebna koszula z lnianego płótna, siedziała na oklep na grzbiecie zwierzęcia i trzymała się kurczowo końskiej grzywy. Choć kopyta rumaka zdawały się unosić ponad ubogą ziemią, amazonka nie



odczuwała nawet najmniejszego strachu. Wiedziała, że nic jej nie grozi i pokładała całkowite zaufanie w silnym zwierzęciu, którego mięśnie wyczuwała pod mokrą od potu sierścią. Biały rumak mknął teraz pod górę łagodnym stokiem, podążając wzdłuż łańcucha wzgórz, które otaczały jezioro.

Białogłowa odrzuciła głowę do tyłu i pozwoliła, żeby wiatr igrał z jej włosami. Napawała się czystym rześkim powietrzem; nie czuła chłodu ani wilgoci szkockiego poranka. Miała wrażenie, że stała się częścią tej krainy.

W końcu rumak zwolnił kroku w galopie i przeszedł do spokojniejszego kłusa. Na końcu wzgórz, tam gdzie uboga i nieurodzajna ziemia wciąż przegrywała uporczywą walkę z siłami deszczu oraz wiatru i gdzie zaczynało się strome urwisko, koń zatrzymał się.

Niewiasta uniosła wzrok, powiodła nim ponad górami i dolinami.

Ziemisty zapach mchu oraz zielny aromat trawy uderzyły ją w nos.

Wsluchiwała się w cichy zaśpiew wiatru, brzmiący niczym bolesne zawodzenie nad losem świata, który dawno przeminął, przesłonięty mgłą wielu stuleci.

Była to kraina Highlands, ziemia jej ojców...

Sen nagle się zakończył.

Wybój na wąskiej, pełnej nierówności drodze sprawił, że karoca podskoczyła, a Mary Egton została wyrwana z niespokojnej drzemki, w którą zapadła w trakcie długiej jazdy. Otworzyła oczy, jednocześnie

mrużąc powieki.

Nie wiedziała, jak długo była w objęciach Morfeusza. Wszystko, co mogła sobie przypomnieć, było snem... sennym widzeniem, które nawiedzało ją raz za razem. Senną wizją o krainie Highlands, o jeziorach i górach. Snem o wolności.

Wspomnienie to jednak szybko przybladło, a powrót do realnego świata okazał się chłodny i nieprzyjemny.

- Dobrze spałaś, milady? - zapytała młoda kobieta, która siedziała naprzeciw niej w powozie. Podobnie jak Mary miała na sobie podszytą aksamitem suknię z jedwabiu z narzuconą na wierzch wełnianą mantylką, która chroniła ją przed chłodem surowej północy. I do tego urzekający kapelusik, spod którego wystawały kosmyki jej ciemnych włosów. Była młodsza od Mary o kilka lat; jak zwykle jej oczy błyszczały dziecięcym optymizmem, wesołością, której Mary nie podzielała, biorąc pod uwagę okoliczności tej podróży.

- Dziękuję, Kitty - Mary zdobyła się na uśmiech, który był znacznie bardziej wymuszony niż uśmiech jej młodej służącej. - Czy przyśniło ci się już kiedyś coś, a ty miałaś nadzieję, że już nigdy z tego snu się nie przebudzisz?

- Zatem to znów był ten sam sen? - zapytała skwapliwie służka, której jedną z podstawowych cech niewątpliwie była ciekawość.

Mary przytaknęła zdawkowo. Swoboda, jaką odczuwała we śnie, wciąż jeszcze była w niej i dodawała jej odrobinę otuchy, nawet jeśli wiedziała, że to tylko sen, a uczucie wolności było wyłącznie iluzją.

Rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej. Karoca wcale nie wiozła Mary ku wolności, lecz ku zniewoleniu. Powóz unosił ją na północ, do dzikiej i surowej krainy Highlands, o której opowiadano najbardziej niewiarygodne rzeczy w czasie przyjęć w jej rodzinnych stronach. O srogich, mroźnych zimach i o mgle, która była tak gęsta, że można był w niej zabłądzić. O nieokrzesanych, niewykształconych ludziach, którzy nie hołdowali dobrym obyczajom, a część których wciąż wzbraniała się przed uznaniem władzy Korony Brytyjskiej. Wolność była dla tych ludzi najważniejsza.

Wszelako Mary nie miała zaznać tam wolności. Powodem, dla którego udawała się do Szkocji, były jej zaślubiny z Malcolmem Ruthvenem, młodym szkockim lordem, właścicielem ziemskim, którego rodzina dorobiła się wielkiego bogactwa. Małżeństwo zostało uzgodnione, przy czym nikt nie zapytał Mary o zdanie. Był to jeden z tych kontraktów, które stały się normą wśród szlacheckich rodzin - niezaprzeczalnie z obustronnymi korzyściami.

Oczywiście Mary wyraziła sprzeciw. Przede wszystkim wysunęła argument, iż nie poślubi żadnego mężczyzny, którego ani nie zna, ani nie kocha. Jednak jej rodzice stanęli na stanowisku, że miłość jest czymś pospolitym, czymś mieszczańskim, uczuciem, którego znaczenie nadmiernie przeceniano. Z finansowego punktu widzenia, a także pod względem towarzyskim, nie mogło im się przytrafić nic lepszego niż sposobność wydania córki za młodego lorda Rutłwena.

Wszak rodzina Mary nie należała do najzamożniejszych rodów

szlacheckich, zatem związek z rodziną Rutłwenów oznaczał awans zarówno materialny, jak i społeczny - były to dwie kwestie, do których rodzice Mary przywiązywali ogromną wagę.

Natomiast Mary była temu przeciwna.

Ze wszystkich sił broniła się przed tym kontraktem, kiedy

Eleonorę Ruthven, matka lorda, przyjechała do Egton, chcąc na własne

oczy ujrzeć przyszłą synową. Mary czuła się jak sztuka żywego

inwentarza, wystawiona na sprzedaż na targu. Zarzucała też rodzicom,

że sprzedają ją za kilka przywilejów. Tym samym znacznie

przekroczyła granice przyzwoitości, lecz transakcja i tak została

zawarta z obopólną korzyścią. Malcolm Ruthven miał otrzymać piękną

i młodą żonę, natomiast rodzina Egton pozbywała się buntowniczej

córki, zanim ta zdołała im jeszcze bardziej zaszkodzić.

Mary nigdy nie była córką, jaką wymarzyli sobie jej rodzice - nie

była jedną z niedoszłych księżniczek, które uwijały się na balach i

towarzyskich przyjęciach i myślały jedynie o tym, by spodobać się

jakiemuś młodemu hrabiemu lub lordowi.

Ona zaś skłaniała się ku innym rzeczom.

Już od najmłodszych lat z większą przyjemnością zajmowała się

książkami niż nowymi sukienkami. Chętniej też oddawała się lekturze

powieści niż bezmyślnemu plotkowaniu o niczym. Jej serce należało

do słowa pisanego, którym nigdy nie mogła się nasycić. W nim

bowiem tkwiła siła, dzięki której mogła uciekać do czasów i światów,

gdzie wyrazy szlachetność i honor wciąż jeszcze miały znaczenie.

Mary nie była w stanie rozstrzygnąć, czy to książki obudziły w niej tęsknotę za romantyzmem i namiętnościami, czy też po prostu znalazła w nich to, czego jej serce zawsze szukało. Od lat jej życzeniem był ślub z mężczyzną, który poślubi ją nie ze względu na jej urodzenie i społeczną pozycję, lecz wyłącznie ze szczerzej i płomiennej miłości do niej.

Jednakże w wyższych sferach nie było miejsca dla tego rodzaju romantyzmu. Dorastała pośród pomówień i intryg, otoczona walkami o władzę i wpływy, jakie rozgrywały się za plecami przeciwników, osaczona politycznymi manewrami, do których zaliczało się również kontraktowe małżeństwo Mary i Malcolma Ruthvena.

Rozczarowana Mary musiała przyznać, iż miłość oraz prawdomówność były rzeczami, które bezpowrotnie należały do przeszłości. Ich ślady znajdowała jedynie na kartach książek, w dziełach epickich i poetyckich, które opowiadały o czasach, jakie dobiegły kresu przed blisko pół tysiącem lat...

Nagle powóz, którym trzęsło przez niemal całą drogę, przestał podskakiwać. Zatrzymali się, a Mary usłyszała, jak stangret zeskakuje z kozła i podchodzi do nich.

- Milady?

Mary odsunęła zasłonkę w oknie i wyjrzała na zewnątrz.

- Tak, Winstonie?

- Prosiła pani, milady, by ją powiadomić, kiedy dojedziemy do

Carter Bar. Właśnie tu dotarliśmy, milady.

- To świetnie. Dziękuję, Winstonie. Wsiądę tutaj.

- Jest pani tego pewna, milady? - stangret, mężczyzna o dość

pospolitym wyglądem i bladej twarzy, która zarumieniła się nieco od

wiatru smagającego mu twarz, miał zatroskaną minę. - Tutejsze drogi nie

są wybrukowane, nie ma też poręczy, której mogłabyś się, milady,

przytrzymać.

- Jestem szlachcianką, Winstonie, nie lukrowaną lalą - nauczyła

go Mary z uśmiechem, szykując się do wyjścia z powozu.

Tym samym przysporzyła biednemu Winstonowi, który służył jej

rodzinie w Egton, pracy. Musiał otworzyć drzwi karocy, rozłożyć

schodki i pomóc swej pani przy wysiadaniu.

- Dziękuję, Winstonie - rzekła Mary i przeprosiła stangreta,

posyłając mu uśmiech. - Udam się na krótki spacer.

- Czy wolno mi będzie towarzyszyć pani, milady?

- To nie będzie konieczne, Winstonie. Potrafię chodzić sama.

-Ale pani matka...

- Mojej matki tu nie ma, Winstonie - odparła Mary stanowczo.

- Wszystkim, o co się troszczy, jest dowiezenie jej towaru w dobrym

i nienaruszonym stanie do zamku Ruthven. Potrafię o to zadbać.

Stangret z konsternacją opuścił wzrok. Jako służący nie przywykł

do tak otwartych rozmów. Mary natychmiast pożałowała, że wprowadziła

go w zakłopotanie.

- Już dobrze - dodała łagodnie. - Zrobię tylko parę kroków dla

rozprostowania nóg. Proszę, pozostań przez ten czas przy powozie.

- Jak sobie życzysz, milady.

Stangret uklonił się i przepuścił ją. Mary, której mantylka i jedwabna suknia niespecjalnie pasowały do tego otoczenia, ruszyła skrajem drogi i powiodła wzrokiem po rozległym krajobrazie, jaki rozciągał się po tamtej stronie wyboistego traktu zbudowanego z kamienia i gliny.

Był to miły pejzaż pełen delikatnie zielonych pagórków i dolin, w których widniały niewielkie miejsciny, łąki, pastwiska i rzeki. Tutejsze domy wznoszono z kamienia, z kominów unosiły się ku niebu wąskie smutki dymu. Na pastwiskach pasły się stada zwierząt. Tu i ówdzie przez chmury przebijały się promienie słońca, malując złociste plamy na pełnym uroku krajobrazie.

Mary była zaskoczona.

Mówiono jej, że widok z Carter Bar na każdym, kto podróżuje do Szkocji, robi wrażenie surowości i dzikości, jakiej należy się spodziewać na północy. Trzydzieści dwa kilometry na południe od tego miejsca około tysiąca siedmiuset lat wcześniej rzymski cesarz Hadrian wznosił *limes*, mur graniczny, który oddzielił leżący na południu świat cywilizowany od barbarzyńskiej północy. Ta opinia jeszcze do dziś ciążyła na Szkocji.

Jednak Mary nie była w stanie dostrzec nawet najmniejszych śladów surowości, dzikości i ubóstwa, o których opowiadano na południu.

Kraina, która rozciągała się przed nią, nie była ani uboga, ani surowa, lecz urodzajna i porośnięta bujną roślinnością. Były tu lasy i zielone łąki, tu i ówdzie widniały ostatnie tereny pól uprawnych. Mary

spodziewała się, że widok, jaki roztacza się z Carter Bar, przerazi ją, jednak o tym nie mogło być mowy. Wręcz przeciwnie. Panorama tego pełnego uroku kraju z jego łagodnymi wzgórzami i dolinami dodała jej nieco otuchy; przez krótki, ledwie zauważalny moment doznała uczucia, że powróciła do domu po długiej nieobecności.

Uczucie to jednak rozplynęło się równie szybko, jak się pojawiło, a Mary nagle uświadomiła sobie, że za chwilę miała porzucić

wszystko, co kiedyś było jej bliskie. Przed sobą miała niepewność i obczy-

zną. Życie z człowiekiem, którego nie kocha, w kraju, którego nie zna.

Dawne przygnębienie znów ją ogarnęło i położyło się ciężkim brzemieniem na jej sercu.

Mary odwróciła się i przygnębiona ruszyła z powrotem w stronę karocy. Jej służka Kitty wolała zostać w powozie. W przeciwieństwie do

Mary byłaby całkowicie ukontentowana, gdyby miała poślubić zamożnego szkockiego lorda i spędzić resztę dni w zamku otoczona zbytkiem i bogactwem. Natomiast dla Mary myśl ta była tak bardzo nie do zniesienia, iż chwilami czuła mdłości. Cóż znaczyły wszystkie te bogactwa, rozmyślała z goryczą, skoro nie towarzyszyły im żadne prawdziwe uczucia?

Winston pomógł jej wsiąść do karocy i odczekał cierpliwie, aż zajmie miejsce. Potem wspiął się na kozioł, zwolnił hamulec i poprowadził dwukonny zaprzęg wąskim traktem, który schodził wąskimi serpentynami ku dolinie.



Jeszcze przez chwilę Mary dręczyła się, wyglądając przez małe okno i podziwiając krajobraz. Widziała zielone łąki i stada owiec, które pasły się na nich - sielankowy obraz, który jednak nie przynosił żadnej pociechy jej strapionej duszy. Poczucie zażyłej bliskości, które pojawiło się na szczycie przełęczy, gdzieś odeszło i nie powracało.

Mary pozostało więc tylko uczynić to, co czyniła w rodzinnym domu w Egton, kiedy doznawała uczucia, że ograniczenia spowodowane jej urodzeniem duszą ją i tłamszą.

Sięgnęła po książkę.

- Nowa książka, milady? - zapytała Kitty, mrugając żartobliwie, kiedy zobaczyła, że Mary sięga po oprawny w skórę wolumin.

Jako jedna z nielicznych służąca знаła skrywaną namiętność swej pani.

Mary przytaknęła.

- Nosi tytuł *Ivanhoe*. Wyszła spod pióra Szkota nazwiskiem Walter Scott.

- Szkot, który posiadał umiejętność pisania, milady? - zachichotała

Kitty, po czym nagle spłonęła rumieńcem i wymamrotała pod nosem: -

Milady, proszę o wybaczenie za moje nieprzemyślane słowa.

Zapomniałam, iż pani przyszły małżonek, lord Ruthven, również jest Szkotem.

-Już dobrze - Mary zdobyła się na uśmiech, bowiem mimo wszystko Kitty zdołała ją odrobinę rozweselić.

- O czym jest mowa w tej książce, milady? - zapytała służka, chcąc

szybko zmienić temat.

- O miłości - odparła zaszępiła Mary. - O prawdziwej miłości,

Kitty, o honorze i wierności. O sprawach, które obawiam się, wyszły już nieco z mody.

- Zatem czy kiedyś były w modzie?

- Wierzę w to. W każdym razie chciałabym w to wierzyć. Sposób, w jaki Scott opisuje te sprawy, słowa, jakie w tym celu wynajduje... -

Mary pokręciła głową z fascynacją. - Nie potrafię sobie wyobrazić, że ktoś potrafi pisać w taki sposób, jeśli sam tego nie przeżył.

- Czy zechcesz, milady, poczytać mi trochę na głos?

-Chętnie.

Mary ucieszyła się z faktu, że jej służąca wykazała zainteresowanie znacznym kunsztem słowa pisanego. Ochoczo przystąpiła do recytowania fragmentu powieści, która wyszła spod pióra Waltera Scotta. Z każdą czytaną na głos linijką rósł jej podziw dla jego sztuki poetyckiej.

Scott pisał o czasach, w których miłość i honor były czymś więcej niż jedynie pustymi słowami. Jego powieść, której akcja rozgrywała się w średniowiecznej Anglii, opowiadała o dumnych rycerzach i szlachetnych damach, o bohaterach, którzy ogarnięci czystą miłością wzdychali do wybranek serca i bronili ich honoru ostrym mieczem... O epoce, która już odeszła w niepamięć i która zapewne nigdy nie powróci zmieciona wiatrem dziejów.

Mary była zauroczona. Scott wiedział, w jaki sposób siłą własnej

poezji wyrazić dokładnie to, co ona odczuwa w głębi swego serca.

Smutek.

Tęsknotę.

Oraz tchnienie nadziei.

Po zapadnięciu zmroku powóz dotarł do Jedburgha, niewielkiej osady położonej o dwadzieścia cztery kilometry na południowy zachód od Galashiels. Ponieważ w całej miejscowości był tylko jeden zajazd, który oferował kwatery na noc, wybór wcale nie był trudny.

Kopyta koni stukały po grubo ciosanej brukowej kostce, dopóki

Winston nie zatrzymał powozu przed starym budynkiem z kamienia.

Kitty wyjrzała przez boczne okienko z dezaprobatą i zmarszczyła nos,

kiedy dostrzegła szarą ścianę, na której wisiał przeżarty rdzą szyld

„Gospoda w Jedburghu”.

- Nie wygląda to na pałac, milady - niepytana wyraziła swoją opinię. - Nietrudno zauważyć, że już nie jesteśmy w Anglii.

- Wszystko mi jedno - odparła Mary skromnie. - W końcu mamy dach na głowę, nieprawdaż? Resztę mego żywota spędzę w zamku. Cóż w porównaniu z tym znaczy jedna noc w oberży?

- Po prawdzie, nie chcesz, pani, jechać do Ruthven, czyż nie tak? -

zapytała Kitty z bezpośredniością, jaka jej nie uchodziła, ale która była wrodzoną cechą jej charakteru.

- Nie - pokręciła przecząco głową. - Gdyby istniała jakaś możliwość uniknięcia tego małżeństwa, skorzystałabym z niej. Lecz jestem, kim jestem, i muszę podporządkować się woli mojej rodziny.

Nawet jeśli...

- ...Milady, nie darzysz, milady, miłością lorda Malcolma? -

dopowiedziała Kitty.

Mary skinęła głową, przytakując.

- Zawsze miałam nadzieję, że moje życie potoczy się inaczej -

wyznała cicho. - Po części jak w tym wierszu, który przeczytałam ci dzisiaj. Łudziłam się, że będzie w nim miłość i namiętność. Że mój los potoczy się inaczej niż losy moich rodziców. Przypuszczenia te były jednak naiwnością z mojej strony.

- Któż to wie, milady? - uśmiechnęła się do niej Kitty. - Czy nie słyszałaś, pani, co opowiada się o tym kraju? Że uprawia się tu jeszcze czary z dawnych czasów?

- Czy to prawda?

- Oczywiście, milady. Lowell, chłopiec stajenny, opowiadał mi o tym. Jego dziadek był Szkotem.

- Ach - stropiła się Mary. - Nawiązałaś znajomość z chłopcem stajennym?

- Nie, ja... -służka zaczerwieniła się. -Chciałam tylko powiedzieć, że być może jeszcze wszystko ułoży się dobrze, milady. Być może Malcolm Ruthven okaże się mężczyzną z twoich marzeń, pani.

-To mało prawdopodobne - Mary pokręciła głową z powątpiewaniem. - Chętnie czytam powieści, Kitty, ale nie jestem do tego stopnia dziecinna, żeby dawać wiarę, iż choćby część z tego, o czym w nich

mowa, spełni się w rzeczywistym świecie. Wiem, czego wymaga ode mnie życie. Od ciebie zaś, Kitty - dodała, kiedy do powozu podszedł Winston, by otworzyć drzwi - wymaga, żebyś spędziła noc w tym zajeździe. Czy to ci się podoba czy nie.

- Nie podoba mi się, milady - odparła Kitty, puszczając oko. - Lecz jestem tylko służką, zatem dostosuję się i...

Resztę tego, co zamierzała powiedzieć, zagłuszył głośny krzyk, który dobiegł z ulicy wraz z odgłosem szybkich kroków stawianych na twardej brukowej kostce.

- Co tam się dzieje? - zapytała Mary.

Bez wahania wyciągnęła swoją rękę ku dłoni, którą podał jej Winston, i wysiadła z karocy akurat w momencie, żeby zobaczyć, jak kilku ludzi ubranych w czerwone, podobne do długich surdutów mundury żołnierzy regimentu Highlands wyciąga siłą z karczmy jakiegoś człowieka.

- Już, wyłaź! Wyjdiesz w końcu z nami, ty parszywy psie?

- Nie, nie chcę! - wydzierał się wyzywany mężczyzna o pokaźnej posturze, który miał na sobie proste, niemal nędzne chłopskie odzienie.

Jego akcent wskazywał, że bez wątplenia jest Szkotem. Powolny sposób mówienia kazał się domyślać, iż wlał w siebie sporo gorzałki.

Czerwień twarzy i nosa w niewielkim stopniu ustępowały karminowi mundurów jego oprawców, którzy pochwycili go i brutalnie wywlekali na ulicę.

- Nauczmy cię, że nie należy znieważać królewskiego imienia,

ty przekłety buntowniku! - Dowódca oddziału, którego pagony

wskazywały stopień kaprała, uniósł karabin i uderzył chłopą kolbą w bok. Podchmielony Szkot jęknął głośno, zgiął się w pół, a potem runął jak długi na zimne kamienie.

Podoficer oraz podlegli mu żołdacy roześmiali się grubiańsko i zaczęli okładać kolbami i kopać buciorami leżącego na ziemi nieszczęśnika. Kilku mężczyzn, którzy wyszli z gospody za żołdakami, stało teraz na skraju traktu i przyglądało się okrutnemu biciu. Jednak żaden z nich nie odważył się zaprotestować przeciwko brutalności żołnierzy, którzy jawnie wykazywali ochotę skatowania bezbronnego chłopą, chcąc tym samym ustanowić krwawy przykład.

Mary z przerażeniem zobaczyła, jak leżący na ziemi człowiek został uderzony kolbą w twarz. Jego nos został złamany z potwornym chrzęstem. Jaskrawoczerwona krew trysnęła na bruk.

Mary Egton odwróciła się z odrazą. Narastał w niej protest przeciw temu, jak obchodzono się z tym człowiekiem. W spontanicznym porywie zdobyła się na odważne wystąpienie.

- Przestańcie! - nakazała donośnym i stanowczym głosem.

Jednak żołnierze nie posłuchali jej i dalej okładali skatowanego już chłopą.

Mary już zamierzała podbiec, chcąc przyjść z pomocą nieszczęśnikowi, lecz Winston, który wciąż trzymał ją za rękę, powstrzymał ją.

- Nie, milady - ostrzegł stangret. - Niech pani tego nie robi. Proszę

sobie uświadomić, iż jesteśmy w obcej części kraju i nie wiemy, jak...

Mary wyrwała się jednak energicznym ruchem. Obca czy nie, nie miała zamiaru przyglądać się biernie, jak ten biedny człowiek jest katowany na śmierć. Nikt nie zasługiwał na takie traktowanie, bez względu na przestępstwo, jakiego się dopuścił.

-Przestańcie! - zawołała ponownie i zanim Winston lub ktoś inny zdążył cokolwiek zrobić, weszła w krąg umundurowanych żołdaków, którzy kopali leżącego na ziemi nieszczęśnika. Zdumieni żołnierze przerwali okrutną kaźń.

- Kto tu wydaje rozkazy? - zapytała energicznie Mary.

- Ja, milady! - młody kapral zameldował się natychmiast.

Po jego dialekcie Mary mogła rozpoznać, iż on również jest Szkotem, Szkotem, który publicznie katował swego rodaka.

- Cóż uczynił ten człowiek, że zasłużył na takie traktowanie?

- chciała wiedzieć Mary.

-Proszę o wybaczenie, milady, lecz nie sędzę, by mogło to panią obchodzić. Proszę odejść na bok, żebyśmy mogli wypełnić swój obowiązek.

-Wasz obowiązek, kapralu? - Mary zmierzyła podoficera regimentu Highlands wzrokiem od stóp do głów. - Uważa pan za wasz obowiązek katowanie bezbronno, powalonego na ziemię człowieka? Muszę stwierdzić, kapralu, iż fakt, że mamy takich obowiązkowych żołnierzy, budzi we mnie radość. Wynika z tego, że dama nie musi obawiać się o swoje bezpieczeństwo, przynajmniej tak długo, jak długo nie będzie

leżeć na ziemi.

Kilkoro gapiów roześmiało się donośnie. Natomiast twarz kaprała przybrała kolor jego munduru.

- Może pani obrażać mnie do woli, milady - odparł drżącym głosem. - Lecz nie powstrzyma mnie pani przed wymierzeniem kary temu zdrajcy.

- On jest zdrajcą? Cóż takiego uczynił?

- Wyraził się w nieprzychylny sposób o królewskiej dynastii - zabrzmiała wzburzona odpowiedź.

-1 to od razu ma czynić z niego zdrajcę? - Mary uniosła brwi. - Jak w takim razie osądzić kaprała, który w tak bestialski sposób traktuje swych rodaków? Przecież jest pan Szkotem, kapralu, nieprawdaż?

-Naturalnie, milady, ale...

Kilku mężczyzn, którzy stali przed gospodą, znów się roześmiało.

Dwóch z nich klaskało nawet z zadowolenia.

- Jeśli ten człowiek popełnił wykroczenie przeciw prawu, to go aresztujcie i wytoczcie mu sprawiedliwy proces - pouczyła Mary pod oficera. - Lecz jeśli nie dopuścił się złamania prawa, a pan mimo to zezwala na tę kaźń, ponieważ pan i pańscy kompani nie macie nic lepszego do roboty, to niech pan zostawi tego nieboraka w spokoju, kapralu. Czy mnie pan zrozumiał?

Trzęsąc się z gniewu, podoficer stał przed nią, zaciskając pięści w bezsilnej wściekłości. Zdawał sobie w pełni sprawę, iż nie może niczego zrobić. Młoda kobieta, która na oczach wszystkich wystawiła



go na pośmiewisko, bez cienia wątpliwości pochodziła ze szlachty, ponadto była Brytyjką. W oczach kaprała były to dwa wystarczające powody, żeby z nią nie zadzierać.

- Zamelduję to - oświadczył, zgrzytając zębami.

- Niech pan to uczyni - odparła zgryźliwie Mary. - Nie mogę się wprost doczekać chwili, kiedy wypiję filiżankę herbaty z dowódcą pańskiego garnizonu.

Kapral stał jeszcze przez moment. Potem odwrócił się czerwony ze wściekłości i polecił swoim ludziom, by poszli za nim. Żołnierze odmaszerowali, czemu towarzyszyły owacje oraz pogardliwe okrzyki grupy gapiów.

Mary nie raczyła nawet spojrzeć za nimi, lecz pochyliła się nad mężczyzną, który zwijał się z bólu, leżąc na ziemi. Jego nos był przekrzywiony, a twarz ubrudzona krwią. Na czole widniała rana spowodowana przecięciem skóry.

-Wszystko w porządku - rzekła do niego uspokajająco, jednocześnie wyciągając z kieszeni płaszcza jedwabną chusteczkę. - Już sobie poszli. Nie musi się pan więcej bać.

- Niech Bóg panią pobłogosławi, milady - wydusił z siebie skatowany chłop, którego znów chwyciły bóle. - Niech panią pobłogosławi...

-Już dobrze - Mary zbyła podziękowania niedbałym gestem i starła krew z twarzy mężczyzny.

Teraz, gdy ochłonęła, nie była w stanie stwierdzić, dlaczego

wmieszała się w te zdarzenia z taką determinacją. Czy kierowało nią współczucie? Czy może ogarnęło ją wzburzenie na widok tak bestialsko traktowanego człowieka?

- Ma złamany nos - powiedziała Mary w stronę grupy ciekawskich, którzy wciąż stali na skraju traktu i nie przestawali się gapić. - Ktoś powinien sprowadzić lekarza.

- Lekarza? - zapytał naiwnie młody mężczyzna o włosach rudych jak ogień. - Tutaj nie ma lekarza, milady. Najbliższy doktor praktykuje w Hawick, na dodatek jest Anglikiem.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

Młody parobek spojrział na nią, robiąc wielkie oczy.

- Oznacza to, że nie musimy go sprowadzać, ponieważ i tak by tu nie przyjechał - wyjaśnił, wzruszając ramionami. - Poza tym roczne zarobki nie wystarczyłyby, żeby mu zapłacić.

- Rozumiem - Mary zagryzła wargi. - W takim razie przenieście go do gospody i połóżcie na stole. Spróbuję go jakoś opatrzyć.

Młody mężczyzna i jego towarzysze spojrzeli po sobie bezradnie.

Najwidoczniej nie bardzo wiedzieli, co mają zrobić.

- No, ruszajcie się. Na co czekacie? - odezwał się stary Szkot, który również stał wśród gapiów i pykał fajkę, z której unosiły się małe obłoczki dymu, przebijając się przez wieczorną mgłę. - Róbcie to, co poleciła wam milady, i zanieście biednego Allana do izby.

Młodzi mężczyźni popatrzyli na siebie, jak gdyby chcieli nabrać odwagi. W końcu ruszyli z miejsca i wzięli na ręce rannego, który

jęczał z bólu. Potem zanieśli go do gospody.

- Dziękuję - Mary zwróciła się do starego Szkota, który wciąż pykał fajkę.

- Hm - odezwał się lakonicznie starzec, którego ogorzała twarz przypominała starą skórę, a broda tworzyła biały wieniec ciągnący się od ucha do ucha.

- Nieźle się pani spisała, dziecino - dodał z uznaniem.

- Dziecino? - wtrącił obruszony Winston, który skonsternowany uczestniczył w całym zajściu, a teraz był zajęty rozładowywaniem bagaży obu dam. - Masz do czynienia z lady Marybeth Egton. -

Pouczył starego Szkota. - Jeśli już musisz się odzywać, to z łaski swojej czyn to w sposób, jaki odpowiada jej pozycji i pochodzeniu...

- Dosyc, Winstonie - Mary weszła w słowo stangretowi.

-Ależ, milady, on...

- Dosyc - powtórzyła Mary ze stanowczością, a Winston zaniemówił.

Gderając, znów zajął się bagażami, wziął w ręce dwa drewniane kufry i zaniósł je do gospody.

- Nieźle się spisałaś - powtórzył raz jeszcze stary Szkot, a uśmiech, jakim obdarzył Mary, był niczym nikły promyk światła w tym ponurym i mrocznym dniu.

Później siedzieli w izbie karczmy, przy stole odsuniętym nieco od pozostałych i przykrytym lnianym obrusem.

Sala dla gości gospody w Jedburghu nie różniła się niczym od

innych zajazdów i tawern, w których Mary i jej mała świta spędzali ostatnie noce. Było to dość przestronne pomieszczenie, którego ściany wzniesiono z dużych kamieni; na murach spoczywał niski strop z nieco już zbutwiałych belek. Bufet był tak naprawdę grubą deską ułożoną na ustawionych w szeregu starych beczkach po piwie ale. Stoły i krzesła wykonano z grubo ciosanej dębiny. W otwartym kominku trzaskał ogień, wypierając chłód wieczora z karczmy. Dalej z tyłu biegły drewniane schody, które prowadziły na piętro zajazdu, gdzie znajdowały się izby dla gości.

Mary zatroszczyła się najpierw o skatowanego mężczyznę.

Opatrzyła przeciętą skórę na czole, jak tylko umiała, i poleciła zanieść go do domu, żeby mógł spokojnie leżeć. Potem Winston zamówił jadło u karczmarza, a po chwili na ich stole pojawił się obfity posiłek, na który złożyło się piwo ale, ser, chleb oraz haggis, duszone baranie podroby. Po Kitty i Winstonie było widać, iż szkocka kuchnia wyraźnie im nie smakuje, natomiast Mary nawet się w niej rozsmakowała. Być może przyczyną była jej wrodzona niechęć do wszystkiego, co sztuczne, przesadzone. Stąd brała się jej skłonność do prostej kuchni - mocno doprawione baranie żołądki smakowały jej znacznie bardziej niż kuropatwy i bażanty, które serwowano na nudnych przyjęciach.

Jej uwadze nie uszły spojrzenia, jakie w ich kierunku rzucali obecni w gospodzie mężczyźni i kobiety. Mary nigdy jeszcze nie spotkała się z tego rodzaju spojrzeniami. Wkrótce jednak zrozumiała, co one oznaczały.

Głód.

Ludzie, którzy siedzieli przy sąsiednich stołach, byli biedni jak myszy kościelne. Miska z haggisem była zapewne czymś więcej, niż oni oraz ich rodziny dostawały do zjedzenia przez cały miesiąc. Kiedy Winston poczynił nieuprzejmą uwagę, że Szkoci nie bardzo wiedzą, jak warzy się prawdziwe piwo ale, Mary natychmiast przywołała go do porządku. Nie bardzo wiedziała, na czym to polegało, ale coś w jej duszy instynktownie stanęło po stronie tych ludzi zamieszkujących obcą dla niej krainę - coś, co tkwiło w niej głęboko i czego źródeł nie potrafiła nazwać.

Siedzieli więc w milczeniu przy stole ustawionym nieopodal kominka, który emitował rozgrzewające ciepło. Ani Kitty, ani Winston nie odważyli się odezwać choćby słowem. Stangret dlatego, że jak na jego gust zebrał już tego dnia wystarczająco dużo połajanek, natomiast młoda służąca z tej przyczyny, iż mimo najlepszych chęci nie rozumiała zachowania swej pani.

Mary właśnie zamierzała oznajmić, iż udaje się na górę na nocny spoczynek, kiedy jeden z gości wstał od swego stołu i przeszedł przez izbę ciężkim krokiem. Był to stary brodaty Szkot, który rozmawiał z Mary przed gospodą. Fajka wciąż sterczała z kącika jego ust. Idąc, podpierał się sękatym kosturem, którego gałkę ozdabiała niezwykle kunsztowna snycerka.

- Czy wolno mi będzie dosiąść się, milady? - zapytał głosem niewyraźnym od nadmiaru wypitego piwa ale.

- Nie - odparł oschle Winston i podniósł się z krzesła. - Milady nie życzy...

- Oczywiście, że wolno panu - przerwała mu Mary z uśmiechem i wskazała na krzesło przy końcu długiego stołu.

- Ależ milady! - gorączkował się Winston. - To tylko prosty chłop! Niczego nie zgubił przy twoim, pani, stole!

- Podobnie zresztą jak prosty stangret - odparła ze spokojem Mary.

- Tak to bywa podczas podróży.

- Jest pani w podróży? - zapytał stary Szkot, siadając. - Zmierza pani na północ?

- Nic cię to nie obchodzi - wtrącił grubiańsko Winston. - Milady nie będzie...

Karcący wzrok Mary sprawił, że zamilkł w pół słowa. Stangret, nadąsany, znów zajął miejsce przy stole i wyglądał przy tym, jakby zmuszono go do wypicia jeszcze jednego dzbana znieawidzonego szkockiego piwa.

- Tak, zmierzamy na północ - Mary udzieliła uprzejmie informacji staremu Szkotowi, który wydał się jej na swój sposób bliski, nie miał jakby już kiedyś go spotkała. A przecież nigdy w swoim życiu nie przekraczała granicy na przełęczy Carter Bar. Było to raczej wrażenie, przecucie, które tkwiło w głębi jej duszy.

- To pani pierwsza podróż do Szkocji?

Mary przytaknęła.

- I podoba się tu pani?

- Nie wiem - Mary uśmiechnęła się zmieszana. - Przyjechałam

dopiero dzisiaj. To zbyt wcześnie, by wyrobić sobie zdanie.

- W takim razie różni się pani od swych rodaków - stary Szkot

wyraził pogląd z krzywym uśmiechem. - Większość Anglików, którzy

do nas przyjeżdżają, już od pierwszego dnia wie, że nie podoba im się

tutaj. Kraj jest surowy, pogoda niesprzyjająca, a piwo nie smakuje tak

jak w domu.

- Spotkał się pan z czymś takim? - postawiła pytanie Mary przy

pełnym wyrzutu spojrzeniu Winstona.

- A jakże, milady. Pani jednakowoż jest inna, bez wątpienia czują

to moje stare kości.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Starzec pociągnął z fajki, pyknął ostatni kłęb dymu w powietrze

przesycone zapachem piwa ale i zimnego potu. Towarzyszył temu

młodzieńczy uśmiech, jaki pojawił się na jego obliczu.

- Jestem już stary, milady - podjął rozmowę. - Przeżyłem już

siedemdziesiąt sześć przeklętych zim, co w tej okolicy jest liczbą

niespotykaną. Przyszedłem na świat w tym samym roku, w którym ten

przeklęty rzeźnik Cumberland rozprawił się z nami pod Culloden. Od

tamtej pory widziałem wielu Anglików, którzy tu przyjeżdżali i stąd

wyjeżdżali. Dla większości z nich nasz piękny kraj wciąż nie jest

niczym więcej niż miejscem, które można złupić, z którego można

wydusić ostatniego przeklętego pensa. Ja jednak wyczuwam, iż pani

jest ulepiona z innej gliny.

- Nie łudź się - odparła Mary. - Jestem szlachcianką tak jak ci inni

Anglicy, o których mówisz.

- Lecz pani nie postrzega nas wyłącznie jako barbarzyńców,

których koniecznie trzeba cywilizować - dodał stary Szkot i spojrzał na

nią znaczącym wzrokiem. - Pani patrzy na nas jak na ludzi. Gdyby było

inaczej, wcale by się pani nie wmieszała w bójkę, kiedy ci nikczemni

zdrajcy napadli biednego Allana Buchanana.

- Uczyniłam jedynie to, co było moim obowiązkiem - odparła

skromnie Mary.

- Uczyniła pani więcej niż tylko to. Wykazała pani wielką odwagę

i stanęła po naszej stronie. Ci młodzieńcy, tam - wskazał na sąsiednie

stoły, przy których siedzieli młodzi Szkoci nieustannie rzucający

ukradkowe spojrzenia - nigdy pani tego nie zapomną.

- Już dobrze. To nie było nic szczególnego.

- Być może dla pani nie, milady, ale dla nas z całą pewnością. Gdy

należy się do narodu, który jest gnębiony przez Brytyjczyków oraz land-

lordów i który jest wyzyskiwany i wypędzany z własnej ziemi tylko po

to, by inni mogli osiągać jeszcze większe zyski, wtedy dopiero wie się,

jak cenić gesty przyjaźni.

- Mówi pan o czystkach ziemskich, o *clearances*, prawda? -

upewniła się Mary.

Słyszała o brutalnych przesiedleniach, które nakazywali

właściciele ziemscy, w celu zmiany charakteru gospodarki rolnej w

regionie Highlands. W miejsce dotychczasowej uprawy gruntów



ornych, która

przynosiła skromne dochody, gospodarczą przyszłością Szkocji miała

stać się hodowla owiec. Jednak w tym celu konieczne było

przesiedlenie ludności od pokoleń zamieszkującej szkockie wyżyny na

tereny przybrzeżne. Szlachta z południa uznawała te działania za

konieczne, jeśli północ Królestwa koniec końców miała zostać

regionem cywilizowanym i dobrze prosperującym. Z perspektywy

tutejszej ludności sprawy miały się zupełnie inaczej...

- To haniebne - oznajmił stary Szkot. - Przez całe pokolenia nasi

ojcowie walczyli o Szkocję wolną od tych przeklętych Anglików, a teraz

jesteśmy przepędzani z ziemi, którą zamieszkujemy od setek lat.

- Przykro mi - rzekła Mary, a jej słowa zabrzmiały szczerze.

Chociaż na pierwszy rzut oka nic nie łączyło jej z tymi ludźmi,

w osobliwy sposób czuła się im bliska. Być może dlatego, że dzieliła

wspólny z nimi los - również Mary miała odczucie, że została

wypędzona z własnej ojczyzny i będzie musiała spędzić resztę swych

dni w miejscu, które jest jej obce i w którym nie chce żyć. Być może,

pomyślała, łączyło ją z tymi ludźmi więcej, niż do tej pory sobie

uświadamiała.

- Pięćset lat - mruknął pod nosem stary Szkot. - Pięćset

przeklętych lat. Wiedziała pani o tym?

- O czym mówisz?

- Był rok 1314, kiedy Robert Bruce stanął przeciw Anglikom na

polu bitewnym pod Bannockburn. Zjednoczone klany spuściły

wówczas Brytyjczykom sromotne lanie, a Robert został królem wolnej Szkocji - dodał starzec tajemniczym szeptem. - Przed ponad pięciuset laty.

- Tego nie wiedziałam - wyznała Mary. - Zresztą w ogóle niewiele wiem o krainie Highlands. Jednak podejmę kroki, by to zmienić.

- Słusznie, niech pani tak zrobi, milady - powiedział starzec i pochylił się ku niej tak blisko, że poczuła intensywny zapach jego skórzanej kamizelki oraz oddech, który wionął tabaką i piwem. -

Znajomość przeszłości zawsze przynosi pożytek. Nigdy nie wolno o niej zapominać. Nigdy, słyszy pani?

-

Z pewnością nie należy - zapewniła Mary nieco przestraszona.

Rysy starego Szkota przybrały zmieniony wyraz, nie emanowały z nich już wcześniejsza dobroć i mądrość, lecz żarliwy fanatyzm.

W jego spojrzeniu, przed chwilą jeszcze tak łagodnym, teraz *zdawał się* płonąć dziki ogień.

- Popełniliśmy błąd i zapomnieliśmy o przeszłości - wyszeptał starzec wprost w jej twarz, a jego głos przybrał spiskowy ton. - Zdradziliśmy tradycję naszych przodków i zostaliśmy za to surowo ukarani.

Sam Robert był tym, który uczynił pierwszy krok. To on zerwał z tradycją i popełnił błąd, od którego zaczęło się całe zło.

-Jaki błąd? - zapytała ze zdziwieniem Mary. - O czym mówisz?

- Mówię o mieczu króla - oświadczył tajemniczo stary Szkot.

- O mieczu, który pozostał na bitewnym polu pod Bannockburn. Miecz

przyczynił się do zwycięstwa, lecz Robert nie darzył go odpowiednią  
czcią. Zerwał z tradycją, zwrócił się ku innym zwyczajom i obrzędom.

To był początek końca.

- Jeśli masz na myśli... - wstrząśnięta Mary rozejrzała się dookoła.

Było oczywiste, że starzec wypił stanowczo za dużo i że alkohol  
uderzył mu do głowy. Po spojrzeniach Kitty i Winstona zorientowała  
się, że oboje nie przywiązywali nawet najmniejszej wagi do słów  
starca. Mary natomiast czuła się nimi poruszona, chociaż nie była w  
stanie stwierdzić, co wywołało jej uczucia.

Być może wiązało się to z osobą starca, który wydawał się jej tak  
obcy i jednocześnie tak znajomy. Być może przyczyna leżała także w  
wypowiedzianych przez niego słowach, chociaż Mary nie była w stanie  
dostrzec w nich żadnego ładu.

- Miecz został utracony - wymamrotał starzec. - A wraz z nim  
nasza wolność.

-W porządku, starcze - odezwał się karczmarz, który podszedł, by  
posprzątać ze stołu. - Już dostatecznie długo naprzykrzałeś się milady.  
Nadeszła pora, byś poszedł do domu. Już dochodzi godzina zamknięcia,  
ja zaś nie chcę mieć dziś więcej kłopotów z czerwonymi surdutami.

- Już sobie idę - zapewnił starzec. - Niech mi pani pozwoli,  
milady, raz jeszcze spojrzeć sobie w oczy. Dostrzegam w nich coś,  
czego od bardzo dawna nie widziałem.

- Cóż takiego? - zapytała Mary nieco rozbawiona.

- Dobroć - odparł poważnie starzec. - Odwagę i prawdomówność.

Cnoty, które uważałem za utracone. To cudowne móc znowu je zobaczyć. Cieszę się, że panią spotkałem, milady.

Przez chwilę Mary była przekonana, że w oczach starca zaszklily się łzy. Potem jednak Szkot podniósł się i ruszył do wyjścia. Opuścił gospodę wraz z innymi gośćmi, których karczmarz pozbył się, łagodnie zmuszając do opuszczenia izby.

Mary spoglądała za nimi zdumiona. Ostatnie słowa wypowiedziane przez starego Szkota kołatały w jej głowie.

*Dobroć, odwagę i prawdomówność. Cnoty, które uważałem za utracone. .*

Stary człowiek powiedział dokładnie to, co czuła. Ujął w słowa jej najgłębsze przemyślenia, jakby potrafił zajrzeć na samo dno jej duszy.

Jak gdyby znał ją od lat. Jak gdyby znał jej skryte marzenia oraz tęsknoty i podzielał je...

- Osobliwy dziwak, jeśli chce pani poznać moje zdanie, milady - rzekł Winston.

- Sama nie wiem - dodała Kity, wzruszając ramionami. - Wydał mi się całkiem sympatyczny.

- To było naprawdę dziwne - wyznała Mary. - Wiem, że zabrzmiało to niedorzecznie, ale mam wrażenie, iż znam tego człowieka.

- Nie może być, milady - Winston pokręcił głową z powątpiewaniem. - Taki ubogi dziad jak on z pewnością nigdy jeszcze nie opuścił swojej wioski. Ponadto nigdy przedtem tu nie byłaś, milady.

- Nie o to mi chodzi. To coś innego. Poczucie pewnej bliskości,

jaką wcześniej rzadko...

Mary przerwała.

Nie mogła odkrywać najgłębszych sekretów własnej duszy przed służącymi, nawet jeśli należeli do grona zaufanych ludzi. Nie umiała sama wytłumaczyć tego, co zaszło między nią a starym mieszkańcem pogranicza. Ale było oczywiste, że jego słowa poruszyły ją do głębi.

Żałoba starca po dawnej Szkocji, która została utracona na zawsze, poruszyła ją tak bardzo, jak gdyby ona sama utraciła coś ważnego.

Epoka romantyzmu i prawdomówności...

Ta myśl nie opuszczała Mary.

Później zaś, kiedy leżała w łóżku w swoim pokoju pod ciężką pierzyną wypełnioną puchem, przeznaczoną wyłącznie dla wysoko urodzonych gości, zastanawiała się, co się wtedy wydarzyło.

Wtedy, przed pięciuset laty...

Następnego ranka wyruszyli w drogę wcześniej. O brzasku Winston zaprzął konie. Kiedy Kitty pomagała swej pani w porannej toalecie i ubieraniu, stangret załadował kufry na szeroki bagażnik zamontowany z tyłu powozu.

W izbie karczmy, w której wciąż jeszcze unosił się zapach potu i piwa ale, niewielka grupka podróżnych, jaką tworzyli, spożyła skromne, lecz pożywne śniadanie złożone z kleistej zbożowej polewki.

Winston chciał zaprotestować, że angielska lady spodziewała się czegoś lepszego, jednak Mary powstrzymała go.

Nie chciała wyjść na osobę nieuprzejmą. Wieczorne spotkanie ze

starym Szkotem wywarło na niej głębokie wrażenie, podskórnie czuła dumę i historyczną świadomość, jakie wypełniały tych prostych ludzi.

Oni także na poranny posiłek nie otrzymali nic poza zbożową polewką, zatem Mary również zamierzała zadowolić się tą strawą. Odczuwała osobliwą sympatię do mieszkańców tej krainy. Sympatię, której źródła tak naprawdę nie była w stanie wyjaśnić.

W nocy znów miała sen. I znów widziała młodą kobietę na śnieżnobiałym rumaku pędzącą przez krainę Highlands - szkocką wyżynę, którą Mary знаła wyłącznie z obrazów i która w jej snach wydawała się tak realna, jak gdyby sama już kiedyś tam była. Później Mary była w stanie przypomnieć sobie tylko jakieś niewyraźne wrażenia i odległe sceny. Zamek, z którego wieży spoglądała młoda kobieta. Miecz, który sterczał pośrodku bitewnego pola.

Musiało to mieć jakiś związek ze słowami starego Szkota, które prześladowały Mary aż do chwili, gdy spłynął na nią sen.

Po śniadaniu podróżni opuścili gospodę w Jedburghu. Słońce, które zabarwiło niebieski firmament różowym kolorem, wzeszło już nad surowe, kryte strzechą domy.

- Poranna zorza - skomentował osowiale Winston, gdy pomagał damom wsiąść do karocy. - Będzie padało, milady. Nie zapowiada się na to, żeby ten kraj zgotował pani ciepłe przyjęcie.

- Deszcz pada także w naszych rodzinnych stronach - odparła Mary, wzruszając ramionami. - Nie rozumiem twojej niechęci.

- Proszę o wybaczenie, milady. To chyba ma związek z tą okolicą.

Jest taka pusta i ponura, a jej jedynymi mieszkańcami są niewykształceni chłopci.

Mary, która zamierzała właśnie wsiąść do powozu, zatrzymała się na stopniu schodków i posłała słudze karcące spojrzenie.

- Jak na woźnicę masz o sobie bardzo wysokie mniemanie, mój dobry Winstonie.

- Proszę o wybaczenie, milady. Nie chciałem, by moje słowa zabrzmiały arogancko - przeprosił sługa, lecz wyraz wyniosłości na jego twarzy przeczył intencji przeprosin.

Mary weszła do powozu i usiadła. Nie mogła mieć za złe Szkotom, że nie lubili Anglików. Nawet angielska czeladź zdawała się spoglądać z góry na mieszkańców tej krainy i uważała ich za nieokrzesanych prostaków.

Jednak Mary była innego zdania. Dzięki przeczytanym powieściom Waltera Scotta miała odmienne przekonanie o krainie położonej po drugiej stronie granicy. To co w oczach innych uchodziło za ponury kraj, w którym próżno by szukać cywilizacji i dobrych obyczajów, dla niej było jednym z nielicznych miejsc, gdzie takie pojęcia jak honor i szlachectwo jeszcze nie wymarły.

W opinii większości młodych arystokratów w jej wieku tradycja była wyłącznie pustym słowem, terminem, za pomocą którego usiłowali ugruntowywać swoje bogactwo, podczas gdy wielu bliźnich przymierało głodem. Tu, na północy, słowo to ciągle coś znaczyło. Tu ludzie żyli przeszłością i byli z tego dumni. W oczach starca Mary

widziała tę dumę wyraźnie.

Gdy karoca ruszała z miejsca, a Kitty nie przestawała biadolić, że na niewygodnym łożu źle spała i teraz męczy ją ból pleców, myśli Mary wciąż krążyły wokół słów tego osobliwego starca.

Cóż miał na myśli, gdy mówił o zdradzie? Jakie pradawne tradycje zostały porzucone na polu bitwy pod Bannockburn? Szkot sprawiał wrażenie skrajnie rozgoryczonego, mimo płaczącego się od nadmiaru piwa ale języka. Mary miała przeczucie, że jej przyszła ojczyzna była krainą pełną zagadek i sprzeczności.

Pogrążona w myślach wyjrzała przez boczne okno powozu.

Zobaczyła mijane domostwa Jedburgha, sklepy i kramy miejscowych handlarzy oraz rzemieślnicze warsztaty. Po gościńcu biegało kilka kur oraz jeden prosiak, ale przerażone zwierzęta rozpierzchły się na boki, kiedy nadjechał powóz.

O tak wczesnej porze na gościńcu nie było niemal nikogo. Tylko dwie kobiety ciągnęły za sobą wózki, zmierzając na targ. Wkrótce karoca dotarła na rynek - była to otwarta przestrzeń, tworząca kwadrat o bokach długości około czterdziestu pięciu metrów, wokół którego usytuowane były dwupiętrowe domostwa, wśród nich kantor handlowy i siedziba miejscowego szeryfa.

Przy wschodnim narożniku placu kilka przekupek ustawiło już swoje kramy oraz budy i oferowało skromne płody, jakie ich mężowie z trudem wydzielali tej ziemi. Mary jednak nie przyglądała się temu. Jej uwagę całkowicie pochłonął szafot wzniesiony pośrodku placu.



Był to podest wykonany z grubo ciosanego drewna, na którym wznosiły się liczne szubienice. Mary ze zgrozą dostrzegła powieszonych pięciu mężczyzn.

Egzekucję wykonano na początku dnia. Żołnierze, których czerwone surduty stanowiły jedyną barwną plamę na tle ponurej szarzyzny domów, pełnili wartę przy szafocie.

- Jakie to potworne! - wykrzyknęła Kitty i zakryła twarz dłońmi.

Choć Mary poczuła odrazę, a widok pięciu skazańców wiszących nieruchomo i bez życia na sznurach szubienic przyprawiał ją mdłości, nie mogła, nie była w stanie oderwać od nich oczu. Ku swemu przerażeniu stwierdziła, iż zna jednego z wisielców.

Ponieważ zrezygnowano z założenia worków na głowy skazańców, mogła dostrzec twarze powieszonych, gdy przejeżdżali obok nich. W jednym z nich Mary rozpoznała starego Szkota, z którym rozmawiała w gospodzie w Jedburghu i który opowiadał jej o królu Robercie i o bitwie pod Bannockburn oraz o tym, jak zdradzono tradycję szkockiego narodu.

Przywołała w pamięci ostatnie słowa, które wypowiedział.

Mówiąc je, pożegnał się z nią. Zdawał się przeczuwać, że nie przeżyje następnego poranka.

Mary zamknęła oczy, odczuwała jednocześnie smutek oraz gniew.

Rozmawiała z tym starcem, patrzyła mu w oczy. Wiedziała, że nie był złym człowiekiem, nie był przestępcą, który zasłużył na powieszenie na rynku i wystawienie na widok publiczny. W tym kraju, który Mary

zaczynała stopniowo poznawać, najwyraźniej obowiązywały inne prawa.

Jeden z żołnierzy, którzy pełnili wartę przy szubienicach, spojrział w kierunku powozu. Przerazona Mary rozpoznała w nim młodego kaprała, którego surowo zbeształa przed zajazdem. Na jego twarzy pojawił się szydery uśmiech, kiedy skinął do niej głową. Zemścił się okrutnie za upokorzenie i pośmiewisko, na jakie go wystawiła.

Mary nie wiedziała, co powinna uczynić. Najchętniej kazałaby Winstonowi zatrzymać karocę, potem podeszłaby do kaprała i zrugowała go bez pardonu. Jednak wewnętrzny głos podpowiadał jej, że pogorszyłaby tylko sytuację.

Duma i nieugiętość starca była najwyraźniej solą w oku angielskich włodarzy. Powiesili go na szubienicy, by stanowić przestrożę dla miejscowej ludności, że okazywanie oporu wobec rządzących jest niebezpieczne. Pośrednio Mary przyczyniła się do tej śmierci.

Czuła targające nią dreszcze. Wstydziała się, że jest jedną z tych, w których rękach znajduje się władza nad tym krajem. Podczas arystokratycznych balów na południu ochoczo szydzono z głupoty szkockich chłopów oraz z faktu, że trzeba ich cywilizować, w razie potrzeby nawet siłą i przymusem. Młodzi mężczyźni, którzy w ciągu swego życia nie zaznali biedy ani nędzy, lubowali się w opowiadaniu pozbawionych smaku i taktu dowcipów na ten temat.

Rzeczywistość wszelako prezentowała się inaczej. W tym kraju

nie było cywilizacji, lecz samowola. To nie Szkoci byli tu prawdziwymi barbarzyńcami, lecz w znacznej mierze Anglicy.

Wzburzenie Mary było bezgraniczne, w jej oczach pojawiły się łyzy wściekłości i żałoby. Kiedy powóz opuszczał Jedburgh, młoda kobieta po raz kolejny zadała sobie pytanie, w jakież to potworne okolice ją wysłano.

W czasie kiedy Walter Scott pełnił urząd szeryfa Selkirk, dwukrotnie brał udział w sekcji zwłok.

Pierwszą obdukcję zlecił osobiście, kiedy Douglas McEnroe, znany w miasteczku kobieciarz, został znaleziony ze złamanym karkiem w rowie przez miejskich strażników, którzy jechali z Ashkirk do Lii-

lisleaf. Druga natomiast okazała się konieczna, kiedy pewna wdowa z Ancrum doszła do wniosku, że nagły zgon jej męża na serce nie był żadnym przypadkiem. Wtedy w obu sytuacjach podejrzania dotyczące morderstwa nie potwierdziły się, zaś teraz sir Walter życzył sobie, żeby tak było również i dzisiejszego dnia. Jednakowoż mroczne przeczucie podpowiadało mu, że ta nadzieja była daremna.

William Kerr był człowiekiem w podeszłym wieku, który pod ciężarem swoich lat chodził przygarbiony, a w chłodne mgliste dni, których w krainie Lowlands było bardzo dużo, dokuczał mu reumatyzm. Ponieważ był jedynym medykiem w Selkirk, zawsze miał ręce pełne roboty, przy czym nie stanowiło dla niego różnicy, czy jakiś wieśniak cierpiał na ból zęba, czy też w chłopskiej zagrodzie cielęła się krowa - Kerr udzielał lekarskiej pomocy we wszystkich nagłych przypadkach.

Pełniąc obowiązki szeryfa Selkirk, sir Walter nauczył się cenić doktora Kerra zarówno jako przyjaciela, jak i kompetentnego medyka. Stary Will był być może osobliwym oryginałem, który miał dziwaczne

nawyki, ale z pewnością był też najlepszym lekarzem, jakiego znał sir

Walter.

- Cóż - przemówił Kerr typowym dla niego, monotonnym głosem, który dla nieprzygotowanego na to słuchacza mógł brzmieć jak dźwięk zardzewiałego myśliwskiego rogu. - O ile jestem w stanie to ocenić, młodzieniec spadł z dużej wysokości.

- Spadł czy został zepchnięty? - zadał pytanie sir Walter. - To jest dylemat, mój przyjacielu.

Małymi kroczkami Kerr obszedł dookoła stół, na którym spoczywało ciało nieszczęsnego Jonathana. Sir Walter nakazał przewiezienie zwłok z Kelso do Selkirk, żeby zostały tam poddane obdukcji. Doktor Kerr był wprawdzie mocno poruszony niespodziewaną śmiercią tak młodego człowieka, lecz mimo to możliwość przeprowadzenia autopsji wydawała mu się ciekawą odmianą codziennych obowiązków.

Po oględzinach złamań kości czaszki oczyścił ciało z krwi, zamierzając przyrzeć się dokładniej obrażeniom, jakie odniósł Jonathan.

- Nie widać żadnych śladów użycia siły - stwierdził na koniec.

- Żadnych ran ciętych ani dźgnięć czy ran kłutych na całym ciele.

Śmierć nastąpiła w rezultacie uderzenia, co do tego nie ma wątpliwości. Poza tym biedny chłopak w następstwie upadku skręcił sobie kark. Wyjaśniałoby to nienaturalny kąt, pod jakim ułożone są względem siebie głowa i tułów.

Sir Walter starał się nie patrzeć na zwłoki. Gryzący zapach, jaki roznosił się w pracowni Williama Kerra i wionął z rozmaitych olejków i esencji, które lekarz aplikował swoim pacjentom, wystarczająco wzbudzał w nim nudności. Myśl, że ten młody mężczyzna, który blady jak kreda i pozbawiony życia leżał tam, na stole do obdukcji, jeszcze przed paroma dniami cieszył się najlepszym zdrowiem, była wprost nie do zniesienia.

- Poręcz w bibliotece jest zbyt wysoka, żeby można było wpaść przez nią przypadkowo - stwierdził sir Walter. - Ponadto wzbraniam się przed daniem wiary temu, że Jonathan sam pozbawił się żywota.

Był młodym człowiekiem, który czerpał radość z życia. Nie jestem w stanie wyobrazić sobie żadnego powodu, który byłby dostatecznie przekonujący, by wziąć poważnie pod rozwagę ewentualność, że...

- Miłość. - Kerr podniósł wzrok. W przypiływie osobliwego poczucia humoru, z którego sływał wśród mieszkańców osady, lekarz cicho zachichotał. Do lewego oka przystawił własnoręcznie skonstruowany przyrząd, który składał się z krótkiej skórzanej tuby oraz szkła powiększającego - był to instrument, bez którego jego mocno wysłużone oczy nie potrafiły się obejść. Kiedy spojrzął na Scotta przez ten aparat, pan Abbotsford odniósł wrażenie, iż spogląda na niego monstrualne oko cyklopa.

- Być może nasz młody przyjaciel doznał miłosnego zawodu - zgadywał Kerr. - Być może istnieje dama jego serca, która nie odwzajemniła miłosnych amorów. Nieodwzajemniona namiętność

potrafi zepchnąć ludzką duszą w głąbię, której nie należy nie doceniać.

- Zgadza się, stary przyjacielu - przytaknął sir Walter. - Wiele z moich powieści traktuje o potędze miłości. Ale jedyną namiętnością, jaka płonęła w sercu biednego Jonathana, była afektacja do ksiąg. W końcu - tu dodał z nutą goryczy w głosie - to one przyczyniły się do jego zguby.

- Chłopak został wypchnięty przez balustradę, powiada pan?

- Tak przypuszczam. Nie ma zresztą innej możliwości.

- Dlatego, że przemawiają za tym poszlaki, czy też z tej przyczyny, iż nie chce pan dopuścić innej ewentualności?

- Co pan chce przez to powiedzieć, Will?

- Przypomina pan sobie sprawę Sally Murray?

- Naturalnie.

- Ta biedna kobieta było do tego stopnia przekonana, że jej męża zamordowano, iż nie brała pod rozwagę żadnej innej możliwości.

Prawda jednak była taka, że jej mąż wybrał się do ladacznicy w Hawick, a młode rozpustnice najwyraźniej zmusiły jego proste serce do mordęgi ponad siły - zrelacjonował lekarz i ponownie zachichotał. -

Takie rzeczy zdarzają się, sir. Przeszłość nie ulegnie zmianie tylko z tego powodu, iż życzymy sobie, żeby sprawy miały się inaczej.

- Dlaczego pan mi o tym opowiada, Will?

Kerr odsunął od oka szkło powiększające i odłożył je na bok.

- Ten instrument okazuje się bardzo pomocny w moich oględzinach - wyjaśnił. - Lecz wcale nie jest mi potrzebny do

zagładania w ludzką duszę. W pańskiej duszy, sir, z całym szacunkiem, dostrzegam poczucie winy.

- Poczucie winy? Z jakiego powodu?

- Tego nie wiem, ponieważ nie mógł pan w żaden sposób zapobiec temu, co spotkało nieszczęsnego młodzieńca. Znam jednak pana dostatecznie długo i dobrze, żeby wiedzieć, że gnębią pana wyrzuty sumienia.

- Nawet jeśli ma pan rację, Will, nie bardzo widzę, do czego pan zmierza.

- Niech pan pomyśli o wdowie Murray. Dużo łatwiej przyszło jej uwierzyć w to, że męża otruto, niż pogodzić się z faktem, iż ten nieszczęśnik dokonał żywota w sromocie, w ramionach lubieżnej dziewczki. Sądzę też, że pan, sir, za wszelką cenę pragnie odkryć, kto ponosi winę za śmierć Jonathana.

- Nonsens - zaprzeczył Scott, kręcąc sceptycznie głową. - To nie tak.

- Żywię taką nadzieję, sir. Bowiem jak pan wie, biedna wdowa Murray opuściła ziemski padół, nie przyjmując prawdy do wiadomości.

- Wiem, mój dobry Willu - odparł sir Walter, wzdychając. -

Jednak nie dostrzega pan znacznej różnicy między przypadkiem Murray a tą sprawą. Wtedy nie istniały żadne poszlaki, które wskazywałyby na to, że Lester Murray zmarł z jakiegoś innego powodu niż nadmierny wysiłek serca. W tym przypadku rzeczy mają się inaczej. Jonatha-

na znaleziono z roztrzaskaną czaszką pod balustradą, przez którą nie



mógł sam wypaść. Ponadto na podstawie wszystkiego, co wiem o tym młodzieńcu, nie ma najmniejszych poszlak, które wskazywałyby na samobójcze myśli. Nie wmawiam sobie tego, Will. Istnieją fakty, które przemawiają za tym, iż Jonathan Milton nie jest ofiarą nieszczęśliwego wypadku. To było morderstwo.

Sir Walter poczuł większe emocje, niż tego sobie życzył.

Uświadomił sobie również, że tym samym jego punkt widzenia nie zyskuje na wiarygodności. Śmierć protegowanego była dla niego ciężkim ciosem, lecz to wcale nie oznaczało, iż teraz dawał wiarę urojeniom. A może jednak?

Stary Kerr znów obserwował sir Waltera przez wypukłe szkło powiększające, które w międzyczasie ponownie przysunął do oka.

Scott odniósł wrażenie, że za pomocą optycznego instrumentu doktor zajrzał na samo dno jego duszy.

- Rozumiem pana, sir - odezwał się w końcu lekarz. - Na pańskim miejscu prawdopodobnie odczuwałbym to samo.

- Dziękuję, Will.

Kerr skinął głową, obrócił się ponownie ku zwłokom i przystąpił do ich szczegółowych oględzin, centymetr po centymetrze.

Mijały dłużeńce się minuty, w czasie których sir Walter pragnął znaleźć się w innym miejscu. Nad jaką powieścią pracował obecnie?

Jaka była ostantia scena, która wyszła spod jego pióra? Nie był w stanie sobie niczego przypomnieć. Poezja i proza zdawały się w tym momencie bardzo odległe. W laboratorium doktora Williama Kerra w

ogóle nie było dla nich miejsca.

- Tu - rzekł nagle doktor. - To może być to.

- Znalazł pan coś?

- Chyba tak... Tu, na rękach, znajdują się miejsca, które podbiegły

krwią. Mogłoby to wskazywać na fakt, że ktoś mocno chwycił

młodzieńca. Poza tym zauważyłem jeszcze to. Niech pan posłucha!

Z uśmiechem wyrażającym pewność siebie lekarz nacisnął żebra

zmarłego. Kości ustąpiły pod naciskiem z cichym chrzęstem, który sir

Waltera przyprawił o mdłości.

- Złamane? - zapytał.

- Właśnie.

-1 cóż to znaczy?

- Że być może doszło do walki, w rezultacie której żebra

pańskiego studenta zostały złamane.

- Albo - ciągnął dalej myśl sir Walter - żebra Jonathana pękły, gdy

ktoś siłą wypychał go przez balustradę.

-To także można sobie wyobrazić. Aczkolwiek te urazy mogą być

równie dobrze rezultatem upadku.

- Niech pan szuka dalej, Will - sir Walter zwrócił się z prośbą do

doktora. - Im więcej pan znajdzie, tym szybciej nabierzemy pewności.

- To nie jest powiedziane - zaproponował lekarz, mrugając okiem,

które widziane przez szkło powiększające sprawiało groteskowe

wrażenie. - Rzadko większa wiedza daje jaśniejszy obraz sytuacji.

Bardzo często bywa na odwrót. Już Sokrates doszedł do takiego

wniosku.

Mimo napięcia, które czuł, sir Walter uśmiechnął się, słuchając wywodów medyka dziwaka. Być może William Kerr był w stanie rzeczywiście mu pomóc i rzucić nieco światła na mroki niewiedzy. Po raz kolejny lekarz nie rozczarował go.

- Sir? - odezwał się nieoczekiwanie.

- Tak, Will?

- Jakiego koloru płaszcz miał na sobie Jonathan?

- Cóż, chyba był... szary, o ile sobie przypominam - odpowiedział

sir Walter, marszcząc czoło. - Dlaczego jest to tak ważne?

- A przypadkiem nie był czarny? Z grubo tkanej wełny?

- Nie - sir Walter pokręcił przecząco głową. - O ile dobrze pamiętam, nie.

Z ust doktora dobył się triumfalny śmiech. Potem sięgnął po pincetę i wyciągnął coś spod paznokcia kciuka prawej dłoni. Kiedy uniósł to w górę, sir Walter zorientował się, że było to włókno. Czarne wełniane włókno.

- W takim razie - stary doktor sformułował wniosek - ktoś jeszcze był w archiwum oprócz Jonathana...

W bibliotece panowała niemiła atmosfera. Między wysokimi regałami wypełnionymi po brzegi foliałami i manuskryptami czas zdawał się zatrzymać w miejscu, a kurz minionych stuleci unosił się w powietrzu. Chociaż na stołach do czytania ustawione były liczne zapalone świece, już po kilku krokach ich światło pochłaniała ciemność.

Quentin Hay nie grzeszył odwagą. Siostrzeńcowi Waltera Scotta brakowało stanowczości i zdecydowania wuja, z pewnością też nie był osobą, którą można nazwać zawadiaką. Jego bracia już od wczesnych lat wiedzieli, kim zamierzają zostać - Walter, ten młodszy, który otrzymał imię po sławnym wuju, wyjechał do Edynburga na studia prawnicze. Liam, ten starszy, wstąpił natomiast w szeregi dragonów. Natomiast Quentin doszedł już do dwudziestego roku życia i wciąż miał zaledwie blade pojęcie, co powinien zrobić ze swoim życiem, zresztą ku wielkiemu zmartwieniu matki.

Jej zasługą był pomysł, żeby podążył śladami jej brata i również został pisarzem. Problem nie polegał na tym, że Quentin nie potrafił wyobrazić sobie, iż będzie zarabiał na życie, pisząc książki. Szkopuł tkwił w tym, że wyobrażał sobie, iż na utrzymanie może zarobić, wykonując każdą inną profesję. To pewne, że pisanie sprawiało mu radość, jednak szczerze wątpił w to, czy został obdarzony stosownymi talentami tak hojnie jak jego wuj.

Cokolwiek by jednak mówić, zyskał w ten sposób okazję opuszczenia domu. W Abbotsford nawet mu się podobało. Nie chodziło tylko o to, że sir Walter był cierpliwym i mądrym nauczycielem i pod wieloma względami kimś więcej niż ojcem, bowiem biologiczny ojciec, człowiek małomówny i niezwykle zapracowany, najął się do handlowego kantoru w Edynburgu jako księgowy. Lecz także o to, że sir Walter nie naciskał na niego, jak zwykli to czynić rodzice, a Quentin po raz pierwszy w życiu doznał

uczucia, iż sam może zdecydować, co powinien począć z własną egzystencją. Przynajmniej tym razem.

Jednakowoż przesiadywanie do późnej nocy w chłodnej bibliotece, w której czuć było przeciąg, w poszukiwaniu poszlak wskazujących na popełnienie morderstwa z pewnością nie było czynnością, do wykonania której zgłosił się dobrowolnie. Sir Walter nie pozostawił jednak najmniejszych wątpliwości co do tego, że potrzebuje pilnej pomocy ze strony Quentina, natomiast młody mężczyzna nie zamierzał sprawić mu zawodu.

Sam wyraźnie czuł, jak bardzo śmierć Jonathana Milтона dotknęła jego wuja. On też był do głębi poruszony nagłą i przerażającą śmiercią młodego studenta, z którym często bywał w Jedburghu, na zakupach bądź w tamtejszej gospodzie.

Przez cały dzień Quentin pozostawał do dyspozycji opata Andrew i jego współpracownicy, którzy sprawdzali zasoby biblioteki - swoją drogą przedsięwzięcie dość beznadziejne, jeśli uwzględni się ogrom piśmienniczych skarbów zalegających na wysokich regałach. Mnisi skoncentrowali się na tych działach, w których pracował Jonathan Milton, sprawdzali też regały na górnej kondygnacji, gdzie student musiał się znajdować w ostatnich chwilach życia.

Zgodnie z kontemplacyjną regułą premonstratensi przystąpili do pracy w milczeniu. Początkowo ta cisza nieco ciążyła Quentinowi, lecz w ciągu dnia przyzwyczał się do niej. Co więcej, z upływem czasu odbierał ciszę jako coś uwalniającego. Cieszył się, iż w korku może

być sam na sam z własnymi myślami. Z lękiem i żałobą oraz ze złością na tych, którzy byli odpowiedzialni za śmierć Jonathana.

Aż do wieczora nie udało się znaleźć żadnej wskazówki, która potwierdzałaby fakt, iż biblioteka była miejscem niecnego procederu złodzieja. Wydawało się, że wszystkie woluminy znajdowały się na swoim miejscu, starannie ustawione w rzędach i pokryte kurzem, który zebrał się w ciągu wielu dziesięcioleci. O zachodzie słońca mnisi opuścili przybytek, by w modlitwie wychwalać Pana, a potem zakończyć dzień w przepisanej zakonnej regule odosobnienia.

Uczucie, które dotychczas było mu obce, ogarnęło go nagle i zmusiło do kontynuowania poszukiwań - ambicja. Quentina ogarnęła nieodparta potrzeba wyjaśnienia tego, co się wydarzyło, poza tym nigdy wcześniej nie był w położeniu, które pozwalałoby mu sprecyzować, skąd się brała ta ambicja. Być może były to tajemnicze okoliczności śmierci Jonathana, które obudziły w nim ciekawość i nakłoniły do spędzenia nocy w wywołującym strach, mrocznym otoczeniu. Niewykluczone też, że powodem była możliwość wykazania się przed wujem, pokazania, co naprawdę kryje się w jego siostrzeńcu.

Sir Walter uczynił dla niego już tak wiele, a teraz nadarzała się okazja do odwdzięczenia się. Quentin miał pewność, że jego wuj dopóty nie zazna spokoju, dopóki okoliczności śmierci Jonathana zostaną szczegółowo wyjaśnione. Jeśli mógł się do tego przyczynić, zamierzał to uczynić bez względu na to, jak niemiłe byłoby to zadanie.

Młody mężczyzna unikał rozglądania się po bibliotecznym pomieszczeniu oświetlonym mdlawymi płomykami świec. Wprawdzie jego pisarskie zdolności pozostawiały sporo do życzenia, jednak dysponował nieprzebranymi pokładami fantazji, która w każdej ciemnej alejce i mrocznym zakątku między regałami kazała mu dostrzegać niewyraźne postacie - te same duchy, które w dzieciństwie widywał nocami, jak mu się wtedy wydawało, i które na dobrą sprawę nigdy go nie opuściły.

Przypomniawszy sobie, że rozbawiony wuj zapytał go kiedyś, czy wierzy w duchy. Oczywiście, że nie, zaprzeczył wtedy Quentin. W końcu nie zamierzał w oczach wuja wyjść na błazna. Jednak w głębi duszy zdawał sobie sprawę z tego, że wówczas skłamał. Młody mężczyzna był bowiem przekonany, że między niebem a ziemią istnieją pewne rzeczy, których nie da się wyjaśnić w sposób racjonalny. Opuszczona, słabo oświetlona biblioteczna sala wypełniona aż po sufit starymi pismami i księgami z pewnością była miejscem, które tylko wzmacniało te przekonania.

- Muszę się skoncentrować - Quentin przywołał głośno z pamięci najważniejszą regułę, którą wpoił mu wuj. - Rozum wnosi światło i rozprasza ciemność bardziej niż jakikolwiek ogień.

Nie brzmiało to zbyt przekonująco, jednak brzmienie własnego głosu uspokoiło go. Odważnie sięgnął po świecznik i przybory do pisania, po czym ponownie ruszył na górę, aby kontynuować pracę.

Część woluminów w archiwum została już skatalogowana przez

mnichów. Oznaczało to, że księgi były opatrzone stosownymi sygnaturami, zgodnie z którymi układano je w regałach. Jeśli ktoś korzystał z któregoś z woluminów, łatwo można było to stwierdzić - złodziej nie mógł przecież zmienić pozostałych sygnatur. Jednakowoż, uwzględniając przeogromną liczbę tomów zgromadzonych w archiwum w Dryburghu, iście herkulesową pracą było przejrzanie wszystkich sygnatur i sprawdzenie, czy wszystkie zbiory są kompletne. Jeśli natomiast złodziej nie był na tyle głupi, żeby zabrać skatalogowany egzemplarz, lecz przywłaszczył sobie wolumin z części biblioteki jeszcze nieopatrzonej sygnaturami, z pewnością nikt nigdy nie wpadnie na jego trop.

W migoczącym świetle świecy Quentin obszedł następny regał. Sygnatury składały się z wielu rzymskich cyfr i znaków, które niełatwo było dojrzeć. Ich śledzenie wymagało największego skupienia, w rezultacie czego młodzieniec niemal zapomniał o budzącym przestraszonym otoczeniu.

Wystająca deska, która wypaczyła się pod wpływem wilgoci, przypomniała mu nagle jego odwieczne obawy.

Quentin zahaczył szpicem buta o wypukłość i przechylił się do przodu. Zanim zdążył zareagować i chwycić się czegokolwiek, już leżał plackiem na ziemi. Rozległ się głuchy odgłos, gdy wylądował na starych deskach, które stęknęły żałośnie pod jego ciężarem. Świecznik, który przerażony Quentin upuścił, upadł tak pechowo, że wypadła z niego świeca.



Pozbawiona podpory świeca, wciąż się paląc, potoczyła się po podłodze, która w tym miejscu była lekko spadzista. Szeroko otwartymi z przerażenia oczami Quentin spoglądał, jak świeca toczy się w przeciwnym kierunku.

- Nie - stęknął, jak gdyby chciał skarcić niesforny płomień.

Pospiesznie zebrał się i na czworakach ruszył w pogoń za świecą.

Ogarnęła go panika. Gdyby jeden z regałów zajął się ogniem, płomienie stanęłyby w ciągu kilku sekund. Impregnowany oliwą pergamin paliłby się jak żagiew, podobnie zresztą jak liczący setki lat papier. Ze wszystkich głupstw i zaniedbań, jakich kiedykolwiek się dopuścił, to było zdecydowanie największe.

- Nie - jęknął, widząc, jak świeca wtacza się pod jeden z regałów.

Młodzieniec znów opadł na brzuch i rozpaczliwie czołgał się po podłodze. Unoszący się kurz drażnił oczy i wywoływał kaszel. Panika zmusiła go do kontynuowania tego dziwaczego pościgu do chwili, gdy z ulgą stwierdził, że świeca zatrzymała się pod regałem.

Wyciągnął się i usiłował ją pochwycić, jednak jego ręka okazała się za krótka. W przebłysku geniuszu wziął pióro, które ścisnął kurczowo w drugiej dłoni, i za jego pomocą przyturlał do siebie świecę.

Ogarek, który napędził mu tyle strachu, toczył się niewinnie po podłodze i oświetlał deski.

W tym momencie Quentin coś dostrzegł.

W blasku przesuwającego się płomienia widział to zaledwie przez moment, lecz przyciągnęło to jego uwagę. Szybkim ruchem przeturlał

świecę z powrotem. Nie mylił się.

Na desce podłogi pod regałem widniał znak, jakieś godło, które ktoś wyrył w drewnie.

Zdjęty ciekawością Quentin pochylił się i usiłował wcisnąć głowę między podłogę a regał, najdalej jak się dało bez ryzyka zaklinowania się.

Znak miał wielkość zbliżoną do dłoni i przypominał pieczęć, z tą różnicą, że nie można było na niej rozpoznać żadnych liter. Składał się tylko z dwóch elementów: jednego wygiętego, który wyglądał jak księżyc tuż po nowiu, oraz prostej linii przecinającej sierp.

Chociaż Quentin nigdy wcześniej nie widział tego znaku, wydał mu się na swój sposób znajomy. Zresztą wrażenie to spotęgowało w młodym człowieku trwogę.

Cóż mógł oznaczać? Dlaczego został wyryty w drewnie akurat w tym miejscu?

- Być może po to, żeby coś zaznaczyć - odpowiedział sobie siostrzeniec sir Waltera.

Zdecydowanym ruchem sięgnął po świecę, chwycił ją i wyciągnął spod regału. Ponieważ świecznik złamał się, musiał trzymać świecę w dłoni, a wosk skapywał mu na palce.

Jednak nie zwracał na to uwagi. Jego puls przyspieszył, a ambicja jeszcze bardziej urosła. Miał przeczucie, że odkrył naprawdę coś ważnego. Być może typowa dla niego niezdarność tym razem okazała się szczęśliwym trafem. Być może był pierwszym, który odkrył ten

symbol...

Powoli wyprostował się i w świetle świecy badawczym wzrokiem przyglądał się regałowi, pod którym znalazł tajemniczy znak. Płomyk świecy dawał niewiele światła. Musiał przejrzeć woluminy, skrupulatnie kontynuując tę czynność rząd po rządzie - i nagle znieruchomiał.

Brakowało jednej księgi.

W rządzie foliałów, które nie były opatrzone numerami sygnatur, była luka mniej więcej na szerokość dłoni.

- To jest to - wyszeptał Quentin i zauważył, że dostał gęziej skórki na dźwięk własnego głosu o spiskowym tonie. - Znalazłem to.

Jego wuj miał rację. Rzeczywiście w bibliotece grasował złodziej.

On zaś, Quentin, znalazł na to dowód. Czuł, jak duma rozpiera mu pierś i najchętniej krzyknąłby głośno w euforii, jaka go przepełniła.

I nagle dosłyszał mrożący krew w żyłach hałas.

Ciche miarowe kroki sunące ku górze po schodach prowadzących na galerię. Deski stopni trzeszczały pod ich ciężarem.

Przez moment Quentin stał jak rażony gromem z przerażenia, a jego dawna strachliwość znów wzięła górę nad dumą. Potem jednak odwołał się do rozsądku. Musiał w końcu przestać wierzyć w dziecinne straszidła. Inaczej nigdy nie uda mu się zdobyć uznania w oczach wuja i własnej rodziny.

- Kto tam? - zapytał zatem głośno i dołożył wszelkich starań, żeby jego głos brzmiał mocno i pewnie.

Nie uzyskał jednak żadnej odpowiedzi.

- Wuju, czy to ty? A może to ty, opacie Andrew?

Znów zapanowała złowieszcza cisza, ucichły też kroki.

Quentin zwilżył wargi. Powziął mocne postanowienie, że przestanie wierzyć w duchy. Dlaczego jednak nocny gość nie odpowiadał, kiedy on kierował do niego pytanie? Wspomnienie tego, co spotkało nieszczęsnego Jonathana, powróciło. Strach ścisnął mu piersi i nie pozwalał oddychać.

- Kto tam jest? - zapytał ponownie i ze świecą w dłoni ruszył wąską alejką między regałami. Przerażony zorientował się, że płomyk świecy stanowił jedyne źródło światła w bibliotece. Ktoś zgasił wszystkie pozostałe i zatroszczył się o to, żeby archiwum pograżyło się w egipskich ciemnościach.

W jakim celu?

Ścisnąc ogarek w obu dłoniach, jak gdyby był to dobry duch, który prowadził go przez mrok, Quentin doszedł do końca alejki.

Stąpał cicho i wzdrygał się przy każdym skrzypnięciu, jakie wydawały z siebie stare deski. W końcu dotarł do głównego korytarza i spojrzał przed siebie. Ogarnęła go rozpacz. Mdłe światło świecy po zaledwie paru metrach tonęło w przesyconej kurzem ciemności. Mógł jedynie domniemywać, co w niej tonęło i sytuacja ta sprawiła, że dreszcze przeniknęły go na wskroś.

Mimo płaszcza, który miał na sobie, nagle zrobiło mu się zimno.

Panikę, jaka go ogarniała, odpędził z najwyższym trudem. Ostrożnie przesuwał do przodu jedną stopę przed drugą. Musiał dojść do

schodków, bowiem teraz miał tylko jedno życzenie -jak najszybciej

opu-

ścić mury biblioteki. Najpierw tajemniczy znak na podłodze, potem  
brakujący wolumin i na koniec kroki w ciemności...

W bibliotece działy się złowrogie rzeczy, z którymi Quentin nie  
chciał mieć nic do czynienia bez względu na to, co powiedzą inni. Mogą  
być rozczarowani jego zachowaniem, jeśli zechcą, lecz on nie miał  
najmniejszej ochoty podzielić tragicznego losu Jonathana.

Niepewnie skierował kroki ku schodom, mijając rzędy regałów.

Znów było tak, jak w dzieciństwie podczas niespokojnych nocy, kiedy  
bezimienne zjawy czaiły się w ciemnych kątach. Także teraz Quentin  
trząsł się zdjęty trwogą, gdy to tu, to tam dostrzegał jakiś cień albo  
niewyraźną sylwetkę. I raptem dojrzał postać, która stała przed nim w  
ciemności. Przez moment myślał, że to przywidzenie, które wywołał  
strach, że to kuglarski wytwór fantazji. Kiedy jednak cień się poruszył,  
Quentin pojął, że tym razem się pomylił.

Wrzasnął przeraźliwie i zakrył twarz dłońmi. Świeca ponownie  
wymknęła się z jego palców i upadła na ziemię. Tocząc się, rzuciła  
migoczące światło na obcą postać, a podejrzenie Quentina zamieniło  
się w przerażające przekonanie.

Ten duch był prawdziwy!

Quentin dostrzegł ciemny płaszcz i pozbawioną konturów twarz.

Potem poczuł nieznośne gorąco, a ułamek sekundy później pojawiła się  
oślepiająca jasność.

Poddając się instynktowi, Quentin odwrócił się i zobaczył morze płomieni.

Regały zajęły się ogniem. Żółte, trzaskające języki ognia pięły się w górę i obejmowały już księgi, pożerając je niczym zachłanne bóstwo ognia.

- Nie! - krzyknął ze zgrozą Quentin, kiedy zorientował się, że wiedza minionych stuleci została wydana na pastwę wściekłych płomieni. Chwilę później uświadomił sobie, że była to jego wina. To on upuścił świecę...

Młody człowiek po raz kolejny odwrócił się i poszukał wzrokiem zamaskowanej postaci, która wywołała taką panikę - tylko po to, żeby stwierdzić, że upiór zniknął. Czy rzeczywiście istniał? Czy też był to jedynie wytwór podjudzonej strachem wyobraźni? Czy po raz kolejny śnił na jawie?

Nie miał jednak czasu, by się nad tym zastanawiać. Ogień zajął już sąsiednie regały. Płomienie pożerały drogocenne księgi i foliały z głuchym trzaskiem. Widok ten nappełnił Quentina bezgranicznym przerażeniem. Przez moment stał nieruchomy jak słup soli. Potem zdał sobie sprawę z tego, że musi coś przedsięwziąć.

- Pożar! Pożar! - krzyknął ze wszystkich sił i przyskoczył do płonących regałów, podejmując odważny, lecz mało rozsądny wysiłek uratowania choćby kilku woluminów. Gryzący dym buchał spomiędzy foliałów, piekł go w oczy i sprawiał, że nie mógł złapać oddechu. Chwycił kilka ksiąg, których jeszcze nie dosięgły języki ognia, i

wyciągnął je z regału, chcąc uratować przed pożogą, jednak dym otoczył go ze wszystkich stron i owinał niczym gęsta nieprzenikniona ściana.

Quentin nie mógł powstrzymać kaszlu. Gryzący dym wżerał się w jego płuca, poczuł mdłości. Ogarnęła go słabość, opuściły siły i w końcu upuścił książki. Kolana ugięły się pod nim i z trudem utrzymał się na nogach.

Opuchnięte od dymu oczy skierował w stronę schodów. Musiał do nich dobiec, w przeciwnym razie również on zostanie wystawiony na pastwę płomieni.

Kaszłąc i dławiąc się, przedzierał się przez gęsty dym, przyłożył do twarzy chustkę, którą owinięta była jego szyja.

- Pożar! - jęknął przy tym jeszcze raz, jednak szum płomieni, które zamieniły bibliotekę w burzę ognia, zagłuszył go.

W końcu dobiegł do balustrady i chwycił ją. Deski drżały pod jego stopami. Przytrzymując się poręczy, dobiegł do schodów, czując jednocześnie, jak słabną jego zmysły. Walcząc o oddech, posuwał się do przodu, postawił stopę na pierwszym stopniu i stracił oparcie pod nogami.

Quentin poczuł jeszcze, jak spada w bezdenną głębię. Potem płomienie nagle zagasły, a wokół niego zapanowała nieprzenikniona ciemność.

Dostrzegł ją z oddali. Amazonka siedziała na śnieżnobiałym rumaku, który z rozwianą grzywą i uniesionym ogonem pędził pośród pagórków.

Im bardziej się zbliżała, tym wyraźniejsze stawały się jej rysy.

Była młoda, mniej więcej w jego wieku. Z jej sylwetki emanowała elegancja. Siedziała na oklep na grzbiecie konia, który nie miał ani siodła, ani uprzęży, trzymając się kurczowo końskiej grzywy. Jej włosy powiewające na wietrze okalały twarz o małych ustach i oczach błyszczących jak gwiazdy. Jedyłą jej szatą była zgrzebna płócienna koszula, która opływała jej sylwetkę niczym struga wody.

Była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkał. I chociaż widział ją teraz bardzo wyraźnie, chociaż czuł wiatr i wilgotne, przesiąknięte korzennym aromatem podmuchy bijące od ziemi, zdawał sobie sprawę, że nie była prawdziwą dziewczyną, lecz jedynie postacią z sennej wizji.

Amazonka podjechała do niego.

Kopyta jej konia zdawały się nie dotykać ziemi; zwierzę pędziło przed siebie z niespotykaną szybkością. Chociaż przeczuwał, że była tylko sennym przywidzeniem, wyciągnął ku niej ręce, usiłując ją pochwycić...

- Quentinie?

Głos zdawał się dobiegać z oddali, jak gdyby mówiący stał po drugiej stronie rozległej kotliny, a wiatr unosił jego słowa.

Quentin nie chciał słuchać tego głosu. Pokręcił przecząco głową i zatkał uszy dłońmi, gdyż jego oczy wciąż były wpatrzone w niewiastę na koniu, która coraz bardziej oddalała się od niego.

- Nie! - wykrzyknął rozczarowany. - Nie odjeżdżaj! Błagam, nie odjeżdżaj...



- Spokojnie, mój synu. Wszystko jest w porządku.

Znów ten głos. Tym razem dobiegał z bliska. Im głos był wyraźniejszy, tym bardziej oddalał się obraz młodej kobiety.

- Błagam, nie odjeżdżaj - wymamrotał Quentin jeszcze raz.

Potem poczuł, jak ktoś dotyka jego ramienia, i otworzył oczy.

Ku swemu zdumieniu spoglądał w twarz jakiegoś mężczyzny. Siwe, niemal białe włosy zaczesane do przodu otaczały twarz, z której emanowały stanowczość oraz siła, ale także troska. Minęła sekunda, nim Quentin uświadomił sobie, iż już opuścił krainę snów. Natomiast oblicze, które spoglądało na niego z troską, należało do Waltera Scotta.

-Wuj Walter - wyszeptał bezgłośnie, gdyż mówienie przychodziło mu z trudem, a każde słowo płoło w gardle niczym ogień.

- Dzień dobry, Quentinie. Mam nadzieję, że spałeś dobrze.

Młodzieńczy uśmiech przemknął po twarzy sir Waltera, niemalże pozbawionej niewyczerpanej energii, jaką zazwyczaj tryskał ten człowiek. Quentin natomiast czuł się marnie, jakby opuściły go wszystkie życiowe siły. Kiedy pamięć zaczęła powracać, wiedział dlaczego.

- Gdzie ja jestem? - zapytał chrypliwie.

- W Abbotsford.

- W Abbotsford?

Quentin powiódł dookoła zdumionym wzrokiem. Rzeczywiście znajdował się w swojej sypialni w posiadłości wuja. Leżał w łóżku, na którego brzegu przysiadł sir Walter. Mdłe światło poranka wpadało

przez okno i zwiastowało nowy dzień.

- Jak się tutaj znalazłem?

- Miałeś wielkie szczęście. Opat Andrew oraz jego współpracownicy zauważyli pożar i natychmiast wbiegli do biblioteki, żeby cię ratować.

- Czy zdołano ugasić pożar?

- Nie, nie zdołano - w głosie sir Waltera pobrzmiwało rozczarowanie. - Spichlerz w Kelso spłonął aż do fundamentów, a wraz z nim wszystkie przechowywane tam książki i dokumenty. Wiedza minionych czasów legła w gruzach i popiele. Ale ty, drogi chłopcze, jesteś wśród żywych. Tylko to się liczy.

- W gruzach i popiele - Quentin powtórzył smętnie jak echo.

Wyrzuty sumienia przyprawiały go o mdłości i powodowały ucisk w gardle.

- Byłoby lepiej, gdyby mnisi pozwolili mi umrzeć w płomieniach.

- Mój drogi chłopcze! - rzekł nagle sir Walter surowym tonem, unosząc krzaczaste brwi. - Okazujesz niewdzięczność! Mnisi znaleźli cię, jak leżałeś bez ducha u podnóża schodów. Gdyby cię nie wyciągnęli, nie byłoby cię tu, między nami.

- Wiem, wuju - odparł ze skrucą Quentin. - Być może jednak byłoby lepiej.

- Dlaczego mówisz coś takiego? Bardzo niepokoił się o ciebie.

Doktor Kerr i lady Charlotte przez całą noc trwali przy twoim boku.

- Nie zasługuję na to, wuju - odrzekł zupełnie przybity. -

Ponieważ do pożaru w bibliotece...

- Tak?

-... doszło z mojej winy - zakończył wyznanie Quentin. - Upadła mi świeca, potem regały zajęły się ogniem. Usiłowałem jeszcze uratować kilka woluminów, ale było już za późno. To moja wina, wuju. Ci, którzy sądzą, iż nie nadają się do niczego, mają całkowitą rację. Przez te wszystkie miesiące, które spędziłem u ciebie, byłem ci jedynie ciężarem. Zawiodłem cię.

Nie odważył się spojrzeć wujowi w twarz i zamknął oczy, oczekując ordynarnych przekleństw i surowej nagany z ust sir Waltera. Jednak karcące słowa wcale nie padły. Zamiast tego sir Walter wydał z siebie długie i głębokie westchnienie.

- Quentinie?

- Tak, wuju? - zapytał Quentin, mrugając oczyma.

- Czy wyglądam, jakbym był na ciebie wściekły? -

N... nie, wuju.

- Jesteś niemądrym chłopcem, wiesz o tym? -

Tak, wuju!

- Ale nie z powodów, o których wspomniałeś. Lecz dlatego, że wciąż jeszcze nie pojąłeś, jak wiele dla nas wszystkich znaczysz. Czy wiesz, jak bardzo się o ciebie niepokoiłiśmy? Straciłem już Jonathana, Quentinie. Gdybym miał stracić jeszcze ciebie, nie zniósłbym tego.

Jesteś moim siostrzeńcem, moim ciałem i moją krwią. Nigdy nie wolno ci o tym zapominać.

Quentin zdobył się na nieśmiały uśmiech.

- To bardzo miłe z twojej strony, wuju, i żałuję bardzo, iż sprawiłem wam wszystkim tyle kłopotów i trosk. Ale pożar w bibliotece to moja wina. Teraz już nigdy się nie dowiemy, kto zamordował biednego Jonathana.

- Nie byłbym tego taki pewien.

- Nie? Dlaczego?

- Ponieważ opat Andrew oraz jego współpracownicy znaleźli na tyłach biblioteki puste pojemniki. Pojemniki, w których przechowywano naftę.

- Cóż ma to znaczyć?

- Znaczy to, mój chłopcze, że było to celowe podpalenie. Komuś najwyraźniej zależało na tym, żeby bibliotekę strawiły płomienie.

- W takim razie... nie ponoszę żadnej winy?

- Oczywiście, że nie. Czy naprawdę dajesz wiarę temu, że jedna świeca w mgnieniu oka wywołała taką pożogę?

Quentin odetchnął z ulgą. Przez krótką chwilę czuł się wolny od brzemienia i lekki, jak gdyby wyspowiadał się u ojca Cawleya. Potem jednak przypomniał sobie coś jeszcze...

- A zatem było to podpalenie?

-Wszystko na to wskazuje. Najwyraźniej sprawca usiłował zatrzeć ślady, które pozostawił w bibliotece.

- Zamaskowana postać - wyszeptał Quentin i poczuł, jak zimny dreszcz przebiega mu po plecach. - Ciemna postać. Sądziłem, iż było to tylko przywidzenie, ale...

- Quentinie?

- Tak, wuju?

- Czy jest coś, o czym chciałbyś mi opowiedzieć?

- Nie - Quentin odparł pospiesznie tylko po to, by po chwili dodać bez przekonania: - Tak.

Właściwie cóż miał do stracenia. Jeśli nawet wuj potraktuje go jak marzyciela i fantastę, on pozostanie w zgodzie z prawdą.

- Sądzę, że w bibliotece nie byłem sam - odezwał się z ociąganiem.

- Cóż to znaczy?

- Znaczy to, że tam ktoś był. Jakaś ciemna postać.

- Ciemna postać? - spojrzenie sir Waltera wyrażało jednocześnie brak wiary oraz zaskoczenie.

- Wyglądała jak upiór, jak duch z opowieści, którymi straszy się dzieci w Edynburgu. Pojawiła się nagle w ciemności i wpatrywała się we mnie. Ale nie byłem w stanie rozpoznać jej twarzy.

- Czy coś powiedziała?

Quentin zaprzeczył ruchem głowy.

- Stała tam tylko i wpatrywała się we mnie. Kiedy wybuchł pożar, postać nagle zniknęła.

- Jesteś pewien tego, co mówisz?

- Nie - Quentin pokręcił przecząco głową. - Nie jestem, wuju.

Wszystko działo się tak szybko i tak bardzo mnie przeraziło, że sam już nie wiem, co naprawdę widziałem, a co mi się przywidziało.

- Rozumiem - przytaknął sir Walter z namysłem. - Zatem nie da

się wykluczyć, że strach znów splątał ci figła?

- To całkiem możliwe.

Sir Walter ponownie skinął głową, a Quentin dostrzegł wyraz rozczarowania na twarzy swego wuja i mentora. Wuj zapewne wolałby cieszyć się, widząc go całym i zdrowym, niż strofować i besztać za niezdarność i nieuwagę, a to zraniło Quentina chyba jeszcze bardziej.

- Było coś jeszcze, wuju - dodał bez chwili zwłoki.

-Tak?

- Tuż przed tym, jak pojawiła się ta postać, zanim usłyszałem kroki, odkryłem coś.

- Co, mój synu?

- To był znak. Jakiś symbol wyryty na jednej z podłogowych desek.

- Co to za znak?

- Tego nie wiem. Nie było to cyfra ani żadna litera, w każdym razie w żadnym znanym mi języku. Kiedy potem sprawdzałem regał, który stał nad znakiem, stwierdziłem, że brakowało w nim jednego woluminu.

- Co ty mówisz?

- Brakowało jednego woluminu - powtórzył Quentin z przekonaniem. - Ktoś musiał zabrać go ze sobą. Być może była to ta postać w czarnym płaszczu?

- W czarnym płaszczu? - oczy sir Waltera przybrały kształt wąskich szparek, jak gdyby Quentin powiedział właśnie coś niesłychanie ważnego. - Powiadasz, że zamaskowana postać miał na

sobie czarny płaszcz? Możliwe, że z wełny?

- Z kapturem - potwierdził Quentin. - Dlaczego to takie ważne, wuju?

- Ponieważ doktor Kerr znalazł czarne wełniane włókna przy zwłokach Jonathana - wyjaśnił sir Walter stłumionym głosem. - Czy pojmujesz, co to znaczy, mój chłopcze?

- Że postać, którą widziałem, nie jest wytworem mojej wyobraźni?

- zapytał ostrożnie Quentin.

- Nawet więcej. Może to oznaczać, że spotkałeś się twarzą w twarz z mordercą Jonathana. Oraz że próbował zgładzić również ciebie.

- Zgładzić również mnie? - Quentin poczuł, jak wielka klucha staje mu w gardle. - Ale dlaczego, wuju? Dlaczego ktoś miałby się dopuścić tak potwornego czynu? - wystękał jękliwym głosem.

- Tego nie wiem, Quentinie - odparł ponuro sir Walter. - Ale obawiam się, że twoje odkrycie skieruje sprawy w zupełnie nowym kierunku. Czy to się podoba szeryfowi Slocombe'owi czy nie, musimy zaalarmować garnizon.

Kilka dni po tym, jak pożar strawił archiwum w Dryburghu, karoca w eskorcie umundurowanych dragonów zmierzała wąską drogą prowadzącą wzdłuż brzegu rzeki Tweed do posiadłości Abbotsford.

W powozie siedzieli szeryf z Kelso oraz drugi mężczyzna, w którego obecności Slocombe czuł się wyjątkowo nieswojo.

Ten człowiek był Brytyjczykiem.

Chociaż miał na sobie cywilny surdut oraz szare spodnie i wysokie

buty do jazdy konnej, w jego wyglądzie było coś wojskowego. Czarne włosy były krótko przycięte, oczy spoglądały badawczo i przenikliwie, a rysy twarzy sprawiały wrażenie ascetycznych. Wąskie usta wyglądały jak przecięte nożem, a postawa tego człowieka nie pozostawiała złudzeń, że przywykł do wydawania rozkazów.

Nazywał się Charles Dellard.

Inspektor Dellard.

Jako człowiek niezwykle kompetentny, został oddelegowany przez rządową administrację do zbadania tajemniczych wydarzeń, jakie miały miejsce w bibliotece w Kelso.

Slocombe prawie nie miał odwagi spojrzeć w twarz osoby, która siedziała naprzeciwko. Uniżenie spuścił wzrok i od czasu do czasu, kiedy miał nadzieję, iż nie zostanie na tym przyłapany, rzucał na Dellarda ukradkowe spojrzenia.

Było gorzej, niż szeryf zakładał w najbardziej pesymistycznych przypuszczeniach. Prawo, które po tamtej stronie granicy stało na straży publicznego porządku, przewidywało, że w sytuacji, gdy miejscowy szeryf nie był w stanie podołać swoim obowiązkom, z pomocą przychodził mu wojskowy garnizon. Perspektywa, że arogancki angielski oficer, którego odkomenderowano na północ, by tu zasłużył na ordery, wmiesza się w sprawę i przejmie jego pracę, była dlań czymś zupełnie niespodziewanym. Właśnie z tego powodu prosił sir Waltera, żeby sprawę zachowali wyłącznie dla siebie. Korzystanie z pomocy Anglików nigdy nie kończyło się dobrze, gdyż nazbyt często nie można



było się ich potem pozbyć.

Po pożarze biblioteki, w którym siostrzeniec pisarza o mały włos nie stracił życia, Scott jednak nie dał się odwieść od wezwania na pomoc przedstawiciela garnizonu. Natomiast Slocombe'owi, którego swoboda działania została w ten sposób znacząco ograniczona, nie pozostało nic innego, jak robić dobrą minę do złej gry. Scott sprawiał przy tym wrażenie, jakby był opętany myślą, że w Kelso zostało popełnione morderstwo i nikt ani nic nie było w stanie przekonać go, że jest inaczej.

Slocombe postanowił więc wybrać najmniejsze zło i cierpliwie znosić upokorzenie, jakie go spotkało. Jak się jednak okazało, sprawa poruszyła znacznie wyższe sfery, niż było to na rękę jemu samemu czy komukolwiek innemu zamieszkałemu w rejonie pogranicza. Być może miało to związek z faktem, że Scott był sławą, a jego powieści czytywano nawet na królewskim dworze. Tak czy owak o sprawie zameldowano w Londynie i już kilka dni później Dellard pojawił się w Elso - inspektor Jego Królewskiej Mości, który oznajmił, iż zamierza rozwiązać sprawę, nie pozostawiając najmniejszych wątpliwości.

Slocombe - czy mu się to podobało czy nie - został zdegradowany do roli jego pomocnika, któremu nie pozostało nic innego, jak podjąć współpracę albo stracić dobrze płatną posadę w służbie gminnej.

- Nie cierpię tych niekończących się wzgórz i lasów - zrzędził

Dellard, spoglądając przez okno powozu. - W tym surowym kraju ziarna cywilizacji zostały posiane tak rzadko, jak rzadko można

spotykać wykształconego mieszkańca, jak mi się zdaje. Czy jeszcze

daleko do wiejskiej posiadłości Scotta?

- Już niedaleko, sir - odpowiedział gorliwie Slocombe. -

Abbotsford leży tuż przy brzegu rzeki Tweed, niedaleko od...

- Wystarczy. Nie przybyłem tu studiować geografii, lecz rozwikłać sprawę morderstwa.

- Oczywiście, sir. Jeśli pan pozwoli, jeszcze nie zostało udowodnione, iż chodzi o zabójstwo.

- To rozstrzygnięcie niech pan pozostawi mnie.

- Oczywiście, sir.

Powóz wyjechał z lasu, który ciągnął się wzdłuż brzegu rzeki, i zbliżył się do bramy zbudowanej z naturalnego kamienia, której skrzydła były otwarte. Powóz i jeźdźcy minęli wjazd i podążyli drogą prowadzącą do imponującego budynku, który wznosił się przy jej końcu. Mury, wieżyczki i blanki z ciosanego piaskowca przypominały średniowieczny zamek.

- Czy to jest to? - chciał wiedzieć Dellard.

- Tak, sir. To jest Abbotsford.

- Wydaje się, że Scott należy do tych, którzy pielęgnują historię.

- To prawda. Wielu twierdzi, iż on stanowi ucieleśnienie ducha Szkocji.

- Wydaje mi się, iż ujął to pan zbyt górnolotnie. Mówiono mi w Londynie o tej budowli oraz o tym, że jest mieszaniną wszelkich stylów i porządków w sposób całkowicie pozbawiony smaku.

Jakkolwiek by było, wydaje się, że Scott jest człowiekiem majątnym, co tu, na północy, nie jest rzeczą nazbyt często spotykaną.

Stangret ściągnął lejce i powóz zatrzymał się. Slocombe służalczo wysiadł z powozu, by rozłożyć schodki swemu przełożonemu, na co Dellard zezwolił bez ceregieli, uznając to za oczywiste. Z majestatycznym spokojem, typowym dla ludzi władzy, wysiadł z powozu i nieco lekceważącym wzrokiem spojrzął na rządcę posiadłości, który podszedł do niego ze zdumioną miną.

- Dzień dobry, sir - rzekł na powitanie rządcą, krępy mężczyzna o solidnych dłoniach, który lepiej znał się na pielęgnowaniu koni niż na obchodzeniu się z wysoko urodzonymi gośćmi.

Uklonił się z wyraźnym ociąganiem.

- Co panów do nas sprowadza?

- Chciałbym rozmawiać z sir Walterem - zażądał Dellard głosem nieznoszącym sprzeciwu. - Natychmiast.

- Ależ sir - rządcą skierował na niego zdumiony wzrok. - Nie wydaje mi się, żeby był pan umówiony. Sir Walter jest człowiekiem bardzo zajęтым, który...

- Zbyt zajęтым, żeby spotkać się z wysokim urzędnikiem rządowym? - Dellard uniósł wąskie brwi. - To mnie raczej dziwi.

- Kogo mam zameldować? - zapytał sługa nieco zatrwożony.

- Inspektora Charlesa Dellarda z Londynu.

- Tak jest, sir. Jeśli będzie pan łaskaw podążyć za mną.

Rządcą wykonał niedbały gest ręką i wskazał gościom drogę ku

domostwu. Dellard dał znak swej eskorcie - ośmiu jeźdźcom, którzy mieli na sobie czerwone uniformy brytyjskich dragonów - żeby zsiadli z koni i zaczęli na niego. Potem skinął w stronę Slocombe'a, nakazując mu podążyć za sobą do budynku.

Trzej mężczyźni przeszli przez bramę porośniętą pnącymi różami i wkroczyli na podwórze posiadłości. Minęli fontannę, która zajmowała środek ogrodu, potem dotarli do przestronnego holu. Z tego miejsca rządcą poprowadził Dellarda i Slocombe'a do salonu ogrzanego ciepłym trzaskającym ogniem kominka przez duże okna rozciągał się widok na rzekę Tweed. Dellard rozejrzał się z nieskrywaną ciekawością.

-Jeśli zechcą panowie uprzejmie zaczekać tu - rzekł rządcą i oddalił się.

Widać było po nim wyraźnie, że w obecności Anglika czuł się nieswojo.

Nie inaczej miała się rzecz w przypadku Johna Slocombe'a. Gdyby szeryf miał taką możliwość, najchętniej znalazłby się jak najdalej stąd. Jednak jeśli zamierzał utrzymać swoją posadę, musiał się dostosować.

Swoją drogą to sir Walter powinien ponownie wyjaśnić sprawy. To przecież on był tym, który upierał się, by powiadomić garnizon.

Slocombe chciał się przekonać na własne oczy, jak Scott później pozbędzie się Anglików.

Nie upłynęła długa chwila, kiedy w sąsiednim pokoju dały się słyszeć odgłosy kroków. Drzwi otworzyły się, wszedł przez nie sir

Walter, jak zawsze ubrany w prosty surdut. Ciemne kręgi pod oczyma zdradzały, co nie należało do rzadkości, że ostatniej nocy spał niewiele.

Siostrzeniec pisarza Quentin stał u jego boku, co w jeszcze większym stopniu zepsuło humor Slocombe'owi. Do szpiku kości nie cierpiał chudego i wysokiego młodzieńca o bladej twarzy. W jego oczach młody człowiek ponosił winę za pożar w bibliotece i zmyślił historię o tajemniczej postaci, żeby odciągnąć uwagę od siebie. A teraz mieli na głowie angielski garnizon.

- Sir Walter, jak mniemam - zapytał inspektor Dellard, nie dając gospodarzowi okazji, by się przedstawił.

Taka bezpośredniość wskazywała na jego wojskowe korzenie.

- Zgadza się - potwierdził sir Walter i zbliżył się, spoglądając sceptycznie. - Z kim mam zaszczyt rozmawiać?

Dellard uklonił się nieporadnie.

- Charles Dellard, inspektor z misją rządową - przedstawił się.

- Przysłano mnie tutaj, bym przebadał zdarzenia, jakie miały miejsce w bibliotece w Kelso.

Sir Walter oraz jego siostrzeniec wymienili zdziwione spojrzenia.

- Muszę przyznać - rzekł pan Abbotsford - że jestem w równej mierze zaskoczony, jak i mile ujęty. Po pierwsze, nie śmiałem żywić nadziei, że zostanie tu przysłany rządowy inspektor w celu prowadzenia dochodzenia. Po drugie, nikt nie powiadomił mnie o pańskim przybyciu.

- Z tego powodu proszę o wybaczenie - odparł Dellard, a z jego

głosu zniknął wyzywający, arogancki ton, ustępując miejsca gładkiej jak aksamit uprzejmości. - Niestety nie było czasu, by powiadomić pana o moim przybyciu. Jeśli naprawdę chcemy dowieść, co się wydarzyło w Kelso, nie możemy tracić ani chwili.

- Takie są oczywiście również nasze intencje - zgodził się sir

Walter. - Czy mogę przedstawić panu, inspektorze, mojego siostrzeńca Quentina? On jest naocznym świadkiem. Jedynym, który widział zamaskowaną postać.

- Czytałem zeznanie - oznajmił Dellard i powtórnie się uklonił.

- Jest pan niezwykle odważnym człowiekiem, paniczu Quentin.

- Dziękuję... dziękuję, inspektorze - zaczerwienił się Quentin. -

Obawiam się jednak, iż nie zasłużyłem na pochwałę z pańskich ust.

Kiedy dostrzegłem zamaskowanego intruza, rzuciłem się do ucieczki, a potem straciłem przytomność.

- Każdy działa według swoich zdolności - skomentował Dellard z zadowolonym uśmiechem.

-

Wszelako

jest

pan

moim

najważniejszym świadkiem. Musi mi pan opowiedzieć o wszystkim, co pan widział. Każdy, nawet najdrobniejszy szczegół, może pomóc w

schwytaniu sprawcy.

- Jest pan zatem zdania, że chodzi tu o morderstwo? - zapytał sir

Walter.

- Tylko ślepy idiota z kryminalistycznymi talentami na poziomie wołu może temu zaprzeczać - odezwał się inspektor, kierując przy tym karcące spojrzenie w stronę Slocombe'a.

- Ależ sir - bronił się Slocombe, którego twarz ze wstydu zrobiła się czerwona jak burak. - Pominąwszy zeznania tego młodego człowieka, nie mamy żadnego punktu zaczepienia, który wskazywałby, iż kryje się za tym jakiś sprawca.

- To nie do końca prawda - sprzeciwił się sir Walter. - Zapomina pan o włóknie materiału, które znaleziono na zwłokach Jonathana.

- Ale motyw? - chciał wiedzieć Slocombe. - Jakim motywem kierował się sprawca? Po co ktoś miał się zakraść do dryburghskiej biblioteki i zamordować bezbronnego studenta? I dlaczego temu komuś zależało na tym, żeby podłożyć ogień pod znakomitą budowlę?

- Być może po to, żeby zatrzeć ślady?

Quentin wypowiedział te słowa cichym głosem, lecz teraz wszystkie oczy były skierowane na niego.

- Tak, młody paniczku? - zapytał Dellard, spoglądając na niego badawczo. - Ma pan jakieś podejrzenia?

- Nie, ja... - siostrzeniec sir Waltera chrząknął.

Nie przywykł do przemawiania do tak wielu osób jednocześnie, tym bardziej peszył go fakt, że byli wśród nich przedstawiciele prawa.

-Chcę powiedzieć, że nie bardzo rozumiem te wydarzenia- rzekł. -

Ale tuż przed tym, jak pojawił się zamaskowany intruz, odkryłem coś w bibliotece. Coś w rodzaju znaku.

- Znaku? - Dellard uniósł brwi.

-Wyglądał dość osobliwie i był wyryty na jednej z desek podłogi.

Kiedy potem przejrzałem dokładnie regał ustawiony nad znakiem, dostrzegłem, że brakowało w nim jednej książki. Być może została wykradziona.

-I sądzi pan, że ktoś ryzykował dwa morderstwa tylko po to, żeby znaleźć się w posiadaniu starego woluminu? - zapytał uszczypliwie Slocombe.

-Cóż, tak, ja...

- Obawiam się, że tym razem będę musiał stanąć po stronie naszego dzielnego szeryfa - zadeklarował Dellard z przepraszającym uśmiechem. - Tajemniczy znak i brakująca książka nie wydają mi się dostatecznymi motywami do popełnienia choćby jednego morderstwa, nie wspominając już o dwóch.

- Za pozwoleniem - sir Walter pokręcił sceptycznie głową. - To wszystko, czym dysponujemy.

- Być może. Ale wychodzę z założenia, że po bliższym zbadaniu sprawy zdobędziemy kolejne poszlaki. Wydarzenia w bibliotece raczej nie wiążą się z wykradzioną książką.

- Cóż sprawia, że jest pan tego tak pewien?

Dellard zwlekał przez moment, potem na jego twarzy znów



zagościł zdawkowy uśmiech.

- Pan wybaczy, sir Walterze. Wiem, że jest pan człowiekiem, który zarabia na chleb pisaniem opowieści i jestem pełen szacunku dla pana sztuki. Ale niech pan również zrozumie, że w prowadzonym dochodzeniu muszę opierać się wyłącznie na faktach.

- Rozumiem to w pełni. Gzy jednak nie powinien pan najpierw sprawdzić śladów, jakie ma pan w ręku, inspektorze, zanim podąży pan innym tropem?

- Jak najbardziej, sir. Ale w tej sprawie nie chodzi o wykradzioną księgę, może mi pan wierzyć.

- Nie? - oczy sir Waltera wyglądały jak wąskie szparki. - W takim razie o co chodzi, inspektorze? Czy jest coś, co zataił pan przed nami?

- Do czego pan zmierza, sir? - Dellard wykonał obronny gest. -

Niech pan nie zapomina, że przysłano mnie tutaj na pańskie żądanie.

Co oczywiste, będę w każdej chwili informował pana na bieżąco o stanie śledztwa. Jednak moje doświadczenie na polu kryminalistyki podpowiada mi, że nie mamy tu do czynienia z wykradzionymi księgami i temu podobnymi bzdurami, lecz że sprawcy mieli inne cele.

- Rozumiem - odrzekł zdawkowo sir Walter.

Niezmienione rysy jego twarzy nie pozwalały odgadnąć, czy dawał wiarę słowom Dellarda czy też nie. Inspektor odniósł jednak wrażenie, iż na obliczu pisarza dostrzegł przynajmniej ślad powątpiewania.

- Jakkolwiek by było - odparł, widząc to - uczynię wszystko co w mojej mocy, żeby rozwiązać tę sprawę i ponownie przywrócić w tym

regionie porządek oraz spokój. Śmierć pańskiego studenta nie

pozostanie bezkarna, sir Walterze. Obiecuję to panu.

- Dziękuję, inspektorze. Mój siostrzeniec i ja doceniamy pańskie wysiłki.

- Do pańskich usług- Dellard ukłonił się. - W ciągu najbliższych dni znów tutaj przyjadę, aby przekazać panu relację na temat postępów śledztwa. Być może - dodał też wielce obiecująco - uda się nam rozwiązać ten przypadek w ciągu kilku dni.

- To by nas bardzo uspokoiło - zapewnił sir Walter, a Dellard i Slocombe zaczęli zbierać się do wyjścia.

Rządca Mortimer odprowadził obydwu mężczyzn do bramy, gdzie czekał powóz oraz uzbrojona eskorta. Dellard gestem ręki wydał polecenie swoim ludziom, by dosiedli koni, po czym wsiadł do powozu.

W czasie drogi powrotnej do Kelso, która wiodła wzdłuż brzegu rzeki Tweed, inspektor nie odezwał się ani słowem. Cisza, jaka panowała wewnątrz powozu, była dla Slocombe'a nie do zniesienia. W końcu nie wytrzymał.

- Sir? - zapytał cicho.

- O co chodzi?

- Kiedy Scott zapytał pana, czy coś pan przed nim przemilczał, wtedy przez moment zawahał się pan...

Spojrzenie, którym Dellard obdarzył szeryfa, potrafiło zmieścić człowieka z powierzchni ziemi.

- Cóż to ma znaczyć, szeryfie? Pomawia mnie pan o kłamstwo?

Sądzi pan, iż coś zatałem przed sir Walterem?

- Oczywiście, że nie, sir. Pomyślałem tylko...

- Ma pan rację, co do swego przypuszczenia - wyznał

nieoczekiwanie Dellard. - Chociaż swoją drogą niepokoi mnie fakt, że nawet taki bałwan jak pan tak łatwo mnie przejrzał.

- Słucham, sir?

Na twarzy Slocombe'a pojawił się wyraz bezradności. Bezcelność Dellarda przekraczała jego zdolność pojmwania.

- Rzeczywiście coś przed Scottem zatałem - wyjaśnił szorstko Dellard. - Lecz nie kierowałem się przy tym złymi intencjami, chciałem tylko chronić jego i jego siostrzeńca.

- Chronić? Przed czym, sir?

Tym razem spojrzenie inspektora było długie i badawcze.

- Jeśli to panu powiem, szeryfie, nie wolno panu tego nikomu zdradzić. Sprawa ta jest niezwykle drażliwa i poważna. Nawet w Londynie mówi się o tym wyłącznie w gronie wtajemniczonych.

Slocombe przełknął ślinę. Jego zaczerwieniona od whisky cera zrobiła się jeszcze ciemniejsza i mimo chłodu poranka na jego szerokim czole pojawiły się drobne kropelki potu.

- Oczywiście, sir - szepnął. - Będę milczał jak grób.

- W takim razie powinien pan wiedzieć, że morderstwo w bibliotece z Dryburgha nie było pierwszym przypadkiem tego rodzaju.

- Nie?

- W rzeczy samej nie. W różnych miejscach tego kraju doszło do niezwykle tajemniczych morderstw, których sprawcy byli ubrani w czarne opończe. Wiemy, że kryje się za tym grupa szkockich nacjonalistów, którzy już niejednokrotnie siali zamęt i niepokój. Od czasów rozpoczęcia przesiedleń w regionie Highlands ci podżegacze uprawiają swój nieczyny proceder. Lecz niestety, jak dotąd nie udało nam się złapać choćby jednego z nich.

- Rozumiem - odparł prawie bezdźwięcznym głosem Slocombe, a wyraz jego twarzy sugerował, że nie był pewien, czy rzeczywiście chciał to wszystko usłyszeć.

- Po pierwsze, nie chciałem niepokoić sir Waltera. Każdy wie, jak bardzo wstawia się na królewskim dworze za sprawami Szkocji, i nie chciałbym, aby troskał się z powodu kilku przestępców. Po drugie, zdarzenia w Kelso stwarzają nam nieocenioną okazję, jakiej nie mieliśmy nigdy dotąd.

- Okazję? Obawiam się, że nie bardzo rozumiem, sir...

- W dotychczasowych przypadkach mordercy zawsze uderzali do momentu, gdy wytępilli wszystkich, którzy ich zdaniem zdradzili szkocką ojczyznę na rzecz Brytyjskiej Korony. Sir Walter w oczach wielu Szkotów uchodzi za bohatera, ponieważ wstawia się na dworze za przywróceniem dawnych szkockich tradycji. Inni natomiast uważają go za zdrajcę, który poszedł na zgony kompromis z Koroną. Prawda zawsze jest taka, jaką widzi oceniający.

Slocombe wciągnął głośno powietrze. Stopniowo to co usłyszał,

przenikało do jego myśli spowolnionych zamięłowaniem do alkoholu.

- Jest pan zdania, że ktoś chce zamordować sir Waltera?

- Nie tylko jego. Całą jego rodzinę oraz jego przyjaciół. By osiągnąć ten cel, członkowie tajnej sekty nie zawahają się przed żadnym środkiem. Rozumie pan teraz, dlaczego nie mogłem powiedzieć o tym sir Walterowi?

Szeryf przytaknął ostrożnie.

- Ale - sprzeciwił się po krótkim zastanowieniu - czy nie byłoby rozsądnie powiadomić Scotta o tym, co naprawdę kryje się za ostatnimi wydarzeniami. Mógłby wtedy podjąć odpowiednie kroki, by chronić siebie oraz swoją rodzinę.

- Nie - zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy Dellard. - Tego nie chciałbym uczynić.

- Ale czy sam pan nie powiedział, że mordercy nie spoczną, dopóki nie dopną swego?

- Dokładnie tak.

- W takim razie... - Slocombe spoglądał na swojego rozmówcę osłupiały. - Zatem świadomie podejmuje pan to ryzyko. Zamierza pan posłużyć się Scottem i jego rodziną jako przynętą.

- Nie mam innego wyboru - odparł Dellard, nawet nie drgnąwszy.

- Ci podpalacze i zabójcy mają już na sumieniu dziesiątki ludzkich istnień, a obszar ich działania rozszerza się. Już od dawna sieją niepokój na północy, a teraz wyciągają łapska w stronę południa.

Konieczne należy położyć temu kres, co jest również w pańskim

najlepiej pojętym interesie. Cóż bowiem się stanie, jeśli Korona

odniesie wrażenie, że w Szkocji przestało być bezpiecznie.

- Zostanie tu przysłane wojsko - odparł cicho Slocombe. - Jeszcze więcej wojska.

Dellard skinął głową, przytakując.

- Widzi więc pan, że jestem po waszej stronie. Ale z naszej rozmowy nie może na zewnątrz przeciec nawet jedno słowo.

Zrozumiał mnie pan?

- Naturalnie, sir.

- Scott i jego rodzina nie mogą wiedzieć, w jakim niebezpieczeństwie się znajdują. Moi ludzie będą go strzec i dopilnują, by nic mu się nie stało. A kiedy mordercy znów uderzą, schwytny ich. Nigdy nie nadarzyła się lepsza okazja.

- To jest to?

Walter Scott uniósł brwi, spoglądając na prosty rysunek, który wyszedł spod ręki jego siostrzeńca Quentina. W zasadzie były to tylko dwie kreski; jedna wygięta w łuk jak półksiężyc, druga natomiast była linią prostą, która przecina sierp i biegnie pionowo.

- Tak mi się wydaje - przytknął Quentin, jednocześnie drapiąc się bezradnie w tył głowy. - Musisz mieć na uwadze, wuju, że widziałem ten znak tylko przez chwilę, kiedy wyciągałem świecę spod regału...

- Która zapalona wtoczyła się tam, gdy upuściłeś świecznik - podsumował relację, jaką przekazał mu ze szczegółami siostrzeniec. - Dlaczegoż więc nie powiedziałeś nic o tym inspektorowi Dellardowi?

- Ponieważ by go to nie zainteresowało - odparł Quentin z opuszczoną głową, gdy siedzieli naprzeciw siebie w skórzanych fotelach w salonie.

W kominku trzaskał ogień, od którego biło przyjemne ciepło.

Mimo wszystko nie był w stanie odpędzić dreszczy, jakie dopadły siostrzeńca sir Waltera.

- Myślę, iż mu nie ufam, wuju.

- Komuż, mój chłopcze?

- Inspektorowi Dellardowi.

- Dlaczegoż to?

- Nie wiem, wuju... To tylko przeczucie. Ale miałem wrażenie, że on nie powiedział nam całej prawdy.

Sir Walter uśmiechnął się, gdy sięgał po filiżankę z herbatą, i pociągnął kolejny łyk.

- Czy przypadkiem nie wiąże się to z faktem, iż inspektor jest Anglikiem?

Spojrzał na siostrzeńca badawczym wzrokiem, ponieważ wiedział, że w domu jego siostry panowały antymonarchistyczne nastroje. A zatem obawa, że Quentin mógł przejąć to nastawienie, nie była bezpodstawna.

- Nie - odparł stanowczo Quentin. - To nie ma z tym nic wspólnego. Jestem tu już dostatecznie długo, bym mógł się czegoś od ciebie nauczyć, wuju. Wpoiłeś mi, iż nie jest ważne to, czy ktoś jest Anglikiem czy też Szkotem, lecz wyłącznie to, czy jest się świadomym własnego urodzenia, własnego honoru i własnych obowiązków patriotą.

- To prawda - przytaknął sir Walter.

Widocznie nie wszystko, co usiłował wpoić młodzieńcowi, okazało się jedynie głosem wołającego na puszczy.

- Ale Dellard mimo wszystko mi się nie spodobał. Dlatego wolałem najpierw opowiedzieć o tym tobie.

- Rozumiem - sir Walter sięgnął po arkusz papieru, który leżał między nimi na małym stoliku, i obrócił go. - A zatem tak wyglądał ten znak?

- Tak mi się wydaje. Tuż po tym, jak się ocknąłem, nie mogłem sobie o tym przypomnieć. Lecz im więcej czasu upływa, tym



wyraźniej jawi się przed moimi oczyma.

- A zatem dobrze - sir Walter pociągnął kolejny łyk herbaty, jednocześnie rzucając krytyczne spojrzenie na rysunek. - Cóż to może być? Oczywiście jest to jakieś godło, być może jakiś rodzaj sekretnego znaku.

- Tak sądzisz?

Quentin pochylił się do przodu, jego blade policzki zaczerwieniły się jak zawsze, kiedy jego zazwyczaj spokojne usposobienie zmieniało się w stan gorączkowego pobudzenia.

- W jakiś sposób - rzekł sir Walter z namysłem - ten znak wydaje mi się znajomy. Im dłużej o tym myślę, tym większe mam wrażenie, że już kiedyś go widziałem.

- Jesteś pewien?

- Niestety nie. - Sir Walter pokręcił przecząco głową i znów upił herbaty.

Zazwyczaj smak gorzkiego napoju, który pijał codziennie, uskrzydlał jego fantazję i sprawiał, że umysł stawał się czujny. Miał nadzieję, że i tym razem przyjdzie mu w sukurs w odkrywaniu tajemnicy sekretnego znaku.

Obejrzał rysunek ze wszystkich stron.

- Gdzieś... - mruknął, medytując na głos. - Gdybym tylko mógł sobie przypomnieć...

Nagle zrobił pauzę.

Raptownie spojrzął na rysunek innymi oczyma i doszedł do

przekonania, że wie, gdzie już wcześniej widział ten znak. Nie narysowany na papierze, lecz wypalony w drewnie. Godło rzemieślnika.

Z werwą, jaka niemal wystraszyła jego siostrzeńca, sir Walter zerwał się z fotela i opuścił salon. Quentin, który już się obawiał, iż być może jego wuj nie czuje się dobrze, podążył za nim zatroskany.

Jednak sir Walter czuł się doskonale. Co więcej, fakt, że ni stąd, ni zowąd przypominał sobie, skąd znał ten znak, napełnił go euforią.

Szedł pospiesznie wąskim korytarzem w kierunku wejściowego holu.

Tam jego uwagę przyciągnęły kasetony z dębowego drewna, na które spoglądał teraz argusowym okiem.

- Wuju? - zapytał niepewnie Quentin.

- Nie lękaj się, mój chłopcze. Nic mi nie jest - zapewnił, podczas gdy jego oczy skierowane były na skrupulatnie obrobione drewniane płyty ozdobione płaskorzeźbami, które liczyły setki lat. Przy czym skoncentrował się przede wszystkim na wodzeniu wzrokiem po zazwyczaj niewidocznych krawędziach.

Quentin stał z rozdziawionymi ze zdziwienia ustami. Gdyby wiedział, czego wuj szuka, pomógłby mu ochoczo. Teraz jednak nie pozostało mu nic poza bezradnym przyglądaniem się, jak sir Walter oglądał szczegółowo każdą pojedynczą płytę kasetonów i przejeżdżał palcami po krawędziach, z których unosił się szary kurz.

- Będę musiał zlecić służbie, żeby solidnie posprzątała tę część domu - rzekł sir Walter, kaszląc. - Czy wiesz, skąd pochodzą te

kasetony, mój chłopcze?

- Nie, wuju.

- Pochodzą z kościoła klasztornego z Dunfermline - wyjaśnił sir

Walter, wciąż szukając z zaangażowaniem. - Kiedy przed czterema laty

postanowiono zbudować na nowo wschodnie skrzydło, rozebrano

niektóre pozostałości starej budowli. Wśród nich tą cudowną snycerkę,

którą później pozyskałem i sprowadziłem do Abbotsford.

- Dunfermline - powtórzył z namysłem Quentin. - Czy nie jest to

przypadkiem kościelna budowla, w której odkryto grób Roberta

Bruce'a?

Scott przerwał na moment poszukiwania, posyłając siostrzeńcowi

uśmiech uznania.

- Zgadza się. Cieszę się, Quentinie, iż lekcje historii, jakich ci

udzielam, nie poszły zupełnie na marne.

- Grób został odkryty przypadkowo przed czterema laty w trakcie

robót budowlanych. - Quentin pochwalił się posiadaną wiedzą. - Do

tamtej pory nie było wiadome, gdzie znajduje się grób króla Roberta.

- To również się zgadza, mój chłopcze - sir Walter pochylił się, by

sprawdzić krawędź kolejnej drewnianej płyty. - Ale być może nie był

to przypadek, że znaleziono grób króla Roberta. Niemało jest takich,

którzy wyrażają pogląd, iż historia stale odkrywa nam swe tajemnice,

kiedy następuje ku temu czas... Ha!

To ostatnie było okrzykiem triumfu, który sprawił, iż Quentin

wzdrygnął się.

- Co się dzieje, wuju?

- Podejdź tu, mój chłopcze - polecił mu Scott, po czym dodał z nieco kpiącym uśmiechem: - Przynies też świecę i jeśli to możliwe, tym razem jej nie upuść, dobrze?

Quentin pospieszył ku jednemu z kandelabrow, które znajdowały się w wejściowym holu, i wyciągnął jedną świecę. Bezzwłocznie podszedł z nią do wuja, którego wyraz twarzy zdradzał młodzieńczą radość.

- Przyświeć tutaj - wskazał siostrzeńcowi, a Quentin przytrzymał świecę tak, że jej płomień padł na krawędź drewnianego kasetonu.

W tym momencie to dostrzegł. Znak z biblioteki.

Quentin wciągnął głośno powietrze i o mały włos świeca znów nie wysunęła się z jego ręki, co spotkało się z karcącym spojrzeniem sir Waltera.

- Cóż może to znaczyć, wuju? - zapytał z ekscytacją młody człowiek, którego twarz zrobiła się podobna do dojrzałego pomidora.

- To jest znak runiczny - oznajmił z zadowoleniem sir Walter.

- Znak runiczny? Masz na myśli znak pogańskiego pisma?

Sir Walter przytaknął.

- Chociaż w średniowieczu pismo chrześcijańskie było już szeroko rozpowszechnione, pogańskie symbole utrzymały się jeszcze długo, aż do czternastego stulecia. Przede wszystkim wśród tych, którzy przykładali dużą wagę do starych tradycji. Często traciły one przy tym pierwotne znaczenie, ten tutaj dla przykładu został zastosowany jako

godło rzemieślnika.

- Rozumiem - odparł Quentin, a w jego głosie słychać było rozczarowanie. - Sądziłeś zatem że to, co znalazłem w bibliotece, również było rzemieślniczym godłem? W takim razie moje odkrycie nie jest zapewne tak pasjonujące, jak sądziłem.

- Bynajmniej, mój drogi siostrzeńcu, i to z dwóch przyczyn. Po pierwsze, galeria w archiwum w Kelso została zbudowana zaledwie przed stu laty, podczas gdy kasetony są znacznie starsze. A zatem trudno sobie wyobrazić, by chodziło o tego samego rzemieślnika.

- Być może chodzi o potomka tego rzemieślnika? - zapytał ostrożnie Quentin.

- Byłby to w istocie bardzo zdumiewający przypadek. Podobnie dziełem przypadku musiał być fakt, iż znalazłeś ten znak dokładnie pod regałem, w którym brakowało jednego foliału. A także to, że zamaskowany nieznajomy pojawił się akurat w tym momencie, kiedy dokonałeś tego odkrycia. Tyle przypadków naraz, mój drogi chłopcze, to bardzo mało prawdopodobne. Gdybym coś takiego napisał w którejś z moich powieści, ludzie nigdy nie daliby temu wiary.

- A zatem rzeczywiście odnalazłem coś ważnego?

- To będziemy musieli wyjaśnić - odparł sir Walter i poklepał go po ramieniu, dodając mu otuchy, zanim znów ruszył, tym razem w kierunku biblioteki. - Tak czy owak wiemy teraz, że w przypadku odkrytego przez ciebie znaku chodzi o stary znak runiczny. Dzięki temu chyba będziemy mogli stwierdzić, jakie jest jego znaczenie.

Quentin włożył świecę z powrotem do świecznika i ruszył za wujem do biblioteki, która znajdowała się we wschodnim skrzydle budynku i sąsiadowała z pracownią. Zgromadzonych tutaj było ponad dziewięć tysięcy tomów, wiele z nich oryginalnych, które Scott pozyskał ze starych księgozbiorów. Pod potężnym, ozdobionym wspaniałymi płaskorzeźbami stropem stał kwadratowy *stół do czytania* oraz liczne fotele, które wprost zapraszały do lektury. Ciężkie dębowe regały ustawione dookoła wypełnione były woluminami oprawionymi w skórę.

Od klasyków antycznych przez pisma filozofów aż po rozprawy historyczne i geograficzne - biblioteka w Abbotsford obejmowała wszystkie obszary i dziedziny, które zdaniem Scotta każdy dżentelmen powinien zgłębić. Poza tym zgromadzone były tu także dzieła zagranicznych autorów, jak choćby Niemców Goethego i Burgera, które Scott w latach młodości przetłumaczył na język ojczysty, a także zbiory szkockich baśni i ballad, które zbierał wszędzie, gdzie się dało. Z ogromną skarbnicą wiedzy, jaka znajdowała się w Kelso, biblioteka w Abbotsford nie mogła się równać. Jednak podczas gdy księgozbiór z Dryburgha był tylko archiwum, w którym wiedza minionych stuleci drzemała bezużyteczna, biblioteka sir Waltera była miejscem ożywionej duchowej wymiany i inspiracji, a liczne spośród oprawnych tomów były już całkiem wytarte od częstego czytania. Quentinowi, który spędził już tutaj wiele miesięcy, przyuczając się

przy swoim wuju, jeszcze nie udało się zrozumieć systemu

katalogowania, wedle którego tysiące tomów zostały uporządkowane.

Sir Walter natomiast bez trudu orientował się w księgozbiorze.

Zdecydowanym krokiem podszedł do jednego z regałów, po krótkim

wyszukiwaniu sięgnął po tom ze złożonymi literami na grzbiecie,

wyciągnął go i położył na pulpicie do czytania, ustawionym pośrodku

pokoju.

- Światło, mój chłopcze, więcej światła - ponaglił Quentina, który

pospiesznie zajął się zapalaniem świec stojących w świecznikach.

Ogień w kominku zupełnie nie wystarczał, by dostatecznie

rozjaśnić duże pomieszczenie.

W zachowaniu Scotta było widać zniecierpliwienie, kiedy czekał,

aż jego siostrzeniec zapali świece, gdyż z każdym płomykiem robiło

się odrobinę jaśniej.

W końcu światło świec było na tyle mocne, żeby w jego blasku

czytać. Sir Walter otworzył księgę i gestem przywołał do siebie

Quentina, który ze zdumieniem stwierdził, że wolumin zawierał teksty

o piśmie runicznym.

- W tym tomie zebranych jest wiele starych znaków - wyjaśnił sir

Walter. - Musisz wiedzieć, mój chłopcze, że nie istniało tylko jedno

pismo runiczne. Znaczenie znaków było różne w różnych regionach.

Niektóre z symboli miały znaczenie, które znane było wyłącznie nie

licznym wtajemniczonym, podczas gdy inne...

-Spójrz, wuju!

Quentin wykrzyknął tak głośno, że Scott aż podskoczył. Jednak nie rozgniewał się, ponieważ właśnie znaleźli to, czego szukali.

Na jednej ze stron księgi przedstawiony był znak runiczny, który Quentin widział w bibliotece - ów półokrągły znak łuku przecięty pionową kreską.

- Rzeczywiście - wymamrotał sir Walter i przeczytał na głos objaśnienie pod rysunkiem. - „Obok pospolitych znaków runicznych, które odnaleziono niemal we wszystkich klanach i które sięgają piktyjskich korzeni, istniał również szereg kolejnych znaków, które wprowadzono w późniejszym czasie. Przykład takiego znaku stanowi pokazany tu znak runiczny miecza, którego istnienie potwierdzono we wczesnym średniowieczu...”.

- Znak runiczny miecza? - zapytał Quentin, unosząc wysoko brwi.

- Tak, mój chłopcze - przytaknął sir Walter, jednocześnie po raz kolejny przebiegając wzrokiem tekst. - Ten znak oznacza miecz.

- Rozumiem, wuju - twarz Quentina przybrała naiwny wyraz. - I coż to ma znaczyć?

- Tego jeszcze nie wiem, mój chłopcze. Ale uczynimy wszystko, by się tego dowiedzieć. Napiszę list do jednego lub dwóch przyjaciół w Edynburgu. Być może znają kogoś, kto będzie w stanie powiedzieć nam o tym coś więcej. Poza tym o naszym odkryciu powiadomimy też inspektora Dellarda.

- Co? Jesteś pewien, wuju? - zapytał Quentin, a po chwili dodał

niewielkim, ostrożniejszym tonem: - To znaczy, czy rzeczywiście uważasz to



za konieczne?

- Wiem, że nie bardzo mu ufasz, mój chłopcze. I jeśli mam być szczery, ja też jeszcze niezupełnie wiem, co mam o nim sądzić. Jednak to on jest urzędnikiem odpowiedzialnym za ten przypadek i jeśli chcemy, żeby czynił szybkie postępy i jak najszybciej wytropił zabójcę Jonathana, musimy z nim współpracować.

- Naturalnie. Masz rację.

- Natychmiast każe zaprzęgać. Pojedziemy do Kelso w celu poinformowania inspektora Dellarda. Jestem też ciekaw, co powie na nasze odkrycie.

Chociaż zarabiał na życie wymyślaniem opowieści, które przenosiły jego czytelników w inne czasy i miejsca, sir Walter nie był marzycielem. Wielki sukces przyniosła mu nie tylko zdolność przekształcania nieokreślonej tęsknoty za minionymi epokami w słowa, lecz także wyraźne poczucie rzeczywistości.

Nie spodziewał się, że Charles Dellard będzie skakał do góry z radości, słuchając o nowych poszlakach, ani też nie liczył, że okaże mu wdzięczność. Reakcja inspektora była jednak nawet bardziej wstrzemięźliwa, niż spodziewał się Scott.

Siedzieli razem w Kelso w biurze szeryfa Slocombe'a, którego Dellard od niedawna używał jako swój gabinet. Inspektor siedział za szerokim biurkiem z dębowego drewna jak na tronie i kiwał sceptycznie głową, gdy spoglądał na księgę o runach, która leżała otwarta przed nim.

- I to z całą pewnością jest ten znak, który pan widział? - zwrócił się do Quentina, który jak zawsze w obecności Anglika czuł się nieswojo.

-

T... tak, sir - zapewnił, jękając się. - Tak mi się wydaje.

- Wydaje się panu? - w spojrzeniu Dellarda było coś z drapieżnego ptaka. - Czy jest pan pewien?

- Jestem pewien - oznajmił Quentin tym razem mocniejszym głosem. - To jest znak, który widziałem w bibliotece.

- W trakcie naszego ostatniego spotkania nie był pan sobie w stanie o tym przypomnieć. Skąd ta nagła zmiana?

- Cóż - sir Walter przyszedł siostrzeńcowi z odsieczą. -

Powszechnie wiadomo, że wspomnienia po przeżytych szoku powracają dopiero z czasem. Gdy Quentin zwrócił moją uwagę na to, natychmiast przystąpiliśmy do poszukiwań. O rezultacie tych poszukiwań, inspektorze, niniejszym pana informujemy.

- Co zresztą wysoko sobie cenię, moi panowie - zapewnił Dellard, przy czym grymas na jego twarzy zadawał kłam jego słowom. -

Obawiam się tylko, iż nie bardzo wiem, co począć z przedstawioną przez panów poszlaką.

- Dlaczegoż?

- Ponieważ... - zaczął Dellard, a w jego stalowoniebieskich oczach pojawiły się zagadkowe błyski. Przerwał na moment i przez chwilę zdawał się namyślać. - Ponieważ już natrafiłem na trop, którym podążam - wyjaśnił w końcu.

- Aha - skomentował sir Walter i pochylił się, chcąc wiedzieć

więcej. - O jaki to ślad chodzi, jeśli wolno spytać?

-Żałuję, sir, ale nie jestem upoważniony do udzielania informacji na ten temat ani panu, ani nikomu innemu. Jedyne, co mogę panu powiedzieć, to że odkrycie panicza Quentina i znak w tej książce nie mają z tym nic wspólnego.

- Cóż sprawia, że jest pan tego taki pewien, inspektorze? Czy widział pan już wcześniej ten znak? Czy może podążał pan już tym tropem?

-Nie, ja...

Dellard ponownie przerwał, a wprawnemu oku sir Waltera nie uszło uwagi, że inspektor nagle się zdenerwował. Można było przypuszczać, że Dellard coś przed nimi ukrywał. Czy więc przeczucie Quentina było słuszne?

Dellard przenosił wzrok na przemian z jednego gościa na drugiego.

Widocznie zaczęło do niego docierać, że stracił na wiarygodności.

- Wiem - dodał szybko, by oddalić to wrażenie - że to musi brzmieć dziwnie w waszych uszach. Ale proszę was, panowie, żebyście mi zaufali. Nic nie leży mi na sercu bardziej, niż dobro obywateli tego kraju.

- Chętnie daję panu wiarę i jestem przekonany o tym, że motywy, którymi pan się kieruje, inspektorze, są szlachetne - odparł Scott. - Jednakowoż musi pan przyznać, że pojawianie się tego runicznego symbolu jest dziwnym zbiegiem okoliczności.

- Zgadzam się z tym w pełni, sir. Jednak człowiek z pańskim doświadczeniem musi zdawać sobie sprawę, że tego rodzaju przypadki po prostu się zdarzają i nie zawsze znajdują odzwierciedlenie w rzeczywistości. Chcę przez to powiedzieć, że całkowicie daję panu wiarę, iż ten młody panicz widział dw znak w bibliotece. Ale proszę pana, by uwierzył mi, kiedy mówię, że nie ma to żadnego związku z wydarzeniami w bibliotece. Moi ludzie i ja jesteśmy już na tropie prawdziwych sprawców. W stosownym czasie będę pana informował o postępach dochodzenia.

- Rozumiem - odparł przyciśnięty do muru sir Walter.

Liczył się z tym, że Dellard niechętnie skorzysta z pomocy cywilów. Jednak fakt, że inspektor tak skwapliwie odrzucił tę poszlakę, zaskoczył nawet jego.

- A zatem chyba powiedzieliśmy sobie wszystko. Jeśli nie życzy pan sobie korzystać z naszej pomocy, inspektorze, nie możemy pana do tego zmuszać.

Scott gestem dał znak siostrzeńcowi i obaj odwrócili się, zbierając się do wyjścia. Również Dellard podniósł się, jak nakazywała grzeczność, a Quentin wziął ze stołu księgę z runami. Scott i jego siostrzeniec już mieli zamiar opuścić biuro, kiedy inspektor chrząknął. Można było odnieść wrażenie, iż coś jeszcze leżało mu na sercu.

- Sir Walterze? - odezwał się cicho.

-Tak?

- Jest jeszcze coś, o co chciałbym pana prosić - rzekł policjant, a

po jego minie trudno było poznać, co chodziło mu po głowie. -

Mówiąc otwarcie, nie jest to prośba, a raczej konieczność.

- Tak? - powoził pytanie sir Walter.

Zwyczajem Brytyjczyków było długie i pokrętne dochodzenie do sedna, co uchodziło za uprzejmość. On natomiast, jako urodzony Szkot, zawsze preferował bezpośrednie przechodzenie do rzeczy.

- Dochodzenie, które prowadzą moi ludzie i ja, implikuje pewną konieczność - zaczął Dellard, znów nie przechodząc bezpośrednio do tematu. - Nie wolno panu opuszczać Abbotsford.

- O czym pan mówi?

- Mówię o tym, żeby w następnych dniach nie opuszczał pan swojej siedziby, sir, zresztą podobnie jak pański siostrzeniec oraz członkowie pańskiej rodziny i zatrudniona u pana służba.

Sir Walter dostrzegł pytające spojrzenie, które rzucił mu Quentin, lecz nie zareagował na nie.

- Cóż, inspektorze - odparł. - Wychodzę z założenia, iż ma pan uzasadnione powody, skoro żąda pan ode mnie czegoś takiego.

- Mam je, sir, proszę dać mi wiarę. To leży w pańskim najlepiej pojętym interesie.

- Czy nie zamierza mi pan powiedzieć czegoś więcej na ten temat?

Żąda pan, abym nie opuszczał Abbotsford, żebym zamknął się we własnych murach niczym złodziej i wszystkim, co podaje pan jako uzasadnienie, jest twierdzenie, że leży to w moim najlepiej pojętym interesie?

- Żałuję, iż nie mogę panu zdradzić więcej na ten temat - zapewnił chłodno Dellard. - Ale musi pan uszanować fakt, iż jestem związany rozkazami oraz poleceniami z góry. I tak powiedziałem już panu znacznie więcej, niż powinienem. A zatem proszę, sir Walterze. Niech pan zostawi nam dochodzenie i wraz z rodziną siedzi w zamknięciu tak długo, jak będzie to konieczne. W Abbotsford będzie pan najbezpieczniejszy, proszę mi wierzyć.

- Najbezpieczniejszy? Czy grozi mi zatem niebezpieczeństwo?

- Proszę, sir! - głos inspektora przybrał teraz błagalny ton. - Niech pan nie pyta więcej, lecz zrobi to, o co pana proszę. Śledztwo w tej sprawie zaszło już bardzo daleko, ale proszę dać nam wolną rękę.

- Rozumiem - przytaknął Scott. - A zatem nie życzy sobie pan, żebyśmy dalej w jakiegokolwiek formie uczestniczyli w przebiegu dochodzenia?

- To jest zbyt niebezpieczne, sir. Proszę, niech mi pan uwierzy.

- W porządku - zgodził się pan Abbotsford i nie czynił najmniejszych starań, by ukryć obrażony ton głosu. - Quentinie, idziemy. Nie sędzę, by inspektor potrzebował dłużej naszej pomocy.

- Dziękuję panu, sir - odparł Dellard. - I raz jeszcze proszę pana o zrozumienie.

- Rozumiem pana w pełni, inspektorze - zapewnił Scott, gdy stał już w progu. - Ale pan także powinien coś zrozumieć. Jestem przewodniczącym Najwyższego Sądu Szkocji. Jeden z moich studentów został skrytobójczo zamordowany, a mój własny

siostrzeniec o mały włos nie padł ofiarą zabójstwa. Jeśli więc pan poważnie daje wiarę temu, iż skryję się w murach mojego domu i będę czekał w spokoju, to myli się pan bardzo, inspektorze. Jeśli moja rodzina rzeczywiście znajduje się niebezpieczeństwie, jak pan utrzymuje, wtedy z pewnością nie będę siedział z założonymi rękami i nie pozwolę, by inni troszczyli się o bezpieczeństwo moje, lecz dalej będę czynił wszystko, żeby mordercy Jonathana zostali aresztowani. Niech pan podąża swoim tropem i życzę panu przy tym powodzenia. Ale niech pan nie próbuje odwieść mnie od prowadzenia dochodzenia na własną rękę. Życzę miłego dnia.

Wypowiadając te słowa, Scott opuścił biuro szeryfa. Quentin, który pod spojrzeniami Dellarda wił się niczym piskorz, ruszył w krok za nim. Drzwi zamknęły się za nimi z głośnym trzaskiem.

Jeszcze kilka chwil Dellard stał nieruchomo za swoim biurkiem.

Potem ponownie usiadł i sięgnął nad polerowanym blatem stołu do niewielkiej szkatułki, w której Slocombe trzymał indyjską tabakę. Na jego twarzy o surowych rysach pojawił się przy tym uśmiech zadowolenia.

W swoich kręgach Dellard był znany jako błyskotliwy taktyk.

Jedną z jego mocnych stron była umiejętność manipulowania ludźmi i powodowania, by czynili to, czego sobie życzył.

Niekiedy wystarczyło, żeby ich do tego zachęcił. Kiedy indziej zaś - jak w przypadku tych upartych Szkotów - musiał im tylko czegoś zakazać, by zyskać pewność, że uczynią dokładnie to, czego od

nich oczekiwał.

Wszystko szło zgodnie z planem Dellarda.

- Wybacz, wuju - rzekł Quentin i dokładał wysiłków, by utrzymać tempo, jakie sir Walter narzucił tego ranka. - Ale czy było rozsądne zwracanie się do Dellarda w sposób tak oschły i opryskliwy?

- Nie o to chodzi, mój chłopcze - wyjaśnił Scott, którego rozmowa z inspektorem najwyraźniej wzburzyła. - Chodziło mi o mówienie bez ogródek. W każdym razie teraz pan Dellard wie, jakie jest nasze zdanie.

- A jeśli on ma rację? Jeśli rzeczywiście znajdujemy się w niebezpieczeństwie?

- Niebezpieczeństwa nie zlikwiduje się, chowając głowę w piasek i postępując tak, jakby to niebezpieczeństwo nie istniało - stwierdził stanowczo sir Walter. - Wydaje się, że Dellard coś wie, ale nie chce się tym z nami podzielić. Muszę to uszanować. W takim razie będziemy musieli sami wyjaśnić, co się za tym kryje. Czy widziałeś twarz Dellarda, kiedy jego wzrok padł na znak runiczny?

- Ach, nie, wuju.

- Obserwować, Quentinie! Musisz obserwować! Ileż to razy powtarzałem ci, że wielki pisarz nie może chodzić przez życie z zamkniętymi oczyma?! W darze obserwacji leży największa tajemnica naszego rzemiosła.

- Rozumiem. Oczywiście, wuju - odparł speszony Quentin i opuścił głowę zbity z tropu.



Sir Walter zauważył to i w duchu zbeształ sam siebie za to, że tak surowo skarcił młodzieńca. Gdyby sam był szczery wobec siebie, musiałby przyznać, że jego złość nie powinna się obracać przeciw Quenti-nowi, a nawet nie przeciw inspektorowi Dellardowi. To ogólna sytuacja szarpała jego nerwy i sprawiała, że stał się porywczy i apodyktyczny

- u podstaw jego zachowania leżało poczucie, iż znalazł się w labirynie zagadek i nie miał pojęcia, jak znaleźć drogę wyjścia...

- Przepraszam, mój chłopcze - rzekł, a jego twarz, na której przed chwilą jeszcze widniał gniew, znów złagodniała. - To nie twoja wina.

W rzeczywistości...

- Odczuwasz dotkliwie brak Jonathana, nieprawdaż, wuju? -

domyślił się Quentin.

- To także.

- Bez wątpienia stanowił dla ciebie ogromną pomoc. Być może byłoby lepiej, gdybym to ja tamtej nocy został zepchnięty z galerii. A wtedy Jonathan byłby teraz przy tobie i...

- Wystarczy - sir Walter zatrzymał się i chwycił siostrzeńca za ramię. - Pragnę mieć nadzieję, że naprawdę tak nie myślisz.

- Dlaczego nie? - odparł przybity Quentin. - Jonathan był twoim najlepszym studentem. Widzę też, jak bardzo bolejesz nad jego śmiercią. Ja natomiast codziennie jestem dla ciebie powodem gniewu i znoju. Być może byłoby lepiej, gdybyś odesłał mnie z powrotem do Edynburga.

- Czy naprawdę tego chcesz?

Zmieszany Quentin opuścił wzrok ku ziemi i zaprzeczył ruchem głowy.

- W takim razie nie odeślę cię - obiecał zdecydowanym tonem sir Walter.

- Ale czy nie mówiłeś...?

- Być może było tak, że Jonathan był najbardziej utalentowanym studentem, jaki kiedykolwiek mi służył, i przyznaję, że jego śmierć spowodowała wielką pustkę w moim życiu. Ale ty, Quentinie, jesteś moim siostrzeńcem! Już sam ten fakt sprawia, iż zawsze będziesz miał stałe miejsce w moim sercu.

- Nawet jeśli idę przez życie z zamkniętymi oczyma?

- Także wtedy - zapewnił sir Walter i nie mógł powstrzymać uśmiechu. - Poza tym nie możesz zapominać, że to ty jesteś osobą, która wypatrzyła znak miecza. Bez twojej wskazówki nie natrafilibyśmy na trop tajemnicy.

- Przypuszczalnie nie kryje się w tym żadna tajemnica. Inspektor Dellard oznajmił, że moje odkrycie nie ma nic wspólnego z zabójstwem Jonathana i pożarem w bibliotece.

- Tak powiedział - przyznał sir Walter. - Ale kiedy to mówił, w jego oczach dostrzegłem błysk, który w ogóle mi się nie spodobał. Gdybym nie wiedział, że inspektor Dellard jest godnym zaufania i lojalnym funkcjonariuszem państwowym, powiedziałbym, iż nas okłamał.

- Że nas okłamał? - Quentin natychmiast zrobił się czerwony jak

burak.

- Przynajmniej że coś przed nami przemilczał - złagodził nieco ton wypowiedzi sir Walter. - W obu przypadkach rozsądne jednak będzie kontynuowanie dochodzenia na własną rękę. Inspektor Dellard najwyraźniej nie jest nastawiony na współpracę.

- A jeśli jego ostrzeżenie jest słuszne? Jeśli rzeczywiście prowadzenie dalszych dociekań okaże się niebezpieczne?

Spojrzenie, jakie sir Walter skierował w stronę młodego podopiecznego,

zawierało w sobie odrobinę

młodzieńczej

niefrasobliwości i żądzy przygód, którym pan Abbotsford czasami ulegał.

- W takim razie, mój drogi siostrzeńcze - oznajmił z pełnym przekonaniem - będziemy musieli się bronić. Tymczasem jednak jestem bardziej skłonny wyjść z założenia, że nasz drogi inspektor chciał jedynie nieco nas nastraszyć, żeby mieć wolną rękę w prowadzeniu dochodzenia i żeby uparty stary Szkot nie patrzył mu na ręce.

- Tak uważasz?

- Jakkolwiek by było, w tej kwestii nie odniesie sukcesu - dodał z uśmiechem sir Walter, jednocześnie ruszając z miejsca wąskim głównym gościńcem Kelso.

- W takim razie co teraz zrobimy? - zapytał Quentin.

- Udamy się do opata Andrew i poprosimy go o rozmowę. Być może on wie coś więcej na temat runicznego znaku niż Dellard, przecież ten znak znajdował się w jego bibliotece. I być może bardziej niż inspektor doceni chęć współpracy z naszej strony.

- Wciąż jesteś przekonany o tym, że runiczny symbol stanowi klucz do wszystkiego?

-Jestem, mój chłopcze. Nawet jeśli nie potrafią powiedzieć ci dokładnie, skąd bierze się to przekonanie. Po pierwsze, jak na mój gust, jest tu zbyt wiele zbiegów okoliczności. A po drugie, mam nieomyślne przeczucie, że za tą całą sprawą kryje się znacznie więcej, niż do tej pory wyszło na światło dzienne.

Quentin nie odważył się zadać kolejnych pytań. Cała ta sprawa, począwszy od śmierci Jonathana, przez wydarzenia w bibliotece i na odkryciu znaku miecza kończąc, była jego zdaniem zbyt złowieszczą i sprawiała, że jego młode serce biło szybciej. Pewna, jeśli nawet niewielka,

część jego duszy nie miałaaby nic przeciwko temu, żeby wuj odesłał go z powrotem do Edynburga. Jednak inna część, a sir Walter uważał zapewne, że ta właśnie część stanowiła dziedzictwo krwi Scottów, nakłaniała go do pozostania przy wuju i służenia mu pomocą w dalszych dociekaniach. Zastanawiająca mieszanina obawy i żądz przygód ogarnęła go i sprawiała, że miał wrażenie, że w żołądku załagał mu się rój pszczół.

Szli główną ulicą w kierunku kościoła, do którego przylegała

siedziba niewielkiego zakonnego zgromadzenia.

Ponieważ tylko nieliczni premonstratensi żyli w Kelso, ich schronienie było skromne i niepozorne. Każdy z zakonnych braci mieszkał w ciasnej, mizernie umeblowanej celi. Zbierali się w kapitułarzu, który znajdował się obok refektarza, gdzie z kolei spożywali posiłki. Niewielki ogród klasztorny, w którym uprawiano warzywa i zioła, zapewniał im podstawowe produkty spożywcze. Poza tym księżę Roxburghe regularnie polecał zarzynać dla nich wołu albo świniaka.

Chociaż Quentin już wcześniej bywał w bibliotece, była to jego pierwsza wizyta w klasztorze. Poczł swoisty głęboki szacunek, kiedy zastukali w ciężką wejściową furtę. Drzwi otworzyły się z hałasem i pojawiła się wykrzywiona twarz zakonnika o niskim wzroście, w którym Quentin rozpoznał brata Patricka.

Sir Walter poprosił uprzejmie o wybaczenie za najście i zapytał, czy możliwa byłaby rozmowa z opatem Andrew. Brat Patrick przytaknął, wpuścił obu gości i poprosił ich, by zczekali w niewielkim westybulu.

Quentin, który grzecznie zdjął cylinder z głowy i ścisnął go teraz spoconymi dłońmi, spoglądał na bogato zdobione kasetony, jakimi wyłożony był klasztorny przedsionek. Budowla robiąca z zewnątrz wrażenie skromnej nie pozwalała spodziewać się takiego przepychu wewnątrz.

- Sufit jest jednym z niewielu elementów, jakie zdołano uratować z

opactwa w Dryburghu - wyjaśnił sir Walter, który zauważył zdumienie na twarzy Quentina. -Jeśli przyjrzałbyś się dokładnie, dostrzegłbyś tu i ówdzie ślady sadzy. Anglicy nie obeszli się zbyt łagodnie ze starym opactwem.

Quentin przytaknął. Przypomniawszy sobie, co wuj opowiadał mu o krwawych wydarzeniach w okresie ruchów reformacyjnych. W 1544 roku Anglik Somerset najechał ze swoimi wojskami na południową Szkocję i przez trzy lata przebywał w kraju, siejąc pożogę i spustoszenie. Opactwo w Dryburghu padło ofiarą jego żądzy zniszczenia jeszcze w pierwszym roku wojny i już nigdy nie zostało odbudowane. Teraz jedynie ruiny, chociaż dumne, usytuowane na północ od Jedburgha przypominały o dawnej świetności.

Nagle z korytarza dobiegł odgłos kroków i pojawił się opat Andrew. Na jego ascetycznej twarzy zawitał łagodny uśmiech, kiedy dostrzegł Scotta i jego siostrzeńca.

- Sir Walter, cóż za niespodziewana radość. I młody panicz Quentin też tu jest.

- Pozdrawiam cię, opacie Andrew - odparł Scott i wraz z siostrzeńcem uklonił się. - Czy nasza wizyta rzeczywiście będzie źródłem radości, to się dopiero okaże.

- Czuję, że coś leży ci na sercu, mój przyjacielu. O co chodzi? Czy mogę ci pomóc?

- Wyznając otwarcie, z taką nadzieją tu przybyliśmy, wielbny opacie. Czy może nam wasza wielbność poświęcić nieco swego

cennego czasu?

Opat uśmiechnął się zasępiony.

- Mój przyjacielu, odkąd bibliotekę strawiły płomienie, niewiele zostało już tego, o co mogliby się zatroszczyć moi współbracia i ja.

A zatem z radością wysłucham tego, co masz mi do powiedzenia.

Proszę, chodźcie ze mną do mojej pracowni.

Po tych słowach odwrócił się i ruszył przed gośćmi wąskim korytarzem prowadzącym do holu, którego nieotynkowane mury z naturalnego kamienia prowadziły do drewnianych schodów, biegnących na pierwsze piętro. Sir Walter i Quentin ruszyli za opatem Andrew na górę, przy czym Quentin wzdrygał się za każdym razem, kiedy stopnie schodów skrzypiały głośno pod jego stopami.

Na górnej kondygnacji znajdowały się cele mnichów oraz pracownia opata, który oprócz nadzoru nad współbraćmi zobowiązany był również do zarządzania niewielkim zakonnym zgromadzeniem.

Opat Andrew otworzył drzwi, zaprosił uprzejmie gości do środka i wskazał im miejsca przy długim stole, który znajdował się pośrodku niskiego, rozjaśnionego przez jedno wąskie okno pomieszczenia.

- A zatem? - zapytał, gdy wszyscy zasiedli. - Cóż was do mnie sprowadza, moi panowie?

- Ta księga - rzekł w odpowiedzi sir Walter i gestem polecił Quenti-  
nowi, by położył wolumin na stole i otworzył na odpowiedniej stronie.

Młody człowiek z pewnym szacunkiem dźwignął księgę na stół.

Minęła chwila, zanim odnalazł stronicę z symbolem runicznym miecza.

W końcu otworzył księgę i przesunął ją w kierunku opata Andrew.

Mnich, który nie bardzo wiedział, czego ma się spodziewać, rzucił przelotne spojrzenie na rysunek, a sir Walter zauważył nerwowy grymas, jaki przebiegł po jego odprężonej twarzy.

- Skąd pan to ma? - zapytał zakonnik.

- Zna opat ten znak? - odpowiedział pytaniem sir Walter.

- Nie - opat Andrew nieco zbyt pospiesznie zaprzeczył ruchem głowy. - Ale widziałem już kiedyś podobne znaki. To jest znak runiczny, prawda?

- Runiczny, w rzeczy samej - przytaknął sir Walter. - Taki sam symbol, jaki Quentin dostrzegł wyryty na podłogowej desce na galerii tuż przed tym, jak biblioteka stanęła w płomieniach. Swoją drogą to taki sam znak jak ten będący godłem rzemieślnika wypalonym na jednym z moich sufitowych kasetonów, które pochodzą z kościoła klasztornego w Dunfermline.

- Rozumiem - rzekł opat. - Godny uwagi zbieg okoliczności.

- Być może nawet coś więcej - sir Walter zawiesił głos. - Właśnie dlatego, żeby to stwierdzić, jesteśmy tutaj, wielbny opacie. Czy może nam ojciec powiedzieć coś więcej na temat tego znaku?

- Na temat tego znaku? - opat Andrew przez chwilę sprawiał wrażenie zamyślnego. - Nie - odparł w końcu. - Żałuję, sir Walterze.

Nie jestem w stanie panu pomóc.

- Mimo faktu, że znak ten znajdował się w bibliotece, nad którą ojciec sprawował pieczę?



- Jak pan wie, mnisi mojego zakonu nie byli budowniczymi tej biblioteki.

- To się zgadza, ale biblioteka znajdowała się pod ojca administracją, a Quentin jest przekonany, że znak ten widział pod regałem, w którym brakowało jednej książki. Być może była to wykradziona książka. Brakująca poszlaka w sprawie morderstwa Jonathana Milтона.

- Czy to prawda, paniczu Quentinie? - opat Andrew spojrzał pytająco na Quentina, a w jego spojrzeniu dało się dostrzec zdecydowanie, które jednocześnie wymuszało respekt i nie bardzo pasowało do mnicha.

- Tak, wasza wielbność - odparł młody człowiek, jak gdyby zeznawał przed sądem.

- Czy ma ojciec jakieś podejrzenia, która książka zniknęła? - zapytał sir Walter. - Proszę, wielbny opacie, to bardzo ważne.

Ponieważ biblioteka spłonęła doszczętnie, niestety nie potrafimy zweryfikować naszych przypuszczeń. Jedynym, co nam pozostało, jest pamięć.

- A niekiedy i ona nas zawodzi - odrzekł zagadkowo opat. -

Przykro mi, sir Walterze. Nie jestem w stanie pomóc panu ani pańskiemu siostrzeńcowi. Nie potrafię panu powiedzieć nic ani o tym znaku runicznym, ani o księdze, którą prawdopodobnie skradziono z biblioteki. Wszystko to uszło z dymem podczas pożaru. I niech pan na tym poprzestanie.

- Tego nie mogę zrobić, wielebny opacie - sprzeciwił się

uprzejmie, acz zdecydowanie sir Walter. - Przy całym szacunku, jakim darzę pański urząd i pański zakon, jeden z moich uczniów został zamordowany w bibliotece będącej pod ojca pieczę. O mały włos także mój siostrzeniec nie przeniósł się na tamten świat. Nawet inspektor Dellard zdaje się nie mieć żadnych wątpliwości, że równie sprytny, co pozbawiony skrupułów morderca grasuje w Kelso. Nie spocznę, dopóki nie zostanie odnaleziony i nie spotka go sprawiedliwa kara.

- Szuka pan zemsty? - spytał opat z lekką przyganą w głosie.

- Szukam sprawiedliwości - sprostował sir Walter.

Mnich przyglądał mu się długo i przenikliwie. Nie można było wyczuć, o czym wtedy myślał.

- Jakkolwiek by było - odezwał się w końcu - pańskie spostrzeżenia wydają mi się bardziej odpowiednie dla inspektora i jego ludzi. Jak być może pan się domyśla, Dellard był już tutaj i zadał mi parę pytań. Odniosłem wrażenie, że sprawa, trafiając do niego, znalazła się w dobrych rękach.

- Możliwe - przyznał sir Walter. - Choć możliwe, że nie. Inspektor Dellard wydaje się mieć własną teorię dotyczącą tej sprawy.

- Czy zatem jest już na tropie sprawcy?

- Albo podąża błędnym tropem. Fakty są zbyt niejasne, by już teraz mówić o czymkolwiek z dużą dozą pewności. Jednak wiem, że mogę polegać na swoim siostrzeńcu, wielebny opacie. Kiedy Quentin twierdzi, że widział ten znak, to ja mu wierzę. Wie ojciec, co on

oznacza?

- Skąd miałbym wiedzieć? - pytanie opata zabrzmiało

nadspodziewanie uszczypliwie.

- To jest znak miecza, symbol z wczesnego średniowiecza, a więc z czasów, w których twój opacie, poprzednicy wypłenili już pogaństwo.

- Nie ma w tym nic niezwykłego. W wielu częściach Szkocji pogańskie tradycje i obrzędy utrzymywały się do szesnastego wieku -

opata Andrew uśmiechnął się. - Zna pan przecież upór, jaki niekiedy przypisuje się naszym rodakom.

- Być może. Ale coś, niech ojciec nazwie to przecuciem czy wewnętrznym głosem, mówi mi, że za tym znakiem kryje się coś więcej. To nie jest wyłącznie symbol runiczny, przekazany tradycją znak, którego znaczenie dawno zapomniano. To jest symbol.

- Symbol zawsze powinien coś oznaczać, sir Walterze - wtrącił opat i badawczo przyjrzał się Scottowi. - Co więc ma wyrażać ten znak miecza?

- Tego nie wiem - przyznał pan Abbotsford, prychnąwszy. - Ale przysiągłem sobie, że się dowiem. Choćby dlatego, że jestem to winien Quentinowi i biednemu Jonathanowi. I żywiłem nadzieję, że ojciec nam w tym pomoże.

- Żałuję - opat Andrew westchnął i wolno pokiwał głową, której skronie nieco przyprószyła już siwizna. - Wie pan, sir Walterze, że darzę pana przyjaznymi uczuciami, do tego jestem prawdziwym wielbicielem pańskiej sztuki. Jednakże w tej sprawie nie jestem w stanie panu

pomóc. Chcę panu powiedzieć tylko jedno. Proszę zostawić przeszłość w spokoju, sir. Niech pan spogląda przed siebie i raduje się tymi, którzy są przy życiu, zamiast wspominać zmarłych. To moja serdeczna i życzliwa rada. Proszę, niech pan weźmie ją sobie do serca.

- A jeśli nie?

Łagodny, odrobinę wyniosły uśmiech powrócił na twarz opata Andrew.

- Nie mogę pana do tego zmusić. Każde stworzenie boskie ma prawo swobodnie podejmować decyzje. Jednak usilnie pana proszę, sir Walterze, niech pan podejmie właściwą decyzję. Proszę zaniechać tej sprawy i pozostawić dochodzenie inspektorowi Dellardowi.

- To jest *twoja* rada, ojcze? - zapytał otwarcie sir Walter. - Czy też przekazuje mi ojciec wyłącznie to, co polecił ojcu Dellard?

- Inspektor zdaje się troszczyć o pańskie dobro, a tę troskę podzielam i ja - odparł spokojnie opat Andrew. - Niech pan to potraktuje jako ostrzeżenie, sir Walterze. Runy to pogańskie znaki pochodzące z czasów pogrążonych w ciemności. Nikt nie wie, jakie skrywają tajemnice czy też jakie mroczne zamiary i myśli mogą zrodzić. Tego zagrożenia nie wolno w żadnym razie lekceważyć.

- O czym mówisz, ojcze? O przesądach? Ty, opacie? Zakonnik?

- Mówię o rzeczach, które są starsze niż pan i ja. Starsze niż te mury i ten klasztor. Zło, sir Walterze. Zło nie jest wcale urojeniem. Istnieje tak samo realnie jak wszystko inne i wciąż próbuje wodzić nas na pokuszenie. Czasem także - wskazał na księgę, która leżała otwarta

na stole - wysyłając nam osobliwe znaki.

Głos opata coraz bardziej cichł, aż przeszedł w szept. Gdy skończył mówić, można było odnieść wrażenie, jakby zgasł skwierczący płomień. Quentin, który przy słowach mnicha zbladł jak kreda, poczuł lodowaty dreszcz.

Spojrzenie sir Waltera napotkało wzrok opata i przez moment obaj mężczyźni wpatrywali się w siebie.

- Dobrze - powiedział w końcu Scott. - Zrozumiałem. Dziękuję za twoje szczere słowa, wielebny opacie.

- Zostały wypowiedziane z pełną powagą. Proszę się do nich dostosować, mój przyjacielu. Niech pan nie podąża dalej tropem tego znaku. Radzę to dla pańskiego dobra.

Sir Walter skinął tylko głową. Potem podniósł się, zamierzając wyjść.

Opat Andrew osobiście odprowadził obydwu gości do klasztornej furty. Pożegnanie było krótsze i mniej wylewne niż powitanie. Słowa, które padły, wciąż jeszcze dźwięczały w uszach.

Na ulicy Quentin przez dłuższą chwilę nie śmiał przemówić do wuja. Wbrew swojemu nawykowi sir Walter najwyraźniej nie odczuwał potrzeby podzielenia się swoimi przemyśleniami. Dopiero gdy dotarli z powrotem na wiejski plac, gdzie czekał powóz, Quentin przerwał milczenie.

- Wuju? - zaczął nieśmiało. -

Tak, siostrzeńcze?

- To było już drugie ostrzeżenie, jakie otrzymaliśmy, czyż nie?

- Tak się wydaje. Quentin powoli

skinął głową.

- Wiesz - odezwał się po chwili. - Im więcej o tym myślę, tym

bardziej oczywistym wydaje mi się, że musiałem się pomylić. Może

to wcale nie był ten znak, który widziałem. Może był to zupełnie inny

znak.

- Przemawia przez ciebie pamięć czy może raczej strach?

Quentin zastanawiał się przez moment.

- Mieszanina jednego i drugiego - odparł, nieco zwlekając, co

wywołało śmiech sir Waltera.

- Pamięć, siostrzeńcze, nie zna strachu. Sądzę, że wiesz dokładnie,

co widziałeś, i opat Andrew również to wie. Obserwowałem go, gdy

jego spojrzenie padło na symbol miecza. On zna ten symbol, jestem

tego pewien. I wie również, jakie jest jego znaczenie.

-Ależ wuju, chcesz przez to powiedzieć, że opat Andrew nas

okłamał? Człowiek w habitcie?

- Mój chłopcze, w pełni ufam opatowi Andrew i jestem pewien,

że nigdy nie uczyniłby niczego, co mogłoby nam zaszkodzić. Ale bez

wątpienia wie więcej, niż był łaskaw nam wyjawić...

Ze szczytu wzgórza jeździec obserwował gościniec, który prowadził z Jedburgha na południu do Galashiels na północy i w okolicach Newtowns przecinał wąwóz, jaki rzeka Tweed od tysięcy lat złościła w miejscowym krajobrazie. W tym miejscu łagodne pagórki kończyły się nagle spadzistym urwiskiem. Strome ściany z gliny i piasku obejmowały wąskie w tym miejscu koryto rzeki, które spoczywało wiele metrów poniżej mostu. Odważna, a jednocześnie robiąca wrażenie delikatnej architektura połączonych ze sobą pni drzew dźwigała konstrukcję mostu.

Zaledwie osiemset metrów na południe od drewnianego mostu znajdowało się skrzyżowanie szlaków wiodących z Jedburgha i Kelso. Ze szczytu wzgórza rozciągał się dobry widok zarówno na skrzyżowanie, jak i na mostową przeprawę. Jeździec nie potrzebował zatem czynić niczego poza oczekiwaniem. Swoje ponure dzieło zaplanował już w pełni.

Miał na sobie opończę z ciemnozielonej wełny, która pozwalała mu zlać się w jedno z otoczeniem i sprawiła, iż był prawie niewidoczny pod nisko zwieszonymi gałęziami drzew. Na twarzy nosił maskę z materiału, w którym tylko wycięto wąskie szczeliny na oczy, reszta twarzy była zasłonięta - była to kolejna wskazówka sugerująca, że człowiek ten knuł coś złego i podstępnego.

Mężczyzna był zdyszany. Szeroki tors pod opończę unosił się i

opadał gwałtownie, a sierść jego karego konia lśniła od potu. Ledwie wystarczyło mu czasu, aby wprowadzić w czyn zadanie, które mu powierzono. Wszystko musiało przebiegać szybko, nie można było zwlekać. Kiedy powóz jadący od strony Kelso minie skrzyżowanie, nie będzie już odwrotu.

Przed paroma minutami od wschodniej strony ku niebu uniósł się znak dymny, który oznaczał, że powóz Scotta wyjechał już z lasu.

Zatem wkrótce powinien dotrzeć do skrzyżowania.

Jeździec wyprostował się w siodle i spoglądał uważnie między gałęziami, chcąc raz jeszcze upewnić się, że konstrukcja mostu nie budzi podejrzeń. Było to ważne, jeśli zejście ze świata Waltera Scotta miało wyglądać na tragiczny wypadek.

Ostatnie godziny człowiek w masce oraz jego ludzie spędzili na majstrowaniu przy moście w taki sposób, żeby konstrukcja runęła pod odpowiednio dużym ciężarem. Z uwagi na delikatną konstrukcję mostu zadanie to nie było specjalnie trudne. Gdy tylko kilka belek, które dźwigały most, ulegnie naporowi i złamie się, cała konstrukcja zawali się i runie w dół, a wraz z nią wszystko, co będzie się na niej znajdowało.

Scott popełnił brzemienne w skutki błąd. Prowadząc własne śledztwo i kierując się ciekawością, doprowadził do tego, iż potężni ludzie poczuli się zagrożeni. Zamaskowany jeździec otrzymał zadanie usunięcia tego zagrożenia z powierzchni ziemi w sposób ostateczny, nie budząc jednocześnie żadnych podejrzeń.



Zawalony most bez wątpienia wywoła wiele pytań, być może nawet znów rozgorzeje dysputa między landlordami a rządem, a obie strony będą się nawzajem obwiniać o to nieszczęście. Jednak przy tym wszystkim nikt nie będzie stawiał pytań na temat przyczyn śmierci sir Waltera Scotta - dokładnie tak, jak życzyli sobie tego ci, którzy zapłacili człowiekowi w masce.

Oczy jeźdźca zwęziły się, kiedy od południowego wschodu usłyszał uderzenia końskich kopyt oraz pobrzękiwanie uprzęży, jakie niósł ze sobą wiatr. Niemal jednocześnie rozległ się krzyk sójki, co było umówionym sygnałem.

Pięść człowieka w masce zacisnęła się w geście triumfu. Scott i jego siostrzeniec nie mieli żadnej szansy, nie przeczuwali nawet, że zbliżają się do śmiertelnej pułapki. Kiedy most zawali się, zginą albo pod jego częściami, bądź też utopią się w nurtach rzeki, która o tej porze roku niosła dużo wody.

Czyż Scott nie powiedział kiedyś, że chciałby umrzeć, spoglądając na swoją ukochaną rzekę Tweed? Twarz człowieka w masce wykrzywiła się w szyderyczym uśmiechu. Przynajmniej to jego życzenie zostanie spełnione.

Jeździec skierował wzrok na południe, ku skrzyżowaniu traktów.

Spodziewał się, iż lada moment zza wzgórz wyłoni się powóz Scotta.

Był tego tak bardzo pewien, że w myślach już liczył sztuki monet, które obiecano mu za to morderstwo - kiedy w jednej chwili wszystko się odmieniło.

Rozległy się ponownie okrzyki sójki, tym razem bardziej przenikliwe, i to dwa razy pod rząd, a na rozstaju dróg rzeczywiście pojawił się powóz, jednakże nie nadjeżdżał drogą od strony Kelso, lecz z Jedburgha, i było pewne, iż dojedzie do mostu jeszcze przed powozem Scotta.

Zamaskowany mężczyzna zaklął paskudnie, co zdradziło jego niskie urodzenie. Czyż nie polecił swoim ludziom, którzy czatowali przed skrzyżowaniem gościńców, żeby dopilnowali, aby żaden inny powóz nie przejechał traktem?

Wzrok najemnego zabójcy przesunął się gorączkowo z mostu na skrzyżowanie. Nie ulegało wątpliwości, że obca karoca dotrze do mostu przed Scottem, a jej pasażerowie spadną w przepaść zamiast wścibskiego pisarza. Za to zaś mocodawcy mu nie zapłacą...

Mężczyzna na koniu wpadł w panikę. Zeskoczył szybko z siodła i pobiegł pod nisko zwieszonymi gałęziami jesionu. Chociaż ryzykował, że zostanie dostrzeżony, dawał znaki tym, którzy ukryli się w krzakach po obu stronach traktu. Gestykulując gwałtownie, wskazywał na kierunek, z którego za kilka chwil wyłoni się drugi powóz.

Gorączkowe

spojrzenie

skierowane

ku

skrzyżowaniu

podpowiedziało mu, że obcy powóz minął miejsce, gdzie gościniec

stykał się z traktem z Kelso, i jechał już prosto w stronę mostu. Była to dwukonna kareta, na koźle siedział tylko jeden stangret, a kufry, którymi wyładowany był powóz, pozwoliły zamaskowanemu bandycie wywnioskować, że to podróżni, być może Brytyjczycy z południa. Z jego ust wydobyło się kolejne siarczyste przekleństwo. Jeśli w tragicznym wypadku zginą Brytyjczycy, cała sprawa wzbudzi nieporównanie większą sensację niż w przypadku Szkotów.

Chwilę potem herszt bandy zabójców dostrzegł swoich ludzi mknących traktem od strony Jedburgha - sześć osób, które dosiadły koni i pędziły, jak gdyby gonił ich szwadron dragonów. Najwyraźniej wykazali brak czujności i przepuścili powóz, a teraz gnali za nim i usiłowali go prześcignąć.

Być może, pomyślał człowiek w masce, nie wszystko jeszcze jest stracone.

Mary Egton wciąż jeszcze była pod wrażeniem okrutnych wydarzeń, które rozegrały się w Jedburghu. Widok mężczyzn, którzy wisieli martwi na szubienicy, nie mógł wyjść z jej głowy i po raz kolejny zadała sobie pytanie, jakież to przestępstwo popełnił stary człowiek z zajazdu oraz jego towarzysze, że w trybie natychmiastowym spotkała ich śmierć na stryczku na rynku osady.

W tym surowym kraju po tej stronie granicy, powiedziała sobie, panowały inne prawa niż w jej ojczyźnie. Mary nigdy wcześniej nie widziała człowieka, który wisiał na szubienicy, i te potworne przeżycia gnębiły ją - zupełnie inaczej niż Kitty, której prostoduszność pomagała

szybko zapominać o tak drastycznych rzeczach.

- O co chodzi, milady? - zapytała z uśmiechem. - Czy wciąż jeszcze ubolewa pani nad losem tamtych ludzi?

Mary przytaknęła.

- To nie może wyjść z mojej głowy. Nie potrafię zrozumieć, dlaczego ich stracono.

- Ja również tego nie wiem, milady. Ale jestem pewna, że musiały być ku temu poważne powody. Być może byli poszukiwanymi przestępcami. A być może - z przerażeniem zakryła usta dłonią - ten dziwny starzec, który wczorajszego wieczora dotrzymywał pani towarzystwa w zajezdzie, okazał się mordercą i uszła pani, milady, śmierci!

- Być może - przyznała Mary z namysłem. - Chodzi tylko o to, że ten człowiek wcale nie wyglądał na zabójcę.

- Oni nigdy nie wyglądają na zabójców, milady - odparła pokojówka rzeczowo. - W przeciwnym razie na pierwszy rzut oka rozpoznawano by ich i w ogóle nie dochodziłoby do zabójstw.

- Przekonałaś mnie - odparła Mary i nie mogła powstrzymać uśmiechu.

Naiwne

usposobienie

Kitty

pomogło jej odrobinę w

przewyciężeniu przygnębienia, jakie ją opanowało.

- Ale przecież patrzyłam w oczy temu staremu Szkotowi i to, co tam widziałam...

Przenikliwy krzyk wydobywający się z ust Kitty przerwał jej.

Powozem nagle coś szarpnęło do przodu. Mary poczuła, jak jej ciało usadowione na ciemnym aksamicie raptownie zostało dociśnięte do siedzenia. Usłyszała też głośny stukot kopyt, a do tego trzask bata.

- Co to ma znaczyć? - zapytała przerażona Kitty.

Mary potrząsnęła głową. Chociaż powóz mocno się kolebał i podskakiwał na dziurach i wybojach, od których roił się gościniec, podniosła się z siedzenia, chwyciła ramy okna, opuściła szybę i wyjrzała na zewnątrz.

Nieco z przodu dostrzegła most, w kierunku którego powóz mknął z ogromną szybkością - spojrzenie do tyłu pozwoliło jej dostrzec sześciu konnych, którzy galopowali za nimi. Mężczyźni mieli na sobie obdarte odzienie i szerokie opończe, które łopotwały wokół ich wychudzonych sylwetek, na głowach mieli kapelusze o szerokich rondach. Ich twarze, przesłaniały maski.

To, co Mary zobaczyła, raziło ją niczym grom z jasnego nieba.

Bandyci!

Napad!

Zszokowana cofnęła się gwałtownie i opadła na siedzenie. Kitty, która w bladym od trwogi obliczu swej pani dostrzegła przerażenie, nie zdążyła nawet zapytać o powód. W następnej bowiem chwili ciszę w dolinie przerwał wystrzał.

- Co to było?

Sir Walter, który siedział wraz z Quentinem w powozie wiozącym ich z powrotem z Kelso do Abbotsford, wzdrygnął się. Wciąż jeszcze zastanawiał się nad tym, jakie powody mógł mieć opat Andrew, by przemilczeć fakt, że z całą pewnością wiedział coś więcej na temat znaku miecza i tajemniczych wydarzeń w bibliotece, gdy huk sprowadził go nagle na ziemię.

- Co? - zapytał Quentin z właściwą sobie prostodusznością.

- O czym mówisz?

- O tym hałasie sprzed chwili, o tym huku.

- Niczego nie słyszałem, wuju.

- Ale ja słyszałem - zapewnił sir Walter złowrogim tonem. - I znam ten odgłos. To był wystrzał, mój chłopcze.

- Wystrzał? - zapytał Quentin z niedowierzaniem, kiedy znów dobiegł odgłos, jaki przed chwilą usłyszał sir Walter.

- Wystrzały - zawołał jego wuj i rzucił się do okna, by wyrzeć na zewnątrz.

W tym momencie dojeżdżali do skrzyżowania, w miejscu gdzie ich trakt łączył się z gościńcem Jedburgha i prowadził dalej w kierunku mostu. Sir Walter z zapartym tchem patrzył, jak zgraja konnych w powiewających opończach ściga inny powóz, którego stangret strzelał z bata i zdawał się czynić wszystko, co możliwe, by ujść pościgowi.

- Napad - zawołał sir Walter osłupiały. - Zuchwali rabusie w biały dzień!

Quentin stęknął przerażony. Jednak zamiast wzorem wuja pośpieszyć do okna i upewnić się, co dzieje się na zewnątrz, rzucił się odruchowo na podłogę powozu, kryjąc głowę w ramionach. Po wydarzeniach w bibliotece oraz po złowieszczym ostrzeżeniu, jakie usłyszał z ust opata Andrew, napad uzbrojonych rabusiów stanowił zbyt wielkie wyzwanie dla jego mocno nadwerężonych nerwów.

Sir Walter zastanawiał się, co można było zrobić - okolica Galashiels uchodziła za bezpieczną, więc zarówno on, jak i jego stangret nie mieli ze sobą broni - kiedy pojawiło się nowe zagrożenie. Od strony mostu zgraja zbirów wyskoczyła z krzaków na gościniec. Postacie w łachmanach, jak te na koniach, które zasłoniły twarze maskami i zagroziły drogę powozowi. W ręku ich herszta sir Walter dojrzał duży pistolet skałkowy, z którego podwójnej lufy błysnął ogień...

Winston Sellers trzaskał z bata i nieustępliwie zmuszał zaprzężone do powozu konie do pośpiechu. Ich kopyta zdawały się już unosić nad kamiennym traktem. Ściągną i mięśnie pracowały usilnie pod błyszczącą od potu sierścią, jednak stangret nie dawał zwierzętom ani chwili wytchnienia.

Od trzech pokoleń członkowie rodziny Sellersów służyli w domu rodu Egton i nigdy ich lojalność w stosunku do rodziny w najmniejszym stopniu nie ucierpiała. Zawsze pozostawali wierni rodzinie Egton i zawsze trwali przy ich boku - nawet wtedy, gdy

dziadek lady Mary lord Warren Egton wyruszył do kolonii w Ameryce Północnej, gdzie jako oficer walczył ze zbuntowanymi separatystami. Dlaczego Winstonowi te wspomnienia przemknęły przez głowę właśnie teraz, gdy siedział na koźle rozchybotanej karety i niestrudzenie popędzał konie, tego stangret tak naprawdę nie wiedział. Być może dlatego, że w tym momencie uświadomił sobie odpowiedzialność, jaka spoczęła na jego barkach.

Być może Mary Egton nie zawsze zachowywała się tak, jak powinna zgodnie z wyobrażeniami Winstona zachowywać się prawdziwa lady. Jej skłonność do zbywania machnięciem ręki wszystkiego, co było powszechnie szanowane i zgodne z obyczajem, często wprawiała go w zakłopotanie. Jednakże w stosunku do niego zawsze była sprawiedliwa i troskliwa. To znacznie więcej, niż wielu służących mogło oczekiwać od swich państwa. Stangret był więc zdecydowany desperacko bronić jej życia do ostatniego tchu i uczynić wszystko, by nie wpadła w łapska bandytów.

Rozgorączkowanym wzrokiem spojrzął do tyłu, zobaczył jeźdźców, którzy ścigali karoce, i dostrzegł budzące trwogę maski na ich twarzach. Winston jeszcze nigdy nie był ścigany przez rabusiów i do tej pory nikt nigdy nie dybał na jego życie. Jednak pierwszy wystrzał dał mu jasno do zrozumienia, że ci ludzie wcale nie żartowali i że nie mógł pozwolić na to, aby obie kobiety zostały wydane na pastwę bandziorów.



Raz za razem strzelał z bata. Kopyta koni uderzały z hukiem w nierówną nawierzchnię gościńca, a karoca podskakiwała, gdy koła wjeżdżały na kamienie lub dziury, zgrzytając przy tym żałośnie.

Winston mógł jedynie żywić nadzieję, że pojazd zdoła wytrzymać tę ciężką próbę. Jeśli jakieś koło odpadnie lub złamie się ośka, wszystko będzie stracone. Jediną realną szansą ucieczki przed zbirami było dotarcie do mostu, który znajdował się już niedaleko przed nimi i po którego drewnianych belach powóz mógł przejechać znacznie szybciej.

Znów rozległ się wystrzał. Winston instynktownie wcisnął głowę między ramiona, wiedząc dobrze, że siedząc na koźle, stanowił łatwy cel. Jednak ołowiana kula wystrzelona w jego kierunku przez zbira chybiła. Stangret odetchnął z ulgą, ale wstrzymał oddech, kiedy ponownie się obejrzał. Prześladowcy już prawie ich doganiali, znajdowali się zaledwie o dziesięć, piętnaście metrów za karocą.

Musiał wydusić resztki sił z koni, jeśli chciał dotrzeć do mostu, zanim go dościgną. Znów zamierzał strzelić z bata, gdy spostrzegł, jak zarośla po obu stronach traktu rozdzieliły się i wyskoczyło z nich wiele zamaskowanych postaci uzbrojonych w pistolety i szable.

W pierwszym instynktownym odruchu Winston chciał ściągnąć lejce, by ominąć ludzi, którzy zagrodzili mu drogę. Jednakże w następnej chwili zdał sobie sprawę, że w ten sposób zmarnuje ostatnią szansę ujścia zbirom. Była tylko jedna droga: pozostać na gościńcu, nie zwalniać tempa i przebić się przez kordon rabusiów.

Winston Sellers nie był specjalnie dzielny czy zdeterminowany

człowiekiem, jednak sytuacja sprawiła, że takim się stał. Wprostował się na kozła, gdy strzelił z bata i ponaglił konie głośnymi okrzykami. Bandyci na gościńcu zaczęli głośno wrzeszczeć, a Winston zobaczył, jak jeden z nich unosi pistolet. Ułamek sekundy później szczęknął zamek skałkowy i broń wystrzeliła. Stangret poczuł piekący, kłujący ból w lewym ramieniu. Uderzenie było tak silne, że odrzuciło go na tył kozła, jednak nie puścił lejców ani nie przestał strzelać z bata.

Pistolet herszta bandy wystrzelił jeszcze raz. Z drugiej lufy wyleciała kolejna kula, która jednak chybiła. W tym momencie powóz dotarł do grupy zbirów. Czterech z nich rzuciło się na boki z głośnym wrzaskiem, jednak strzelec nie był dostatecznie szybki. Dosięgły go kopyta koni i rzuciły na ziemię, a tuż potem przetoczyły się po nim ciężkie koła karocy.

Chwilę później powóz dotarł do mostu i pomknął jak strzała po wygładzonych od deszczu balach. Mimo bólu, jaki mu doskwierał i krwi płynącej z rany, Winston Sellers wydał z siebie głośny okrzyk ulgi. Ulgi, która trwała jedynie ułamek sekundy.

W następnej chwili bowiem poczuł, jak belki konstrukcji mostu uginają się pod ciężarem powozu, usłyszał stękanie drewna, a pozorny ratunek okazał się śmiertelną pułapką.

Działo się to tak szybko, że nawet obdarzony bystrym umysłem sir Walter nie nadązał za biegiem zdarzeń.

W tym momencie powóz, którego woźnica musiał być człowiekiem niezwyklej przytomności umysłu, przebił się przez kordon zbójców,

którzy nieoczekiwanie zagrodzili mu drogę, i wjechał z dużą prędkością na most.

Niemal równocześnie bandyci przestali atakować i rozpierzchli się niczym stado kur czmychających przed lisem. Jeźdźcy podjechali i pozwolili swoim kamratom, którzy uciekali pieszo, wskoczyć na końskie grzbiety. Pozostawili tylko jednego bandytę, którego przejechał powóz. Potem spięli konie ostrogami i ruszyli w stronę wzgórz, gdy nagle rozległ się przeraźliwy, przenikliwy trzask.

Sir Walter skierował wzrok w stronę mostu i był świadkiem niepojętych wydarzeń.

Ledwie karoca wymknęła się bandziorem, jej pasażerowie znaleźli się w kolejnym śmiertelnym niebezpieczeństwie. Gdy pojazd dotarł na środek mostu, jego konstrukcja zaczęła się walić.

Z miejsca, z którego sir Walter obserwował tę scenę, nie można było dostrzec, w którym momencie wszystko się zaczęło. Z przerażającym trzaskiem jedna z nośnych belek złamała się. Ogromny ciężar, który spoczywał na drewnianych filarach i belkach nośnych rozpiętych ponad nurtem rzeki Tweed został w ten sposób z jednej strony naruszony.

Statyczna konstrukcja utraciła tym samym równowagę i z głośnym jak grzmot trzaskiem most zaczął się walić.

Dokładnie w tym miejscu, gdzie znajdowała się dorożka, belki nośne zaczęły pękać. W miejscu załomu połamały się również bele tworzące trasę przejazdu. Drewniane bale runęły w dół i uderzyły w

nurt, który spieniony poniósł je ze sobą. Koła powozu wpadły w dziury, jakie pozostawiły po sobie brakujące bale, a galop koni został nagle wyhamowany.

Zwierzęta rżały w przerażeniu, ich dziki pęd został nagle zatrzymany. Zdjęte paniką szarpały się w uprzęży, wciąż popędzane gorączkowymi okrzykami stangreta, który z wysokiego siedzenia prawie nie widział, co się działo. W tym momencie cała środkowa część konstrukcji zaczęła się zapadać. Niczym w łańcuchowej reakcji filary zaczęły pękać jeden po drugim. Belki nośne łamały się jak zbutwiałe gałęzie, a most załamał się w połowie swej długości.

Główne dźwigary pękały z ogromnym hukiem, nawierzchnia mostu wyłożona grubymi belami popękała i spadała do wody, szczelina powiększała się z każdą chwilą. Konie rżały w panicznym strachu, chciały stanąć dęba, jednak nie pozwalała im na to uprzęż. Po części straciły grunt pod kopytami i biły nimi w próżnię.

W czasie gdy połowa mostu waliła się z potwornym trzaskiem, druga jego część, na której znajdowała się karoca, wciąż jeszcze trzymała się krawędzi drogi. Jeden z filarów z uporem sprzeciwiał się prawom fizyki, lecz było jedynie kwestią czasu, kiedy ulegnie nieprzezwyciężonej sile. Inne belki nośne już łamały się, a drewniana mostowa przeprawa przechyliła się na jedną stronę.

Stangret zsunął się i uderzył o poręcz, która przez moment go przytrzymała. Jednak pojazd zaczął się przesuwac, a stangret, który trzymał się rozpaczliwie kozła, stracił podporę. Jego dłonie chwyciły

próżnię i mężczyzna runął z wrzaskiem, lecąc głową w dół w przepaść, by po chwili zniknąć w rzece.

Obydwa konie, które tak jak wcześniej wciąż usiłowały stanąć dęba, ciągnęły mocno powóz. W pewnym momencie dyszel złamał się, a zwierzęta podążyły za swoim woźnicą na pewną śmierć. Spadając, uderzyły p kolejne belki. Ostatni, wciąż jeszcze stojący filar wygiął się z trzaskiem. Podtrzymywana teraz tylko zbutwiałą poręczą karoca przechyliła się mocno nad przepaścią. Z jej wnętrza dobiegały przeraźliwe krzyki.

- Nie! - krzyknął przerażony sir Walter, który do tej pory żywił nadzieję, że karoca była pusta.

Gorączkowo zastanawiał się, jak mógłby pomóc pasażerom...

Kitty krzyczała jak opętana.

W momencie kiedy przeprawa zaczęła się zawalać, a powóz zawisł wiele metrów nad głęboką przepaścią, z jej gardła dobiegł przenikliwy długi krzyk, którego nie potrafiła powstrzymać. Mary natomiast usiłowała zachować spokój, co uwzględniając bieg wydarzeń, wcale nie było proste.

Najpierw powóz przesunął się prawie pionowo ku przepaści, a potem przechylił na bok. Zdjęte trwogą obie kobiety widziały, jak Winston spadł w przepaść.

- Mój Boże, milady! - zawołała piskliwie Kitty i chwyciła się tylnego siedzenia karocy, jak gdyby to mogło stanowić dla niej ratunek.

Mary wyjrzała przez boczne okienko karocy i zobaczyła drewnianą balustradę biegnącą wzdłuż mostu i oddzielającą go od przepaści, która obecnie jeszcze powstrzymywała powóz przed upadkiem. Drewno zwietrzałe od słońca i deszczu widywało już lepsze czasy i Mary mimo woli zadała sobie pytanie, jak długo jeszcze belki wytrzymają nacisk, i wtedy usłyszała złowieszczy odgłos pękającego drewna.

Ostrożnie, nie chcąc naruszyć delikatnej konstrukcji, Mary przesunęła się odrobinę dalej i wyjrzała przez okno. Ku swemu przerażeniu stwierdziła, że most kończył się w miejscu, gdzie stał powóz. Z tego miejsca widziała jedynie złamane końcówki nośnych belek, tam gdzie powinna się znajdować dalsza część nawierzchni mostu. Koni, które razem z ich panem runęły w głęboką czeluść, nie było już widać.

Połowa mostu zawaliła się, natomiast druga połowa miała za chwilę runąć. Jedynie zrządzenie losu sprawiło, że ta strona mostu wciąż jeszcze stała. Jednakże to zrządzenie losu mogło w każdej chwili się odmienić, jeśli ostatni cały filar podda się ciężarowi. Albo też, co było jeszcze bardziej prawdopodobne, jeśli zawiedzie zbutwiałe drewno poręczy i odmówi dalszej posługi.

Mimo paniki, którą czuła, Mary zdawała sobie sprawę, że nie mogą ani chwili dłużej pozostać w powozie.

- Musimy wyjść z karocy - taka była jej pierwsza myśl. - Chodź, Kitty.

- Nie, milady - służąca potrząsnęła gwałtownie głową, a łzy

spływały po jej policzkach. - Nie mogę.

- Ależ tak! Wiem, że możesz.

Kitty znów potrząsnęła głową z uporem małej krnąbrnej dziewczynki.

- Zginiemy tutaj - szlochała. - Dokładnie tak jak Winston.

- Nie, nie zginiemy - sprzeciwiła się z determinacją Mary.

Wyraz jej twarzy nie miał teraz nic wspólnego z obliczem dystygowanej elegancji damy wysokiego urodzenia. Determinacja sprawiła, że na jej czole pojawiły się nabrzmiałe grube żyły, a z łagodnych oczu emanowała silna wola przeżycia.

- Musimy wyjść z powozu, Kitty. Jeśli tu zostaniemy, spotka nas śmierć.

- Ale... ale... - wydusiła z siebie bełkotliwie służąca.

Zbladła jak kreda i drżała na całym ciele. Jej zazwyczaj tak beztroskie nastawienie do życia ustąpiło miejsca łzom strachu i przerażenia.

Również Mary czuła, że ma duszę na ramieniu. Przeczucie mówiło jej, że lada chwila utracą grunt pod nogami - dosłownie i w przenośni.

Narzuciła sobie surową dyscyplinę, zebrała się w sobie i uczyniła jedyne, co mogło uratować życie jej oraz pokojówki.

Powoli przesunęła się na ławce ku drugiej stronie karocy, czemu towarzyszyły złowrogie trzaski poręczy.

Jakimś cudem udało jej się odryglować drzwi i otworzyć je pchnięciem. Zobaczyła nad sobą błękitne niebo.

- Ruszaj, Kitty - ponagliła służkę. - Wychodź na zewnątrz.

- Idź sama, milady. Ja tu zostanę.

- Tylko po co? Żeby umrzeć? - zapytała twardo Mary. - To nie wchodzi w rachubę. Ruszaj natychmiast.

- Proszę nie, milady!

- Do diaska, raz jeszcze, ruszaj się w końcu, ty uparta dziewczucho!

- Mary krzyknęła na służącą i chociaż te słowa zupełnie nie przystawały damie i bardziej pasowały do żołdaka w koszarach, to jednak poskutkowały.

Kitty podniosła się ostrożnie z narożnika, w którym siedziała bez ruchu w kucki, chwyciła dłoń Mary, aby wydostać się z karocy. Nagle dał się słyszeć głośny trzask. Mary ze zgrozą spostrzegła, że balustrada zaczęła poddawać się naporowi i na skutek nacisku przechyliła się.

Potem rozległ się głośny łoskot. Jeden z drągów balustrady złamał się, w rezultacie czego powóz przesunął się odrobinę w stronę przepaści. Jednak w tym momencie balustrada jeszcze nie przegrała tej beznadziejnej walki, a ciężki powóz wisiał teraz na przysłowiowym włosku.

Kitty, drżąc, spojrzała w przepaść, którą było widać przez okno.

- Szybko - ponagliła ją Mary i chwyciła jej dłoń, pociągnęła ku sobie i pomogła jej wydostać się z powozu. Kitty przemieszczała się niezdarnie, a jej ruchy utrudniała jedwabna suknia. Uzbrajając się w cierpliwość i stosując łagodny przymus, Mary udało się wyciągnąć służkę na zewnątrz karocy. Po raz ostatni skierowała spojrzenie w



stronę zięjącej otchłani, a potem sama również opuściła pojazd.

Kitty wyciągnęła delikatne ręce i pomogła jej wyjść. Drżąc na całym ciele, Mary podparła się i mimo szerokiej sukni zdołała wyjść przez okno. Trzęsąc się ze strachu, obie młode kobiety przykucnęły na pochylonej bocznej ścianie powozu i dopiero w tym momencie uświadomiły sobie, w jak beznadziejnym położeniu się znalazły. Tylko jeden jedyny filar mostu pozostał cały i podtrzymywał ostatni fragment mostowej przeprawy, na której stała karoca - zresztą ten filar wygiął się już i lada chwila miał się złamać, a wraz z nim reszta mostu - także karoca - miały spaść do wody.

Mary z rozpaczą spojrzała ku krawędzi skalnego zbocza.

Drewniany most oderwał się już po boku i zwisał ukośnie nad przepaścią. Wydawało się, że wisiał zaledwie na kilku drewnianych drzazgach. Jeśli zostaną zerwane, będzie po wszystkim. Mary usłyszała gdzieś pod sobą głośny hałas, następnie do jej uszu dobiegł przenikliwy trzask filaru, który nie był już w stanie dłużej wytrzymać obciążenia.

- Och, milady - jęknęła przerażona Kitty i spojrzała ze zgrozą w otchłań. - Milady, milady...

Powtarzała te słowa niczym zaklęcie, a po jej policzkach spływały gorzkie łzy. Zrozpaczona Mary szukała jakiejś drogi wyjścia, jednak musiała stwierdzić, że takowej nie było. Nie istniała też żadna szansa dotarcia na brzeg ani cofnięcia się. Jeden niewprawny ruch, a filar runie ostatecznie.

Trwoga i panika, którą wcześniej z taką determinacją pokonała,

ponownie ją ogarnęły. Mary oraz jej pokojówka chwyciły się za ręce, by w ostatnich minutach - być może tylko w sekundach swego życia - dodać sobie otuchy i pocieszenia.

Obie były do tego stopnia przerażone, że nie zauważyły, jak nadszedł ratunek - pod postacią niepozornej liny.

Zdumiona Mary spojrzała na pętlę utworzoną z liny.

Instynktownie chwyciła ją i spojrzała ku górze skarpy, skąd lina zsunęła się. Nikogo nie widziała, lecz w następnej chwili opadła druga lina, na której końcu również zawiązana była pętla.

- Szybko! - dał się słyszeć ponagląjący głos. - Załóżcie na siebie pętle!

Mary wymieniła ze służącą zdziwione spojrzenia. Następnie uczyniły to, co nakazał im głos, przełożyły ramiona przez pętle i docisnęły je w kibici. To był ostatni moment!

Ułamek sekundy później balustrada mostu ustąpiła pod naporem.

Z głośnym trzaskiem pękało zbutwiałe drewno. Karoca, na której siedziały w kucki obie damy, zsunęła się po ukośnych belkach w przepaść, potem runęła w dół i zanurzyła się z pluskiem w spienionym nurcie.

Mary i jej pokojówka krzyknęły głośno, gdy straciły grunt pod nogami. Przez moment zdjęła je trwoga, że również spadną w dół, jednak zostały przytrzymane przez liny. Jednocześnie poczuły, jak są podciągane do góry, podczas gdy ostatnie elementy konstrukcyjne mostu, zupełnie niestabilne, z trzaskiem i skrzypieniem runęły w

przepaści.

Stęknienia filaru oraz odgłos pękającego drewna zagłuszyły nawet krzyk Kitty. Obie kobiety patrzyły z zaciśniętym gardłem, jak reszta konstrukcji mostu odrywa się od krawędzi skały i z potwornym hukiem spada w dół, podczas gdy one wisiały zawieszony bezradnie między życiem a śmiercią.

Jednakowoż ten, kto trzymał drugi koniec liny, najwyraźniej nie zamierzał jej puścić. Dyndając nad ziejącą przepaścią, Mary Egton oraz jej służka były stopniowo wciągane.

Kitty przestała krzyczeć, a jej zazwyczaj rumiana twarz zmieniła kolor na zielony. W następnej chwili straciła przytomność - szok i groza tych wydarzeń przekroczyły granice jej wytrzymałości. Wisiała teraz nieruchomo w zaciśniętej pętli, która wraz z nią powoli była wciągana do góry.

Mary pozostała jeszcze przy zmysłach na tyle długo, żeby zobaczyć, jak dociera do krawędzi zbocza. Drżącymi dłońmi dotknęła skały. Z góry sięgnęły po nią ręce, chwyciły ją mocno za przeguby dłoni i pomogły jej znaleźć się na bezpiecznym skalnym podłożu.

Wyczerpana upadła na zakurzony grunt. Oddychała nierówno, serce waliło jej jak szalone, gdy zorientowała się, że zaczyna tracić przytomność.

Widziała już swój własny kres i nie mogła pojąć, że jednak została wyratowana z opresji. Wydawało jej się to cudem i koniecznie chciała skierować spojrzenie na tajemniczego wybawcę, zanim całkiem straci

zmysły.

Dostrzegła nad sobą twarz. Należała do młodego mężczyzny o dość prostych, lecz szczerych i sympatycznych rysach, który patrzył na nią zatroskany.

Po chwili obok pojawiła się druga twarz, której właściciel był znacznie starszy. Szeroki, robiący wrażenie zdecydowanego podbródek zdobił okrągłe oblicze otoczone aureolą siwych włosów. Para czujnych oczu, które na nią spoglądały, cechowała się bystrością i jasnością spojrzenia, mogła należeć zarówno do uczonego, jak i do poety.

- Nic pani nie jest? - zapytał starszy mężczyzna.

Gdy powoli traciła przytomność, Mary uświadomiła sobie, że zna to oblicze.

Widziała tę twarz w książce, którą czytała i która opowiadała o dzielnych czynach rycerza Wilfreda Ivanhoe. Gdy tracąc przytomność, zapadała się w coraz gęstsza i ciemniejsza otchłań, pomyślała, że jej tajemniczym wybawcą nie jest nikt inny tylko sam sir Ivanhoe...

Kiedy Mary otworzyła oczy, miała wrażenie, że pozornie nic się nie zmieniło. Czyjaś twarz wciąż jeszcze unosiła się nad nią, i ta osoba kierowała na nią z góry pełne troski spojrzenie.

- Nie wiem - odezwała się szeptem. - Albo jestem już martwa i to jest niebo, albo...

- Z pewnością nie jest pani martwa, moje dziecko - powiedział ten ktoś z łagodnym uśmiechem. - Nie jest to również niebo. Chociaż dokładam wszelkich starań, żeby było mi tu tak przyjemnie, jak to tylko możliwe.

Zamrugała oczyma, po czym jej oszołomienie osłabło. Ze zdziwieniem stwierdziła, że nie znajduje się już pod gołym niebem.

Leżała teraz w miękkim łożu stojącym w dużym pokoju, którego sufit podierały stropowe belki ozdobione snycerką. Ściany wyłożone były płytami z ciemnego drewna, a powietrze przesycone zapachem wosku.

Przez okno po drugiej stronie pokoju wpadały ciepłe i przyjazne promienie wiosennego słońca. Z zewnątrz dochodził też słodki aromat kwiatów, których Mary nie znała, a które ponownie obudziły w niej witalne siły.

Początkowo odniosła wrażenie, że jej otoczenie należy do odległego i rozmazanego sennego widzenia. Z każdą upływającą chwilą narastało w niej przekonanie, że w żadnym razie nie opuściła ziemskiego padołu i że nie znajdowała się w niebiosach oraz że to co ją otaczało, tętniło życiem i było realne. Oznaczało to również, że

mężczyzna, który stał obok łoża i spoglądał na nią zatroskanym wzrokiem, nie był w żadnym razie aniołem, lecz istotą z krwi i kości.

Jej bohaterskim wybawcą...

- Pan jednak nie jest rycerzem Ivanhoe - oznajmiła i zaczerwieniła się przy tym.

- Nie całkiem.

Mężczyzna o niemal białych włosach uśmiechnął się. W jego słowach dał się wyczuć wyraźny szkocki akcent, chociaż pozbawiony plebejskich naleciałości. W Mary wzbudziło się silne przeczucie, że ma do czynienia z prawdziwym dżentelmenem.

- Niech mi pani wybaczy, iż nie przedstawiłem się jeszcze - rzekł.

- Nazywam się Walter Scott, milady. Do pani usług.

- Walter Scott?

W pierwszej chwili Mary uznała, że wciąż jeszcze śni. Potem zdała sobie sprawę, że to jednak jawa i że rzeczywiście stoi przed nią autor powieści, które tak bardzo ukochała. Dokładała jednak starań, by nie dać po sobie poznać zaskoczenia. Słyszała wcześniej, że sir Walter chętnie skrywał swoją profesję, zatem nie chciała go zawstydzić.

- Czy my się skądś znamy? - zapytał. - Proszę o wybaczenie, jeśli sobie nie przypominam, milady. Czasami jednak moja pamięć, o której zresztą mam dobre mniemanie, zawodzi mnie w sposób, który wywołuje moje zawstydzenie.

- Nie ma ku temu najmniejszego powodu.

Potrząsnęła przecząco głową, przy czym odniosła wrażenie, że w

środku jej duszy ktoś wali kowalskim młotem. Jednocześnie powróciło też wspomnienie przerażających wydarzeń.

Raz jeszcze przeżyła w duchu chwile grozy i niepewności.

Widziała, jak wali się most, słyszała trzask łamiących się bali oraz przerażone krzyki Kitty. Znow poczuła strach, którego doświadczyła na własnej skórze. Jednak w tym momencie najbardziej na sercu leżał jej los pokojowej.

- Co się dzieje z Kitty? - zapytała. - Czy ona...?

- Nie ma powodu do obaw - odparł sir Walter. - Ma się dobrze.

Lekarz podał jej napój sporządzony z wyciągu z kozłka lekarskiego.

Teraz jest pogrążona we śnie.

- A... Winston?

Sir Walter pokręcił głową ze smutkiem.

- Przykro mi bardzo, milady. Ciało pani woźnicy znaleziono nie co za przełomem rzeki wyrzucone na brzeg. Na wszelką pomoc było już za późno.

Mary skinęła głową. Jej oczy zrobiły się wilgotne, odwróciła wzrok

- nie dlatego, że wstydziła się łez, lecz dlatego, że powód wydawał się jej nieszczerzy. Tak bardzo ubolewała, że stracił życie. Własne zawdzięczała w dużej mierze jego odwadze oraz przytomności umysłu, teraz więc wyrzucała sobie, że w pierwszej chwili jej myśli nie pobiegly ku stangretowi, lecz ku własnej osobie.

Sir Walter spojrział na nią badawczym wzrokiem, jak gdyby

wiedział dokładnie, co w tym momencie rozgrywało się w jej duszy.

- Niech się pani nie frasuje, milady - odezwał się cichym głosem.

- Wiem, co pani czuje, gdyż osobiście również przeżywałem podobne sytuacje. Całkiem niedawno w tragiczny sposób pożegnał się z ziemskim padołem jeden z moich studentów. Zaledwie dzień później mój

siostrzeniec o mały włos nie stał się ofiarą kolejnego nieszczęścia.

Jedynym, co mogłem odczuwać, była wdzięczność za to, że szczęśliwie wyszedł z opresji. Wszyscy jesteśmy tylko ludźmi, milady.

- Dzięki - powiedziała cicho Mary i wzięła chusteczkę, którą jej podał do otarcia łez. - Jest pan bardzo łaskaw, sir. I pomógł nam pan w wielkiej potrzebie. Gdyby nie pan...

- Znaleźliśmy się tylko we właściwym miejscu i we właściwym czasie - wzbraniał się sir Walter, przy czym Mary przez moment odniosła wrażenie, że na jego obliczu pojawił się cieii grymasu. - Każdy na naszym miejscu uczyniłby to, co myśmy uczynili.

- Bardzo w to wątpię - odparła Mary. - Żywię przy tym nadzieję, że któregoś dnia będę w stanie zrewanżować się panu za to, sir.

- Modłę się o to, żeby Stwórca do tego nie dopuścił, milady - odparł sir Walter z szelmowskim uśmiechem. - Jak się pani czuje?

- Cóż, biorąc pod uwagę niebezpieczne wydarzenia, jakie mam za sobą, powiedziałabym, iż czuję się dobrze.

- Cieszę się, słysząc to - skinął głową sir Walter. - Zaraz wydam polecenie służbie, żeby przyniesiono pani herbatę oraz nieco pieczywa.

Z pewnością zgłodniała pani.



- Nie tak bardzo. Mówiąc szczerze, mój żołądek czuje się tak, jakby pochłoniął worek pcheł - zaczerwieniła się i natychmiast zakryła usta dłonią. - Niech mi pan wybaczy, sir. Nie jestem w stanie dać wiary, że wypowiedziałam te słowa.

- Dlaczegoż by nie? - sir Walter nie powstrzymał uśmiechu.

- Niech mi pani uwierzy, że istnieje wiele młodych i szlachetnie urodzonych kobiet, które obchodzą się z mową, jak gdyby można było za jej pomocą rozbijać surowe jaja. Moim zdaniem to pożądane, kiedy kobieta wysokiego stanu potrafi wysławiać się nieco mniej górnolotnie.

- Czy pan... pan wie, kim jestem? - twarz Mary spłonęła się jeszcze bardziej. - Poza tym jeszcze nie zdążyłam się panu przedstawić. W pana oczach muszę zatem uchodzić za osobę bardzo nieuprzejmą.

- W żadnym wypadku, lady Mary - odparł z gracją sir Walter.

- Nieuprzejmością byłoby wypytywanie panią o to. Wieści o pani najwyraźniej wyprzedziły nieco pani przybycie.

- Skąd...? - zapytała zdumiona Mary, lecz po chwili sama udzieliła sobie odpowiedzi. - Powóz. Moje bagaże...

- Wszystko, co zdołano wyłowić z nurtu rzeki, zostało przewiezione tutaj. Obawiam się jednak, że pożytek z tego będzie niewielki.

- To nic nie wadzi. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, jestem i tak bardzo wdzięczna losowi, iż wciąż przebywam wśród żywych. Z pewnością nie będę narzekać z powodu kilku głupich sukien.

- To bardzo roztropne z pani strony, chociaż raczej nietypowe dla

młodej damy wysokiego urodzenia, jeśli wolno mi poczynić tę uwagę.

- Uratował mi pan życie, sir - odparła Mary, uśmiechając się. -

Oczywiście, wolno panu czynić uwagi i ma pan naturalnie rację. Nie jestem typową przedstawicielką mojego stanu.

- Niech się pani raduje tym faktem, milady. Większość młodych kobiet wpadłaby w panikę, siedząc w powozie i zaglądając śmierci w oczy. Pani jednak wykazała na tyle odwagi, by działać.

- Nie postrzegam tego w ten sposób - znów się roześmiała. - Jak długo pozostawałam w stanie nieprzytomności?

- Cały dzień i całą noc - odpowiedział sir Walter.

- I przez cały ten czas przebywałam tutaj?

- Niech mi pani wybaczy samowolę z mojej strony, lecz uznałem za najlepsze rozwiązanie przewiezienie pani do Abbotsford. Jest tu pani bezpieczna i ma sposobność dojść do siebie po tym wszystkim, co się wydarzyło.

- Abbotsford - powtórzyła Mary cichym głosem.

Romanca z kamienia i murarskiej zaprawy - w ten sposób Walter Scott zwykł nazywać swoją posiadłość.

Znów ogarnęło ją ciężkie jak ołów zmęczenie i znów musiała zmrużyć oczy. Miała przed sobą zamazany obraz, kiedy sir Walter odwrócił się i opuścił pomieszczenie. Jej zmysły niejasno

zarejestrowały, że w pomieszczeniu znajdował się ktoś jeszcze, kogo dostrzegła dopiero teraz - młody mężczyzna o blondrudawych włosach, który załamywał ręce z niepokoju i spoglądał w jej stronę z troską.

Potem głowę wzięło wyczerpanie i ponownie pogrążyła się we śnie.

Quentin stał tam w całkowitym bezruchu. Chociaż zdawał sobie w pełni sprawę, że takie zachowanie nie przystoi dżentelmenowi, nie był w stanie oderwać oczu od młodej kobiety.

Mary Egton - takie nosiła imię - była najcudowniejszą istotą, jaką kiedykolwiek spotkał.

Jej wysmukła doskonała figura, jej piękne szlachetne oblicze z wystającymi kośćmi policzkowymi oraz zadartym do góry noskiem, który zdawał się nieco za mało zuchwały jak na niewiastę wysokiego rodu, jasnoniebieskie oczy, wąskie i małe usta oraz faliste blond włosy rozrzucone teraz swobodnie na poduszce - wszystko to całkowicie zauroczyło młodego mężczyznę.

Do tej pory Quentin nie wykazywał specjalnego zainteresowania płcią piękną - z jednej strony dlatego, że płeć nadobna nie interesowała się nim, z drugiej natomiast także z tej przyczyny, że jego serce nigdy jeszcze mocniej nie zabiło na widok kobiecej istoty. Jak dotąd miał okazję poznać wyłącznie córki mieszczan z Edynburga oraz prząsne wiejskie dziewczki; Mary z Egton była natomiast zupełnie odmienna od każdej z niewiast, które widział w swoim życiu. Gdyby pozwolono mu przez resztę jego dni stać tak u progu jej pokoju, jego szczęście byłoby niewysłowione.

Zafascynowanie siostrzeńca młodą damą nie uszło uwadze sir Waltera. Już sama prośba z jego strony o pozwolenie sprawowania pieczy nad nią wydała mu się osobliwa, gdyż jednocześnie troska

młodzieńca o samopoczucie pokojówki lady Mary była znacznie słabiej wyartykułowana. Młoda lady Mary Egton najwyraźniej przyprawiła Quentina o przyspieszone bicie jego dziewiczego jak dotąd serca.

Przez cały ten czas młodzieniec nie odważył się wkroczyć do jej pokoju - nie tylko z tego względu, że nie uchodziło tego czynić, ale także dlatego, że był na to zdecydowanie zbyt nieśmiały. Już samo spojrzenie, jakie na niego skierowała tuż przed tym, jak ponownie zasnęła, całkowicie wystarczyło, by serce niemal wyrwało mu się z piersi, a policzki rozgorzały.

- Gzy powróci do zdrowia? - zapytał wuja szeptem, nie chcąc budzić lady.

- Nie troskaj się - odparł sir Walter, nie mogąc przy tym powstrzymać uśmiechu.

Taką dozę afektacji widywał dotąd u siostrzeńca jedynie z rzadka, nigdy zaś w obecności młodej kobiety. Sposób, w jaki stał na progu i spoglądał z dala na damę swego serca, przywiódł Scottowi na myśl postacie z jego powieści - rycerzy i szlachetnych panów, których losy opisywał i którzy wzdychali do dam swych serc, rozpaleni uduchowioną miłością. Z tą różnicą, że tym razem nie była to powieść, lecz rzeczywistość, a historia ta z pewnością będzie miała inne zakończenie niż w romansach Waltera Scotta.

- Przeżyła szok, ale poza tym nic jej nie dolega - uspokoił siostrzeńca. - Doktor Kerr twierdzi, że już wkrótce będzie mogła wstać

z łoża.

- To dobrze - zdobył się na uśmiech Quentin. - Niewiele

brakowało, nieprawdaż?

- Po prawdzie tak - przytaknął sir Walter i położył potężną prawicę

na ramieniu młodzieńca. - W całym tym zamieszaniu i rwetesie

zupełnie uszło mej uwadze wyrazić ci słowa podziękii, siostrzeńcze.

- Słowa podziękii skierowane do mnie? Za co, wuju?

- Spisałeś się na medal. To ty wpadłeś na pomysł, żeby wyciągnąć

linę ze skrzyni narzędziowej powozu. Gdybyś nie zadziałał tak szybko

i tak bezinteresownie, obie damy zapewne byłyby teraz w niebiosach.

Quentin zaczerwienił się i nie bardzo wiedział, co ma

odpowiedzieć. Na dobrą sprawę przywykł do strofowania za

niezdarność i niezręczność. Słowa pochwały, na dodatek za bohaterski

czyn, były w jego przypadku nowym doświadczeniem.

- To nic wielkiego - odparł skromnie. - Każdy wpadłby na ten sam

pomysł.

- Jakkolwiek by nie było - skomentował sir Walter, cicho

zamykając za sobą drzwi gościnnego pokoju - wczoraj udowodniłeś, że

jesteś prawdziwym Scottem, mój chłopcze.

- Dziękuję ci, wuju - rzekł Quentin, czując nagły przypływ

pewności siebie. - Ale na dobrą sprawę nie ma powodu radować się

zbyttnio z powodu uratowania obydwu dam. Tak czy owak jest przecież

ofiara śmiertelna. A te łotry zdołały zbiec.

- To prawda.

- Czy nadeszły już jakieś wieści od szeryfa Slocombe'a?

- Nie - odparł sir Walter, gdy wchodził po schodach i zmierzał do swojej pracowni, gdzie jak zawsze roztaczała się woń palącego się kominka oraz tytoniu. - On i jego ludzie wciąż jeszcze szukają śladów. Bandyci w tym czasie zdążyli już odjechać za siedem gór i za siedem rzek.

- A inspektor Dellard?

- O ile się orientuję, nie przywiązuje do tego zdarzenia żadnej wagi. Pozostawił sprawę szeryfowi, by się nią zajął, chociaż wie, że zadanie to całkowicie przerasta możliwości Slocombe'a. Nawet gdyby ci hultaje ukryli się w jego własnej piwnicy z zapasami whisky, nie byłby w stanie ich znaleźć. Całą jego uwagę pochłonęłaby szkocka.

- To wstyd - odparł rozgorączkowany Quentin, co w przypadku jego temperamentu było osobliwe. - W biały dzień banda zbójów napada na bezbronnych podróżnych, zaś szeryf nie jest w stanie ich pojmać.

- Być może byli to rabusie - powiedział z namysłem sir Walter. -

A być może byli kimś więcej.

- Co chcesz przez to powiedzieć, wuju? Ich twarze skrywały maski. Poza tym byli uzbrojeni, czyż nie?

- To wcale jeszcze nie czyni ich rabusiami, mój chłopcze. Ale być może powinniśmy wyjść z takiego założenia.

- Tak sądzisz?

- Niewykluczone... Jak często w ostatnich latach w rejonie

Galashiels dochodziło do napadu w biały dzień?

- Tego nie wiem, wuju. Jak wiesz, przez długi czas nie było mnie tutaj.

- Chcę ci to powiedzieć, mój chłopcze - podjął sir Walter, a jego głos przybrał spiskowy ton, co Quentin wychwycił bez najmniejszego trudu. - W ostatnich czterech latach w całym okręgu nie doszło do żadnego bandyckiego napadu. Okolica ta uchodzi za bardzo spokojną i mogę ci powiedzieć, że jako szeryf Selkirk osobiście się do tego przyczyniłem. Przy okazji, wiesz, ile mostów zawaliło się w przeciągu ostatnich piętnastu lat?

Quentin zaprzeczył ruchem głowy.

- Ani jeden - wyjaśnił sir Walter. - Rozumiesz, do czego zmierzam?

- Do tego, że zbyt wiele zbiegów okoliczności miało miejsce w jednym miejscu i w tym samym czasie - odpowiedział Quentin.

- Zgadłeś, siostrzeńcze. Szeryf Slocombe uważa zawalenie mostu za wypadek. Katastrofę, której nikt nie mógł przewidzieć, ja jednak żywię co do tego wątpliwości. A jeśli te łotry majstrowały coś przy moście, żeby jego konstrukcja zawaliła się z chwilą, kiedy na przeprawę wjedzie powóz?

- Sądzisz zatem, że nie byli to rabusie, lecz wynajęci zabójcy? - zapytał Quentin głuchym tonem.

- Na to wygląda - potwierdził sir Walter, a z jego głosu bił frasunek.

- Ale - zaoponował Quentin po krótkim namyśle. - Czy to ma

sens? Ci bandyci usiłowali przecież zatrzymać karocę Mary...

Chciałem powiedzieć lady Mary. Po cóż mieliby to czynić, jeśli w istocie chodziło im o to, żeby powóz wjechał na most? Wystarczyłoby, żeby jeźdźcy zagnali powóz, czyż nie?

- To samo pytanie postawiłem również sobie, mój chłopcze -

odparł sir Walter i skinął głową z uznaniem. - Widzę, że moje lekcje z logiki stosowanej stopniowo zaczynają procentować. Ale załóżmy hipotetycznie, że celem napadu w rzeczywistości nie miała być lady Mary. A jeśli zamaskowani napastnicy nie zamierzali zagnać powozu na most, lecz go zatrzymać, zanim wjedzie na przeprawę?

- Sądysz więc...?

Kolor twarzy Quentina przybrał odcień niezdrowej bladości.

Dopiero co zdobyta pewność siebie nagle gdzieś się rozplynęła.

- Załóżmy, dajmy na to, że ci zamaskowani zbójcy mieli zadanie dokonania napadu... Napadu na powóz, o którym wiedzieli, że będzie przejeżdżał przez most. Zeszli więc po skarpie i nadpiłowali filary mostu w taki sposób, żeby pod ciężarem przechodnia konstrukcja zdołała wytrzymać, ale po wjechaniu karocy już nie i zawała się.

Założmy ponadto, że te łotry po wykonanej robocie ukryły się w krzakach i czekały, aż nadjedzie spodziewany powóz. I rzeczywiście nadjechał powóz, lecz nie ten, na który złoczyńcy czekali. Coś poszło nie tak, jak zaplanowali, i na most jako pierwsza miała wjechać karoca z młodą szlachcianką oraz dwojgiem jej służących. Cóż więc powinni uczynić zabójcy?



- Podjąć próbę zatrzymania karocy - rzekł cicho Quentin.

- Dokładnie to uczynili ci ludzie! Chociaż nie zdołali dopiąć swego. Natomiast stangret całkowicie przekonany, że zdoła uratować obie kobiety, jeśli przebiję się przez szeregi zbirów i wjedzie na most...

Resztę historii już znasz.

- To... to brzmi niewiarygodnie - odparł Quentin. - Chociaż z drugiej strony wydaje się jedynym sensownym wyjaśnieniem. Któż jednak miał być celem napadu? Kto siedział w innym powozie, jaki miał stoczyć się w przepaść po wjechaniu na przeprawę mostową? Sir Walter nie odpowiedział, lecz objął Quentina długim, przenikliwym spojrzeniem. Młodzieniec wciąż jeszcze go zaskakiwał - niekiedy błyskotliwością i lotnością myśli, czasami natomiast osobliwą zdolnością niedostrzegania rzeczy oczywistych.

- Chcesz... przez to powiedzieć... ? - wydusił z siebie młody człowiek, kiedy w końcu dotarła do niego potworna prawda.

- A jakże? Przypomnij sobie inspektora Dellarda. Ostrzegał nas jednoznacznie, że ktoś niechybnie dybie na nasze życie.

- To prawda. Ale że stało się to tak szybko?

- Nie słyszałem o tym, żeby mordercy i podpalacze trzymali się określonego harmonogramu działań - podjął gorzkim tonem sir Walter.

- Wszystko wskazuje na to, że skrupulatnie przygotowana zasadzka oraz zawalenie mostu nie były zbiegiem okoliczności. Nie przewidziano tylko, że karoca lady Mary wjedzie na most przed nami. Ona oraz jej służby znaleźli się po prostu w niewłaściwym miejscu o

niewłaściwym czasie. Gdybyśmy zjawili się na skrzyżowaniu kilka chwil wcześniej, to pod nami zawałiłby się most.

Quentin stał nieruchomo jak rażony gromem.

Jego twarz zrobiła się jeszcze bledsza. Z oblicza młodzieńca przebijało niewysłowione przerażenie. Potem ugięły się pod nim kolana i opadł na jeden z obitych skórą foteli, który stał przy kominku. Pograżony w myślach wpatrywał się w płomienie.

- Napad przyszykowano na nas - powtórzył. - Tylko zbiegowi okoliczności zawdzięczamy to, że wciąż jeszcze znajdujemy się wśród żywych.

-Ja również tak to widzę, mój chłopcze - zgodził się z nim sir Walter złowrogim tonem. - Najwyraźniej nasi wrogowie są w rzeczywistości bardziej potężni i niebezpieczni, niż do tej pory przypuszczaliśmy. Wyszedłem z założenia, iż Dellard celowo przesadzał, żeby trzymać nas z daleka od śledztwa i zyskać w ten sposób wolną rękę. Ale taki obrót spraw wskazuje, że zapewne się myliłem. Rzeczywiście znajdujemy się w wielkim niebezpieczeństwie.

- Cóż teraz uczynimy? - zapytał Quentin cicho.

- Poinformujemy Dellarda o naszych wnioskach i postaramy się dać mu do zrozumienia, że ten napad jak najbardziej leży w jego kompetencjach. Jeśli bowiem sprawa pozostanie nadal w gestii Slowcombe'a, jedynym sukcesem, jakim będziemy w stanie wykazać się na koniec, będzie kilka opróżnionych flaszek szkockiej whisky. Ale najpierw powinniśmy zatroszczyć się o naszych gości, jak przystało na

kulturalnych ludzi. Lady Mary oraz jej służce nie powinno niczego zabraknąć.

- Rozumiem, wuju.

-I... Quentinie?

- Tak, wuju?

-Ani słowa lady Charlotte o tym, o czym tu dyskutowaliśmy. Moja małżonka i bez tego ma dość trosk i zmartwień. Poza tym śmierć Jonathana głęboko ją dotknęła. Nie chciałbym niepotrzebnie jej niepokoić.

-Niepotrzebnie, wuju? Czyhała na nas banda zbirów. Zginął człowiek, a dwie damy o włos uniknęły śmierci. I w tym kontekście mówisz „niepotrzebnie”?

Sir Walter nie oponował, lecz w jego oczach Quentin wyczytał, że był tego samego zdania co on.

- Słyszałeś, co powiedziałem, siostrzeńcze - obstawał przy swoim wuj. - Nie życzę sobie, żeby lady Charlotte czy ktokolwiek inny w tym domu dowiedział się o sprawach, które tu poruszaliśmy.

- Jak sobie życzysz, wuju.

- Dobrze - dodał sir Walter i skinął głową, przy czym jednocześnie ogarnęło go przecucie, iż tej sprawy nie da się rozwikłać, okłamując lady Charlotte.

Pod wieczór Mary Egton wypoczęła już na tyle, że doktor Kerr pozwolił jej opuścić łóżko. Również jej służąca Kitty doszła do pełni zdrowia, chociaż ekstrakt z kozłka lekarskiego, który podał jej lekarz,

sprawił, że jej psotny temperament był chwilowo nieco przygaszony.

Lady Charlotte nie mogła odmówić sobie przyjemności i osobiście zajęła się obiema damami, oprowadzając je po domu oraz ogrodzie.

Zaskakująca śmierć Jonathana ciężko dotknęła małżonkę sir

Waltera, pozostawiając w niej osobliwą pustkę. Ponieważ los nie

obdarzył jej własnym potomstwem, wszystkich studentów, których

Scott sprowadzał do Abbotsford, otaczała z miejsca matczyną troską, a

młodzi ludzie, którzy się zjawiali i wyjeżdżali, darzyli lady Charlotte

ogromnym

szacunkiem i czcią. Sir Walter był głową tego domu, jak zwykła

mawiać, natomiast jego małżonka - sercem. Gospodarz często

powtarza}, że jego rozległe domostwo byłoby jedynie zlepkiem

pozbawionych życia kamieni, gdyby lady Charlotte nie wypełniała

tych murów życiem, które to zresztą słowa w każdym aspekcie

odpowiadały prawdzie.

Lady Charlotte - dama w kwiecie lat, której smukła kibić oraz

ostre rysy twarzy cechowały się spokojną i dystyngowaną urodą -

troszczyła się o zarządzanie posiadłością. To jej podlegała służba

domowa oraz ogrodnicy, stangret i chłopiec stajenny. W tym zadaniu

wspierał ją wierny Mortimer, który od wielu już lat służył rodzinie

Scottów i awansował po kolei od prostego stajennego do rządcy domu.

Co się tyczy wartościowych ludzi, lady Charlotte stosowała tę samą

miarę, co jej małżonek. Nie pochodzenie o tym rozstrzygało, nie

przodkowie czynili z człowieka istotę godną szacunku, lecz wyłącznie

jego czyny.

Sir Walter skrył się na resztę dnia w swej pracowni, gdzie powstawała jego najnowsza powieść - wydarzenia ostatnich dni sprawiły, że miał poważne zaległości i musiał się pospieszyć, żeby dotrzymać terminu dostarczenia kolejnego rozdziału. Natomiast lady Charlotte oprowadzała obie panie po Abbotsford.

Pokazała im obszerne komnaty, w których pełno było zbroi i olejnych malowideł, później przyszła kolej na ogrody, kolekcję broni oraz bibliotekę. Ta ostatnia wprawiła Mary w zachwyt, bowiem wszystkie jej własne woluminy zostały utracone, kiedy karoca runęła w bystry nurt rzeki Tweed.

Lady Charlotte pozwoliła jej rozejrzeć się po zasobach biblioteki i spędzić tam czas na lekturze aż do kolacji. Podczas gdy Mary z nienasyconą zachłannością przeglądała niezliczone, oprawne w skórę drogocenne tomy zalegające na półkach i regałach, Kitty spoglądała na młodych ogrodników, którzy na zewnątrz kosili trawę i których obnażone ramiona lśniły od potu.

O godzinie siódmej zadzwonił dzwonek, obwieszczając kolację, i zgromadzono się w obszernej sali jadalnej, w której stał długi stół. U obu jego szczytów naprzeciw siebie zasiedli sir Walter oraz jego małżonka. Miejsca obok sir Waltera zajęli Quentin oraz Edwin Miles, młody student z Glasgow, który akurat również w tym czasie przebywał w Abbotsford. Oba miejsca po stronie stołu obok lady Charlotte

były na razie wolne - przeznaczono je dla Mary z Egton oraz jej służącej. Pierwotnie w wieczery miał również uczestniczyć William Kerr. Doktor, którego sir Walter znał jako osobę stroniącą od ludzi i raczej niezbyt rozmowną, wolał jednak pojechać późnym popołudniem z powrotem do Selkirk, po tym jak po raz ostatni przebadał młode damy i upewnił się co do ich dobrego stanu zdrowia.

Z korytarza dobiegły teraz przytłumione głosy, a jedna ze służących wprowadziła lady Mary oraz jej pokojową. Lady Charlotte wyposażyła je w szaty z własnej garderoby - proste wieczorowe suknie z ciemnoczerwonego i zielonego jedwabiu, które podkreślały promienną urodę obu młodych dam bawiących z niespodziewaną wizytą. Uwadze sir Waltera nie uszły rozdziawione z podziwu usta Quentina w momencie, kiedy Mary z Egton wkroczyła do sali jadalnej.

- Nie wiem, jaki obyczaj panuje w Edynburgu - z uśmiechem szepnął do ucha siostrzeńcowi. - Ale my, prości ludzie ze wsi, zamykamy usta, kiedy chcemy spodobać się damie.

Twarz Quentina zrobiła się nagle czerwona jak burak. Zażenowany spoglądał na swój talerz i nie odważył się więcej spojrzeć w stronę młodej damy. Edwin Miles nie był aż tak bardzo onieśmielony. Jak na prawdziwego dżentelmena przystało, podniósł się z krzesła i uklonił nisko, składając obu damom wyrazy szacunku. Quentin dostrzegł uśmiech, jaki Mary posłała w jego stronę, i poczuł przypływ gniewu. Głuche przecucie czające się gdzieś w zakamarkach jego duszy podpowiadało mu, że tym, co poczuł, była najprawdziwsza zazdrość. Po

raz pierwszy w życiu...

Po chwili przeznaczonej na wymianę uprzejmych uśmiechów z obecnymi przy stole Mary zajęła swoje miejsce. Na znak dany przez lady Charlotte wniesiono pierwsze danie tej wieczerzy.

- Zdecydowałam się na rosół z dziczyzny - oznajmiła lady

Charlotte, gdy służące ustawiały na stole dwie wazy, których zawartość rozłączała smakowity aromat. - Żywię nadzieję, iż utrafiłam tym w gusta szanownych dam.

-Ależ oczywiście - zapewniła Kitty, zanim jeszcze zgodnie z etykietą zdążyła odpowiedzieć Mary. - Nie bardzo wiem, jak czuje się panienka, ale po wszystkim, co się wydarzyło, jestem wygłodniała niczym wilk.

- Kitty - syknęła Mary z naganą w głosie, wywołując rumieniec zawstydzenia na obliczu służącej.

Jednak sir Walter i lady Charlotte roześmieli się na te słowa.

- Proszę dać spokój, lady Mary - usiłował załagodzić sytuację sir

Walter. - W moim domu przaśny język zawsze jest ceniony. W

niektórych okolicach królestwa słowa te mogą uchodzić za niezbyt

stosowne, lecz tu, w Szkocji, dawną tradycją jest mówienie tego, co

ma się na myśli. Być może to właśnie jest jeden z powodów

nieporozumień, do jakich dochodzi między Anglikami i Szkotami.

- Dziękuję panu za przyjazne słowa, sir - odparła Mary uprzejmie.

- Przyjął nas pan pod swój dach i udzielił wszelkiej możliwej pomocy.

Gdyby nie pan, Kitty i ja nie siedziałybyśmy przy tym stole. Nie

starczy mi słów podziękui.

- Niech pani nie dziękuje mi tak zapalczywie - odparł sir Walter, na którego twarzy znów pojawił się cień smutku. - Quentin i ja uczyniliśmy tylko to, co było nakazem chwili. Zanim jednak spożyjemy wspólnie tę wieczerzę, pomódlmy się i podziękujmy Bogu. Pomyślmy również o tych, których już nie ma pośród nas.

Mary odniosła wrażenie, że niemal w tym samym momencie przygasł ogień w kominku i osłabł płomień świec w świecznikach, jak gdyby smutek z twarzy sir Waltera spłynął na salę i wypełnił całe pomieszczenie.

Serca wszystkich zgromadzonych ogarnęło przygnębienie; zebrani opuścili głowy i złożyli dłonie w milczącej modlitwie.

- Panie - rozpoczął cichym głosem sir Walter. - Nie znamy Twoich dróg i nie mamy dość rozumu, by pojąć ich bieg. W Swej mądrości i dobroci uratowałaś obie młode damy ze śmiertelnej opresji i przyprowadziłaś do tego domu całe i zdrowe. Modlimy się za dusze tych, których nie ma już pośród nas. Za Jonathana Milтона oraz Winstona Sellersa. Obaj do ostatnich chwil wykonywali swoje obowiązki, każdy z nich na swój sposób. Zabierz ich dusze do Twego Królestwa, by zaznały wiekuistej szczęśliwości. Zgromadzonych przy



tym stole chroń, Panie, przed wszelkim złem, które może czaić się na skraju drogi. Amen.

- Amen - dobiegło echo ze wszystkich stron.

Mary, która wcześniej opuściła głowę, podniosła wzrok, mrugając oczyma.

Wcześniej ostrzegano ją przed pobożnymi Szkotami, przed fanatyzmem, do którego prowadziła niekiedy ich religijność. Jednak w modlitwie sir Waltera nie dostrzegła nawet śladu fanatyzmu. To co słyszała

i czuła, było jedynie zakłopotaniem oraz współczuciem emanującym od kogoś, komu obojętne jest, czy zmarły był protestantem czy katolikiem, Anglikiem czy Szkotem. W świecie wartości Waltera Scotta - a to wrażenie Mary odniosła również po lekturze jego powieści - liczył się w głównej mierze człowiek, nie wyznanie czy narodowość.

Dostrzegła spojrzenie, które posłano ku niej z drugiej strony stołu.

Siedział tam młody mężczyzna, którego zauważyła na moment przed tym, jak ponownie pogrążyła się we śnie. Teraz już wiedziała, że był to Quentin, siostrzeniec sir Waltera.

- Jak słyszałam, troskał się pan bardzo o moje zdrowie, młody panie - odezwała się i uśmiechnęła się do niego.

- To zdecydowanie nie oddaje całej prawdy - roześmiała się łagodnie lady Charlotte. - Dobry Quentin przez cały czas pełnił straż przed progiem twojego pokoju, lady Mary.

-1 przy okazji zajrzał też do środka - odparła Mary i przesłała mu

uśmiech, po którym jego blada jak ściana twarz spłoniła się rumieńcem.

- Pro... proszę o wybaczenie, milady -wyjąkał przy tym. - Nie miałem zamiaru zawstydzić cię, pani.

- Również nie było moim zamiarem zawstydzić ciebie, paniczu

Quentinie - odpowiedziała. - Wręcz przeciwnie, Kitty i ja jesteśmy ci bardzo zobowiązane. Jak mi powiedziano, to właśnie ty wpadłeś na pomysł użycia liny, dzięki której wyszliśmy cało z opresji.

-Cóż, ja...

Quentin nie bardzo wiedział, co powinien odpowiedzieć.

Zmieszany odwrócił wzrok i mieszał srebrną łyżką w zupie. Rosół z dziczyzny należał do jego ulubionych dań, dzisiaj jednak prawie go nie tknął. Po pierwsze dlatego, że najnowsze rewelacje sir Waltera dręczyły go jak wrzód, a po drugie z tej przyczyny, iż urokliwe towarzystwo lady Mary sprawiło, że we własnych oczach wyszedł na skończonego błazna.

Rezolutny Edwin Miles, który już w Edynburgu obracał się w wyższych sferach, nie natrafił na tego rodzaju przeszkody. Cicho odchrząknął, a potem gestem pełnym kurtuazji uniósł kielich.

- Chociaż nie jestem panem tego domu, lecz jedynie tolerowanym gościem, proszę o pozwolenie wzniesienia tego toastu. Wypijmy za zdrowie obu młodych dam, które Bóg sprowadził całe i zdrowe do nas. I oczywiście za zdrowie sir Waltera i Quentina, którzy mieli w tym niemały udział.

- Za zdrowie sir Waltera i Quentina - przyłączyła się do toastu

Mary i również wzniosła kielich.

Także Quentin, który przecież wiedział, jak należało się zachować, chciał wnieść swój kielich, jednak po drodze trącił łokciem kielich sir Waltera i wywrócił go, w następstwie czego wino Spatburgunder rozlało się po białym jak śnieg obrusie.

Lady Charlotte roześmiała się dobrotliwie, Kitty zaś zachichotała bez żenady z powodu jego niezdarności. Edwin Miles miał w sobie tyle przyzwoitości, że zdołał ukryć śmiech, zasłaniając usta dłonią.

Marzeniem Quentina w tym momencie było, żeby ziemia rozstąpiła się pod nim i go pochłonęła.

Po cóż zostawił za sobą Edynburg i dlaczego musiał udać się na poszukiwanie przygód? Przecież tego szukał przede wszystkim. Z goryczą przychodziło mu siedzieć w domu i słuchać o wielkich dokonaniach braci... W tym momencie jednak niczego nie pragnął bardziej niż jak najszybszego powrotu do domu. To nie był jego świat.

Najpóźniej po pożarze biblioteki powinien rozpoznać znak czasu i powrócić do Edynburga. Zamaskowani rabusie, którzy czatowali w przydrożnych rowach, walące się mosty oraz najemni zabójcy, wszystko to przekraczało stanowczo wytrzymałość jego prostego usposobienia. I jakby tego było jeszcze mało, pojawiła się teraz białogłowa, która postawiła na głowie jego cały świat. W jej obecności zachowywał się jak baran.

Ze szkarłatnym rumieńcem na twarzy siedział przy stole, zaś

młody Edwin Miles obiecywał sobie wyciągnąć z tego osobistą korzyść i raz jeszcze wbić sztylet w otwartą ranę.

- No cóż - odezwał się, nie kryjąc satysfakcji - odnoszę wrażenie, że nasz dobry Quentin dzisiejszego wieczora okazał się nieco niezdarny, nieprawdaż?

- Nic nie szkodzi - odparła Mary. - Być może przy stole panicz Quentin nie zachwyca galanterią. Jednak wczorajszego dnia wykazał się zdumiewającą przytomnością umysłu i niezwykłą odwagą, o jakiej kobieta może jedynie marzyć u mężczyzny.

Uśmiech, który posłała w jego stronę, był na tyle przyjazny i rozbajający, że Quentin z miejsca poczuł się rażniej, natomiast Edwin wycofał się niczym ujadający piesek, któremu ktoś nadepnął na ogon.

- Jak poinformowała mnie moja małżonka, zainteresowała się pani biblioteką, lady Mary? - wtrącił się do rozmowy sir Walter, chcąc zmienić temat.

Pierwsze danie zostało zjedzone, a talerze uprzątnięto. Z wąskiego korytarza, który prowadził do kuchni, dochodził już słodkavo-ziółowy aromat pieczeni z bażanta w sosie z czarnych jagód.

- To prawda - przytaknęła Mary. - Posiada pan zbiór, który robi imponujące wrażenie, sir. Gdybym dysponowała wolnym czasem, poprosiłabym o zgodę, by spędzić w bibliotece więcej godzin.

- To przecież nie było nic takiego - Quentin zdobył się na odwagę i zabrał głos. Nieco zbyt pospiesznie, ale w końcu wydusił z siebie kilka słów ułożonych w logiczne zdanie. - To co pani widziała, to tylko

biblioteka podręczna. Właściwy księgozbiór jest o wiele obszerniejszy.

Jeśli mój wuj pozwoli, z przyjemnością oprowadzę tam panią, lady Mary.

- Oczywiście, że pozwolę - zgodził się sir Walter. - Już wcześniej powiadomiłem lady Mary, iż powinna czuć się w Abbotsford jak w rodzinnym domu.

- Dziękuję, moi panowie. To piękne poczucie móc czuć się tu jak w domu. Tym bardziej iż ujmując rzecz precyzyjnie, nie mam w tym momencie żadnej ojczyzny.

-Jak mamy rozumieć te słowa?

- Proszę sobie wyobrazić, że kiedy doszło do tego tragicznego zdarzenia, byłam w trakcie podróży do Ruthven, gdzie mam nadzieję odnaleźć nowy dom. Bowiem z woli rodziców muszę poślubić młodego lorda Ruthvena.

Quentin siedział jak rażony gromem. Wprost nie dawał wiary temu, co właśnie usłyszał. Ta cudowna istota była już komuś przyobiecana, była zaręczona z młodym szlachcicem? Pachnące różami marzenia Quentina, nadzieje, jakie przez krótki czas rodziły się w jego głowie, prysnęły nagle jak bańka mydlana.

- Proszę wybaczyć moją bezpośredniość, lady Mary. Oceniając sposób, w jaki pani to przedstawiła, można odnieść wrażenie, iż nie jest pani wolą zawarcie małżeństwa z lordem Ruthvenem - wysunął przypuszczenie sir Walter.

- Jeśli wywołałam takie wrażenie, to przykro mi - odparła młoda

kobieta z wytworną ogładą. - Nie przystoi mi podawać w wątpliwość decyzji moich rodziców. Tak czy owak nie miałam jeszcze okazji poznać włodarza ziem w Ruthven, a zatem nie wiem, co mnie tam czeka.

- Została pani narzeczoną człowieka, którego pani w ogóle nie zna? - zapytał Quentin z niedowierzaniem w głosie. - Którego jeszcze nigdy nie widziała pani na oczy?

- W sferach, z których pochodzę, takie postępowanie jest czymś najzupełniej zwyczajnym - wyjaśniła Mary. - Jako posłuszna córka mojego rodu muszę ugiąć się wobec woli mojej rodziny, czyż nie?

- Naturalnie - odpowiedział Quentin i ponownie zaczerwienił się.

- Przepraszam, nie chciałem pani urazić.

- Nie uraził mnie pan, panie Quentinie - wyjaśniła, a ich spojrzenia na krótką chwilę spotkały się. - Niekiedy obcy potrafią zrozumieć nas lepiej niż ludzie, którzy są nam bliscy, lecz o te sprawy nikt nie pyta. Musiałam dostosować się do woli mojej rodziny i na zamku Ruthven odnajdę nową ojczyznę. Żałuję tylko, że niemal wszystko, co z dawnego życia miałam przy sobie, utonęło w nurtach rzeki.

- Utrata wszystkiego musi być potwornym uczuciem - odezwała się współczująco lady Charlotte. - Suknie i biżuteria, wszystko, do czego dama przywiązuje wagę.

- Nie żałuję moich sukni - zapewniła Mary. - Ale nie mogę odżalować moich książek. Chociaż powinnam odczuwać radość z wyjścia cało z opresji, mam poczucie, jakbym straciła dobrych

przyjaciół. Jest pan w stanie to zrozumieć?

- Oczywiście, że rozumiem - zapewnił sir Walter. - Być może nikt inny nie potrafi zrozumieć tego lepiej niż ja. Dobra powieść jest rzeczywiście niczym przyjaciel, nieprawdaż?

- Zgadza się.

- Co pani ostatnio przeczytała?

- Pewną bardzo pasjonującą powieść, której akcja rozgrywa się w średniowiecznej Anglii. Nosi tytuł *Ivanhoe*.

-I? Czy dobrze się pani bawiła podczas lektury? - zapytał sir Walter, przy czym nawet nie drgnął.

- W rzeczy samej - potwierdziła Mary. - Powieściopisarz, spod którego pióra wyszedł *Ivanhoe*, jest swoją drogą Szkotem.

- Szkotem? Czy powinienem go znać?

- Jestem o tym przekonana, sir Walterze - odparła z uśmiechem

Mary. - Chociaż autor tego dzieła pragnąłby pozostać anonimowy, doskonale wiem, że to pan je napisał.

Była to jedna z nielicznych sytuacji, kiedy sir Walter nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Wprawdzie niespecjalnie chełpił się swoimi pisarskimi dokonaniem, ale nie był w stanie zaprzeczyć temu, że w ostatnich latach coraz głośniejsze mówiło się o tym, spod czyjego pióra wyszły przygody rycerza *Ivanhoe* oraz wiele innych powieści. Zatem nie podjął nawet próby wyłgania się, tym bardziej że pochwała młodej damy schlebiała mu.

- Proszę, niech pan się na mnie nie gniewa, że nie powiedziałam

panu tego od razu, sir Walterze - poprosiła Mary. - Nie uczyniłam tego z szacunku, bowiem pańskie powieści są zaiste arcydziełami. Prze czytałam wszystkie co do jednej; te, które udało mi się zdobyć. I nie znam nikogo, kto potrafiłby oddać ducha minionych czasów w sposób równie pasjonujący jak pan. Podczas lektury pańskich dzieł można odnieść wrażenie, iż wciela się pan duszą i sercem w swoich bohaterów. Że w pańskiej piersi bije serce, które nie zapomniało o takich cnotach jak przyzwoitość i honor. Nawet w tych czasach.

Sir Walter przywykł do wysłuchiwanie słów krytyki. W

Edynburgu nie brakowało ludzi, którzy sami siebie określali mianem znakomitych krytyków i którzy w jego dziełach dopatrywali się rozmaitych słabości oraz niedociągnięć oraz odgrywali rolę sędziów wyrokujących o wartości jego twórczości. Jeszcze nigdy nie usłyszał pochlebnej opinii, która w takim stopniu płynęłaby z głębi serca, jak miało to miejsce w przypadku lady Mary.

- Dzięki za te słowa, milady - odparł skromnie.

- Nie, sir. To ja składam podziękowanie na pana ręce. Pańskie powieści pomogły mi w ostatnich latach podtrzymać nadzieję. Przez cały ten czas towarzyszył mi pan, nawet tu na obczyźnie.

-Jeśli moje powieści spodobały się pani, lady Mary, jeśli poruszyły pani serce, to nie jest pani osobą obcą w tej krainie - rzekł z uśmiechem sir Walter, a jego głos odrobinę zadrżał, kiedy kontynuował.

- Jak sama pani stwierdziła, w Abbotsford nie cierpimy na brak ksiąg i woluminów. O ile pani pozwoli, z prawdziwą przyjemnością



wyposażę panią w kilka egzemplarzy z mojej biblioteki.

- To bardzo miłe z pana strony, sir, ale jednak nie mogę ich przyjąć. Już uczynił pan dla mnie zbyt wiele!

- Niech pani przyjmie je ze spokojem serca, moje dziecko - włączyła się do rozmowy lady Charlotte, a na jej łagodnym obliczu pojawił się uśmiech. - Skoro mój małżonek zamierza rozstać się z kilkoma ze swych ukochanych tomów, powinna je pani przyjąć, zanim wróci mu rozum i zmieni zdanie.

Wszyscy roześmieli się, najgłośniej zaś sir Walter, którego kosztem bawili się inni. W blasku świec kontynuowano swobodną rozmowę. Po chwili wniesiono drugie danie.

Przy stole wymieniano poglądy i rozprawiano beztrosko. Przez kilka godzin wydawało się nawet, iż ciemne chmury, jakie gromadziły się nad Abbotsford, zostały przegnane.

Następnego ranka Mary Egton i jej służka wyruszyły z Abbotsford.

Ponieważ ich powóz uległ zniszczeniu podczas tragicznych wydarzeń, sir Walter kazał zaprząć konie do własnego czterokonnego powozu i obu damom udostępnił ten środek lokomocji na czas ich podróży. Woźnica miał powrócić wraz z zaprzęgiem, gdy tylko dowiedzie lady Mary i jej pokojówkę, całe i zdrowe, do Ruthven. Poza tym Scott w drogę wysłał również konno dwóch służących w charakterze eskorty

- w mniejszym stopniu kierując się obawą, że damy znów mogą stać się ofiarami napadu, a w większym dlatego, iż pragnął, by pozbyły się

lęku i obaw. Ciało Winstona Sellersa odwieziono do Egton, gdzie miało zaznać spokoju w rodzinnej ziemi.

- Jak mogę wyrazić słowa podziękowań, sir Walterze? - zapytała Mary, kiedy żegnali się przed kamiennymi schodami Abbotsford.

- Uczynił pan dla nas więcej, niż kiedykolwiek będę w stanie odwzajemnić.

- Niech mi pani nie dziękuje z takim zapałem, lady Mary - wzbraniał się Scott. - Uczyniłem tylko to, co było moim obowiązkiem.

- Uczynił pan znacznie więcej, podobnie zresztą jak pańska małżonka i pański siostrzeniec. Wszyscy przyjęliście nas nad wyraz gościnnie i pozwoliliście nam odzyskać nadzieję po tych potwornych wydarzeniach. Bardzo bym chciała kiedyś odwdziaczyć się za wszystko.

- Miejmy nadzieję, że tak się jednak nie stanie, milady - odparł nieco zagadkowo sir Walter. Potem dał znak jednemu ze służących, który trzymał w rękach duży wolumin oprawny w skórę.

- Chciałbym jeszcze podarować pani na drogę to, o ile pani pozwoli.

- Co to jest?

- To rozprawa poświęcona historii naszego kraju, poczynając od Piktów, przez dzieje klanów, aż po bitwę pod Culloden. Jeśli chce pani zrozumieć Szkocję i jej mieszkańców, musi pani przeczytać tę księgę.

Służący podał Mary ciężki wolumin, który ostrożnie od niego wzięła i zaczęła kartkować. Księga była stara, z pewnością liczyła

ponad sto lat, a Mary nawet nie odważyła się oszacować jej wartości.

- Nie mogę tego przyjąć, sir - oznajmiła, kierując się tym

względem. - Przed chwilą powiedziałam przecież, jak wiele panu  
zawdzięczam. Już podarował mi pan liczne ze swych książek, a teraz  
chce pan dać mi w prezencie jeszcze ten tom?

- Wiem, że gdy daję ją pani, trafia w dobre ręce, lady Mary. W pani  
oczach nie dostrzegam arogancji i uprzedzeń, jakie są typowe dla wielu  
gości, którzy przybywają do naszego pięknego kraju z południa.

Uprzedzenia różniące Anglików i Szkotów nie powinny dłużej trwać.

Jesteśmy jednym krajem, jednym królestwem. Jeśli ten wolumin będzie  
w stanie choć odrobinę się do tego przyczynić, z najwyższą ochotą  
daruję go pani.

Mary poczuła, że dalszy sprzeciw nie ma najmniejszego sensu.

Ukloniła się uprzejmie i obiecała, że będzie dbać o księgę z należnym  
szacunkiem.

Potem nadeszła chwila pożegnania.

Chociaż spędziła w Abbotsford tylko kilka dni, Mary z trudem

rozstawała się z romantycznymi wykuszami i kamiennymi

wieżyczkami, pośród których na chwilę odnalazła swój dom. Był to

świat, w którym czuła się dobrze i który zdawał się nie istnieć poza

murami posiadłości. Świat, w którym wciąż jeszcze istniały

przyzwoitość, odwaga oraz

honor i w którym ludzi nie oceniano na podstawie tytułów czy

urodzenia, lecz na podstawie przymiotów ich serca.

Pożegnała się po kolei z sir Walterem i lady Charlotte, potem z Quentinem, który przy tej okazji nie zdobył się na odwagę, by spojrzeć jej w oczy. Chociaż nie było to przyjęte, Mary pożegnała się również ze służbą, podziękowała za każdą uprzejmość, która ją tu spotkała.

Potem wsiadła do czekającego już powozu. Ciężki pojazd ruszył ostro z miejsca, opuścił dziedziniec i wytoczył się na gościniec.

Państwo Scott oraz Quentin stali przed bramą i machali na pożegnanie do chwili, kiedy powóz zniknął za zakrętem i został pochłonięty przez pokrywający się zielenią las. Przez krótki moment sir Walter odniósł wrażenie, iż w oczach swego siostrzeńca dostrzegł wilgotny błysk.

Nie tylko Mary Egton i jej służąca, ale także rodzina Scottów przeżyła kilka godzin beztroski, zapominając przy okazji o żałobie i niedolach minionych dni.

Wraz z pożegnaniem lady Mary powrócił tu powszedni rytm - a wraz z nim trwoga.

- Czego pan ode mnie oczekuje?

Z twarzy Charlesa Dellarda nie można było odczytać ani współczucia, ani też zrozumienia. Wręcz przeciwnie, sir Walter odnosił wrażenie, że inspektor znajduje skrytą satysfakcję w tym, że jego ponure przepowiednie tak szybko się sprawdziły.

- Czego od pana oczekuję? - powtórzył sir Walter.

W biurze straży miejskiej Kelso było ciepło i duszno. Na czole Quentina, który jak zawsze towarzyszył wujowi, pojawiły się kropelki potu.

- Oczekuję od pana, że będzie pan wypełniał swoje obowiązki i prowadził śledztwo w tej sprawie z należytą starannością.

- Jak już powiedziałem, sprawa ta nie należy do zakresu moich obowiązków. Szeryf Slocombe, jako przedstawiciel prawa, posiada kompetencje do zbadania katastrofy na moście...

- To nie była żadna katastrofa - zaproponował stanowczo sir Walter.

- To był zaplanowany zamach, którego celem był mój siostrzeniec oraz moja skromna osoba. Lady Egton oraz jej służka znalazły się jedynie w niewłaściwym miejscu i w niewłaściwym czasie.

- Już pan to mówił. Jednak nie istnieją żadne poszlaki, które by to potwierdzały.

- Nie? Czy podczas naszego ostatniego spotkania nie oznajmił mi pan osobiście, że grozi mi niebezpieczeństwo? Że powinienem wycofać się z udziału w dochodzeniu?

Dellard nie udzielił odpowiedzi natychmiast, lecz zdawał się

zastanawiać nad słowami, które padły przed chwilą.

- Dobrze, sir - odezwał się po chwili. - Załóżmy, że ma pan rację.

Założmy, że te potworne zdarzenia na moście nie były jedynie godnym pożałowania wypadkiem, lecz dziełem przestępców, którzy są również odpowiedzialni za śmierć Jonathana Milтона oraz pożar w bibliotece.

Pytam pana po raz kolejny: czegoż pan ode mnie oczekuje?

Powiedziałem już przecież, że depczę tym zbirom po piętach. Cóż więcej mogę uczynić?

- Może mi pan, dla przykładu, wyjawić w końcu, kim są ci ludzie

- wysunął propozycję sir Walter. - Dlaczego są do tego stopnia zdeterminowani, że idą po trupach? Co knują?

Twarz Dellarda nie wyrażała nic, była niczym niezapisana tablica.

- Przykro mi, sir, ale nie jestem upoważniony, by udzielać panu informacji na ten temat.

- Nie? Mimo tego, że ktoś dybie na życie mojego siostrzeńca oraz moje? Mimo tego, że pewna młoda dama, która pochodzi zresztą z arystokratycznej rodziny, o mały włos nie została zamordowana? Mimo tego, że jest jedna ofiara śmiertelna?

- Poinformowałem już pana o wszystkim, o czym musi pan wiedzieć. Powiedziałem panu, że najbezpieczniej dla pana będzie, jeśli pozostanie pan w Abbotsford i tam będzie oczekiwał do czasu, kiedy moi ludzie uporają się z tą sprawą. Już niebawem rozwiążemy ten przypadek i schwyjemy odpowiedzialnych za zbrodnię. Ważne jest

jednak, żeby zastosował się pan do moich zaleceń, sir.

- Pańskich zaleceń? - zapytał ostrym tonem sir Walter.

- Moich usilnych próśb - podkreślił Dellard z większą dozą dyplomacji.

Błyski w jego oczach zdradzały zresztą, że sięgnąłby po zupełnie inne słowa, gdyby nie powstrzymywała go służbowa dyscyplina.

- A zatem wciąż wzbrania się pan przed ujawnieniem nam czegokolwiek o tej sprawie. Mimo tego, co się wydarzyło.

- Nie mogę. Bezpieczeństwo obywateli tego okręgu stanowi dla mnie najwyższy priorytet i nie uczynię niczego, co mogłoby im zagrozić. W każdym razie nie ścierpię, żeby cywil...

- Ten cywil studiował nauki prawnicze! - wykrzyknął sir Walter tak głośno, że Quentin aż się wzdrygnął.

Nagle tak łagodny zazwyczaj wuj wydał mu się mroczny i budzący trwogę.

- Ten cywil przez wiele lat pełnił obowiązki szeryfa Selkirk! I ten cywil posiada prawo, by dowiedzieć się, kto właściwie dybie na jego życie oraz zagraża spokojowi jego domu!

Przez kilka sekund, które Quentinowi wydawały się wiecznością, mężczyźni stali naprzeciw siebie, rozdzieleni jedynie zabytkowym biurkiem z dębowego drewna.

- A zatem dobrze - ustąpił w końcu Dellard. - Z szacunku dla pańskiej osoby oraz z uwagi na autorytet, jakim cieszy się pan tutaj, a także w Koronie, poddam się pana woli i wtajemniczę pana. Jednak ostrzegam pana, sir Scott. Ta wiedza może okazać się niebezpieczna.

-Już raz ktoś porwał się na moje życie - odparł cierpko sir Walter.

- Jeden człowiek poniósł przy tym śmierć, a dwie młode damy ledwo wyszły cało z opresji. Pragnę w końcu wiedzieć, na czym stoję.

- Niech pan nie zapomni, że pana ostrzegałem, sir - odezwał się inspektor głosem tak złowieszczym, że Quentin dostał gęsiej skórki.

- Nasz przeciwnik jest w równej mierze bezwzględny co przebiegły.

Z tego względu należy zachować najwyższą ostrożność.

- Kto to jest? - zapytał sir Walter bez strachu.

- To buntownicy - odparł Dellard lakonicznie. - Chłopi oraz inni mieszkańcy wsi niezadowoleni z losu, który sami sobie zgotowali.

- O czym pan mówi?

- Mówię o tym, co rząd od kilku lat usiłuje wszelkimi możliwymi

siłami wprowadzić, żeby te opuszczone przez Boga ziemie

ucywilizować. I o tym, że ze strony plebsu starania te wciąż napotykają

przeszkody. Cóż lepszego może spotkać tych ludzi niż oderwanie od

beznadziei ich nieurodzajnych gospodarstw i przesiedlenie na

wybrzeże, gdzie gleby są żyzne i jest praca? Miasta, w których mogą

prowadzić normalne życie.

- Jeśli nawiązuje pan do operacji *Highland clearances*... -zaczął sir

Walter.

- Dokładnie to czynię! Mówię o trwonieniu pieniędzy z podatków

uczciwych obywateli na zapewnienie lepszej egzystencji upartym

Szkotom. I jaką w zamian otrzymujemy podziękę? Bunty, mordy i

zabójstwa.



Quentin jak zaczarowany przysłuchiwał się rozmowie, która w coraz większym stopniu przemieniała się w ostry spór. Wiedział, że Dellard tymi lekkomyślnymi słowami dotknął czułego punktu wuja, który generalnie uchodził za osobę zrównoważoną.

Co oczywiste, Quentin również wiedział co nieco na temat zorganizowanych czystek, jakie prowadzono na obszarach Highlands, i to już od wielu lat. Skuszeni obietnicami bogatych hodowców owiec, którzy obiecali zapłatę wysokich czynszów za dzierżawę ich gruntów, liczni właściciele ziemscy i członkowie klanów zgodzili się przekazać ziemię. Zmuszano ich do opuszczania rodzinnych stron i przesiedlania się na obszary przybrzeżne. Tym, którzy stawiali opór, niejednokrotnie puszczano z dymem domostwa. Szczególnie źle działo się w hrabstwie Sutherland, gdzie Anglik nazwiskiem Granville miał decydujący głos i gdzie sądowych egzekutorów wspierały oddziały wojskowe. Sir Walter co jakiś czas ponawiał sprzeciw wobec przymusowych przesiedleń, jednak jego protesty trafiały jak grochem w ścianę - również z tej przyczyny, że wielu szlachetnie urodzonych Szkotów popierało te działania, gdyż dzięki nim ich własne kieszenie zapełniały się brzęczącą monetą.

- Nie mam nic przeciwko temu, by nazywać rzeczy po imieniu, inspektorze - oznajmił sir Walter, przy czym można było odnieść wrażenie, że z trudem panował nad sobą. - Jednak nie jestem w stanie ścierpieć, kiedy są przeinaczane. Podczas czystek w regionie Highlands wielu szkockich chłopów, a będzie ich jeszcze więcej, zostało zmuszonych przy użyciu brutalnej siły, wbrew ich woli, do porzucenia

odziedziczonej ziemi i przesiedlenia się na wybrzeże. Wszystko to dzieje się jedynie po to, żeby dawne głowy klanów zyskały możliwość wydzierżawienia ziemi hodowcom owiec przybyłym z południa.

- Odziedziczonej ziemi? Mówi pan o ubogiej glebie i nagich kamieniach.

-Te kamienie, szanowny inspektorze, są ojczyzną tych ludzi, którzy zamieszkują te ziemie od setek lat. Plany rządu są być może szlachetne, jednak w żadnym wypadku nie usprawiedliwiają tego typu działań.

- Czy w takim razie uważa pan za usprawiedliwione, że banda po zbawionych domu chłopskich nierobów dopuszcza się mordów i sieje w kraju spustoszenie? - odparł ostro Dellard.

Sir Walter opuścił głowę.

- Nie - rzekł cicho. - Tego nie usprawiedliwiam. I wstydzę się, że to moi rodacy kryją się za tymi powszechnymi napadami. Czy jest pan jednak rzeczywiście pewien, że sprawy mają się właśnie tak?

-Jestem na tropie tych przestępców już od lat- oznajmił Dellard. -

To są fanatycy. Nacjonaliści, którzy odziewają się w opończe i sieją zamęt. Tym razem jednak deptę im po piętach. Już niebawem ich schwytam.

- Czy są to ci sami ludzie, którzy zamordowali biednego Jonathana?

- Właśnie tak.

- Czy to również oni omal nie pozbawili życia mojego siostrzeńca?

- Przykro mi, że musiał pan dowiedzieć się tego wszystkiego, sir

Walterze. Jednak to pan przy tym obstawał. Moim zamiarem jest chronić pana oraz pańską rodzinę oraz nie dopuścić do szkodliwych wpływów. Musi mi pan jednak pozwolić wykonywać moją pracę.

Sir Walter milczał. Quentin, który w międzyczasie zdążył dobrze poznać swego wuja, zdołał dostrzec, że słowa Dellarda wprowadziły go w zamyślenie. Samego Quentina wywody Dellarda zaniepokoiły w mniejszym stopniu, wręcz przeciwnie. Myśl, że za napadami kryli się zbuntowani chłopcy oraz że tajemniczy upiór, na którego natknął się w bibliotece, był człowiekiem z krwi i kości, nieco go uspokoiła.

Sir Walter jednak zdawał się nie w pełni usatysfakcjonowany tym, co tu usłyszał.

- To jest pozbawione sensu - oponował. - Jeśli to są rzeczywiście buntownicy, dlaczego nastają na moje życie? Każdy przecież wie, iż jestem zagorzałym przeciwnikiem czystek i nigdy nie czyniłem z tego tajemnicy w obecności przedstawicieli rządu.

- Jednakże wiadome jest wszem wobec, że sympatyzuje pan z Koroną, sir. Dzięki pańskim staraniom szkocki styl życia stał się modny na dworze, a król planuje wizytę w Edynburgu. Najwidoczniej więc w oczach rebeliantów stał się pan wrogiem, czy to się panu podoba czy nie.

- A dlaczego zbuntowani chłopcy podpalają bibliotekę? Należałoby raczej sądzić, że ludziom wypędzonym z ojcowizny zależy bardziej na zapełnieniu głodnych brzuchów.

- Czy spodziewa się pan, że wyjaśnię ukryte zamiary tych

przestępców? To są buntownicy, bezrozumna plebejska tłuszcza, która nie pyta o sens popełnianych mordów.

- Ci ludzie ryzykują zawieszenie na szubienicy, inspektorze. Zatem logiczne wydaje się założenie, że ich czyny zmierzają do wytyczonego celu.

- Co pan sugeruje?

- Chcę przez to powiedzieć, że pańska teoria zupełnie mnie nie przekonuje, inspektorze Dellard, ponieważ brakuje jej przekonujących dowodów. Ja natomiast parokrotnie dostarczyłem panu poszlaki oraz zeznania świadków, którymi jednak zupełnie pan się nie zainteresował.

- Jakie zeznania? - Dellard omiół lekceważącym spojrzeniem

Quentina. - Relacja młodzieńca, który był do tego stopnia przerażony, że prawie nie jest w stanie sobie tego przypomnieć. Oraz awanturnicza opowieść o jakimś pradawnym znaku. Czyż oczekuje pan ode mnie, że coś takiego przedstawię moim przełożonym?

- Nie znak, lecz symbol runiczny - skorygował sir Walter. - I mimo tego, co pan tu powiedział, wciąż nie jestem przekonany, czy ten runiczny symbol nie pozostaje w związku z tym, co się tu wydarzyło.

- Ma pan do tego prawo - oznajmił Dellard, a jego głos zabrzmiał tak lodowato, że Quentin przeszedł dreszcz. - Nie jestem w stanie zmusić pana do zaaprobowania mojej teorii, chociaż na polu zwalczania przestępczości dysponuję znacznie większym doświadczeniem niż pan i od dawna już jestem na tropie tych bandytów. Jeśli pan sobie życzy, może pan złożyć na mnie skargę w rządowej administracji. Ale zanim

tak się stanie, sir, to ja prowadzę dochodzenie i nie pozwolę nikomu, by dyktował mi, jak powinienem postępować.

- Zaoferowałem panu wyłącznie moją pomoc, to wszystko.

- Zbędna jest mi pańska pomoc, sir. Zdaję sobie sprawę, że na królewskim dworze są kręgi, które z panem sympatyzują. Ja jednak nie zaliczam się do tych ludzi. Jestem oficerem, rozumie pan? Znalazłem się tutaj, ponieważ mam do wypełnienia zadanie i to właśnie będę czynił. Dopadnę tych zbuntowanych chłopów i pokażę im, kto jest panem w tym kraju. Natomiast panu, sir Walterze, usilnie radzę powrót do Abbotsford i odradzam wyściubianie stamtąd nosa. Więcej nie mogę i nie chcę panu wyjawić.

- Czy zechce pan przynajmniej rozważyć odkomenderowanie kilku dragonów do ochrony Abbotsford?

- To nie będzie konieczne. Jesteśmy na tropie złoczyńców. Już niebawem wpadną w zastawioną na nich pułapkę. A teraz życzę panu miłego dnia, sir.

Dellard znów usadowił się za swoim biurkiem i sięgnął po dokumenty, które przeglądał wcześniej. Na obu gości nie raczył więcej spojrzeć, zupełnie jakby już opuścili biurowe pomieszczenie.

Sir Walter zacisnął pięści, a przez moment Quentin obawiał się, że wuj nie będzie w stanie zapanować nad sobą. Wydarzenia ostatnich dni, poczynając od śmierci Jonathana, przez pożar biblioteki i kończąc na napadzie przy moście, zaciążyły na psychice sir Waltera bardziej, niż był skłonny przyznać. Quentin musiał też potwierdzić, choć czynił

to wbrew sobie, że nawet jego wuj miał obawy.

Być może tym, co spędzało sen z powiek sir Walterowi, nie była troska o własny los, lecz o bezpieczeństwo rodziny i czeladzi, która służyła w jego domu. Dellard zaś nie kiwnął nawet palcem, żeby rozproszyć te obawy.

Sir Walter odwrócił się energicznie, wziął kapelusz i opuścił biuro inspektora.

- Ten człowiek coś ukrywa - odezwał się, ledwie tylko znaleźli się na gościńcu.

- Co chcesz przez to powiedzieć, wuju? - zapytał Quentin.

- Nie wiem, na czym to polega, ale jestem przekonany, że Dellard nie powiedział nam wszystkiego, co wie na temat tych buntowników.

- Co zatem zamierzasz teraz zrobić?

- Dwie rzeczy. Po pierwsze wyślę list do Londynu, w którym poskarżę się na upór Dellarda. Jak na kogoś, kogo tu przysłano, by nas chronił, zachowuje się zdecydowanie zbyt arogancko. Nie podoba mi się również jego podejście do naszego narodu.

- A po drugie?

- Złożymy jeszcze jedną wizytę opatowi Andrew. Podczas naszej ostatniej rozmowy odniosłem wrażenie, że wie więcej, niż był skłonny nam powiedzieć. Być może rozważy to jeszcze raz pod presją ostatnich wydarzeń i w końcu przerwie milczenie.

Quentin wzruszył ramionami. Wiedział, że jakiegokolwiek próby sprzeciwu były skazane na porażkę. Także gdy chodziło o ostateczny

charakter podejmowanych decyzji, sir Walter był prawdziwym

Szkotem.

Ponownie ruszyli w drogę do opactwa, a Quentin radował się

faktem, że tego ranka na traktach miasteczka panował radosny rej-wach

i ożywiony ruch, dzięki czemu nie musiał obawiać się, iż stanie się

celem skrytobójczej napaści. Mimo tego Quentin przyłapał się na tym,

że nieufnym wzrokiem spoglądał na ludzi, którzy szli z naprzeciwka

albo stali w uliczkach. Wydarzenia w bibliotece oraz napaść przy

moście sprawiły, że stał się podejrzliwy. Nie pokładał już zaufania w

świecie, który go otaczał. Była to dla niego, prostodusznego młodego

człowieka, zauważalna zmiana. Jednakże Quentin nie wiedział, czy to

zmiana na lepsze czy na gorsze. Lecz przynajmniej był z niej jakiś

pożytek.

Od bramy domu zakonnego znowu zaprowadzono ich na pierwsze

piętro. Tym razem opat Andrew pogrążony był w modlitwie.

Zakonnik, który ich przyprowadził, szeptem nakazał im zaczekać,

aż opat skończy odmawiać brewiarz. Sir Walter i Quentin przystali

uprzejmie na tę prośbę, zaś ten drugi zyskał sposobność rozejrzenia się

po skromnie umeblowanej pracowni opata. Jego wzrok padł na stare

księgi oraz zwoje, kilka nielicznych, które udało się uratować z

biblioteki, zanim pochłonął ją pożar. Opat Andrew był nie tylko

zakonnikiem i zwierzchnikiem braci w Kelso; był także uczonym i

badaczem.

Mnich zakończył modlitwę znakiem krzyża i pochylił się ku

posadzce. Potem podniósł się z klęczek i raz jeszcze pokłonił się przed prostym krzyżem, który wisiał" na pustej ścianie pobielonej wapnem.

Dopiero potem odwrócił się do swoich gości.

- Sir Walter! Panicz Quentin! Jak dobrze widzieć was zdrowych i całych po wszystkim, co się wydarzyło. Dziękuję za to Panu.

- Dzień dobry, wielebny opacie. A zatem słyszał już opat o tych wydarzeniach?

- A któż nie słyszał? - odparł zakonnik i uśmiechnął się w typowy dla niego łagodny i jednocześnie wyrozumiały sposób. - Jeśli sprawę prowadzi szeryf Slocombe, zazwyczaj o stanie śledztwa jest powiadomione całe Kelso.

- Zatem zapewne opat domyśla się, co nas tu sprowadza.

- Chcecie prosić o wstawiennictwo u Pana, żeby złoczyńcy zostali schwytani możliwie rychło?

Od momentu przybycia do Abbotsford Quentin z rzadka miał sposobność widzieć sir Waltera zakłopotanego. Teraz była właśnie jedna z tych nielicznych chwil, a młody człowiek nie był w stanie pozbyć się wrażenia, że opat Andrew miał dokładnie taki zamiar.

- Nie, wielebny opacie - wyznał mimo to sir Walter. - Przybyliśmy tu, ponieważ szukamy odpowiedzi.

- Któż tego nie czyni? Poszukiwanie odpowiedzi pochłania większą część naszej egzystencji.

- Święta racja - ripostował sir Walter. - Lecz obawiam się, że moja własna egzystencja już wkrótce dobiegnie kresu, o ile rychło nie



odnajdę tych odpowiedzi.

- Mówi pan o bardzo poważnych sprawach z niezwykłym  
opanowaniem - stwierdził opat, nie kryjąc w głosie lekkiego zarzutu.

- Moje opanowanie jest wyłącznie powierzchowne, wielo-  
opacie - wyjaśnił sir Walter. - W rzeczywistości przepełnia mnie  
głęboki niepokój, nie tak bardzo o moją własną osobę, lecz o ludzi,  
których los leży mi na sercu. Jednego z nich już utraciłem, a przed  
paroma dniami życie stracił ktoś, kto nie należał do moich bliskich. Ta  
sprawa zatacza coraz szersze kręgi, ja zaś nie jestem w stanie położyć  
temu kresu i to mnie niepokoi.

- Wyczuwam pańskie zaniepokojenie i troskę, sir Walterze, i co  
oczywiste, obejmę również pana i pańskich bliskich moimi  
modlitwami. Wszelako zadaję sobie pytanie, dlaczego przyszedł pan  
do mnie. Inspektor Dellard wydaje się w tym przypadku właściwszą...

- Inspektorowi złożyliśmy już wizytę - głos zabrał nieproszony  
Quentin, który nagle poczuł, że powinien przyjść, w sukurs wujowi;  
jednocześnie zdumiała go własna śmiałość.

- Wyłożył na stół jakąś zawiłą historyjkę, wedle której zbuntowani  
chłopi z regionu Highlands mieliby być odpowiedzialni za te napady -  
dodał sir Walter, wyluszczając, w czym rzecz.

- I nie daje mu pan wiary?

- Nie ma w tym krzyny sensu i logiki. Dellard zignorował zarówno  
zeznanie Quentina, jak i moje spostrzeżenia i z zapalem godnym  
lepszego sprawy podąża w ślad za własną teorią.

- Ma pan na myśli sprawę z runicznym znakiem...

- Tak, wielbny opacie. Z tym wiążą się odpowiedzi, których szukamy.

- U mnie?

- Tak, wasza wielbność. Mówiąc otwarcie, mieliśmy nadzieję, że opat będzie w stanie wyjawić nam nieco więcej na ten temat niż podczas naszej poprzedniej wizyty.

- Poinformowałem pana o wszystkim, co o tym wiem.

Powiedziałem panu również, że może dojść do nieszczęścia, jeśli będzie się pan tym zbyt dogłębnie zajmował. Już po krótkim czasie przekonał się pan, że miałem rację. Tym razem więc proszę, żeby posłuchał pan mojej rady, sir Walterze. Płynie ona ze szczerego serca, które jest panu oraz pana rodzinie bardzo przychylnie.

- W co nie wątpię, a wasza wielbność wie, iż mnie również łączą z klasztorem przyjazne więzi. Niepotrzebne mi są jednak wcale dobre rady, lecz odpowiedzi. Muszę wiedzieć, co kryje się za tym runicznym znakiem. Dellard nie daje temu wiary, lecz ja jestem przekonany, że znak ten oraz groźne wypadki ostatnich dni są ze sobą powiązane.

- Skąd się bierze ta pewność? - głos zakonnika nieco się zmienił.

Nie brzmiał teraz tak spokojnie i życzliwie, co Quentin uznał za objaw rosnącego niepokoju.

- W żadnej mierze nie jestem tego pewien, wielbny opacie. Mój siostrzeniec i ja błąkamy się po labiryncie oderwanych od siebie poszlak i szukamy brakujących powiązań. Żywiliśmy nadzieję, iż

wasza wielbność nam w tym dopomoże, ponieważ mówiąc otwarcie...

-Tak?

- ...odniosłem wrażenie, jakobyś, wielbny opacie, wiedział nieco więcej, niż byłeś łaskaw nam wyjawić - wyznał sir Walter z typową dla siebie otwartością. - Zdaję sobie sprawę, iż milczałeś nie w złej wierze, lecz dlatego, że nie chciałeś nas niepokoić. Teraz jednak jest ważne, żebyśmy wiedzieli wszystko. Łatwiej jest bowiem przygotować się na zagrożenie, jeśli się wie, z której strony nadchodzi.

- Dostrzegł to pan? - opat uniósł brwi w zdziwieniu.

- Moja profesja wiąże się z opanowaniem umiejętności interpretowania zmian w mimice twarzy oraz gestykulacji. Uważam też, iż w sztuce obserwacji osiągnąłem sporą wprawę. A w przypadku waszej wielbności nie mam najmniejszych wątpliwości, że nie powiedziałeś nam, wielbny opacie, wszystkiego, co wiesz o znaku miecza.

Przełożony zakonu spojrział najpierw na sir Waltera, potem na jego siostrzeńca. Potrzebował kilku oddechów, zanim minęło zaskoczenie.

- Przemilczanie i zatajanie prawdy nie jest sprawą zakonnego brata

- odezwał się po chwili. - Wprawdzie nie istnieje ślub, który zobowiązywałby nas do mówienia prawdy, jednak Pan powołał nas do tego, żebyśmy dawali sobie nawzajem uczciwe i szczerze świadectwo.

Dlatego też nie zamierzam skłamać i oznajmiam, iż miałeś rację, sir Walterze. Znam ten znak, który mi pan pokazał, i widziałem go już wcześniej.

- Dlaczego więc, wasza wielbność, nie powiedziałeś nam tego?

- Ponieważ nie chciałem, żeby panu albo pańskiemu siostrzeńcowi przydarzyło się jakieś nieszczęście. Ten runiczny znak należy do królestwa złego. Pochodzi z pogańskich czasów i nigdy jeszcze nie przyniósł rodzajowi ludzkiemu niczego dobrego. Obawiam się, że musicie zadowolić się tym, co teraz wyjawiałem, ponieważ więcej nie mogę, wręcz nie wolno mi, wam powiedzieć.

- Przykro mi, opacie Andrew, lecz w żadnym stopniu nie jestem w stanie się tym zadowolić. Mam też podstawy, by sądzić, że ten runiczny znak oraz zawalenie się mostu pozostają ze sobą w ścisłym związku. Muszę tylko odgadnąć, na czym dokładnie polega ten związek.

- Inspektor Dellard zdaje się nie dostrzegać tego powiązania.

- Nie - potwierdził sir Walter z kwaśną miną. - Jest przekonany, iż symbol runiczny nie ma nic wspólnego z tym, co się tu wydarzyło.

- Dlaczegoż więc pan się tym nie zadowoli? W moich oczach inspektor jest przezornym i doświadczonego śledczym, który cieszy się zaufaniem zarówno rządu, jak i landlordów.

- Ponieważ żywię podejrzenie, że inspektorowi w większym stopniu zależy na wykorzystaniu tych zdarzeń jako pretekstu do działań skierowanych przeciwko buntownikom. Dużo mniejszą wagę przywiązuje natomiast do rozwikłania tej sprawy - odparł sir Walter z pełną otwartością.

- To bardzo poważne oskarżenie.

- To nie oskarżenie. Jedynie podejrzenie, o którym powiadamiam

dobrego przyjaciela. Tobie, mój szacowny opacie, oraz mnie powinno bowiem zależeć na prawdzie. Co się zaś tyczy Dellarda, nie mam już takiej pewności.

Znów nastąpiła przerwa, w trakcie której Quentin obserwował, jak obaj mężczyźni wymieniali spojrzenia.

Każdy z nich przedstawił jasno swoje stanowisko, Quentin zaś nie był w stanie rozstrzygnąć, czyje argumenty brzmiały bardziej przekonująco. Zarówno sir Walter, jak i opat wzbudzali szacunek, a Quentin zaczął emocjonować się kwestią, czyje racje przeważą.

Uwzględniając sprawy, o które chodziło, Quentin wcale nie miał pewności, czy życzył sobie, żeby wola jego wuja wzięła górę...

- Szanuję pańskie intencje, sir Walterze - podjął w końcu rozmowę opat. - I wiem, co pan czuje. Ale nie mogę wyjawić panu nic więcej ponad to, co już powiedziałem. Teraz jednak pragnę ostrzec pana po raz kolejny. Runiczny znak jest symbolem zła. Tego, kto usiłuje podążać jego mrocznym szlakiem, spotyka śmierć i zatracenie. Już dwóch ludzi znalazło śmierć i o mały włos - tu skierował wzrok na Quentina - oplakiwalibyśmy jeszcze jedną ofiarę. Niech pan będzie wdzięczny za tych, którzy wciąż są pośród nas, i niech pan zostawi te sprawy w spokoju. Po chwili opat dodał znaczącym tonem:

- Niekiedy ludzie otrzymują pomoc, na którą wcale nie liczyli.

- O czym wasza wielbność mówi? - zapytał sir Walter, a za moment usłyszał własny głos przesycony goryczą i sarkazmem. - O moim Aniele Strózu?

- Wierzę z całą mocą, iż Wszechmogący rozpościera nad nami chroniącą dłoń, sir Walterze. Również w tak mrocznych i ponurych czasach jak te. Niech pan zapomni, co pan widział i słyszał. I niech pan pokłada ufność w tym, że Bóg ochroni pana i pana bliskich. Proszę pana... Nie, zaklinam pana. Niech pan zapomni o runicznym znaku. Nie tylko z uwagi na pana osobiste niebezpieczeństwo. Niech pan pomyśli również o swojej rodzinie.

Opat mówił cichym głosem, wypowiadając wyraźnie każde słowo.

Quentin dostał przy tym gęsiej skórki, a nawet jego zazwyczaj tak bardzo zrównoważony wuj sprawiał wrażenie poruszonego słowami mnicha.

Śmierć i zatracenie, runiczny symbol, który należał do królestwa zła - Quentin wzdrygał się przy tych słowach i nie stanowiło dla niego najmniejszego problemu to, by całą tę sprawę na zawsze wykreślić z pamięci. Sir Walter natomiast nie był skłonny posunąć się aż tak daleko, chociaż rysy jego twarzy, jeszcze chwilę wcześniej tak bardzo zdecydowane, nabrały teraz bardziej miękkiego i uległego wyrazu.

- Dobrze - rzekł w końcu zachrypniętym głosem. - Dziękuję za szczere słowa, wielbny opacie. I chociaż wciąż bardzo łaknę prawdy, obiecuję, że rozważę to.

Opat Andrew sprawiał wrażenie, jakby kamień spadł mu z serca.

- Niech pan tak uczyni, sir. Pańska rodzina będzie panu za to wdzięczna. Istnieją rzeczy, które są tak stare, iż historia zapomniała o nich. Zwyczaje, które sięgają setki lat wstecz i pochodzą z ciemnych wieków. Zbyt wielu ludzi utraciło już życie z ich powodu, kiedy

lekkodusznie drążyli te sekretne sprawy. Skutkiem było nieszczęście i kara boska. Zatrącenie, z którego nie ma ucieczki...

-Jazda! Zagońcie ich do kupy!

Ostry rozkaz Charlesa Dellarda rozległ się przeraźliwie na wiejskim placu w Ednam. Mała osada leżąca sześć kilometrów na północ od Kelso stanowiła cel operacji, do której wykonania inspektor przystąpił, kierując się impulsem.

Ubity gliniany gleba drżała pod uderzeniami kopyt, kiedy dragoni nadjechali pędem na swoich rumakach. Ich czerwone surduty mieniły się, wypolerowane buty do jazdy konnej oraz czarne kołpaki ze skóry lśniły. Obnażone szable odbijały promienie popołudniowego słońca i oślepiały mieszkańców wioski.

Ze wszystkich stron nadjeżdżali konni i pędzili wieśniaków przed sobą niczym bydło do chwili, kiedy przerażona zgraja została zagnana na środek obskurnego placu otoczonego nędznymi chałupami krytymi strzechą. Kobiety i dzieci płakały, natomiast mężczyźni, których wygnano z domostw, warsztatów i gospodarskich pomieszczeń, zaciskali pięści w bezsilnym gniewie.

Dellard przyglądał się temu z całkowitą obojętnością. Inspektor, który podobnie jak jego ludzie dosiadał konia i spoglądał z góry na nędznie ubranych wieśniaków, zdążył przywyknąć do uczucia zbiorowej nienawiści, której był obiektem. Sprawowany przez niego urząd wiązał się z koniecznością podejmowania niepopularnych decyzji oraz ich bezpardonowego wdrażania w życie. Wieloletnie doświadczenie na

tym polu wyrobiło w nim odpowiedni instynkt, za pomocą którego potrafił skutecznie zastraszać tłumy i sprawiać, by tłum stawał się uległy jego woli.

Władza opierała się na dwóch filarach: surowości oraz arbitralności.

Surowość, żeby nikt nie miał wątpliwości, że jest zdeterminowany oraz dysponuje środkami pozwalającymi mu użyć władzy.

Arbitralność, żeby nikt nie mógł czuć się pewny, a strach czynił ludzi uległymi.

Dragoni wykonali swoje zadanie lojalnie, co Dellarda niemal rozbawiło. Znaczna liczba dragonów była z urodzenia Szkotami i występowała teraz przeciw rodakom. Wielu spośród nich uczestniczyło w operacji *clearances* w hrabstwie Sutherland. Poleciał ich Granville, a Dellard natychmiast sięgnął po nich, gdyż chodziło o to, by na potrzeby tej misji sformować sprawny i wyćwiczony oddział.

W końcu tym razem stawka była znacznie większa niż kiedykolwiek wcześniej. Dellard był realistą, który wzdragał się przed patetycznymi słowami. Jednak teraz chodziło o wszystko...

Jeden z dragonów wystrzelił z muszkietu. Ogłuszający huk, jaki rozniósł się nad wiejskim placem, sprawił, że rozkrzyczana ciżba nagle zamilkła. Zapadło milczenie. Gdzieś koń parsknął i wierzgnął kopytami. Poza tym panowała cisza.

Zdjęci trwogą mieszkańcy wioski patrzyli na dragonów, którzy napierali na nich ze wszystkich stron. Dellard dostrzegł gniew i strach w oczach tych ludzi, cieszył się również uczuciem zwycięstwa i



możliwością przejścia nad nimi pełnej władzy.

Prowadził konia wzdłuż szeregu swoich ludzi. W mundurze, na który składały się ciemny surdut, białe spodnie oraz szeroki płaszcz dojazdy konnej zarzucony na ramiona, sprawiał ponure wrażenie i napawał trwogą, tak że wieśniacy cofali się przed nim.

Dellard znał mechanizmy, jakie rządziły strachem, i wiedział, jak postąpić, by tłuszcza ułatwiła mu robotę. Odczekał jeszcze kilka chwil, chcąc pozostawić wieśniaków w niepewności co do ich dalszego losu.

Potem odezwał się ostrym głosem, żeby wypełnił wiejski plac.

- Mężczyźni i kobiety z Ednam - wykrzyknął. - Nazywam się inspektor Dellard, reprezentuję rząd Jego Królewskiej Wysokości. Być może słyszeliście już o mnie. Przesłano mnie tu z misją przeprowadzenia dochodzenia w sprawie zdarzeń, których następstwem był pożar biblioteki w Kelso. Jestem równie znany, co osławiony dzięki temu, że powierzone mi zadania wypełniam zawsze w sposób, który wywołuje całkowite zadowolenie Jego Wysokości. Co oczywiste, wiem już, kto kryje się za tymi podłymi napaściami, i znalazłem się tutaj, by wytropić tych przestępców i zażądać wyrównania rachunku. Z tej też przyczyny jestem u was. Otrzymałem informacje, według których kilku buntowników grasujących po regionie Galashiels ma się ukrywać w tej wiosce!

Na wiejskim placu zapanował niepokój. Mężczyźni i kobiety wymieniali zdziwione spojrzenia, a Dellard dostrzegł w ich oczach narastające przerażenie. Naturalnie nie mieli pojęcia, o czym mówi, i

pytali siebie z niepokojem, co wobec nich zamierza oraz co wydarzy się dalej.

Jakiś mężczyzna wystąpił do przodu; Dellard ocenił jego wiek na jakieś sześćdziesiąt lat. Odzienie, jakie miał na sobie, było brudne i podarte, a kapelusz, który ścisnął nerwowo w kościstych dłoniach, był podziurawiony i miał trzy szpice wedle starej mody.

- Czego chcesz? - zapytał chłodno inspektor.

- Sir, nazywam się Angus Donovan. Jestem tym, którego mieszkańcy Ednam wybrali, by przemówił w ich imieniu.

- Jesteś wójtem?

- Jeśli życzy pan sobie nazywać mnie w ten sposób, sir.

- Czego chcesz ode mnie?

- Pragnę zapewnić pana w imieniu mieszkańców Ednam, że musi się pan mylić. W naszej wiosce nie ma żadnych buntowników. Każdy mężczyzna i każda kobieta w Ednam przestrzega prawa.

-1 ty oczekujesz ode mnie, że dam temu wiarę? - kąciki ust

Dellarda opadły, nadając jego twarzy wyraz lekceważenia i pogardy. -

Wy, chłopcy, wszyscy jesteście tacy sami. Zginacie grzbiet i opuszczacie głowę, lecz kiedy straci się was z oczu, pokazujecie swoje prawdziwe oblicze. Rabujecie i plądrujecie, jesteście przebiegli oraz chciwi i mordujecie swoich krajan.

- Nie, sir - zaprzeczył zapalczywie wójt. - Proszę mi wybaczyć słowa sprzeciwu, ale w Ednam nie ma takich ludzi.

- Być może nie pochodzą z Ednam - zgodził się częściowo

Dellard. - Ale kto udziela schronienia przestępcom albo kto pomaga im ukryć się przed organami prawa, ten winny jest zbrodniom banitów, jakby osobiście się ich dopuścił.

- Ale w naszej osadzie nie ma żadnych przestępców, proszę mi uwierzyć, sir - w głosie starego Donovana dała się słyszeć rozpacz.

- Pięknie - odparł ze spokojem Dellard. - W takim razie udowodnij mi to.

- Udowodnić to panu? - oczy wójta urosły do rozmiarów młyńskich kół. - Jakimż to sposobem miałbym to panu udowodnić, sir? Musi pan dać wiarę moim słowom. Słowom moim, najstarszego mieszkańca wioski oraz weterana bitwy pod...

Charles Dellard roześmiał się tylko.

- Tak zawsze jest ze Szkotami, prawda? - szydził. - Skoro tylko nie bardzo wiedzą co dalej, uciekają się do swej pełnej glorii przeszłości, ponieważ *to* wszystko, co im pozostało. Jednak to się wam na nic nie przyda. Kapitanie?

Jeden z dragonów, który nosił złote epolety wskazujące na stopień oficerski, wyprostował się w siodle.

- Tak, sir?

- Daję tym ludziom pół godziny, żeby wydali nam buntowników.

Jeśli tego nie uczynią, puście z dymem ich domostwa.

-Tak jest, sir- odkrzyknął oficer, a surowa mina nie pozostawiała cienia wątpliwości, że rozkaz przełożonego zamierzał wykonać skrupulatnie.

- A... ale, sir - wydukał Angus Donovan, podczas gdy wśród zebranych wieśniaków zaczęła szerzyć się panika.

Surowość i arbitralność, pomyślał Dellard z ukontentowaniem.

- Czego chcesz? - zapytał. - Dałem wam przecież uczciwie szansę, czyż nie? Równie dobrze mógłbym wydać rozkaz moim ludziom, żeby wzięli zakładników albo żeby rozstrzelali kilkoro spośród was.

- Nie! - wykrzyknął z przestachem starzec i podniósł ręce w błagalnym geście. - Wszystko, tylko nie to!

- Uczyńcie to, co wam powiedziałem, a nic się wam nie stanie.

Wydajcie nam buntowników, a pozwolimy wam wyjść z tego bez uszczerbku. Jeśli jednak będziecie dalej ich ukrywać, wydam wioskę na pastwę czerwonego kura.

- Ale nasze domostwa... Są wszystkim, co posiadamy!

- W takim razie powinniście bez zbędnej zwłoki uczynić to, czego od was żądam - oznajmił bezlitośnie Dellard. - W przeciwnym razie dorobek waszego życia pójdzie za chwilę z dymem. Kapitanie?

- Tak, sir?

- Pół godziny. Ani minuty dłużej.

- Zrozumiałem, sir.

Dellard skinął głową. Potem chwycił cugle, zawrócił konia i odjechał z wiejskiego placu. Ciemny płaszcz falował za nim, on zaś miał pewność, że wielu spośród zagonionych tu chłopów musiało widzieć w nim diabła wcielonego.

Surowość i arbitralność.

Charles Dellard odczuwał zadowolenie. Sprawy rozwijały się tak, jak je sobie zaplanował.

Kiedy Scott i Slocombe dowiedzą się o tej sprawie, wyjdą z założenia, że w ten sposób zamierzał sprowokować miejscową ludność, żeby ta wymogła na nacjonalistach podjęcie działań odwetowych. Prawdopodobnie obaj złożą protest, a Scott być może napisze kolejny ze swych sławetnych listów do Londynu.

Dellardowi było to obojętne. Żaden z tych głupców nie przeczuwał nawet, jak daleko sięgają jego plany. A kiedyś, po wielu latach, nikt nie będzie chciał uwierzyć, że wszystko to rozpoczęło się w pewnej nic nieznaczącej osadzie po tej stronie granicy.

W osadzie o nazwie Ednam.

Sześć dni później Mary Egton dotarła do zamku Ruthven - owego miejsca, które miało stać się jej przyszłą ojczyzną.

Podróż była długa i uciążliwa, mimo to Mary nie popadła już w dawne przygnębienie, które towarzyszyło jej w drodze z Egton aż do hrabstwa Galashiels. Mimo całej grozy i potworności wydarzeń na moście oraz głębokiej żałoby po śmierci Winstona - jedno i drugie co jakiś czas przewijało się przed jej oczyma - doszła do wniosku, że życie było darem, za który powinna okazać wdzięczność.

Co oczywiste, pobyt w Abbotsford również przyczynił się do tego, że Mary poczuła się lepiej. Po raz pierwszy od długiego czasu - być może nawet po raz pierwszy w życiu - spotkała ludzi, którzy ją rozumieli i wśród których czuła się jak w domu. Państwo Scott nie tylko przyjęli ją pod swój dach i udzielili gościny przy swoim stole, ale też sprawili, że zarówno ona, jak i Kitty czuły się mile widzianymi gośćmi. Uczucie to spowodowało jakąś przemianę w duszy Mary. Na skutek tej zmiany surowy krajobraz po tej stronie granicy nie budził w niej takich obaw i nieufności, jak miało to miejsce na początku podróży. Być może wiele z tego, co się tu znajdowało, było w jej oczach szczególnie i obce. Ale niektóre rzeczy stały się dla niej w jakiś osobliwy sposób bliskie i znajome - przez krótki moment doznała takiego samego uczucia, kiedy spojrzała przed siebie ku regionowi Lowlands, mijając punkt graniczny przy Carter Bar.

Z pewnością również lektura dzieł Waltera Scotta przyczyniła się

to tego, że Mary odczuła silniejszą niż kiedykolwiek więź ze Szkocją. Pisarz wspaniałomyślnie podarował jej zbiorowe wydanie wszystkich powieści oraz tomów poezji, które do tej pory ukazały się drukiem. W ciągu minionych sześciu dni Mary nie robiła prawie nic innego poza oddawaniem się lekturze - zresztą ku wielkiemu ubolewaniu Kitty, która nie cierpiała książek i najchętniej nieustannie paplałaby o sukniach oraz powtarzała plotki.

Właśnie dzięki książkom sir Waltera Mary zdołała znaleźć klucz do swej nowej ojczyzny. Była teraz przekonana, że lepiej rozumie tę krainę, i miała poczucie, że słyszy rytm bicia szkockiego serca, którym to określeniem posłużył się sir Walter. Niektóre z jego dzieł czytała już po raz kolejny, lecz dopiero teraz pojęła ich prawdziwe znaczenie. W opisie minionych epok, w sposobie przedstawiania postaci oraz motywów ich postępowania, w języku, którym sir Walter opowiadał o szlachetnych bohaterach oraz nadobnych damach, kryła się odrobina szlachetności i godności tego starego, bardzo starego kraju. Mary z miejsca poczuła dumę, że teraz może stać się częścią tej krainy.

Jeszcze przed paroma dniami podróż do Ruthven wydawała się jej niczym droga prowadząca na wygnanie. Czowała się jak niekochana córka, którą oddano w ręce obcych i których woli powinna się poddać. Teraz jednak pojmowała swój los jako szansę. Być może jej przeznaczeniem było rozpoczęcie nowego i pełniejszego życia tu, na północy Królestwa. Być może zamek Ruthven stanie się dla niej bardziej ojczyzną, niż był kiedykolwiek zamek w Egton. I być może w

Malcolmie z Ruthven odnajdzie miłość swego życia.

Była zdecydowana zostawić przeszłość za sobą. Nawet ciemne chmury, jakie przesłaniały niebo, kiedy rankiem powóz opuszczał miejscowość Rattray, nie były w stanie zakłócić tego optymizmu.

Ostatni etap podróży okazał się najkrótszy. Do zamku Ruthven pozostało zaledwie około trzydziestu dwóch kilometrów. Z każdym mijanym kamieniem serce Mary biło coraz mocniej.

- Czy czujesz się podekscytowana, milady? - chciała wiedzieć Kitty, która potrafiła dobrze czytać mowę ciała swej pani.

Jej uwadze nie uszedł również fakt, że humor lady Mary w ostatnich dniach znacznie się poprawił.

- Naturalnie, ty również byłabyś, będąc na moim miejscu! Bądź co bądź już niebawem spotkam mężczyznę, z którym spędzę resztę mego życia.

- Rzeczywiście nigdy dotąd nie widziałaś lorda Ruthvena? -

Nie.

- Ani razu, nawet na konterfekcie?

- Również nie.

- W takim razie zdradzę ci, co się o nim opowiada - rzekła Kitty i pochyliła się do przodu, jakby nie chciała, żeby ktoś podsłuchał jej słowa. - Mówi się, że lord prezentuje się wspaniale i że stanowi ozdobę swojej płci. Poza tym posiada rozległe dobra ziemskie i jest człowiekiem o wysokiej kulturze. I chociaż z urodzenia jest Szkotem, wieść niesie, że przyswoił sobie angielskie obyczaje i uchodzi za dżentelmena



najczystszej krwi.

- Tak? - zapytała Mary i sceptycznie uniosła brwi. - Rzeczywiście tak się o nim mówi?

Kitty, która nie potrafiła utrzymać dłużej w tajemnicy żadnego sekretu, zaczerwieniła się i zaprzeczyła ruchem głowy.

- Nie, milady - wyznała. - Opowiedziałam to wyłącznie po to, żebyś przestała się troskać. Wszystko ułoży się dobrze, niebawem się o tym przekonasz. Musisz tylko w to mocno wierzyć, pani.

Mary nie powstrzymała uśmiechu. Troska Kitty była wzruszająca, podobnie zresztą jak jej naiwna wiara w przeznaczenie. Ale być może miała rację. Gdyby przed kilkoma dniami ktoś oznajmił Mary, że spotka Waltera Scotta, uznałaby to za rzecz absolutnie niemożliwą. A mimo to tak właśnie się stało i mogła to być zapowiedź tego, że może wciąż jeszcze pozostała pełna nadziei. Nadziei na piękniejsze i bardziej swobodne życie bez obowiązków, które miała już za sobą. Być może w murach zamku Ruthven odnajdzie swoje szczęście.

- Dobrze więc, droga Kitty- odezwała się podbudowana. - Zaufam memu przeznaczeniu i poczekam na to, co spotka mnie w zamku Ruthven. Być może przeżyjemy tam najpiękniejsze dni naszego życia.

- Oczywiście - odrzekła jej służąca i zachichotała zadowolona. - Bale i przyjęcia, piękne suknie i świątecznie udekorowane stoły. Przekonasz się, będzie cudownie, milady.

- Kto wie - dodała Mary z przebiegłym uśmieszkiem. - Być może znajdzie się tam również jakiś piękny młodzian dla ciebie.

- Milady! - obruszyła się służka i spłonęła rumieńcem.

Z pewnością zdecydowanie broniłaby się przed takim przypuszczeniem, gdyby w tym momencie po drugiej stronie wzgórza, na które z mozołem wspinał się powóz, nie wyłoniły się mury zamku Ruthven.

- Niech pani popatrzy, milady! Jesteśmy na miejscu!

Mary spojrzała przez pokrytą rosą szybę. W powozie zrobiło się nieznośnie zimno. Wilgoć, jaka unosiła się z ziemi i w postaci gęstej mgły kładła się na nagich wzgórzach ziemistej barwy, zdawała się wciskać w każdą szczelinę i sprawiła, że obie panie przeszły dreszcze. Ponadto widok zamku Ruthven nie przyczynił się zaiste do rozpędzenia tego chłodu.

Ponad gęstą mgłą unosiły się mury z naturalnego kamienia, tak grube i potężne, jakby stały tu już od zarania świata. Za murami wznosiła się ku niebu główna baszta zwieńczona nierównymi blankami. Do baszty przylegało wielopiętrowe zamczysko, z którego wysokich okien sączyło się słabe światło. Po prawej stronie masywnej budowli nad murami wznosiły się wieże obronne, chroniąc gród od wschodniej strony, gdzie teren był łagodnie pofalowany i przecięty na pół niedużym potokiem.

Po drugiej

stronie wzgórze, na którym posadowiony był zamek Ruthven, opadało stromo. Na zewnątrz muru, który na zachodzie zwieńczony był wysoką wieżą obronną, była skalista przepaść. Od wieży odchodził masywny balkon, na którym Mary, przynajmniej tak się jej wydawało, dostrzegła

zarys postaci ciemnej i przygarbionej. W następnej chwili postać znikła, a

Mary nie była już taka pewna, czy przypadkiem nie uległa złudzeniu.

Powóz zdołał wreszcie wjechać na skalną grań wzniesienia. Wyboista droga prowadziła do wielkiej bramy, która wpuszczona była w obronne mury. Przed bramą sterczały ku górze masywne belki drewnianego zwodzonego mostu przerzuconego nad szeroką fosą, która otaczała zamkowy gród i dalej biegła w stronę wąwozu po zachodniej stronie.

Kiedy powóz zbliżył się, skrzydła bramy otworzyły się jakby za sprawą niewidzialnych rąk.

Mary i jej służąca wymieniły spojrzenia. Żadna z niewiast nie odezwała się słowem, lecz pierwsze wrażenie, jakie sprawiał gród Ruth-ven, było jak najbardziej odległe od gościnności. Choć Mary czyniła ogromny wysiłek, by postrzegać rzeczy pozytywnie, otwierające się zamkowe wrota w jej oczach wydały się ogromną rozwartą paszczą, która groziła połknięciem jej i Kitty.

Im bliżej murów karoca podjeżdżała, tym wydawały się one wyższe i groźniejsze. Zdjęta trwogą Mary wmawiała sobie, że ponury nastrój, jaki emanował z tego miejsca, należało przypisać tylko i wyłącznie małej gościnnej pogodzie. Gdyby słońce uśmiechało się na niebie, a wzgórza przystrojone były kobiercami kwiatów, odczucie to z pewnością byłoby inne. W tych okolicznościach jednak wszystko wydawało się ponure, smętne i martwe.

Mary z nostalgią przywołała w myślach Abbotsford. Ogrody, które pokazała jej lady Charlotte, za którymi wzdłuż brzegów rzeki Tweed

rozciągały się soczyste zielone łąki. Do końca swoich dni będzie pamiętać godziny spędzone w domostwie Scottów. Wspomnienie to nieco jej pomogło w odpędzeniu ponurego wrażenia, jakie ogarnęło ją w tym momencie.

Powóz dotarł do zamkowej bramy. Rozległ się pusty i tępy odgłos, kiedy konie zastukały kopytami na zwodzonym moście i minęły łukowe sklepienie wjazdowej bramy. Nagle wewnątrz karocy zrobiło się ciemno.

Mary ogarnęło poczucie wewnętrznego niepokoju. Również na Kitty, istocie jeszcze przed chwilą radosnej i niefrasobliwej, położył się cień strachu.

Gdy powóz minął bramę, wcale nie zrobiło się znacznie jaśniej.

Karoca z dwiema damami wjechała na wewnętrzny, otoczony murami dziedziniec, którego frontowa część graniczyła z warownym zamczyskiem. Po obu stronach znajdowały się niskie budowle, w których mieściły się stajnie oraz mieszkania czeladzi, chociaż nigdzie nie było widać żywej duszy.

W końcu powóz zatrzymał się. Konie stanęły w miejscu, a Mary doszła do przekonania, że słyszy nerwowe parskanie zwierząt.

Stangret, którego wraz z nimi posłał Walter Scott, zszedł z kozła, rozłożył schodki, a potem otworzył drzwi.

- Milady, dotarliśmy do celu podróży. To jest zamek Ruthven.

Mary ujęła dłoń, którą podał jej stangret, i wysiadła. Uniosła przy tym do góry rąbek sukni, jak przystało damie, nie chcąc pobrudzić jej skraju.

Zimne, wilgotne powietrze uderzyło w nią. Z trwogą rozejrzała się dookoła, nie dostrzegając nic poza szarymi ponurymi murami z

kamienia. Na zachodniej wieży był balkon, jednak tajemniczej postaci tam nie było. Prawdopodobnie Mary tylko ją sobie wyobraziła.

W głównym budynku otworzyły się drzwi, przez które wyszła szczupła kobieta. Statecznym krokiem zeszła schodami na dziedziniec, przy czym każdy jej ruch emanował godnością i gracją. Towarzyszyło jej dwóch służących, którzy szli z opuszczonym wzrokiem. Ze stajni podbiegły pochylone postacie, które zajęły się powozem oraz końmi. Ludzie ci unikali jednak jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego z dopiero co przybyłą w gościnę damą.

Szczupła kobieta ubrana w szeroką suknię z mieniącego się srebrem brokatu podeszła do Mary. Nie była tak młoda, jak można by sądzić po jej sylwetce i ruchach. Zaczesane wysoko do góry włosy zdążyły już posiwieć. Jej cera, zgodnie ze starym zwyczajem silnie przypudrowana, była zryta zmarszczkami. Błada, wymizerowana twarz cechowała się ostrością rysów, a blisko osadzone oczy spoglądały żywo i badawczo. Kobieta zapewne nigdy nie była piękną, jednak emanowało z niej coś, co nakazywało respekt, a co Mary zauważyła już przy okazji ich wcześniejszego spotkania, kiedy kobieta przybyła z wizytą do Egton i wyrobiła sobie zdanie na temat przyszłej synowej. Mary знаła tę kobietę - była to Eleonorę z Ruthven, matka jej przyszłego małżonka.

Pani zamku Ruthven podeszła do Mary statecznym krokiem. Na jej obliczu nie dało się dostrzec choćby najmniejszego ożywienia. Jej twarz nie zdradzała ani radości, ani nawet cienia sympatii. W zamian

kobieta wyciągnęła dłoń, chcąc, zgodnie ze starym obyczajem, odebrać hołd od młodej damy.

Mary wiedziała, czego od niej oczekiwano. Od najwcześniejszej młodości wpajano jej to i chociaż nie przywiązywała zbyt dużej wagi do dawnych form i zwyczajów, dostosowała się jednak do etykiety. Ujęła dłoń lady Eleonorę, ukłoniła się nisko i opuściła głowę, dopóki pani tego zamku nie pozwoliła jej ponownie się podnieść.

- Powstań, moje dziecko - rzekła, a Mary i jej służąca odniosły wrażenie, jakby gęsta i zimna mgła nagle przemówiła ludzkim głosem.

- Witamy w zamku Ruthven.

- Dziękuję pani, milady - odrzekła Mary i podniosła się posłusznie.

- A zatem znów się widzimy. Wypiękniałaś jeszcze od czasu naszego ostatniego spotkania.

Mary ukłoniła się ponownie.

- Jesteś dla mnie, milady, nad wyraz łaskawa. Trudy i niebezpieczeństwa długiej podróży, jaką mam za sobą, z pewnością pozostawiły ślady.

- Dama musi zawsze pozostawać damą, moje dziecko. Czyż twoja matka nigdy ci tego nie mówiła?

- Ależ tak, milady - westchnęła Mary. - I to po wielekroć.

- Nasze pochodzenie jest tym, co odróżnia nas od pospólstwa, moje dziecko. Nigdy o tym nie zapominaj. Podróż przez krainę Highlands może pozostawić ślady na prostych ludziach, lecz nie na nas.

- Nie, milady.

- Dyscyplina, moje dziecko. To, czego się do tej pory na ten temat nauczyłaś, przyda ci się bardzo w Ruthven. Natomiast tego, czego nie zdążyłaś dotąd sobie przyswoić, nauczysz się tutaj.

- Jak sobie życzysz, milady.

- Gdzie są twoje bagaże?

- Bardzo nad tym ubolewam, lecz nie mam wielu bagaży.

Większość została utracona w wypadku, który mój pierwszy stangret przypłacił życiem.

-Jakież to okropne! - wykrzyknęła lady Eleonorę i zakryła dłońmi

bladą twarz. - Straciłaś wszystkie swoje suknie? Jedwabie? Brokaty?

- Za pozwoleniem, milady, moja służąca i ja możemy mówić o

ogromnym szczęściu, uchodząc z życiem z tej opresji. Skromny

dobytek, jaki mamy ze sobą, otrzymałyśmy od dobrych i hojnych ludzi,

którzy przyjęli nas pod swój dach.

- Boże wszechmogący! - pani zamku spojrzała na Mary, jakby ta

postradała zmysły. - Suknie, które nosisz, nie są twoją własnością?

- Nie - wyznała Mary. - Z naszych rzeczy nic nie ocalało.

- Cóż za upokorzenie! Taki wstyd! - stęknęła Eleonorę. - Przyszła

żona lorda Ruthvena podróżuje po kraju niczym żebraczka!

- Za pozwoleniem, milady, wcale tak nie było.

- Nie? Cóż zatem znajduje się w kufrach, które w tej chwili twój

stangret zdejmuje z powozu? Kolejne suknie podarowane przez

dobroczyzną rękę?

- Książki - wyprowadziła ją z błędu Mary.

- Książki? - z gardła starej matrony wydobył się lodowaty głos.

- Zbiór dawnych klasyków. Bardzo lubię czytać.

- Czy może dużo czytasz?

- Jeśli tylko pozostają mi na to wolne chwile, tak.

- Cóż, tu, w zamku Ruthven, nie znajdziesz ku temu zbyt wielu

sposobności. Przekonasz się, że żywot żony lorda pełen jest

obowiązków i wyrzeczeń, wobec czego nie pozostanie ci nawet

odrobina wolnego czasu na to śmiechu warte próżniactwo.

- Proszę o wybaczenie, iż ośmielam się ponownie sprzeciwić,

milady. Jednak nie traktuję lektury książek jak próżniactwa. Walter

Scott zwykł mówić, że...

- Walter Scott? Kto zasz?

- Wielki powieściopisarz, milady. I Szkot.

- Podobnie jak nasz chłopiec stajenny. Cóż to ma Znaczyć? Spójrz

na mnie, moje dziecko. Również w moich żyłach płynie krew starej

Szkocji, lecz mimo to ani ja, ani mój syn nie mamy nic wspólnego z

tym prostackim i leniwym plebsem, który przesiaduje na naszej ziemi i

wzbrania się przed osiągnięciem zysków.

Jej głos brzmiał teraz głośno i nieubłagane, zaś rysy jej twarzy

jeszcze bardziej się wyostrzyły. Potem jednak zdała się opanować, a na

jej obliczu pojawił się nawet cień uśmiechu.

- Nie mówmy jednak o tym - podjęła rozmowę. - Jeszcze nie

teraz, moje dziecko. Dopiero co przyjechałaś i z pewnością jesteś

zmęczona po długiej podróży. Kiedy pobędziesz tu przez jakiś czas,



zrozumiesz, o czym mówię, i podzielisz moje zdanie.

Dała znak służącym, żeby zanieśli do zamku nieliczne bagaże przybyłych pad.

- Polecę Daphne, żeby pokazała ci twoją komnatę. Zaraz potem powinna przygotować ci kąpiel, żebyś mogła się odświeżyć. W końcu powinnaś spodobać się swemu narzeczonemu, kiedy zobaczy cię po raz pierwszy.

- Gdzie jest Malcolm? - zapytała Mary, nie kryjąc niecierpliwości.

- Kiedy go zobaczę?

- Mój syn, lord, pojechał na polowanie - poinformowała chłodno

Eleonorę. - Jego powrót spodziewany jest dopiero jutro. Do tej pory będziesz dysponowała czasem, który pozwoli ci nieco się przyzwyczać.

Dam do twojej dyspozycji kilka moich sukien do czasu, aż krawcowa uszyje dla ciebie nowe szaty. Daphne, moja pokojówka, będzie cię ubierać.

- Proszę o wybaczenie, milady, ale mam własną służącą. Kitty towarzyszy mi na moje wyraźne życzenie. Powinna zatem dalej pozostać w mojej służbie.

- To nie będzie konieczne, moje dziecko - odparła pani zamku i omiotła Kitty pogardliwym spojrzeniem. - Lord Ruthven bez trudu jest w stanie zapewnić ci własny personel. Twoja służka może szykować się do drogi powrotnej do Egton. Nie będzie ci więcej potrzebna.

- Słucham? - Kitty posłała Mary bezradne spojrzenie. - Błagam, milady...

- Któż pozwolił ci zabrać głos? - zapytała uszczypliwie Eleonorę.

- Czy pytałam cię o twoje zdanie, dziewczyno?

- Proszę, niech się pani na nią nie gniewa, milady- wstawiła się Mary.

- To moja wina, że Kitty nie zawsze wie, jakie są granice jej społecznej pozycji. Jest dla mnie kimś więcej niż służącą. W ostatnich latach stała się moją wierną towarzyszką i przyjaciółką. Dlatego też pragnę panią, z zachowaniem wszelkich form, prosić, żeby Kitty mogła ze mną zostać.

- Służąca jest twoją przyjaciółką? - w oczach Eleonorę widoczne było niezrozumienie. - Na południu hołdujecie osobliwym zwyczajom. Na północy natomiast wciąż szanujemy tradycję. Do tego również przywykniesz.

- Jak sobie życzysz, milady.

- Jeśli chodzi o mnie, twoja służąca może pozostać. Ale nie będą jej przysługiwały żadne specjalne prawa.

- Oczywiście, że nie. Dziękuję, milady.

- A teraz idź i rozejrzyj się po swoim nowym domostwie. Kiedy lord powróci na zamek, powinien zastać wszystko w najlepszym porządku. Również swoją przyszłą małżonkę.

- Ależ oczywiście, milady - zgodziła się Mary i pokornie schyliła głowę.

Eleonorę Ruthven przytaknęła, potem odwróciła się i zamierzała wrócić do zamkowego grodu.

- Milady? - zawołała za nią Mary.

- Co jeszcze?

- Dziękuję ci, pani, za ciepłe przyjęcie. Dołożę wszelkich starań, by spełnić oczekiwania, jakie we mnie pokładasz. Ruthven powinno stać się moją nową ojczyzną.

Przez moment wydawało się, że pani tego zamku pragnie coś odpowiedzieć. Potem jednak skinęła tylko głową i zostawiła Mary oraz Kitty na zamkowym dziedzińcu. Młode kobiety spoglądały za nią w milczeniu i obie odniosły wrażenie, że odrobina chłodu, jakim emanowała Eleonorę Ruthven, pozostała na dziedzińcu.

Pierwszej nocy spędzonej na zamku Ruthven Mary spała źle.

Przewracała się z boku na bok z niepokojem; i chociaż nie była rozbudzona, nie była też całkowicie pogrążona we śnie. Było nieomal tak, jakby wysokie wieże i mury zamczyska rzucały ponury cień na jej sny.

Znów widziała w nich młodą kobietę, która pędziła na białym rumaku przez krainę Highlands - upłynęła chyba wieczność od chwili, kiedy ten sen przyśnił się jej ostatnio. Mary rozpoznała amazonkę po jej delikatnej sylwetce, po prostej i spokojnej urodzie oraz po długich ciemnych włosach.

Tym razem jednak niewiasta nie dosiadała rumaka i nie radowała się niczym nieskrępowanym poczuciem wolności, które zwykle było jej udziałem, kiedy wiatr rozwiewał jej włosy, a ziemisty zapach krainy Highlands wypełniał jej piersi. Tym razem była przygnębiona, a jej serce przepełnione smutkiem i troską.

Młoda kobieta stała na balkonie zamkowej wieży, opierając się o

jedną z blanek, i spoglądała na surowy wyżyny krajobraz, który rozciągał się po drugiej stronie wąwozu aż po horyzont. Słońce zagubiło się w oparach mgły, która podnosiła się każdego wieczora. Jego promienie roztaczały nad ziemią czerwoną poświatę, stwarzając przy tym wrażenie, jakby jeziora znajdujące się w kotlinach tej krainy były wypełnione krwią. Młoda kobieta dostrzegła w tym zły omen, a Mary czuła wyraźnie strach, który targał senną zjawą.

- Gwynn?

Kiedy ktoś zawołał ją po imieniu, młoda niewiasta obejrzała się za siebie. Miała na sobie zgrzebną suknię z lnu, jej stopy były bose. Jednak nie czuła chłodu. Przywykła do surowego klimatu krainy Highlands; tu się urodziła i tutaj dorastała.

Mężczyzna, który ją zawołał, był młody. Na dobrą sprawę dopiero wyrósł z chłopięcego wieku. Nosił pled z wełny w kolorze czerwono-brunatnym, który owinał wokół bioder i ramion. Skórzany pas, do którego przytroczony był krótki i szeroki miecz, przytrzymał kilt z tartanu. Nie dało się nie dostrzec podobieństwa młodego mężczyzny i kobiety. Te same szlachetne rysy, te same niebieskie oczy, te same kruczoczarne włosy, które sięgały młodzieńcowi do ramion. Jego podbródek był jednak szerszy i bardziej zdecydowany niż u siostry, zaś kąciki ust opuszczone do dołu.

Nienawiść i żaloba wyzierały z jego oblicza, a Gwynn przeraziła się, kiedy dostrzegła brata w takim stanie.

- Nie musisz dłużej wypatrywać oczu - odezwał się z takim

chłodem w głosie, że aż przeszły ją ciarki. - Ojciec nie powróci.

- Co się stało, Duncanie?

- Posłaniec przywiózł nowiny z pola bitwy pod Stirling -

odpowiedział młodzieniec drżącym głosem. - Odnieśliśmy zwycięstwo nad Anglikami, ale poległo wielu dzielnych rycerzy, również z naszego klanu.

- Kto? - zapytała Gwynn, chociaż obawiała się tego, co usłyszy w odpowiedzi.

- Fergus. John. Braen. Nasz kuzyn Malcolm. I nasz ojciec.

- Nie - rzekła cicho Gwynn.

- Posłaniec zdał relację, że walczył do ostatniej chwili, a wcześniej położył trupem dziesięciu angielskich rycerzy. Później trafiła go strzała wystrzelona z szeregów wroga. Strzała wymierzona w Williama Wallace'a. Jednak ojciec rzucił się w jego kierunku, przeciął lot strzały i został nią ugodzony prosto w serce. Zginął w jednej chwili, lecz Wallace niczego nawet nie zauważył.

Oczy Gwynn zaiskrzyły łzami. Przez cały dzień oczekiwała wieści z pola bitwy i gdzieś w głębi duszy odczuwała trwogę, że wydarzy się coś potwornego. Do ostatniej chwili żywiła jednak nadzieję. Ale słowa wypowiedziane przez brata zniweczyły tę nadzieję.

Duncan rozpostarł ramiona w bezradnym geście, a Gwynn wpadła w jego objęcia. Rodzeństwo objęło się z całych sił, pogrążone w żałobie. Ściskali się jak dzieci, które szukały pociechy i ukojenia.

- Powinienem pojechać z nim - wyznał cichym głosem Duncan,

usiłując powstrzymać napływające łzy.

Ojciec wpajał mu, że mieszkaniec krainy Highlands nigdy nie roni łez w obecności kobiety. Właśnie teraz nie chciał go zawieść.

- Powinienem walczyć u jego boku jak Braen i Malcolm.

- Wtedy również ty poległbyś na bitewnym polu - szlochała

Gwynn. - Ja zaś pozostałabym na tym świecie sama jak palec.

- Mógłbym go uratować. Nie pozwoliłbym, żeby oddał życie za tego Williama Wallace'a, który ubzdurał sobie, że jest w stanie uwolnić nas od Anglików.

Siostra uwolniła się z jego objęć i spojrzała na niego badawczym wzrokiem.

- Ojciec wierzył w zwycięstwo, Duncanie. W zwycięstwo i wolną Szkocję.

- Wolna Szkocja - szydził jej brat. - Ileż razy to słyszałem. Setki rycerzy oddało życie pod Stirling. Lecz po co? By walczyć za ambitnego człowieka, który marzy o zagarnięciu korony dla siebie.

Słyszałaś, jaki przydomek ostatnio zyskał? Wołają na niego „Waleczne Serce”, bowiem to on wyparł Anglików. I wierzą, że uczynił to wszystko dla nich, on zaś myśli wyłącznie o sobie.

- Ojciec mu zaufał, Duncanie. Twierdził też, że jeśli ktoś zdoła zjednoczyć klany i pokonać Anglików, tym kimś będzie William Wallace.

- To zaufanie przypłacił życiem, podobnie jak wielu innych.

Wszyscy oni dali się zwieść obietnicom Wallace'a.

- Przecież on niczego nie obiecywał przedstawicielom klanów.

Niczego oprócz wolności.

- To prawda, Gwynn. Ale czy rzeczywiście przyniesie im to wolność? Czy też jest tylko kolejnym, który chce wykorzystać nasz naród i wysforować się na jego przywódcę? Zwierchników klanów łatwo jest omamić, kiedy mowa o wolności i nienawiści do Anglików.

Tak samo miała się rzecz z naszym ojcem. Ofiarował życie na próżno.

By ocalić szalbierza, który zdradzi nas wszystkich.

- Nie wolno ci tak mówić, Duncanie. Ojciec nie życzyłby sobie tego.

- Czyżby? Brzemie, jakie złożył na moje barki, jest dostatecznie ciężkie, nawet pominąwszy wojnę przeciwko Anglii. A teraz, kiedy ojca już nie ma między nami, ja jestem przywódcą klanu. Ten zamek oraz przyległe włości należą do mnie.

- Lecz tak długo, jak długo jesteś pokornym poddanym Brytyjskiej Korony - Gwynn dała mu do myślenia. - Ojciec był tego świadom, z uczuciem upokorzenia musiał wypełniać wolę Anglików i zlizywać ich plwociny. Dlatego podążył za Wallace'em. Uczynił to dla nas, Duncanie. Dla ciebie i dla mnie. Dla nas wszystkich.

- W takim razie był durniem - odparł surowo Duncan.

- Bracie! Nie mów tak!

- Milcz, białołowo! Jestem nowym panem zamku Ruthven i mówię, co mi się podoba. Na radzie klanów oświadczę bez ogródek, iż nie darzę zaufaniem Wallace'a. Wykorzystuje klany, by sięgnąć po

koronę. Chce zagarnąć dla siebie władzę okupioną naszą krwią. Nie podążę jednak za nim niczym bezwolna owca, jak uczynił to nasz ojciec. Tylko Robert Bruce może zostać królem. Jest jedynym, w którego żyłach płynie krew władców. Tylko za nim podążę.

- Ale Wallace wcale nie zgłasza roszczeń do korony.

- Jeszcze nie. Jednak po tym zwycięstwie, które stało się jego udziałem, zyska na sile i wpływach. Już krążą pogłoski, że zamierza ruszyć dalej, na południe, i najechać Anglików na ich własnej ziemi.

Wierzysz w to, że człowiek, który poważy się na coś takiego, zadowolony się pozycją wasala? Nie, Gwynn. Jeszcze przez jakiś czas Wallace będzie postępował tak, jakby chciał wspierać Roberta. Już wkrótce wszelako zrzuci z siebie owczą skórę i pokaże swe prawdziwe wilcze oblicze.

- Dlaczego pałasz do Wallace'a takim gniewem, Duncanie?

Dlatego, że ojciec zaufał mu? Bo poświęcił za niego życie? Czy też z tego

powodu, że w głębi swej duszy powątpiewasz, czy ta ofiara była poniesiona również dla ciebie?

- Milcz! - ryknął Duncan i cofnął się przed nią niczym raniony zwierz przed myśliwym.

Łzy, które tak długo powstrzymywał, trysnęły teraz niepohamowanym strumieniem i spływały po jego policzkach.

- Nie wiem, o czym mówisz - stwierdził. - Ojciec podjął swoją decyzję, ja podejmę swoją. I powiadam ci, że William Wallace jest zdrajcą, przed którym musimy mieć się na baczności. Stanę po stronie



Roberta i uczynię wszystko co w mojej mocy, by chronić go przed Wallace'em.

- Ale przecież nie ma między nimi żadnej wrogości. Wallace stoi po stronie Roberta.

- Pytanie brzmi, jak długo jeszcze, Gwynn - odrzekł jej brat, a w jego spojrzeniu można było dostrzec niepokojący błysk. - Świat, jaki znaliśmy, niebawem upadnie. Nadchodzi nowa epoka, Gwynn, czyż tego nie przeczuwasz? Sojusznicy staną się zdrajcami, zdrajcy przeistoczą się w sprzymierzonych. Wallace osiągnie zwycięstwo, jeśli zdoła. Lecz na końcu to nie on włoży na głowę koronę, lecz Robert Bruce. Będę o to zabiegał wszystkimi siłami. Przysięgam na pamięć naszego ojca...

Północ.

Powiększający się księżyc stał wysoko nad ubogimi wzgórzami i spowijał je chłodną bladą poświatą. Ciszy nie przerywał nawet najśłabszy powiew wiatru, skutkiem czego gęsta mgła osiadła w kotlinie.

Ziemia była tu ponura i pusta. Żadne drzewo nie wznosiło konarów ku ciemnym niebiosom, szare zbocza porastały jedynie rachityczne krzaki. Glebę zryły głębokie pęknięcia, które dzieliły rzadką murawę i sprawiały, że wzgórza wyglądały tak, jakby ktoś zadał im rany, które ropiały.

Wydawało się, że na tym odległym pustkowiu nie ma żadnego życia. A jednak *oni* gromadzili się tutaj już od tysięcy lat. W miejscu, w którym kryły się złowieszcze siły.

Głazy ustawione były w półokręgu - wielkie skalne prostopadłości, kiedyś wykute z ogromną starannością, porośnięte teraz przez mchy. Przed wiekami tworzyły pełny okrąg: trzynaście ogromnych głazów, każdy o wadze pięciu ton. Już dawno zanikła pamięć o tym, w jaki sposób kamienne bloki dotarły w to miejsce i za pomocą jakiej techniki ustawiono je w pionie - wszelako wiedza o tajemnych mocach przetrwała. Wiele z głazów przewrócono; gigantyczne bloki skał były porozrzucane dookoła magicznego kręgu. Miejsce to zachowało jednak pradawne znaczenie.

Trzy tysiące lat, które upłynęły od chwili utworzenia kręgu, w żaden sposób nie osłabiły mocy działających w tym miejscu. Wciąż

jeszcze gromadzili się tutaj ci, którzy tym siłom oddawali hołd i cześć.

Procesja, która zbliżała się do kamiennego kręgu, przedstawiała widok budzący strach. Postacie, których oblicza kryły się pod maskami, szły w szyku parami, z opuszczonymi głowami. Miały na sobie opończe z ciemnej materii, która zdawała się pochłaniać księżycową poświatę. Materiał spowijał ich luźno, kiedy uczestnicy procesji zbliżali się ku kamiennemu kręgowi i mamrotali coś cichym głosem. Słowa wypowiedane w języku, który przed wiekami uległ zapomnieniu, głoski z mrocznych pogańskich czasów. Światło nowej epoki wyplenilo te słowa, lecz mimo to nie zostały całkowicie zapomniane. Pozostały w pamięci hołdujących ponurym mocom i dzięki nim dotrwały do naszych czasów. Przekazywano je z pokolenia na pokolenie i w rezultacie przetrwały całe tysiąclecia - a wraz z nimi dawna wiara.

Przywódca bractwa jechał na koniu o maści białej jak śnieg na czele pochodu współbraci. Podobnie jak oni odziany był w szeroką opończę, która okrywała jego postać, lecz kolor jego szaty był śnieżnobiały i lśnił w księżycowej poświacie, skutkiem czego przywódca sprawiał wrażenie posłańca z innego mistycznego świata.

Kiedy procesja dotarła do kamiennego kręgu, chóralny śpiew przybrał na sile, zmienił się jego rytm i tonacja. Mimo to wciąż pobrzmiwała w nim pokora i skarga - teraz jednak bardziej natarczywa i wyzywająca.

Koniec oczekiwania był bliski.

Postacie, które skryły twarze pod nasuniętymi na głowy kapturami opończy, ustawiły się dookoła placu, który otoczony był kamiennymi blokami. Poruszały się wolno i prawie bez życia, niemal jak w transie.

Każdy znał swoje miejsce, wiedział, jaką rolę odgrywa w kręgu.

Przywódca skierował białego rumaka ku środkowi kręgu, gdzie leżał prosty skalny blok, który w pradawnych czasach stanowił stół ofiarny. Ciemne plamy krwi zdawały się wskazywać, że skalny ołtarz wciąż jeszcze służył temu celowi.

Mężczyzna zsiadł z konia, którego sierść w świetle księżyca promieniowała matową poświatą i przydawała mu niezziemskiej aury.

Miarowym krokiem podszedł do kamiennego stołu i wznosił ramiona.

W jednej chwili śpiew ucichł. Wystudiowanym, niemal teatralnym gestem mężczyzna sięgnął do kaptura białej opończy i zsunął go na plecy.

Spod kaptura wyłoniły się rysy nieruchome i jakby zastygłe, połyskujące metalem. Była to maska ze srebra, która przesłaniała twarz, ze szczelinami wyłącznie na oczy. Jej powierzchnię zdobiły wygrawerowane pradawne znaki i ryty, które budziły trwogę. Jego poplecznicy poszli za przykładem przywódcy i również spod ich kapturów wyłoniły się maski. Twarze wyryte z drewna i pobarwione na czarno sadzą.

- Bracia - przywódca odezwał się podniesionym głosem, który w nocnej ciszy brzmiał nadzwyczaj wyraźnie. - Znacie powód, dla którego zebraliśmy się tutaj. Czas spełnienia jest już bliski, a wciąż

jeszcze nie odkryliśmy tego, czego poszukujemy. Posiadamy tropy, którymi podążamy, jednak wrogie siły podniosły głowy i stanęły nam na drodze.

- Śmierć! - zawołał jeden z zamaskowanych członków bractwa i uniósł w górę pięść. - Śmierć i zatracenie naszym wrogom!

- Tego żądają runy - rzekł ten, który stał przy ofiarnym stole. - Ale runy mówią też, że bracia miecza powinni mieć się na baczności. Jeśli bowiem zostaną odkryci, zanim nadejdzie dziedzictwo, które jest im z prawa przynależne, mogą zostać pokonani. Nie jesteśmy niezwyciężeni, bracia moi, jeszcze nie teraz. Musimy wciąż zachowywać ostrożność we wszystkim, co czynimy. To co wydarzyło się przy moście, nigdy nie powinno mieć miejsca. Wymierzyłem sprawiedliwość tym, którzy byli za to odpowiedzialni, oraz zatroszczyłem się o to, żeby już nigdy nie zagrozili naszemu bractwu. Dlatego musimy mieć się na baczności. Dopóki proroctwo się nie wypełni, możemy odnosić rany.

Wokół zapanowało kłopotliwe milczenie. Przywódca, w pełni świadom siły wypowiedzianych słów, pozwolił, by ich siła działała przez chwilę. Potem znów przemówił.

- Doszła jeszcze jedna grupa, bracia moi, która usiłuje rozwiązać zagadkę znaku miecza. I chociaż my jesteśmy na tropie od wielu lat, nie da się wykluczyć, iż nasi wrogowie zdążą odnieść sukces wcześniej niż my.

- Śmierć i zatracenie! - dobiegł okrzyk z wielu dziesiątków gardeł.

- Śmierć i zatracenie naszym wrogom!

- Oczywiście, jesteśmy w stanie to uczynić - znów zabrał głos

przywódca. - Oczywiście, jesteśmy w stanie usunąć z drogi naszego

wroga. Rozważałem to jednak, bracia moi, i doszedłem do wniosku, iż

nie byłby to roztropny krok. Po pierwsze, kolejny mord w jeszcze

większym stopniu ściągnąłby uwagę na nasze bractwo, co po ostatnich

wydarzeniach byłoby wysoce niepożądane. Po drugie, dlaczegoż nie

mielibyśmy wykorzystać ciekawości naszych wrogów? Dlaczegoż nie

mielibyśmy posłużyć się nimi, by rozwiązać zagadkę i w końcu

odnaleźć to, co tak dawno temu zostało przed nami ukryte?

Chór zamaskowanych braci oniemiał. Jak zauroczeni spoglądali na

swego przywódcę. Byli w równym stopniu onieśmieleni, co pełni

podziwu dla jego błyskotliwego umysłu oraz przebiegłości.

- Dopilnuję, żeby nasi wrogowie działali z pożytkiem dla nas

- obwieścił swoje plany donośnym głosem. - We własnym przekonaniu

będą triumfować, w rzeczywistości jednak zwycięstwo stanie się

naszym udziałem. Będą sądzić, że nas przechytrzyli, lecz to my wciąż

będziemy o krok przed nimi. Już niedługo, bracia moi, władza znów

znajdzie się w rękach tych, którzy dzierżyli ją u zarania. Tym razem

nikt nie zdoła nas powstrzymać.

Jego zwolennicy, którzy stali w szerokim kręgu, wydali z siebie

głuche pogańskie odgłosy, oznaczające ich całkowitą aprobatę.

- Ale, dostojny mistrzu - odezwał się w końcu jeden ze współbraci.

- Jak chcesz zmusić naszych wrogów do działania na naszą korzyść?

Spod srebrnej maski przywódcy dobiegł cichy śmiech, który

przypominał pomruk burzy.

-To proste, bracia moi. Wystarczy jedynie dobrze znać ludzką naturę. Czasami trzeba tylko zakazać ludziom pewnych rzeczy, by mieć pewność, że będą je czynić. Próżność i ciekawość to spolegliwi sojusznicy, którymi najczęściej należy się posługiwać, również Walter Scott nie jest od nich wolny...

- Za kilka dni będzie pełnia.

Quentin stał przy oknie pracowni i spoglądał na bladą tarczę księżycy, której odbicie połyskiwało w wodnej tafli pobliskiej rzeki. Było już dobrze po północy. Lady Charlotte oraz służące dawno temu udały się na spoczynek, natomiast sir Walter wciąż jeszcze pracował. Pilne terminy oddania tekstu oraz wydarzenia ostatnich dni, które odciągnęły go od pisania, zmusiły go do tego, by niemal każdej nocy pracował przy biurku do białego rana.

Wiernemu Mortimerowi polecił wystawienie straży wokół posiadłości, które powinny podnieść alarm, gdyby działo się coś niespodziewanego. Skoro inspektor Dellard nie podjął żadnych wysiłków, żeby chronić Abbotsford, Scott musiał zadbać o to sam.

Quentin, który w rezultacie tego całego rejuwachu nie był w stanie zmrużyć oka, dotrzymywał wujowi towarzystwa w pracowni.

- Nie znoszę pełni księżycy - wyznał młody człowiek, nie przestając z namysłem wyglądać przez okno. - Budzi we mnie trwogę.

- Czegóż muszę tu wysłuchiwać? - postawił pytanie sir Walter, który siedział przy dużym biurku i w świetle lampy kontynuował pisanie powieści. - Mój siostrzeniec lęka się księżycy w pełni?

- Nie samego księżycy - sprostował Quentin. - Tylko tego, co księżyc w pełni może powodować.

- Tak? - sir Walter, któremu przerwa w pracy wcale nie wadziła, opuścił gęsie pióro. - Cóż zatem może wywołać księżyc w pełni?



- Okropne rzeczy - Quentin nie przestawał wyglądać na zewnątrz, gdy przebiegł po nim widoczny dreszcz. Najwidoczniej ciepło bijące od kominka nie docierało do niego.

- W Edynburgu znałem pewnego starca. Nazywał się Maximillian McGregor, ale my, dzieciaki, nazywaliśmy go Maksem od duchów. Opowiadał nam niezliczone historie o zaklętych domostwach, upiorach oraz nocnych zmorach. W opowieściach tych księżyc zawsze był w pełni.

Sir Walter roześmiał się dobrotliwie.

- To bajdurzenie o duchach jest tak stare jak sam Edynburg. Ja również słyszałem je w swoim dzieciństwie. Ale chyba te historie nie wzbudzają w tobie trwogi, mój chłopcze?

- Nie same opowieści. Ale pewne postacie, które się w nich przewijają, wciąż jeszcze nawiedzają mnie w snach. Któregoś razu stary Max opowiedział nam o pewnym młodym człowieku z klanu z regionu Highlands, który zdradził swoją rodzinę. Potem spadła na niego klątwa pewnego starego druida. Od tamtej pory podczas każdej pełni księżyca rycerz przeistacza się w pół człowieka, pół wilka.

- Legenda o wilkołaku - przytaknął sir Walter. - Nadaje się do straszenia dzieci, prawda? Oraz łatwowiernego studenta, który odciąga swego wuja od pracy.

Quentin musiał się uśmiechnąć.

- Czy nie byłaby to kanwa powieści, która mogłaby wyjść spod twego pióra, wuju? Opowieść o przywódcy klanu, na którego spada klątwa i który potem zamienia się w wilkołaka?

- Nie, dzięki - wzbraniał się sir Walter. - Pozostanę przy moich dzielnych bohaterach i pięknych damach, przy romantycznej miłości oraz rycerskich pojedynkach. To, co opowiadam słowami poety, to są przeszłe dzieje, zaś większość z moich postaci istniała w rzeczywistości.

Któż miałby czytać jakieś wymyślone historyjki o takim monstrum?

Czasami zaiste miewasz szalone pomysły, mój chłopcze.

- Wybacz, to była jedynie głupawa myśl - Quentin powrócił do stołu i zajął miejsce naprzeciw wuja.

Sir Walter kontynuował pisanie i regularnie zanurzał pióro w kałamarzu. Po chwili uniósł wzrok i spojrzał na Quentina znad szkieł okularów, które zawsze miał na nosie, gdy zasiadał do pisarskiej pracy. Nieustanne ślęczenie nad tekstem w świetle świec znacznie pogorszyło jego wzrok.

- Cóż cię gnębi, mój synu? - chciał zaspokoić ciekawość pisarz.

- Nic - stwierdził kategorycznie Quentin.

- Czy przypadkiem nie ma to czegoś wspólnego z pewną młodą damą nazwiskiem Mary Egton, która opuściła nas przed tygodniem?

Quentin zrobił się czerwony jak burak.

- Zauważyłeś to? - zapytał speszony.

- Musiałbym być porażony ślepotą, żeby tego nie zauważyć. Jak wiesz, mój drogi chłopcze, zdolność obserwacji, jaką obdarzyła mnie natura, należy do tych talentów, którymi szczycę się najbardziej.

Zauważyłem bez najmniejszego trudu, jakim wzrokiem spoglądasz na lady Egton, i muszę ci pogratulować wyborczego gustu. Rzadko

widywałem tak powabną białogłową, a do tego jeszcze tak przyjazną istotę.

- Nieprawdaż? - dodał Quentin.

- I jednocześnie, mój drogi chłopcze, muszę odebrać ci wszelką nadzieję. Bowiem twoje tęskne marzenia nigdy nie staną się rzeczywistością. Lady Mary jest szlachetnie urodzona, ty zaś nie. Ona jest Angielką, ty natomiast Szkotem. W lepszym świecie te sprawy nie odgrywałyby żadnej roli, jednak w naszym stanowią przeciwności nie do pokonania. Rękę lady Mary obiecano lordowi Ruthvenowi, którego też poślubi za kilka tygodni,

- Wiem - odparł lakonicznie Quentin i wyglądał przy tym dość żałośnie. - Ale nie chodzi wyłącznie o to. W ostatnich dniach dużo myślałem. O wydarzeniach w bibliotece oraz o tym, co stało się nad rzeką. A także o tym, co powiedzieli inspektor Dellard oraz opat Andrew.

- I? Do jakiej konkluzji doszedłeś?

- Do żadnej, wuju. Za każdym razem, kiedy zaczynam się nad tym zastanawiać, ogarnia mnie strach. Przypominam sobie słowa opata Andrew o tym, że złe moce maczają w tym palce, i nagle przestaję być panem własnych myśli. Przed dwoma dniami miałem sen, w którym zbyt późno dotarliśmy do mostu i na własne oczy widziałem, jak Mary spada w przepaść i tonie w nurtach rzeki. Poprzedniej zaś nocy przyśniła mi się pożoga w Abbotsford. Mam odczucie, że gdzieś dzieje się coś złowieszczonego, coś potwornego, wuju.

- Wiem, mój synu - przytaknął z rozwagą sir Walter. - Ja również

nie jestem wolny od obaw. Lecz dokładam wszelkich starań, by pozbyć się tych lęków. Posłuż się rozumem, mój chłopcze. Pan obdarzył nim ciebie, żebyś go używał. A rozum powinien ci podpowiedzieć, że wróg, z którym mamy do czynienia, pochodzi tylko i wyłącznie z tego świata, nie z żadnego innego. Księżyc w pełni być może budzi w tobie strach, nie ma jednakowoż nic wspólnego ze sprawami, które się tu dzieją, podobnie zresztą jak twoje sny.

Słyszałeś, co powiedział inspektor Dellard. Inspiratorami tych napaści są zbuntowani chłopcy zamieszkujący region Highlands.

Wprawdzie nie jestem zwolennikiem przesiedleń i w żadnym razie nie pochwalam metod, po które sięga Dellard; sposób, w jaki postąpił w Ednam, pozwala niemal przypuszczać, iż powrócił rzeźnik lord Cumberland. Ale nie mogę również popierać sytuacji, w której mężczyźni stają się buntownikami i sieją strach oraz przerażenie wśród mieszkańców. Dlatego też wyrażam nadzieję, że Dellard jak najrychlej położy kres temu bezprawiu.

Quentin przytaknął. Słowa wuja jak zwykle podziałały na niego uspokajająco.

- A znak miecza? - zapytał. - Ten niepokojący symbol, który odkryłem?

- Któż to wie? - sir Walter zdjął okulary. - Być może rzeczywiście był to przypadek, nieszczęśliwy zbieg poszlak, które obejrzone w świetle dnia zyskują zupełnie inny charakter niż...

W tym momencie na zewnątrz dał się słyszeć krzyk.

- Co to było? - Quentin zerwał się na równe nogi.

- Nie wiem, siostrzeńcze.

Przez moment obaj mężczyźni stali nieruchomi i nasłuchiwali z uwagą, chcąc się przekonać, czy poza trzaskaniem ognia w kominku do ich uszu dojdą jeszcze jakieś inne odgłosy. Nagle rozległ się donośny hałas ostry i brzęczący. Szyba w jednym z okien pracowni została wybita; do środka wpadł kamień i z głuchym stuknięciem uderzył o parkiet. Lodowate nocne powietrze wtargnęło do środka, nadymając zasłony- w bladym półmroku, jaki panował na zewnątrz, bezkształtne postacie pędziły galopem na śnieżnobiałych koniach.

- To napaść! - wykrzyknął ze zgrozą sir Walter. - Zostaliśmy na padnięci!

Z zewnątrz dobiegł głośny jak gromy tętent kopyt, do tego piekielne wrzaski, które sprawiły, że po plecach Quentina przeszły ciarki. Niemal obezwładniony przerażeniem wpatrywał się w noc i widział złowieszcze sylwetki w łopoczących na wietrze opończach, mknące na rumakach promieniujących poświatą.

- Nocne mary - wyrwało mu się z ust. - Upiorni jeźdźcy.

- W żadnym razie - sir Walter przewrócił wściekle oczami. -

Kimkolwiek są te zbiry, siedzą na rzeczywistych koniach i rzucają rzeczywistymi kamieniami. My zaś powitamy ich najprawdziwszym ołowiem. Chodź za mną, siostrzeńcze.

Zanim Quentin zdążył pojąć, co się dzieje, wuj chwycił go za

ramię i wypchnął z pracowni w kierunku pomieszczenia z bronią. Były w nim zgromadzone zbroje oraz miecze, broń z różnych epok, ale także nowoczesne muszkiety i pistolety skałkowe, które pan Abbotsford również kolekcjonował. Dumą jego zbiorów były karabiny pruskiej piechoty, którymi posługiwali się żołnierze regimentu z Highlands w bitwie pod Waterloo. Dwa z tych wysmukłych muszkietów, których mechanizm zapłonowy chroniły małe osłony ze skóry, sir Walter w największym pośpiechu wyciągnął z gabloty. Jeden z nich zatrzymał dla siebie, drugi wręczył Quentinowi.

Quentin wziął ciężki karabin, który z nałożonym bagnetem był niemal tak wysoki jak on sam, i trzymał w niewprawnych dłoniach. Co oczywiste, bywał już niejedną raz na polowaniu i posługiwał się lekkimi strzelbami myśliwskimi, jednak wojennego uzbrojenia nigdy jeszcze nie miał okazji dzierżyć w rękach. Z drugiej szafy sir Walter wyciągnął małe skórzane ładownice, jedną z nich również wręczył Quentinowi.

- Kartusze - wyjaśnił zdawkowo. - Wiesz, jak się z nimi obchodzić?

Quentin przytaknął i obaj ruszyli pospiesznie w stronę ciemnego przedsionka. Znowu rozległ się brzęk wybijanej szyby, a na pierwszym piętrze dały się słyszeć przerażone krzyki. Lady Charlotte stanęła u szczytu schodów w towarzystwie jednej ze służących. Miała na sobie śnieżnobiałą nocną koszulę, na którą w pośpiechu narzuciła wełnianą mantylę. W migocącym świetle świecznika, który trzymała służka, na twarzy lady Charlotte bez trudu można było dostrzec przerażenie.

- Każ zaryglować za nami drzwi, najukochańsza! - wykrzyknął do niej sir Walter, wraz z Quentinem zmierzając pospiesznie do wyjścia z muszkietem w rękę. - Potem idźcie do kaplicy i tam się skryjcie! Dotarli do drzwi, Quentin odsunął rygiel. Ciężkie skrzydło drzwi otworzyło się, po czym sir Walter i jego siostrzeniec wybiegli z budynku.

Na zewnątrz panował mrok, z którego nagle nadszedły złowieszcze postacie na rumakach. Z ogłuszającym stukotem kopyt przemknęły obok nich. Ich konie były potężnymi, pędzącymi w galopie rumakami, których sierść barwy ołowiu błyszczała od potu i z których chrap buchała para. Jeźdźcy mieli na sobie długie opończe z kapturami; wisiały na nich luźno i sprawiały wrażenie, że są ogromni i groźni. W rękach trzymali pochodnie, których światło rozpraszało nocny mrok i rzucało na napastników migoczącą poświatę.

Quentin wydał z siebie okrzyk przerażenia, kiedy spojrzał w czarne oblicza o potwornie wykrzywionych rysach, z których spoglądały zimne jak lód oczy.

- Maski! - zawołał do niego wuj. - To są tylko maski, Quentinie.

Chcąc potwierdzić te słowa, pan Abbotsford załadował swój muszkiet.

Skałkowy zamek uderzył w panewkę, z lufy wydobył się jaskrawy snop ognia, gdy muszkiet odpalił z ogłuszającym hukiem. Niemal w tym samym czasie jeden z jeźdźców wznosił ręce do góry, upuścił pochodnię i chwycił się za bark. Nie zsunął się z siodła, lecz było oczywiste, iż został trafiony.

- Rozum - mamrotał Quentin drżącym głosem. - Posługuj się rozumem. Jeśli jeździec został zraniony, oznacza to, że musi być istotą z krwi i kości...

- Odejdźcie! - ryknął na cały głos sir Walter, ładując powtórnie pruski muszkiet. - Wyoście się z mojej ziemi, wy tchórzliwi szubrawcy!

Jeźdźcy znów przejechali galopem obok nich, przeraźliwie wrzeszcząc i wymachując pochodniami. Jeden z nich rzucił pochodnię za mur ogrodu, gdzie natychmiast płomienie strzeliły w górę.

- Śmierć! - wykrzyknął przy tym tubalnym głosem. - Śmierć i za tracenie naszym wrogom!

Quentin poczuł, że ma duszę na ramieniu. Znów rozpoznał opończę oraz czarne nieruchome oblicze. Taka postać stanęła z nim twarzą w twarz w bibliotece. Nie mylił się, teraz miał pewność. Zamaskowani napastnicy byli odpowiedzialni za pożar w bibliotece. To oni również zamordowali biednego Jonathana i o mały włos nie posłali na tamten świat lady Mary.

Na obliczu młodego człowieka pojawił się rumieniec gniewu. Z odwagą i zdecydowaniem, jakich nigdy wcześniej nie czuł, ustawił broń w pozycji strzeleckiej. Prawą dłonią odsunął skórzany kapturek, sięgnął do ładownicy i wyciągnął mały papierowy kartusz.

Quentin odgryzł zębami końcówkę i wypluł ją; na języku poczuł gorzki smak. Pospiesznie przesypał część małego ładunku do panewki i zatrzasnął jej blaszkę. Resztę ładunku, wraz z przymocowanymi do niego kulami, wsunął do lufy i docisnął stemplem.



Kiedy z krzaków nadjechał kolejny szwadron napastników -

Quentin naliczył pięciu zamaskowanych bandytów - siostrzeniec sir

Waltera był gotów. Kolba karabinu opierała się na jego ramieniu, kiedy jeźdźcy pędzili ku niemu i jego wujowi, wściekle wykrzykując i wymachując pochodniami.

Sir Walter wypalił po raz kolejny, lecz tym razem jego kula chybiła.

Konni wybuchnęli śmiechem; w rękę jednego z zamaskowanych najeźdźców Quentin dostrzegł połyskującą szablę. Wymachując nią, napastnik ruszył galopem na jego wuja. Za kilka chwil mógł dotrzeć do niego, a panu Abbotsford nie starczyłoby czasu na załadowanie muszkietu.

Quentin zamknął lewe oko, wymierzył broń i nacisnął spust.

Snop iskier z panewki odpalił ładunek i posłał kulę z głośnym hukiem. Potężny odrzut broni podciął Quentinowi nogi i przewrócił go na ziemię. Gdy padał, usłyszał rozdzierający krzyk oraz przestraszony kwik konia.

- Wuj! - zawołał, zerwał się na równe nogi i spojrzał w kierunku sir Waltera.

Jego wuj był zdrow i cały.

Stał zaledwie o kilka kroków od Quentina i opierał się na muszkiecie. U jego stóp leżał jeden z napastników w czarnej masce groteskowo wykrzywiony; obok niego sterczała szabla wbita w ziemię.

- Czy... czy ja...? - zapytał pozbawiony tchu Quentin.

Sir Walter skinął głową.

- Przegoniłeś ich, mój chłopcze, ty, sam jeden. Są już daleko, jak się zdaje, i należy to zawdzięczać twojemu mistrzowskiemu strzałowi.

- Czy on...? - Quentin spojrział na postać w masce, która leżała na ziemi bez ruchu.

- Jest martwy, jak amen w pacierzu - potwierdził sir Walter. -

Niech Bóg zmiłuje *się* nad jego biedną duszą. Ale ty, chłopcze, wykazałeś, że...

Nagle od strony pobliskich zarośli dał się słyszeć gwałtowny szelest liści. Głośno trzaskały łamane gałęzie, a po chwili z krzaków wyłoniła się ciemna sylwetka. Sir Walter natychmiast wymierzył gotowy do strzału muszkiet, z którego nie miał okazji odpalić po precyzyjnym strzale Quentina.

- Stój - zakrzyknął donośnym głosem. - Ktoś ty? Stój w miejscu, bo w przeciwnym razie spotka cię równie żałosny koniec jak twojego kompana!

- Łaski, panie! - dosłyszeli znajomy głos, który należał do

Mortimera, leciwego już rządcy posiadłości Abbotsford. - Błagam, sir, niech pan do mnie nie strzela!

- Mortimer! - zdumiony sir Walter opuścił broń.

Kaszłąc, stary rządcą podbiegł do nich od strony zarośli.

- Błagam, sir - wołał zdyszany. - Niech mnie pan nie każe za

moją opieszałość... Rozstawiłem parobków zgodnie z pańskim poleceniem... każąc im, by mieli oczy otwarte... Ale najeźdźców było zbyt wielu, a... parobkowie uciekli, gdy dostrzegli te budzące grozę

maski.

Oblicze starego rządcy prezentowało widok godny pożałowania.

- To były demony, sir - wyszeptał. - Przysięgam.

- Mój biedny Mortimerze - sir Walter podał muszkiet Quentinowi

i wziął w ramiona starego sługę, na którego twarzy wciąż jeszcze

rysowała się groza. - Jestem pewien, iż uczyniłeś wszystko, co było w

twojej mocy. Ale możesz dać mi wiarę, że ci zabójcy nie byli demonami.

Gdyby tak było, nasz dzielny Quentin zapewne nie pozbawiłby życia

jednego z nich ołowianą kulą.

Wskazał na bandytę, który leżał martwy u jego stóp, a widok ten

zdawał się uspokoić nieco Mortimera. Rządca zbliżył się ostrożnie do

zamaskowanej postaci, spojrzawszy na nią badawczo i trącił ją lekko nogą.

Człowiek w masce nie poruszył się.

- Musimy wrócić do domu i uspokoić kobiety - zdecydował sir

Walter. - Potem wystawimy posterunki przy bramie. Gdyby te zbiry

zdecydowały się powrócić tu jeszcze tej nocy, przyjmiemy ich jak

należy. Chociaż sądzę, że jak na pierwszy raz mają dość. W końcu

jeden z nich przyplacił ten najazd ży...

- Sir! Sir!

Krzyk dobiegał z domu. Wydała go jedna ze służących, która z

bladą jak kreda twarzą stała w drzwiach wejściowych.

-Niech pan tu przyjdzie, sir! Szybko! Do sali jadalnej...

Sir Walter i jego siostrzeniec wymienili przestraszone spojrzenia,

potem pospiesznie ruszyli w stronę domu. Quentin, chociaż dźwigał

obydwa muszkiety, był szybszy od wuja, który musiał zмагаć się z chromą od dawna nogą. Minał wuja i wbiegł do domu, minął hol i korytarz. Z końca korytarza dostrzegł pomarańczowo-czerwoną pożogę.

Ogień!, przemknęło mu przez myśl i ruszył dalej biegiem do sali jadalnej. Za szerokimi oknami, na drugim brzegu rzeki, płonął jaskrawo ogień, który ktoś podłożył. Przez moment Quentin odczuł ulgę, że płomienie nie trawią domostwa. Potem jednak dostrzegł zamaskowane sylwetki, które kłusowały na koniach wokół strzelających ku niebu języków ognia. Wykrzykując przeraźliwie, jeźdźcy wymachiwali pochodniami, a po chwili oddalili się galopem. Quentin stał przy oknie i ze zgrozą wpatrywał się w ognistą pożogę, która jednocześnie była przesłaniem. Używając nafty, napastnicy oblali długi na kilka metrów pas murawy, tworząc wzór, który teraz rozświetlał jaskrawo mrok nocy.

Quentin natychmiast rozpoznał ten wzór.

Był to symbol.

Sierp przecięty prostą linią... Znak miecza, który on sam odkrył w bibliotece, tuż przed tym jak płomienie strawiły drogocenny księgozbiór.

Sir Walter, który dotarł do niego bez tchu i stanął obok, również się wpatrywał, a Quentin wyczuł, że także pan Abbotsford wzdrygnął się.

Ognisty symbol potwierdzał podejrzenia, które sir Walter żywił przez cały czas - że złowieszcze wydarzenia w Kelso oraz znak miecza

pozostawały ze sobą w związku.

Teraz nikt już nie mógł temu zaprzeczyć. Zbyt jaskrawe i widoczne z daleka były języki ognia strzelające ku niebu na drugim brzegu rzeki.

Sir Walter i jego siostrzeniec nie byli zresztą jedynymi, którzy tej nocy widzieli płonący runiczny symbol. Widziały go również tajemnicze postacie, które skryły się między drzewami nieco niżej, przy brzegu rzeki - postacie odziane w proste habity mnisiego zakonu.

## KSIĘGA DRUGA

*W kamiennym kręgu*

Przebudzenie było dziwne.

Kiedy Mary Egton otworzyła oczy, przez moment nie wiedziała, gdzie się znajduje. Zdziwiona rozglądała się po pomieszczeniu, którego ściany wzniesiono z zimnego nieprzyjemnego kamienia. Wysoki strop pokrywały kasetony z ciemnego, prawie szerniałego drewna. Na ścianach wisiały gobeliny, których hafty przedstawiały sceny średniowiecznych polowań. Dwie drewniane, ozdobione snycerką szafy stanowiły główny wystrój pokoju, znajdowała się w nim także komoda z dużym lustrem. Na stojaku z toczzonego dębowego drewna wisiała suknia ze srebrzystoszarego adamaszku, która wydawała się Mary zupełnie nieznana - do momentu, gdy przypomniała sobie, że tę właśnie suknię miała założyć na siebie do kolacji. Na dobrą sprawę nie była to jej suknia, lecz pożyczyła ją Mary Eleonorę Ruthven, która nalegała, by wystroiła się w nią, dopóki nie sprawi sobie własnych sukien.

Mary czuła pulsującą krew w żyłach. Krew płynęła w jej ciele niespokojnie, jak gdyby coś spowodowało jej potworne pobudzenie.

Potem, gdy zasłona, kawałek po kawałku, unosiła się w górę, powróciło wspomnienie sennej wizji z minionej nocy. Senne mary były do tego stopnia żywe i realne, jakby należały do rzeczywistości. Mary przypomniała sobie młodą kobietę - Gwynn - oraz jej brata Duncana, jak gdyby wciąż jeszcze stali tuż obok niej. Jak gdyby ona rzeczywiście była świadkiem rozmowy, którą tych dwoje ze sobą prowadziło.

Lecz to jeszcze nie wszystko.

Mary przypomniała sobie także uczucia młodej kobiety, które były do tego stopnia sugestywne, jak gdyby były to jej własne uczucia.

Najpierw niejasna nadzieja, że ojciec wkrótce powróci do domu, potem jej rozczarowanie, jej żałoba, a w końcu, kiedy usłyszała, jak brat mówi o kłamstwie i zdradzie, przerażenie oraz przytłumione przeczucie grożącego jej nieszczęścia.

Osobliwe... Nigdy jeszcze Mary nie przyśnił się taki sen. Choć miewała barwne sny i często je zapamiętywała, to nigdy dotąd we śnie nie widywała obrazów, które wydawały się aż tak bardzo realne. Czowała ostry wiatr, który owiewał mury zamku, i wyczuwała ziemisty zapach krainy Highlands. Wciąż jeszcze miała wrażenie, iż naprawdę spotkała Gwynneth oraz jej brata.

Mary śmiała się z własnego braku rozsądku - przecież to było niemożliwe. Jakim sposobem postacie ze snu mogłyby być rzeczywiste? Wszystko to po prostu musiała sobie uroić. To co widziała, było senną marą, której natrętny charakter dało się wytłumaczyć bardzo prosto. Jeszcze poprzedniego dnia w tomie historycznym otrzymanym w prezencie od sir Waltera Mary przeczytała o czynach Williama Wallace'a oraz o walce narodu szkockiego o wolność. I czyż podczas podróży karocą do Ruthven nie przerabiała rozdziału o bitwie pod Stirling? Czyż nie czytała o tym, jak liczni przywódcy klanów oddali tam życie, co wywołało spory i niesnaski wśród szkockiej szlachty? O tym, że wielu z nich doszło do przekonania, że Wallace dąży do zdobycia korony i przejęcia władzy

nad klanami?

Oczywiście!

Chociaż Mary często czytywała książki i chętnie zatracala się w światach, które poeci ożywiali pięknymi słowami, była jednak osobą na tyle kierującą się zdrowym rozsądkiem, by wiedzieć, że wszystko to musi mieć racjonalne wytłumaczenie. W tym przypadku wyjaśnienie to było w zasięgu ręki. Zagadkowy sen był rezultatem jej zainteresowania historią Szkocji. Fakt, że sen ten był nad wyraz sugestywny, Mary uzasadniała przeżyciami poprzedniego dnia, przyjazdem do zamku Ruthven oraz chłodnym przyjęciem ze strony Eleonorę.

Być może, tłumaczyła sobie, poprzedniego wieczora była zbyt zmęczona, by docenić nową ojczyznę. Nastął nowy dzień i być może zobaczy wszystko w zupełnie innym świetle. Bądź co bądź lada moment po raz pierwszy spotka człowieka, u którego boku ma spędzić resztę swoich dni.

Myśl ta nie przerażała jej już tak bardzo, jak jeszcze przed kilkoma dniami. Mary poczuła nagle głęboki wewnętrzny spokój, jak gdyby odrobina majestatu i spokoju, którymi emanowała ta daleka kraina i jej mieszkańcy, spłynęła na nią. Odrzuciła posłanie, wyskoczyła z łóżka i podeszła bosą do okna.

Kamienna posadzka była zimna, lecz ona niemal tego nie zauważała. Nappełniło ją jakieś wewnętrzne ciepło, które tliło się w niej jeszcze w wyniku owego osobliwego snu. Uczucie, którego nie była w stanie wytłumaczyć, jak gdyby tworzyła część wielkiej całości,



przepeliło Mary przez moment, napawając ją głębokim wewnętrznym spokojem - zupełnie tak samo jak wtedy, gdy mijali przejście graniczne przy Carter Bar. Kiedy spoglądała z góry na łąki i lasy krainy Lowlands.

Uczucie to zniknęło w momencie, kiedy wyjrzała przez okno i dostrzegła szare mury i wieże zamku Ruthven, które rysowały się na tle niebieskiego nieba oraz ubogiego krajobrazu. Słońce już wzeszło, jednak żaden jego promień nie docierał do komnaty Mary. Również zamkowy dziedziniec wyglądał tak samo jak poprzedniego dnia, ponury i ciemny, tylko nieliczni służący i służki kręcili się po nim. Niemal można by dojść do przekonania, że światło i życie omijały te stare mury, jednak Mary wiedziała, iż było to tylko jej urojenie.

Zamek Ruthven prezentował się zupełnie inaczej, niż się tego spodziewała, przede wszystkim wtedy, gdy porównała go z Abbotsford, posiadłością Waltera Scotta - nie była to kamienna romanca, lecz murowany śpiew żałobny. Tam był ogród pełen kwiatów, w domostwie pełno było światła i panowała przyjazna atmosfera, tu natomiast wszystko wydawało się obce.

Mary przyłapała się na tym, że zaczęła tęsknić za Abbotsford, i skarciła samą siebie, nazywając się błaznem, ponieważ dała posłuch naiwnym i pobożnym życzeniom. Również to musiało wiązać się z dziwacznym snem, który ustawicznie ją nawiedzał. Najwidoczniej ten sen wprowadził w jej głowie większy zamęt, niż chciała się do tego przyznać.

Zdecydowała porzuciła to wspomnienie i zwróciła się ku teraźniejszości. To nie przeszłość powinna przykuwać jej uwagę, lecz przyszłość. Rzeczywistość, nie sny.

W jaki sposób mogła wiedzieć, że kryło się za tym coś więcej, niż ona czy ktokolwiek inny na tej ziemi mógł przeczuć?

Kitty pomogła Mary w porannej toalecie i przygotowaniu do śniadania.

W Egton Mary nie przywykła, by już przy pierwszym posiłku dnia pokazywać się w adamszkowym stroju. Widocznie w Ruthven było to normą, postanowiła więc pokazać, że szanuje i respektuje zwyczaje swego nowego domu.

Eleonorę wcześniej przekazała wiadomość, że punktualnie o dziewiątej Mary zostanie przyprowadzona przez służącego. Kurant w zegarze nie zdążył jeszcze przebrzmieć, kiedy od drzwi jej komnaty dobiegło nieśmiałe pukanie.

- Lady Egton?

- Tak? - zapytała Kitty przez drzwi.

- Pani wzywa na śniadanie.

Na znak Mary Kitty otworzyła drzwi. Przed progiem stał służący ubrany w czarną liberię ze srebrnymi lampasami. Mężczyzna, który mógł liczyć około czterdziestu lat, miał przerzedzone włosy i wykrzywiony nos. Przede wszystkim jednak Mary zwróciła uwagę, że szedł nieco zgarbiony, jak ktoś, kto obawiał się, że w każdej chwili może mu przytrafić się jakieś potworne nieszczęście.

Z pokorą opuścił wzrok i skłonił się jeszcze niżej.

- Lady Egton - powtórzył zaproszenie. - Pani tego domu wzywa na śniadanie. Jeśli będziesz, pani, łaskawa pójść za mną.

- Chętnie - odparła Mary i uśmiechnęła się. - Jak ci na imię, przyjacielu?

- S... Samuel - padła nieśmiała odpowiedź. - Ale moje imię nie ma tu nic do rzeczy, milady. Moim jedynym obowiązkiem jest sprawić, żebyś, pani, była w stanie znieść obecność mojej nisko urodzonej osoby.

Ton, którym wypowiedział te słowa, oraz spojrzenie szarych oczu miały w sobie coś budzącego współczucie. Kitty zachichotała cicho i nawet Mary nie mogła powstrzymać uśmiechu.

- Jestem jak najbardziej gotowa przestrzegać zwyczajów i

obyczajów, które panują tu, w zamku Ruthven - podjęła rozmowę. -

Ale nie potrafię sobie wyobrazić, by nie wolno mi było zwracać się do służą-

cego po imieniu, mój drogi Samuelu. A zatem przestań się lękać i lepiej pokaż mi drogę do sali jadalnej.

- Jak sobie milady życzy - odparł służący, ponownie skłonił się nisko i spoglądając z dołu, skierował na Mary ukradkowe spojrzenie.

- Niech Bóg panią chroni, milady.

Później odwrócił się i opuścił komnatę. Mary podążyła za nim, natomiast Kitty została na miejscu. Już wcześniej spożyła śniadanie wraz z innymi pokojowymi i kamerdynerami.

Samuel poprowadził Mary długim korytarzem, którego ściany

zbudowano z naturalnego kamienia. Ponieważ nigdzie nie było okna, również w ciągu dnia musiały być zapalone świece, które rzucały ponurą, migotliwą poświatę.

- Dokąd prowadzi ta droga, Samuelu? - zapytała Mary, gdy minęli krzyżujący się korytarz, z którego odchodziły strome schody prowadzące na górę.

- Do komnat lorda - odparł służący przestraszonym głosem, a z jego wzroku wyzierała nieufność.

- Czy zatem powrócił już z polowania? - zapytała Mary, która przypomniała sobie, że drzwi do tego korytarza poprzedniego wieczora były zamknięte.

- Tak, milady. Łowy były nawet bardzo udane. Lord upolował wreszcie jelenia, którego tropił już od dawna.

- A te drzwi? - chciała zaspokoić ciekawość Mary, gdy minęli kolejne skrzyżowanie korytarzy.

Służący po raz kolejny spojrział na nią niepewnie.

- Niech milady wybaczy mi moje pytanie, ale czy nikt jeszcze nie oprowadzał pani po zamku?

- Nie - zaprzeczyła Mary, kiwając jednocześnie głową. -

Przyjechałam dopiero wczoraj.

Samuel sprawiał wrażenie, że zrobiło mu się lżej na duchu.

- Tamte drzwi - powiedział - prowadzą do zachodniej wieży. Ale nikomu nie wolno ich otwierać. Pan tego domu zabronił.

- Dlaczego? - zaciekawiła się Mary, podążając powoli dalej.

- Milady nie powinna mi stawiać takich pytań. Jestem tylko

prostym służącym i niewiele wiem.

Mary uśmiechnęła się.

- W każdym razie wiesz dużo więcej niż ja, Samuelu. Jestem tu

obca i będę wdzięczna za każdą informację.

- Mimo to proszę panią, milady, by pytać nie mnie, lecz kogoś

innego. Kogoś, kto zasługuje na pani zaufanie.

Było oczywiste, że służący nie chciał więcej mówić, natomiast

Mary nie zamierzała go do tego zmuszać. Milczeli przez resztę drogi,

która prowadziła kamiennymi krętymi schodami do kondygnacji

położonych niżej, gdzie znajdowała się sala audiencyjna oraz sala

jadalnia zamku.

Pomieszczenie, w którym przygotowano śniadanie, było długie i

miało wysoki sufit podtrzymywany ciężkimi belkami nośnymi, na

jednej z nich zawieszony był wielki żelazny świecznik. Przez wysokie

okno na frontowej ścianie komnaty wpadało blade światło poranka i

można było dostrzec mury zamku, a za nimi matowe zielone wzgórza

krainy Highlands, które wciąż jeszcze kryły się we mgle, podobnie jak

poprzedniego dnia. W kominku nieśmiało trzaskał ogień - jednak

płomienie nie zdołały odegnać lodowatego chłodu, który Mary poczuła,

kiedy wkroczyła do pomieszczenia.

Przy długim stole, który znajdował się po środku sali, siedziały

dwie osoby. Jedną z nich Mary już знаła. Była to Eleonorę Ruthven,

pani zamku. Drugą osobą był Malcolm, pan włości Ruthven - i jej

przyszły małżonek.

Mary nie wiedziała, co powinna powiedzieć, gdy po raz pierwszy ujrzała człowieka, u którego boku miała spędzić resztę życia.

Malcolm był w jej wieku. Jego krótko ostrzyżone włosy miały kruczoczarny kolor i mimo młodego wieku na skroniach były już widoczne zakola. Cerę miał równie bladą jak jego matka. Ujmując ogólnie, lord wydawał się odziedziczyć po Eleonore ascetyczny wygląd. Te same wąskie usta, te same kości policzkowe, takie same głęboko osadzone oczy. Nawet badawczy, nieustępliwy wzrok syn i matka mieli taki sam - gdy Mary weszła do jadalni, dwie pary oczu skierowały się na nią.

- Dzień dobry, moje dziecko - pozdrowiła ją Eleonore z przychylnym uśmiechem. - Jak widzisz, nie przesadziłam w moich obietnicach.

To Malcolm, lord Ruthven i mój syn, a twój przyszły małżonek.

Mary skłoniła głowę i ugięła kolana, jak wymagała tego etykieta.

- A cóż ci mówiłam, mój synu? - Mary usłyszała głos Eleonory. -

Czyż nie było prawdą wszystko to, co ci obiecałam? Idealna młoda dama i jedyna w swoim rodzaju piękność?

- Rzeczywiście taka jest.

Malcolm podniósł się z miejsca i podszedł do Mary. Podał jej dłoń w geście pozdrowienia. W końcu mogli sobie spojrzeć w oczy - Mary przeraziła się, gdy ich wzrok się spotkał, bowiem spoglądała w oczy kogoś zupełnie obcego.

Nie chodziło o to, że spodziewała się czegoś innego, w końcu

Malcolma Ruthvena widziała dzisiaj po raz pierwszy w życiu. Jednak jakaś, beznadziejnie romantyczna część jej duszy (być może ta, która tak bardzo fascynowała się książkami Waltera Scotta) żywiła nadzieję, że w spojrzeniu Malcolma Ruthvena rozpozna przynajmniej tchnienie czegoś bliskiego, nieśmiałe przeczucie sympatii, jaką któregoś dnia być może poczują do siebie.

Jednak w tym spojrzeniu nie było niczego.

Tym, co Mary dostrzegła w stalowoniebieskich oczach przyszłego małżonka, był przede wszystkim chłód - nawet jeśli Malcolm czynił starania, by to wrażenie złagodzić słowami.

- Muszę przyznać - zauważył Malcolm z lekkim uśmiechem - że moja matka nie przesadziła ani trochę. Rzeczywiście jesteś piękną, Mary. Jesteś piękniejsza, niż ośmielałem się marzyć.

- Jesteś dla mnie bardzo łaskawy, obdarzając mnie pochwałą, drogi lordzie - odparła Mary zawstydzona. - Co oczywiste, wyrażałam skromną nadzieję, iż w twoich oczach znajdę akceptację. Ale teraz, kiedy wiem, że tak jest, odczuwam ogromną ulgę, gdyż obawiałam się, iż nie zdołam spełnić twoich oczekiwań.

Malcolm znów lekko się uśmiechnął.

- A zatem oboje mieliśmy takie obawy - odparł. - Moja matka zwykle tak bardzo wychwala moje zalety, że czasami trudno wręcz dotrzymać kroku jej pochwalnym hymnom.

- Możesz być pewien, że nie odczuwam rozczarowania, dostojny lordzie - odparła Mary uprzejmie i odwzajemniła uśmiech; być może

pierwsze wrażenie, które odniosła, było jednak mylne.

- Proszę, zwracaj się do mnie po imieniu. Narzeczeni nie powinni zważać na takie formalności. Mam na imię Malcolm. A teraz proszę cię o przysługę, żebyś mojej matce i mnie dotrzymała towarzystwa przy śniadaniu.

- Chętnie - odparła Mary i usiadła przy drugim końcu stołu, gdzie dla niej nakryto.

Weszła służąca i podała jej czarną herbatę, do tego grzanekę i konfitury.

Chociaż Mary odczuwała wilczy głód, który nie był zaspokojony od czasu długiej podróży, uważała, by nie zjeść zbyt wiele. Ograniczyła się do posmarowania niewielkiego kawałka chleba i ugryzła z tego mały kęs - o wiele chętniej zjadłaby śniadanie razem z Kitty i pokojowymi, gdzie z pewnością było masło i ser.

Znów zapanowało kłopotliwe milczenie, a Mary dostrzegła, jak Eleonorę rzuca synowi natarczywe spojrzenia.

- Czy miałaś dobrą podróż? - zapytał Malcolm niezbyt zgrabnie przynaglony spojrzeniami matki.

- Obawiam się, że niestety nie - odparła Mary. - W pobliżu Selkirk moja karetka została napadnięta przez przydrożnych rabusiów. Stangret stracił życie, zaś ja i moja pokojówka o włos uniknęłyśmy śmierci.

- To niedopuszczalne! - Malcolm Ruthven ze wściekłością uderzył pięścią w blat stołu. - Mam po dziurki w nosie wysłuchiwanie takich historii. Dzisiaj jeszcze wysłę list do władz, w którym zażądam ostrych represji wobec chłopskich band. Strach pomyśleć, że mogłoby ci się



coś stać, najdroższa Mary.

- Nie musisz się niepokoić, zacny Malcolmie. Na szczęście nic mi się nie stało. Dzięki Opatrzności w pobliżu znaleźli się dzielni ludzie, którzy uratowali życie mojej pokojówce oraz mnie. Jak się potem okazało, moim wybawcą był nie kto inny jak sam Walter Scott.

- Walter Scott? - Malcolm uniósł brwi. - Czy powinienem znać tego człowieka? Zapewne jest przedstawicielem szlachty.

- Oczywiście, że jest, chociaż nie według przyjętych kryteriów - potwierdziła Mary. - Sir Walter jest wielkim pisarzem, który odtwarza przeszłość naszego kraju we wspaniałych powieściach. Książki jego pióra są czytane nawet na dworze w Londynie, chociaż jest zbyt skromny, by rozpowszechniać je tam jako własne dzieła.

- Książki - na twarzy Malcolm'a pojawił się grymas, jak gdyby właśnie jadł cytrynę. - Muszę wyznać, moja droga, że nie za bardzo wiem,

jak obchodzić się z książkami. Książki zapewne są dobre dla uczonych oraz dla tych, którzy są zbyt starzy lub zbyt gnuśni, by osobiście dokonywać wielkich rzeczy. Jeśli chodzi o mnie, stanowczo przedkładam sławę własnych czynów nad utopie jakiegoś fantasty.

Mary ugryzła jeszcze kęs chleba i musiała bardzo powoli przeżuwać, by nie dać po sobie poznać, jak bardzo ją te słowa zraniły.

Jednym zdaniem Malcolm nie tylko obraził sir Waltera i jego dzieło, ale także w sposób pośredni obwinił go o gnuśność i beczynność.

Odrobinę za wiele, jeśli weźmie się pod uwagę, że dopiero przed

chwilą się poznali.

Być może Mary mogłaby zbyć milczeniem fakt, że lord Ruthven nie był miłośnikiem literatury, gdyby on nie obstawał przy tym i nie sprowokował jej reakcji.

- Co o tym sądzisz, moja droga? - zapytał. - Czy nie uważasz także, że szlachetnie urodzonemu mężczyźnie bardziej uchodzi zdobywać sławę własnymi rękoma, niż podążać za przygodami wymyślonych postaci?

- Nie wszyscy bohaterowie powieści sir Waltera są zmyśleni - odparła na to Mary. - Jedna z jego najgłośniejszych powieści jest dla przykładu poświęcona Rob Royowi.

- Temu złodziejowi i przestępcy? - zapytała ze zgrozą Eleonorę.

- Złodziejem i przestępcą jest on tylko w oczach Anglików. Scott natomiast przedstawia go jako bohatera i wojownika o wolność, który sprzeciwia się niesprawiedliwości i krzywdzie, wyrządzonej jemu oraz jego rodzinie.

- Wobec tego nie dziwi mnie, że przestępstwa i bezprawie w Lowlands wciąż przybierają na sile - odparował Malcolm. - Skoro ludzie, jak ten Scott, chodzą na wolności i czynią z bandytów bohaterów.

- Sir Walter jest znanym twórcą i wielkim człowiekiem - odparła Mary, przy czym nie czyniła najmniejszych starań, by ukryć gniew epatujący z jej głosu. - To on uratował mi życie i przyjął mnie oraz moją pokojówkę w swoim domu. Jestem mu bardzo wdzięczna i nie ścierpię, żeby jego dobre imię w mojej obecności było podawane w

wątpliwość.

- Powoli, moje dziecko - skarciła ją chłodno Eleonorę. - Nie tym tonem.

- Pozwól tylko, matko - odezwał się Malcolm z uśmiechem. - Najwyraźniej moja przyszła żona jest nie tylko niezwykle piękna i szarmancka, ale ma także serce rycerza. To mi się podoba. Czy zechcesz mi wybaczyć moje lekkomyślne komentarze, droga Mary?

Mary przez moment zwlekała z odpowiedzią.

- Ależ oczywiście - ustąpiła. - I upraszam również o wybaczenie, że pozwoliłam sobie podnieść głos.

- Zyskałaś wybaczenie - zapewnił ją Malcolm. - Po śniadaniu oprowadzę cię po posiadłości rodziny Ruthven. Zapewne będziesz pod wrażeniem.

- O tym jestem przekonana.

- Ród Ruthven sięga kilkuset lat wstecz - oświadczyła Eleonorę poufałym tonem, który Mary wcale się nie spodobał. - Przestrzeganie tej tradycji oraz dbanie o posiadłość oraz o pozycję naszej rodziny to najważniejszy obowiązek mojego syna.

-Ależ naturalnie, matko- podjął Malcolm. - Jednak nie zanudzaj mojej przyszłej małżonki suchymi faktami. Lepiej będzie, jak jej opowiem, jaki niezwykle postęp dokonał się w ostatnich latach na naszych ziemiach. Tam, gdzie mój ojciec, niech jego dusza spoczywa w pokoju, wydzierzawiał jeszcze ziemię chłopom, których dziesięcina z ledwością wystarczyła na pokrycie kosztów, dzisiaj są wypracowywane wysokie

zyski.

- W jakim sposobie? - chciała wiedzieć Mary.

- Hodowała owiec - wyjaśnił lakonicznie Malcolm.

- Zajmujecie się chowem owiec?

- Ależ nie, dziecko, oczywiście, że nie my - Eleonorę mówi takim tonem, jakby to pytanie było absurdalne. - Oddajemy nasze ziemie do dyspozycji hodowcom owiec z południa, którzy nam płacą za to, że mogą tam wypasać swoje stada.

- Rozumiem - odezwała się Mary z namysłem. - Proszę wybaczyć moje pytania, które pani musiały się wydać naiwne... Ale cóż się stało z chłopami, którzy za czasów twojego ojca uprawiali te ziemie?

- Zostali przesiedleni - odparł Malcolm, wzruszając ramionami. - Na wybrzeże.

- Dobrowolnie opuścili te ziemie?

- Nie do końca - roześmiał się lord. - Tylko nieliczni z nich byli na tyle rozsądni, by odejść dobrowolnie. Niektórych musieliśmy nakłonić do tego siłą, zaś w przypadku jeszcze innych, szczególnie upartych, najpierw podpaliliśmy strzechy nad ich głowami, zanim doszli do przekonania, że moja decyzja jest nieodwołalna. Mary spojrzała pytająco na swego narzeczonego.

- Czyż więc wypędziłeś swoich poddanych z ich ojczyzny? Czy uważasz to za sprawiedliwe posunięcie?

- Na tym polega postęp, moje dziecko. Postęp rzadko bywa sprawiedliwy. W każdym razie nie dla żebraków i chłopów,

nieprawdaż?

Ponownie roześmiał się, a Mary nie mogła oprzeć się wrażeniu, że śmiech ten był szyderczy i fałszywy. Z goryczą przypomniała sobie, jak stary Szkot w gospodzie w Jedburghu opowiadał jej o przesiedleniach, i w jednej chwili poczuła się tak, jakby Malcolm wyśmiewał się ze starca.

- Proszę o wybaczenie, drogi lordzie - odparła chłodno. - Ale obawiam się, że nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Śmiech zadowolonego z siebie Malcolma Ruthvena ucichł, a spojrzenia, które on i jego matka skierowali na Mary, były jednocześnie badawcze i pełne wyrzutu.

- Co chcesz przez to powiedzieć, droga Mary?

- Chcę przez to powiedzieć, że zapewne nie wiesz, jak to jest, kiedy jest się wypędzonym z ojcowizny i zmuszonym do tego, by na obcej ziemi rozpoczynać wszystko od nowa. Zapewne też nie wiesz, ile odwagi do tego potrzeba, i zapewne nie masz najmniejszego pojęcia, w jaką nędzę popadli ci biedni ludzie.

Kolor twarzy Eleonorę zmienił się uderzająco, na obliczu pani tego zamku pojawił się rumieniec gniewu, zabarwiając jej bladą cerę na różowy kolor. Wciągnęła powietrze, zamierzając surowo skarcić Mary, jednak powstrzymał ją przed tym jej syn.

- Jeśli pozwolisz, kochana matko - podjął rozmowę. - Z chęcią udzielę odpowiedzi i wyjaśnię to Mary.

- Czyż

istnieje

wyjaśnienie,

które

tłumaczyłoby

taką

niesprawiedliwość? - Mary uniosła brwi. - Muszę przyznać, że jestem ciekawa.

Malcolm znów się roześmiał, lecz jego śmiech nie był już tak pełen zadowolenia i wyniosłości, jak jeszcze przed chwilą.

- Twoje słowa brzmią tak, droga Mary, jak gdybyś ostatnie tygodnie spędziła w towarzystwie buntowniczych Szkotów. Uniwersytety w Edynburgu i Glasgow pełne są młodych zapaleńców, którzy gromko sprzeciwiają się *clearances* i wzywają ducha starych czasów, kiedy każdy był wolny i mógł posiadać ziemię, na której żył.

- Czyżby I? - zdziwiła się Mary.

- Prawda, moja droga, jest taka, że ta ziemia nigdy nie należała do tych ludzi. My, przywódcy klanów, jesteśmy tymi, którzy od setek lat dzierżyli władzę. To do nas należy ziemia, na której żyją ci ludzie.

Przez cały ten czas tolerowaliśmy ich, chociaż nigdy nie udało im się wyjść z nędzy i zapewnić sobie godziwego żywota na tej ubogiej ziemi.

W dzisiejszej dobie dokonuje się postęp, wszystko ulega zmianie.

Ludzie opuszczają gliniane chaty w regionie Highlands i przesiedlają się na wybrzeże, ponieważ tam jest praca i dobrobyt. Wielu dzielnych mężczyzn znalazło zatrudnienie w rybołówstwie, a tkalnie potrzebują

siły roboczej setek kobiet. W zamian otrzymują godziwą płacę, a postęp w ten sposób przestaje być udziałem wyłącznie nielicznych. Ci ludzie nie będą nigdy tacy jak ty i ja. Nie posiadają nic, są niczym, a ich nazwiska są jak dym na wietrze. Ale dzięki krokom, które podjął rząd we współpracy z właścicielami ziemskimi oraz księżętami, dobrobyt stał się teraz osiągalny dla wszystkich. Czy wiedziałaś, że większość bachorów, które dorastały na odległych farmach, nie potrafi pisać ani czytać? Najbliższa pomoc medyczna jest oddalona o całe dni drogi i z tego powodu wielu ludzi umierało. Wszystko to ulegnie zmianie, Mary, dzięki postępowi.

Jego słowa przebrzmiały, a Mary siedziała teraz przy stole w milczeniu. Nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć, i wstydziła się, że tak szybko i bez namysłu wydała osąd. Być może to, co przeżyła w Jedburghu, zakłóciło trzeźwość jej oceny i być może jej własne położenie przyczyniło się do tego, że jej los wydał się bliższy wypędzonym z ojczyzny mieszkańcom regionu Hihglands, niż było w rzeczywistości. Być może Malcolm jednak miał rację. Być może dla tych ludzi z wyżyn rzeczywiście było lepiej, gdy osiedlali się na wybrzeżu. Było z nimi tak jak z dziećmi, które nie wiedzą, co jest dla nich dobre. A w ich imieniu muszą decydować rodzice. Jako pan tej ziemi, którą oni zamieszkiwali, Malcolm podjął decyzję w imieniu tych ludzi. Zapewne nie była to dla niego łatwa decyzja, a Mary wstydziła się teraz, że pochopnie oskarżyła go o chciwość i żądę zysku.

- Proszę cię - odezwała się i opuściła przy tym z pokorą głowę - byś

mi wybaczył moje zuchwałe i niezbyt przemyślane słowa. Obawiam się, że będę musiała jeszcze wiele się nauczyć o mojej nowej ojczyźnie.

- Z wielką ochotą pomogę ci w tym - odparł Malcolm ze śmiechem. - Pójdź więc ze mną, Mary. Pragnę ci pokazać wszystko, co należy do moich włości...



- Wciąż żadnych konkretnych rezultatów?

Głos Waltera Scotta zabrzmiał dobitnie. Z rękoma skrzyżowanymi na plecach chodził po swoim gabinecie tam i z powrotem. Quenti-nowi nasunęło się porównanie wuja z dzikim zwierzęciem, które zamknięto w klatce.

- Od biego tygodnia tropi pan tych podpalaczy i morderców i wszystkim, co jest mi pan w stanie powiedzieć, jest to, że wciąż nie ma konkretnych rezultatów?

Charles Dellard stał pośrodku pokoju. Jego mundur leżał jak zwykle idealnie, a czarne buty do jazdy konnej lśniły bez zarzutu.

Ostre rysy twarzy inspektora straciły jednak odrobinę swej pewności.

- Proszę o wybaczenie, sir - odezwał się cicho. - W dochodzeniu nie poczyniliśmy niestety spodziewanego postępu.

- Nie? - Scott podszedł do swego gościa, wysuwając do przodu zuchwę, tak iż Quentin poczuł lęk, że jego wuj może nawet posunąć się do rękoczynów. - Sądziłem, że był pan zaledwie o krok od schwytania ludzi, którzy kryją się za tymi napadami?

- Być może - wyznał Dellard, zgrzytając zębami - była to pomyłka.

- Pomyłka! - Scott parsknął teraz niczym rozwścieczony byk.

Quentin rzadko widział swego wuja tak bardzo rozjuszonego.

- Ta pomyłka, szanowny inspektorze, sprawiła, że moja rodzina i dom znalazły się w prawdziwym niebezpieczeństwie. Tamtej nocy wszyscy czuliśmy potworny strach. A gdyby ten młody człowiek, który

tu stoi - Scott wskazał na Quentina - nie okazał tyle odwagi i brawury, być może stałoby się coś jeszcze gorszego.

- Wiem, sir. I proszę pana, by przyjął pan ode mnie słowa przeprosin.

- Pańskie przeprosiny, z całym szacunkiem, w żadnym wypadku nie zmniejszają zagrożenia, inspektorze. Żądam, aby wykonał pan swoją misję i pojmał bandytów, którzy dokonali napadu na moje domostwo i mu zagrozili.

- Nic innego nie czynię, sir. Niestety, straciliśmy ślad, którym podążałem ja i moi ludzie. Czasami takie rzeczy się zdarzają.

- Być może jednak z tej przyczyny, iż podążał pan fałszywym tropem - zarzucił mu z goryczą sir Walter. - Wielokrotnie wskazywałem panu na poszlaki, na które natrafił mój siostrzeniec oraz ja, ale pan odrzucił wszelką pomoc. Tam, na zewnątrz - wskazał duże okno, które ukazywało widok na drugi brzeg rzeki - znajduje się niezbity, wypalony w ziemi dowód, że nasze przypuszczenia przez cały czas były słuszne. Napady, jakie miały miejsce w ostatnich tygodniach, są ze sobą powiązane, Dellard, czy to się panu podoba czy nie.

Inspektor skinął głową z namysłem, podszedł do okna i wyjrzał przez nie. Chociaż od napadu upłynął prawie cały tydzień, wciąż jeszcze dobrze było widać miejsce, w którym na trawie przybrzeżnej skarpy został wypalony znak. Łuk podobny do półksiężyca przecięty pionową kreską.

Scott stanął obok niego, z najwyższym tylko trudem panując nad wściekłością i rozczarowaniem.

- Moja małżonka od tamtej nocy nie może dojść do siebie, Dellard.

Gnębią ją koszmary, wciąż widzi zamaskowanych jeźdźców w czarnych pelerynach, którzy nastają na jej życie. Trzeba koniecznie położyć temu kres. Rozumie pan?

- Czegóż pan ode mnie oczekuje? Nie jestem przecież lekarzem.

Nie jestem w stanie przedsięwziąć niczego, co odegnałoby koszmary pańskiej małżonki.

- Nie, ale z pewnością może pan zlikwidować ich przyczynę.

Radził mi pan, abym pozostał w Abbotsford, ja zaś posłuchałem pańskiej rady, Dellard. A jednak sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, ponieważ dopiero wtedy skusiłem moich wrogów. Ta tchórzliwa banda zbójców napadła na mnie tutaj, w moich własnych murach. I nie ma nikogo, kto mógłby chronić moich bliskich.

- Zdaję sobie z tego sprawę, sir, i jest mi z tego powodu przykro.

Miałem...

- Prosiłem pana o to, by kilku pańskich ludzi odesłał pan do ochro-  
ny Abbotsford, jednak odmówił pan spełnienia tej prośby. Był pan do tego stopnia pewien siebie i swojej chybionej teorii, że stracił pan z oczu wszystko inne. O mały włos nie doszło do nieszczęścia.

Dellard naprężył się, a rysy jego twarzy wyostrzyły się. Ze stoickim pokojem, niczym posąg, wysłuchiwał zarzutów sir Waltera, nie pokazując po sobie żadnych emocji.

- Sir - odezwał się w końcu. - Ma pan pełne prawo być na mnie wściekły. Na pana miejscu pewnie uczyniłbym to samo i nie mogę

mieć panu za złe, jeśli wyśle pan kolejny list do Londynu ze skargą na mnie i na sposób sprawowania przeze mnie urzędu. Nie wątpię też w to, że pańskie słowa zyskają posłuch i że uwzględniając pana stanowisko jako przewodniczącego Sądu Najwyższego oraz pańskie znajomości na dworze, zostanie panu przyznana racja. Dlatego też wyprzedzę bieg zdarzeń i sam złożę rezygnację z urzędu inspektora prowadzącego dochodzenie. Od tej chwili za sprawy okręgu znów odpowiedzialny jest szeryf Slocombe.

- Do licha, cóż z pana za człowiek, Dellard? Czy tak pojmuje pan honor? Po prostu odejść, kiedy sprawy stają się skomplikowane?

- Nie, sir, wyszedłem jedynie z założenia, że będzie pan nalegał na moje odwołanie i uważałem to za wyraz honoru...

- Pański honor, bez obrazy, Dellard - wykrzyknął rozsierdzony sir Walter - ale nie miałbym nic przeciwko, gdyby dla odmiany posłużył się pan rozumem! Popełnił pan błąd, to nie ulega wątpliwości, lecz wciąż uważam pana za zdolnego śledczego, choć od dawna nie zgadzam się z pańskimi metodami. Nie chcę wcale, żeby pan odszedł. Żądam wręcz, żeby pan dalej prowadził dochodzenie. Chcę też, żeby pan schwytał tych ludzi, którzy kryją się za tchórzliwymi napaściami. Żeby postawił ich pan przed sądem. Wtedy moja żona znów będzie mogła spać spokojnie, a my wszyscy odetchniemy z ulgą. Oczekuję jednak, że w przyszłości będzie pan uwzględniał w śledztwie wszystkie poszlaki. Także ten zagadkowy znak widoczny po drugiej stronie.

Dellard odwrócił się i ponownie wyjrzał na zewnątrz.

- Nie chciałem dawać temu wiary - wyznał cicho. - Nie chciałem przyjąć do wiadomości, że pożar w bibliotece i znak miecza miały ze sobą coś wspólnego.

- Dlaczego nie? - zapytał sir Walter, zanim do głowy przyszło mu następne pytanie. - I w ogóle skąd pan zna znaczenie tego znaku? O ile sobie dobrze przypominam, nie wspomniałem o tym w pańskiej obecności.

- Skąd znam...? - Dellard zaczerwienił się, uświadamiając sobie, iż popełnił błąd, i dodał pośpiesznie: - To chyba powszechnie znana rzecz, nieprawdaż?

- Na dobrą sprawę nie - zaprzeczył ruchem głowy sir Walter.

- Ten znak liczy sobie setki, być może nawet tysiące lat. Poza Quentinem oraz mną znam w Kelso tylko jedną osobę, która wie, jakie jest jego znaczenie.

- I od tej właśnie osoby dowiedziałem się o tym - wtrącił pośpiesznie Dellard. - Mówi pan o opacie Andrew, prawda? Tak, wydaje się, iż mnisi chronią jakąś starą tajemnicę. Przynajmniej takie odniosłem wrażenie.

- A zatem zgromadził już pan informacje na temat tego znaku?

- Dlaczego? Przecież wcale nie doszedłem do przekonania, że istnieje jakikolwiek związek między napadem a tym znakiem.

- Ale przecież rozmawiał pan z opatem na ten temat.

- Owszem, rozmawiałem. Jak również o wielu innych sprawach.

Czy mam panu teraz zdawać relację, o czym i z kim rozmawiałem?

- Nie, inspektorze, ale żądam od pana szczerości. Dlaczego

wypytywał pan opata Andrew o znak runiczny? I co on panu powiedział?

- Powiedział mi, że jest to bardzo stary znak, który przed stekami lat mógł być stosowany przez pewną pogańską sektę.

- Przez sektę? - sir Walter spojrział badawczo na Dellarda. - Tak powiedział?

- Tak albo coś w tym sensie. Dokładnych słów już sobie nie przypominam. Poza tym nie odniosłem wrażenia, że ta sprawa jest ważna dla mojego dochodzenia.

- Cóż, inspektorze - rzekł sir Walter, akcentując każde słowo

- w międzyczasie zrozumiał pan jednak, że w tym względzie pomylił się pan. Ten runiczny znak, czy to się panu podoba czy też nie, jest powiązany z wydarzeniami w Kelso oraz z napaścią na mój dom. A zatem powinien pan skierować dochodzenie w tym kierunku.

- Tak uczynię, sir. Ale nie sądzę, że zaprowadzi nas to dalej. Nawet jeśli wyjdziemy z założenia, że w przypadku złoczyńców chodzi o przedstawicieli jakiejś sekty, wciąż nic nie wiemy o tej sekcie. Ci ludzie nie pozostawiają po sobie żadnych śladów, a tropy gubią się nocą w lesie. Można by niemal założyć, że mamy do czynienia z duchami istniejącymi na jawie.

Scott zauważył, jak Quentinem wstrząsnęły dreszcze. On sam jednak nawet nie mrugnął.

- Duchy - powiedział ze spokojem - nie jeżdżą na koniach, mój

drogi inspektorze. I sądząc po wszystkim, co się słyszy, powinni być całkowicie niewrażliwe na ołowiane kule. Człowiek, którego tamtej nocy w obronie koniecznej zastrzelił mój siostrzeniec, nie był duchem, lecz istotą z krwi i kości.

- Jego tożsamości wciąż jeszcze nie zdołaliśmy ustalić.

Rozpytywania w okolicy na razie nie przyniosły rezultatów - odparł Dellard. - Wydaje się, iż nikt nie zna tego człowieka. Jak gdyby był duchem z innego świata, który zszedł między nas.

- Albo też po prostu dotarł tutaj z innej okolicy - odparł sir Walter, który dostrzegł przerażenie na twarzy Quentina. - Byłbym panu wdzięczny, inspektorze, gdyby ograniczył pan dochodzenie tylko do świata realnego, tu i teraz. Wydaje mi się, że już dosyć pan się tym zajmował. Zbędne są więc nadprzyrodzone tłumaczenia, by sprawy te sprowadzić na ziemię.

- Tak? Tak pan sądzi? - Dellard zrobił krok do przodu i mówił teraz zachrypniętym szeptem. - Jeszcze przed paroma dniami powiedziałbym to samo. Ale im bardziej zagłębiam się w ten osobliwy przypadek, tym większe odnoszę wrażenie, że nie mamy do czynienia z prostymi przyziemnymi sprawami.

- Co chce pan przez to powiedzieć, inspektorze? - zapytał Quentin, który nie mógł już dłużej powstrzymać się od zabrania głosu.

- Cóż, tajemnicze znaki runiczne, które płoną w nocy, pogańskie sekretne bractwa, które celebrują prastare rytuały. Zamaskowani jeźdźcy, których ślady znikają nie wiadomo gdzie i których nie można

nigdzie wytropić. Nie wiem, jak pan to postrzega, paniczu Quentinie, ale w moich oczach wszystko to jest bardzo osobliwe.

Sir Walter nie okazał jednak żadnego ożywienia. Zamiast tego spoglądał na inspektora badawczym wzrokiem, chcąc dostrzec, co kryło się za ostrymi rysami bladej twarzy Anglika.

- Co jeszcze pan wie? - zapytał spokojnie. - Co jeszcze wyjawiał panu opat Andrew?

- Co pan ma na myśli?

- Mam przeczucie, że pan coś przed nami ukrywa, inspektorze. Że nie mówi nam pan całej prawdy. Już od dłuższego czasu nie mogę oprzeć się wrażeniu, że wie pan więcej, niż ma pan ochotę nam wyjawić. Chciałbym też pana prosić, żeby pan skończył z tą całą tajemniczością. Po tym wszystkim, co się wydarzyło, mój siostrzeniec i ja mamy chyba prawo usłyszeć prawdę.

Quentin przytaknął z aprobatą, chociaż nie do końca był pewien, czy rzeczywiście chciałby usłyszeć te słowa. Być może lepiej byłoby, gdyby niektóre rzeczy pozostały zatajone, a część prawdy nie została wypowiedziana na głos.

Charles Dellard nie odpowiedział od razu. Przez chwilę, która Quentinowi wydawała się wiecznością, wytrzymał badawcze spojrzenie sir Waltera.

- Żałuję, Sir - odezwał się w końcu - że na skutek błędu, który popełniłem w przeszłości, utraciłem pańskie zaufanie. Jeśli takie jest pańskie życzenie, będę dalej prowadził tę sprawę i uczynię wszystko,



by to utracone zaufanie odzyskać. Jest to jednak jedyna część pańskiej prośby, którą będę w stanie spełnić. Pan, Sir, musi nauczyć się, jak ponownie obdarza się zaufaniem, w przeciwnym razie zostanie pan wydany na pastwę nieufności i podejrzeń o złe intencje. Co oczywiste, nie jestem w stanie przymusić pana do tego i ma pan wolną rękę w kierowaniu swych myśli ku tej sprawie, ku związanym z nią wydarzeniom. Jednak muszę pana ostrzec. Jeśli ponownie zamierza się pan zająć tymi sprawami, straci pan wszystko.

- Czy to jest groźba? - zapytał sir Walter.

- Oczywiście nie, Sir. To tylko prosty wniosek. Jeśli nie porzuci pan tych spraw, już wkrótce nie będzie pan w stanie myśleć o niczym innym. Ucierpi na tym pańska pisarska praca, a także pańska rodzina. Myśl, że jest pan śledzony, będzie pana gnębić przez cały dzień i będzie pana nawiedzać nocą w snach. Będzie to pierwsza myśl, z jaką będzie pan wstawał rano, kiedy zbudzi się pan z niespokojnego snu, i ostatnia, zanim uda się pan na nocny spoczynek. Niech mi pan wierzy, Sir, wiem, o czym mówię.

Spojrzenia, które inspektor posłał sir Walterowi, nie dało się zinterpretować. Jednak po raz pierwszy Quentin doznał uczucia, że jego wuj nie był jedyną osobą w pokoju, która dźwigała na barkach ciężkie brzemie.

- Niech pan da sobie z tym spokój, Sir - podjął Dellard cichym głosem, niemal zaklinając rozmówcę. - Nie jestem w stanie zmusić pana do tego, by po raz kolejny obdarzył mnie pan zaufaniem. Ale

w interesie pańskiej rodziny oraz wszystkich tych, których dobro leży panu na sercu, powinien pan to zrobić. To jest moja szczerza i dobra rada, której panu udzielam. A teraz, proszę, wybaczcie mi, moi panowie. Wzywają mnie obowiązki.

Wojskowym sznytem Dellard stuknął obcasami, uklonił się nisko, potem wyprostował się i opuścił pokój. Jeden ze służących, którzy czekali na zewnątrz, wyprowadził go z domostwa.

W gabinecie przez chwilę panowało milczenie. Quentin, na którym słowa inspektora zrobiły duże wrażenie, poczuł, że powinien coś powiedzieć, jednak nie znajdował właściwych słów. Doznał ulgi, gdy w końcu jego wuj przerwał milczenie.

- Osobliwy człowiek, ten inspektor - wymruczał z namysłem sir

Walter. - Mimo tego, iż bardzo się staram, zupełnie nie jestem w stanie go rozgryźć.

- Jest Anglikiem - skomentował niezbyt przemyślanie Quentin, jakby to miało wszystko wyjaśniać.

- To prawda, jest Anglikiem - potwierdził sir Walter, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. - I być może ten fakt wyjaśnia niektóre z jego przymiotów, ale z pewnością nie wszystkie. W każdym razie kiedy go spotykamy, zawsze zaskakuje nas czymś nowym.

- Co masz na myśli, wuju?

- A choćby i to, że nieco się odkrył, wykazując, że nie jest niezapisaną kartką. Także Dellard zdaje się być gnębiony przez demony, co niejedno może wyjaśniać.

- Demony? - zapytał Quentin wyraźnie przestraszony.

- W przerośni, mój chłopcze. Tylko w przerośni. Jego ostrzeżenie w stosunku do mnie było jednak szczere i poważne. W każdym razie tak je potraktuję.

- A zatem zastosujesz się do jego rady?

- Tego nie powiedziałem, drogi siostrzeńcze.

- Ale chyba nie sądzisz, że Dellard ma rację?

- Gzy w to wierzę, mój chłopcze? Wierzę w to, ponieważ doświadczam tego każdego dnia. Z pewnością prawdą jest, że śmierć Jonathana oraz późniejsze wydarzenia zajmują moje myśli, a także moje sny. A rankiem, kiedy się budzę, są pierwszą rzeczą, która przychodzi mi na myśl.

- Czy zatem nie byłoby lepiej zapomnieć o tej sprawie?

- Tego nie mogę uczynić, Quentinie. Być może gdyby upłynęło jeszcze kilka dni, byłbym na to gotów, lecz jeszcze nie teraz.

Szczególnie nie po tym, jak ci ludzie napadli na moją posiadłość. Tym sposobem przekroczyli granice, których przekroczyć nie powinni.

-A zatem... zatem nie pozostawimy sprawy inspektorowi?

- Wręcz przeciwnie. Dellard uczyni to, co uzna za właściwe, lecz my również będziemy dalej prowadzili nasze własne dochodzenie.

- Gdzie, wuju?

- Tam, gdzie już dwa razy zasięgaliśmy informacji i gdzie za każdym razem nam jej odmówiono, w klasztorze w Kelso. Wydaje się, że opat Andrew był bardziej rozmowny w stosunku do inspektora niż wtedy, gdy rozmawiał z nami. Tak jak wcześniej, wciąż jestem

przekonany, że on doskonale wie, z czym wiąże się ten runiczny znak.

Dellard wspominał coś o jakiejś sekcie, być może to właśnie kryje się za tym wszystkim. Lecz ja muszę mieć pewność.

- Rozumiem, wuju - odparł ze zwłoką Quentin i przez moment siostrzeńca sir Waltera nawiedziła przerażająca myśl.

A co jeśli już wszystko się zaczęło? Jeśli słowa Dellarda już się sprawdziły? Jeśli nieufność i podejrzenie o złe intencje już doszły do głosu i trawią duszę sir Waltera? Jeśli dopadła go mania prześladowcza? Bądź co bądź pan Abbotsford był bliski tego, by wyruszyć w pościg za jakąś złowieszcą sektą. Czy było to normalne w przypadku człowieka, którego namiętnością jest nauka i którego największym powodem do dumy są własny rozsądek oraz racje rozumu?

Niemal natychmiast Quentin odrzucił od siebie te myśli. Co oczywiste, śmierć Jonathana do głębi wstrząsnęła jego wujem, ale nie oznaczało to wcale, iż nie wiedział, co czyni. Już chwilę później Quentin zawstydził się tych myśli i miał poczucie, że powinien w jakiś sposób za to zadośćuczynić.

- Jak mogę ci dopomóc, wuju? - zapytał.

- Jadąc ze mną do Kelso, siostrzeńcze.

- Do Kelso?

Sir Walter skinął głową, przytakując.

- Napiszę list do opata Andrew, w którym poproszę go, żeby pozwolił ci studiować księgi, które zostały uratowane z biblioteki.

Powiadomię go również, że jesteś teraz następcą Jonathana i że teraz ty

będziesz zbierał dla mnie fakty historyczne niezbędne przy pisaniu  
mojej nowej powieści.

- Zamierzasz pisać nową powieść, wuju? Czy ukończyłeś już  
poprzednią?

- W żadnym razie, to tylko pretekst. Podstęp, do którego muszę  
się uciec, ponieważ obawiam się, że odmawia nam się dostępu do  
prawdy. W rzeczywistości wykorzystasz tę sposobność, by rozejrzeć się  
w księgozbiorze opata Andrew za dalszymi poszlakami, mój chłopcze.  
Za wskazówkami związanymi ze znakiem miecza oraz zagadkową  
sektą, o której wspomniał Dellard.

Quentin stał przez chwilę z rozdziawionymi ze zdziwienia ustami.

- Czy mam szpiegować, wuju? W klasztorze?

- Tylko po to, aby odrobinę wyrównać szanse - podkreślił  
dyplomatycznie sir Walter. - Opat Andrew oraz inspektor Dellard nie  
grają z nami w otwarte karty. Nie powinni zatem oczekiwać, że tak po  
prostu to zaaprobujemy. Najwyraźniej kryją przed nami jakąś  
tajemnicę. Sądząc po tym, co się wydarzyło, jestem zdania, że powinni  
podzielić się z nami swoją wiedzą. W końcu to nie ich życie jest  
zagrożone, lecz nasze. Poza tym gra nie toczy się o ich posiadłość, lecz  
o mój dom. Uczynię zatem wszystko, co będzie konieczne, by je  
chronić. Czy do-pomożesz mi w tym dziele?

Quentin nie potrzebował ani chwili do zastanowienia - nawet jeśli  
myśl, że będzie działał jako szpieg wśród zakonnych braci w Kelso,  
niespecjalnie go zachwycała.

- Oczywiście, wuju - zapewnił. - Możesz całkowicie na mnie polegać.

- Bardzo dobrze, mój chłopcze - zaaprobował z uśmiechem sir

Walter. - Opat Andrew oraz inspektor Dellard powinni wiedzieć, że  
prawdy nie można ukrywać bez końca. Wcześniej czy później i tak  
wyjdzie na światło dzienne.

Z cichym plaskaniem kopyta koni odrywały się od powierzchni mokradła, które przecinało wąską drogę. Koła powozu toczyły się z mozołem po miękkiej i grząskiej nawierzchni.

Zaczęło padać, jednak Malcolm Ruthven nie zamierzał z tego powodu zrezygnować z przejażdżki wraz z narzeczoną po swoich włościach, które teraz rozciągały się pod grubą warstwą szarych deszczowych chmur.

Poprzez zasłonę mlecznej mgły Mary Egton widziała bladozielone wzgórza, pomiędzy którymi prowadziła droga. Na łąkach zazwyczaj pasły się owce, ale z powodu surowej pogody schroniły się w kotlinie i zbiły w gęste stado.

Podczas jazdy żadne z nich prawie się nie odzywało. Mary spoglądała przez boczne okno powozu i udawała, że podziwia dalekie krajobrazy. W rzeczywistości chodziło jej jednak o to, by nie dać Malcolmowi pretekstu do rozmowy.

Ich pierwsze spotkanie w sali jadalnej podczas śniadania nie miało w żadnej mierze spokojnego charakteru. Choć Mary powzięła silne postanowienie, by potraktować swego narzeczonego bez żadnych uprzedzeń i rozpocząć nowy etap życia ufnie i z optymizmem, nie była jednak w stanie zapanować nad sobą, gdy rzeczy, w które głęboko wierzyła, ktoś lekkomyślnie podawał w wątpliwość. Jej zainteresowanie historią i literaturą, jej sympatia do rzeczy prostych i szlachetnych, jej wyraziście uformowane poczucie sprawiedliwości -

wszystko to było najwyraźniej czymś niepożądanym na zamku Ruthven.

Ani jej przyszły małżonek, ani jego matka niespecjalnie cenili przymioty i wartości, do których Mary przywiązywała największą wagę i z których była dumna. Tym, czego oni chcieli, nie była niezależna i samodzielna osobowość, lecz istota bezwolna, pozbawiona ikry, która stosowała się do etykiety i którą można prowadzić na sznurku niczym owce, które pasły się na pastwiskach.

Choć Mary bardzo żałowała tego, co się wydarzyło, wcale nie było jej przykro z powodu wyrażenia sprzeciwu. Właściwie po śniadaniu chciała wrócić do swojego pokoju i przez chwilę побыć w samotności, jednak Eleonorę uparła się, by towarzyszyła Malcolmowi w trakcie inspekcji. Być może oboje sądzili, że Mary okaże więcej przychylności wobec przyszłego małżonka, jeśli zobaczy, jak wielkie są jego włości. W oczach Mary to również było zniewagą.

Być może istniały szlacheckie córki, które w ten sposób myślały i dla których szczęście w życiu polegało na wyjściu za mąż za bogatego właściciela ziemskiego, będącego w stanie spełniać ich wszelkie materialne zachcianki.

Mary była jednak inna i chociaż starała nie przyznawać się do tego przed samą sobą, nic z tego nie wychodziło. W głębi duszy żywiła wszak nadzieję, że Malcolm Ruthven będzie mężczyzną jej marzeń, równoprawnym partnerem, który będzie ją traktował z szacunkiem i respektem, który będzie dzielił jej marzenia i tęsknoty i z którym będzie mogła rozmawiać o ważnych dla niej sprawach.



Prawda jednak wyglądała inaczej, była gorzka i smutna, jak pogoda na tym spłachciu ziemi. Malcolm Ruthven był arystokratą o lodowatym sercu, który swój stan i swoje włości zdawał się cenić ponad wszystko. Było mu też zupełnie obojętne, czym interesowała się jego przyszła małżonka.

- Zatem, moja droga - odezwał się z nienaganną, lecz pełną dystansu gracją. - Cóż powiesz? Czy podobają ci się moje włości? Wszystko to należy do mojej rodziny, Mary. Od tego miejsca aż tam, do Bogniebrae, oraz w drugą stronę aż po Drumblair.

- Krajobraz jest przepiękny - odparła Mary cichym głosem. - Gdyby jeszcze nie był taki smutny.

- Smutny? - lord uniósł wąskie brwi. - Jakimż to sposobem krajobraz może być smutny? Są tu tylko wzgórza, drzewa i łąki.

-A jednak okolica ta emanuje takim właśnie uczuciem. Czy nie wyczuwasz tego, Malcolmie? Ta kraina jest stara, bardzo stara, bardzo wiele widziała i przeżyła. I jest pogrążona w żałobie.

- Po czym ta żałoba? - zapytał lord nieco rozbawiony.

- Po ludziach - odpowiedziała cicho Mary. - Czyż tego nie dostrzegasz? Na twojej ziemi nie ma w ogóle ludzi. Jest tu pusto i ponuro.

- Ale tak jest dobrze. Dużo trudu kosztowało nas pozbycie się plebsu z naszych ziem. Widzisz tam owce, Mary? To przyszłość naszej ziemi. Kto nie chce tego dostrzec, zamyka się na postęp i szkodzi nam wszystkim.

Mary nic na to nie odpowiedziała. Nie chciała od nowa powracać do tej nieszczęsnej dyskusji. Zamiast tego wyglądała przez okno i ku swej radości wśród szarzielonych wzgórz dostrzegła kilka dachów, z których kominów snuły się ku niebu smużki dymu.

- Tam, po drugiej stronie! - powiedziała. - Co tam jest?

- Cruchie - odparł Malcolm tonem, jak gdyby odkrył na twarzy ropnego czyraka. - Bezużyteczna kupa kamieni.

- Czy możemy tam pojechać? - poprosiła Mary.

- Ale dlaczego? Tam nie ma nic do oglądania.

- Proszę cię. Chętnie zobaczę, jak żyją tutejsi ludzie.

- No dobrze - najwyraźniej lord nie był zachwycony tą perspektywą. - Jeśli tak bardzo nalegasz, niech twoje życzenie zostanie spełnione, droga Mary.

Srebrną rękojęścią laski, która stanowiła symbol jego szlacheckiej godności, uderzył dwa razy w dach powozu, dając tym samym znak stangretowi, żeby przy następnym skrzyżowaniu skręcił.

Zaprzęg powoli przemieszczał się łagodnie wznoszącą się drogą.

Im bliżej powóz znajdował się wioski, tym wyraźniej poprzez zasłonę deszczu widać było szczegóły.

Były to proste domy wzniesione z naturalnego kamienia, które

Mary знаła już z siół i osad, przez jakie przejeżdżała w trakcie podróży

tutaj. Dachów domów nie kryto jednak dachówkami z gliny, lecz

słomianymi strzechami, w oknach zaś nie było szyb. Przed domami

wisiałły łachmany ze skóry i wełny, a nieczystości, które leżały

rozrzuczone na drodze, wskazywały, że tutejsi mieszkańcy z pewnością nie żyli w dobrobycie.

- Chciałem ci oszczędzić tego widoku - oznajmił lekceważącym tonem Malcolm. - Ci ludzie żyją jak szczury, we własnych odchodach, a ich domostwa to parszywe rudery. Ale wkrótce położę kres temu stanowi rzeczy.

- Cóż zamierzasz uczynić? - zapytała Mary.

- Zatoszczę się o to, żeby ta przeklęta dziura zniknęła z mapy Szkocji. Już za parę lat nikt nie będzie wiedział, że kiedyś się tu znajdowała. Nie zostanie tu kamień na kamieniu, a wszędzie będą pasły się owce, tu, gdzie teraz chłopci czynszowi wciąż uprawiają moją ziemię.

- Czy zatem chciałbyś również wysiedlić tę wioskę?

-Właśnie tak, moja kochana. Dopiero kiedy zobaczysz te żalosne kreatury, które zamieszkują w tych chatach, zapewne zgodzisz się ze mną, że jest to najlepsze, co może je spotkać.

Powóz zbliżył się do chałup i dopiero teraz Mary dostrzegła postacie, które siedziały w kucki w wejściach do domostw. „Obdarte” - to wyrażenie nie oddawało wszystkiego. Mieszkańcy Cruchie nosili na sobie łachmany, strzępy odzieży z lnu i wełny, które były już całkowicie wyblakłe i lepiły się od brudu. Ich twarze były wychudzone, a skóra blada i pełna plam z niedostatku, który cierpieli. Mary nie mogła dostrzec ich oczu, bowiem z chwilą gdy powóz zbliżył się, ludzie spuszczaali wzrok bez względu na to, czy byli to mężczyźni,

kobiety czy też dzieci.

- Ci ludzie głodują - stwierdziła Mary, gdy już przejechali obok nich.

Bieda tych ludzi sprawiła, że poczuła na plecach dreszcze.

- Tak właśnie jest - zgodził się ochoczo Malcolm. - I głodują z powodu własnej głupoty i braku rozsądku. Już wielokrotnie oferowałem im wysiedlenie na wybrzeże, lecz oni nie chcą się stąd ruszyć. Ponad to tym leniom zupełnie wystarczy to, co rodzi ziemia, chociaż nie są w stanie zapełnić tym brzuchów ani też opłacić należnej mi dzierżawy. Czy teraz rozumiesz, o czym przez cały czas próbowałem ci powiedzieć? Tych ludzi nie może spotkać nic lepszego niż wyruszenie do nowej ojczyzny i znalezienie tam pracy. Jednak oni niestety nie chcą tego zrozumieć.

Mary nie odpowiedziała na te słowa. Powóz mijał teraz jedną z chat, której dach był w połowie zawalony. W wejściu stała dwójka dzieci, chłopiec i mała dziewczynka, ich włosy były splątane i zabrudzone, maluchy miały na sobie brudne, dziurawe łachmany.

W chwili kiedy zaprzęg przejeżdżał obok nich, chłopiec podniósł wzrok, chociaż dziewczynka ciągnęła go mocno za rękaw i dawała znać, żeby znów opuścił oczy. Zamiast tego na jego twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech, który rozjaśnił nieco bladą buzię, gdy spojrzał na Mary, a potem podniósł małą dłoń i pomachał do niej.

Dziewczynka przeraziła się tym bardzo i wbiegła do wnętrza chałupy. Jednak Mary, w oczach której chłopiec wydał się całkiem

uroczy, odwzajemniła uśmiech i pomachała w jego stronę.

Dziewczynka

ponownie wyszła na próg, tym razem z matką. Mary dostrzegła przerażenie na jej twarzy. Kobieta krzyknęła coś do chłopca i chwyciła go, chcąc odciągnąć z drogi, gdy dostrzegła damę w powozie, ale Mary uśmiechnęła się przyjaźnie i również pomachała do niej. Zdumiona puściła dziecko, po chwili jej gniew zniknął, a na wychudzonej twarzy pojawił się cień uśmiechu. Przez moment wydawało się, jak gdyby promień słońca przebił się przez grubą warstwę chmur i wniósł odrobinę światła w ponurą i beznadziejną egzystencję tych ludzi. Potem powóz przejechał, a Malcolm, który wyglądał z drugiej strony, dostrzegł, czego Mary się dopuściła.

- Cóż ci przyszło do głowy? - naskoczył na nią. - Co robisz?

Mary wzruszyła ramionami.

- Cóż... ja po prostu pomachałam tym dzieciom, które stały tam, przy skraju drogi...

- To ci przecież nie przystoi! - darł się na nią Malcolm. - Jak w ogóle śmiałaś w ten sposób mnie poniżyć?

- Poniżyć cię? Co chcesz przez to powiedzieć?

- Czy wciąż jeszcze nie jesteś w stanie tego pojąć, Mary? Jesteś przyszłą małżonką lorda Ruthvena i biorąc to pod uwagę, ci ludzie powinni szanować ciebie oraz czuć przed tobą lęk.

- Drogi Malcolmie - odparła Mary z pewnym siebie uśmiechem.

- Ci ludzie będą mnie respektować, nawet jeśli pošlę im uśmiech albo

pomacham dzieciom, przejeżdżając obok powozem. Jeśli natomiast przez „czuć przede mną lęk” rozumiesz, że ci ludzie powinni w przeobrażeniu uciekać z drogi, gdy tylko się zbliżam, to muszę ci oznajmić z całą stanowczością, że coś takiego odrzucam.

-Co... co robisz?

- Odrzucam to i nie mam zamiaru przed tymi ludźmi odgrywać roli wielkiej pani - oświadczyła Mary. - Jestem obca w tym kraju i żywię nadzieję, że Ruthven będzie moją nową ojczyzną. Jednak stanie się tak wyłącznie pod warunkiem, że będę mogła żyć w zgodzie i harmonii z tą krainą oraz z jej mieszkańcami.

- To się nigdy nie stanie - zaprzeczył zdecydowanie Malcolm.

- Nie daję wprost wiary słowom, które tu padają, droga Mary! Chcesz żyć z nimi w harmonii? Z tym plugawym plebsem? Oni są bardziej podobni do zwierząt niż do ciebie i do mnie. Nie oddychają tym samym powietrzem co my. Dlatego też będą się ciebie lękać i darzyć cię respektem, tak jak czynili to od dawien dawna, odkąd przed ponad ośmiuset laty klan Ruthven objął w posiadanie te ziemie.

- Twoi przodkowie wzięli zatem w posiadanie tę krainę, drogi Malcolmie?

- Dokładnie tak.

- Jakim prawem?

- Takim prawem, że tak właśnie zrządził los - odparł lord bez chwili zwłoki. - Przynależność do klanu Ruthvenów to nie tylko łaska, Mary. To także przywilej. Historia naszego rodu sięga aż po czasy

Roberta Bruce'a i bitwy pod Bannockburn, gdzie nasz kraj wywalczył wolność. Jesteśmy więc stworzeni do władzy i rządzenia, moja kochana. Im wcześniej to pojmiesz, tym lepiej.

- Posłuchaj - odparła Mary łagodnie. - Tym się różnimy. Jestem bardziej przekonana, że wszyscy ludzie są z natury równi i że Bóg tylko po to nielicznych spośród nich odpowiednio wyposażył do sprawowania władzy i posiadania bogactwa, by pomagali słabszym i chronili ich.

Malcolm wbił w nią spojrzenie i przez moment wydawało się, że nie bardzo wie, czy ma się śmiać czy też wybuchnąć szlochem.

- Skąd ci przychodzą do głowy takie pomysły? - zapytał w końcu.

- Z pewnej książki - odparła szczerze Mary. - Wyszła spod pióra pewnego Amerykanina. Przedstawia w niej tezę, że wszyscy ludzie są z urodzenia równi, posiadają te same wartości oraz tę samą godność.

- Ha! - lord zdecydował się na śmiech, chociaż nie zabrzmiało to zbyt szczerze. - Amerykanin! Ależ proszę cię, droga Mary! Każdy wie, że koloniści to pomyleńcy. Imperium dobrze uczyniło, że pozwoliło im wyjechać, żeby gdzie indziej urzeczywistniali swoje błędne idee.

Wkrótce sami się przekonają, jak daleko zajdą, ale ciebie, moja kochana, uważałem za mądrzejszą. Być może nie powinnaś tak często wtykać nosa między stronice książek. Taka piękna kobieta jak ty...

- Cóż ma z tym wspólnego mój wygląd, byłbyś łaskaw zdradzić mi to, proszę? - zareagowała hardym pytaniem Mary. - Czy chciałbyś zakazać mi lektury książek i woluminów, mój kochany Malcolmie?

Chciałbyś uczynić ze mnie pozbawioną życia arystokratkę, która nie

potrafi rozmawiać o niczym innym poza dworskimi plotkami i nowymi sukniami?

W jej oczach błyskały ogniki irytacji, a Malcolm Ruthven najwyraźniej doszedł do wniosku, że nie ma sensu prowadzić dalej sporu. Zamiast tego pochylił się i ponownie zastukał w dach powozu, dając znak woźnicy.

Mary wyglądała przez okno i patrzyła na drzewa oraz szare wzgórza, które właśnie mijali. Nie wiedziała przy tym, co bardziej ją rozdrażniło - to, że jej przyszły małżonek zdradził się z poglądami, które ona uznawała za przestarzałe i niesprawiedliwe, czy też to, że po raz kolejny nie zdołała nad sobą zapanować i pozwoliła, by górę wziął jej temperament.

Zostawili za sobą wzgórze z siołem Cruchie i drzewa wzdłuż drogi rosły teraz coraz gęściej. Jeszcze mniej światła wpadało do karety, a Mary doznała uczucia, że ponure cienie docierają wprost do jej serca. Ta ziemia nie emanowała ciepłem, jeszcze mniej tego ciepła było w ludziach, którzy byli właścicielami tej ziemi. Malcolm siedział obok niej nieruchomo, a jego blade oblicze zamieniło się w kamienną maskę.

Wbrew sobie Mary zastanawiała się, czy powinna przeprosić go, kiedy nagle lord polecił woźnicy zatrzymać powóz.

Pośrodku lasu, który rósł teraz po obu stronach drogi, karoca zatrzymała się.

- Jak się czujesz, moja kochana? - zapytał Malcolm teraz ponownie opanowany i niedostępny jak zwykle. - Czy nie chciałabyś się przejść?



- Chętnie - odparła Mary, uśmiechając się niezdecydowanie, chcąc upewnić się, czy wciąż jest na nią zły, lecz on nie odwzajemnił jej uśmiechu.

Odczekali, aż stangret zsiadł z kozła, otworzył drzwi i rozłożył schodki. Potem wysiedli. Mary zauważyła, jak jej stopy zanurzyły się nieco w miękkiej ziemi. Zarazem korzenny i zbutwiały zapach lasu uderzył w jej nozdrza.

- Przejdziemy się trochę. Poczekaj na nas tutaj - Malcolm wydał polecenie stangretowi.

Potem poszedł z Mary wąską ścieżką, która wiła się między wysokimi jodłami i dębami i prowadziła w głąb ciemnozielonej gęstwiny.

- To wszystko należy do mnie - podjął rozmowę. - Las Ruthven ciągnie się stąd aż do rzeki. Żaden inny właściciel ziemski na północy nie może nazwać tak wielkiej leśnej połaci swoją własnością.

Mary nie odezwała się i przez chwilę szli obok siebie w milczeniu.

- Dlaczego mi to mówisz, Malcolmie? - zapytała w końcu Mary.

- Czy obawiasz się, że nie darzyłabym cię szacunkiem, gdybyś miał mniejszą władzę i posiadał mniejsze włości?

- Nie - lord zatrzymał się i spojrzał na nią przenikliwym wzrokiem.

- Mówię to po to, byś zechciała docenić, jaki przywilej i jaka władza stanie się twoim udziałem bez kiwnięcia ręką z twojej strony.

- Bez kiwnięcia ręką? Ależ ja...

- Nie jestem głupi, Mary. Widzę przecież, że nie godzisz się z

ustaleniami naszych rodziców. Widzę, że wolałabyś pozostać w Anglii, niż przyjeżdżać tu, daleko na północ, i wyjść za mężczyznę, którego nigdy w życiu nie widziałaś.

Mary nie odpowiedziała. Cóż bowiem miała odpowiedzieć?

Każdy sprzeciw byłby przecież hipokryzją.

- Rozumiem cię dobrze - zapewnił Malcolm - ponieważ w moim przypadku jest zupełnie tak samo. Czy naprawdę sądzisz, iż podoba mi się pomysł poślubienia kobiety, której ani nie znam, ani nie kocham?

Której nie widziałem nigdy wcześniej i którą wyszukała dla mnie matka, jak gdyby była jakimś towarem na targu?

Mary opuściła wzrok ku ziemi. Malcolm z pewnością musiał zdawać sobie sprawę z tego, że bardzo ją zranił, lecz wcale się tym nie przejmował.

- Nie, Mary - podjął rozmowę ostrym tonem. - Całą tą umową jestem równie mało zachwycony jak ty. Nakłada na mnie więzy, które ograniczają moją swobodę, i obciąża mnie zobowiązaniami, które nie są mi potrzebne. Zanim więc zaczniesz się użalać nad sobą, pomyśl o tym, że nie jesteś jedyną osobą, która cierpi w rezultacie tej ugody.

- Rozumiem - odparła Mary z ociąganiem. - Ale zdradź mi jedno, Malcolmie. Jeśli tak bardzo nie w smak była ci ta ugoda i w duchu mierzi cię, jeśli nie jesteś w stanie wyobrazić sobie, bym w twoim życiu pełniła funkcję czegoś więcej niż tylko towaru, który ktoś dla ciebie wyszukał, dlaczego nie sprzeciwiłaś się zamiarom twojej matki?

- Takie rozwiązanie zapewne by ci odpowiadało, nieprawdaż?

- uśmiech na jego twarzy był cyniczny i złośliwy. - Wtedy byłabyś wolna i mogłabyś wrócić do Anglii, nie tracąc przy tym twarzy. Ponieważ jedynym winnym byłbym ja, mam rację?

- Ależ nie - zapewniła Mary. - Źle mnie zrozumiałeś. Chciałam jedynie powiedzieć, że...

- Czy sądzisz, że jesteś jedynym więźniem zamku Ruthven? Czy naprawdę sądzisz, że jestem wolny?

- Jak to? Przecież jesteś lordem, czyż nie?

- Z łaski mojej matki - odparł Malcolm głosem, z którego bił głęboki sarkazm. - Powinnaś wiedzieć, Mary, że nie jestem legalnym potomkiem rodu Ruthvenem. Moja matka wniosła mnie do małżeństwa, które zawarła z lordem Ruthvenem, moim szacownym ojczymem. Jego syn z prawego łóża zginął w tajemniczym wypadku podczas polowania. Zabłąkana kula trafiła go i pozbawiła życia. Zatem zostałem lordem, kiedy mój ojczym opuścił ziemski padół. Póki jednak moja matka wciąż chodzi po tej ziemi, mogę jedynie tym wszystkim zarządzać. To ona jest prawowitą właścicielką i panią Ruthven.

- Tego... nie wiedziałam - wyznała Mary cicho i nagle pojęła, dlaczego Eleonorę Ruthven zachowuje się w sposób tak wielkopański i jest tak zadufana w sobie.

- Teraz zatem wiesz. I jeśli czujesz jeszcze mniejszą skłonność do poślubienia mnie, nie mogę mieć ci tego za złe. Gdyby to zależało ode mnie, wsadziłbym cię w następny powóz i pozwolił ci odjechać jeszcze dzisiaj albo jutro. Nie mam jednak wyboru, droga Mary. Moja matka

wbiła sobie do głowy, że wyszuka mi żonę. Z jakiegoś powodu jest przekonana, że znalazła w tobie właściwą kandydatkę. Muszę się do tego dostosować, jeśli chcę dalej być lordem Ruthven i panem tych ziem. A ty, Mary, będziesz też postępować zgodnie z jej życzeniami, ponieważ nie pozwolę, żeby ktokolwiek inny odebrał mi to, co mi się należy zgodnie z prawem.

Las, który ich otaczał, pochłaniał jego słowa i sprawiał, że brzmiały dziwnie głucho. Mary stała bez ruchu naprzeciwko narzeczonego. Nie mogła uwierzyć, że on to wszystko rzeczywiście powiedział. Powoli, bardzo powoli do jej świadomości docierała świadomość, iż w rzeczy samej jest tylko i wyłącznie towarem na targowisku.

Jej rodzice odesłali krnąbrną córkę, nie chcąc mieć z nią w Egton więcej kłopotów; natomiast Eleonorę kupiła ją, żeby jej syn mógł pojąć żonę, a Ruthven otrzymało nowego dziedzica. Natomiast Malcolm traktował ją jak zło konieczne, by móc utrzymać swoją pozycję i swoje włości.

Mary usiłowała powstrzymać łzy rozczarowania, które płynęły z głębi jej duszy, jednak nie zdołała dłużej się pohamować.

- Oszczędź mi swoich łez - rzekł oschle Malcolm. - To jest handel z obustronnymi korzyściami. Postaraj się wyciągnąć z tego jak najwięcej, droga Mary. Otrzymasz dobre nazwisko i godną posiadłość.

Ale nie oczekuj ode mnie, że będę darzył cię miłością i szacunkiem, nawet jeśli zostanie na mnie wymuszona taka przysięga.

Potem odwrócił się i poszedł ścieżką z powrotem w stronę karocy.

Mary została sama ze swymi łzami. Nazywała samą siebie błaznem w spódnicy, bo miała się jakimiś złudzeniami.

Dni spędzone w Abbotsford oraz znajomość z sir Walterem Scottem przywróciły jej radość życia i pozwoliły mieć nadzieję, że przeznaczenie przyniesie jej coś więcej poza spełnianiem obowiązków i poddaniem się woli innych. Teraz jednak jasno pojęła, jak niedorzeczne i daremne były te nadzieje. Zamek Ruthven nigdy nie będzie jej ojczyzną, zaś jej przyszły małżonek nie robił żadnej tajemnicy z tego, że nie darzył szacunkiem ani nie czuł do niej sympatii.

Czekało ją zatem życie w samotności.

Mimowolnie jej myśli pobiegły ku ludziom, których widziała w wiosce Cruchie, i znów zobaczyła wyraz twarzy młodej matki.

Odczytała w niej strach i dokładnie to samo w tej chwili odczuwała.

Błady strach...

Gdy Mary powróciła na zamek Ruthven, Kitty nie było w jej komnacie. Wysłano ją do krawcowej w miejscowości Inverurie, żeby uzgodniła termin przymiarki dla Mary.

Fakt, że nie było służącej, którą traktowała bardziej jak przyjaciółkę niż pokojową, by ta pocieszyła ją swym pogodnym i beztroskim usposobieniem, wprowadził Mary w jeszcze większe przygnębienie.

Zmęczona opadła na łóżko, które stało przy frontowej ścianie komnaty. Nie zdołała stłumić żalu, bólu i rozczarowania i wybuchła

gorzkimi łzami, które spływały rzęsiście po jej policzkach i moczyły prześcieradło.

Mary nie była w stanie powiedzieć, jak długo leżała. Choć strumień łez wysechł, rozpacz nie zniknęła. Chociaż Malcolm przedstawił jej swój punkt widzenia bardzo dobitnie, jakaś cząstka jej duszy z jeszcze większą rozpaczą obstawała przy tym, że to już wszystko, co życie będzie miało jej do zaoferowania. Była młoda, piękna i inteligentna, interesowała się światem w jego całej przebogatej różnorodności - a teraz jej przeznaczeniem miała być dola niekochanej żony szkockiego lorda, życie spędzone na pozbawionym nadziei wypełnianiu obowiązków? W jej myśli wkradł się jakiś hałas. Ktoś stukał do drzwi komnaty, początkowo nieśmiało, a następnie nieco głośniej.

- Kitty? - zapytała półgłosem Mary, jednocześnie usiadła na łóżku i przetarła zaczerwienione oczy. - Czy to ty?

Nie uzyskała żadnej odpowiedzi.

- Kitty? - Mary ponowiła pytanie i podeszła do drzwi. - Kto tam? - chciała wiedzieć.

- Służąca - dobiegła cicha odpowiedź, a Mary odsunęła rygiel i otworzyła drzwi, które wcześniej zamknęła pogrążona w niedoli.

Przed progiem stała stara kobieta.

Nie była zanadto wysoka ani też mocnej budowy, jednak jej blada, zorana bruzdami twarz miała w sobie coś, co wzbudzało szacunek.

Długie włosy, które sięgały jej do ramion, miały kolor śnieżnej bieli i silnie kontrastowały z czarną jak smoła suknią. Mimo woli Mary

przywołała w myślach ciemną postać, którą przed przyjazdem chyba widziała na balkonie zamku Ruthven...

- Tak? - zapytała z wahaniem Mary.

Dokładała starań, by ukryć wylane przed chwilą łzy, ale drżący głos i zaczerwienione oczy zdradziły ją.

Stara kobieta rozejrzała się nerwowo po korytarzu, jak gdyby obawiała się, że ktoś mógłby za nią podążyć lub ją podsłuchiwać.

- Moje dziecko - odezwała się po chwili cicho. - Przyszłam tu, by cię ostrzec.

- By mnie ostrzec? Przed czym?

- Przed wszystkim - odparła kobieta, której akcent, typowy dla regionu Highlands, był szorstki i wyrazisty, a głos skrzypiał. - Przed tym domem oraz przed ludźmi, którzy w nim mieszkają. Przede wszystkim jednak przed tobą samą.

- Przede mną samą?

Stara kobieta mówiła zagadkami i Mary bliska już była

przekonania, że staruszcze pomieszało się w głowie. Jednak w jej oczach do-

strzegła coś, co zadawało kłam temu wrażeniu. Oczy te iskrzyły niczym szlachetne kamienie. Było w nich coś żywego, ostrzegającego, co nie mogło ujść uwadze Mary.

- Przeszłość i przyszłość jednoczą się - podjęła starucha. -

Teraźniejszość jest miejscem, w którym spotyka się jedno i drugie.

Dawno temu w tym miejscu rozegrały się potworne rzeczy i znów

będą się dziać. Historia powtarza się.

- Historia? Ale...

- Powinnaś opuścić to miejsce. Nie wyjdzie z tego nic dobrego, jeżeli tutaj pozostaniesz. To ponure i obłożone klątwą miejsce, które pograży w mroku i przygnębieniu twoje serce. Wciąż grasują tutaj duchy przeszłości. Nie pozwala im się spocząć, dlatego znów tu wrócą.

Zbliża się zawierucha, jakiej kraina Highlands jeszcze nigdy nie przeżyła. Jeśli ktoś tego żywiołu nie powstrzyma, pociągnie on dalej na południe i ogarnie cały kraj.

- O czym mówisz? - zapytała Mary.

Ton głosu staruchy oraz sposób, w jaki na nią spoglądała, sprawił, że po jej plecach przebiegły dreszcze. Mary słyszała o tym, że mieszkańcy regionu Highlands oddawali cześć dawnym tradycjom i że przeszłość w tym surowym kraju pod wieloma względami wciąż jeszcze była żywa. Celtyckie dziedzictwo ich przodków stworzyło podstawy do wiary w zabobony i przesady, którą ci ludzie wciąż pielęgnowali i przekazywali z pokolenia na pokolenie. To mogłoby niejedno wyjaśnić...

- Odejdź stąd - wyszeptała starucha, zaklinając ją. - Musisz stąd odejść, moje dziecko. Opuść to miejsce najszybciej jak się da. Zanim spotka cię ten sam los co...

Zająknęła się i przerwała.

- Taki sam los co kogo? - powtórzyła Mary. - O kim mówisz?

Stara kobieta ponownie rozejrzała się nerwowo.



- O nikim - dodała po chwili. - Muszę już iść. Przemyśl moje słowa.

Potem odwróciła się i pospiesznie podążyła w dół korytarza, po czym zniknęła za najbliższym zakrętem.

- Stój! Poczekaj! - zawołała Mary i wybiegła za nią.

Jednak kiedy dotarła do zakrętu, stara kobieta już zniknęła.

W zamyśleniu Mary wróciła do swojej komnaty. Od chwili jej wyjazdu z Egton wydarzyło się wiele osobliwych rzeczy. Spotkanie ze starym człowiekiem w Jedburghu, napaść na powóz i zawalenie się mostu, spotkanie z sir Walterem, przykra rozmowa z Malcolmem Ruthvenem...

Gdyby Mary wszystko to podsumowała, być może rzeczywiście wydawałoby się jej, że złowieszcze moce włączyły się do gry i skierowały jej życie na dziwne tory. Ale był to oczywiście nonsens.

Wprawdzie Mary bardzo podziwiała szacunek, jakim mieszkańcy Highlands darzyli swoją krainę i swoją historię, lecz wiedziała także, że był to jedynie zabobon, próba dodania sensu sprawom, które w sposób oczywisty takiego znaczenia nie posiadały.

Jakiż ukryty cel mogła mieć potworna śmierć Winstona na moście?

Jaki sens miało to, że ona tu, na końcu świata, miała usychać z żalu i poślubić człowieka, który jej nie kochał i który traktował ją jak obcą?

Mary potrząsnęła głową. Była romantyczką, która mocno wierzyła w to, że takie wartości jak honor, szlachetność i wierność istniały w przeszłości. Nie była jednak na tyle głupia, by dać wiarę opowieściom

o duchach i mrocznych klątwach. Zabobonna starucha mogła w to  
wierzyć, jednak ona nie.

Pozostawało tylko pytanie, rozważała Mary, dlaczego strach, który  
odczuwała w najgłębszych zakamarkach swojej duszy, nie zmniejszył  
się.

Quentin Hay nie czuł się komfortowo w sytuacji, w której miał okłamywać opata klasztoru. Na szczęście nie musiał czynić tego osobiście.

W napisanym przez siebie liście sir Walter prosił opata Andrew, by udzielił jego siostrzeńcowi dostępu do klasztornego podręcznego księgozbioru, gdyż potrzebne były pilne prace studyjne na temat historii opactwa w Dryburghu, na który to temat w Abbotsford nie było dostatecznych materiałów. Opat najwyraźniej ucieszony tym, że sir Walter zmienił zdanie i porzucił zamiar rozwiązania zagadki znaku miecza, zgodził się na to chętnie.

Teraz więc Quentin siedział w książnicy, niewielkim pobielonym wapnem pomieszczeniu, w którym znajdowało się tylko jedno okno wpuszczające do środka blade światło słońca. Wzdłuż ścian stały regały, na których ustawione były księgi - przede wszystkim pisma religijne, ale także odpisy kronik opactwa w Dryburghu, jak i rozprawy z dziedziny leczenia i zielarstwa, które przydawały się w codziennym zakonnym życiu. W tym podręcznym księgozborze znalazły również nowe miejsce nieliczne tomy, które zdołano uratować z pożaru. Z poczerniałych obwolut wciąż bił gorzki zapach sadzy i ognia.

Siostrzeniec sir Waltera siedział przy dużym, z grubsza tylko ociosanym stole do czytania, który stał pośrodku pomieszczenia. Quentin wertował klasztorną kronikę pochodzącą z czternastego

wieku. Tłumaczenie łaciny, którą zapisana była kronika, sprawiało mu nieco problemów. Był znacznie mniej biegły niż Jonathan w kwestii rozszyfrowywania i tłumaczenia starych dokumentów.

Co oczywiste, nie miał czasu przeczytać wszystkich klasztornych kronik, które w sumie zajmowały dwa rzędy regałów. Wuj wbił mu dokładnie do głowy, na co powinien zwracać uwagę - na wskazówki związane ze znakiem miecza, jak również na wszelkie powiązania z pogańską sektą.

Gdyby opat Andrew rzeczywiście wiedział więcej niż to, co wyjawiał, mogłoby to znaczyć, że zakonnicy zetknęli się już zarówno z runicznym znakiem, jak i sektą. Ponadto mogłoby to znaczyć, że gdzieś w starych dokumentach znajdują się świadczące o tym wzmianki. Wprawdzie Quentin obstawał przy tym, że mnisi nie byli na tyle naiwni, by pozostawić odpisy stosownych stron, jeśli nie życzyli sobie, aby ktoś dowiedział się o tym. Lecz sir Walter odparł na to, że należy doceniać siłę przypadku oraz że takie zrządzenie losu często przychodzi z pomocą tym, którzy są złąknieni wiedzy.

Tak czy owak próba nakłonienia sir Waltera do zmiany zdania nie miała żadnego sensu. Wobec tego Quentin dostosował się do jego woli i teraz siedział tu, przeglądając stronę po stronie, jednak żadna z poszukiwanych wskazówek nie rzuciła mu się w oczy.

Praca była zmudna i nużąca. Wkrótce Quentin nie bardzo wiedział, jak długo pogrążony był w lekturze kroniki. Tylko zmieniający się odcień słonecznego światła, które wpadało z zewnątrz,

podpowiadał mu, że musiało już upłynąć dobrych kilka godzin.

Od czasu do czasu zamykały mu się oczy, czemu nie był w stanie się przeciwstawić. Zapadał wtedy w krótkie, trwające zaledwie kilka minut drzemki. Znoje i trudy ostatnich nocy, w których na zmianę ze służącymi oraz zarządcą domu stał na straży posiadłości, dały o sobie znać właśnie teraz. I za każdym razem, kiedy sen zwyciężał nad Quentinem i kiedy młodzieniec pogrążał się w krainie między sennymi wizjami a jawą, jego myśli opuszczały bibliotekę i kierowały się ku północy, ku młodej damie nazwiskiem Mary Egton.

Jak jej się tam wiodło? Z pewnością zdążyła już poznać swojego przyszłego małżonka, bogatego lorda, który mógł jej zaoferować wszystko, co przystało damie jej stanu. Najprawdopodobniej Quentin nigdy więcej jej nie zobaczy - a przecież tak bardzo chciałby poznać ją bliżej, rozmawiać z nią oraz opowiadać jej o rzeczach, które znał nie tylko jego wuj. Był w stanie wyobrazić sobie, że zawierzyłby jej wszystko i jednocześnie dostrzegłby zrozumienie w jej łagodnych, przyjaźnie błyszczących oczach. Już samo wspomnienie jej urokliwego spojrzenia sprawiało, że przechodziły go miłe dreszcze.

Z każdym przebudzeniem następowało otrzeźwienie. Mary Egton była daleko i zapewne nigdy nie wróci. Quentin wbijał to sobie do głowy usilnie - tylko po to, by w trakcie następnej krótkotrwałej drzemki ponownie pogrążyć się w marzeniach.

I znów widział ją przed sobą, powabne rysy jej twarzy, otoczonej blond lokami. Obserwował ją, jak leżała na łożu i spała; anioł, który

zstąpił z niebios, by złożyć mu wizytę na ziemi. Tak bardzo żałował, że nigdy więcej nie zamieni z nią słowa, że nigdy nie wyzna, co do niej czuje...

Ciche głosy wyrwały Quentina ze snu.

Otworzył oczy i potrzebował chwili, by uprzytomnić sobie, że nie znajduje się w pokoju gościnnym w Abbotsford, lecz w podręcznej bibliotece opata Andrew. Przed nim natomiast nie znajdowała się najbardziej urokliwa istota, jaką kiedykolwiek widział, lecz liczący setki lat, oprawiony w świńską skórę manuskrypt.

Tylko głosy, które słyszał we śnie, były rzeczywiste. Dochodziły z niedaleka, z pracowni opata.

W pierwszej chwili te myśli nie zaabsorbowały Quentina. Często zdarzało się, że ktoś odwiedzał opata Andrew w jego pracowni.

Zazwyczaj byli to jego współpracownicy, którzy zakończyli pracę albo też zachodziła potrzeba podjęcia decyzji, która wymagała jego zgody.

Ponieważ mnisi prowadzący ascetyczny żywot uważali za zbędne długie konwersacje, zazwyczaj wymieniali tylko najbardziej potrzebne informacje, więc ich rozmowy były bardzo lakoniczne i krótkie.

Jednak nie tym razem.

Z jednej strony rozmowa ta trwała znacznie dłużej niż zwykle, z drugiej natomiast początkowo rozmawiano na głos aż do momentu, kiedy nagle rozmówcy ściszyli głosy. Zupełnie tak, jakby chodziło o tajemnicę, która nie powinna dotrzeć do niepożądanych uszu.

Quentin poczuł wzbierającą w nim ciekawość.

Rzucił ukradkowe spojrzenie w kierunku drzwi, które oddzielały podręczny księgozbiór od pracowni opata Andrew, a potem wstał.

Deski podłogi były już stare i zbutwiałe, zatem musiał stąpać ostrożnie, żeby się nie zdradzić, kiedy szedł przed siebie. Ostrożnie podkraśl się do drzwi i chociaż wiedział, że podsłuchiwanie cudzej rozmowy jest czymś, czego nie wypada czynić, pochylił się i przyłożył ucho do drewnianych drzwi, chcąc usłyszeć, o czym rozmawiano wewnątrz.

Rozróżnił głosy dwóch osób, oba były ściszone. Jeden z głosów należał bez cienia wątpliwości do opata Andrew, drugiego natomiast Quentin nie potrafił przypisać do konkretnej osoby. Niewykluczone, że należał do jednego z mnichów zakonnego zgromadzenia. Quentin nie znał zakonnych braci dostatecznie dobrze, żeby rozstrzygnąć tę kwestię z całą pewnością.

Na początku nie był w stanie zrozumieć niemal nic. Potem, kiedy skoncentrował się, wychwycił pojedyncze strzępy słów. W końcu usłyszał całe zdania...

- ...nie otrzymaliśmy jeszcze żadnych wieści. Istnieje możliwość, że oni już się zebrali.

- To budzi troskę - odparł opat Andrew. - Wiedzieliśmy, że ta chwila kiedyś nadejdzie. Ale teraz, kiedy rzeczywiście się zbliża, czuję lęk i obawę. Od wielu stuleci nasz zakon dźwiga to brzemień i muszę wyznać, często w duchu toczyłem spór, dlaczego to nam powierzono tę tajemnicę.

- Nie musisz toczyć ze sobą sporów, ojcze. Nie wolno nam ustąpić.

Nie teraz. Znak już się pojawił. Oznacza to, że wróg powrócił.

- A jeśli się mylimy? Jeśli ten młody człowiek dostrzegł znak jedynie przez przypadek? Jeśli w rzeczywistości jeszcze nie nadeszła pora, by go odkryć?

Quentin znieruchomiał. Czy to o nim mowa?

- Sprawy wyjaśnią się, kiedy nadejdzie odpowiedni moment ku temu, ojcze. Czyż sam nie powtarzałeś tego wielokrotnie? Nie może być żadnych wątpliwości. Po tylu stuleciach znak pojawił się ponownie. Oznacza to, że wróg na nowo formuje szyki. Czeka nas ostateczne starcie.

Przez chwilę nie słyszał żadnych głosów. Nastąpiła dłuższa pauza, w czasie której Quentina zdjęła obawa, że zostanie odkryty.

- Masz rację - usłyszał w końcu cichy głos opata Andrew. - Nie wolno nam w to wątpić. Nie wolno nam uchylać się od odpowiedzialności, którą nałożono na nasze barki dawno temu. Czas spełnienia zbliża się, my zaś musimy wykazać jeszcze większą czujność i ostrożność niż kiedykolwiek wcześniej. Napaść przy moście, atak na posiadłość sir Waltera, wszystko to mogą być znaki, które są nam dane, żebyśmy pojęli powagę sytuacji i podjęli odpowiednie działania.

- Cóż zatem powinniśmy czynić, wielobny ojcze?

- Naszym zadaniem jest strzeżenie tajemnicy i dopilnowanie, żeby wróg jej nie odkrył. I to właśnie będziemy czynić.

- A jeśli chodzi o innych? Czy oni również wiedzą, że próbę



rozwikłania tajemnicy podjęły także inne strony?

- Nikt nie może poznać prawdy - odparł stanowczym tonem opat

Andrew. - Zbyt wielka jest stawka, żeby pozwolić sobie na

lekkomyślne działania. Wiedza o tych sprawach ściąga śmierć i

zatrącenie. Było już tak w dawnych czasach i znowu tak będzie, jeśli

nie będziemy mieć się na baczności. Tajemnica nie może ujrzeć światła

dziennego. To co jest ukryte, musi pozostać ukryte bez względu na to,

jak wysoka może być tego cena.

- Czy w takim razie powinienem porozmawiać z naszymi braćmi i

wyjawić im, że nadszedł czas spełnienia?

- Uczyn to. Każdy z nich powinien przygotować się i rozważyć

własne grzechy i zaniedbania. A teraz zostaw mnie samego. Chciałbym

pomodlić się do Pana, żeby dał nam siłę i mądrość w sytuacji

konfliktu, który przed nami.

- Oczywiście, ojcze.

Dało się słyszeć trzeszczenie podłogowych desek, gdy stopy obute

w sandały stąpały po nich, a potem drzwi pracowni opata Andrew

zatrzasnęły się z hukiem. Rozmowa dobiegła końca.

Quentin był cały czerwony na twarzy dlatego, że podsłuchiwał. Powoli

odsunął się od drzwi i starał się przy tym odgonić wstyd.

Rozgorączkowany rozejrzał się wokoło i najchętniej zacząłby głośno

krzyżeć. Jego wuj miał rację. Mnisi z Kelso rzeczywiście wiedzieli

więcej, niż skłonni byli wyznać. Ale dlaczego tak uparcie milczeli?

Dlaczego nie wtajemniczyli sir Waltera? Co mieli do ukrycia opat

Andrew i jego zakonni bracia?

Stawka musiała być wielka, bardzo wielka. Mówiono o

brzemieniu liczącym setki lat, o wrogu, który znów się podniósł i

którego zakonni bracia czynili odpowiedzialnym za zawalenie mostu i

najazd na Abbotsford. Mowa była też o zbliżającym się konflikcie oraz

o czasie, którego było coraz mniej.

Cóż to wszystko mogło znaczyć?

Quentin był pobudzony bardziej sposobem rozmowy niż słowami,

które padły. Nie mówiono w sposób otwarty i głośny, lecz po cichu i

potajemnie - chodziło o prastarą tajemnicę, którą mnisi chronili i której

wyjawienia pragnęli uniknąć za wszelką cenę.

Znakiem, o którym wspominali, mógł być tylko i wyłącznie

tajemniczy symbol miecza. Opat Andrew ostrzegał wyraźnie, że jest to

symbol zła, za którym kryją się ciemne moce. Ale co dokładnie miało

to znaczyć? Mnisi zdawali się bardzo zatroskani, a to z kolei jeszcze

bardziej pogłębiło niepokój Quentina.

Postanowił, że jak najszybciej opuści klasztor i wróci do Abbotsford.

Sir Walter musiał natychmiast dowiedzieć się o tej rozmowie. Być może

będzie wiedział, jak to wszystko wytłumaczyć. W największym

pośpiechu Quentin spakował przybory do pisania i notatki, które do tej

pory sporządził, pragnąc stworzyć pozory, że rzeczywiście studiował

dawne manuskrypty, szukając faktów na potrzeby nowej powieści wuja.

Potem odstawił z powrotem na regał klasztorną kronikę, którą ostatnio

przeglądał. Wyszedł przez drzwi na korytarz i wydał z siebie krzyk

przerażenia, gdy dostrzegł przed sobą szczupłą postać w ciemnym habicie.

- Panicz Quentin - rzekł opat Andrew i spojrzał na niego

zatroskany. - Czy u ciebie wszystko w porządku?

- Nnn... naturalnie, wielebny opacie, proszę się nie troskać -

wyduślił z siebie Quentin, choć serce waliło mu jak młot. - Właśnie

sobie uświadomiłem, że wuj oczekuje mnie w Abbotsford.

- O tak wczesnej godzinie? - na twarzy opata pojawił się wyraz

zdziwienia. - Ale chyba jeszcze nie zdążyłeś sporządzić wszystkich

niezbędnych notatek.

- To prawda. Ale wuj potrzebuje jak najpilniej pierwszych

informacji, by rozpocząć pisanie powieści. Jeśli więc pozwoli mi wasza

wielebność, powrócę tu jeszcze, by kontynuować moje poszukiwania w

twojej księżnicy.

- Ależ oczywiście - przytaknął opat i spojrzał przy tym na

młodzieńca przenikliwym wzrokiem. - Nasz księgozbiór jest zawsze do

twojej dyspozycji, paniczu Quentinie. Ale czy naprawdę nic ci nie jest?

Sprawiasz wrażenie tak rozgorączkowanego...

- Nic mi nie jest - zapewnił Quentin równie szybko, co energicznie.

I chociaż zdawał sobie w pełni sprawę, że było to bardzo

nieuprzejme, opuścił opata, zegnając go lekkim skinieniem głowy, i

pospiesznie ruszył korytarzem w kierunku schodów.

- Bądź zdrow, paniczu Quentinie. I wróć szczęśliwie do domu

- zawołał za nim opat Andrew.

Quentin czuł na sobie spojrzenie zakonnika, nawet kiedy opuścił  
zakonne zgromadzenie i ponownie siedział w powozie wiozącym go do  
Abbotsford.

# S

I znów się zebrali tu, przy kamiennym kręgu. Ci, którzy odziani byli w ciemne opończe.

Od czasu kiedy zgromadzili się po raz ostatni, księżyc wszedł w fazę pełni. Jego zaokrąglona, emitująca delikatną poświatą tarcza stała wysoko na nocnym niebie i bladym światłem oświetlała budzącą grozę scenę.

Znów zeszli się tutaj członkowie sekretnego bractwa, którego początki sięgały zamierzchłej przeszłości. Znów zgromadzili się wokół kamiennego stołu ofiarnego, gdzie stał ich przywódca w białej jak śnieg opończy, w aureoli niezemskiego światła.

- Bracia moi! - odezwał się podniesionym głosem, po tym jak za milką budzący grozę śpiew jego popleczników. - Ponownie się odnaleźliśmy i znów nadchodzi dzień spełnienia. Już niedługo na niebie pojawi się konstelacja, na którą czekaliśmy od tak dawna.

Zamaskowani ludzie milczeli. Przez wąskie szczeliny w czarnych jak sadza maskach wyzierały nienawiść i żądza. Ich dusze płonęły ze zniecierpliwienia, które rozgorzało setki lat temu. Przekazywane było z ojca na syna, z pokolenia na pokolenie. A każde upływające dziesięciolecie sprawiało, że zniecierpliwienie to stawało się coraz bardziej naglące i zapiekłe.

- Nasi wrogowie - podjął przywódca donośnym głosem - nasi wrogowie połknęli przynętę. Sądzą, że ich działania są skierowane przeciwko nam, lecz nie wiedzą, iż w rzeczywistości to my pociągamy za

sznurki. Postawiłem pytanie runom, bracia moi. Runiczne symbole udzieliły mi odpowiedzi. Wyjawiły mi, że zagadkę rozwiążą ci, którzy pozostają niewierni.

Wśród członków bractwa pojawił się niepokój, a odgłosy niezadowolenia stawały się coraz głośniejsze.

- Ale - kontynuował przywódca - powiedziały mi też, że to my odniesiemy ostateczne zwycięstwo. Zakon spotka zagłada, natomiast to, co było na początku, ostatecznie zatriumfuje. Stare siły powrócą i będą kontynuować to, co dawno temu zostało przerwane. Ludzie nie będą w stanie pojąć, co się z nimi dzieje, są niczym owce na pastwisku, których zupełnie nie obchodzi to, kim są pasterze, którzy je wypasają.

Przynajmniej tak długo, jak długo mają na pastwisku dostatek świeżej trawy do żarcia. Ale my, bracia moi, będziemy tymi, którzy ustanowią nowy porządek i którzy będą dzierżyć wszelką władzę. I nikt nas nie powstrzyma, nikt ze szlachty ani nawet król. Władza należy do nas i nikt nam jej nie odbierze.

- Władza należy do nas - dobiegło echem z szeregów oddanych mu członków bractwa. - Nikt nam jej nie odbierze.

- Kto wierzy, że walczy przeciwko nam - podjął przywódca z lekkim uśmiechem na twarzy - ten koniec końców umożliwi nam zwycięstwo. Przepowiadam to wam, jakem przywódca tego sekretnego bractwa. Po wiekach ukrycia tajemnica jest prawie wyjawiona. Czas jest już bliski, bracia moi. Dzień został już wyznaczony, a kiedy tej nocy księżyc skryje się w cieniu, będzie to początek nowych czasów.

Sir Walter milczał.

Ze stoickim spokojem wysłuchiwał relacji siostrzeńca, siedząc w swojej pracowni na skórzanym fotelu z oparciami. Quentin opowiadał o tajemniczej rozmowie zakonników oraz o osobliwych rzeczach, które zdążył podsłuchać. Nie stawiał przy tym pytań ani mu nie przerywał.

Nawet teraz, kiedy relacja Quentina dobiegła końca, sir Walter nic nie powiedział.

Siedział nieruchomo w swoim fotelu i wpatrywał się w siostrzeńca.

Chociaż Quentin wcale nie był pewny, czy to spojrzenie było skierowane na niego. Bardziej prawdopodobne było to, że wzrok ten przewiercał go na wylot i sięgał gdzieś daleko poza niego. Quentin wolał nawet nie wiedzieć, co sir Walter tam dostrzegał.

- Osobliwe - odezwał się sir Walter po długich minutach milczenia, a w jego głosie pobrzmiwała cierpka mieszanina przygnębienia i złego przeczucia. - Coś takiego podejrzewałem.

Domyślałem się, że opat Andrew wie więcej, niż był skłonny nam wyjawić, że coś przed nami ukrywa. Teraz jednak, kiedy wydaje się, że to się potwierdziło, niemal nie jestem w stanie temu uwierzyć.

- Powiedziałem ci, wuju, prawdę, przysięgam - zapewnił Quentin.

- Padło dokładnie każde słowo, które ci powtórzyłem.

Sir Walter uśmiechnął się, jednak nie był to świadomy, pełen namysłu uśmiech, który Quentin dobrze znał. Tym razem przebijał z niego smutek i wyzierała rezygnacja.

- Musisz wybaczyć staremu człowiekowi, mój synu, że jego serce wzbrania się przed zaaprobowaniem spraw, które jego rozum już dawno pojął. Oczywiście wiem, że nie okłamujesz mnie i daję wiarę każdemu twojemu słowu. Jednak odczuwam ból, dowiadując się, iż opat Andrew sprowadził nas na manowce w tak podstępny sposób.

- Wydaje się, że zakonnicy nie działają w złej intencji - wtrącił Quentin. - Raczej chodzi im o to, by chronić tych, którzy nie są wtajemniczeni.

- Chronić? Przed czym?

- Tego nie wiem, wuju. Ale przez cały czas mowa była o tym, iż nadchodzi wielkie niebezpieczeństwo. Wróg z mrocznej pogańskiej przeszłości - wzdrygnął się Quentin. - Natomiast ten runiczny znak, który odkryłem, wydaje się z tym powiązany.

- Miałem co do tego jasność od chwili, kiedy dostrzegłem płonący symbol na drugim brzegu rzeki - rzekł ponurym głosem sir Walter. - Przeczuwałem też, że kryje się za tym jakaś tajemnica, którą mnisi z Kelso nie chcą podzielić się z nami, ale nigdy nie przeczuwałem, że ich nieufność posunie się tak daleko. Oni wiedzą, kto stoi za morderstwem Jonathana, i wiedzą również, kim są nikczemnicy, którzy dokonali najazdu na Abbotsford. A mimo to nie chcą przerwać milczenia.

- Być może mają ku temu ważne powody - zauważył z wahaniem Quentin, który niezwykle rzadko widywał swojego wuja tak bardzo wzburzonego.

Żałoba po śmierci studenta oraz zawalenie mostowej przeprawy



nad wąwozem z pewnością pozostawiły w nim ślady, jednak żadna z tych rzeczy nie zdawała się zranić pana z Abbotsford nawet odrobinę tak głęboko, jak fakt, że opat Andrew oraz jego współbracia okazali mu brak zaufania.

- Jakiż może być wystarczający powód milczenia, gdy chodzi o ludzkie życie? - odparł wściekle sir Walter. - Opat Andrew i jego bracia wiedzieli, jakie grozi nam niebezpieczeństwo. Koniecznie powinni nam wtedy powiedzieć wszystko, zamiast ograniczać się do niejasnych sugestii.

- Jak się dowiedzieliśmy, doszło do rozmowy opata Andrew z inspektorem Dellardem - dał mu do myślenia Quentin. - Być może opat wyjawiał kilka spraw Dellardowi, lecz zabronił mu dzielić się tymi informacjami z kimkolwiek innym. Być może to jest właśnie powód, dla którego Dellard był przy nas tak bardzo małomówny.

- Być może, niewykluczone... - wymamrotał pod nosem sir Walter, po czym energicznie podniósł się z miejsca. - Przykro mi tylko, że muszę zadowolić się niejasnymi spekulacjami i domysłami, podczas gdy wszyscy prawdopodobnie znajdujemy się w wielkim niebezpieczeństwie.

- Co więc zamierzasz, wuju?

- Wyruszę do Kelso i rozmówię się z opatem Andrew. Powinien nam wyjawić to, co wie o tym runicznym znaku, albo to, co zachował dla siebie. Chcę także, żeby dowiedział się, iż nie cenię tego, że stałem się pionkiem w grze, której reguły określa ktoś inny. I bez względu na

to, co będzie miał na swoją obronę, czy będą to znaki runiczne, sekretne symbole czy też inny pretekst, tym razem nie dam się zbyć byle czym.

- Ależ, wuju. Nie sądzisz, że opat ma uzasadnione powody, by ukrywać przed nami tę sprawę? Być może rzeczywiście mamy do czynienia z siłami, które pozostają poza naszą kontrolą i których nie da się okiełznać za pomocą zwyczajnych środków.

- Cóż ty wygadujesz, siostrzeńcze? - kpina w głosie sir Waltera była aż nadto wyraźna. - Znowu zaczynasz swoje opowieści o duchach i straszydłach? Czy kiedyś nie słuchałeś nazbyt często starego Maksa od duchów? Zapewniam cię, że przeciwnicy, z którymi mamy do czynienia, nie są żadnymi widmami, lecz ludźmi z krwi i kości.

Jakiegolwiek cele przyświecają tym ludziom, nie mają one nic wspólnego z dawnymi czarami ani mrocznymi klątwami. Tego rodzaju rzeczy po prostu nie istnieją. Od zarania rodzaju ludzkiego człowiekiem wciąż kierują te same motywy: czynienie bliźniemu, co tobie niemiłe. Żądza mordy i chciwość, mój chłopcze. To i nic innego. Tak zawsze było, już za czasów naszych przodków i po dziś dzień pod tym względem nic się nie zmieniło. Ci złoczyńcy mogą posługiwać się runami i pradawnymi prorocत्वami, chcąc usprawiedliwić popełniane przestępstwa, ale wszystko to są jedynie czcze banialuki i bzdury.

- Naprawdę tak sądzisz, wuju?

Sir Walter spojrział na siostrzeńca. Gdy dostrzegł przerażony wyraz jego twarzy, gniew w nim nieco osłabł.

- Tak, Quentinie - opanował się. - Jestem o tym przekonany.

Przeszłość, którą w moich powieściach przywołuję do życia, jest już za nami. Natomiast przyszłość jest domeną rozsądku i nauki, postępu oraz cywilizacji. Nie ma w niej miejsca na stare wierzenia i przesady. Wszystko to zostawiliśmy już dawno za sobą. Nie jesteśmy w stanie zatrzymać ani zawrócić koła historii. Cokolwiek się za tym kryje, nie ma nic wspólnego z czarami ani czarną magią. Jest to dzieło ludzi, mój chłopcze. I nic więcej. I dokładnie to zamierzam zakomunikować opatowi Andrew.

Quentin dostrzegł pełną goryczy determinację na twarzy wuja i wiedział, że nie miała najmniejszego sensu próba powstrzymania go. Z drugiej natomiast strony nie było to do końca jego życzeniem, ponieważ podejście do sprawy sir Waltera nie tylko wydawało mu się bardziej racjonalne, ale też mniej niepokojące od tego, co Quentin usłyszał w klasztorze.

Postanowił zatem towarzyszyć wujowi w podróży do Kelso i podążył za nim na korytarz, gdzie rządcą domu wyszedł im naprzeciw.

- Sir! - zawołał z podnieceniem.

- Mój biedny Mortimerze - rzekł sir Walter, widząc pełne przestachu spojrzenie starego rządcy. - Cóż ci się stało?

- Cały oddział uzbrojonych dragonów, sir - odparł Mortimer głosem drżącym z przejęcia. - Właśnie zajęchali na dziedziniec. Jest wśród nich również Anglik.

- Inspektor Dellard? - zapytał zdziwiony Scott.

- Właśnie tak, sir. życzy sobie pilnie z panem rozmawiać. Co mam mu powiedzieć?

Sir Walter zastanowił się chwilę i wymienił z Quentinem ostrożne spojrzenie.

- Powiedz inspektorowi, że oczekuję go w mojej pracowni - poinformował w końcu rządcę. - I każ Annę przynieść herbatę oraz wypieki. Nasz gość nie powinien mieć poczucia, iż na północy nie przestrzega się dobrych manier.

- Tak jest, sir - odparł Mortimer i oddalił się.

- Czegóż może chcieć Dellard? - zapytał Quentin.

- Tego nie wiem, siostrzeńcze - odparł sir Walter, w którego małych oczach zamigotały podstępne błyski. - Ale jeśli dzięki temu przypadkowi dostaniemy asa do ręki, nie powinniśmy go zbyt lekkomyślnie marnować. Dysponując tym, czego dowiedzieliśmy się od opata An-

drew, być może zdołamy przycisnąć nieco do muru zacnego inspektora. Być może Dellard okaże się trochę bardziej rozmowny, jeśli chodzi o tę tajemniczą sprawę...

Jak się okazało, Charles Dellard nie miał sir Scottowi za złe różnicy zdań podczas ich ostatniej rozmowy. Inspektor wciąż przybierał maskę dawnej wyższości, gdy wszedł do pracowni sir Waltera i zasiadł na fotelu, który zaoferował mu pan domu.

- Dziękuję panu, sir - rzekł, gdy służąca przyniosła mu tacę ze świeżo zaparzoną herbatą oraz ciastkami. - Dobrze widzieć, że

cywilizacja dotarła też tutaj. Chociaż najnowsze wydarzenia zdają się wskazywać na coś innego.

- Czy dowiedział się pan czegoś? - chciał zaspokoić ciekawość sir

Walter, który postanowił stać i spoglądał teraz na gościa z góry sceptycznym wzrokiem.

- Można by powiedzieć, że tak - Dellard przytaknął i upił łyk gorącej herbaty earl grey. - Udało mi się zidentyfikować człowieka, którego pański siostrzeniec zastrzelił tamtej nocy.

- Czyżby?

- Ten człowiek nazywał się Henry McCabe. Jak słusznie pan się domyślał, pochodził z innej okolicy. Dlatego też jego identyfikacja była niezmiernie trudna. Jego rodzinną miejscowością jest Elgin daleko na północy. Należał do bandy buntowników, którzy już od dłuższego czasu sięją tam zamęt, a teraz najwidoczniej teren ich aktywności przesunął się na południe. Zatem widzi pan, sir Walterze, poczyniliśmy naprawdę spore postępy.

- Jestem pod wrażeniem - pochwalił inspektora pan Abbotsford, ale nie zabrzmiało to zbyt szczerze. - A jeśli chodzi o runiczny symbol?

Czy dowiedział się pan czegoś nowego na ten temat, o czym mógłby mnie pan teraz poinformować?

- Przykro mi - Dellard zaprzeczył ruchem głowy między dwoma łykami herbaty. - W tym momencie stan dochodzenia nie pozwala mi udzielić panu bliższych informacji na ten temat. Wygląda to jednak zupełnie tak, jakby...

- Niech mi pan oszczędzi, inspektorze - wpadł mu obcesowo w słowo Scott. - Niech mi pan oszczędzi dalszych wybiegów i wykrętów, jeśli koniec końców chodzi panu tylko o to, by ukryć przede mną prawdę.

Dellard spojrzał na niego opanowany.

- Znowu pan zaczyna? - postawił pytanie. - Sądziłem, że mamy to już za sobą.

-Jeszcze długo nie, szanowny inspektorze. Będziemy to kontynuować, aż w końcu wyjawisz mi pan prawdę na temat tych przestępców. To nie są zwyczajni buntownicy, nieprawdaż? I nie przez przypadek uczynili ze znaku miecza swój symbol. Kryje się za tym znacznie więcej, a ja chciałbym w końcu wiedzieć, na czym stoję. Na co właściwie natrafił mój siostrzeniec, odkrywając ten symbol.

Dlaczego biblioteka została strawiona przez pożar? Co mają z tym wspólnego mnisi z Kelso? I dlaczego ktoś nastaje na moje życie?

- Dużo pytań - skomentował lakonicznie Dellard.

- W rzeczy samej. Poza tym mam wrażenie, że odpowiedzi na te pytania sięgają daleko w przeszłość. Mamy tu do czynienia z zagadką, która wychodzi poza zwykłą sprawę kryminalną, zgodzi się pan? A zatem, na Boga, niech pan w końcu przerwie milczenie!

Dellard siedział w fotelu i milczał. Spokojnym ruchem dłoni podniósł filiżankę z białej porcelany i pociągnął kolejny łyk herbaty.

Potem odstawił filiżankę na niewielki stolik tak wolno, że Quentin uznał to niemal za prowokację. I w żaden sposób nie dał wytrącić się z

równowagi badawczymi spojrzeniami, jakie rzucał na niego sir Walter.

- Chce pan usłyszeć odpowiedzi, sir? - zapytał po chwili inspektor.

- Ponad wszystko - zapewnił sir Walter. - Chcę w końcu wiedzieć, na czym stoję.

- A zatem dobrze. W takim razie zrelacjonuję panu rozmowę, jaką odbyłem z opatem Andrew, przełożonym bractwa zakonnego w Kel-so. Wprawdzie usilnie prosił mnie, żeby nikomu o tym nie opowiadać, ale w pańskim wypadku chcę uczynić wyjątek. W końcu to pan, jeśli mogę tak to ująć, jest główną postacią w tej grze.

- Główną postacią? W grze? Jak mam to rozumieć?

- Ma pan rację, sir Walterze. Jeśli chodzi o sprawców, którzy kryją się za zabójstwami oraz napadami z minionych tygodni, rzeczywiście nie mamy do czynienia ze zwyczajnymi buntownikami. W znacznym stopniu są to członkowie pewnej sekty, którzy należą do pradawnego tajemnego związku.

- Tajemnego związku? - powtórzył jak echo Quentin, który stał obok z zapartym tchem i poczuł, jak po plecach przeszedł mu lodowaty dreszcz.

- Korzenie tego związku - kontynuował Dellard - sięgają daleko w przeszłość. Bractwo istniało już, zanim cywilizacja dotarła do tej surowej krainy, na długo przed Rzymianami, w mrocznych czasach.

Członkowie tego sekretnego związku z tego właśnie względu nie uznawali obowiązujących praw i hołdowali pogańskim rytuałom. To właśnie jest przyczyna, dla której opat Andrew jest tą kwestią żywo

zainteresowany. Jego zakon wiąże odwieczna wrogość z sekretnym bractwem.

- A znak miecza? - chciał jeszcze wiedzieć sir Walter.

- Z dawien dawna jest to symbol członków tego tajnego związku.

To ich godło, jeśli woli pan takie sformułowanie.

- Rozumiem. Wyjaśniałoby to reakcję opata Andrew, kiedy pokazaliśmy mu runiczny znak. Po co jednak te wszystkie ostrzeżenia i cały ten cyrk z sekretami? Być może ten sekretny związek jest bardzo stary, ale to są przecież tylko gusła i zabobony. Z pomocą oddziału konnych dragonów powinien pan się rozprawić z takim zagrożeniem łatwo i szybko.

- Zarzucił mi pan wcześniej, że nie doceniam rangi tej sprawy, sir

- odparł Dellard z niewyraźnym śmiechem. - Teraz mogę odwzajemnić

ten zarzut. Bowiem sekretny związek nie jest w żadnym wypadku

stowarzyszeniem garstki nielicznych zapaleńców. To ruch, który

zdobył już licznych zwolenników na północy. Jak zapewne pan wie,

mimo tego, że żyjemy w epoce postępu, zabobony i przesady w

szerokich

rzeszach

pańskiego

narodu

są

jeszcze

bardzo



rozpowszechnione. Także pamięć o starych pogańskich tradycjach wciąż jest pielęgnowana dziś tak jak za dawnych czasów. Do tego dochodzi gniew ludności z powodu czystek. Wielu chłopów, których wypędzono z ich ziemi, dołączyło do tego związku. Żeby o tej sprawie wiadano jak najmniej, otrzymałem z góry polecenie, by trzymać sprawę pod kluczem i nikomu niczego nie ujawniać, również panu, sir Walterze. Teraz zapewne rozumie pan moje zachowanie.

Sir Walter przytaknął, najwyraźniej nie doceniał uwagi problemu.

- Przykro mi - odparł. - Nie chciałem pana stawiać w niezręcznej sytuacji, inspektorze. Ale moja rodzina oraz mój dom są zagrożone i dopóki nie wiem, skąd nadchodzi niebezpieczeństwo, nic nie mogę przedsięwziąć.

- Niebezpieczeństwo, sir Walterze, grozi panu ze wszystkich stron.

Ponieważ, jak się dowiedzieliśmy, członkowie bractwa uznali pana za największego wroga.

- Mnie? - pan Abbotsford zrobił oczy wielkie jak koła młyńskie.

- Tak, sir. To jest właśnie powód, dla którego pański student musiał umrzeć. I to jest także powód, dla którego znalazłem się w Kelso, by poprowadzić dochodzenie. Czy rzeczywiście daje pan wiarę, że przysłano by tu inspektora z Londynu, gdyby tu, proszę o wybaczenie, chodziło tylko o zwyczajne morderstwo?

- Muszę przyznać - przytaknął sir Walter - że zastanowiło mnie to.

- Zresztą słusznie, sir. Jedyнным powodem, dla którego mnie tutaj przysłano, jest fakt, że ci ludzie nastawali na pańskie życie oraz że na

dworze i w kręgach rządowych posiada pan wpływowych przyjaciół.

Wysłano mnie w tę odległą okolicę, żebym jak najszybciej przeszkodził w szkodliwych działaniach członkom tej tajemnej sekty.

Pozostawiono mi też wolną rękę w kwestii wyboru środków, i to głównie z pańskiego powodu, sir. Powierzono mi misję chronienia pana i pańskiej rodziny za wszelką cenę. Niestety wcale mi pan nie ułatwia tego zadania i niestety nie wykonałem go tak, jak ode mnie oczekiwano.

- Z mojego powodu? - zapytał osłupiały sir Walter, który wciąż nie był w stanie uwierzyć, że w tej całej sprawie mogło chodzić o jego osobę. - Czy Jonahatan również zginął z mojego powodu?

- Taka jest taktyka członków tego sekretnego bractwa. Swoje ofiary wyszukują z niezwykłą skrupulatnością. Potem zarzucają pętlę na szyję i powoli zaciskają. Biedny Jonathan był ich pierwszą ofiarą. Pan, paniczu Quentinie, miał być kolejną. A przy moście śmierć czyhała na sir Waltera. Tylko szczęśliwemu zbiegowi okoliczności należy zawdzięczać, że do tego nie doszło.

- Szczęśliwemu zbiegowi okoliczności - wystękał sir Walter. -

Jeden człowiek, niezwiązany ze sprawą, przypłacił to życiem, a dwie młode kobiety otarły się o śmierć. I pan śmie to nazywać szczęśliwym zbiegiem okoliczności?

- Uwzględniając okoliczności, tak- odparł oschle Dellard. - Przez cały czas wiedziałem, w jakim niebezpieczeństwie się pan znajduje.

Dlatego nie chciałem, żeby pan prowadził dochodzenie na własną rękę,

wystawiając siebie oraz swoich bliskich na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Niestety nie posłuchał mnie pan, dlatego też tamtej nocy doszło do najazdu na pańską posiadłość. Moi ludzie wtedy znajdowali się w Selkirk, by sprawdzić wiadomości, które otrzymaliśmy. Teraz nie mam wątpliwości, że w tym przypadku chodziło o odwrócenie naszej uwagi. Na tej podstawie można ocenić, z jaką przebiegłością działa nasz przeciwnik.

- Rozumiem - odrzekł niemal bezgłośnie sir Walter, którego umysł, zwykle pracujący na pełnych obrotach, w tym momencie wydawał się zrobić pauzę.

Tym razem to jego siostrzeniec, mimo strachu, jaki wzbudzała w nim cała sprawa, wniósł uzasadnione zastrzeżenie.

-Jednego nie rozumiem - powiedział. - Dlaczego członkowie tegoż bractwa wybrali sobie za cel mojego wuja? Wszyscy go znają i wiedzą, że sprawy Szkocji niezwykle leżą mu na sercu. Jest szanowanym patriotą, który...

- Czy przyszło panu choć raz na myśl, szanowny paniczu Quentinie, że nie każdy z waszych rodaków patrzy na sprawę w ten sposób? Istnieją również opinie, wedle których pański wuj zbratał się z Anglikami i zdradza interesy Szkocji na rzecz Korony.

- Ale to przecież nonsens.

- Niech pan mi tego nie mówi, młody paniczu. Niech pan powie to tym żądnym krwi fanatykom. Członkowie tej sekty to bez wyjątku ludzie, których przyparto do muru i którzy nie mają nic do stracenia. W

swej desperacji oddają się zabobonom, mordują i rabują, podpisując się pod tym, starym runicznym symbolem. Nie uporamy się z nimi, szermując argumentami i wyjaśnieniami, jedynie żelazna ręka prawa pozwoli zrobić z nimi porządek.

- Ale czy oni nie wiedzą, ile mój wuj uczynił dla naszego narodu?

- Większość tych ludzi nie potrafi ani pisać, ani czytać, szanowny paniczu Hay. Oni widzą tylko to, co jest oczywiste. Że pański wuj cieszy się ogromną sympatią Anglików, a zwłaszcza arystokracji, i że jest tam chętnie widzianym gościem. To zaś czyni go w ich oczach zdrajcą szkockiego narodu.

-

To niepojęte - skomentował lakonicznie sir Walter.

Quentin zauważył, że jego wuj nagle wydał się zmęczony i przybity. Znużony sir Walter usiadł za swoim biurkiem.

-Ja zdrajcą! Jak ci ludzie mogą coś takiego pomyśleć? Jestem patriotą, a w moich żyłach płynie szkocka krew. Przez całe życie nadstawiałem głowę, walcząc o prawa i sprawy szkockiego narodu.

- Być może tak jest, sir - przyznał Dellard. - Ale pańska wspólna praca z Koroną oraz aktywność w Sądzie Najwyższym najwyraźniej wzbudziły podejrzenia co do pańskiej osoby.

Sir Walter stęknął, jakby poczuł nagły ból.

- Ale przecież chodzi mi wyłącznie o poprawę położenia moich rodaków w królestwie oraz o to, by szkocki duch znów trafił na salony.

- Niestety buntownicy postrzegają to zupełnie inaczej. W ich opinii zdradził pan Szkocję na rzecz Anglików i handluje dawnymi zwyczajami niczym ladacznica własnym ciałem.

Inspektor dobierał wyrażenia, które z pewnością nie były wytworne, a z każdym jego słowem sir Walter wzdrygał się, jak pod razami bata.

- Nigdy nie było to moim zamiarem - odparł cicho. - Zawsze pragnąłem tylko tego, co najlepsze dla moich rodaków.

- Pan to wie, sir. I naturalnie ja również to wiem. Jednak członkowie sekretnego bractwa tego nie wiedzą. A zbliżająca się wizyta w Edynburgu Jego Królewskiej Wysokości wcale nie przyczyniła się do załagodzenia sytuacji.

- Wizyta Jego Wysokości? - sir Walter podniósł wzrok. - Skąd pan o tym wie? Przygotowania są prowadzone w najgłębszej tajemnicy. Dellard uśmiechnął się.

- Jestem inspektorem Korony i odpowiadam za wewnętrzne bezpieczeństwo tego kraju, sir. W Londynie mam dostęp do najwyższych kręgów rządowych i oczywiście wiem, iż Jego Wysokość planuje tę podróż.

- Król Jerzy planuje podróż? - zapytał ze zdziwieniem Quentin.

- Do Edynburga?

Sir Walter skinął głową, przytakując.

- Będzie to wydarzenie o niezwykle historycznym znaczeniu, do którego strona rządowa przywiązuje ogromne znaczenie w kontekście

integracji naszego kraju. Z tego też powodu powierzono mi, jako

Szkotowi, misję poprowadzenia przygotowań do tej wizyty.

- Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałeś? - zapytał Quentin.

- Ponieważ Jego Wysokość stanowczo życzył sobie, żeby plany zostały utrzymane w tajemnicy. I stopniowo zaczynam rozumieć dlaczego.

- Członkowie sekretnej bractwa - potwierdził inspektor Dellard. -

Tajna policja obawia się zamieszek w Edynburgu i dlatego doradzono

zachowanie ścisłej tajemnicy. Na podstawie wszystkiego, co tu się

wydarzyło, wygląda na to, że buntownicy dowiedzieli się o zbliżającej

się wizycie, a ich gniew skierował się teraz przeciwko panu, sir.

- Rozumiem - przytaknął ze zrozumieniem sir Walter. - Ale

dlaczego nic mi pan o tym nie powiedział?

- Ponieważ mi zabroniono. Uznano za najlepsze rozwiązanie, jeśli nie będzie pan niepotrzebnie niepokojony.

- Albo też, co dużo bardziej prawdopodobne, że stanę się

mimowolną przynętą - odparł z przekąsem sir Walter, który odzyskał

typową dla siebie lotność myśli. - Jestem wabikiem, który ma

wyciągnąć buntowników z kryjówki i umożliwić ich aresztowanie?

Dellard zagryzł wargi.

- Widzę, sir, że ciężko jest panu cokolwiek wmówić. W

rzeczywistości ochrona pańskiej osoby oraz pańskiej rodziny nie

stanowiły jedynej misji, jaką powierzono mi w Londynie. Chodzi

również o to, aby odnaleźć członków bandy i położyć kres ich

niecnemu procederowi. W przeciwnym razie wizyta Jego Wysokości

nie będzie mogła odbyć się zgodnie z planem.

- Ależ do tej wizyty musi dojść - oznajmił z naciskiem sir Walter. - To ważny sygnał dla przyszłości naszego kraju. Protokół, nad którym w tej chwili pracuję, przewiduje przyjęcie Jego Wysokości na zamku w Edynburgu

oraz uroczyste wręczenie szkockich insygniów królewskich.

- Jakież to insygnia? - zapytał Quentin. - Królewski miecz zaginał przecież już przed wiekami, nieprawdaż?

- Rzeczywiście - zgodził się sir Walter. - Ale protokół przewiduje uroczysty akt, w którym Jego Wysokość zostanie proklamowany królem obu naszych zjednoczonych narodów. Mógłby to być początek nowej pokojowej przyszłości, w której Anglicy i Szkoci będą tworzyli wspólną historię. Potrzebna jest nam ta szansa, Dellard. Mój naród jej potrzebuje. Ta wizyta musi odbyć się za wszelką cenę.

- Także w Londynie panuje to samo przekonanie. Dlatego przywiązuje się bardzo dużą wagę do tego, by wreszcie unieszkodliwić buntowników. Żałuję bardzo, iż, że tak powiem, wykorzystaliśmy pana jako przynętę, sir Walterze. Ale uwzględniając te okoliczności, nie miałem innego wyboru.

- Uczynił pan tylko to, co nakazywał panu obowiązek, jako oficerowi i patriocie - uspokoił go sir Walter. - Usilnie więc pana proszę o wybaczenie mego uporu. To nie pańskie przewiny, ale moja nieustępliwość ściągnęły zagrożenie na moją rodzinę oraz na cały dom.

- Dobrze pana rozumiem, sir. Na pańskim miejscu zapewne zachowałbym się podobnie. Ale czy uwzględniając sytuację, mogę zaproponować, żeby w przyszłości stosował się pan do moich rad?

Sir Walter skinął głową najpierw z wahaniem, potem z wyraźnym rozgoryczeniem.

- Czego pan żąda?

- Proponuję

-

odezwał się inspektor tonem bardziej

dypłomatycznym - żeby pan wraz z rodziną opuścił Abbotsford.

- Mam opuścić Abbotsford? Moje włości i moją ziemię?

- Tylko do czasu, kiedy pochwycimy członków tajnego bractwa i oddamy ich w ręce wymiaru sprawiedliwości - dokończył pośpiesznie

Dellard. - Dzięki wskazówkom, jakie otrzymałem od opata Andrew, mogę żywić nadzieję, że już wkrótce schwytemy tych przestępców.

Zanim jednak do tego dojdzie, wolałbym, żebyście pan i pańska

rodzina byli bezpieczni, sir Walterze. O ile wiem, posiada pan

kamienicę w Edynburgu...

- To prawda.

- W takim razie proponuję, żeby przeprowadził się pan tam wraz z rodziną i odczekał, aż sprawa zostanie zakończona. W Edynburgu nie ma się pan czego obawiać. Jak dotąd ci złoczyńcy nie odważyli się jeszcze przekroczyć murów miast.

Sir Walter spojrział zdziwiony na inspektora.



- A zatem mamy uciekać? Ugiąć się przed grozą, którą wywołują ci podpalacze i mordercy?

- Tylko na krótki czas i nie kierując się strachem, lecz po to, by chronić pana bliskich. Proszę, sir, niech pan spojrzy na to w ten sposób. Ostatnie noce były spokojne, ponieważ bez pańskiej wiedzy rozmieściłem dragonów na wszystkich rozjazdach dróg prowadzących do pańskiej posiadłości. Na dłuższą metę jednak nie obejdę się bez tych ludzi, sir. Potrzebuję ich do walki z członkami sekretnego bractwa.

Oczywiście, nie mogę pana zmusić do wyjazdu, lecz jeśli pan pozostanie, nie będę mógł dłużej zagwarantować panu bezpieczeństwa. Niech więc pan to rozważy. Wyjawiłem panu prawdę i gram teraz w otwarte karty. Poza tym pragnąłbym, żeby pan odwzajemnił mi się tym samym i wyjawiał teraz, jakie są pana zamiary.

Nastąpiła dłuższa przerwa, w czasie której sir Walter spoglądał w milczeniu przed siebie. Quentin miał niejasne przeczucie, co jego wujowi chodziło po głowie, i ucieszył się, że nie jest w jego skórze. Musiał podjąć decyzję, od którego zależało teraz bezpieczeństwo całego domu. Gdyby sir Walter upierał się, by pozostać w Abbotsford, wszyscy mogli stać się ofiarami kolejnego podstępnego najazdu. Za pierwszym razem udało im się przepędzić napastników - za drugim jednak wcale nie musiało pójść tak gładko. Jeśli natomiast sir Walter wyjedzie, tym samym da buntownikom do zrozumienia, że ustąpił przed przemocą. Kto znał pana Abbotsford, ten wiedział, że taka uległość stała w podstawowej sprzeczności z jego przekonaniem. Poza

tym musiałby pozostawić tutaj swoją bibliotekę oraz pracownię.

Natomiast możliwości kontynuowania pracy - w której miał już spore opóźnienia - jaką zapewniał mu dom w Edynburgu, były w porównaniu z Abbotsford bardzo ograniczone.

Jaką decyzję wobec tego podejmie?

Chociaż Quentin, który dopiero wyzwolił się z okowów własnej rodziny, nie życzyłby sobie powrotu do Edynburga, miał nadzieję, że wuj wybierze jednak ten wariant. Inną sprawą było poszukiwanie tajemnic w starych księgach i woluminach, zupełnie inną natomiast narażanie się na gniew żądnych krwi buntowników. I chociaż widział, z jakim trudem przyszła mu ta decyzja, sir Walter zdecydował się ustąpić.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Ugnę się przed przemocą. Nie z uwagi na mnie, lecz na moją żonę i moją rodzinę, a także ze względu na ludzi, którzy mi służą. Nie mogę wziąć na siebie odpowiedzialności za to, że moją dumę i upór oni przyplacą życiem.

- Mądra decyzja, sir - rzekł Dellard z uznaniem, a Quentin odetchnął z ulgą. - Wiem, że jest pan człowiekiem honoru, któremu taki krok nie przychodzi łatwo. Ale mogę pana zapewnić, iż nie ma nic uwłaczającego czci w tym, że ustąpi się pola w intencji ochrony niewinnych istot.

- Wiem, inspektorze. Ale zapewne rozumie pan, że w tym momencie nie jest to dla mnie pociechą. Czeka mnie ogromny nawal pracy i być może dom w Edynburgu będzie do tego właściwym

miejscem.

-Jestem tego całkowicie pewien - przytaknął Dellard z aprobatą, podniósł się z fotela i podszedł do biurka, by na pożegnanie podać dłoń sir Walterowi. - Niech Opatrzność pana strzeże, sir. Będę informował pana o postępach w dochodzeniu na bieżąco i przyślę posłańca, skoro tylko schwytemy przywódców bandy i ich unieszkodlimy.

- Dziękuję - odparł sir Walter, jednak w jego głosie pobrzmiewała rezygnacja i przygnębienie.

Inspektor pożegnał się również z Quentinem i skierował do wyjścia. Wierny Mortimer poprowadził go korytarzem przez hol i potem na zewnątrz, gdzie czekali dragoni.

I nikt, ani sir Walter, ani Quentin, ani też stary rządcą domu nie dostrzegł zadowolonego uśmiechu, jaki przemknął przez twarz Charlesa Dellarda.

Nic się nie zmieniło.

Już w domu w Egton Mary spędzała liczne, bezużyteczne godziny na nudnych balach i przyjęciach oraz na przysłuchiwaniu się pozbawionej sensu paplaninie ludzi, którzy na podstawie pochodzenia uważali się za uprzywilejowanych. Młodych kobiet, które nie znajdowały innego tematu do rozmów poza najnowsza modą z Paryża oraz najświeższymi plotkami z Londynu, i młodych mężczyzn, którzy w swym życiu nie dokonali niczego poza odziedziczeniem majątku, jaki zgromadzili ich ojcowie i dziadowie, i których niezdarne amory Mary zawsze odbierała jako upokarzające.

Z jednym zastrzeżeniem - liczba młodych mężczyzn, którzy tłoczyli się wokół niej, by zapisać się w karnecie, uległa drastycznemu zmniejszeniu, odkąd wiadomo było, że została narzeczoną Malcolma Ruthven. Pod każdym innym względem wszystko jednak stało się jeszcze gorsze.

W zamku Ruthven wydano bal na cześć Mary, by ją powitać w nowej ojczyźnie, jak brzmiała oficjalna wersja. W rzeczywistości powodem ceremonii w sali rycerskiej zamku, było to, by Eleonorę oraz jej syn mogli być podziwiani przez okoliczną szlachtę.

Otaczał ją tani blichtr, pyszniono się własnym bogactwem, prowadzono głupawe rozmowy o błahostkach i gorączkowano się sprawami, które Mary wcale nie zajmowały. Można było odnieść

wrażenie, że prawdziwe, rzeczywiste życie nie miało wstępu na towarzyskie przyjęcia takie jak to. Mary sądziła, że wyjazd z Egton pozwoli jej uniknąć przynajmniej tej niezbyt pocieszającej części jej egzystencji, a jednak się myliła. Szlachetnie urodzeni mieszkańcy krainy Highlands byli w równym stopniu zblazowani i snobistyczni, jak ci w jej rodzinnych stronach. Być może ich nazwiska brzmiały inaczej i być może ze wszelkich sił starali się ukryć szkocki akcent, który uznawali za plebejski i niezbyt szykowny. Jednak w istocie rzeczy wciąż były to te same rozmowy, te same nudne twarze i te same obowiązujące formy co w Egton.

- Tu, moje dziecko - odezwała się Eleonorę Ruthven.

Wzięła Mary pod ramię, stosując te odrobinę przymusu w celu doprowadzenia jej do kolejnej grupy gości, którzy stali na krawędzi tanecznego parkietu i w bezruchu wystawiali na pokaz dumne oblicza, podczas gdy orkiestra grała staromodnego menueta. O walcu oraz innych nowych tańcach, jakie na kontynencie stały się już obowiązującą modą, najwyraźniej nikt tutaj jeszcze nie słyszał.

- Lordzie Cullen - odezwała się Eleonorę przenikliwym głosem. -

Proszę pozwolić, że przedstawię panu Mary Egton, narzeczoną i ukochaną Malcolma.

- Niezwykłe się cieszę - odparł Cullen, mężczyzna w wieku sześćdziesięciu kilku lat, który nosił przypudrowaną perukę do paradnego stroju, i skłonił się nisko. - Sądząc po pani nazwisku, jest pani

Angielką, lady Mary?

- To prawda.

- W takim razie zakładam, iż nie zdążyła pani jeszcze przyzwyczać się do surowej pogody oraz obyczajów tej wyżynnej krainy.

- Nie do końca - odparła Mary i uśmiechnęła się z przymusem.

- Mój narzeczony oraz jego matka dokładają wszelkich starań, żebym poczuła się tu jak w domu i żeby niczego mi nie brakowało, bym mogła uwolnić się od tęsknoty za domem.

Śmiech, jaki dobiegł z ust Eleonore, brzmiał sztucznie i przypominał nieco gdakanie kwoki. Mary nie mogła znieść tej dwulicowości i odwróciła się. Daremnie szukała w gmatwaninie peruk, surdutów i przebranych w pióropusze dzieci jakiejś ludzkiej twarzy.

Dookoła nie widziała nic poza przypudrowaną bladością, która - jak wydawało się Mary - miała ukrywać fakt, że żadna z tych osób nie jest żywą istotą.

- Ach, droga Mary! Wreszcie cię znalazłem!

Mary bezwiednie znalazła się w pobliżu kręgu osób, pośród których Malcolm rozmawiał z innymi młodymi lordami i dziedzicami.

Pożądlive spojrzenia, jakimi niektórzy z nich obrzucili Mary, wskazywały wyraźnie, że młodzi mężczyźni nie byli nawet w połowie tak kulturalni i wytworni, za jakich chcieli uchodzić.

- Właśnie rozmawiamy na jeden z twoich ulubionych tematów

- rzekł, uśmiechając się szeroko Malcolm, który od czasu ich wycieczki do lasu niemal wcale z nią nie rozmawiał.

- Cóż więc to może być? - chciała wiedzieć Mary i uśmiechnęła się niepewnie.

Musi stwarzać pozory, jeśli ma przetrwać ten wieczór, pomyślała w duchu.

- Czy to prawda, że jest pani przeciwna *clearances*, czystkom w regionie Highlands, milady? - postawił pytanie młody mężczyzna, który miał wygląd niespełna dwudziestoletniego chłopca i na którego czoło spadała grzywa rudoblond włosów. Jego dość krzepka sylwetka miała w sobie coś włościańskiego, gdyby jego przodkowie nie doszli do bogactw i honorów przed kilkoma stuleciami, zapewne musiałby pracować w znoju w jakiejś stajni lub uprawiając własną rolę.

Mary nie zastanawiała się zbyt długo nad odpowiedzią. Tego wieczoru wysłuchiwała już tyle słów obłudy i hipokryzji, sama też brała udział w tej maskaradzie, że teraz niemal zbierało się jej na mdłości. Nie była w stanie dłużej się maskować. Nie, przynajmniej jeśli chodziło o jej własne przekonania.

- Tak - przytaknęła więc bez ogródek. - Jak by się panu podobało, gdyby został pan wypędzony z własnej ziemi i gdyby ktoś puścił z dymem pańskie domostwo, mój drogi...

- McDuff - przedstawił się rudzielec. - Henry McDuff. Jestem drugim lordem Deveron.

- Jak to cudownie z pana strony - odparła z uśmiechem Mary. - Z pewnością walczył pan dzielnie w wielu wojnach i otrzymał liczne ordery, by znaleźć się w posiadaniu pańskich przywilejów.

- Oczywiście, że nie - sprostował jej słowa McDuff, który nie zauważył, że Mary kpi z niego w żywe oczy. - Dokonał tego mój pradziadek. Na polu bitwy pod Culloden stanął po właściwej stronie, zapewniając tym samym mojej rodzinie władzę i majątek po wsze czasy.

- Rozumiem. A pan, szanowny panie McDuff, gorliwie naśladuje swoich przodków jedynie w tym, by walczyć przeciwko własnym rodakom. Niestety nie jest pan tak dzielny jak pański pradziad. Ponieważ kiedyś on stawiał czoła członkom klanów i żołnierzom, natomiast dzisiaj są to tylko bezbronni chłopci.

- Tego nie da się porównać - prychnął ten, którego besztano. - Ci chłopci zajmują nasze ziemie, przeszkadzają nam w osiągnięciu przyzwoitych zysków.

- Mój drogi McDuff - odparła Mary słodkim głosem. - Przede wszystkim ci ludzie *żyją* na pańskiej ziemi, a nie zajmują ją. Poza tym nie robią tego za darmo, lecz płacą panu dzierżawę.

- Dzierżawę! - lord usiłował złapać oddech, a jego policzki zrobiły się czerwone. - Co ja słyszę? Jak gdyby te kilka pensów, które chłopci czynszowi nam płacą, można było nazwać dzierżawą.

Kilku młodych mężczyzn, którzy stali obok, roześmiało się szyderczo. Inni z kolei wyrazili głośno swoją aprobatę. Natomiast Malcolm Ruthven przysłuchiwał się rozmowie z rosnącym niesmakiem.

- Naturalnie - odparowała ze swadą Mary. - Ma pan rację, mój



drogi McDuff. Wiem, że pan oraz pańscy bliscy od lat żyjecie w wielkiej biedzie, ponieważ wasze przychody z dzierżawy ziemi nieustannie maleją.

Przy tym wskazała nieomylnie na całkiem spore zaokrąglenie, które widoczne było wyraźnie nad paskiem spodni młodego lorda.

Tym razem śmiechy, które się rozległy, były po stronie Mary, a McDuff zrobił urażoną minę. Malcolm, któremu ta sytuacja coraz widoczniej doskwierała, zabrał w końcu głos.

- Widzisz więc, drogi Henry. To jest postęp, o którym tak chętnie rozmawiamy, nowoczesne czasy. Elementem tego postępu jest również to, że kobiety swobodnie wyrażają swoje poglądy.

- Nie dało się tego nie zauważyć - odparł skwaszony McDuff.

- Proszę mi wybaczyć, jeśli pana uraziłam, szanowny lordzie -

dodała Mary z przekąsem. - Z pewnością pragnie pan tylko tego, co najlepsze dla ludzi, którzy żyją na pańskiej ziemi. Nawet nie przyszło panu do głowy bogacić się ich kosztem, prawda?

Zobaczyła jeszcze, jak Malcolm wzdrygnął się mocno, słysząc ten policzek, który głośno wymierzono jego gościowi. Jednak ona nie troszczyła się dłużej o to, lecz odwróciła się i zaczęła szukać drzwi.

Mary poczuła nagłą potrzebę wyjścia na świeże powietrze. Musiała stąd wyjść, opuścić salę, w której panowały hipokryzja i zblazowanie.

Fakt, iż przy tej okazji towarzyszyły jej liczne spojrzenia balowych gości oraz że ani razu jeszcze nie zatańczyła ze swoim narzeczonym, czego wymagała etykieta, był jej zupełnie obojętny. Pragnęła tylko

wyjsć, zanim więcej złościwości wyjdzie z jej ust, czego później

mogłaby gorzko żałować.

Nie tracąc przytomności umysłu, zważała tylko na to, by nie

natknąć się na Eleonorę, gdy wykradała się jednym z bocznych wyjść.

Malcolm widział ją, jednak nie uznał za konieczne podążyć za nią, a

Mary była mu za to wdzięczna.

Mijając służących, którzy spoglądali na nią w osłupieniu, przemknęła

korytarzem i zbiegła w dół najbliższymi schodami. Nie była w stanie

powstrzymać dłużej łez. Jakby przerwała się tama, łzy płynęły teraz

strumieniem po jej upudrowanych policzkach i pozostawiały

zygzakowate ślady, które wyglądały tak, jakby na jej pięknym obliczu

powstały rysy.

Od dłuższej chwili Mary nie wiedziała, gdzie się znajduje. W

międzyczasie straciła orientację w plątaninie zamkowych schodów i

kory-

tarzy, lecz wciąż biegła dalej. Rozpacz i obawa pulsowały w jej żyłach

i sprawiły, że miała duszę na ramieniu.

Czy rzeczywiście wierzyła, że zdoła się do tego dostosować? Czy

rzeczywiście wychodziła z założenia, że będzie w stanie do tego

stopnia się maskować, by wyjść za mąż za człowieka, którego ani nie

znała, ani też nie darzyła miłością. Że wyprze się wszystkiego, w co

wierzyła, wyłącznie po to, by stać się bezwolną i usłużną małżonką?

W kręgach arystokracji przyjęte było, że małżeństwa aranżowano -

były to małżeństwa z rozsądku, opierające się na racjach finansowych i

społecznych, które nie miały nic wspólnego z miłością i romantyzmem.

Jednak Mary nie chciała, żeby jej życie toczyło się tym torem! Przez jakiś czas pocieszała się, że być może wszystko ułoży się inaczej, a Malcolm Ruthven okaże się mężczyzną, którego ona zarówno obdarzy szacunkiem, jak i będzie w stanie pokochać. Jednak nie spełniło się ani jedno, ani drugie. Malcolm był jedynie nadętym par-weniuszem, dla którego nade wszystko liczyły się bogactwo i wpływy. I co było chyba jeszcze gorsze, traktował Mary jak kogoś obcego w swoim życiu, kogo najchętniej by się pozbył. Tolerował ją wyłącznie dlatego, że tego oczekiwała od niego matka.

Czy tak właśnie miało upłynąć jej życie? Będzie cierpliwa, lecz nieszczęśliwa i zrozpaczona, ponieważ żadna z nadziei, które żywiła, nie miała się nigdy spełnić?

Ze szlochem pobiegła długim korytarzem słabo oświetlonym migającymi płomieniami świec, wzdłuż którego ustawione były zbroje.

Miała świadomość, że ta ucieczka pozbawiona jest sensu, ale jakiś wewnętrzny impuls kazał jej uciekać i zostawić za sobą wszystko.

Nakaz ten był tak silny, że nie była w stanie mu się przeciwstawić.

Zbiegała schodami na łeb na szyję. Minęła jedną z bram, przy której stały strażę, i nagle znalazła się na zamkowym dziedzińcu, gdzie ustawiono w szeregu powozy i karoce gości, którzy przybyli na bal.

Kilku stangretów i służących stało razem i rozmawiało ze sobą.

Kiedy dostrzegli Mary, raptownie umilkli i rzucali w jej kierunku ukradkowe spojrzenia.

- Proszę, kochani - odezwała się Mary i chciała pospiesznie otrzeć

łzy. - Niech moja obecność wam nie przeszkadza.

- Czy wszystko w porządku, milady? - chciał wiedzieć jeden ze stangretów, zatroskany.

- Oczywiście - przytknęła Mary i usiłowała powstrzymać potok

łez. - Wszystko w porządku. Nic mi nie jest.

Ruszyła przez dziedziniec. Nocne chłodne powietrze, które

wciągała w płuca, nieco ją uspokoiło. Nagle usłyszała cichą muzykę.

Wesoły, pulsujący rytm, który znacznie różnił się od nudnego

brzmienia orkiestry, która przygrywała na balu.

- Co to? - zapytała Mary jednego ze stangretów.

- Co ma pani na myśli, milady?

- Chodzi mi o tę muzykę - odparła Mary. - Nie słyszysz jej?

Stangret przez chwilę nasłuchiwał. Uderzenia bębna, któremu

towarzyszyły teraz jasne dźwięki skrzypiec oraz wesołe tony fletu, było

słychać wyraźnie.

- Cóż, milady - odparł młody człowiek, czerwieniąc się - O ile

wiem, po drugiej stronie, w czworakach czeladzi, odbywa się wesele.

Jedna z dziewcząt służebnych poślubiła parobka.

- Wesele?

- Tak, milady.

- Dlaczego nic o tym nie wiem?

- Proszę, milady, niech pani się nie gniewa - głos stangreta

przeszedł niemal w błagalny ton. - Matka lorda wyraziła zgodę na ten

związek. Nie wiedzieliśmy, że potrzebna jest do tego również zgoda  
milady, dlatego też nie...

- Nie to miałam na myśli. Po prostu gdybym wiedziała, złożyłabym  
młodej parze wyrazy uszanowania i wręczyłabym jakiś prezent.

-Pre... prezent?

- Oczywiście. Dlaczego spoglądasz na mnie z takim zdziwieniem?

Pochodzę z południa i nie jestem jeszcze zaznajomiona ze zwyczajami  
północy. Czy w krainie Highlands nie ma obyczaju wręczania  
prezentów młodej parze?

- Ależ oczywiście - zapewnił ją stangret. - Nie spodziewałem się  
jednak, że... to znaczy...

Opuścił głowę i zamilkł, lecz Mary wiedziała, co chciał powiedzieć.

- Nie spodziewałeś się, że dama może być zainteresowana ślubem  
dwojga służących? - zapytała.

Stangret przytaknął i wciąż milczał.

- W takim razie dowiedz się czegoś dobrego - rzekła Mary z uśmie-  
chem. - Zaprowadź mnie do domu czeladnego i przedstaw młodej pa-  
rze. Czy zrobisz to dla mnie?

- Rzeczywiście chce pani tam pójść? - stangret spojrzał na nią  
niepewnie.

- W przeciwnym razie nie prosiłabym cię o to.

- A zatem dobrze, ja... - zawahał się.

- O co chodzi?

- Milady, proszę o wybaczenie, ale pani twarz...

Mary wsiadła do jednego z powozów i wykorzystała boczne okno jako lusterko. Dostrzegła natychmiast, co miał na myśli młodzieniec.

Jej twarz prezentowała obraz godny pożałowania, a ślady łez były wciąż wyraźne. Szybko wyciągnęła z rękawa sukni chusteczkę i starła z policzków puder. Po chwili spod warstwy pudru wyłoniła się jej jasna, różowa cera. Potem znów podeszła do stangreta.

- Lepiej? - zapytała z uśmiechem.

- O wiele lepiej - odparł i odwzajemnił uśmiech. - Jeśli miłady pozwoli za mną...

Odprowadzany zdumionymi spojrzeniami pozostałych służących prowadził ją wzdłuż powozów i stajni na drugą stronę dziedzińca, gdzie znajdował się dwupiętrowy budynek z naturalnego kamienia, oparty o zamkowy mur.

Chociaż okiennice były zamknięte, przez szczeliny wydostawało się światło, a z wnętrza dobiegały dźwięki muzyki, którą Mary słyszała wcześniej. Stangret raz jeszcze spojrzął na nią niepewnym wzrokiem, ona zaś skinieniem głowy dała mu do zrozumienia, że wciąż ma zamiar złożyć wizytę weselnym gościom. Ruszył przed nią i otworzył drzwi, i w tym momencie Mary doznała uczucia, jakby znów znalazła się w zupełnie innym, obcym świecie.

Chociaż ściany postawiono z nieotynkowanego kamienia, a meble były stare i z grubsza ciosane, pomieszczenie emanowało atmosferą przyjaźni i radości, której Mary jak dotąd daremnie szukała na zamku Ruthven.

W kominku, przed którym czereada dzieciaków siedziała w kucki i na długich kijach piekła w ogniu kawałki chlebowego ciasta, wesoło trzaskał ogień. Po lewej stronie znajdował się długi stół, przy którym siedzieli weselni goście, wśród nich kilku parobków i parę dziewcząt służebnych, które Mary zdążyła już poznać z widzenia.

Na wyniszczonym stole z dębowego drewna stało wiele misek z prostym jadłem - chleb i kaszanka, do tego piwo w szarych glinianych dzbanach. Ktoś dobrze urodzony uznałby taką strawę za jadlo najzupełniej nieodpowiednie na weselne przyjęcie, lecz dla tych ludzi była to prawdziwa świąteczna uczta.

Po drugiej stronie pomieszczenia rozlokowała się kapela - trzech członków służebnej czeladzi, którzy potrafili grać na skrzypkach, flecie oraz wybijać rytm na bębenku. W takt muzyki, pobrzmiwającej świeżo i wesoło, tańczyli młody mężczyzna i młoda kobieta, której włosy przystrojone były kwiatami. Bez wątpliwości była to młoda para, na której cześć odbywało się to przyjęcie. Mary zamierzała właśnie podejść do państwa młodych, chcąc złożyć im życzenia szczęścia, kiedy dostrzegł ją jeden z muzykantów.

Raptownie urwał się rytm bębena, umilkły też pozostałe dwa instrumenty. Młoda para przestała tańczyć. Czeladź siedząca przy stole przerwała rozmowę. Zapadła nagle cisza, a przerażone oczy wszystkich skierowały się w stronę Mary.

- Nie, proszę - odezwała się. - Bawcie się i niech moja obecność wam nie przeszkadza.

- Proszę o wybaczenie, milady - odezwał się pan młody i opuścił

pokornie głowę. - Nie chcieliśmy pani przeszkadzać. Gdybyśmy

wiedzieli, że hałasy dobiegają do zamku, nie bawilibyśmy się...

- Ależ wcale mi nie przeszkadzaliście - przerwała mu Mary i

roześmiała się. - Przyszłam tu po to, żeby złożyć wyrazy uszanowania

młodej parze.

Jeszcze zanim obecni zdołali pojąć, co się dzieje, Mary chwyciła dłoń

pana młodego, uścisnęła ją i złożyła mu oraz całej rodzinie życzenia

wszystkiego najlepszego. Później podeszła do nie mniej zdumionej

panny młodej, objęła ją i również złożyła jej najserdeczniejsze życzenia

szczęścia.

- Dziękuję, milady - odpowiedziała panna młoda, czerwieniąc

się, i ukłoniła się nieco niezgrabnie.

Jej twarz była blada i usiana piegami, włosy miały kolor rudy jak

ogień. Mimo prostego ubioru, który nosiła, z pewnością była piękna w

sposób naturalny i niezezsuty. Mary miała pewność, iż bez trudu

przyćmiłaby urodą wszystkie damy zebrane na balu, gdyby tylko

przystrojono ją w drogą suknię i odpowiednio uczesano.

- Jak masz na imię? - chciała wiedzieć.

- Moira, moja pani - usłyszała nieśmiałą odpowiedzieć.

- A ty? - skierowała pytanie do pana młodego.

- Mam na imię Sean, milady. Sean Fergusson, pomocnik kowala.

- Jak pięknie - Mary roześmiała się i rozejrzała dookoła. - Czy

znajdzie się dla mnie jakaś kropla napitku, żebym mogła wznieść toast



za szczęście młodej pary?

- Pani... pani chce razem z nami wypić, milady? - zapytał z

niedowierzaniem jeden ze starszych weselników, który siedział przy stole.

- Dlaczegoż by nie? - odpowiedziała pytaniem Mary. - Czyż nie dajecie wiary, że wytworna dama wychyli do dna dzban z piwem?

Nie trzeba było długo czekać na odpowiedź. Natychmiast podano jeden z wyszczerbionych dzbanów, który aż po brzeg wypełniony był spienionym napojem z jęczmienia i chmielu.

- Za Seana i Moirę! - powiedziała Mary i wzniosła dzban do góry.

- Niech Bóg obdarzy was długim życiem w zdrowiu i niech da wam miłość aż do grobowej deski.

- Za Seana i Moirę! - rozległo się echo dookoła.

Potem dzbany stuknęły o siebie i starym zwyczajem wychylono je do dna, przy czym Mary była jedyną, która rzeczywiście wypła trunek aż do ostatniej kropli, ponieważ pozostali przyglądali się jej ze zdumieniem. Nigdy jeszcze nie widzieli przedstawiciela szlachty, który jednym haustem wychyla do dna dzban piwa.

- Dobrze - rzekła Mary, odstawiła dzban i grzbietem dłoni starła pianę z ust. - A teraz życzę wam wszystkim udanej weselnej zabawy.

Niech wasza zabawa będzie radośniejsza i bardziej beztroska niż ten smutny ceremoniał, który odbywa się tam, po drugiej stronie muru.

Na pożegnanie ukłoniła się zebrany i odwróciła, zamierzając wyjść, gdy nagle Moira zrobiła krok do przodu.

- Milady!

- Tak, moje dziecko?

- Pani... pani nie musi stąd iść, jeśli sobie tego nie życzy. Sean i ja bardzo byśmy się ucieszyli, gdyby pani mogła z nami zostać.

Oczywiście tylko pod warunkiem, że pani sobie tego życzy...

- Nie - odparła Mary. - To nie jest najlepszy pomysł. Zapewne chcecie być tylko w swoim gronie. Moja obecność zakłócałaby pewnie przebieg waszej zabawy.

- Mnie wcale by to nie przeszkadzało - odparła ze swadą Moira. - I Seanowi z pewnością też nie. Chyba że woli pani sobie pójść.

Mary, która stała już na progu, zawróciła. Ogarnęła ją nagle osobliwa melancholia i znów musiała wzbraniać się przed łzami wzruszenia.

- Chcecie, żebym z wami została? - upewniła się. - Na waszym weselnym przyjęciu?

-Jeśli się pani tak podoba, milady.

Mary nie mogła powstrzymać uśmiechu, a łzy znów spłynęły jej po policzkach.

- Oczywiście, że się podoba - zapewniła. - Chętnie zostanę, jeśli mi wolno.

- Czy zatem, milady, uczyni mi pani ten zaszczyt i pozwoli zaprosić się do tańca? - zapytał Sean, a w izbie znów raptem zapanowała grobowa cisza.

Już sam fakt, że wysoko urodzona dama opróżniła do dna dzban z piwem i że zaproszono ją na przyjęcie weselne w domu czeladnym, był

niezwykły. Natomiast to, że pomocnik kowala ośmielił się zaprosić ją do tańca, graniczyło już z obrazą majestatu.

Zebrani goście zdawali sobie z tego sprawę nazbyt dobrze, niemal z przestachem spoglądali na Mary, która natychmiast zrozumiała, że ci ludzie pod rządami klanu Ruthvenów rzadko mieli powód do uśmiechu. Również Sean zdawał się powoli pojmować, że poważił się na zbyt wiele, i z pokorą opuścił wzrok.

- Ależ oczywiście, zatańczę z tobą - przemówiła Mary, przerywając ciszę. - Pod warunkiem oczywiście, że twoja świeżo upieczona małżonka nie ma nic przeciwko temu.

- Rze... rzeczywiście? - zapytał osłupiały Sean.

- Naturalnie, że nie, milady - odparła pospiesznie Moira. -

Dlaczego miałabym mieć coś przeciwko?

- W takim razie niech muzykanci coś zagrają - zażądała Mary ze śmiechem. - Ale coś szybkiego i radosnego, jeśli wolno mi prosić. I bądźcie wobec mnie pobłażliwi. Obawiam się, iż nie znam waszych tańców.

- W takim razie chętnie panią nauczę, milady - zapewnił Sean.

Gestem dał znak trójce grajków, żeby wzięli się do roboty. Chwilę później żwawy rytm bębenka oraz wesołe tony fletu wypełniły pomieszczenie. Pomocnik kowala skłonił głowę przed Mary i wziął ją za rękę, a chwilę później pociągnął ją na małą powierzchnię służącą do tańca.

W okamgnieniu pozostali weselnicy utworzyli krąg wokół

tańczącej pary i klaskali oraz przytupywali w rytm muzyki. Mary roześmiała się radośnie. Jej śmiech brzmiał srebrzyście i lekko i miała uczucie, jakby niezmiernie ciężki kamień spadł jej z serca. Uwolniona od przymusu etykiety i konwenansów czuła się swobodnie i po raz pierwszy od wyjazdu z Abbotsford znów doznała uczucia, że jest żywą, oddychającą istotą.

Młody Sean był tancerzem pełnym temperamentu. Zanim Mary zdołała opanować chociażby jeden krok, zakręcił nią na deskach podłogi i wycinał przy tym radosne hołubce. Mary szybko zorientowała się, że nie obowiązywał tutaj żaden ceremoniał, że nie było figur ani ukłonów, których należało trzymać się w tańcu. Dała się po prostu ponieść melodii i poruszała się w takt muzyki. Krynolina jej ciężkiej sukni unosiła się przy tym w górę niczym dzwon, co najwyraźniej sprawiło ogromną radość dzieciarni, która kwitowała to swawolnym śmiechem.

-Zdążyłeś się już natańczyć, ty młokosie- rzekł stary Szkot, w którym Mary rozpoznała starego stajennego zamku. - Twoja oblubienica czeka już tęsknie na ciebie. Pozwól mi teraz zatańczyć z damą.

- Jak sobie życzysz, wuju - odparł z szerokim uśmiechem Sean i ustąpił miejsca.

Stary sługa uklonił się przed Mary.

- Gzy pozwoli pani, milady? - zapytał z gracją.

Mary nie mogła powstrzymać śmiechu.

- Jak mogłabym odmówić tak szarmanckiej prośbie, mój panie

- odparła rozpromieniona.

Chwilę później znalazła się w jego ramionach i wykręcała piruety.

Z temperamentem i zwinnością, o którą trudno byłoby posądzać człowieka w tym wieku, stary stajenny poruszał się po tanecznym klepisku, wycinał hołubce w powietrzu i uderzał piętami o siebie, jak gdyby siła ciężkości w ogóle go nie dotyczyła. Mary obracała się w kółko w takt muzyki. Serce jej waliło jak młot, a policzki zrobiły się purpurowe.

Muzyka wybrzmiewała. Zanim jednak Mary mogła odsapnąć, zaczęła się już następna melodia, która była jeszcze bardziej żwawa i skoczna od tej zagranej przed chwilą. Kilkoro dzieci podeszło, wzięło Mary za ręce i tańczyło z nią w kółko, a na krótką chwilę młoda dama zapomniała o swych troskach.

Przestała myśleć o Malcolmie Ruthvenie oraz o smutnym losie, jaki ją czekał.

Nie zauważyła też złowrogich chmur, które zbierały się nad jej głową.

Z ciężkim sercem sir Walter zdecydował się pójść za radą Dellarda i wyjechać do Edynburga. Chociaż zdawał sobie sprawę, że jest to najlepsze wyjście dla jego bliskich, z wielkim smutkiem pożegnał się ze swoją ukochaną wiejską posiadłością.

Na miejscu zostali tylko stary Mortimer oraz ogrodnicy i rzemieślnicy, którzy mieli pilnować domostwa. Reszta czeladzi dostała od lady Charlotte wolne. Jedynie służba domowa oraz pokojowe miały towarzyszyć rodzinie w podróży do Edynburga.

Wyjazd z Abbotsford odbył się w piątkowy ranek, kiedy to, jak stwierdził sir Walter, pogoda zupełnie nie dopisała. Niebo miało szarą barwę, zakrywała je warstwa chmur i lało jak z cebra. Droga była do tego stopnia rozmiękczone, że powozy z ledwością posuwały się do przodu.

Podczas podróży do Edynburga sir Walter niemal nie odezwał się ani słowem. Widać było po nim, że odwrót z Abbotsford traktował jako osobistą porażkę i że gdyby chodziło tylko o niego, nigdy by się nie ugiął.

Także Quentin, który jechał w jednym powozie razem z państwem Scottami, nie tryskał humorem. Wprawdzie nie miał nic przeciwko opuszczeniu Abbotsford i wydostaniu się poza zasięg zamaskowanych buntowników, jednakże nie była mu w smak podróż do Edynburga i powrót na łono rodziny. W krótkim czasie, który spędził na usługach wuja, dopiero zaczął odkrywać możliwości, jakie się w nim kryły. Jeśli

teraz tak nieoczekiwanie powróci do domu, wkrótce znów stanie się takim człowiekiem, jakim był. Tym, który w oczach rodziny nie nadaje się do niczego.

Z uwagi na pogodę podróż przebiegała z móżolem i trwała dłużej, niż przewidywano. Dopiero w niedzielę sir Walter i jego bliscy dotarli do Edynburga. Dom Scottów usytuowany był przy Castle Street, w sercu starówki, u podnóża góry, która zwieńczona była wielkim i majestatycznym zamkiem królewskim.

Quentin czuł ciężar na sercu, gdy powóz stanął pod miejskim domem Scottów. Podróż nieodwołalnie dobiegła kresu, a wraz z nią przygoda, jaką przeżył u boku sir Waltera. Z jego gardła wydostało się ciężkie westchnienie, gdy stangret otworzył drzwi i rozłożył schodki.

- Co się z tobą dzieje, mój drogi chłopcze? - zapytała łagodnie i współczująco lady Charlotte. - Czy podróż ci nie służyła?

- Nie, ciociu. Nie o to chodzi.

- Jesteś blady, a na czoło wystąpił ci pot.

- Czuję się dobrze - zapewnił Quentin. - Proszę, nie martw się.

Chodzi tylko o to...

- Sądzę, iż wiem, co doskwiera naszemu protegowanemu, moja droga - wtrącił się do rozmowy sir Walter i po raz kolejny dał dowód tego, że jego znajomość ludzkiej natury rzeczywiście jest godna wszelkiego szacunku i podziwu. - Sądzę, iż nie za bardzo spieszy mu się do domu, ponieważ jeszcze nie przekonał się, czego w życiu szuka.

Mam rację?

Quentin nic nie odrzekł, lecz zrezygnowany opuścił wzrok i

przysiadł.

- Cóż, mój chłopcze, sądzę, iż jestem w stanie ci pomóc. Ponieważ  
zwolniłem moich studentów, a zamierzam tu w Edynburgu  
kontynuować pracę nad powieścią, potrzebny mi będzie koniecznie  
pilny i pracowity pomocnik.

- Chcesz... przez to powiedzieć, że mogę zostać?

- Nigdy nie powiedziałem, że musisz odejść, mój chłopcze -

odparł ze śmiechem sir Walter. - Napiszemy list do twojej rodziny, że  
jesteś znowu w mieście. Poza tym powiadomię ich, że jestem z twoich  
posług bardzo zadowolony i że w dalszym ciągu będzie mi potrzebne  
twoje wsparcie.

- Naprawdę zrobisz to dla mnie?

- Naturalnie, mój chłopcze. I to wcale nie będzie kłamstwo.

Ponieważ rzeczywiście jest kilka spraw, które zamierzam tutaj  
załatwić, a przy których potrzebna będzie mi pomoc. - Sir Walter  
wypowiedział te słowa niemal tajemniczym szeptem, co sprawiło, że  
czoło jego małżonki pokryło się zmarszczkami.

- Nie troskaj się, moja kochana - dodał, tym razem głośniej. - Tu  
w Edynburgu jesteśmy bezpieczni. Tu nic nie może nam się stać.

- Żywię taką nadzieję, mój kochany. Rzeczywiście mam taką  
nadzieję.

Wyszli z powozu i weszli do domu, który przez wysłanych  
wcześniej służących został już przygotowany do zamieszkania. W



kominkach pokoi trzaskał radośnie ciepły ogień, a po całym domu rozchodził się aromat herbaty oraz świeżo upieczonego ciasta.

Lady Charlotte, zmęczona i wyczerpana trudami podróży, wkrótce udała się do sypialni. Natomiast sir Walter skierował kroki do pracowni, która tutaj również była urządzona. W porównaniu z dużym gabinetem w Abbotsford ten jednak był niemalże spartański. Jedynymi meblami były biurko i przeszklona szafa, poza tym nie było tutaj obszernej podręcznej biblioteki, takiej jak w Abbotsford.

W związku z tym sir Walter kazał zapakować nieco książek i wysłał je kilka dni wcześniej do Edynburga. Teraz na barki Quentina spadł obowiązek posegregowania ich tematycznie i umieszczenia w przeszklonej szafie, podczas gdy sir Walter raczył się kieliszkiem szkockiej whisky, która leżakowała w piwnicy domu.

- A zatem jesteśmy - odezwał się cichym, niemal zrezygnowanym głosem. - Nigdy bym nie pomyślał, że do tego dojdzie. Uciekliśmy tchórzliwie i zostawiliśmy wolne pole tym przestępcom.

- To była właściwa decyzja - wyraził opinię Quentin.

Sir Walter skinął głową.

- Również ty, mój chłopcze, przekonasz się jeszcze nieraz, iż na wet podejmując właściwe decyzje, miewa się poczucie porażki.

- Ale ty przecież nie jesteś przegranym, wuju. Jesteś przewodniczącym Sądu Najwyższego i znaną osobistością. Więc ponosisz określoną odpowiedzialność. Właściwym więc posunięciem było opuszczenie Abbotsford. Inspektor Dellard potwierdzi ci to przy

każdej okazji.

- Dellard - sir Walter roześmiał się, jednak bez cienia radości. -

Sądysz więc, że powiedział nam prawdę. To znaczy, całą prawdę?

- Tak sędzę. W każdym razie wszystko pasuje. Czyż nie? W ten sposób da się wyjaśnić wszystko, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dni i tygodni.

- Rzeczywiście? - sir Walter pociągnął łyk szkockiej. - Nie wiem, mój chłopcze. W trakcie długiej podróży z Abbotsford do tego miejsca miałem dużo czasu na rozmyślanie i z każdym pokonywanym kilometrem narastały we mnie wątpliwości.

- Wątpliwości? Na jaki temat? - zagadnął Quentin, czując, jak znów zakrada się do jego duszy złowieszcze przeczucie.

- Ci podpalacze i mordercy, ci rzekomi buntownicy. Dlaczegoż tamtej nocy na nas napadli? Najwyraźniej nie chodziło im o to, by nas zabić, gdyż mogli to uczynić bez trudu z uwagi na liczebną przewagę.

- Zakładam, że przepędził ich mój strzał - zaproponował Quentin.

- Być może. Ale też możliwe, że chcieli przekazać nam ostrzeżenie. Dlatego rozpalili ogień po drugiej stronie rzeki. Chcieli nam w ten sposób dać do zrozumienia, z kim mamy do czynienia.

- Ale inspektor Dellard twierdzi...

- Wiem, co twierdzi inspektor Dellard. Znam jego teorię. Ale im więcej o tym myślę, tym bardziej jestem przekonany, iż on się myli.

Albo że wciąż nie powiedział nam całej prawdy dotyczącej członków sekretnej bractwa oraz ich zamiarów.

- Do czego właściwie zmierzasz, wuju? - zapytał ostrożnie Quentin.

- Do tego, że nie zostawimy biegu spraw samemu sobie - odparł sir Walter, potwierdzając tym samym najgorsze obawy siostrzeńca. - Ugiąłem się pod racjami rozumu i wywozłem w bezpieczne miejsce moją rodzinę. Lecz nie znaczy to, że będę z założonymi rękami czekał beczynnie, aż ktoś inny za nas rozwiąże sprawę. Także tu, w Edynburgu, otwierają się przed nami rozmaite możliwości.

-Jakie możliwości? - Quentin nie robił tajemnicy z tego, że wcale nie był zadowolony z zamiarów wuja.

Pomysł, żeby zostawić sprawę Dellardowi oraz jego ludziom i w końcu nie mieć z tym nic do czynienia, zdecydowanie przypadł mu do gustu.

- W tym mieście jest ktoś, z kim porozmawiamy o tej sprawie - oznajmił sir Walter. - Osoba ta zna się na starodawnych alfabetach i jest biegła w piśmie runicznym. Być może będzie nam w stanie powiedzieć coś więcej o znaku miecza, niż zechcieli nam wyjawić Dellard i opat Andrew.

- Ktoś, kto zna się na runach? - zapytał Quentin, robiąc wielkie oczy. - A zatem rzeczywiście nie chcesz zostawić tej sprawy w spokoju, wuju? Wciąż wierzysz, że coś przed nami ukrywają i że twoim zadaniem jest dojście do prawdy?

Sir Walter przytaknął.

- Nie jestem w stanie wyjaśnić ci, skąd bierze się to moje

podejście do sprawy, mój chłopcze. Co oczywiste, rodzinie Scottów przypisuje się ośli upór, ale to nie jest jedyna przyczyna. To raczej jakieś przeczucie, instykt. Coś mi mówi, że za tą sprawą kryje się znacznie więcej, niż do tej pory udało nam się odkryć. Być może nawet więcej, niż przeczuwa inspektor Dellard. Wydaje się, że mnisi z Kelso chronią jakąś pradawną tajemnicę, i to właśnie budzi moją troskę.

- Dlaczego nie powiedziałeś tego Dellardowi?

- Żeby jeszcze bardziej nastawił się przeciwko nam? Nie,

Quentinie. Dellard jest oficerem. Mówi i myśli jak brytyjski żołnierz.

W jego pojęciu rozwiązanie sprawy oznacza wysłanie dragonów i wystrzelanie wszystkich buntowników. Ja jednak chcę czegoś więcej,

rozumiesz? Nie tylko chcę, żeby odpowiedzialni za zbrodnie stanęli

przed wymiarem sprawiedliwości. Pragnę też wiedzieć, kto w

rzeczywistości kryje się za tymi wydarzeniami. Chcę zrozumieć,

dlaczego Jonathan musiał umrzeć i dlaczego dybano na nasze życie. I

sądzę też, że winni jesteśmy wyjaśnienie lady Mary. Nie uważasz?

Quentin przytaknął. W międzyczasie zdążył poznać wuja na tyle

dobrze, by wiedzieć, że imię Mary Egton nie padło przypadkowo. Poza

tym Quentin nie zamierzał dalej przekonywać wuja do tego, czego nie

uważał za właściwe.

- A jeśli tu nie ma nic do rozumienia? - wysunął argument. - Jeśli

inspektor Dellard ma rację i chodzi tylko o bandę przestępców, którzy

darzą nienawiścią Anglików i walczą z każdym, kto ma z nimi coś

wspólnego?

- W takim przypadku - złożył obietnicę sir Walter - wrócę do  
mojego domu i w przyszłości ograniczę się wyłącznie do pisania po  
wieści. I tak mam już spore opóźnienia. Ale jeśli mam rację, mój  
chłopcze, być może wielu będzie nam dziękowało za naszą  
dociekliwość.

Quentin pogрузzył się w myślach. Nie był w stanie zaprzeczyć, iż  
wszystko, co przeżywał razem z wujem, mimo całego  
niebezpieczeństwa traktował jak przygodę. Czuł się przy tym tak  
dziarsko, jak nigdy wcześniej. Poza tym odkrył w sobie pewne  
przymioty, których istnienia nigdy nawet nie przeczuwał. No i  
oczywiście była jeszcze lady Mary. Quentin nie uczyniłby niczego  
innego z większą ochotą, niż odbycie podróży do Ruthven i złożenie jej  
relacji o tym, co jego wuj oraz on sam odkryli w tej sprawie.

Ale czy to było warte ryzyka?

Inspektor Dellard dał jasno do zrozumienia, że mordercy nie mają  
żadnych skrupułów i że już wielokrotnie wykazali, iż życie ludzkie nic  
dla nich nie znaczy.

Sir Walter, który dostrzegł powątpiewanie na twarzy siostrzeńca, z  
trudem zaczerpnął tchu.

- Nie mogę cię zmusić, byś dalej brnął w tę szaloną awanturę  
u boku swego starego wuja, mój chłopcze. Jeśli nie chcesz, ponieważ  
obawiasz się o własne życie, zrozumieć to i zaakceptuję. W każdej  
chwili masz wolny wybór, możesz opuścić moją służbę i wrócić do  
domu. Nie będę cię zatrzymywał.

Trafił w sedno. Jeśli bowiem istniało coś, czego Quentin w żadnym wypadku sobie nie życzył, było to odesłanie do domu, gdzie wciąż oceniano go, porównując z braćmi, którzy odnieśli sukces. I gdzie traktowano go jako dobrotliwego, lecz leniwego nicponia.

- Zatem dobrze, wuju - odparł głosem, który pozwolił domyślić się, iż przejrzał niewielki podstęp sir Waltera. - Zostanę przy tobie i będę cię wspierał, pod jednym wszakże warunkiem.

- Słucham, mój chłopcze.

- Ta próba będzie ostatnia. Jeśli osoba znajdująca się na runach nie da nam wyczerpującej informacji, zrezygnujesz z dalszych dociekań i zostawisz sprawę własnemu biegowi. Rozumiem dobrze twoje dążenie do wyjaśnienia sprawy. Wiem, iż wciąż jeszcze czynisz sobie wyrzuty z powodu śmierci Jonathana i że bardzo chciałbyś odkryć, kto za tym stoi. Wiem też, że czujesz się również odpowiedzialny za lady Mary. Ale być może jednak nie kryje się za tym nic więcej, wuju. Być może rację ma inspektor Dellard i rzeczywiście chodzi tu wyłącznie o bandę zabójców, która wyszukała sobie pradawny symbol i wykorzystuje go, by siać grozę i strach. Czy zatem obiecasz mi, że przynajmniej rozważysz taką ewentualność?

Sir Walter siedział w migotliwym blasku ognia i popijał małymi łyżkami z kieliszka. Spojrzenie, jakie skierował na Quentina, było osobliwe.

- Popatrzcie no - powiedział cichym głosem. - Zaledwie parę miesięcy upłynęło, a w tym czasie pisklęciu, jakie do mnie trafiło,

urośli skrzydła i ledwo co nauczył się latać, a już ośmiela się

wyznaczać reguły gry staremu orłowi.

- Wybacz, wuju - odparł bez zwłoki Quentin, który już zaczął

żałować śmiałych słów. - Nie chciałem, żeby to zabrzmiało

zarozumiale. Chodzi tylko o...

- Już dobrze, mój chłopcze. Wcale nie jestem na ciebie zły. Jest to

prostu nieco deprymujące doświadczenie, kiedy młode pokolenie

przemawia z mądrością i roztropnością, która jest właściwa starszym.

Masz absolutną rację. W końcu będę musiał skończyć z tą sprawą albo

będzie mnie ona wiecznie prześladować. Jeśli więc wizyta u profesora

Gainswicka nie przyniesie rezultatów, porzucę tę sprawę, nawet jeśli

przyjdzie mi to z trudem. Zgoda?

- Zgoda - odparł Quentin i nagle pojął, cóż takiego osobliwego

było w spojrzeniu, które skierował na niego wuj.

Po raz pierwszy wielki Walter Scott nie patrzył na niego jak na

zółtodzioba, który niewiele wie, lecz jak na dorosłego, jak na

równoprawnego partnera w poszukiwaniu prawdy.

Sir Walter znał dobrze Miltiadesa Gainswicka z dawnych czasów. W

trakcie studiów profesor, który od lat wykładał na Uniwersytecie w

Edynburgu, stał się przyjacielem i mentorem Scotta, z którym pisarz

przez wiele lat utrzymywał kontakt.

Na dobrą sprawę Gainswick nie był historykiem. Nauki

historyczne dla tego prawnika były raczej formą spędzania wolnego

czasu i hobby. Chociaż zdobył sobie w tej dziedzinie pewną sławę i

opublikował już kilka artykułów w renomowanym biuletynie „Scientia Scotia”. Specjalizował się w historii Celtów oraz wczesnych dziejach Szkocji, które szczególnie fascynowały tego uczonego rodem z Sussex. Jeszcze będąc w Abbotsford, sir Walter wysłał do Gainswicka list, w którym informował go o tym, że pragnie mu złożyć wizytę w Edynburgu. Wkrótce po przyjeździe pisarza do miasta profesor powiadomił go przez posłańca, iż ogromnie cieszy się na te odwiedziny.

Quentin, który wcześniej miał wątpliwości, zadeklarował, że chce wciąż stać u boku wuja w dalszych poszukiwaniach. Niemal pożałował tej decyzji, kiedy zobaczył, dokąd stangret kieruje powóz. Była to High Street, która prowadziła najpierw łagodnym, a później bardziej stromym wzniesieniem do zamku królewskiego, mijając katedrę St. Giles oraz budynek parlamentu, dobrze znany sir Walterowi, bowiem tutaj regularnie odbywały się posiedzenia szkockiego Sądu Najwyższego, któremu pisarz przewodniczył.

Przyczyną niemiłego odczucia Quentina był fakt, że High Street - lub Królewska Mila, jak nazywało ją pospólstwo - była jednocześnie ulicą, przy której znajdowało się zdecydowanie najwięcej nawiedzonych domów. Tutaj właśnie rozgrywały się wszystkie makabryczne historie, które opowiadał Max od duchów, strasząc nimi dzieci. I chociaż Quentin wiedział teraz, że były to czyste wymysły, nie był w stanie powstrzymać przeszywających go dreszczy.

Zapadał już zmrok, gdy dorożka dojechała do celu. Nocni



strażnicy w ciemnych szubach zajęci byli zapalaniem ulicznych latarni ustawionych w szeregu aż do samego zamku. Ich mdłe światło rozpraszało wprawdzie ciemność, jednak mimo to w oczach Quentina ta sceneria wciąż budziła niesłabnący lęk.

Wąskie i wysokie fasady budynków zwanych lands, znajdujących się przy High Street, sięgały ponuro i złowieszczo ku nocnemu niebu skrytemu za warstwą chmur. Od High Street prowadziły wąskie boczne uliczki otoczone murami bez okien, nazywane wynds, od których z kolei odchodziły ustronne tylne podwórza, nie bez kozery zwane *closets*. W mniej cywilizowanych czasach nierzadko zdarzało się tutaj, że czatowano na nieprzeczuwających niczego złego przechodniów i wbijano im nóż między żebra - ich niezaznające spokoju duchy, jak niosła wieść gminna, po dziś dzień krążyły po uliczkach i podwórkach...

Kiedy Quentin wysiadł z powozu, zrobił taką speszoną minę, że wywołało to uśmiech na twarzy sir Waltera.

- Co się z tobą dzieje, mój chłopcze? Nie zobaczyłeś przypadkiem jakiegoś upiora?

Quentin wzruszył ramionami.

- Nie, wuju. Oczywiście, że nie. Mimo to nie podoba mi się ta okolica.

- Muszę cię rozczarować, jeśli chodzi o zagrożenie. W ostatnich latach nikt nie widział żadnego upiora przy High Street. Zatem możesz się uspokoić.

- Naśmiewasz się ze mnie.

- Tylko odrobinę - odparł z uśmiechem sir Walter. - Proszę, wybaczyć, ale wydaje mi się zabawne to, z jakim uporem wciąż wśród naszego ludu utrzymuje się wiara w zabobony i przesady, mimo wszelkich postępów oświaty. Być może nie różnimy się od naszych przodków tak bardzo, jak byśmy tego chcieli.

- Gdzie mieszka profesor Gainswick? - zapytał Quentin, chcąc zmienić temat rozmowy.

- Przy końcu tej uliczki - odparł sir Walter, wskazując na jedną z *wynds*.

Quentin znów zrobił nadąsaną minę, lecz wuj specjalnie udał, iż tego nie widzi.

Sir Walter polecił stangretowi, by poczekał. Potem ruszyli w kierunku domu profesora, który rzeczywiście znajdował się przy końcu *wynds*, po drugiej stronie niewielkiego tylnego podwórka. Ciemna fasada, wysokie okna i strzelisty dach sprawiały, że dom ten rzeczywiście wyglądał jak domy ze starych opowieści o duchach, w których straszło, a perspektywa spędzenia wieczoru w towarzystwie leciwego uczonego niespecjalnie przypadła Quentinowi do gustu.

Jednak skoro tylko zobaczył profesora, te uprzedzenia natychmiast się rozwiały. Uczony, który już od lat przebywał na emeryturze, był jowialnym staruszkiem. Nie żyłastym, ascetycznym Brytyjczykiem, lecz czło-

wiekiem z wyraźnym brzuchem, zdradzającym raczej dziwaczny tryb

życia. Jego głowa już niemal całkowicie wyłysiała, jednak twarz zdobiła siwa broda, która sięgała aż do policzków. Małe chytre oczy spoglądały spod krzaczastych brwi. Zaczerwieniona twarz profesora pozwalała domyślać się, że oprócz wielu innych zalet Szkocji wysoko cenił również szkocką whisky. Jego przysadziste ciało było ubrane w męski płaszcz w szkocką kratę, natomiast na nogach miał dopasowane do tego pantofle.

- Walterze, mój przyjacielu - zawołał radośnie, kiedy sir Walter i Quentin weszli do przyjemnie umeblowanego pokoju gościnnego, w którym profesor Gainswick siedział na dużym skórzanym fotelu ustawionym przed kominkiem.

Powitanie było serdeczne. Gainswick objął swego byłego studenta, który jak twierdził, był źródłem „tak wielkiej dumy i honoru”, następnie z wylewną radością przywitał się z Quentinem.

Zaproponował im miejsca przy kominku i nalał każdemu z nich whisky, szczególnie dobrej marki, czego nie omieszkał podkreślić. Na koniec wznosił toast za zdrowie swego słynnego protegowanego i zgodnie ze starą tradycją opróżnili kieliszki.

Ten niepozorny trunek o bursztynowym kolorze wywołał u Quentina, który nigdy w życiu nie kosztował whisky, piorunujący efekt. Nie dość, że poczuł w gardle żywy ogień, to jeszcze doszło do tego wrażenie, jak gdyby ktoś przestawił dom profesora Gainswicka do góry nogami. Z czerwoną jak burak twarzą odstawił kieliszek i usiłował przynajmniej zachować resztki godności, utrzymując się na

fotelu, oddychając rytmicznie i wachlując się.

Gainswick w swej egzaltacji nie zauważył niczego, a jeśli sir Walter nawet coś dostrzegł, nie dał tego po sobie poznać. Również on wydawał się cieszyć z tego, że po długim czasie zyskał ponowną sposobność spotkania swego mentora. W gorączkowym zapale wymieniali się wspomnieniami, zanim wreszcie rozmowa zesłała na właściwy powód ich wizyty.

-Walterze, mój drogi chłopcze - rzekł profesor. - Chociaż bardzo się cieszę, że twoja droga zechciała znowu poprowadzić do mojego skromnego domostwa, to jednak zadaję sobie pytanie, jaki może być prawdziwy powód twojej wizyty. Wiem, że jesteś człowiekiem niezwykle zajęтым, zatem nie zakładam, że sprowadziła cię wyłącznie tęsknota za dawnymi czasami.

Profesor spojrział badawczo na swego byłego studenta. Sir Walter nie zamierzał zbyt długo męczyć swego mentora zgadywaniem.

- Ma pan rację, profesorze - wyznał. - Jak już pan wie z listu, w mojej posiadłości doszło do osobliwych i niepokojących wydarzeń, a mój siostrzeniec i ja zajmujemy się obecnie ich wyjaśnieniem. Niestety w naszych dociekaniach trafiliśmy na ślepią uliczkę i mamy nadzieję, że być może będzie nam pan w stanie pomóc.

- Pochlebiasz mi - zapewnił Gainswick, a w jego małych oczach pojawił się podstępny błysk. - W każdym razie nie jestem sobie w stanie wyobrazić, w jaki sposób miałbym wam pomóc. Wprawdzie czuję odrazę do tego, co przydarzyło się pańskiemu studentowi, i

bardzo bym chciał, żeby odpowiedzialni za to zostali schwytani, to jednak nie widzę, w czym mógłbym tutaj pomóc. Wydaje się, że bardziej jest ci potrzebna pomoc policji niż starego człowieka, który posiadał parę skromnych umiejętności.

- To nie jest powiedziane - zaproponował sir Walter. - W moim liście nie wyjawiałem panu wszystkiego, sir. Po części dlatego, że obawiałem się, iż list mógłby zostać przechwycony przez stronę przeciwną. A po części również dlatego, że wolałem panu pokazać wszystko osobiście.

- Chcesz mi coś pokazać? - profesor nachylił się z zaciekawionym, a jego wzrok znów był żywy jak u małego chłopca. - Co to jest?

Sir Walter sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta i wyjął z niej kartkę, którą rozłożył i przekazał Gainswickowi. Na arkuszu widniał naszkicowany wizerunek znaku miecza.

Z mieszaniną zdziwienia i ciekawości profesor wziął kartkę i rzucił na nią krótkie spojrzenie - jego zarumieniona od alkoholu twarz nagle zrobiła się raptownie biała jak kreda. Z jego piersi dobiegło ciche jęknięcie, a kąciki ust wykrzywiły się.

- Co panu jest, profesorze? - zaniepokoił się Quentin. - Czy źle się pan czuje?

- Nie, mój chłopcze - pokiwał szybko głową. - Nic mi nie jest. Ten symbol. Gdzie i kiedy na niego natrafiłeś?

- Wielokrotnie - odpowiedział sir Walter. - Po raz pierwszy odkrył go Quentin w bibliotece w Kelso, tuż przed tym, jak nieznani sprawcy podłożyli w niej ogień. Symbol wydał mi się znajomy i przypomina-

łem sobie, że jest on również godłem rzemieślniczym, które widnieje na kilku drewnianych panelach z kościoła klasztornego Dunfermline, a które obecnie znajdują się w moim domu. Kiedy następnym razem widzieliśmy ten znak, płonął nocą w postaci ognistej pożogi. Wtedy można było go zobaczyć z daleka.

- Ognisty sygnał - powtórzył Gainswick, a jego twarz zrobiła się jeszcze bledsza. - Kto zapalił ten ogień?

- Buntownicy, rabusie, członkowie sekretnego bractwa, prawdę powiedziawszy, nie wiem - wyznał sir Walter. - I to właśnie jest powód naszej wizyty. Miałem nadzieję, że pan ze swoją wiedzą wniesie nieco światła do tej sprawy.

Jak zauroczony Gainswick przyglądał się rysunkowi i nie był w stanie oderwać od niego wzroku. Quentin dostrzegł, że dłonie starego uczonego drżały, i zadał sobie pytanie, cóż mogło tak bardzo zaniepokoić profesora.

Gainswick potrzebował chwili, by zapanować nad emocjami.

- Czego zdołałeś się dowiedzieć jak dotąd? - zapytał.

- Mimo wszelkich wysiłków niezbyt wiele - przyznał sir Walter. -

Tylko tyle, że ten znak jest wykorzystywany przez bandę buntowników i że w runicznym języku oznacza on miecz.

- Oznacza nieporównanie więcej niż tylko to - skomentował

Gainswick i podniósł wzrok, a spojrzenie, które skierował na gości, spodobało się Quentinowi.

- Ten znak - kontynuował głosem ściszym do szeptu - właściwie

nie powinien istnieć. Należy do zestawu zakazanych runów, które przed tysiącami lat były obiektem hołdu i czci druidów. Sięgają one bardzo mrocznych pogańskich pradziejów.

- To już nam powiedziano - przytaknął sir Walter. - Ale co właściwie oznacza ten symbol. Dlaczego został zakazany?

- W zamierzchłych czasach - podjął Gainswick głosem, który sprawił, że Quentinowi przeszły ciarki po plecach - dawne ludy wyznawały jeszcze wiarę w bóstwa natury, a druidzi byli potężni i otaczano ich szacunkiem. Byli mędrkami i mistykami, wieszczami, a niekiedy nawet czarownikami.

- Czarownikami? - zapytał Quentin i można było zobaczyć, jak w jego szyi jabłko Adama przesuwa się raz w górę, raz w dół.

- To tylko zabobony - uspokoił go sir Walter. - Nic, czym musiałbyś się niepokoić.

- Kiedyś również ja tak myślałem - podjął Gainswick i ściszył głos jeszcze bardziej. - Ale mądrość przychodzi wraz z latami, a w podeszłym wieku zaczyna się rozumieć wiele rzeczy, które za młodu są przed człowiekiem ukryte. Dzisiaj wierzę, iż między niebem a ziemią istnieje więcej rzeczy, niż współczesna nauka jest skłonna przyznać.

- Cóż mianowicie? - zapytał sir Walter niemal rozbawiony. - Czy chce nam pan wmówić, że druidzi z wczesnych dziejów rzeczywiście potrafili czynić czary, profesorze? Wzbudza pan strach w biednym Quentinie.

- Nie taki jest mój zamiar. Ale pytałeś mnie, z czym macie tutaj do czynienia, mój drogi Walterze. A prawda jest taka, że zadaliście się z ciemnymi mocami.

- Z ciemnymi mocami? Jak mam to rozumieć?

- W tamtych zamierzchłych czasach - kontynuował Gainswick - istniały dwie kategorie druidów. Jedni podążali ścieżką światła i wykorzystywali wiedzę do czynienia dobra, do leczenia i do podtrzymywania życia. Ale istniała też druga grupa, tych, którzy te zdolności wykorzystywali w niecznych celach, do zdobywania i poszerzania władzy oraz do wpływania na ludzkie losy. By osiągnąć swoje cele, nie wahali się przed żadną niegodziwością, składali ofiary z ludzi i odprawiali makabryczne rytuały. Członkowie tych tajemnych sekt nosili ciemne opończe, a twarze kryli pod maskami, żeby nikt nigdy nie mógł poznać ich tożsamości. Oprócz normalnych runów, za pomocą których druidzi strzegli swoich tajemnic i przepowiadali przyszłość, ta grupa wykorzystywała jeszcze inne znaki. Ciemne znaki o mrocznym znaczeniu.

- Mówi pan zagadkami, sir - rzekł sir Walter, który kątem oka dostrzegł, jak Cjentin wierci się na fotelu.

- Nazwali siebie Bractwem Runów i wyparli się starej nauki.

Zamiast tego hołdowali demonicznym mocom zyskanym dzięki nowym znakom, tak przynajmniej głosi tradycja. Prawomyślni druidzi unikali i obawiali się tych świętych znaków i w końcu zaczęto to sekretne bractwo zwalczać. Większość zakazanych runów z biegiem



tysiącleci odeszła w niepamięć. Oprócz tego: znaku miecza.

- Jakie jest jego znaczenie? - zapytał Quentin najwyraźniej już podenerwowany.

Profesor roześmiał się.

- Tego nie wiem, mój chłopcze, ale coś z pewnością jest **na** rzeczy. To nie ulega wątpliwości.

- Dlaczegoż to? - chciał wiedzieć sir Walter.

- Ponieważ źródła, które się zachowały, potwierdzają to. Przed kilkoma laty w królewskiej bibliotece natrafiłem na stary manuskrypt zapisany łaciną. Była to rozprawa pewnego mnicha, który zajmował się pogańskim pismem runicznym. Niestety dokument nie był kompletny, stąd też nie mogłem do końca zorientować się, jaki był przedmiot tych studiów. Jednak na stronicach, które odnalazłem, autor zajmował się między innymi zakazanymi runami.

- I? Cóż o tym napisał?

- Że Bractwo Runów nie przestało istnieć. Że część przetrwała aż do początków naszej ery i że później wywierała znaczący wpływ na historię Szkocji.

- Słucham?

- Jak napisano w dokumencie, niektóre wybitne postacie szkockiej historii były związane blisko z bractwem lub przynajmniej znajdowały się w zasięgu jego wpływów, między innymi także hrabia Robert Bruce.

- Przenigdy! - zaprzeczył stanowczo sir Walter.

- Mój drogi Walterze - odparł profesor Gainswick z

młodzieńczym uśmiechem. - Wiem, że wszyscy Szkoci darzą Bruce'a głęboką sympatią. W końcu był tym, który zjednoczył klany i zwyciężył Anglików. Ale niestety mają skłonność do umieszczania historycznych osobistości na zbyt wysokim cokole. Również król Robert był tylko człowiekiem. Ze wszystkimi słabościami i wadami, które są przypisane ludziom. Był człowiekiem, który podejmował decyzje o daleko idących konsekwencjach i na którego barkach spoczywała ogromna odpowiedzialność. Czy myśl, iż mógł się otoczyć fałszywymi doradcami, jest ci tak bardzo odległa?

Sir Walter zastanowił się. Spostrzegł, że niezbyt chętnie wymieniał jednym tchem narodowych bohaterów Szkocji i członków sekretnego bractwa. Z drugiej strony argumenty profesora Gainswicka trzymały się kupy, a logiczny umysł Waltera Scotta nie potrafił ich obalić.

- Załóżmy więc, że ma pan rację, profesorze - podjął rozmowę.

- Wyjdźmy z założenia, że Bractwo Runów istniało rzeczywiście jeszcze w wiekach średnich i że miało powiązania z najwyższymi sferami.

O czym to nam mówi?

- Mówi to nam, że wpływy bractwa były do tej pory w znacznym stopniu niedoceniane. A także o tym, że z jednej strony bractwo przywiązywało dużą wagę do tego, by nie pojawiać się w kronikach i annałach, z drugiej natomiast, że pisana historia tradycyjnie znajdowała się w rękach zakonów, których przełożeni nie wykazywali zainteresowania zapisywaniem w kronikach dziejów pogańskiego bractwa, które oddawało się czarnej magii. W historycznych prze

kazach niejednym raz zdarzało się, że pewne treści kronikarzy po prostu wymazywali, jeśli nie było to zgodne z ich przekonaniami.

Dokument, na który natrafiłem, był zaledwie fragmentem, który być może jedynie dzięki sprzyjającemu zrządzeniu losu zdołał przetrwać setki lat.

-Ale to... to mogłoby przecież oznaczać, że to bractwo rzeczywiście istnieje aż po dziś dzień - dokończył wnioskowanie bardzo ożywiony Quentin. - Oraz to, że właśnie z nim mamy do czynienia.

- Nonsens, mój chłopcze - sir Walter pokręcił sceptycznie głową. - Mamy do czynienia wyłącznie z kilkoma buntownikami, którzy jakimś sposobem dowiedzieli się o tej sprawie i którzy posługują się tym pradawnym znakiem, żeby szerzyć strach i przerażenie.

- Ale wszyscy jeźdźcy, których tamtej nocy widzieliśmy, byli w maskach - obstawał przy swoim Quentin. - A jak wiesz, opat Andrew przypisywał temu wydarzeniu duże znaczenie.

- Opat Andrew - profesor Gainswick uniósł krzaczaste brwi.

- A zatem w sprawę są zamieszani mnisi? Z jakiego zakonu?

- Premonstratensi - odparł sir Walter. - Zajmują niewielką siedzibę w Kelso.

- Również mnich, na którego dokument natrafiłem, był premonstratensem - dodał cichym głosem Gainswick.

- To może być czysty przypadek.

- Ale być może, kryje się za tym coś więcej. Być może istnieje

coś, co wiąże ze sobą ten zakon oraz Bractwo Runów. Coś, co sięga daleko w przeszłość, przetrwało setki lat i dzisiaj właśnie dało o sobie znać.

- Drogi profesorze, to wszystko są tylko spekulacje - powątpiewał sir Walter.

Profesor Gainswick dysponował pewnym talentem do teatralnych gestów, dzięki czemu jego wykłady były bez porównania bardziej interesujące niż wykłady innych uczonych. W tym przypadku jednak chodziło o fakty, nie zaś o niejasne przypuszczenia.

- Nie dysponujemy nawet jednym jedynym dowodem, który potwierdzałby, iż rzeczywiście mamy do czynienia ze spadkobiercami tegoż sekretne bractwa. Nie wiemy nawet, jakim celom służyło Bractwo Runów.

- Władza - odparł lakonicznie Gainswick. - Tym złoczyńcom nigdy nie chodziło o nic innego.

- Brakuje nam dowodów - powtórzył sir Walter. - Gdybyśmy chociaż dysponowali odpisem tamtego rękopisu, na który pan natrafił! Wtedy mógłbym pojechać do Kelso i rozmówić się z opatem Andrew. Lecz tak pozostają nam tylko przypuszczenia i domysły.

- Chciałbym bardzo ci pomóc, mój drogi Walterze. Jak już stwierdziłem, ta sprawa miała miejsce kilka lat temu. A ponieważ tajne sekty i rytuały niekoniecznie stanowiły główny przedmiot moich zainteresowań, nie zleciłem wykonania kopii tego dokumentu.

- Czy pamięta pan jeszcze, gdzie odnalazł pan tamten

manuskrypt?

- W bibliotece istnieje dział zbiorów fragmentów i palimpsestów, które nie zostały skatalogowane. Tam właśnie natrafiłem na rękopis, zupełnie przypadkiem. O ile dobrze sobie przypominam, nie był skatalogowany.

- Ale wciąż tam jest?

Gainswick wzruszył ramionami.

- Przy całym rozgardiaszu i chaosie nie jestem w stanie wyobrazić sobie, że ktoś inny zabrał ten manuskrypt. Musiałby celowo go poszukiwać.

- A więc dobrze - przytaknął sir Walter. - Jutro z rana Quentin i ja udamy się do biblioteki i zaczniemy szukać tego dokumentu. Jeśli go znajdziemy, będziemy mieli przynajmniej jakiś konkretny w rękę.

- Nie zmieniłeś się ani na jotę, mój drogi Walterze - stwierdził profesor z uśmiechem. - Z twoich słów wciąż przebija logiczne rozumowanie, które zaprzecza istnieniu wszystkiego, czego nie da się wytłumaczyć za pomocą racjonalnych argumentów.

- W końcu posiadam naukowe wykształcenie - odparł sir Walter. - I miałem wyśmienitego nauczyciela.

- Być może, ale ten nauczyciel z biegiem lat doszedł do przekonania, że nauka i racje rozumu nie stanowią kresu wszelkiej mądrości, lecz zaledwie jej początek. Im więcej się wie, tym częściej dochodzi się do przekonania, że w zasadzie nie wie się nic. A także im bardziej usiłuje się opisać świat naukową wiedzą, tym bardziej

wymyka się on temu opisowi. Ja dla przykładu uznałem, że istnieją rzeczy, których po prostu nie da się wyjaśnić. I radzę ci, byś uczynił tak samo.

- Czegóż pan ode mnie oczekuje, profesorze? - sir Walter nie mógł powstrzymać uśmiechu. - Że dam wiarę w jakieś czary? W czarną magię? W demony i mroczne rytuały?

- Robert Bruce również to uczynił.

- Nie posiadamy żadnego dowodu, który by to potwierdzał.

Gainswick westchnął.

- Widzę, mój przyjacielu, że nie dotarłeś jeszcze tak daleko. W podeszłym wieku, o czym cię zapewniam, wiele rzeczy postrzega się zupełnie inaczej. Ale mimo to radzę ci, byś zachował ostrożność.

Przyjmij tę radę starego szalonego profesora, który nie chce, by tobie lub twojemu młodemu protegowanemu coś się przydarzyło. Tego znaku miecza i tej tajemnicy, która się za nim kryje, w żadnym razie nie należy lekceważyć. Chodzi tu o władzę i o wpływy. O to, by kształtować historię, by wywierać wpływ na jej bieg za pomocą sił, które znajdują się poza naszym pojęciem. Nie jest to jakaś tam sobie walka, na której ślady natrafiłeś. Jest to najważniejsza walka między światłem a ciemnością, tocząca się od zarania dziejów. Nigdy o tym nie zapominaj.

Przenikliwy wzrok, którym uczony świdrował swych gości, zupełnie nie przypadł Quentinowi do gustu. Nagle poczuł się źle w swojej skórze i najchętniej wstałby i wyszedł z tego domu, gdyby nie

było to grubiańską nieuprzejmością.

Jego wuj być może za nic miał demony i mroczne rytuały.

Jednakże Quentina taka rozmowa napawała głębokim lękiem.

Wprawdzie

na własne oczy widział, że jeźdźcy, którzy najechali tamtej nocy na

Abbotsford, nie byli duchami, lecz istotami z krwi i kości, teraz jednak

im więcej dowiadywał się na ten temat, tym większą grozą go to

wszystko napawało.

Czy rzeczywiście mieli do czynienia ze spadkobiercami

sekretnego bractwa, którego korzenie sięgały setki, jeśli nie tysiące lat

wstecz? Które było tak potężne, że w znacznym stopniu wywarło

wpływ na bieg szkockich dziejów? Zatem z pewnością człowiek w sile

wieku oraz niedoświadczony młodzieniec nie byli osobami, które

powinny tę tajemnicę wyciągnąć na światło dzienne...

- Nie zapomnę tego - obiecał sir Walter ku wyraźnej uldze Quen-

tina, chociaż ten ostatni przeczuwał, iż Scott powiedział te słowa

bardziej z szacunku dla starego nauczyciela niż z rzeczywistego

przekonania. - Dziękujemy za pańskie informacje i obiecuję panu, że

zachowamy najwyższą ostrożność.

- Więcej nie mogę wymagać - odparł Gainswick. - A teraz

porozmawiajmy o innych sprawach. Jak się wiedzie twojej małżonce? I

nad czym teraz pracujesz? Czy to prawda, że piszesz teraz powieść,

której akcja toczy się w średniowiecznej Francji...?

Pytania, którymi profesor zasypał sir Waltera, nie zostawiły miejsca

na dalsze spekulacje. Sir Walter odpowiedział na wszystkie, a potem rozmawiali o starych czasach, kiedy świat, jak obaj zgodnie przyznali, był mniej skomplikowany. Ponieważ profesor wzbraniał się przed wypuszczeniem ich bez posiłku, wizyta przedłużyła się. Uczony polecił swej gospodyni przygotowanie wieczerzy. Było już późno, kiedy sir Walter i Quentin opuścili w końcu dom znajdujący się na końcu bocznej uliczki.

- Profesor Gainswick jest bardzo gościnnie - stwierdził Quentin, gdy szli z powrotem do powozu.

- Masz rację. Już kiedy byłem studentem, był dla mnie kimś więcej niż tylko nauczycielem. Jednak muszę stwierdzić, że w ostatnich latach profesor bardzo się posunął.

- Co masz na myśli?

- Wybacz, Quentinie, ale cała ta gadanina o zakazanych runach i o bractwie, które jakoby miało wywierać wpływ nawet na szkocką dynastię królewską...

- To przecież możliwe, czyż nie?

- Raczej nie. Założenie, że ci buntownicy są spadkobiercami jakiegoś tajemniczego bractwa i że wciąż dążą do realizacji mrocznych celów, tak jak ich przodkowie, uważam za mrzonki i urojenia.

- Być może - skomentował Quentin. - Jednak powinniśmy zachować ostrożność, wuju. Te rzeczy, o których mówił profesor, rzeczywiście zdają się napawać grozą.

- Czy znów nie dopadł cię strach przed duchami, mój chłopcze?



Jakkolwiek by było, jutrzejszego ranka udamy się do biblioteki i postaramy się znaleźć ten manuskrypt, o którym opowiadał nam profesor. Jeśli będziemy mieli w ręku konkretny dowód, zyskamy sposobność przedstawienia argumentów przed obliczem władzy i być może doprowadzimy do tego, iż zostaną podjęte bardziej stanowcze kroki w stosunku do tych przestępców. Na razie jednak nie dysponujemy niczym poza stkiem nietrzymających się kupy pogłosek i przypuszczeń, tym zaś nie dam się zastraszyć.

Dotarli do końca uliczki, gdzie czekał na nich powóz. Stangret zsiadł i otworzył drzwi, żeby mogli wsiąść.

Pogrążony w ponurych myślach Quentin opadł na twarde siedzenie. Gdyby dostrzegł ciemne postaci, które skryły się w ciemnych niszach oraz wejściach do domów i obserwowały jego wuja oraz jego, zapewne niepokój, jaki odczuwał, byłby daleko większy.

I być może sir Walter zmieniłby swoje zdanie na temat Miltiadesa Gainswicka.

Gdy następnego ranka Mary wkroczyła do sali jadalnej, natychmiast zauważyła, że zaszła zmiana.

Malcolm Ruthven opuścił już zamek, przy stole obecna była tylko jego matka. Wzrok, którym Eleonorę zmierzyła Mary, nie wróżył niczego dobrego.

- Życzę miłego poranka - pozdrowiła ją Mary mimo to i ukloniła się z gracją. - Czy dobrze, pani, wypoczęłaś?

- W żadnym razie - ucięła skrzekliwie Eleonorę. - I nie przychodzi mi do głowy nic, co miałoby sprawić, iż ten poranek mógłby być przyjemny. Dlaczego tak wcześnie opuściłaś przyjęcie?

Mary usiadła przy drugim końcu stołu. A zatem to był powód lodowatego przyjęcia, pomyślała. Jej przedwczesne pożegnanie wzbudziło gniew.

- Nie czułam się dobrze - poinformowała Mary przyszłą teściową, gdy jedna ze służących podeszła i nalała jej herbaty.

- Zatem czułaś się niezbyt dobrze - spojrzenie Eleonorę nietrudno było rozszyfrować, emanowało gniewem i pogardą. - To przyjęcie zostało wydane na twoją cześć. Cała arystokracja z krainy Highlands się zjechała, by powitać cię w twojej nowej ojczyźnie. Nie wiem, jak to jest przyjęte w Anglii, ale tu na północy uchodzi za grubiaństwo, jeśli gość, na którego cześć wydaje się przyjęcie, nie wydusi z siebie słowa przeprosin albo też nie wyrazi ubolewania. Naruszyłaś etykietę i poniżyłaś naszych gości.

- W takim razie przykro mi - odparła Mary. - Nie taka była moja

intencja. Ale naprawdę nie czułam się dobrze, jak już wcześniej stwierdziłam, i uznałam, że lepiej...

- Ale jednak czułaś się dostatecznie dobrze, by wziąć udział w weselnej zabawie w domu czeladzi?

Głos Eleonorę zabrzmiał tak ostro i surowo, że Mary aż się wzdrygnęła. Z przerażeniem spojrzała na panią zamku Ruthven.

- Cóż to, moje dziecko? Czy rzeczywiście sądziłaś, że twoja mała eskapada pozostanie w sekrecie przede mną? Dowiaduję się o wszystkim, co dzieje się wewnątrz tych murów.

Mary opuściła wzrok. Wypieranie się byłoby bezcelowe.

Najprawdopodobniej któryś ze stangretów lub ktoś ze służby wygadał się, a Mary nie mogła mieć nikomu tego za złe. Wszyscy czuli strach przed ludźmi, na których usługach pozostawali.

- To nie było zaplanowane - odpowiedziała wobec tego Mary, podkreślając przy tym każde słowo. - Wyszłam na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Wtedy usłyszałam muzykę i chciałam się dowiedzieć, skąd dobiega. A potem już znasz, pani, dalszy ciąg.

- W twoich ustach brzmi to rzeczywiście niewinnie, jeśli weźmie się pod uwagę, że na koniec tańczyłaś z pomocnikiem kowala i hołdowałaś prostackim chłopskim obyczajom.

- Wybacz mi, pani - odparła Mary i nie mogła zapanować nad tym, iż w jej głosie dał się słyszeć sarkazm. - Nie wiedziałam, że to jest zabronione.

- Tobie jest zabronione wszystko! - wykrzyknęła Eleonorę, a jej

głos rozniósł się przenikliwie.

Jej oczy miały gromy, a aura gniewu, która ją otaczała, nawet w

Mary wzbudzała trwogę.

-Wszystko, co może zaszkodzić dobremu imieniu i prestiżowi

lorda Ruthven - dodała pani tego zamku, nieco się opanowując.

- Czyż szkodzi reputacji i dobremu imieniu lorda, jeśli odwiedzę

wesele jego służby i złożę młodej parze życzenia szczęścia?

- Nie jest rzeczą damy hołdowanie chłopskim obyczajom i

składanie życzeń plebsowi.

- Plebsowi? Ci ludzie są naszymi poddanymi. Są na nasze usługi i

znajdują się pod naszą pieczęcią.

- Przede wszystkim jednak - poprawiła ją Eleonorę głosem

drżącym od gniewu - muszą podporządkować się nam oraz nam służyć.

Ich krew nie ma tej samej barwy co nasza, są nieczyści i nisko

urodzeni. Damie nie uchodzi zadawać się z nimi.

- Stopniowo zaczynam rozumieć, skąd wzięły się poglądy

Malcolma - odparła Mary i skinęła głową.

- Nie przystoi ci być zuchwałą i krytykować moją osobę albo lorda

w jakikolwiek sposób. Twoje zadanie ogranicza się wyłącznie do tego,

by być dobrą i posłuszną żoną twego małżonka i godnie prezentować

dom Ruthven na zewnątrz. Tylko tyle i niczego poza tym nie wymaga

się od ciebie. Czy jesteś w stanie temu podołać?

Mary spuściła wzrok. Przez moment chciała potulnie przytaknąć i

ugiąć się przed podeszłym wiekiem oraz wysoką pozycją, tak jak ją

uczono od najmłodszych lat. Jednak uświadomiła sobie, iż musi pomyśleć o wartościach, w które niezłomnie wierzy, a które na zamku Ruthven zdawały się zupełnie nieistotne. Tego nie mogła i nie chciała ścierpieć bez słowa komentarza.

- Chodzi o jedną rzecz - odezwała się dlatego cichym głosem.

- O jaką rzecz? - Eleonorę znów wbiła w nią spojrzenie drapieżnego ptaka, które tak bardzo przeraziło Mary już w dniu jej przyjazdu.

- Czy nie musiałabym się wstydzić, reprezentując dom Ruthven?

- Czy ty... - pani tego zamku zachnęła się i przez moment wydawało się, iż nie jest w stanie złapać tchu.

Bezsilnie machała rękoma i upłynęła dłuższa chwila, zanim się uspokoiła.

- Czy ty w ogóle zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz, głupia dziewczyno? - warknęła w końcu.

- Oczywiście, że wiem - zapewniła Mary. - I nie sędzę, bym była głupia. Z najgłębszym przekonaniem, milady, uważam, iż ludzie, nawet jeśli ich pochodzenie jest tak niskie, nie powinni być traktowani jako mniej wartościowi. Wszyscy ludzie są od Boga równi w prawach i przywilejach. Fakt, że nie wszystkim się na tyle poszczęściło, by urodzić się w bogactwie i zamożności, nie powinien nas upoważniać do tego, byśmy spoglądali na nich z góry.

- I jeszcze to - jęknęła Eleonorę z pogardą. - Rewolucyjne bajdurzenie!

- Być może. Jednak ja miałam okazję spojrzeć w oczy ludzi, którzy służą tobie, pani, i dostrzegłam w nich strach. Twoja czeladź czuje przed tobą trwogę, milady. Podobnie zresztą jak przed twoim synem.

- I to ci się nie podoba?

-W rzeczy samej nie, ponieważ jestem zdania, że poddani powinni swoich panów darzyć miłością i okazywać im wierność.

Przez moment Eleonorę siedziała w bezruchu, a Mary nie była w stanie stwierdzić, co działo się na jej oczach. Potem stara kobieta wybuchnęła głośnym śmiechem.

- I to jest przyczyną twojej nocnej eskapady? - chciała się upewnić. - Chciałaś pozyskać sympatię parobków i pokojowych?

- Przede wszystkim oni też są ludźmi, milady. Rzeczywiście, chciałam zyskać ich sympatię oraz szacunek.

- Szacunek zdobywa się tylko i wyłącznie w drodze autorytarnego postępowania. A dobrym środkiem do tego celu jest strach.

-Jestem innego zdania.

- Jest mi obojętne, jakiego jesteś zdania. Skompromitowałaś lorda oraz mnie w sposób niedający się zaakceptować, obraziłaś nas i nie ujdzie ci to bezkarnie.

- Za pozwoleniem, milady, ten lord to truteń, którego obchodzi wyłącznie własny prestiż oraz bogactwo! Nie zasłużył na nic innego.

- Wystarczy - usta Eleonorę zrobiły się tak wąskie, że jej twarz wyglądała, jakby przekreślała ją kreska. - Najwyraźniej nie da się z tobą załatwić spraw inaczej. A zatem będę musiała udzielić ci lekcji.

- Co zamierzasz, pani? - zapytała Mary buńczucznie. - Chcesz spalić mi dach nad głową, tak jak to czynisz w przypadku tych biednych ludzi?

- Z pewnością nie dach, ale są jeszcze inne rzeczy, które doskonale się palą, na przykład papier.

- Co to ma znaczyć? - złe przeczucie nagle targnęło Mary.

- Cóż, moje dziecko, wydaje się w bolesny sposób oczywiste, że twoje wypaczone wyobrażenia, które nosisz w głowie, nie wzięły się same z siebie. Skądś musiałaś je wziąć i przyszło mi na myśl, że wsuwasz nos między strony ksiąg o wiele częściej, niż czynią to inne młode damy, które znam.

- I? - zapytała Mary.

- Te książki zdają się być prawdziwym powodem twojej krnąbrnej postawy i nieznośnego zachowania. Dlatego też wydałam polecenie, żeby twoją komnatę opróżnić z ksiązek i wynieść je na dziedziniec, gdzie zostaną spalone na oczach wszystkich.

- Nie! - Mary zerwała się na równe nogi.

- Miałaś wybór, moje dziecko. Jednak nie powinnaś odwracać się przeciwko nam.

Przez moment Mary znieruchomiała, nie mogąc pojąć takiego chłodu. Zdjęło ją przerażenie, rzuciła się w stronę okna i wyjrzała na dziedziniec. Na dole płonęło już ognisko, od którego ku porannemu niebu biły w górę kłęby szarego dymu, nad płomieniami unosiły się strzępy papieru wypychane w górę przez gorące powietrze.

Mary nie była w stanie powstrzymać łez, które popłynęły z jej oczu. Tam rzeczywiście płonęły książki - jej książki. W tym momencie jeden ze służących wyniósł z zamku kolejną stertę książek i wrzucił je w trzaskające płomienie.

Mary odwróciła się i wybiegła z salonu. Szybkimi krokami popędziła przez korytarz i schodami w dół, potem wybiegła na dziedziniec. W jej kierunku biegła Kitty ze łzami w oczach.

- Milady - zawołała. - Proszę, wybac mi, milady! Chciałam ich powstrzymać, lecz nie byłam w stanie. Oni po prostu wynieśli książki z komnaty!

- Już dobrze, Kitty - odparła Mary z resztką godności.

Potem zbiegła schodami na wewnętrzny dziedziniec i patrzyła bezradnie, jak kolejna sterta jej ukochanych książek zostaje oddana na pastwę płomieni - między innymi także dzieło na temat historii Szkocji, które podarował jej sir Walter. Młodego mężczyznę, który wrzucał woluminy do ognia i teraz za pomocą długiego stalowego pogrzebacza rozniecał ogień, znała już. Był to Sean, pomocnik kowala, z którym tańczyła wczorajszego wieczora na jego weselu.

Mary ogarnęła rozpacz. Ruszyła biegiem przed siebie, by ocalić to, co jeszcze można było uratować. Chciała wyciągać gołymi dłońmi z płomieni resztki ukochanych książek. Jednak młody Sean zagroził jej drogę.

- Milady, nie - poprosił ją.

- Przepuść mnie! Muszę ratować moje książki.



- Tam już nie ma co ratować, milady - odparł przygnębiony

pomocnik kowala. - Tak bardzo mi przykro.

Mary stanęła przed językami ognia i wpatrywała się osłupiała w ognistą pożogę, widziała jak *Ivanhoe* i *Pani Jeziora* znikwały w jasnym żarze. Papier najpierw ulegał pofałdowaniu, zanim ustąpił przed płomieniami i zmieniał kolor na czarny, aż w końcu rozpadał się w popiół.

- Dlaczego to zrobiłeś? - wyszeptała Mary. - Te książki były wszystkim, co jeszcze miałam. Były moim życiem.

- Bardzo mi przykro, milady - odrzekł Sean. - Nie mieliśmy wyboru. Zagrożono nam, że zostaną spalone domy naszych rodzin i że zostaniemy wypędzeni z tej ziemi, jeśli tego nie uczynimy.

Mary spojrzała na młodego kowala. Jej wykrzywione rysy nie miały już nic wspólnego z wyglądem damy, mimo to nie wstydziła się łez. To co uczyniła Eleonorę Ruthven, było najbardziej perfidną rzeczą, jaka kiedykolwiek spotkała ją w życiu.

Zbiry przy moście nastawiały jedynie na jej dobytek, natomiast Eleonorę sięgnęła po więcej. Chciała zniszczyć życie Mary, traktowała ją jak swoją własność, z którą może zrobić, co się jej żywnie podoba, i którą może uformować wedle własnych życzeń i upodobań.

Pośród niedoli i przymusów, jakie ją otaczały, lektura książek w oczach Mary wydawała się ucieczką do innego, lepszego świata.

Jednak w jaki sposób będzie w stanie przetrwać bez swoich książek, stanowiło dla niej nieodgadniona zagadkę.

- Błagam, milady - odezwał się Sean, który dostrzegł rozpacz w oczach Mary. - Niech pani nie gniewa się na nas. Nie byliśmy w stanie nic na to poradzić.

Mary nie spuszczała z niego oczu. W pierwszej chwili rzeczywiście odczuwała niepohamowany gniew na młodego człowieka i jednocześnie niewypowiedziane rozczarowanie wobec niego i jemu podobnych. Teraz jednak zrozumiała, że Sean oraz reszta służących nie mogli się temu przeciwstawić. Obawiali się o własną egzystencję i robili tylko i wyłącznie to, co musieli, by uchronić siebie oraz własne rodziny.

Mary odwróciła wzrok i spojrzała w górę, na zamkowy budynek, ku wielkiemu oknu w salonie. Jak gdyby przeczuwając to, dostrzegła tam sylwetkę Eleonorę Ruthven.

Szczupła kobieta stała przy oknie i spoglądała na nią wyniośle z góry, a na jej bladym obliczu Mary dostrzegła uśmiech satysfakcji.

Zacisnęła pięści i po raz pierwszy w swoim życiu odczuła nienawiść.

Po raz ostatni rzuciła spojrzenie na ogień i pożegnała się z tak drogimi sobie książkami, które zostały już niemal całkowicie pochłonięte przez płomienie. Potem odwróciła się i z podniesioną głową, by nie dać przyszłej teściowej kolejnego powodu do triumfu, opuściła dziedziniec.

Kitty towarzyszyła jej i obie walczyły z napływającymi łzami, nie chcąc okazać słabości. Dopiero gdy Mary znalazła się w swojej komnacie, dała upust łzom i chociaż Kitty czyniła wszystko, by ją

pocieszyć, nigdy jeszcze nie czuła się tak samotna i opuszczona.

Książki stanowiły dla niej eliksir życia, okno ku wolności. Choć

jej ciało znalazło się w zniewoleniu - jej duch pozostawał wolny.

Lektura pozwalała udawać się do odległych miejsc i czasów, dokąd

nikt nie mógł za nią podążać. Ta wolność, nawet jeśli była tylko iluzją,

pomagała Mary nie popaść w czarną rozpacz.

Jak miała teraz tutaj żyć, jak znieść przymusową egzystencję na

zamku Ruthven, nie mając obok siebie pisanego słowa, które dodawało

skrzydeł jej wyobraźni oraz zapewniało pociechę i nadzieję?

Rozpacz Mary była ogromna. Przez cały dzień nie opuszczała

komnaty, zresztą nikt nie przychodził, by ją stamtąd wyprowadzić.

Kiedy łzy obeschły, Mary wyczerpana troską, wściekłością i

wzburzeniem usnęła. A gdy znalazła się w objęciach Morfeusza, znów

przyśnił jej się ten sam dziwny sen, który zaprowadził ją w odległą

przeszłość...

Gwynneth z Ruthven szukała samotności.

Nie mogła już dłużej wysłuchiwać gadaniny swego brata i jego nowych przyjaciół. Że Szkocja znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie i że William Wallace, którego wszyscy teraz nazywali „Walecznym Sercem”, jest zdrajcą. Że pragnie sięgnąć po królewską koronę i że należy postawić tamę jego dążeniom. Że nadto tylko hrabia Bruce może zostać królem Szkocji oraz że zwycięstwo nad Anglikami musi zostać osiągnięte wszelkimi możliwymi środkami.

Gwynneth miała tego dość.

Już jej ojciec za życia prowadził takie rozmowy i zawsze mówił, że Anglików należy wypędzić ze Szkocji i że trzeba posadzić na tronie nowego króla. Fakt, iż związał się z Wallace'em, nie stanowił żadnej różnicy. Na koniec oddał życie na polu bitwy, dokładnie tak jak wielu innych, a Gwynn nie była w stanie dostrzec, by jego śmierć przyniosła jakikolwiek pożytek. Wręcz przeciwnie. Rozlew krwi oraz intrygi jeszcze bardziej się nasiliły.

Wallace obiecał, że wypędzi Anglików ze Szkocji, jednak nie zdołał tego dokonać. Jeszcze udało mu się zorganizować wyprawę na ziemie wroga i zdobyć miasto York, a angielskie oddziały wylądowały na wybrzeżu i zajęły Edynburg. Od tamtego momentu okupanci byli w ofensywie.

Krew i niedola to wszystko co przyniosła rewolta, jednak zamiast wyciągnąć z tego naukę i być mądrzejszym, opierając się na błędach

ojca, jej brat Duncan był gotów wzniecić następne powstanie i doprowadzić do kolejnego rozlewu krwi.

Zmiany, które w ostatnich miesiącach zaszły w Duncanie, nie podobały się Gwynneth. Wydoroślał, dźwigał teraz większą odpowiedzialność, lecz nie tylko o to chodziło. Kiedy rozmawiał, jego słowa brzmiały arogancko i nieustępliwie. Natomiast osobliwy błysk w jego oczach zdawał się potwierdzać, że czuł się powołany do większych rzeczy, niż tylko pełnienie roli wasala angielskiego króla.

Gwynneth nie wiedziała, co jej brat tak naprawdę zamierzał, a wypytywanie o to nie miało większego sensu. Było jednak oczywiste, że coś planował wspólnie z tymi osobliwymi i złowieszczymi ludźmi, którymi ostatnio się otoczył.

Wcześniej rodzeństwo powierzało sobie nawzajem wszelkie sekrety i było niemal nierozłączne. Od śmierci ich ojca to się jednak zmieniło. Duncan nie rozmawiał już prawie wcale z Gwynneth, a jeśli już, czynił to tylko po to, by ją skarcić lub zbesztać.

Początkowo Gwynneth sądziła, że to jedynie jego kaprysy, przejściowe nastroje, które przeminą, kiedy Duncan wreszcie pogodzi się ze stratą ojca. Jednak nic takiego się nie stało, wręcz przeciwnie.

Duncan pozostał wobec niej zamknięty, natomiast lista jego tajemniczych gości wciąż się wydłużała.

Gwynneth nie wiedziała, czego dotyczyły ich rozmowy. Wychodziła jednak z założenia, że miały związek z powstaniem, z Williamem Wallace'em oraz z młodym Robertem Bruce'em, którego pragnęli

posadzić na tronie.

Czuła, jak powoli ogarnia ją trwoga. Na wojnie straciła już ojca i nie chciała teraz stracić jeszcze brata. Wszelako serce Duncana robiło się coraz bardziej nieczułe i twarde. Przestał jej słuchać, dawał posłuch jedynie swoim nowym złowróżbnym przyjaciołom.

Kiedy tylko mogła, Gwynn opuszczała zamek, pragnąc uciec od ponurego mroku, jakim emanował Duncan i jego doradcy - tak jak tego dnia.

Pod pretekstem zbierania chrustu kolejny raz wymknęła się poza zamkowe mury. Było już późne popołudnie. Na niebie pojawiły się ciemne obłoki, które przesłoniły słońce. Niechybnie zapowiadało się na deszcz. Od północy ciągnęły czarne chmury i zaczął dąć zimny wiatr. Gwynn jeszcze mocniej otuliła ramiona wełnianym szalem. Drżała na całym ciele, lecz nie tylko z powodu chłodu, który wywoływał u niej dreszcze.

Z tyłu za nią wznosiły się hardo i butnie wieże zamku Ruthven.

Gdy była małą dziewczynką, zamek stanowił dla niej uosobienie bezpieczeństwa i ochrony, spokoju i ciszy. Kiedy jednak teraz spojrzała za siebie, nie widziała nic poza ponurymi murami oraz groźnymi blankami. Poczła złowieszczy chłód, przeniknęło ją poczucie zagrożenia, jakiego jeszcze nigdy wcześniej nie doznała.

Być może wiązało to się ze snami, które miała stale od śmierci ojca.

Były to dwa sny, które nieustannie ją nawiedzały.

W pierwszym jechała na białym rumaku wśród wzgórz krainy High-

lands przytulona mocno do grzbietu zwierzęcia, które dawało jej pociechę i spokój. Czuła się swobodna i nieskrępowana. W drugim śnie wszystko się zmieniało. Wszędzie, gdzie Gwynn spojrzała, widziała nędzę, klęskę i cierpienie. Widziała też krainę Highlands w płomieniach, ludzi wypędzanych z ich domów, ściganych przez wojowników, których oręż miotał gromy i błyskawice.

Cóż jednak miało to znaczyć?

Już wiele razy Gwynn zastanawiała się nad znaczeniem tych snów.

Dlaczego wciąż ją nawiedzały? Dlaczego wciąż były to te same przerażające obrazy?

W samotności, jaką oferowały wzgórza wokół zamku, miała nadzieję znaleźć odpowiedzi na dręczące ją pytania. Zbieranie chrustu było wyłącznie pretekstem - kobieta, która chciałaby wyjść samotnie, by zastanowić się nad czymś, nie znalazłaby zrozumienia u strażników pilnujących zamkowych wrót.

Jak zawsze kiedy przemierzała tę okolicę, Gwynn poszła najpierw do potoku, który przepływał przez wąwóz pod zachodnią wieżą. W miesiącach letnich, kiedy strumień niósł niewiele wody, dno parowu było niemal suche i można tam było znaleźć dużo zmurszałego drewna i wysuszonych gałęzi.

Gwynn przychodziła tu już jako dziecko, by wspinać się po stromych skałach. Nie przystało to dziewczynce, jednak ojciec pozwalał jej na to. Gwynn wiedziała, że życzył sobie kolejnego syna i dlatego cieszył się, widząc męskie cnoty córki. Ona zaś wysoko ceniła

to, że nigdy nie okazał nawet cienia rozczarowania jej osobą.

Szła w górę po żwirze, który naniósł wiosenne deszcze, i dotarła do bocznej odnogi pełnego szczelin parowu. Zdumiona rozejrzała się dookoła i nagle odniosła wrażenie, jakby nigdy jeszcze tu nie była.

Dotąd była przekonana, że zna w tej okolicy każdy kamień, teraz jednak miała przed sobą wąski jar, którego nigdy wcześniej nie widziała.

Także tu skały były strome, roziło się też od szczelin oraz nisz i grot w skalnej ścianie. Kierowana ciekawością Gwynn ruszyła do przodu, gdy nagle zauważyła, jak podnosi się mgła. Mgła unosiła się ze szczelin i pęknięć skalnego masywu, przesuwała się po ziemi i szybko rozprzestrzeniała się. Gwynn miała uczucie, jakby biały całun pełzał ku niej, wilgotny i gęsty, i chciał objąć ją chłodną ręką. Raptownie zawładnął nią strach, chociaż nie była w stanie tego wyjaśnić.

Odwróciła się, chciała iść ku wyjściu z parowu, lecz mgła otuliła ją już całkowicie. Z ledwością była w stanie rozeznaczyć się w okolicy.

Sękate gałęzie obumarłych drzew wyglądały teraz jak rozłożone ramiona potwornych trolli, które czekały tylko na to, by pochwycić niewinnych wędrowców i ich pożreć.

Gwynn przypomniała sobie historie, które starcy opowiadali przy kominku - o trollach, gnomach oraz innych stworach, które zamieszkiwały we mgle. W nagłym napadzie paniki upuściła naręczę chrustu, które zdołała zebrać, i usiłowała odnaleźć drogę w gęstej mgle.



- Dokąd to prowadzi droga, moje dziecko?

Skrzeczący głos kazał jej się odwrócić się. Gwynneth przeraziła się śmiertelnie, gdy nagle tuż obok niej z mgły wyłoniła się ciemna postać. Zbliżyła się do niej zupełnie niezauważona.

Gwynn krzyknęła ze zgrozy - i dopiero po chwili zorientowała się, że nie był to ani gnom, ani troll, lecz jedynie stara kobieta.

Miała niską sylwetkę i szła pochylona, podpierając się kijem.

Szata, którą miała na sobie, była czarna jak sadza, a na skórzanym rzemyku zawieszonym na szyi widniały dziwaczne talizmany wykonane z kości. Jednak najsilniejsze wrażenie robiła jej twarz - pokryta zmarszczkami, z głęboko osadzonymi, spoglądającymi przenikliwie oczyma. Jej wąski zagięty nos wydawał się dzielić oblicze na dwie połówki. Usta były małe i na wpół otwarte. Wydawało się, że w ogóle nie ma zębów.

Runiczna wieszczka!, rozpoznała z przerażeniem Gwynn.

Wedle wszelkich znamion starucha należała do tych ludzi, którzy hołowali starym pogańskim zwyczajom i którym przypisywano złe rzeczy. Oznaczało to między innymi, że kobiety znające się na runach potrafiły przepowiadać przyszłość i rzucać klątwy, potrafiące zabić nawet najbardziej wpływowych członków klanu.

- Czego chcesz ode mnie? - rozległo się pełne strachu pytanie Gwynn.

Starucha uniosła rękę niewinnym gestem.

- Cóż to? - odparła skrzekliwie, a jej głos zabrzmiał niczym

wschodni wiatr, który rankiem gwizdał w murach zamku Ruthven. -

Przecież chyba nie czujesz przede mną obawy?

- Oczywiście, że nie - rzekła Gwynn w nagłym przypiływie przekory.

- Już dobrze - odezwała się stara i zachichotała. - Powinnaś jednak

wiedzieć, że istnieją ludzie, którzy opowiadają złe rzeczy o mnie oraz o

istotach do mnie podobnych. Być może już o mnie słyszałaś. Mam na

imię Kala.

- Ty... ty jesteś tą starą Kałą?

- A zatem znasz moje imię?

Gwynn przytaknęła i mimowolnie cofnęła się. Oczywiście słyszała

o starej Kali, którą zresztą uważała za postać z legend i którą straszono

małe dzieci.

Spośród wszystkich kobiet znajdujących się na runach, Kala cieszyła

się największą sławą. Znaczyło to, że nawet druidzi z dawnych czasów

obawiali się jej mocy i czarodziejskiej siły. Ponadto sądzono, że liczy

sobie setki lat i że na własne oczy widziała, jak Rzymianie wznosili

*limes*, wielki graniczny mur.

- Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co się o mnie opowiada, moje

dziecko - rzekła Kala, jakby czytała w myślach Gwynneth. - Tylko

połowa z tego jest prawdą, a z tej połówki połowa jest zmyśleniem...

Gwynneth Ruthven.

- Znasz moje imię?

- Naturalnie - pomarszczone rysy Kali wykrzywiły się, co

zapewne miało oznaczać uśmiech. - Znam wszystkich z waszego klanu,

z wszystkimi ich przymiotami oraz z ich śmiesznym uporem. Znam

ciebie i twojego brata Duncana o porywczym temperamentcie. I znałam też waszego ojca, który oddał życie na bitewnym polu. Wszystkich was obserwowałam i widziałam wasze nieszczęsne dążenia. Żądacie wolności, a myślicie tylko o własnych korzyściach. Zdradzilibyście nawet najbliższych, żeby tylko osiągnąć to, do czego dążycie.

- O czym mówisz? - zapytała Gwynn, jednak starucha zbyła jej pytanie.

Spojrzenie Kali zdawało się omijać Gwynneth i zmierzać gdzieś ku odległej dali lub ku dawno minionym czasom.

- Byłam przy tym - odezwała się skrzeczącym głosem. - Taki jest mój los, obserwować bieg dziejów. Widziałam, jak królowie wstępowali na tron i odchodzili, władcy wznosili się na górę i upadali. W tych dniach, Gwynneth Ruthven, nasz lud zyskuje sposobność, jakiej nigdy wcześniej nie miał. Możemy zrzucić jarzmo obcej władzy i znów odzyskać wolność! Wszystko jest w ruchu. Rzeczy znów popadły w chaos i potrzeba jednej silnej i odważnej ręki, by zaprowadzić nowy ład. Ale chciwość i zawiść mogą spowodować, że wszystko to zostanie zatracone.

Starucha chwyciła Gwynn za rękę kościstymi palcami i ścisnęła mocno, spojrzała na nią hipnotyzującym wzrokiem, gdy mówiła te słowa. Gwynn poczuła, jak przeszedł jej po plecach zimny dreszcz, i energicznie wyrwała się z uchwytu starej kobiety.

- O czym mówisz? - zapytała obcesowo. - Czyś postradała rozum?

- Przybyłam tu, by ostrzec cię, Gwynneth Ruthven - odezwała się

starucha drżącym głosem. - Twój brat knuje nieszczęsne intrygi i  
ściągnie na was wszystkich nieszczęście.

- Gadasz od rzeczy, stara kobieto - strofowała ją Gwynn, której  
cała dusza sprzeciwiała się dalszemu słuchaniu bajdurzenia budzącej  
strach staruchy.

Odwróciła się i chciała już opuścić parów, jednak w gęstej mgle nie  
była w stanie wypatrzeć ścieżki. Szła na oślep przez skalne rumowisko,  
aż droga skończyła się na skalnej ścianie. Potem poszła wzdłuż ściany i  
w rezultacie trafiła jeszcze dalej w głąb skalnego jaru, aż w końcu  
całkowicie straciła orientację.

W przyływie paniki Gwynneth rozejrzała się dookoła - i znów  
przeraziła się, ponieważ nagle obok niej ponownie pojawiła się ciemna  
postać.

- Szukasz czegoś, moje dziecko?

- Drogi do domu - odparła rozdrażniona Gwynn. - Chcę wrócić do  
domu, słyszysz?

- Idź więc, cóż cię powstrzymuje?

- Ta przekłeta mgła. Nie widzę nawet własnej ręki.

- Zdaje się, że to jest problem ludzi - zachichotała starucha. - Nie  
lękając się, wyruszają na nieznaną ziemię, igrają ze sprawami, których  
prawdziwego znaczenia nie znają. Aż w końcu gubią się we wszystkim.

- Proszę - odrzekła Gwynn niemal błagalnie. - Pozwól mi iść. Nie  
wiem, co to wszystko ma znaczyć.

- A czyż ja wiem? Czy wie drzewo, co z niego będzie, gdy uderza

w nie siekiera drwała? Ja również nie wiem, co niesie ze sobą  
przeznaczenie, Gwynneth Ruthven. Ale runy wyjawily mi, że twój klan  
odegra w tym znaczącą rolę. Los Szkocji może znaleźć się kiedyś w  
waszych rękach, jednak poczynania twojego brata mogą sprawić, że  
wszystko to zostanie przegrane.

- Mojego brata? Dlaczegoż?

- Ponieważ nie potrafi poczekać do chwili, kiedy czas dojrzeje.

Ponieważ chwycił w ręce przeznaczenie i chce sięgnąć po to, co nie było  
dane jego ojcu. I dążąc do tego, nie cofnie się przed żadną  
niegodziwością.

- Niegodziwością? Mój brat Duncan? - Gwynn pokręciła głowę z  
niedowierzaniem. - Opowiadasz bzdury, stara kobieto. Śmierć naszego  
ojca zapewne mocno dotknęła Duncana, ale on wcale nie jest taki, jak  
mówisz. Na jego barkach spoczywa teraz ogromne brzemie, to  
wszystko.

- Tak? - zapytała uszczypliwie starucha. - Czy to jest powód, dla  
którego w każdej wolnej chwili wymykasz się z zamku, Gwynneth  
Ruthven? Dla którego nie jesteś w stanie już dłużej znieść bliskości  
brata i jego złowróźbnych doradców, którymi ostatnio się otacza?

- Ty... wiesz o tym?

- Powiedziałam ci już, mała Gwynn. Wiem dużo więcej, niż  
przeczuwasz. Obserwowałam ciebie i twoich bliskich od dawna. Przez  
cały ten czas zachowywałam milczenie, ale nie mogę już dłużej  
milczeć. Mogą stać się złe rzeczy, Gwynn. Rzeczy, które zmienią bieg

dziejów, jeśli nikt nie stanie na drodze, by je powstrzymać. A twój brat będzie tym, który zainicjuje te zdarzenia.

- Mój... mój brat? - zapytała z niedowierzaniem Gwynn.

W głębi duszy wzbraniała się przed tym, by dać wiarę choćby jednemu słowu, które wypowiedziała runiczna wieszczka. Jednak sposób, w jaki Kala z nią rozmawiała, ton jej głosu oraz oskarżycielskie i jednocześnie smutne spojrzenie nakazywały jej dalej słuchać.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytała bezradnie. - Słyszę, co mówisz, jednak nie rozumiem niemal nic z tego, co wieszczysz.

- Twój brat, Gwynneth, wziął przeznaczenie we własne ręce.

Zamierza przy tym intrygować przeciw Williamowi Wallace'owi, którego nazywają „Walecznym Sercem”. Razem z fałszywymi przyjaciółmi planuje podążyć za Wallace'em i obrabować go. Siła „Walecznego Serca” ma być przekazana w ręce Roberta Bruce'a, żeby ten mógł wstąpić na tron i zostać królem Szkocji.

- I cóż w tym złego?

- Wszystko, moje dziecko. Pora, runy, gwiazdy. Wszystko. Wallace w tej chwili jest u szczytu wpływów. By go obalić, potrzebna będzie czarna magia i ciemne siły. Twój brat zadaje się z jednym i drugim, najwyraźniej nie pojmując, co czyni. Ludzie, z którymi ostatnio wszedł w konszachty i którzy stali się jego zaufanymi... nie bez powodu czujesz się w ich obecności tak źle! Wisi nad nimi klątwa i oddają się czarnej magii.

- Czy masz na myśli stare pogańskie wierzenia? - zapytała

niepewnie Gwynn. - Czy ci ludzie są tacy jak ty?

- Nie, nie tacy jak ja - syknęła Kala tak ostro, że Gwynn ponownie się cofnęła. - Inni, moje dziecko. Ich myśli przesycone są ciemnymi zamiarami i złowieszczymi planami. Oni oddają hołd ciemnym runom, nie jasnym, a ich sztuka jest starsza niż wszystko, co ty lub ja jesteśmy w stanie sobie wyobrazić.

Głos Kali zamienił się w szept, a Gwynneth poczuła nagle, że całe jej ciało przeszywa chłód. Czy powodem tego była mgła przenikająca przez jej odzież? A może nieokreślony strach, który nagle ją ogarnął?

- W takim razie muszę ostrzec Duncana - powiedziała nieco bezładnie.

Kala zareagowała na to śmiechem.

- Sądzisz więc, że jesteś w stanie tego dokonać? Wierzysz, że on cię wysłucha? Wierzysz, że jesteś w stanie ze swoją młodością i niedoświadczeniem stawić czoła siłom, które są niepomiarne starsze i bardziej przebiegłe niż ty? Nikt nie wysłucha twojego głosu w zawierusze, która powstanie. Mogę ostrzec cię przed tym, byś tego głosu nie podnosiła.

- Ale jeśli wszystko to, co mówisz, jest prawdą, Duncan znajduje się w ogromnym niebezpieczeństwie.

- Czy pojedynczy płomień może być zagrożony przez ogień? Twój brat nie wie, co czyni. Żałoba po śmierci ojca oraz gniew na Anglików uczyniły go ślepym. Żałoba i wściekłość są dla młodego mężczyzny złymi doradcami. On wierzy, że działa zgodnie z wolą waszego ojca, lecz prawda jest taka, iż on czyni tylko to, czego żądają od niego

doradcy. Będzie tym, który zdradzi „Waleczne Serce” i zatroszczy się o to, by jego los został przypieczętowany.

- Dlaczegoż więc nie ostrzeżesz Wallace'a?

- Ponieważ nie wiem jeszcze, skąd nadchodzi zagrożenie, moje dziecko. Runy wyjawily mi los Williama Wallace'a, będzie twardy i okrutny, jeśli twój brat i jego nowi przyjaciele dopną swego. Ale nie wiem jeszcze, kiedy i gdzie dojdzie do tej haniebnj zdrady, ponieważ runy nie wyjawily wszystkiego.

- Dlaczego mi o tym mówisz? - zapytała Gwynn. - Cóż mogę począć wobec planów brata?

- Należysz do klanu Ruthven, podobnie jak on. W twoich żyłach płynie ta sama krew i ty również ponosisz odpowiedzialność za wasz klan. Nie możesz dopuścić do tego, żeby twój brat wziął na siebie tę winę. Klan Ruthven byłby wtedy przeklęty po wsze czasy. Ale wciąż jest jeszcze nadzieja.

- Nadzieja? Na co?

- Na wybawienie, moje dziecko. Ty jedna posiadasz klucz do tego.

To mężczyźni są na tyle nieroztropni, iż rozpoczynają rzeczy, których konsekwencji nie widzą, i jedynie z żądzy sławy wyzwalają moce, nad którymi nie są w stanie zapanować. Wybawienie od ciemności, która wam wszystkim grozi, może dokonać się jedynie dzięki kobiecie, a runy podały mi twoje imię, Gwynneth Ruthven...



Sir Walter nie tracił czasu.

Zgodnie z tym, co obiecał profesorowi Gainswickowi, wraz z

Quentinem już następnego ranka stawili się w uniwersyteckiej bibliotece

i poprosili o pozwolenie wstępu do działu zbiorów fragmentarycznych.

Bibliotekarze - mężczyźni o szarej skórze, którzy zdawali się

wdychać kurz i unikać światła dnia - początkowo nie byli zbyt skłonni

spełnić życzenie Scotta. Kiedy jednak dowiedzieli się, jak znakomity i

sławny gość odwiedził ich mury, natychmiast zmienili zdanie. Z

niezwykłą uprzejmością zaprowadzili Quentina i sir Waltera po stromych

stopniach schodów do odległej piwnicznej sali. W długim, pozbawionym

okien pomieszczeniu znajdowały się liczne drewniane regały, na

których leżały tysiące starych dokumentów - częściowo spisanych na

pergaminie, częściowo na papierze, oprawionych, luźnych lub

zwiniętych w zwoje.

Bibliotekarz zapytał, czy sir Walter szuka czegoś konkretnego i

czy może mu być w czymś pomocny. Pisarz jednak zaprzeczył i

wyraził życzenie, że chętnie zostałby sam z siostrzeńcem, po czym

mężczyzna oddalił się ochoczo.

- Wygląda to tak, jak w bibliotece Kelso - stwierdził Quentin i

przytrzymał lampę w taki sposób, że oświetlona była jedna ze stron

długiego pomieszczenia zwieńczonego sklepieniem łukowym. Piwnica

ciągnęła się daleko, a jej drugi koniec pograżony był w ciemności.

- Z tą różnicą, że tutejsi bibliotekarze zdają się przykładać

mniejszą wagę do starych skarbów - dodał sir Walter z dezaprobatą i rozejrzał się dookoła.

W pomieszczeniu panowała wilgoć, gruba warstwa pleśni pokrywała ściany i sufit. Jako powieściopisarz poczuł ukłucie w sercu, gdy zobaczył, w jakich warunkach przechowywano słowo pisane dawnych pokoleń.

- Najwyraźniej uczonym z uniwersytetu szczególnie nie zależy na zachowaniu tych dokumentów dla następnych pokoleń - domyślił się Quentin.

- Albo brakuje personelu, który wszystko to przejrzałby i skatalogował. Zbyt długo pozostawialiśmy bez opieki dziedzictwo naszej przeszłości. Przypomnij mi, żebyś zapisał szczodłą dotację na rzecz kuratorium biblioteki, by ten zły stan rzeczy naprawić.

- Dlaczego?

-

zapytał

Quentin

z

dawną

mieszanką

niefrasobliwości i naiwności. - Dlaczego tak ważne jest zajmowanie się przeszłością, wuju? Czy przyszłość nie powinna nas interesować o wiele bardziej?

- Czy sądzisz, że owoce jabłoni są ważniejsze niż jej korzenie? -

odpowiedział pytaniem sir Walter.

- Cóż, jabłka mogę zejść, nieprawdaż? Nasycą mnie.

- Co za niemądra odpowiedź! - sir Walter pokręcił głową z

niedowierzaniem. - Przez krótki czas jabłka napełnią twój żołądek, ale

drzewo nie będzie dłużej wydawać owoców. Zaniedbanie korzeni jest

jednoznaczne z utratą owoców. Historia jest bytem żywym, mój

chłopcze, dokładnie jak drzewo. Udaje się i rośnie u tych, którzy ją

pielęgnują. Jeśli stracimy z oczu naszą historię, utracimy także naszą

przyszłość. Jeśli jednak będziemy regularnie studiować i poznamy naszą

historię, będziemy w stanie uniknąć powtórzenia błędów popełnionych

przez minione pokolenia.

- Teraz rozumiem - dodał Quentin i ruszył wzdłuż regału, na

którym zalegał papier welinowy oraz podziurawione arkusze

pergaminy. - Jak zamierzamy w tym chaosie znaleźć dokument, o

którym powiedział nam profesor Gainswick?

- Dobre pytanie, mój chłopcze - sir Walter odwrócił się ku drugiej

stronie pomieszczenia, gdzie chaos był tak samo nieogarniony. - Gdyby

dobry profesor dał nam przynajmniej jakąś wskazówkę, gdzie

powinniśmy szukać tego rękopisu. Ale on sam również natrafił na ten

tekst zupełnym przypadkiem i nie przywiązywał do dokumentu

większego znaczenia. A zatem nie pozostaje nam zapewne nic innego,

jak rozpocząć systematyczne poszukiwania.

- Systematyczne, wuju? Chcesz przez to powiedzieć... że

powinniśmy przejrzeć wszystkie te dokumenty?

- Nie wszystkie, siostrzeńcze. Zapominasz, iż profesor mówił o dokumencie zapisanym na papierze. A zatem wykluczamy z góry wszelkie pergaminy i palimpsesty, które są tu złożone. Musimy przejrzeć tylko woluminy z fragmentami oraz teksty do niczego nieprzyporządkowane.

- Oczywiście - odparł Quentin z rzadką u niego śmiałością. - Tych dokumentów może być dobrych kilka tysięcy, nieprawdaż?

- Czasami, mój drogi siostrzeńcze, zadaję sobie rzeczywiście pytanie, jak wiele krwi twoich przodków płynie w istocie w twoich żyłach. Rodzina Scottów zawsze cechowała się ogromnymi pokładami optymizmu oraz żądzą działania. Nie lękali się żadnych trudów, nawet jeśli były to wielkie wyzwania.

Quentin przestał oponować. Jego wuj rozumiał jak nikt inny, w jaki sposób skłonić go do tego, by uczynił rzeczy, które zazwyczaj od razu odrzucał. Wzmianka o rodzinie była sprytnym wybiegiem. Wprawdzie Quentin przejrzał wuja, jednak odpowiedzialności, jaką nagle poczuł, nie mógł dłużej znieść. Nawet jeśli widok foliałów i pękających teczek, które zalegały na regałach, był dość zniechęcający, postanowił, że nie da się tym odstręczyć. Tym bardziej że był na najlepszej drodze, by stać się nowym człowiekiem...

Sir Walter wyjmował z regału pojedyncze tomy i przynosił je na stół, który znajdował się pośrodku pomieszczenia, natomiast Quentin postanowił najpierw dokonać przeglądu. Zanim przystąpi do szukania

igły w stogu siana, chciał zorientować się, jak wielkie są te zbiory.

Krąg światła jego lampy wciąż jeszcze nie dotarł do końca sklepionego pomieszczenia.

Ponieważ każdy krok wzdłuż regałów oznaczał kilka tysięcy dodatkowych stron, które wymagały przejrzenia, Quentin coraz bardziej podupadał na duchu, im dalej szedł w głąb pomieszczenia.

Gdyby był szczery wobec siebie, przyznałby się nie tylko do rezygnacji, jaką wzbudzało w nim niemal beznadziejne poszukiwanie, co tak bardzo go deprimowało. Oprócz tego nie był wcale pewien, czy rzeczywiście pragnie odnaleźć dokument, o którym mówił im profesor Gainswick.

Od chwili kiedy nieszczęsny Jonathan stracił życie, sprawy przybierały coraz gorszy obrót. Wypadek przy moście, najazd na Abbotsford, złowróżbny znak runiczny - co jeszcze może się wydarzyć?

Decyzja sir Waltera o wyjeździe do Edynburga początkowo nieco uspokoiła Quentina. Jednak gdy teraz w tym ciemnym, zwieńczonym łukowym sklepieniem pomieszczeniu szukali dalszych śladów pradawnej sekretnej sekty, sytuacja miała się zupełnie inaczej, niż to sobie wcześniej wyobrażał.

Wizyta u profesora znów obudziła w Quentinie lęki i obawy. Nie był w stanie precyzyjnie stwierdzić, skąd się brało to poczucie. Nie była to obawa o własne życie, która tak bardzo go przytłaczała - tu w Edynburgu napaść ze strony członków sekty była znacznie mniej

prawdopodobna. Znacznie mocniej Quentin odczuwał lęk przed czymś pradawnym, złym, co przetrwało wieki i czaiło w ukryciu, by ponownie uderzyć...

Droga dobiegła końca, gdy dotarł do przerdzewiałej żelaznej kraty, której drzwi zamknięte były łańcuchem. Krata oznaczała jednak, iż nie był to kres zasobów biblioteki, gdyż po drugiej stronie w bladej poświacie lampy Quentin dostrzegł kolejne dokumenty ułożone na regałach i stołach. Gruba na palec warstwa kurzu pozwalała domyślać się, że do tamtego pomieszczenia nikt nie zaglądał od bardzo dawna. Gdy Quentin przysunął lampę bliżej kraty, rozległy się przerażone piski, a jakieś szare stworzenia o brudnych futerkach i długich nagich ogonach z przerażeniem przebiegły po podłodze.

-Wuju! - zawołał głośno Quentin, a jego głos odbijał się od ścian, budząc grozę. - Musisz to zobaczyć!

Sir Walter sięgnął po swoją lampę i ruszył w głąb pomieszczenia. Zdumiony dostrzegł furtkę i znajdujące się za nią pomieszczenie.

- Zamknięte - stwierdził, spoglądając na łańcuch i zardzewiały zamek.

- Cóż za dokumenty mogą się tam znajdować? - zapytał z zadumą Quentin.

- Nie wiem, chłopcze. Ale już sam fakt, że oddzielono tamte dokumenty, sprawia, że wydają się interesujące, nie uważasz?

W oczach wuja Quentin znów dostrzegł młodzieńcze szelmowskie iskry, które jednocześnie tak uwielbiał i przed którymi czuł lęk.

- Profesor Gainswick nie nam przecież nie mówił o zamkniętym pomieszczeniu - dodał w zamyśleniu.

-A gdyby nawet, nic by to nie znaczyło. Szukany dokument mógł zostać przyniesiony tutaj później, zgodzisz się? Być może właśnie dlatego, iż zajmował się nim Gainswick.

Quentin nic na to nie odparł, po pierwsze dlatego, że jednemu przeczuciu nie dało się przeciwstawić odwrotnego przeczucia. Po drugie z tej przyczyny, że jego wuj z pewnością nie dałby sobie wyperswadować czegoś, jeśli już raz wbił to sobie do głowy.

Sir Walter bez chwili zwłoki porzucił wcześniej rozpoczęte poszukiwania zaginionego dokumentu i razem z Quentinem udał się na górę, gdzie administrator o szarej cerze siedział przy swoim biurku i kontynuował nadawanie sygnatur księgom. Sir Walter powiadomił go o odkrytym pomieszczeniu za zamkniętymi drzwiami, przy czym dało się zauważyć, że szara jak popiół cera bibliotekarza zrobiła się jeszcze bardziej bezbarwna.

-Jeśli byłoby możliwe - kończył wywód pan Abbotsford - chętnie otrzymałbym klucz do tego pomieszczenia, gdyż niechybnie może się okazać, że tam właśnie znajduje się to, czego szukam.

- To jest niestety niemożliwe - odparł bibliotekarz.

Czynił starania, by jego słowa brzmiały rzeczowo, jednocześnie usiłując ukryć zdenerwowanie. Lecz nawet Quentin, który dysponował daleko mniejszą zdolnością obserwacji niż jego wuj, dostrzegł jego niepokój.

- A dlaczego, jeśli wolno zapytać?

- Ponieważ klucz do tego pomieszczenia zaginął już dawno temu -

oświadczył administrator i sprawiał wrażenie, że jest bardzo zadowolony z tak szybkiego i łatwego rozwiązania kłopotliwej sytuacji.

Jednak zupełnie nie wziął pod rozwagę nieustępliwości sir Waltera.

- A zatem - odezwał się sir Walter z przyjaznym uśmiechem. -

Zatem nie będziemy upierać się i wezwiemy ślusarza, który będzie w stanie otworzyć zamek bez użycia klucza. Chętnie też pokryję koszty tego przedsięwzięcia i tym samym wyświadczę bibliotece przysługę.

- To także nie jest możliwe - burknął bibliotekarz.

Sir Walter wziął głęboki oddech.

- Muszę przyznać, mój młody przyjacielu, że jestem nieco zbity z pantofelku. Najpierw wydaje się, iż jedyną rzeczą, jaka powstrzymuje nas przed wejściem do pomieszczenia, jest stary zamek, a teraz nagle pojawiają się kolejne komplikacje.

Bibliotekarz rzucił niespokojne spojrzenia w lewo i w prawo, chcąc upewnić się, że nikogo nie ma w pobliżu. Potem ściszył głos.

- Pomieszczenie zostało zamknięte już dawno - wyznał. - Mówi się, że są tam składowane zakazane pisma, których nikomu nie wolno oglądać.

- Zakazane pisma? - zapytał ze zgrozą Quentin, natomiast w oczach jego wuja znów pojawiły się wesołe iskierki.

- Proszę, sir, niech pan nie wypytuje dalej. Nic o tym nie wiem, a nawet gdybym coś wiedział, i tak nie mógłbym więcej wam



powiedzieć. Klucz już dawno temu zaginął i tak jest dobrze. Tamto

pomieszczenie jest starsze od biblioteki i mówi się, że nie otwierano go już od stuleci.

- Tym bardziej jest to powód, by teraz tak uczynić - odparł sir

Walter. - Zabobony i bajania powinny ustąpić przed nauką i badaniami.

-W takim razie muszę pana prosić, by omówił pan to z kustoszem biblioteki, Sir. Chociaż na pańskim miejscu nie robiłbym sobie żadnych nadziei. Przed panem odrzucono już podania innych osób w sprawie otwarcia tego pomieszczenia.

- Innych? - sir Walter i Quentin wytyczyli słuch. - Kogóż to, mój przyjacielu?

- Dziwni ludzie, ponure typy - bibliotekarz wzdrygnął się.

- Kiedy to było?

-W poprzednim miesiącu. Czy to nie ciekawe? Od stuleci nikt nie interesował się tym miejscem, a teraz nagle kilku, jedni po drugich.

- Rzeczywiście. I tamci ludzie chcieli również dostać klucz do tamtego pomieszczenia?

- Właśnie tak. Ale nie dostali go, podobnie zresztą jak pan.

- Rozumiem - odparł sir Walter. - Dziękuję, mój przyjacielu, bardzo nam pomogłeś.

Po tych słowach odwrócił się, chwycił Quentina, żeby go odciągnąć.

- Słyszałeś? - syknął Quentin, kiedy znów znaleźli się w piwnicy i mieli pewność, że nikt ich nie podsłuchuje. - To pomieszczenie jest

zamknięte już od setek lat! Mówi się, iż są tam przechowywane

zakazane pisma. Być może mają coś wspólnego z runami i bractwem.

- Być może - stwierdził lakonicznie sir Walter.

- A ci ludzie, którzy przed paroma tygodniami byli w bibliotece, z pewnością są członkami bractwa. Również chcieli uzyskać tam dostęp, jednak kustosz im odmówił.

- Być może.

- Ależ wuju, wszystko za tym przemawia! Czy nie słyszałeś, co powiedział o nich bibliotekarz, że były to ciemne typy?

- I z tego wyciągasz wniosek, że byli to członkowie tajnego bractwa?

- Nie - przyznał zmieszany Quentin. - Ale powinniśmy porozmawiać z kustoszem. Być może będzie nam w stanie udzielić wskazówek co do tożsamości tych ludzi.

- Bardzo dobrze, siostrzeńcze. I co dalej?

- Cóż - dodał Quentin nieco ściszym głosem. - Później powinniśmy zejść do tego pomieszczenia. Ponieważ twoje przypuszczenie, że tam znajduje się coś, co może mieć dla nas znaczenie, wydaje się słuszne.

- Dokładnie tak jest - sir Walter uderzył pięścią w jeden ze stołów do czytania w geście triumfu. - Jeśli ci ludzie rzeczywiście chcieli się tam dostać, musi to wskazywać, że jest tam coś do znalezienia. Być może natrafimy wreszcie na rozstrzygające dowody, które umożliwią nam rozwiązanie zagadki znaku miecza oraz pokonanie tego

złowieszczych bractwa.

- A zatem nie szukamy już rękopisu, o którym wspominał profesor Gainswick?

- Nie, mój chłopcze. Tamto pomieszczenie wydaje się o wiele bardziej obiecujące niż dalsze szukanie igły w stogu siana. Wstąpimy natychmiast do kustosza. Być może będzie w stanie nam pomóc.

Nie chodziło o to, że kustosz biblioteki nie mógł im pomóc. Quentin nabrał przekonania, iż nie chciał im pomóc.

Wprawdzie korpulentny mężczyzna z bokobrodami czynił starania, by udzielić im uprzejmej odpowiedzi, jednak nie dało się nie dostrzec, że był przestraszony. Nerwowo opowiedział sir Walterowi i jego siostrzeńcowi tę samą historię, którą usłyszeli już z ust bibliotekarza. Że pomieszczenie to było zamknięte już od dawna i że z najwyższej instancji otrzymano polecenie, by go więcej nie otwierać. Klucz gdzieś zaginął i, co oczywiste, obowiązywał zakaz otwierania zamka siłą.

Sir Walter podjął kilka prób przekonania tego człowieka, jednak w końcu uznał się za pokonanego - w kustoszu z jego nieustępliwością on sam znalazł niedoścignionego mistrza. Kustosz na koniec doradził im, by złożyli oficjalne podanie w Królewskim Urzędzie Badań i Nauk, jednak udzielenie odpowiedzi na podanie będzie trwało tygodnie, jeśli nie miesiące. Ponadto nikłe były widoki na uzyskanie pozytywnej odpowiedzi.

Również w odniesieniu do ludzi, którzy wcześniej składali prośbę

o dostęp do pomieszczenia, kurator nie mógł im służyć precyzyjnymi informacjami.

Przed około sześcioma tygodniami, oznajmił im, dwóch mężczyzn, których wygląd i zachowanie uznał za budzące strach, także usiłowało dostać klucz, jednak odmówiono im prawa wstępu do bibliotecznego pomieszczenia. Ponieważ nie podali żadnych nazwisk, a kustosz nie był w stanie przypomnieć sobie dokładnego wyglądu tych ludzi, sir Walter doszedł do przekonania, że próba wyciągnięcia dalszych informacji nie daje żadnych szans powodzenia.

On i siostrzeniec ruszyli więc w drogę powrotną do domu. Rzecz jasna mogli dalej przeszukiwać dział fragmentów w nadziei, że uda im się natrafić na dokument odnaleziony przez profesora Gainswicka.

Jednak takie działanie zdawało się rokować znacznie mniej szans na powodzenie, w momencie kiedy wiedzieli, gdzie należało szukać właściwych poszlak, które mogły przyczynić się do wyjaśnienia tajemniczych wydarzeń.

- Czekanie na oficjalne zezwolenie otwarcia tego pomieszczenia potrwa zbyt długo - stwierdził sir Walter, kiedy znów siedzieli w powozie. - Dlatego też napiszę list do ministra sprawiedliwości. Jako przewodniczący Sądu Najwyższego posiadam prawo zlecenia przeszukiwań, jeśli wymaga tego rozwiązanie jakiejś sprawy.

- Jak sądzisz, dlaczego kustosz nie chciał nam pomóc? - postawił pytanie Quentin.

Sir Walter wlepił wzrok w swojego siostrzeńca.

- Nie powinieneś zapominać, że w naszej rodzinie to ja jestem tym, który zadaje pytania przynależne nauczycielowi - odparł z uśmiechem.

- Znasz przecież odpowiedź, a mimo to zadajesz pytanie.

- Sadzę, że ten człowiek czuł strach. A powodem tego jest, jak mniemam, wizyta owych ludzi, którzy z nim rozmawiali.

- To całkiem możliwe.

-Jeśli ci ludzie rzeczywiście należą do Bractwa Runów, dowodziłoby to, iż profesor Gainswick miał rację. Że ta sekta wciąż jeszcze istnieje i że jej członkowie teraz, tak jak dawniej, wciąż uprawiają swój nieczyny proceder.

- Nie - zaproponował sir Walter. - Dowodziłoby to przede wszystkim tego, że ktoś interesuje się tymi samymi rzeczami, co my. Oraz że nie powinienem zabierać ciebie na wizytę do profesora Gainswicka. To człowiek o zbyt bujnej fantazji, musisz o tym wiedzieć.

- Ale czy niedawno sam nie stwierdziłeś, że członkowie Bractwa Runów...

- Możemy mieć do czynienia z fanatykami - przerwał mu sir Walter. - Z politycznymi zapaleńcami, którzy wykorzystują stare zabobony jako kamuflaż, by zastraszyć naiwnych i prostych ludzi pokroju kustosza. Ja jednak wzbraniam się przed daniem wiary temu, że ci runiczni bracia, czy jak ich tam zechcemy nazwać, są w sojuszu z jakimiś nadnaturalnymi siłami. Ich dotychczasowe przestępstwa były dostatecznie potworne. To ich dziełem są mordy, podpalenia i

zakłócanie spokoju społecznego, przy czym czyny ich nie różną się od występków pospolitych przestępców. A zatem odmawiam dania wiary w siły nadnaturalne, dopóki istnieją przekonujące wyjaśnienia. W przypadku członków tego bractwa chodzi wyłącznie o przestępców, którzy posłużyli się starymi legendami, by otoczyć się aurą grozy i tajemniczości. To wszystko.

- A zatem inspektor Dellard prawdopodobnie miał rację?

- Wydaje się przynajmniej, że jego teorie nie do końca były fałszywe. Jednak pod jednym względem zasadniczo się mylił.

- Pod jakim mianowicie?

- Wysłał nas do Edynburga, żebyśmy mieli spokój ze strony członków sekty. A jednak wydaje się, że oni również tutaj uprawiają nieuczynny proceder, z dala od Galashiels. I to jest coś, co rzeczywiście mnie niepokoi, mój chłopcze. Dlatego chcę się przyczynić do tego, żeby ci złoczyńcy zostali jak najszybciej pochwyceni i żeby spotkała ich sprawiedliwa kara, zanim za ich sprawą dojdzie do dalszych nieszczęść.

Quentin dostrzegł cień smutku, który pojawił się na twarzy wuja.

-

Masz przy tym na myśli wizytę króla, prawda? - zapytał ostrożnie.

Sir Walter nie odpowiedział. Po zaciśniętej mocno żuchwie i napiętych rysach twarzy wuja Quentin mógł rozpoznać, że trafił w sedno.

Również sir Walter żywił obawy, chociaż z innych powodów niż jego siostrzeniec. Jego trapiło wyłącznie realne, polityczne podłoże

wydarzeń, natomiast Quentina bardziej niepokoiły towarzyszące sprawie okoliczności. Ponadto młodego człowieka nie opuszczało przecucie, że cała ta sprawa była, jak dla nich, zbyt wielka i nawet myśl o Mary Egton nie dodawała mu w tym momencie otuchy. Nie chodziło o to, że nie do końca ufał wujowi - jednak plany, iż na własną rękę wszystko rozwiążą, oceniał raczej jako mało prawdopodobne. W jaki sposób mieli rozwiązać zagadkę Bractwa Runów, skoro dysponowali tylko skąpymi informacjami? Poza tym wydawało się, że członkowie bractwa dotarli już do miasta, a zatem dalsze zajmowanie się tą sprawą wydawało się nie tylko rokować małe nadzieje, ale też wiązało się z ogromnym niebezpieczeństwem.

Quentin zatrzymał jednak te przemyślenia dla siebie. Obiecał swemu wujowi, że pomoże mu w śledztwie prowadzonym na własną rękę, i nie zamierzał opuścić go w potrzebie. Dużo większą nadzieję pokładał jednak w Charlesie Dellardzie, królewskim inspektorze. Być może w międzyczasie poczynił on postępy...

*Szanowni Panowie,*

*Od kilku tygodni działałam tu w wiadomej Wam sprawie.*

*Przywykliście już do otrzymywania ode mnie depeszy na początku każdego tygodnia, w których informuję Panów o stanie dochodzenia.*

*Niestety i tym razem muszę przyznać, że śledztwo w sprawie buntowników, którzy są odpowiedzialni za rozruchy i niepokoje*

*w Galashiels oraz innych okręgach, wciąż posuwa się wolno. Mimo wszystkich podejmowanych przeze mnie i moich ludzi działań, można odnieść wrażenie, jakbyśmy wciąż natrafiali na mur milczenia i niestety nie mogę wykluczyć, że znaczna część miejscowej ludności sympatyzuje z buntownikami.*

*Z tego też względu skorzystałem ze swobody i wraz z dragonami przeprowadziłem poszukiwania w okolicznych wsiach, które były podejrzane o udzielanie schronienia buntownikom. Niestety muszę przy tej okazji stwierdzić, że miejscowa ludność w żaden sposób nie wykazuje chęci do współpracy, a zatem musiałem kilku z nich przykładowo ukarać. Wprawdzie udało mi się dzięki temu przywrócić porządek w okręgu, jednak rozwiązanie sprawy wciąż jeszcze jest przede mną i obawiam się, uwzględniając okoliczności, że potrzebne będą dalsze działania, które umożliwią ostateczne rozwiązanie zagadki, buntowników. Na honor oficera Korony pragnę jednak zapewnić Panów, że dalej będę robił wszystko, co w mojej mocy, żeby aresztować przestępców.*

*Z wyrazami szacunku,*

Charles Dellard

Inspektor Jego Królewskiej Mości

Charles Dellard przebiegł wzrokiem po treści pisma raz jeszcze i dmuchnął przy tym na swój podpis, żeby inkaust szybciej wysechł.

Następnie złożył arkusz, wsunął go do koperty i przyłożył lakową pieczęć. Zaraz potem zawołał posłańca, który czekał już w gotowości



przed drzwiami jego biura.

- Sir? - młody mężczyzna w czerwonym surducie dragonów

przyjął postawę zasadniczą.

- Kapralu, ta wiadomość musi jak najszybciej dotrzeć do Londynu

- oznajmił Dellard, wręczając mu list. - Chciałbym, żeby doręczył ją

pan osobiście, zrozumiano?

- Tak jest, sir - potwierdził podoficer, zrobił w tył zwrot i opuścił

biuro.

Dellard słyszał, jak jego kroki przebrzmiały, i nie mógł

powstrzymać szerokiego uśmiechu.

Tak łatwo było zadowolić tych głupców w Londynie. Wysyłane od

czasu do czasu depesze, w których podawał kilka ogólnikowych

informacji na temat przebiegu dochodzenia, wystarczyły w zupełności,

by nie zadawano mu zbędnych pytań. On zaś w międzyczasie mógł

czynić na terenie hrabstwa to, co mu się żywnie podobało. Odkąd ten

żałosny Scott i jego strachliwy, lecz nie mniej ciekawski siostrzeniec

opuścili Galashiels, Dellard miał wolną rękę, mógł realizować własne

plany i robić to, po co tak naprawdę tutaj przybył.

Nikt, ani przemądrzały Scott, ani ci idioci w Londynie, nie

przeczuwał, na czym polegały jego prawdziwe plany i co tak naprawdę

zamierzał uczynić. Jego kamuflaż był perfekcyjny, natomiast akcja od

dawna przygotowana. Przeznaczenie już ruszyło z miejsca, zaś on sam

należycie w tym pomógł.

Dellard zamierzał odwrócić się do stolika do gry w karty i

ponownie zając się codziennymi sprawami, kiedy usłyszał przez drzwi odgłos pospiesznych kroków. W pierwszej chwili sądził, że znów jest to szeryf Slocombe, notoryczny pijus, którego biuro Dellard zaanektował i który odwiedzał go codziennie, nagabując głupawymi pytaniami.

Jednak tym razem Dellard mylił się. Tym, kto go odwiedził, nie był Slocombe, lecz opat Andrew, przełożony kongregacji premonstratensów w Kelso.

Adiutant wszedł do środka i oznajmił przybycie zakonnika i jeszcze zanim inspektor zdążył zdecydować, czy przyjmie gościa, opat stał w progu.

- Dzień dobry, inspektorze - powiedział dziwnie spokojnie. - Czy mógłby pan poświęcić mi trochę pańskiego cennego czasu?

- Ależ oczywiście, wielbny opacie - odparł Dellard, rzucając przy okazji gniewne spojrzenie na adiutanta, bo przecież powiedział wyraźnie, iż nie życzy sobie, by mu przeszkadzano.

- Proszę usiąść - zaoferował opatowi fotel, podczas gdy adiutant szybko wyszedł z jego biura. - Cóż mogę uczynić dla ojca, wielbny opacie? Nie jest ojciec częstym gościem w moim biurze.

- Na szczęście nie - odparł opat Andrew. - Chciałem zasięgnąć informacji co do postępów dochodzenia. W końcu mój zakon poniósł niemałe straty z powodu czynów, których dopuścili się ci przestępcy.

- Wiem o tym, naturalnie, i przykro mi z tego powodu - zapewnił gorliwie Dellard. - Życzyłbym sobie tylko, żebym mógł ojcu przekazać

tego ranka wyłącznie dobre nowiny.

- Czy zatem dochodzenie wciąż nie posunęło się do przodu?

- Na dobrą sprawę, nie - wyznał Dellard z opuszczoną pokornie

głową. - Natrafiliśmy na kilka tropów, którymi podążamy, ale jeśli

chodzi o pojmanie buntowników, napotykamy mur milczenia. Wydaje

się, że ci przestępcy cieszą się dużym wsparciem ze strony miejscowej

ludności. To utrudnia moją pracę.

- To dziwne - odparł opat. - Na podstawie moich rozmów z ludźmi

odniosłem raczej wrażenie, że oni obawiają się buntowników.

Zwłaszcza że pan oraz pańscy dragoni czynią wszystko, by dać

mieszkańcom do zrozumienia, że kolaboracja z buntownikami pociąga

za sobą surową karę.

- Czyżbym słyszał w tym cichy wyrzut, wielbny opacie?

- Naturalnie, że nie, inspektorze. To pan jest stróżem prawa. Ja

tylko jestem prostym zakonnikiem, który nie bardzo zna się na tych

rzeczach. W rzeczy samej zadaję sobie pytanie, dlaczego tak

drastyczne kroki muszą być podejmowane wobec tutejszej ludności.

- I? Przychodzi ojcu do głowy jakaś odpowiedź?

- Cóż, mówiąc otwarcie, przyszło mi na myśl, inspektorze, że

panu tylko w drugiej kolejności chodzi o pojmanie podpalaczy bi-

blioteki w Kelso i morderców Jonathana Milтона. Przede wszystkim

chyba chodzi panu o to, żeby pańscy przełożeni w Londynie odnieśli

wrażenie, że nie siedzi pan tutaj beczynn timer, podczas gdy w

rzeczywistości, proszę wybaczyć mi szczer ość, nie osiągnął pan nawet

najmniejszych rezultatów.

Charles Dellard zachowywał pozorny spokój, jednak w jego oczach błyskały gniewne iskry.

- Dlaczego prowadzimy tę rozmowę? - chciał wiedzieć.

- To bardzo proste, inspektorze. Ponieważ za swój obowiązek uważam występować jako obrońca mieszkańców Galashiels, których pańskie metody kompletnie przstraszyły. Przychodzą do mnie i skarżą się, że ich wioski i domostwa są przeszukiwane przez dragonów. Że zakłada pan kajdany niewinnym ludziom jak przestępcom i zabiera ich z domów.

- Wielebny opacie - rzekł Dellard, zmuszając się do zachowania spokoju. - Nie mogę oczekiwać, że człowiek w habicie zrozumie konieczności, które wiążą się z policyjnym dochodzeniem, ale...

- To nie jest policyjne dochodzenie, inspektorze, lecz czysta samowola. Ludzie boją się, że represje mogą dotknąć każdego z nich w następnej kolejności. Mężczyźni, na których wykonał pan egzekucję...

- ...byli co do jednego kolaborantami, którzy ukrywali buntowników bądź też z nimi współpracowali.

- To też brzmi osobliwie - skomentował opat. - Mnie natomiast relacjonowano zupełnie co innego. Mówi się, że ci mężczyźni do ostatniej chwili przysięgali na wszystkie świętości, że są niewinni, a pan w ogóle ich nie wysłuchał.

- Czegóż opat oczekuje? Że każdy, komu grozi strychezek, mówi prawdę? Proszę o wybaczenie, wielebny opacie, ale obawiam się, iż nie

zna się ojciec zbyt dobrze na ludzkiej naturze.

- Dostatecznie dobrze, by rozpoznać, o co chodzi w tej grze -

odparł opat Andrew stanowczym tonem.

- Tak? - zapytał Dellard, nie tracąc równowagi. - A zatem o cóż,

zdaniem ojca, chodzi w tej grze?

-Widzę, że dochodzenie nie posuwa się do przodu w tempie, w jakim powinno. Lecą wióry, ale nigdzie nie widać, by ktoś rąbał drwa.

Nie wiem, co pan zamierza, inspektorze, ale widzę, że realizuje pan własne plany. Gdybym tego nie wiedział, stwierdziłbym, że **nie** jest pan w ogóle zainteresowany pojmaniem buntowników. Twarz Dellarda zamieniła się w kamienną maskę.

- Niech ojciec się cieszy - odezwał się niemal bezgłośnie - że

ojciec nosi habit i w związku z tym wielkodusznie wybaczam mu te nierozważne słowa. W przeciwnym razie za taką obrazę natychmiast

zażądałbym satysfakcji. Moi ludzie i ja dzień po dniu wykonujemy

ciężką robotę i często ryzykujemy życie. Zarzut, że nie dążymy do celu

z pełnym poświęceniem, wydaje się złośliwością i perfidią, która

obraża mój oficerski honor.

- Proszę o wybaczenie, inspektorze - opat uklonił się przy tym

nisko. - Nie było w żadnym razie moim zamiarem pana obrazić. Po

wszystkim, co usłyszałem, doszedłem jedynie do wniosku, że muszę

się z panem rozmówić i przekazać panu moje wrażenia.

-I odniósł ojciec wrażenie, że z premedytacją opóźniam bieg

dochodzenia. Że nie leży mi na sercu dobro mieszkańców hrabstwa

Galashiels? Że realizuję własne cele? - wzrok Dellarda kłuł niczym żądło, jednak mnich wytrzymał jego spojrzenie.

- Muszę dodać, że wciąż żywię to podejrzenie - wyznał bez ogródek.

- To jest niedorzeczne, wielebny opacie. Jakież mogłyby to być cele?

- Któż to wie, inspektorze? - odparł zagadkowo opat Andrew. -

Któż to wie...?

Cicha nadzieja Quentina, że klucz to zakazanego pomieszczenia nigdy się nie odnajdzie i że w ten sposób zdołają uniknąć poszukiwania dowodów wśród starych dokumentów, prysła jeszcze tego samego wieczora.

Sir Walter, lady Charlotte i Quentin kończyli właśnie kolację, kiedy ktoś zastukał dziarsko do drzwi domu. Jeden ze służących wyszedł, by otworzyć. Kiedy wrócił, trzymał w dłoni niewielką paczuszkę, której przyglądał się zdziwiony.

- Któż to był, Bradley? - zapytał sir Walter.

- Nikt, sire.

- To raczej niemożliwe - roześmiał się sir Walter. - Ktoś musiał zastukać do drzwi, inaczej byśmy tego nie słyszeli, prawda?

- Święta prawda, sire. Ale kiedy otworzyłem drzwi, nikogo tam nie było, leżała jedynie ta paczuszka. Przypuszczam, że ktoś pozwolił sobie na dowcip.

- Podaj mi to - zażądał sir Walter i po tym, jak obejrzał ze

wszystkich stron paczuszkę, która była zawinięta w skórę i miała

rozmiary pudełka cygar, rozwiązał sznurek i rozpakował ją.

Spod skóry wyłoniła się drewniana kasetka, której wieko dało się zdjąć. Quentin wstrzymał oddech, kiedy zobaczył, co jego wuj wyjął z małej szkatułki. Był to klucz długości dłoni, zardzewiały, z grubym uchwytem.

-To przecież niemożliwe! - wyrwało się Quentinowi, który rzecz jasna, tak jak sir Walter natychmiast domyślił się, o jaki klucz chodziło.

Tylko lady Charlotte, która nie rozmawiała z mężem o ostatnich wydarzeniach, ponieważ nie chciał jej niepokoić, pozostawała w nieświadomości.

- Co to jest? - zapytała swego męża.

- To, moja kochana - odparł sir Walter ze znaczącym uśmiechem - wydaje się być zaproszenie. Ktoś najwyraźniej przykłada wielką wagę do tego, żebyśmy - Quentin i ja - kontynuowali nasze poszukiwania, i sądzę, że uczynimy temu komuś tę przyjemność.

I znów się tutaj zgromadzili, przy kamiennym kręgu, gdzie ich przodkowie zbierali się już od tysięcy lat, by zaklinać moce ciemności.

Mężczyźni w ciemnych opończach i w poczernionych sadzą maskach spoglądali na swojego przywódcę, który jak zawsze wszedł do środka kręgu. Jego biała opończa w świetle księżyca połyskiwała bladą poświatą.

- Bracia! - zawołał tak głośno, żeby wszyscy mogli go usłyszeć. - I znów się tutaj zebraliśmy. Wielkie wydarzenie jest już blisko. Noc, w czasie której proroctwa spełnią się i wypełnią się stare przysięgi, jest przed nami. Mam też nowiny, bracia moi. Proroctwo runów już niedługo się spełni. Ci, co sądzą, że walczą przeciw nam, w rzeczywistości nam sprzyjają i pracują dla nas. Ich ciekawość jest wielka, podobnie jak wielka jest ich wola, by nas zniszczyć. Jednakże wszystko, co czynią, czynią wyłącznie z pożytkiem dla nas. Co zresztą zostało obiecane przed setkami lat. A teraz my w końcu to zdobędziemy po tak długim czasie.

Członkowie bractwa przytaknęli i wyrazili aprobatę pomrukiem, potem dał się słyszeć cichy, złowieszczy, chóralny zaśpiew, który rozległ się w obrębie kamiennego kręgu, by potem rozplynać się gdzieś w ciemnościach nocy.

- Ale mam nie tylko dobre nowiny, bracia moi. Nie chcę przed wami ukrywać, że pojawiło się nowe niebezpieczeństwo. Stary, bardzo stary wróg znowu ożył. Dawno temu nasi przodkowie wierzyli, że



zdołali go pokonać, jednak on tylko pograżył się we śnie. Przez wszystkie te stulecia obserwował nas i czekał, aż się ukazemy. Wydaje się, przyjaciele moi, że w tych dniach wypełni się nie tylko nasz los. Dojdzie do ostatecznej walki przeciwko tym, którzy obstają przy nowym porządku. Nastąpi rozstrzygnięcie w walce między wiarą ich a naszą, bracia moi. Doprowadzimy ten konflikt do końca i zbierzemy owoce tego zwycięstwa. Jak za dawnych czasów, runy znów będą panować!

- Runy znów będą panować - powtórzyli chórem członkowie bractwa, a ich przywódca niemal fizycznie wyczuł agresję promieniującą ze wszystkich stron.

Był mistrzem w manipulowaniu tłumem i jego zachowaniami.

Wiedział też, jak grać uczuciami ludzi. Znał słowa budzące emocje, za pomocą których mógł nimi kierować i sprawiać, że stawali się głusi na wszelkie pytania i dylematy.

Celowo przemilczał fakt, że poszukiwania przedmiotu wciąż jeszcze nie dały konkretnego rezultatu. O wiele ważniejsze było podsycenie nienawiści do wspólnego wroga. Ponieważ nienawiść, co pojął już bardzo dawno, umożliwiała zespolenie grupy bardziej niż każda żelazna obręcz.

Nienawiść do nowego porządku.

Nienawiść do tych, którzy ten porządek reprezentowali.

Nienawiść do epoki, która była dekadencją i moralnie zepsuta i głośno domagała się odnowy. Odnowy, jaką miało przynieść Bractwo

Runów.

Klucz pasował.

Policzki sir Waltera zarumieniły się u jak uczniaka, który wykrada jabłka z ogrodu sąsiada. W zamku coś cicho szczęknęło, potem kabłąk puścił. Następnie rozległ się głośny łoskot, kiedy Quentin odciągnął na bok zardzewiały łańcuch i opuścił go na posadzkę. Wejście do zakazanego pomieszczenia biblioteki stało otworem.

Co oczywiste, ani sir Walter, ani jego siostrzeniec nie pisnęli ani słowem, jakież to godny uwagi prezent otrzymali poprzedniego wieczora. Bibliotekarza poinformowali jedynie o tym, że zamierzają raz jeszcze rozejrzeć się po dziale zbiorów fragmentarycznych. Gdy znaleźli się w sklepionej krypcie, natychmiast wzięli się za otwieranie zakazanych drzwi.

Okratowane drzwi otworzyły się z metalicznym zgrzytem, a światło lampy padło na regały, które były ustawione wzdłuż ścian pomieszczenia. Każdy z regałów był wypełniony aż po brzegi zwojami oraz oprawionymi w skórę woluminami, w środku których tkwiły stare manuskrypty oraz dokumenty fragmentaryczne. Gdzieś między nimi, tego sir Walter był pewien, znajdowały się wskazówki dotyczące tajemniczego bractwa.

- Profesor Gainswick z pewnością dałby wiele za to, by być tu z nami - wysunął przypuszczenie Quentin, gdy wchodzili do pomieszczenia.

- Nie wątpię, że tak - zgodził się sir Walter. - Być może uda nam

się nawet znaleźć jakiś dokument, który będziemy mogli mu przedłożyć do ekspertyzy. Zatem bierzmy się do roboty, mój chłopcze.

Zatroszcz się o regał po prawej, ja natomiast zajmę się lewą stroną.

- W porządku, wuju. Czego dokładnie mamy szukać?

- Wszystkiego, co choć w przybliżeniu wiąże się z naszym

tematem. Jeśli wpadną ci w ręce jakieś teksty, w których będzie mowa o pogańskich rytuałach, o sztuce runicznej lub też o sekretnym bractwie, wtedy znajdziesz to, czego szukamy.

Quentin wzruszył ramionami i wziął się do roboty. W międzyczasie jego niepokój równoważył się z ciekawością. Pierwsza teczka, po którą sięgnął, była pokryta gęstą pajęczyną. Tuman kurzu wzbił się i zmusił Quentina do kaszlu, po chwili jednak księga leżała już przed nim na stole. Skórzane okładki zawierały dużo rozmaitych pism, większość z nich utrwalona była na starym czerpanym papierze. Atrament w wielu miejscach wyblakł, w rezultacie czego pojawiły się pewne problemy w odczytaniu. Pergaminy czytało się znacznie łatwiej. Wtedy jednak Quentin musiał sięgać do swej wiedzy z łaciny i greki, by pozornie niekończące się znaki ustawione jeden po drugim nabrały jakiegoś sensu.

W większości teksty były dokumentami, które potwierdzały przejęcie gruntów, związane z tym prawa lenne albo też opisywały rozstrzygnięcia związane z dziedziczeniem. Przyczyna, dla której znalazły się pod kluczem, nie wiązała się raczej z ich wywrotową treścią. Dużo bardziej prawdopodobny był fakt, że zniknęły dlatego, żeby później nikt nie mógł

zgłaszać roszczeń majątkowych czy też tych związanych z

dziedziczeniem.

Quentin zamknął segregator i sięgnął po następną teczkę. Niemal wszystkie dokumenty w niej zawarte były napisane na pergaminie i zawierały

pieczęci,

które

były

datowane

aż

na

czasy

wczesnochrześcijańskie. Quentin poczuł głęboki szacunek, kiedy pomyślał, jak stare były to dokumenty. Przed wieloma stuleciami mnisi i nadworni kronikarze zapisali je, nie myśląc wcale o tym, że kiedyś, w odległej przyszłości, ktoś je przeczyta. Stopniowo Quentin zaczął pojmować, co mówił jego wuj o żywej historii i o tym, że należy uczyć się na błędach poprzednich pokoleń.

W następnej kolejności natrafił na kilka palimpsestów, czyli pergaminów, które były wcześniej zapisane i których pierwotny tekst zdrapano ze względu na oszczędność. Często jednak czyniono to niezbyt skrupulatnie, dzięki czemu w wielu miejscach można było przeczytać pierwotny tekst.

Początkowo

Quentin

z

dużym

napięciem

oddał

się

detektywistycznej pracy, gdy przeglądał to, co kiedyś postanowiono ukryć przed potomnymi. W końcu jednak zrozumiał, że skrybowie z dawnych wieków mieli uzasadnione powody, by usuwać z pergaminu pierwotne teksty. Chodziło bowiem w nich, ujmując ogólnie, o rzeczy najbardziej błahe i nudne. Notatki, uwagi oraz pisemne oświadczenia, które już dawno utraciły ważność. I nie miały nic wspólnego z tym, czego szukali razem z sir Walterem.

Tak upłynęło kilka godzin.

W świetle dwóch lamp naftowych, które trzeba było wielokrotnie napełniać, obaj przejrzeni ogromną liczbę tekstów, zaglądali do dokumentów, czytali fragmenty ksiąg, które nigdy nie zostały skończone bądź też wydane tylko w części. Między innymi natrafili na wolumin ze szczegółowymi rysunkami ludzkiego ciała, ponadto na stronice z wierszami miłosnymi Katullusa, Owidiusza oraz innych poetów rzymskiej klasyki. Sporo było też pism, których samo istnienie wystarczyło, by wezwać tutaj strażników publicznej moralności.

Sir Walter i jego siostrzeniec nie znaleźli jedynie tego, czego szukali. W końcu Quentin sięgnął po znajdującą się na najwyższej

półce regału teczkę, która była co najmniej dwa razy grubsza niż pozostałe. Kiedy tylko wziął ją do ręki, stracił równowagę i pochylił się do przodu. Z głośnym krzykiem spadł z krzesła, na które wcześniej wszedł, by sięgnąć na górną półkę. Segregator z niezliczonymi kartami wysunął mu się z ręki. Z głuchym stuknięciem wylądował na posadzce w chmurze pyłu i bezładnej stercie rozrzuconych kart papieru.

- Quentinie! - skarcił go gromko sir Walter, który porządnie się wystraszył. - Naprawdę jesteś zwiastunem nieszczęścia. Co ty znowu wyprawiasz?

- Ja... nie wiem - wyjąkał zmieszany Quentin i przetarł oczy z pyłu.

Kiedy znów otworzył oczy, mrugając, dostrzegł rozgardiasz, którego był sprawcą. Otoczony stertą najróżniejszych kart i stronic siedział na posadzce i wyglądał jak urwis, który dopuścił się szelmowskiego psikusa.

- Zrobisz z tym wszystkim porządek - zażądał sir Walter ostrym tonem. - I to natychmiast! Zbierzesz każdy pojedynczy arkusz i włożysz go tam, gdzie był, zanim...

Przerwał nagle, a wzburzenie na jego twarzy ustąpiło miejsca niewypowiedzianemu zdumieniu. Quentin rzadko miał okazję widzieć swego wuja w sytuacji, w której brakowało mu słów.

- Co się stało? - zapytał zdezorientowany młodzieniec. - Czy znowu coś źle zrobiłem?

Sir Walter wciąż nie odpowiadał, lecz schylił się i podniósł

zapisaną stronicę, która opadła tuż przed jego stopami. Z

niedowierzaniem wpatrywał się w nią, zanim w końcu pokazał siostrzeńcowi.

- Eureka! - zawołał Quentin.

Na kartce widniał rysunek znaku miecza.

Symbolu nie dało się rozpoznać natychmiast. Kaligraf ujął go w ornamenty, które ozdabiały margines stronicy. Dopiero kiedy kartkę odwróciło się na bok, rzuciła się wyraźnie w oczy pionowa kreska z przecinającym ją poprzecznie łukiem.

- To nie może być przypadek - orzekł sir Walter niezwykle ożywiony. - Weź lampę, chłopcze, i zanieś ją do stołu. I przepraszam cię, iż nazwałem cię zwiastunem nieszczęścia. Jeśli tu znajdziemy informacje, których szukamy, w przyszłości zyskasz święte prawo, by nazywać siebie dzieckiem szczęścia.

Quentin wstał i uczynił to, co mu polecono. W białawej poświacie lampy obaj mężczyźni zaczęli czytać.

Znaki na odnalezionej stronicy nie były łatwe do odczytania. Mieli do czynienia ze starą minuskułą, której odszyfrowanie sprawiło pewne problemy przynajmniej Quentinowi. Sir Walter przesuwiał palcem po literach i mruczał przy tym cicho pod nosem.

- Tutaj coś jest - oznajmił po chwili. - Jest tu mowa o *secretafraternitatis*.

- O tajemnicy bractwa - przetłumaczył Quentin i poczuł, jak jeżą mu się włosy na głowie.



- Tak - przytaknął sir Walter. - A ustęp dalej bractwo to jest nieco bliżej opisane *fraternitas signorum vetatorum*. Co oznacza bractwo zakazanych znaków.

- Te zakazane znaki mogą oznaczać runy - wysunął przypuszczenie Quentin. - Oznaczałoby to, że jest tu mowa o Bractwie Runów.

-Ja również wychodzę z tego założenia, mój chłopcze. Tu poniżej znajduje się jeszcze jedna wskazówka. Jak rozumiem, jest tu mowa o tajemnym spotkaniu w noc pełni księżycowej oraz o sprzysiężeniu mrocznych duchów i demonów *ex aetatibus obscuris*.

- Z ciemnych czasów - Quentin wzdrygnął się.

- Najwyraźniej autor tego dokumentu zajmował się bliżej bractwem i jego rytuałami. Tu wspomina nawet, gdzie odbywały się te sekretne spotkania: *in circulo saxorum*.

- W kamiennym kręgu - przetłumaczył Quentin.

- Nie ma wątpliwości, że chodzi tu o menhiry, które przetrwały z czasów przedchrześcijańskich - wyjaśnił sir Walter. - Uczni wciąż się jeszcze spierają o to, jakiemu celowi mogły one kiedyś służyć. Być może ten fragment daje odpowiedź na to pytanie. Jeśli bowiem autor tego tekstu ma rację, kamienne kręgi stanowiły miejsce zgromadzeń członków sekretnego bractwa. Tu się spotykali *ad artes obscuras et interdicitas*.

- By uprawiać mroczne i zakazane obrzędy - znów się wzdrygając, dodał Quentin głosem, którego nie powstydziliby się stary Max od

duchów. - I tak jest jeszcze dzisiaj.

- Żywię nadzieję, iż w rzeczywistości w to nie wierzysz, mój drogi

siostrzeńcze - rzekł sir Walter z lekkim wyrzutem. - Mimo to nie mogę

temu zaprzeczyć... Wiele wskazuje na to, że buntownicy, którzy

uczynili zło w Kelso i Abbotsford, powołują się na to stare bajdurzenie,

by napełnić strachem i grozą proste duszyczki. Ale ty nie powinieneś

wychodzić z założenia, że ci złoczyńcy rzeczywiście modlą się do

pogańskich bóstw i wierzą w stare runiczne czary.

- Wydaje się, że profesor Gainswick jest o tym przekonany.

- Z całym szacunkiem, jaki żywię do mojego dawnego

nauczyciela. Profesor Gainswick w miarę upływu lat, które spędził nad

księgami i starymi pismami, stał się nieco ekscentryczny.

- A opat Andrew? Sam przecież powiedziałaś, że on coś przed nami

ukrywa, wuju? I to on wyraźnie nas ostrzegał przed zagrożeniem, które

kryje się za znakiem miecza. Być może on wie o tych sprawach.

- Uzasadnione podejrzenie - przyznał sir Walter - które

przedstawimy osobiście opatowi Andrew, najszybciej jak to możliwe.

- Zamierzasz pojechać z powrotem do Kelso?

- Naszym celem było znalezienie w bibliotece jakiegoś punktu

zaczepienia i z pewnością taki punkt znaleźliśmy. Jeśli pokażemy

opatowi Andrew ten dokument, być może zechce podzielić się nami

wiedzą na temat tej starej tajemnicy. A zatem przepisziesz dokładnie tę

stronicę, mój chłopcze, nie omijając żadnego znaku. Ja tymczasem

rozejrzę się, czy przypadkiem nie ma gdzieś dodatkowych stron, które

należałyby do tego fragmentu.

- Przeczucie mówi mi, że nie - wyraził swoje zdanie Quentin.

- Dlaczegoż nie?

- Gdyby ta księga rzeczywiście zawierała informacje na temat za-  
kazanego bractwa, z pewnością już dawno zostałaaby zniszczona. Albo  
też zaginęłaby gdzieś w zawirowaniach średniowiecza. Albo...

Urwał nagle i zrobił się blady jak ściana.

- Wuju - wyszeptał spiskowym tonem - być może Jonathan w  
archiwum w Kelso natrafił właśnie na ten dokument. Być może znak,  
jaki odnalazłem, stanowił swego rodzaju wskazanie. Ukrytą  
wskazówkę, że w tym regale znajduje się kolejny fragment. A  
nieszczęsny Jonathan przypadkowo na to natrafił. Wiesz przecież, jak  
bardzo uwielbiał wsadzać nos w stare manuskrypty.

- Wszystko to brzmi, jak dla mnie, niezbyt przekonująco - pokręcił  
głową z powątpiewaniem sir Walter. - Dlaczego ktoś miałby ukryć w  
Kelso fragmenty tego woluminu?

- Cóż, w Kelso znajdowały się księgi, które uratowano z klasztoru  
w Dryburghu, prawda? A klasztor w Dryburghu należał przecież do  
największych ośrodków wiedzy tego kraju, jego księgozbiór był nie-  
mniej słynny niż królewska biblioteka w Edynburgu.

- Nie bardzo widzę, do czego zmierzasz.

- A jeśli stronice tej księgi zostały celowo rozmieszczone w różnych  
bibliotekach? Jeśli Bractwo Runów chciało w ten sposób wymknąć się  
skrupulatnym oczom klasztornych cenzorów? Z biegiem stuleci wiedza

o tym, gdzie są rozmieszczone fragmenty, mogła zaginać, do momentu, kiedy Jonathan nieszczęsnym trafem natknął się na nie.

- Twoja hipoteza brzmi tak nedorzecznie, że niemal wydaje się prawdopodobna, mój chłopcze - przyznał sir Walter. - Chociaż jak dotąd nie dysponujemy nawet najmniejszym dowodem na to.

Będziemy musieli szukać dalej i przekonać się, czy znajdziemy coś, co mogłoby uzasadnić twoją teorię.

- A co z tym kamiennym kręgiem, o którym jest mowa w tekście?

- błysk w oczach Quentina zdradził, że teraz także on dał się ponieść łowieckiej gorączce, która okazała się silniejsza niż wszelkie obawy i ostrożność. - Czy nie możemy podjąć próby jego odnalezienia?

- Niestety nie dysponujemy żadną wskazówką, gdzie mógłby się znajdować. W samym regionie Lowlands znajdują się dziesiątki takich kamiennych kręgów, nie wspominając już o krainie Highlands.

Odwiedzimy jutro raz jeszcze profesora Gainswicka. Być może będzie w stanie powiedzieć nam coś więcej na ten temat. A teraz bierz się do roboty, mój chłopcze.

- Oczywiście, wuju.

- Quentinie?

- Tak, wuju.

Na twarzy sir Waltera Scotta pojawił się uśmiech pełen uznania.

- Dobra robota, mój chłopcze. Naprawdę bardzo dobra robota.

Dalsze poszukiwanie fragmentów dokumentu, którego autorem był mnich z wczesnych wieków średnich i który mówił o knowaniach

druidów i Bractwa Runów, okazały się bezowocne. Wprawdzie sir Walter przejrzał ogrom niezwiązanych ze sobą manuskryptów i fragmentów, kiedy Quentin sporządzał dokładną kopię tego rękopisu, który udało im się znaleźć. Nie znaleźli jednak innych stronic, które mogłyby pochodzić z tego samego źródła. Brakowało też zgodności co do treści

- w żadnym z innych dokumentów nie znaleźli jakiegokolwiek wskazówki odnoszącej się do bractwa czy też kamiennego kręgu bądź runów.

Był już późny wieczór, kiedy sir Walter i Quentin zakończyli poszukiwania.

Obaj byli zmęczeni, od światła świec bolały ich oczy. Mimo to sir Walter nie zamierzał udać się na odpoczynek. Przez dwa długie dni zaniedbał pisarskie obowiązki na korzyść prywatnych poszukiwań - co, uwzględniając pilne terminy, było luksusem, na który właściwie nie mógł sobie pozwolić. Quentin wiedział, że wuj będzie pracował przez całą noc - skąd brał na to siły, było dla młodzieńca nieodgadnioną zagadką.

Opuścili bibliotekę tylnym wyjściem. Nocny stróż otworzył im wąską furtkę i wymknęli się na uliczkę, która znajdowała się między budynkiem biblioteki a tylną ścianą uniwersytetu. Latarnie przy Chambers Street rzucały tylko mdławie światło, a na uliczce panował szary półmrok. Mgła ciągnęła od strony zatoki Firth of Forth i zakrywała ziemię. Kroki sir Waltera i jego siostrzeńca brzmiały głucho i pusto na kamiennym bruku.

Nagle Quentin poczuł się nieswojo. Najpierw przypisał to swojemu staremu lękowi oraz mgle, która pełzała w uliczce. Już chciał nazwać siebie durniem, który zapewne nigdy całkiem nie dorośnie. Potem jednak uświadomił sobie, że cichy strach, który go ogarniał, miał jednak bardzo realną przyczynę.

Kroki, które słyszał i których odgłos odbijał się od murów, nie należały tylko do niego oraz jego wuja. Usłyszał jeszcze inne odgłosy. Głuche, przytłumione kroki, które stawiał gdzieś za nimi ktoś inny.

Quentin chciał się obejrzeć, żeby upewnić się co do swoich podejrzeń. Jednakże jego wuj chwycił go szybko prawą ręką za ramię.

- Nie odwracaj się - syknął sir Walter.

- Ale wuju - wyszeptał zdumiony Quentin. - Ktoś nas śledzi.

- Wiem, mój chłopcze. Już od chwili, kiedy opuściliśmy bibliotekę. Zapewne są to jacyś rabusie. Zbiry, które unikają światła.

Idź po prostu przed siebie i zachowuj się tak, jakbyś niczego nie zauważył.

- Czy nie powinniśmy przywołać konstabla?

- Chcesz w ten sposób zaryzykować nasze życie? Najbliższy stróż prawa może znajdować się o kilka ulic dalej. Co zamierzasz zrobić, zanim tutaj dotrze? Podjąć walkę z trzema lub czterema bandziorami naraz? Kiedy ci ludzie znajdą się w zagrożeniu, mój chłopcze, są niczym zwierzęta, które osaczono na polowaniu. Nie mają wtedy nic do stracenia i bronią się ze wszelkich sił.

- Rozumiem, wuju.

Quentin z trudem oparł się przemożnej pokusie spojrzenia w tył przez ramię, chociaż czuł bardzo silny impuls, by to zrobić. Dopóki wróg, który ich śledził, nie miał twarzy, strach, który wywoływał, był jeszcze większy. Quentin nie wiedział, ilu jest napastników ani jakie żywili zamiary. Czy chcieli tylko obrabować jego wuja i jego samego, czy też zamierzali zdradziecko ich zamordować?

Puls młodego człowieka przyspieszył, aż w końcu usłyszał w głowie bicie serca. Tęsknie spoglądał do przodu, wypatrując końca uliczki, który nagle wydawał się odsunąć w niedosiężną dal.

Quentin usiłował stłumić narastającą panikę. Wciąż słyszał z tyłu kroki prześladowców, chociaż już nie przybliżały się. Dystans między nimi pozostawał taki sam - ale dlaczego? Quentin nie znalazł na to żadnego wyjaśnienia, lecz powoli zaczynała w nim kiełkować nadzieja, że być może uda im się wyjść cało z tej opresji.

Wtedy stało się coś nieoczekiwanego.

Zupełnie niespodziewanie z tyłu za nimi z uliczki dobiegły inne odgłosy, głośny szczęk i przenikliwe okrzyki. Quentin pojął, że zaledwie o kilka kroków za nimi rozgorzała zacięta walka.

- Biegnij! - nakazał wuj.

Quentin ruszył pędem obok sir Waltera, który nagle w zadziwiającym tempie poruszał swoją chromą nogą. Jednak mimo zalecenia wuja Quentin obejrzał się do tyłu przez ramię.

To, co zobaczył, na zawsze wryło się w jego pamięć.

W uliczce rzeczywiście toczyła się walka. Z obu stron z dachów

domów zeskakiwały ciemne postacie, które trudno było rozpoznać w półmroku. Ludzie ci mieli na sobie szerokie habity i byli uzbrojeni w długie drewniane kołki, za pomocą których zagrodzili drogę tym, którzy ich śledzili. Ci natomiast, również ubrani w ciemne opończe, rzucili się z wściekłymi okrzykami na przeciwników. Doszło do zażartego starcia wręcz.

W bladym świetle, które panowało w uliczce, Quentin dostrzegł obnażone noże i przeraził się do głębi. Dosłyszał przeraźliwe jęki zranionych, a później w wirze i splocie ciemnych szat nagle dostrzegł poczernioną sadzą maskę, której widok wzbudził w nim grozę. Wydał z siebie głośny krzyk i niemal zamarł z trwogi, jednak wuj chwycił go i pociągnął za sobą. Nagle Quentin zauważył, że dotarli do końca uliczki.

Popędzili przed siebie na łeb na szyję w stronę powozu, który czekał tam na nich. Sir Walter nie pozwolił stangretowi zejść z kozła.

- Ruszaj z miejsca! - polecił zdumionemu woźnicy, sam otworzył drzwi, wpuścił siostrzeńca i jak najszybciej wskoczył za nim do środka.

Stangret nie zwlekał ani sekundy. Strzelił z bata, dwukonny powóz ruszył gwałtownie z miejsca. Uliczka, a wraz z nią zamaskowani prześladowcy, którzy w tej chwili toczyli zażartą walkę, została z tyłu i znikła w ciemnościach. Już po paru chwilach nic nie wskazywało na to, że w ogóle całe zdarzenie miało miejsce. Jednak przerażenie, jakie obydwaj wciąż czuli w członkach, było najzupełniej prawdziwe...

- Wielki Boże - wydusił z siebie sir Walter i otarł pot z czoła. -



Niewiele brakowało. Któż by pomyślał, że nocą takie bandy grasują po naszych ulicach? Będę musiał oczywiście zameldować o tym przypadku.

- Wuju - jęknął Quentin, który dopiero teraz odzyskał mowę. - To byli *oni!*

- O czym ty mówisz, mój chłopcze?

- Członkowie bractwa - stęknął Quentin. - Runiczni bracia! To właśnie oni nas śledzili!

- Jesteś tego pewien?

- Widziałem jednego z nich. Miał maskę i spoglądał w moją stronę, a potem zjawili się ci drudzy w ciemnych habitach. Byli uzbrojeni w drewniane drągi i podjęli walkę z członkami sekty.

-1 możesz wykluczyć, że zmysły sprawiły ci psikusa. W tej uliczce było dość ciemno, chłopcze.

- Jestem tego całkowicie pewien, wuju - dodał z przekonaniem Quentin. - To byli członkowie Bractwa Runów i wcale nie sądzę, że podążali za nami zupełnym przypadkiem. Wiedzieli, że byliśmy w bibliotece, i zaczęli się tutaj na nas.

- Ale... - zawołał sir Walter i w tym momencie słynący z odwagi pan Abbotsford nieco zbladł - ...oznaczałoby to przecież, że członkowie bractwa dokładnie o nas wiedzieli! Że wiedzieli, gdzie przebywamy, i czekali tylko na to, aż opuścimy bibliotekę.

- Dokładnie tak, wuju - potwierdził Quentin, wzdrygając się. - Być może to oni właśnie podesłali nam klucz do zakazanego pomieszczenia

w bibliotece. Przecież na paczuszcze nie było nadawcy, nieprawdaż?

- Prawda. Ale z jakich powodów ci ludzie mieliby przesłać nam klucz?

- Być może chcą, byśmy coś dla nich odkryli. Żebyśmy rozwiązali za nich tę tajemnicę.

- Ależ proszę cię! Znów puszczasz wodze fantazji, Quentinie.

Dlaczegoż członkom bractwa miałyby zależeć na tym, żebyśmy dla nich pracowali? Przecież to nie ma sensu.

- Ta uliczna walka na pierwszy rzut oka również jest pozbawiona sensu, wuju. A jednak do niej doszło.

- Właściwie to prawda - potwierdził sir Walter. - Wygląda na to, że runiczni bracia mają wrogów, być może jakieś rywalizujące ugrupowanie. Na ulicach niektórych dzielnic miasta grasują bandy, które zwalczają się nawzajem, sięgając po noże, mimo wszelkich wysiłków ze strony naszych władz, by zachować ład i porządek.

Jednak fakt, iż odważyli się zapuścić tak daleko od swoich rewirów, wydaje się dość

niezwykły. Będziemy musieli niezwłocznie zameldować o tym przypadku.

- Po co? Idę o zakład, że władze nie znajdą żadnych śladów na tej uliczce. Wygląda na to, że nie jesteśmy jedynymi, którzy pragną rozwikłać zagadkę znaku miecza, wuju. Przeczucie podpowiada mi, że zaczęło się tutaj coś, czego prawdziwe znaczenie dopiero teraz zaczynamy przeczuwać.

- Twoje słowa brzmią zupełnie tak, jakby wyszły z ust profesora

- skomentował sir Walter. - Na dobrą sprawę nie powinienem zabierać cię na wizytę u niego.

- Być może moje słowa tak brzmią, wuju - odparł Quentin cicho.

- Ale być może jednak profesor ma rację i kryje się za tym znacznie więcej, niż przeczuwamy. Być może faktycznie rozpoczęła się owa walka między siłami dobra i zła, o której mówił Gainswick. A my, prowadząc to dochodzenie, znaleźliśmy się między młotem i kowadłem.

- Oczywiście, wolno ci dawać temu wiarę, mój chłopcze - odparł sir Walter z typowym dla niego spokojem. - Ja natomiast jestem zdania, że dla wszystkich tych rzeczy musi istnieć racjonalne wyjaśnienie.

I nie spocznę, dopóki go nie odnajdę...

Mary Egton czuła się tak, jakby ciemny, ponury loch, do którego ją wrzucono, teraz także zakratowano. Jakby światło nie dobiegało już do ciasnego podziemnego więzienia. Jakby pozbawiono ją powietrza, którym oddychała.

Kiedy już poznała przyszlą teściową oraz zorientowała się, jakim to ograniczonym i zarozumiałym człowiekiem jest jej narzeczony, pobyt na zamku Ruthven wydawał jej się niczym dożywotnie wygnanie. Gdy pozbawiono ją książek, jej los stał się wręcz nie do zniesienia.

Dopóki miała sposobność oddawania się lekturze w wolnym czasie, jej duch mógł przynajmniej uciekać od smętnej rzeczywistości. Opowieści o szlachetnych rycerzach, wiernych damach, o bohaterstwie i wielkich wyczynach, które wyszły z pod pióra Waltera Scotta i innych powieściopisarzy, uskrzydlały jej wyobraźnię, a w zwierciadle przeszłości przepełnionej romantyczną sławą terażniejszość jawiła się nie tak bardzo posępna i ponura.

Teraz jednak nie miała już niczego, co byłoby w stanie ją pocieszyć, pobyt na zamku Ruthven zamienił się w koszmar, z którego nigdy już nie miała się obudzić. Fakt, że Eleonorę Ruthven następnego dnia po spaleniu książek postawiła na swoim i zdecydowała odesłać z zamku Ruthven Kitty, jej wierną pokojówkę i przyjaciółkę od lat dzieciennych, w żadnym stopniu nie zmniejszył przygnębienia i niedoli odczuwanej przez Mary.

Rzecz jasna stanowczo zaprotestowała, jednak zdołała już poznać twarde serce Eleonorę i nie żywiła nawet cienia nadziei, że pani dóbr Ruthven zmieni swoje postanowienie. Jeszcze tego wieczora Kitty opuściła zamek. Było to pełne łez pożegnanie - pożegnanie przyjaciółek, osób równej pozycji, które wiele razem przeżyły i które wiele zawdzięczały sobie nawzajem. W samej Kitty nie było także śladu radosnej i beztroskiej istoty, kiedy wsiadała do powozu, który miał ją zawieźć z powrotem do Egton.

Mary stała długo na zamkowym murze i spoglądała w ślad za powozem, aż ten znikł w mroku. A kiedy zimny wieczorny wiatr owiewał mury ponurej twierdzy, uświadomiła sobie, jak bardzo jest samotna. Pozostawiona sama sobie. Jeśli do tego właśnie zmierzali Eleonorę i jej odrażający syn, udało im się osiągnąć cel.

Mary wróciła do swojej komnaty z opuszczoną głową i od tamtej pory niemal jej nie podnosiła.

Śniadanie kazała przynosić sobie do pokoju. Wychodziła jedynie na obiad i wieczerzę, potem jednak natychmiast wracała do siebie. Starła się schodzić z oczu swemu narzeczonemu oraz jego matce, gdyż widziała w nich jedynie prześladowców - egoistycznych arystokratów zepsutych bogactwem i władzą, którym całkowicie obojętny był los innych i którym na sercu leżało wyłącznie własne dobro.

Mary unikała przede wszystkim Eleonorę, gdyż ku własnemu przerażeniu musiała przyznać, iż uczucia, jakimi darzyła panią tego

zamku, nie przystawały ani damie, ani tym bardziej chrześcijance. Bez specjalnej ochoty przyznała się samej sobie, iż w jej duszy płonie sekretna nienawiść do kobiety, która odebrała jej wszystko.

Mary czuła się pusta i wypalona, oddzielona od świata, jak gdyby siedziała w powozie, oglądając rzeczywistość dla niej niedostępną.

Zamknięta w złotej klatce do końca swoich dni będzie żoną równie bogatego, co ograniczonego lorda i na dodatek będzie jeszcze zobowiązana okazywać za to wdzięczność. Poza tym będzie się od niej oczekiwać, że wyda na świat dzieci i będzie mu oddaną oraz wierną małżonką doglądającą go i okazującą mu podziw. A przecież gardziła Malcolmem z całego serca.

Łzy płynęły po policzkach Mary, kiedy w ostatnich dniach często stawała w oknie swej sypialni i spoglądała na wzgórza krainy Highlands, które o tej porze zakryte były całunem mgły. Ciężkie, ponure chmury wisiały nad nimi, jak gdyby stanowiły lustrzane odbicie jej duszy.

Mimowolnie Mary zadawała sobie pytanie, jak ktoś jest w stanie nazwać ten smutny, opuszczony zakątek ziemi swoją ojczyzną. Ale wtedy czuła się zmuszona pomyśleć też o swoich snach, o surowym pięknie krainy Highlands oraz o więzi, jaką ludzie tu mieszkający byli połączeni ze swoją ziemią. Mary zazdrościła im.

Nigdy nie poznała własnej ojczyzny, także w Egton, gdzie wprawdzie była w domu, jednak nie czuła się dobrze z obowiązkami i wymogami właściwymi jej urodzeniu. Tym bardziej nie tu, w Ruthven, gdzie traktowano ją wyłącznie jako ozdobny eksponat, który powinien

być oddany mężowi, a poza tym zachowywać milczenie. W gruncie rzeczy, myślała Mary, każdy chłop czynszowy gdzieś tam uprawiający pola dysponował większą wolnością i swobodą niż ona zamknięta w tym zamku.

Bez widoków na zmianę tego stanu rzeczy.

Nigdy...

W ostatnich dniach wylała morze łez, ale w końcu łyzy obeschły, ustępując miejsca zgorzknieniu i goryczy, które stopniowo zabijały w Mary wszystko, dzięki czemu była kiedyś pełną radości młodą kobietą. Wraz z książkami odebrano jej siłę. Od tamtej pory więdła niczym kwiat pozbawiony wody.

Gdy ktoś zastukał cicho do drzwi jej komnaty, Mary wzdrygnęła się. Czyż nie przekazała, że nie życzy sobie, by jej przeszkadzano?

Pukanie rozległo się ponownie.

- Tak? - zawołała Mary odrobinę szorstko, nie miała bowiem ochoty na towarzystwo.

- Pani - zza drzwi dobiegł przytłumiony głos. - Proszę, otwórz drzwi. Muszę z panią pomówić.

Był to głos starej kobiety, a jakimś dziwnym sposobem Mary nie była w stanie się mu sprzeciwić. Podeszła do drzwi, odsunęła rygiel i otworzyła.

Na zewnątrz stała stara służąca, ta sama, która w czarnej sukni, z białymi jak śnieg włosami przedstawia złowieszczy widok i która przekazała Mary ostrzeżenia zaraz po jej przybyciu na zamek Ruthven.

Mary niemal o niej zapomniała. Teraz jednak przypomniała sobie tę kobietę i uświadomiła sobie, że od tamtej pory ani razu nie widziała jej na zamku.

- Czego chcesz? - zapytała Mary niepewnie.

Stara kobieta kogoś jej przypominała...

- Czy mogę wejść, milady? Muszę z tobą porozmawiać.

Mary zawahała się. Nie miała ochoty na towarzystwo, ani też nie chciała rozmawiać. Jednak coś w sposobie, w jaki stara kobieta prosiła o wpuszczenie do pokoju, wskazywało na to, że nie da się zbyć byle czym.

Mary przytaknęła, a stara kobieta, której żywe spojrzenie i dziarski krok zupełnie nie pasowały do służącej, weszła do jej komnaty.

-W ostatnich dniach nieczęsto się ciebie widuje, milady- stwierdziła.

- Mam co robić - oświadczyła chłodno Mary. - Były też pewne rzeczy, które musiałam przemyśleć.

- Przemyślenia zawsze popłacają - starucha zachichotała. -

Nasuwa się tylko pytanie, czy myślałaś pani o właściwych rzeczach.

- Co to ma znaczyć?

- Czy myślałaś pani o moich słowach? O ostrzeżeniu, które ci przekazałam?

-Powiedziałaś, że jak najszybciej powinnam opuścić zamek

Ruthven. Że wydarzą się okropne rzeczy oraz że przeszłość i przyszłość spotkają się.



- To już się stało - oznajmiła starucha i wlepiła w nią wzrok, a Mary nagle zdała sobie sprawę, kogo przypomina jej służąca.

W tym osobliwym śnie, który ją nawiedził po tym, jak Eleonorę Ruthven spaliła jej książki, pojawiła się runiczna wieszczka - i ta właśnie runiczna wieszczka wyglądała tak jak ta stara kobieta. Albo na odwrót? Być może służąca, która wywarła na Mary tak silne wrażenie podczas pierwszego spotkania, pojawiła się potem we śnie? Rzecz jasna, powiedziała do siebie Mary, tak właśnie musiało być...

- Co ci jest, pani? - zapytała stara kobieta.

-Nic. To tylko... Przypominasz mi kogoś.

- Rzeczywiście? - służąca znów się roześmiała, a był to śmiech nic nieprzeczuwającego głupca. - Być może, Mary Egton, przypominam pani kogoś, kogo warto posłuchać. Powinnaś mnie dobrze wysłuchać, gdyż mam dla ciebie ważną nowinę, pani. Już raz przekazywałam ci tę wieść, ale ty, pani, nie chciałaś słuchać. Teraz wydarzyły się już mroczne rzeczy, a czas nagli jeszcze bardziej niż poprzednio. Musisz opuścić to miejsce, lady Mary, lepiej dzisiaj niż jutro.

- Dlaczego?

- Nie mogę wyjawić ci przyczyn, gdyż nie byłabyś w stanie ich zrozumieć, pani. Ale muszę ci, pani, powiedzieć, iż spotkają cię okropne rzeczy, jeśli tu zostaniesz.

- Okropne rzeczy? - roześmiała się, lecz w tym śmiechu nie było radości. - Cóż może być jeszcze gorszego niż to, co już mnie spotkało? Odebrano mi wszystko, co miało dla mnie jakąś wartość, a człowiek,

za którego mam wyjść, to żądny władzy głupiec i ignorant.

- Wszystko to - odrzekła ponuro starucha - jest niczym w porównaniu z rzeczami, które na ciebie czekają. Nadchodzi burza, Mary Egton, i zostaniesz przez nią porwana, jeśli się przed nią nie ustrzeżesz. Istnieje powód, dla którego tutaj jesteś.

- Powód? Co masz na myśli?

- Więcej już nie mogę powiedzieć, gdyż również ja nie wiem wszystkiego. Ale znajdujesz się, pani, w wielkim niebezpieczeństwie. Ciemne siły wyznaczyły ci rolę w swoich planach.

- Ciemne siły? Mówisz od rzeczy.

- Chciałabym, żeby tak było. Lecz w tym kraju, milady, istnieje więcej rzeczy między niebem a ziemią, niż sobie wyobrażasz. Legendy i mity przeszłości wciąż jeszcze są tutaj żywe, chociaż tylko w naszej pamięci.

Mary poczuła, jak po plecach przechodzą ją ciarki, gdy słuchała słów staruchy.

- Skąd wiesz o tym wszystkim? - zapytała.

- Wiem to, ponieważ wszystko to wydarzyło się już kiedyś, przed pięciuset laty. Tu, w tym zamku. Kiedyś była pewna młoda kobieta, podobna do ciebie, którą spotkał tragiczny los. Obca wśród obcych, zdradzona przez własną rodzinę.

- Jak się nazywała? - zapytała Mary, która jednocześnie przywołała w myślach swoje sny.

Ale oczywiście był to nonsens. Taki zbieg okoliczności nie mógł

się przecież wydarzyć...

- Gwynneth Ruthven - powiedziała starucha, a Mary poczuła się tak, jakby raził ją grom.

- Gwynneth Ruthven? - Mary uniosła brwi.

Czy możliwy był taki przypadek?

- Wypowiadasz to imię, milady, jak gdyby było ci znane.

- Wiem, że zabrzmiało to dziwacznie -odparła z wahaniem Mary.

- Ale rzeczywiście je znam. Spotkałam je w snach.

Podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz, usiłując coś sobie przypomnieć.

- Spotkałam we śnie pewną młodą kobietę. Była w moim wieku i nazywała się Gwynneth. Gwynneth Ruthven. Czy to nie osobliwe?

- Osobliwe - potwierdziła starucha. - Chociaż niekoniecznie.

Ponieważ sny, pani, to nie tylko urojenia, które wyczarowuje nasza zmęczona dusza. Są również spojrzeniem w nasze wnętrze, w naszą duszę. Tworzą połączenia, które często przekraczają granice czasu i przestrzeni.

- I cóż to ma znaczyć? - Mary znów się odwróciła i spojrzała pytającym wzrokiem na tajemniczą starą kobietę.

-To, milady, musisz rozstrzygnąć sama. Powiedziałam już stanowczo więcej, niż powinnam. W ogóle nie powinno mnie tu być i nie powinnam z panią rozmawiać. Mój czas już dawno dobiegł końca; przyszedłam tu tylko dlatego, że stare, prastare przeznaczenie ma się niebawem wypełnić. A ty, pani, znajdujesz się w wielkim niebezpieczeństwie.

- W niebezpieczeństwie? Jakie przeznaczenie? O czym ty mówisz?

-Ta sama duma. Ten sam upór - rzekła zagadkowo starucha. -

Odpowiedź zna przeszłość. Poszukaj jej, jeśli nie chcesz dać mi wiary.

Po tych słowach odwróciła się i opuściła komnatę.

Mary nie próbowała jej zatrzymać. Przypuszczała, że starej kobiecie zupełnie pomieszało się w głowie. Opowiadała niedorzeczne rzeczy, w których nie można było dopatrzeć się sensu. Z drugiej zaś strony - skąd znała imię Gwynneth Ruthven? Mary nie opowiadała przecież nikomu o swoich snach. Czy stara służąca miała zatem rację? Czy rzeczywiście istniało powiązanie, swego rodzaju pokrewieństwo dusz, między Mary a ową Gwynneth Ruthven? Powiązanie, które przetrwało długie stulecia?

Mary poczuła, jak przechodzą ją dreszcze. Energicznie potrząsnęła głową. Coś takiego nie mogło być prawdą. Takie rzeczy po prostu nie istniały.

Ale w jaki sposób można wyjaśnić fakt, że śniła o tamtej młodej kobiecie, która rzeczywiście żyła kiedyś, chociaż w ogóle nie miała pojęcia o jej istnieniu? I jakim cudem runiczna wieszczka ze snu mogła być tak uderzająco podobna do starej służącej?

Pierwszy sen Mary przypisała lekturze tomu sir Waltera poprzedzającego noc wieczora. Teraz jednak takiej możliwości już nie było. Eleonorę Ruthven zatroszczyła się o to, by nie pozostała jej nawet jedna księga, która mogłaby uskrzydlać wyobraźnię Mary. Jak

zatem wyjaśnić ten drugi sen? I jakim cudem starucha o tym

wiedziała?

Po plecach Mary przeszedł zimny dreszcz. Ciemne wieże i mury zamku Ruthven wydały się jej jeszcze bardziej ponure i groźne. Coś tu się działo - albo też wszystko to sobie tylko wyobrażała. Jeśli to pierwsze miało miejsce, w takim razie od momentu, kiedy przybyła do Ruthven, brała w tym udział. Dokładnie przed tym ostrzegła ją starucha.

Stara służąca mówiła o prastarym przeznaczeniu oraz o wielkim niebezpieczeństwie. Nie, tego Mary się nie obawiała, ale cała ta historia wydawała się jej osobliwa, a smutek oraz zdziwienie wizytą starej kobiety zmieszały się w niej, przybierając postać niejasnego przeczucia nadchodzącego nieszczęścia.

Był już późny wieczór.

Ciemność zapadła nad zamkiem Ruthven, a chłód nocy pełzał korytarzami starej budowli. Już dawno władcy zamku udali się na spoczynek, także czeladź położyła się spać.

Mary Egton wciąż jednak nie spała.

Z jednej strony zbyt wiele myśli błąkało się jej w głowie, by mogła zamknąć oczy. Po drugie natomiast odczuwała strach, że zaśnie i znów nawiedzi ją ten sen, który w tak dziwaczny sposób zdawał się być rzeczywisty.

Przez cały dzień starała się odnaleźć zadowalające wyjaśnienie faktu, że młoda kobieta z jej snu rzeczywiście kiedyś istniała. W którymś momencie doszła do wniosku, że imię Gwynneth musiała

gdzieś przypadkiem usłyszeć i po prostu utkwilo jej w pamieci. Z drugiej jednak strony takie wyjasnienie pozostawialo wiele pytan bez odpowiedzi. Dlaczego, dla przykladu, w obecności starej słuźacej Mary odczuwała taki sam wewnetrzny niepokój, jaki był udziałem Gwynneth Ruthven w jej śnie? Czy był to czysty przypadek, czy też coś więcej? Czy rzeczywiście istniało powiązanie, które mogło przekraczać otchłań czasu?

Mimo zdrowego rozsądku Mary dysponowała również wybujałą fantazją, dzięki której w literackich światach zawsze czuła się jak w domu. Mimowolnie zadawała sobie pytanie, co sir Walter, którego poznała jako człowieka rozsądku i racjonalnego osądu, powiedziałby na to wszystko.

Być może, i ta myśl przeraziła ją, spotkanie ze staruchą było wyłącznie wytworem jej wyobraźni? Być może była jedynie jakimś widmem ze wspomnień Mary, a sen i jawa zmieszały się ze sobą w jakiś zagmatwany sposób i nie była już w stanie odróżnić jednego od drugiego?

A jeśli po prostu sugestywnie śniła na jawie? Jeśli jej rozpacz i samotność doprowadziły do tego, że senne koszmary pomieszały się jej z rzeczywistością? Była tu zamknięta, żyła samotnie w swojej komnacie. Czyż więc była bliska utraty rozumu?

Mary Egton poczuła nagle, jak ogarnia ją panika, ponieważ rozsądek sugerował, że było to jedyne przekonujące wyjasnienie. Być może ostatnie wydarzenia okazały się dla niej zbyt wielkim ciężarem.

Być może była teraz chora i potrzebowała pomocy, lecz ktoś mógł jej udzielić w tak kłopotliwej sytuacji?

Od strony drzwi jej komnaty dobiegło ciche pukanie, które nagle przerwało jej przemyślenia.

Mary, która wciąż nie spała, uniosła się na łóżku. Wcześniej nie zapaliła świecy. Światło księżycy, które wpadało przez wysokie okno, oświetlało dobrze pomieszczenie chłodną niebieskawą poświatą.

Pukanie znów dobiegło, tym razem bardziej natarczywe. Któż to mógł być? W pierwszej chwili przestraszona Mary pomyślała, że znów może to być stara kobieta ze snu, która stała u drzwi, by po raz kolejny ją nawiedzić i tym razem już z kretesem odebrać jej rozum. To jednak nie kobieta stała za drzwiami, lecz mężczyzna, co Mary uświadomiła sobie w następnej chwili...

- Mary? Wiem, że jeszcze nie śpisz. Proszę cię, otwórz drzwi, muszę z tobą porozmawiać.

Poczuła, jak przyspiesza jej tętno, gdy rozpoznała głos Malcolma Ruthven. Czego lord mógł chcieć od niej o tak późnej porze? Od czasu ich boleśnie szczerzej rozmowy podczas przejażdżki karocą niemal ze sobą nie rozmawiali. To co było do powiedzenia, zostało powiedziane, a pan zamku Ruthven zdawał się specjalnie nie interesować tym, co się z nią działo - a teraz, ciemną nocą, stał u jej drzwi i prosił, by go wpuściła?

Odrzuciła kołdrę, podniosła się z łóżka i narzuciła jedwabny poranny płaszcz na koszulę nocną. Potem podeszła ukradkiem do

drzwi i nasłuchiwała. Wzdrygnęła się, kiedy stwierdziła, że Malcolm wciąż tam jest.

- Proszę, Mary. Wpuść mnie. Muszę powiedzieć ci coś ważnego.

W jego głosie było rzeczywiście coś niepokojącego, a Mary nie mogła się obronić przed odrobiną ciekawości. Jeszcze gdy zadawała sobie pytanie, co jej narzeczony może chcieć od niej o tak późnej godzinie, odsunęła rygiel i otworzyła drzwi.

Przed progiem na korytarzu stał Malcolm. Nie był w surducie, tak jak go zwykle widywała, lecz w białej koszuli, której rękawy były podwinięte do łokci. Zapach, jaki od niego bił, zdradził, że nie odmówił sobie tabaki i whisky. Język mu się plątał od alkoholu.

-Wysłuchałaś w końcu moich błagań? - zapytał. - Najukochańsza Mary, proszę, wpuść mnie do swojej komnaty.

Mówił głośniej, niż tego sobie życzyła. Ostatnią rzeczą, jakiej chciała, było pogorszenie stosunków z Eleonorę, dlatego też pozwoliła mu wejść. Malcolm przytaknął zadowolony i przeszedł obok niej, roztaczając wokół gorzką woń indyjskiej tabaki. Jego zazwyczaj blade oblicze było teraz zaczerwienione i nabrzmiałe. Oczy zamieniły się w małe szparki i spoglądały na nią bezceremonialnie. Jego obecność wywołała u Mary niesmak. Jakaś część jej duszy życzyła sobie, by był to sen na jawie. Jednak tym razem była to rzeczywistość, którą przeżywała i co do której nie mogła mieć najmniejszej wątpliwości, że ma realny charakter.

Okazując grubiańską pogardę wobec wszystkiego, co przystało



dżentelmenowi, lord paradował przez pokój Mary, a następnie z westchnieniem usiadł na fotelu obok okna, w którym Mary zwykle czytywała. Od kilku dni fotel ten był nieużywany.

Można było odnieść wrażenie, że pod wpływem alkoholu galanteria i dworskie maniery Malcolma pękły niczym stary surdut, który stał się zbyt wąski.

- Cóż zatem? - zapytał i wlepił w nią wzrok. - Co u ciebie słysząc, moja droga? Czy przyzwyczyłaś się do życia na zamku Ruthven? W ciągu ostatnich dni rzadko cię widywałem.

- Nie czułam się zbyt dobrze - odparła chłodno Mary, jednocześnie zadając sobie pytanie, o co mogło chodzić lordowi.

Malcolm roześmiał się chropawym i odpychającym śmiechem człowieka upojonego alkoholem.

- Kiedy matka oznajmiła mi, że ożenię się, nie byłem w najmniejszym stopniu zachwycony tym pomysłem. Nie chodzi o to, iż nie cenię radości, jaką dają kobiecie wdzięki, moja najdroższa, lecz do tej pory znajdowałem wszystko to, za czym tęskniło moje serce, w ramionach płatnych ladacznic. Jednak matka doszła do wniosku, iż takie rzeczy nie przystoją lordowi. Podobno też zaczęły krążyć plotki. Dlatego zaaranżowała dla mnie to małżeństwo.

- Rozumiem - odparła lakonicznie Mary.

Po wszystkim, czego już się dowiedziała i co wycierpiała, to wyznanie zupełnie jej nie wzruszyło.

- Początkowo byłem temu przeciwny. Ale do pewnego stopnia,

droga Mary, jestem w tym zamku więźniem podobnie jak ty.

Więźniem przymusów oraz zblazowanej społeczności i szlachty, która jest leniwa i nieprzydatna i której czasy po prostu już minęły.

Mary nic nie odparła, jednak zdziwiła się, słysząc te słowa z ust Malcolma Ruthvena.

- Nie pozostaje mi nic innego, jak godzić się na to, jeśli chcę zapewnić sobie swoje dziedzictwo i swoją pozycję. Muszę też wyznać, moja kochana, że dnia naszego pierwszego spotkania wyczekiwałem z nieufnością. Ale jednocześnie też muszę przyznać, że byłem zaskoczony ponad wszelką miarę, kiedy w końcu do tego spotkania doszło.

- Zaskoczony? Dlaczegoż to?

- Ponieważ zupełnie inaczej sobie ciebie wyobrażałem. Sądziłem, że będziesz jedną z tych typowych Angielek o bladej twarzy i łamliwych włosach. Anemiczną istotą bez temperamentu i pozbawioną własnej woli. Lecz myliłem się co do ciebie, Mary. Jesteś kobietą rozumną. Chętnie też dodam, że początkowo czułem się tym dość zdezorientowany, i pragnę wyznać, że wciąż jeszcze nie bardzo wiem, co o tym sądzić. Ale kiedy na ciebie patrzę, Mary, wtedy czuję w moim wnętrzu coś, czego nie odczuwałem nigdy do kobiety twojego stanu.

- Tak? I cóż to takiego, szanowny Malcolmie?

- Namiętność - odparł lord bez chwili zwłoki, po czym podniósł się z fotela i powoli ruszył w jej stronę. - Odczuwam do ciebie namiętność, Mary Egton. Namiętność i pożądanie.

Mary odruchowo cofnęła się. Rozmowa przybierała obrót, który przestał jej się podobać. Musiała przyznać, iż Malcolm zaskoczył ją i powiedział kilka rzeczy, których nigdy nie spodziewała się usłyszeć z jego ust. Nie znaczyło to jednak wcale, że odrzuci wszelkie uprzedzenia i zapłonie do niego ognistą miłością.

- Pożądaj cię, Mary - oznajmił Malcolm bez ogródek, a w jego oczach zapłonął niesamowity ogień. - Ten związek, który bez naszej wiedzy i zgody zaaranżowano, nie jest prosty dla żadnego z nas. Ale czyż nie moglibyśmy zapomnieć o wszelkich ograniczeniach, które narzuca nam nasz stan i urodzenie, i oddać się po prostu rozkoszy. Być może później podążą za tym nasze uczucia.

- Nie sądzę, by była *to* właściwa kolej rzeczy - odparła Mary, wciąż się cofając. - Miłość, mój drogi Malcolmie, musi opierać się na wzajemnym szacunku. Już choćby tylko z tego powodu zapewne nigdy nie będziesz jej odczuwał. Nie cierpisz mnie, sam mi przecież powiedziałeś.

- Rzeczy zmieniają się - oświadczył lord, wykonując pogardliwy gest ręką. - Żyjemy w czasach, kiedy wszystko jest w ruchu, Mary. W epoce rewolucji i przewrotu. Ci, którzy są u władzy, mogą mówić, co chcą, ale ich czas dobiegł końca. Kto tego nie pojął, jest głupcem. Jeśli chodzi o mnie, czuję to wyraźnie tej nocy. Wszystko się zmienia, Mary. Granice i bariery upadną. Nadejdą zmiany.

Jego głos przybrał teraz budzący obawę, niemal spiskowy ton, który wywołał u Mary lęk i po raz pierwszy kazał jej wątpić, czy

Malcolm Ruthven wciąż jeszcze jest panem swego rozumu.

- Nie wiem, o czym mówisz - powiedziała i usiłowała nadać głosowi stanowcze i zdecydowane brzmienie. - Ale tego, czego pożądasz, Malcolmie Ruthven, nie otrzymasz. Ani tej nocy, ani też żadnej innej, tak długo jak pozostaniesz dla mnie kimś obcym, którego towarzystwo zostało mi narzucone.

- Obcym? Jestem twoim narzeczonym, Mary! Musisz mnie szanować i darzyć czcią!

- W takim razie powinieneś na mój szacunek i respekt zasłużyć, drogi Malcolmie - odparła. - W tym momencie jednak tracisz zarówno jedno, jak i drugie.

- Nie darzysz mnie szacunkiem! - parsknął, a jego czerwona od alkoholu twarz przybrała jeszcze bardziej intensywny kolor. - Patrzysz na mnie z góry, czyż nie? Uważasz mnie za durnia, za ignoranta, któremu wszystko zostało dane i który nigdy nie musiał zdobywać niczego, co jest jego własnością. Który bez słowa sprzeciwu musiał słuchać poleceń matki i bezwolnie dostosowywać się do przymusów, które narzuca mu urodzenie i społeczna pozycja. Czyż tak nie jest, droga Mary? Czyż tak nie jest?

Mary wystrzegła się udzielenia odpowiedzi. Jego głos zrobił się teraz donośniejszy i widać było, że narasta w nim wściekłość. Nie wiedziała przecież, do czego był zdolny, kiedy weźmie w nim górę furia, nie chciała sobie tego nawet wyobrazić.

- Nic przecież o mnie nie wiesz! - krzyknął na nią lord. - Zupełnie

nic, a mimo to oceniasz mnie! Gdybyś znała prawdę i wiedziała, jak długą tradycją i honorem cieszy się ród Ruthvenów, wtedy zapewne darzyłabyś mnie szacunkiem, Mary Egton. I nie ośmielałabyś się odmówić mi tego, co mi się należy na mocy naszej umowy.

- Nie wiem, o czym mówisz - odparła wymijająco. - Jeszcze nie jesteśmy sobie poślubieni, Malcolmie, i nie masz do mnie żadnego prawa. Nie jestem twoją własnością i nigdy nie będę.

Nagle poczuła, jak jej plecy opierają się o twarde drewno, zamknięte drzwi blokowały jej drogę ucieczki.

- W rozumieniu prawa być może masz rację, Mary - odparł Malcolm, którego gniew zdawał się opadać. - Ale gdybyś chociaż odrobinę zainteresowała się historią mojego rodu, wiedziałabyś, że włodarze Ruthven zawsze dostawali to, czego pożąдали. Jeśli nie otrzymywali tego dobrowolnie, wtedy brali to sobie siłą...

Jego oczy rzuciły teraz gromy, ruszył do przodu, chwycił ją za rękę i pochylił kanciastą szczękę nad jej szyją, by wymusić zuchwały pocałunek.

- Nie - wydusiła z siebie Mary. - Nie rób tego!

Jednak z uwagi na dużą siłę, z jaką przycisnął ją do drzwi, nie potrafiła mu się wymknąć.

Malcolm dyszał w przypiływie nieczystej żądz. Czuła jego język na swojej skórze i wzdrygnęła się w nagłym przypiływie odraży.

- Wezmę to, co mi się należy - wymamrotał między dyszącymi oddechami. - Należysz do mnie, Mary, wyłącznie do mnie.

Przez moment o mały włos nie opuściły jej zmysły z odrazy, strachu i wstydu. Potem jednak obudził się w niej opór.

Nie należała do tego potwora w ludzkiej skórze, nie była jego własnością, a jeśli Malcolm chciał wziąć przemocą to, czego mu słusznie odmówiła, to nie zasługiwał z jej strony na nic innego oprócz pogardy.

Przez całe życie wpajano Mary, by była posłuszna i potulna. W społeczności zdominowanej przez mężczyzn był to dla kobiety najszybszy i najprostszy sposób dojścia do dobrobytu i szacunku, gdy stosowała się do reguł gry, które ustalali mężczyźni. Nawet jeśli Mary od czasu do czasu buntowała się przeciw tym regułom, był to jedynie słaby i nie do końca zdecydowany protest. Nigdy tak naprawdę nie zważyła w ten system.

W tym momencie jednak, gdy Malcolm Ruthven rzucił się na nią, lubieżnie sapiąc, dotykał jej piersi i gdy przycisnął swoje podbrzusze do jej łona, postanowiła położyć temu kres. Zbudził się w niej jakiś głos, który dotąd milczał i który nakazał jej, by przystąpiła do obrony - i Mary zaczęła działać.

Później nie bardzo wiedziała, skąd wzięła w sobie tyle odwagi; być może była to jedynie rozpacz. Jednak gdy tylko Malcolm Ruthven puścił jej rękę i sapiąc niczym ogier, zamierzał dobrać się do jej piersi, zamachnęła się i wymierzyła mu dwa siarczyste policzki.

Lord oderwał się od niej i spoglądał na nią oszołomiony, nie z powodu bólu, lecz zdumienia, że w ogóle przystąpiła do obrony. Do czego innego przywykł, zadając się z ladacznicami.

Mary nie czekała, aż jego zaskoczenie minie i ponownie rzuci się na nią. Uniosła prawe kolano do góry i trafiła pana tego zamku w podbrzusze, tam gdzie znajdowało się źródło jego nieczystego pożądanego. Później odwróciła się, otworzyła drzwi komnaty i wybiegła na korytarz oświetlony światłami pochodni.

Słyszała za sobą jego postękiwania i przekleństwa. Biegła tak szybko, jak tylko potrafiła. Kiedy zgubiła po drodze jedwabne pantofle, biegła dalej bosą po zimnych kamieniach, a jej nocna koszula i poranny płaszcz owiewały ją niczym całun. Przestraszona niczym sarna, na którą polują myśliwi, rzuciła spojrzenie do tyłu i dostrzegła ciemną sylwetkę lorda na końcu korytarza. Usłyszała lubieżne przekleństwa, którymi ją obrzucał, zanim podjął pościg ciężkimi, dudniącymi krokami.

Z kołatającym sercem Mary pędziła przez korytarze pogrążonego we śnie zamku. Na końcu korytarza skręciła w inny, węższy, nad którym wznosił się niski, półkolisty sklepiony sufit. Pochylona Mary przebiegła dalej, jednak przecięła sobie piętę na ostrej krawędzi kamienia i zostawiała teraz za sobą krwawy ślad, którym Malcolm bez trudu mógł podążyć. Jedynym szczęśliwym trafem w tej sytuacji był fakt, iż lord wypił zbyt dużo i poruszał się niezdarnie, w przeciwnym razie już dawno by ją dogonił.

Uciekając na oślep, biegła długo korytarzem, potem schodami, które raz prowadziły do góry, a raz w dół. Już po krótkim czasie nie wiedziała, gdzie się znajduje. Nie zdążyła do tej pory poznać

wszystkich zakamarków zamczyska, a w ostatnich dniach w ogóle nie miała głowy do tego typu wycieczek. Jednak dokądś biegła. Głuche kroki oraz sapiący oddech prześladowcy wciąż dochodzi z tyłu.

Mary odniosła wrażenie, jakby odgrywała wiodącą rolę w najgorszym z gnębiących ją koszmarów. Biegła bez celu przez pogrążone w półmroku przejścia i korytarze, ścigana przekleństwami swego prześladowcy. Duszę miała na ramieniu, strach ścisnął jej gardło. Co jakiś

czas oglądała się do tyłu i rzucała przestraszone spojrzenia na długie cienie, które sylwetka Malcolma Ruthven rzucała w świetle pochodni. Od czasu do czasu próbowała otworzyć drzwi, które miją po obu stronach korytarza. Jednak albo były zamknięte, albo też uchodziły do kolejnych korytarzy, które prowadziły ją jeszcze głębiej ku sercu ponurej twierdzy.

Przy jednym ze skrzyżowań Mary zatrzymała się. Oddychała ciężko, serce waliło jej jak młot, gdy rozpaczliwie próbowała odzyskać orientację. Jeden kierunek wydawał jej się równie beznadziejny co drugi; już słyszała, jak kroki jej prześladowcy znów się zbliżają. Nagle na końcu korytarza wyłonił się Malcolm. Jego oczy były niczym rozżarzone węgle, które świeciły w ciemności.

- Mam cię wreszcie! - wrzasnął obezwładniającym głosem, a wtedy

Mary, kierując się nagłym impulsem, zdecydowała się pobiec korytarzem po prawej stronie. Już po kilku krokach zorientowała się, że popełniła błąd. Korytarz kończył się mocarnymi drzwiami z dębowego drewna. *i*



Drzwi do zachodniej wieży!

Zakazane drzwi, jak powiedział jej Samuel.

W rozpaczy Mary nacisnęła klamkę i zaskoczona stwierdziła, że drzwi ustąpiły. W okamgnieniu pomknęła przed siebie.

W księżycowej poświacie, która przedostawała się przez wąskie okienne szczeliny, widziała stopnie schodów, wąskie i strome, które prowadziły zakrętami do góry. Mary odrzuciła wszelkie złudzenia. Była bardzo wyczerpana i z pewnością jej prześladowca szybko ją dogoni.

Obejrzała się i chciała spojrzeć do tyłu - w tym momencie stwierdziła ze zgrozą, że Malcolm dobiegł już do końca korytarza, odcinając jej drogę. W świetle pochodni, które padło na jego twarz, dostrzegła szyderczy grymas zwycięstwa.

Mary zacisnęła zęby i pobiegła przed siebie, nie mając innego wyjścia. Już na pierwszych stopniach nadepnęła na rąbek nocnej koszuli. Cienki materiał rozdarł się i o mało co nie spowodował upadku. Podparła się rękoma na stromych stopniach i pędziła dalej, wciąż podążając w górę. Schody pięły się wąską spiralą ku górze. Mary niemal bez tchu podążała nimi, gdy Malcolm zbliżał się coraz bardziej. Czowała już ból w mięśniach, a skrwawione stopy coraz bardziej doskwierały. Jakaś cząstka w jej duszy pragnęła się poddać. Czyż kontynuowanie ucieczki miało sens? Trafiła w ślepią uliczkę, z której nie było wyjścia. U szczytu schodów zapewne jej ucieczka dobiegnie końca - dlaczegóż więc nie miała się teraz zatrzymać i poddać swemu przeznaczeniu?

Nie!

Pokręciła niepokornie głową. Jeśli Malcolm Ruthven zamierza wziąć ją siłą, nie powinien mieć poczucia, że dopadł ją w połowie drogi. Chciała walczyć do końca, tak długo, jak pozostanie w niej iskierka życia i nie podda się.

Ze wszystkich sił, jakie jej jeszcze pozostały, ruszyła w górę schodów. Mijała wąskie, pozbawione szyb okienne otwory, przez które przeciskał się lodowato zimny wiatr, i wchodziła coraz wyżej. Sił dodawała jej bezgraniczna rozpacz. W końcu dotarła do ostatniego stopnia schodów. Przed sobą miała ciężkie drzwi z dębowego drewna, które stanowiły kres jej ucieczki. Pozbawiona wszelkiej nadziei nacisnęła klamkę i ku jej bezgranicznemu zdziwieniu drzwi ustąpiły.

Nie miała czasu, by złapać oddech. Zdyszana wpadła do pomieszczenia na szczycie wieży, zamknęła drzwi i szybko zasunęła rygiel.

Wyczerpana osunęła się na ziemię, bliska omdlenia, podczas gdy z zewnątrz dobiegły odgłosy ciężkich kroków.

Przed drzwiami odgłosy ucichły, za to Mary usłyszała pożądlive sapanie i coś, co przypominało jej chrząkanie wieprza. Przy świetle księżycy, które wpadało przez wąskie okno, zobaczyła, jak klamka została naciśnięta. Gdy Malcolm pojął, że sala jest zamknięta, zaczął szarpać za klamkę i walić w drzwi z taką wściekłością, że Mary skuliła się przerażona.

- Cóż to ma znaczyć? - dobiegł do niej głos z zewnątrz. - Otwieraj natychmiast, słyszysz!

Mary milczała. Drżała na całym ciele ze strachu oraz wyczerpania

i nie była w stanie wydać z siebie głosu.

- Niech *to* szlag! - Malcolm Ruthven zapomniał całkiem o

dobrych obyczajach i klął niczym furman. - Wpuść mnie z łaski swojej,

słyszysz? Jestem twoim mężem i żądam tego, co mi się należy!

Nie przestawał wściekać się i awanturować, podczas gdy ona

siedziała w kucki za drzwiami i czuła, jak za każdym jego uderzeniem

drewno drżało. W końcu nie mogła już wytrzymać. Zatkąła uszy dłoń-

mi i modliła się, żeby stare drewno mimo wszystko nie ustąpiło. Myśl,

co stałoby się, gdyby teraz ogarnięty wściekłą furią dopadł ją,

wzbudziła w niej panikę.

- Ty niewdzięczna niewiasto - usłyszała jego krzyk niczym z od

dali. - Przyjąłem cię do swego domu. Daję ci moje dobre nazwisko

oraz moje bogactwo, a cóż otrzymuję od ciebie w zamian?

Drzwi znów zadrżały od potężnych uderzeń i kopnięć, jednak

zarówno rygiel, jak i skrzydło drzwi wytrzymały ten napór.

W końcu wyczerpany lub zrezygnowany Malcolm Ruthven

odstąpił od drzwi, a jego wulgarne przekleństwa ucichły. Mary

odczekała jeszcze chwilę, potem odsunęła ręce od uszu.

Wiedziała, że wciąż jeszcze tam był, nie tylko dlatego, że słyszała

jego cichy oddech. Miała wrażenie, iż wyczuwa jego obecność niemal

fizycznie, po drugiej stronie drzwi; dzieliła ich tylko szerokość dłoni...

- Ty niewdzięczna istoto - odezwał się ponownie złowieszczym

cichym głosem. - Dlaczego nie chcesz mi się oddać? Czy nie uważasz,

że zasłużyłem na ciebie?

Roześmiał się złośliwie.

- Naprawdę sądzisz, że mi się wymkniesz? Nie możesz bez przerw kryć się tu, na górze, Mary Egton, wiesz o tym dobrze. Nie ma dla ciebie ucieczki, jeśli nie posiądem cię dzisiejszej nocy, stanie się to następnym razem. Nie uciekniesz mi. Im szybciej to pojmiesz, tym szybciej dogadasz się ze mną. Odpoczywaj błogo do tamtego czasu, piękna Mary.

Usłyszała jego kroki, gdy powoli i ciężko szedł schodami w dół.

Mary pozostała na górze samotna i zrozpaczona. Była oszołomiona, wciąż drżała na całym ciele. Jeszcze gorsza jednak niż wyczerpanie i strach była świadomość, że Malcolm Ruthven miał rację.

Była więźniem w jego włościach. Dzisiejszej nocy zdołała mu uciec, jednak na dłuższą metę nie była w stanie ukryć się przed nim. A kiedy już będą po ślubie, nic nie uchroni jej przed tym, by stała się jego nałożnicą.

Już sama ta myśl budziła w niej odrazę. Odeszły gdzieś w dal romantyczne życzenia i wyobrażenia, którymi kiedyś się karmiła.

Przepadły.

Być może o tym właśnie mówiła stara służąca, kiedy ostrzegała ją przed groźącym jej wielkim niebezpieczeństwem i namawiała, żeby Mary jak najszybciej opuściła zamek Ruthven.

Podciągnęła nogi pod siebie, objęła je rękoma jak dziecko i siedziała w półmroku. Łzy stanęły jej w oczach i płynęły po policzkach. Strach, troska i wściekłość - wszystko to odczuwała naraz.

Ulga z powodu tego, iż tym razem zdołała umknąć Malcolmowi, łączyła się z dogłębną pewnością, że nie będzie w stanie zawsze przed nim uciekać. Po ślubie nie będzie dla niej już żadnej nadziei.

Nigdy...

Kiedy Mary w końcu otworzyła oczy, nie była w stanie powiedzieć, ile czasu upłynęło. Księżyc wciąż jeszcze stał wysoko na niebie, a mdłe światło, które padało przez brudne szyby w oknie, wypełniało pomieszczenie na szczycie wieży matową poświatą.

Komnata miała półokrągły kształt i była niska. Ściana z naturalnego kamienia miała tylko półtora metra wysokości, nad nią znajdowały się już więźby dachowe, które zbiegały się w środku, tworząc szczyt wieży. Mebli nie było tu wcale, ale w murze, dokładnie naprzeciwko wąskiego okna, Mary dostrzegła coś, co przyciągnęło jej uwagę. Na jednym z kamieni w murze wyryty był znak, inicjały zapisane łacińskimi literami.

- G.R. - przeczytała i czy to za sprawą jej snów, wizyty starej kobiety czy też gmatwaniny uczuć, które kłębiły się w jej wnętrzu, Mary miała pewność, że obie litery musiały być inicjałami Gwynneth Ruthven.

Wzięła głęboki oddech, co przyszło jej z trudem, gdyż jej płuca wciąż były obkurczone, i otarła łzy z twarzy. Czując ulgę, że wreszcie znalazła coś, na czym będzie mogła się skoncentrować, spojrzała badawczo na kamień. Jak się przekonała, kamień był poluzowany.

Chwyciła go obiema dłońmi i poruszyła nim. Z fug posypał się piasek, a kamień zrobił się tak luźny, że mogła go wyciągnąć. Z tyłu w murze

znajdowała się wewnątrz, a w bladym świetle, jakie wpadało przez okno, Mary dostrzegła, że w środku było coś ukryte. Chociaż nieco się wzdrygała, ciekawość wzięła górę, wsunęła dłoń przez okrągły otwór, chwyciła ten przedmiot i wyciągnęła.

Obejrzała skrupulatnie znalezisko w bladej księżycowej poświacie.

Było to coś na kształt skózanego kołczanu długości ponad pół metra, którego szwy oraz pokrywa były zalane woskiem, żeby uchronić zawartość przed działaniem wilgoci. Jak długo mogło tu leżeć?

Mary obejrzała etui ze wszystkich stron, potem znowu ciekawość wzięła górę i postanowiła zajrzeć do środka. Złamała woskową pieczęć i otworzyła kołczan. W środku znajdowały się liczne zwoje pergaminu.

Zdumiona odkryciem Mary wyjęła je. Były stare, ale dobrze zachowane. Mary rozwinęła je i poczuła, jak jej serce zabiło szybciej.

Arkusze pergaminu były gęsto zapisane łacińską mową i łacińskim pismem. Ponieważ Mary Egton brała lekcje łaciny, była w stanie przetłumaczyć zapisane wiersze, chociaż w skąym świetle wcale nie było to łatwe.

- Jest to relacja uwięzionej - czytała szeptem. - Niech znajdą je ci, którzy są tego godni. Spisane przez Gwynneth Ruthven w roku Pańskim 1305.

Mary wstrzymała oddech. Po pierwsze, była do głębi poruszona tym, że rzeczywiście natrafiła na spuściznę młodej kobiety, o której wspominała stara służąca i którą spotkała we własnych snach. Czy mógł to być przypadek, że Mary, z konieczności uciekając na wieżę,

odnalazła zapiski Gwynneth?

Po drugie, Mary odczuwała niewypowiedzianą satysfakcję.

Eleonorę nakazała spalić jej książki, by tym samym odebrać jej wszelką nadzieję. Teraz jednak Mary ni stąd, ni zowąd znalazła się w posiadaniu starych manuskryptów, które zapewniły jej uwięzionej duszy nową strawę.

Ze łzami zdumienia w oczach Mary Egton zaczęła czytać relację Gwynneth Ruthven, która została sporządzona przed ponad pięciuset laty, również w tej sali na szczycie zamkowej wieży...

Było już późno, a mnisi z Kelso udali się na spoczynek. Jedyne opat Andrew jeszcze nie spał; klęczał na podłodze w swojej pracowni ze złożonymi rękoma. Jak zawsze, gdy poszukiwał odpowiedzi, których nie mogli mu udzielić ludzie, pogrążał się w głębokiej modlitwie.

Czasami, kiedy godzinami szukał odpowiedzi u Stwórcy, opat osiągał stan głębokiego wewnętrznego spokoju. Równowaga, jaką wtedy odczuwał, stanowiła dla niego źródło siły, wiary oraz inspiracji.

Tej nocy jednak opat nie był w stanie osiągnąć tego stanu, chociaż tak bardzo

tego pragnął. Zbyt wiele myśli kłębiło się w jego głowie, co przeszkadzało mu w osiągnięciu jedności ze Stwórcą.

Zbyt wiele trosk...

Wydarzenia ostatnich dni i tygodni wyraźnie wskazywały, iż czujność, jaką zakon wykazywał przez stulecia, była jak najbardziej uzasadniona. Pradawne niebezpieczeństwo wcale nie przeminęło.

Przetrwało przez wieki aż do czasów współczesnych i w ostatnich dniach znów narastało.

Opat stale studiował stare manuskrypty i naradzał się z zakonnymi braćmi. Nie było najmniejszej wątpliwości. Dawny wróg znów podnosił głowę. Pogańskie siły znowu czyniły wszelkie starania, by powrócić, i ponownie posługiwały się w tym celu sekretnym bractwem.

Zwycięstwo sprzed stuleci nie okazało się pełne, a rozstrzygnięcie



zostało jedynie odroczone w czasie. Tym razem musiało jednak nastąpić i wiedza, że jego współpracownicy oraz on musieli udźwignąć to brzemień, ciążyła na duszy opatowi Andrew. To było ich przeznaczenie, cel ich istnienia. Sprawowanie pieczy nad biblioteką oraz dbanie o stare pergaminy i manuskrypty było jedynie kamuflażem - w rzeczywistości chodziło o znacznie więcej.

Opat modlił się o to, by jego współpracownicy oraz on dojrzeliby na tyle, by sprostać wyzwaniom.

- Być może, o Panie - dodał do swej modlitwy - spodoba Ci się w Twej mądrości nam, słabym ludziom, przysłać pomoc i włączyć się do walki, rozstrzygając ją na korzyść światła, nie ciemności...

Nie dokończył słów, gdy ciszę przerwał ostry brzęk.

Opat podniósł wzrok i ku swemu zdumieniu dostrzegł postacie ubrane w czarne szaty, które wskoczyły do pomieszczenia przez wybitą szybę. Kaptury ich płaszczy były głęboko nasunięte, a twarze ukryte pod maskami.

- Wszchemogący! - wydusił z siebie opat.

Zimny nocny wiatr wpadł przez wybite okno, załopotał płomieniami świec i sprawił, że przybysze pogrążyli się w makabrycznym świetle.

Żadna z postaci nie odezwała się. Wyciągnęli natomiast naga stal spod oponczy - szable, których klingi błyszczały w świetle świec.

- Cofnijcie się! - wykrzyknął tubalnym głosem opat Andrew, zerwał się z miejsca i uniósł rękę w geście obrony. - Jesteście

posłańcami zaginionych czasów, rozkazuję wam wrócić, skąd przyszście!

Napastnicy ukryci pod maskami wybuchnęli tylko śmiechem.

Jeden z nich wysunął się do przodu, uniósł szablę, gotów przebić nią opata. Zanim jednak ostra jak brzytwa klinga przebiła mnicha, on wykonał ruch w bok i uniknął ciosu.

Szabla trafiła w pustkę, a ten, który ją dzierżył, wydał z siebie mimowolny okrzyk. Zanim jeszcze zdążył zaatakować po raz drugi, opat Andrew wykorzystał jego zaskoczenie. W mgnieniu oka znalazł się przy drzwiach pomieszczenia, odsunął rygiel i wybiegł na korytarz.

Zamaskowani napastnicy podążyli za nim. Ich zamiary można było wyczytać z oczu, które pobłyskiwały przez szczeliny masek. Byli żądni krwi, a ich pierwszą ofiarą miał być przełożony zakonnego zgromadzenia w Kelso.

Opat Andrew biegł tak szybko, jak pozwalały mu jego nogi i wyplecione z łyka sandały. Pędził przed siebie pogrążonym w półmroku i oświetlonym nielicznymi świecami korytarzem i sam sobie wydawał się ponurym widmem z koszmaru. Jednak była to rzeczywistość, co potwierdzały odgłosy kroków prześladowców oraz ich żądne mordowania. Zbliżali się i znów błyskały klingi ich obnażonych szabel, łaknęli krwi bezbronnego zakonnika, który raptem nie był już sam.

Przy końcu korytarza, gdzie zaczynały się wąskie schody, nagle z półmroku wyłoniło się kilka postaci, które podobnie jak opat miały na

sobie ciemne habity premonstratensów. Jednak w odróżnieniu od niego nie byli bezbronni, lecz trzymali w dłoniach długie drągi z giętkiego drewna brzoźowego. I z ich pomocą stawili czoła napastnikom.

Kaptury odrzucili do tyłu, dzięki czemu widać było ich ogolone na łyso głowy.

Przez moment zdumieni napastnicy zatrzymali się. Nie liczyli się z najmniejszym oporem, wychodząc z założenia, że ich zbrodnicza misja zostanie wypełniona bez żadnych problemów. Jednakże już po chwili ruszyli do przodu na mnichów, którzy stanęli kordonem, chroniąc opata. Sekundę potem doszło do zażartej walki wręcz.

Zamaskowani napastnicy z wściekłością natarli na obrońców, uderzając klingami z morderczą pasją. Mnisi mogli przeciwstawić stali jedynie drągi, jednak niegroźne drewno w ich dłoniach przeistoczyło się w niszczącą broń. Przed wieloma dziesiątkami lat jeden z ich współbraci powrócił z długiej podróży na Daleki Wschód i przywiózł tajemnicę sztuki walki bez użycia broni, którą mnisi pogłębili i udoskonalili. Trenowali fechtunek za pomocą drągów- nie po to, by atakować, lecz jedynie, by móc się bronić, gdyby ich życie znalazło się w zagrożeniu. Tak jak w tym momencie...

W półmroku śmignęła klinga szabli i przecięła ciało oraz ścięgna.

Jeden z mnichów krzyknął i upadł; natychmiast doskoczyło do niego dwóch współbraci, wymierzając karę sprawcy za pomocą śmigających jak błyskawica kijów. Z niszczącą siłą drewno uderzało, łamiąc kości i zwalając napastnika z nóg. Ruchy mnichów były tak szybkie, że

zamaskowani złooczyńcy nie mogli za nimi nadążyć. Wprawdzie napastnicy byli lepiej uzbrojeni, jednak nie zdołali stawić czoła sprawności mnichów.

Dwóch z nich po chwili leżało bez życia, trafionych ciosami drągów. Trzeci miał zmiażdżony łokieć, gdy dostał cios brzoźowym kołkiem. Czwarty skoczył do przodu i zamachnął się szablą, jednak otrzymał cios drągiem i padł na ziemię zwalony z nóg.

Pozostali napastnicy zaczęli przeraźliwie krzyczeć i rzucili się do ucieczki. Pobiegli na łeb na szyję do pracowni opata Andrew i pierzchnęli przez wybite okno. Kilku mnichów chciało podążyć za nimi w pościgu, jednak opat Andrew ich powstrzymał.

- Zatrzymajcie się, moi bracia - zawołał do nich. - Nie jest naszą sprawą wymierzać karę ani mścić się. Pan uczyni to za nas.

- Ależ, czcigodny opacie - zaproponował brat Patrick, który należał do grupy dzielnych obrońców. - Ci ludzie przyszli tutaj, żeby ciebie zamordować! Najpierw ciebie, a potem nas wszystkich!

- Mimo to zemsta nie może być uczuciem, które kieruje naszymi działaniami - sprzeciwił się opat z podziwu godnym spokojem.

Wydawało się, że całkowicie opanował już przerażenie, które początkowo go ogarnęło.

- Nie zapominaj też, bracie Patricku, że nie darzymy nienawiścią naszych wrogów. Nie chcemy ich karać ani nie zamierzamy wyrządzić im krzywdy. Chcemy tylko bronić tego, co słuszne i sprawiedliwe.

- Nie zapominam o tym, wielebny opacie, ale jeśli ich

pochwycimy, być może dowiemy się, kto ich nasłał.

- Zadowolimy się tymi, którzy zostali z nami - odparł opat i

wskazał na mężczyzn, którzy leżeli nieprzytomni na posadzce korytarza.

- Wątpię, żeby chcieli zdradzić, kto ich wysłał, ale być może nie będzie to konieczne.

Polecił swoim współpracownikom, by zajęli się rannymi. Mnisi opatrzyli rany i zatroszczyli się o ich powrót do zdrowia, jak nakazuje przykazanie miłości bliźniego. Brat Patrick pochylił się nad jednym z nieprzytomnych, odsunął jego kaptur i zdjął maskę.

Ich oczom ukazała się blada młoda twarz otoczona blond włosami

i bokobrodami. Spotkała ich jeszcze większa niespodzianka, kiedy brat

Patrick ściągnął opończę z napastnika. Spod czarnej opończy wyłoniła się jaskrawa czerwień - czerwień munduru brytyjskich dragonów.

Mnisi z Kelso znieruchomieli ze zgrozy. Żaden z nich nie

spodziewał się takiego obrotu sprawy z wyjątkiem opata Andrew.

- Teraz nie ma już odwrotu - mruknął pod nosem, a jego wzrok

spochmurniał. - Wróg wrócił i pokazał swe oblicze. Walka się rozpoczęła, moi bracia...

## KSIĘGA TRZECIA

### *Miecz runów*

Następnego dnia po pamiętnym znalezisku w bibliotece oraz złowieszczej walce na ulicy Walter Scott i Quentin udali się z kolejną wizytą do profesora Gainswicka. Mieli nadzieję, że uczony będzie mógł powiedzieć im coś więcej na temat kamiennego kręgu, o którym mowa w starym manuskrypcie.

Przedpołudnie sir Walter spędził na posterunku straży miejskiej, gdzie usiłował dowiedzieć się czegoś więcej na temat nocnej walki, której świadkami byli on i Quentin. Jako prezes Sądu Najwyższego został potraktowany z należnym szacunkiem, jednak konstable nie byli w stanie mu pomóc. Nikt nie zgłosił żadnego doniesienia, poza tym policjanci pełniący służbę w nocy też nie wiedzieli nic o dramacie, jaki rozegrał się w uliczce dzielnicy uniwersyteckiej. Wszystko wskazywało na to, że sir Walter oraz jego siostrzeniec byli jedynymi świadkami tego zdarzenia - a w świetle dnia nawet sami zaczęli wątpić, czy rzeczywiście miało ono miejsce.

Sir Walter spędził noc przy biurku, natomiast Quentin położył się spać, jednak prawie nie zaznał odpoczynku.

Jego myśli nieustannie biegły ku dramatycznym wydarzeniom, ku odkryciu, jakiego dokonali, oraz ku ponurym cieniom, które ich śledziły. Gdy tylko zamknął oczy i na chwilę pogrążył się we śnie, natychmiast pojawiały się złowieszcze obrazy - koszmary przedstawiające znaki runiczne, makabryczne maski, kamienne kręgi oraz ogień, który płonął nocą i obwieszczał koniec świata.

Równie ponury był jego nastrój, kiedy wsiadali do powozu, który miał ich zawieźć na High Street. Jego wuj mógł zamknąć oczy i dalej szukać racjonalnego wyjaśnienia, natomiast on stał na stanowisku, że nie mieli do czynienia tylko i wyłącznie z czystym przypadkiem. Myśli Quentina co jakiś czas biegły ku ostrzeżeniom, które padły zarówno z ust inspektora Dellarda, jak i opata Andrew.

Sir Walter, który dostrzegł niewyraźną minę Quentina i czytał w nim, jak w otwartej księdze, skierował na niego badawczy wzrok.

- Mój drogi siostrzeńcze - rzekł. - Doceniam, ile dla mnie zrobiłeś.

Lecz teraz w twoich oczach widzę trwogę.

- Mylisz trwogę z przezornością, wuju - sprostował pewnym siebie głosem Quentin. - O ile dobrze sobie przypominam, zdaniem Cyserona przezorność jest lepszą częścią odwagi.

Sir Walter nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- To pięknie, że mimo całego tego rozgardiaszu znajdujesz czas na studiowanie klasyków, mój chłopcze. Ale mówię poważnie. W trakcie tych dramatycznych wydarzeń straciłem już jednego studenta i nie chcę, by śmierć zabrała mi drugiego. Zatem jeśli teraz wysiądziesz i wrócisz do rodzinnego domu, zrozumieć to w pełni. Twój dom jest niedaleko stąd. Mogę polecić stangretowi, żeby...

- Nie, wuju - odparł zdecydowanym tonem Quentin. - To prawda, że nie zawsze zgadzam się z twoimi poglądami w kwestii tego tajemniczego przypadku. Ale w ostatnich tygodniach i miesiącach uczyniłeś dla mnie zbyt wiele, żebym zostawił cię samego na pastwę

losu teraz, kiedy mnie potrzebujesz. Z całym szacunkiem, wuju, mam przeczucie, że nigdy jeszcze tak bardzo nie byłem ci potrzebny jak w tych dniach.

- Jesteś odważnym młodzieńcem, Quentinie - przytaknął sir

Walter. - Nauczyłeś się panować nad własnym strachem i radzić sobie z nim. Ale nie chciałbym, żebyś ryzykował własne życie jedynie z wdzięczności. Zaszedłeś u mego boku dalej, niż nakazuje zdrowy rozsądek. Ludzie, z którymi mamy do czynienia, są niebezpieczni, co wielokrotnie udowodnili. Poza tym nigdy nie mógłbym spojrzeć w oczy twojej matce i oznajmić jej, iż musiałeś pożegnać się z życiem jedynie z powodu mojego uporu.

Głos sir Waltera ucichł, a Quentin odniósł wrażenie, że wuj nie tylko odczuwał zmęczenie spowodowane nieprzespanymi nocami, ale był także wyczerpany odpowiedzialnością, jaka spoczywała na jego barkach. Być może powinien zdjąć z jego barków część tego ciężaru.

- W takim razie zwolnij mnie ze służby u siebie, wuju - zaproponował, nie namyślając się długo.

- Co chcesz przez to powiedzieć, mój chłopcze? Czy nie chcesz już być u mnie dłużej na terminie?

- Nauczyłem się od ciebie dostatecznie dużo, wuju, i jestem pewien, że jest jeszcze wiele do nauczenia. Ale uwzględniając wszystko, co może się jeszcze wydarzyć, nie chciałbym stać przy twoim boku jako uczeń, lecz jako - tu przerwał, gdyż pojął, że słowa te mogą ujść za zbyt zuchwałe - lecz jako twój przyjaciel - dokończył,



ściszając głos.

Sir Walter nie odpowiedział natychmiast, lecz spojrział przez okno powozu na strzeliste budynki, które mijali przy High Street. Za kilka chwil dotrą do domu profesora Gainswicka.

- Co się dzieje, wuju? - chciał wiedzieć w końcu Quentin zaniepokojony, czy nie posunął się zbyt daleko.

- Nic, mój chłopcze - sir Walter pokręcił przecząco głową. -

Postawiłem sobie tylko proste pytanie.

- Jakie pytanie?

- Jakiż to dureń wmówił ci kiedyś, że nie nadajesz się do niczego i że w twoich żyłach nie płynie krew prawdziwego Scotta? Czy sądzisz, że nie przejrzałem twoich słów? Uważasz, iż nie zauważyłem, do czego zmierzasz?

- Wybacz, wuju, ja...

- Wyczułeś to, nieprawdaż? Brzemie, które spoczywa na moich barkach, odpowiedzialność, którą czuję i która niemal odbiera mi dech.

Chcąc mi ulżyć, zamierzasz zdjąć przynajmniej część tej odpowiedzialności i wziąć ją na siebie. Chcesz stanąć jako przyjaciel przy moim boku, chociaż nie podzielasz moich poglądów ani mojej determinacji w całej tej sprawie.

-Ależ nie, wuju - zapewnił potulnie Quentin w pierwszej chwili, ale potem zmienił zamiar.

- To prawda - dodał - iż nie jestem tego samego zdania co ty, jeśli chodzi o tę sprawę, i przyznam też skwapliwie, że nie czuję

się z tym dobrze. To co odkryliśmy, budzi we mnie trwogę i gdyby było możliwe, chętnie bym to porzucił i zostawił sprawy własnemu biegowi. Ale nie o to chodzi. Przede wszystkim dlatego, że ty postanowiłeś wyjaśnić tę sprawę. Nie wiem, skąd bierzesz w sobie tyle odwagi, wuju, ale oczywiste jest, że nie czujesz lęku przed tymi ludźmi. We wszystkim co czynię, jesteś dla mnie światłym przykładem. Przyjechałem do Abbotsford wyłącznie z jednego powodu, by choć trochę stać się taki jak ty. Teraz mam taką sposobność i nie zamierzam jej przegapić. Gdy wszyscy mieli mnie za durnia i niedojdę, ty jeden wierzyłeś we mnie i przyjąłeś mnie do swojego domu. Nigdy ci tego nie zapomnę. Dlatego byłoby dla mnie zaszczytem, gdybym mógł dalej towarzyszyć ci w twoim dochodzeniu, jako przyjaciel.

Sir Walter spojrział na niego badawczo i trudno byłoby stwierdzić, co w tym momencie myślał. Quentin wiercił się niespokojnie na ławce powozu. Potem jednak dostrzegł na twarzy swego wuja i mentora łagodny uśmiech.

- Kiedy przyjechałeś do mnie, Quentinie, od razu dostrzegłem, iż kryje się w tobie więcej, niż ktokolwiek wcześniej rozpoznał - rzekł sir Walter. - Jednak szybkość, z jaką porzuciłeś niedojrzałe przymioty młodości i stałeś się mężczyzną, zaskoczyła nawet mnie. Potrafię docenić twoją propozycję, mój chłopcze, i wyznaję chętnie, że w tych dniach rzeczywiście będę potrzebował zaufanego przyjaciela. Jeśli więc chcesz być tym przyjacielem...

Nie dokończył zdania, lecz podał Quentinowi swoją prawicę, którą ten natychmiast uścisnął.

- To dla mnie zaszczyt, wuju - odparł. - I proszę, zachowaj ostrożność we wszystkim, co będziemy czynić.

- To ci obiecuję - odparł z uśmiechem sir Walter. - Przy czym ciekawe byłoby dowiedzieć się, czy powiedział to przyjaciel czy też mój siostrzeniec.

Powóz zatrzymał się. Dojechali do skrzyżowania, od którego odchodziła uliczka prowadząca na tylne podwórze, gdzie znajdował się dom Miltiadesa Gainswicka.

Wysiedli, a sir Walter polecił stangretowi, żeby na nich zaczekał.

Było późne popołudnie, jednak chmury były tak gęste, że promienie słońca nie mogły się przez nie przebić.

Trzymając pod pachą teczkę z odpisem fragmentu manuskryptu, Quentin podążył za wujem wąską uliczką. Dotarli do podwórza, na którego końcu stał dom profesora. Z jego pracowni dobiegało żółte światło lampy naftowej - najwyraźniej więc uczonego wciąż jeszcze studiował stare rękopisy i zajmował się dawnymi dziejami. Sir Walter był pewien, że dla profesora Gainswicka odnaleziony fragment będzie stanowił miłą odmianę i być może też uczonego będzie w stanie powiedzieć im więcej na temat kamiennego kręgu, o którym była wzmianka w starym manuskrypcie.

- Wuju - odezwał się nagle Quentin, a sir Walter również zauważył to w tym momencie.

Drzwi wejściowe były nieco uchylone. Na terenie wiejskim taka rzecz nie stanowiłaby niczego niezwykłego, jednak w mieście takim jak Edynburg, gdzie ciągle po ulicach wałęsała się szemrana hołota i zbieranina ludzi, było to w najwyższym stopniu podejrzane.

Sir Walter zastukał w drzwi gałką swojej laski, chcąc obwieścić przybycie gości. Jednak nic się nie wydarzyło. Nie nadszedł służący profesora Gainswicka ani też z wnętrza domu nie dał się słyszeć żaden odgłos. Sir Walter posłał w kierunku siostrzeńca jedno z tych spojrzeń, które Quentin nauczył się w ostatnich dniach dokładnie rozpoznawać - wzrok ten zdradzał zaniepokojenie.

Popchnęli drzwi, które ustąpiły do wnętrza, skrzypiąc głośno.

- Profesorze Gainswick? - zawołał sir Walter, idąc wąskim korytarzem. - Sir, jest pan w domu?

Nie otrzymali żadnej odpowiedzi, chociaż z końca korytarza widoczne było światło. Teraz także Quentin zaniepokoił się. W powietrzu wisiało napięcie, poczucie złowróżbnego zagrożenia.

Sir Walter skinął głową, pozwalając tym samym siostrzeńcowi ruszyć do przodu. Powoli szli korytarzem. Deski podłogi skrzypiały cicho pod ich stopami. Minęli jadalnię i salon, w którym ostatnio wszyscy razem siedzieli. W kominku płonął ogień, co pozwalało wnioskować, że jednak ktoś musiał być w domu.

- Profesorze Gainswick! - zawołał sir Walter jeszcze raz. - Czy jest pan w domu, sir?

Nie znaleźli profesora, lecz służącego. Quentin omal się o niego

nie potknął, gdy dotarli do przeciwnego końca korytarza, gdzie znajdowało się wejście do pracowni. Drzwi były przymknięte i przez szczelinę

wpadał tylko wąski snop światła, który oświetlał jakiś nieforemny kształt pod stopami Quentina.

- Wuj! -wyrwało mu się z ust, kiedy rozpoznał, że to zwłoki, ciało służącego profesora Gainswicka.

Jego twarz była obrzmiała i wykrzywiona w grymasie, a wybałuszone oczy zdawały się spoglądać na Quentina w niemej skardze. Wokół jego szyi owinięty był sznurek, którym morderca go udusił.

- Wielkie nieba - stęknął sir Walter i pochylił się.

Szybko sprawdził oznaki życia, potem z rezygnacją pokręcił przecząco głową.

- A profesor? - zapytał poruszony Quentin.

Sir Walter spojrział w kierunku drzwi. Obaj przeczuwali, że odpowiedź na pytanie Quentina znajduje się po drugiej stronie i rzeczywiście się nie mylili.

Miltiades Gainswick siedział na dużym fotelu przed kominkiem w swej pracowni z książką na kolanach. Rysy twarzy uczonego nie wskazywały na naukową ciekawość, lecz były zdeformowane. Jego oddech brzmiał niczym zgrzyt padającego łańcucha. Ku swemu przerażeniu Quentin dostrzegł wszędzie krew. Ubranie i koszula uczonego były umazane we krwi, podobnie jak fotel i podłoga, na

której utworzyła się kałuża w kolorze jaskrawej czerwieni.

- Profesorze!

Sir Walter wydał z siebie krzyk pełen grozy i obaj rzucili się w stronę Gainswicka, który spoglądał na nich mętnym i bezradnym spojrzeniem. Jego głowa opadła na bok, nie miał już siły jej podnieść.

Tors profesora został przebity wieloma pchnięciami noża, a Quentin, który nie miał pojęcia o medycynie, nie żywił złudzeń, że istniał jeszcze jakiś ratunek dla uczonego.

- Nie, profesorze - jęknął błagalnym tonem sir Walter i upadł przed swoim leciwym mentorem na kolana; nie miało przy tym znaczenia, że sam tapla się we krwi. - Błagam, nie...

Gainswick zamrugał oczyma i podniósł wzrok, co stanowiło dla niego ogromny wysiłek. Na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu, gdy rozpoznał sir Waltera.

- Walterze, mój chłopcze - stęknął, a z kącika ust zaczęła cieknąć wąska strużka krwi. - Niestety przychodzisz za późno...

- Któż to uczynił? - wyszeptał bezradny sir Walter. - Kto to panu uczynił, profesorze?

- Stało się... nie czyń sobie żadnych wyrzutów.

- Kto? - raz jeszcze zapytał sir Walter, gdy Quentin klepnął go w ramię.

Na ścianie pracowni siostrzeniec sir Waltera dostrzegł coś, co zmroziło mu krew w żyłach. Był to ślad, który zostawili sprawcy, bardziej nawet sygnatura, znak rozpoznawczy. Jak gdyby chodziło o potwierdzenie autorstwa dzieła sztuki.

Na ścianie widniał znak miecza napisany krwią Miltiadesa

Gainswicka.

- Nie - jęknął sir Walter, a w oczach stanęły mu łzy wściekłości, żalu i bezradności. - To nie może być prawda!

- Niech nie ogarnia cię smutek - rzekł cichnącym głosem

Gainswick. - Wszystkie drogi... muszą kiedyś dobiec kresu.

- Niech mi pan wybaczy, profesorze - powtarzał szeptem sir

Walter. - Niech mi pan wybaczy.

Quentin, który stał obok bez ruchu, był nie mniej poruszony niż jego

wuj. Również on czuł się odpowiedzialny za to, co się stało. Było

oczywiste, kto dopuścił się tej krwawej zbrodni. I niemal równie

oczywiste było również to, kto przyprowadził sprawców do profesora

Gainswicka.

- Maski - z gardła profesora Gainswicka dobiegł ledwo słyszalny

głos. - Makabryczne maski... wytwory ciemności... nie znają łaski.

- Wiem - dodał bezradnie sir Walter.

Gainswick podniósł oczy i w ostatnim rozpaczliwym przypiływie

życiowych sił chwycił zakrwawioną dłonią kołnierz surduta swego

dawnego ucznia i przyciągnął go do siebie.

- Oni podjęli walkę - wyszeptał konającym głosem. - Szukajcie

śladów...

- Gdzie, profesorze? - zapytał tylko sir Walter.

Dwa ostatnie słowa, jakie padły z ust Miltiadesa Gainswicka, były

zagadkowe. Pierwsze brzmiało Abbotsford, drugie - Bruce.

Potem głowa uczonego opadła na bok. Raz jeszcze klatka piersiowa profesora Gainswicka uniosła się i opadła, potem jego serce przestało bić.

- Nie - wykrzyknął ze zgrozą Quentin, gdy jednocześnie ogarnęła go bezsilna wściekłość. - Ci żądni krwi mordercy! Te bestie w ludzkiej postaci! Profesor Gainswick nic im przecież nie zrobił. Ja im...

Przerwał, gdy nagle z piętra dobiegło głośne skrzypienie.

- Co to było? - spytał.

- Na górze ktoś jest - stwierdził sir Walter, którego rysy twarzy nagle stężały.

- Być może służący?

- O ile sobie dobrze przypominam, profesor miał tylko jednego.

Quentin i jego wuj wymienili znaczące spojrzenia. Obaj zdawali sobie sprawę, co to mogło znaczyć. Ze morderca profesora Gainswicka wciąż jest w domu. Być może zaskoczyli go w trakcie krwawego rzemiosła i dlatego znaleźli profesora jeszcze przy życiu.

- Odpokutuje za to - obwieścił zdecydowanym głosem Quentin i ruszył pędem w stronę drzwi pracowni.

- Chłopcze, nie! - zawołał za nim sir Walter, jednak już nie był w stanie zatrzymać Quentina.

Wszystkie uczucia, jakie nagromadziły się w nim w ciągu ostatnich dni i tygodni, teraz nagle znalazły ujście. Żałoba po śmierci Jonathana i trwoga, jaka stała się udziałem Quentina w trakcie pożaru biblioteki, uczucie do Mary Egton oraz strach przed złowieszczym bractwem i nadnaturalnymi rzeczami wezbrały w nim niczym w beczce pełnej



prochu strzelniczego, a śmierć profesora Gainswicka stała się iskrą zapalną przyłożoną do lontu.

Quentin wbiegł na schody z zaciśniętymi pięściami, zdeterminowany, by dopaść tchórzliwego mordercę i wymierzyć mu sprawiedliwość. Nie zastanawiał się nad ryzykiem. Będąc w szoku po tym potwornym wydarzeniu, łaknął sprawiedliwości, nie chciał już dłużej kryć się i pragnął stanąć wreszcie konfrontacji z tajemniczym przeciwnikiem, którego nieczne knowania pociągnęły za sobą już tyle śmiertelnych ofiar.

Nagle usłyszał głośny brzęk wybijanej w oknie szyby!

Hałas dobiegał z końca krótkiego korytarza, z sypialni profesora Gainswicka, której drzwi stały szeroko otwarte. Quentin zagryzł zęby i ruszył przed siebie. Popędził korytarzem i wbiegł do sypialni.

Uderzył go w twarz zimny wiatr nocy, który wpadał przez wybite okno i poruszał zasłonami. W bladym świetle, jakie wpadało z zewnątrz, zasłony sprawiały wrażenie całunów. Quentin podbiegł do okna. Ktoś wybił szybę za pomocą wieszaka na ubrania, który leżał teraz na

podłodze. Gdy Quentin wyrżał, dostrzegł postać w łopoczącej szacie, która biegła po dachu.

- Stój! - ryknął z całych sił. - Ty nędzny morderco!

Zanim na dobre pojął, na co się porywa, wchodził już na parapet okna i wydostawał na zewnątrz. Odłamkiem szyby skaleczył prawą dłoń, jednak ogarnięty wściekłością nawet tego nie zauważył. Krew

pulsowała dziko w jego żyłach, a dyszący odgłos własnego oddechu zagłuszył w nim ostrzegawcze głosy, które odezwały się w jego głowie.

Wyszedł przez okienny otwór, zeskoczył i wylądował kilka metrów niżej, na kalenicy dachu sąsiedniego domu. Tą samą drogą, którą posłużył się tchórzliwy morderca, szedł, balansując, aż dotarł do wystającego wysoko komina, przytrzymał się, a następnie zsunął się stromo opadającym dachem do jego krawędzi. Stąd mógł przeskoczyć na kryty drewnianym gontem dach stajni, na którym widział ostatnio zamaskowanego bandytę.

Był tylko jeden kierunek, który mógł obrać morderca - uliczka prowadząca w stronę starego miasta, gdzie znajdowały się niezliczone zaułki, w których mógł zniknąć bez trudu. Quentin nie zamierzał pozwolić, by do tego doszło.

- Zatrzymać mordercę! - wrzasnął z całych sił w nadziei, że zaalarmuje konstabli, którzy powinni pełnić służbę w pobliżu High Street.

- Nie może uciec!

Długimi susami przebiegł po dachu stajni w kierunku, w którym zmierzał uciekinier. Drewniane dachówki skrzypiały podejrzenie pod jego stopami. Potem dotarł do okapu dachu stajni. Bezpośrednio pod nim znajdowała się sterta słomy leżąca obok drzwi stodoły i Quentin zeskoczył, nie wahając się ani chwili. Wylądował miękko, otrzepał się szybko ze słomy i popędził dalej wąską uliczką. Po chwili ponownie dojrzał mężczyznę w pelerynie.

W słabym świetle widział go tylko przez moment, zanim

złoczyńca zniknął w bocznej uliczce.

- Stój! - zawołał Quentin uniesiony gniewem, chociaż nie łudził się, że jego wołanie zatrzyma zabójcę.

Zebrał w sobie siły i ruszył przed siebie tak szybko, jak tylko był w stanie.

Quentin nie był wytrwałym biegaczem. Z powodu silnego pobudzenia, które czuł, oddychał płytko i szybko, w rezultacie czego czuł żywy ogień w płucach i po pewnym czasie siły zaczęły go szybko opuszczać. Mimo to nie chciał się poddawać. Wszystko w nim sprzeciwiało się temu, by morderca profesora Gainswicka uciekł.

Wściekłość i przekora dodawały mu sił.

Pod wiatr pędził co sił uliczką, na której pełno było śmieci i nieczystości. W bocznych alejkach okazałej ulicy głównej, przy której rezydowali kupcy, urzędnicy i uczeni, Edynburg prezentował raczej odstręczający widok, nie wspominając już o podejrzanym hałasie, która kręciła się po uliczkach. Granice między poszczególnymi dzielnicami były dość płynne i ni stąd, ni zowąd można było znaleźć się nagle w okolicy, do której lepiej było nie trafiać po zmroku.

Jednak Quentin nie myślał o tym. Jego jedynym celem było schwytanie mordercy i wymierzenie mu sprawiedliwej kary. Bez tchu dobiegł do zakrętu, za którym zniknął zamaskowany zbir. Uliczka była krótka i kończyła się wewnętrznym dziedzińcem, zatem był to ślepy zaułek. Z trzech stron otaczały ją ściany pozbawione okien i było tylko jedno wejście.

Bezradny Quentin stanął i rozejrzał się dookoła. W coraz słabszym świetle przyjrzał się dokładnie murom, jednak nigdzie nie widział śladu zabójcy. Potem wzrok Quentina padł na drewniane drzwi spustowe, które zamontowano w nierównym bruku.

Niewątpliwie prowadziły do piwnicy i była to jedyna możliwość opuszczenia tego podwórka. Zatem tylko tędy mógł uciec morderca.

Bez chwili zastanowienia Quentin chwycił za pokryte rdzą żelazne kółko i uniósł drzwi. W nozdrza uderzył go zapach zgnilizny i na moment zawahał się. Potem jednak ruszył dalej. Jeśli teraz zrezygnuje, to zabójca profesora Gainswicka ujdzie bezkarnie. On zaś nie chciał pozwolić na to w żadnym wypadku.

Odważnie chwycił drabinę, która była oparta o ścianę szybu, i zaczął schodzić na dół. Szczelby były zimne i śliskie od mchu, dlatego musiał uważać, żeby się nie ześlizgnąć. Jakies trzy metry niżej drabina kończyła się, a Quentin stanął w zimnej ciemnej piwnicy.

Słabe światło, które padało z góry, nie wystarczało, by oświetlić wnętrze. Wszystkim, co Quentin widział, były niewyraźne zarysy, jakieś bardzo stare skrzynie i beczki, których zawartość wydzielala budzący odrazę smród. Poza tym gdzieś w ciemności usłyszał chrobotanie, które kazało mu się domyślić, że nie jest tutaj sam.

Jego determinacja nagle zaczęła słabnąć i doszedł do wniosku, że raczej głupim pomysłem było zejście na dół bez broni czy choćby lampy. Kierując się impulsem, chciał odwrócić się i znów złapać drabinę, by wyjść na górę, gdy nagle przed sobą dostrzegł światło.

Była to zapalniczka, którą ktoś nagle zapalił i przyłożył do knotu świecy.

W jej blasku Quentin rozpoznał makabryczną, wyciętą z drewna maskę.

Był to morderca, który zaczął się na niego!

Ciężka oponczka z czarnej wełny okrywała jego ogromną sylwetkę, a duży kaptur nasunięty był na zakrytą maską twarz. Zagrożenie, jakim emanował, dało się wyczuć niemal fizycznie.

- Szukasz mnie? - zapytał szyderczo zamaskowany zabójca.

A więc mnie znalazłeś.

Przez chwilę Quentin zaniemówił ze strachu i grozy. Potem górę wzięło wzburzenie spowodowane krwawą zbrodnią, on zaś ze wszystkich sił wmawiał sobie, że złowieszczy fantom, który pojawił się w ciemności, jest w rzeczywistości istotą z krwi i kości. Jest człowiekiem. Takim jak on.

- Kim jesteś? - chciał wiedzieć Quentin. - Dlaczego zamordowałeś nieszczęsnego profesora Gainswicka?

- Ponieważ zajmował się rzeczami, do których nie powinien był się mieszać - zabrzmiała odpowiedź. - Dokładnie tak jak ty. Nie zawsze wychodzi na dobre bieganie po ulicy i wrzeszczenie na całe gardło. Zbyt łatwo można wtedy przyciągnąć uwagę kreatur, które lepiej pozostawić w spokoju.

Zamaskowany zabójca uniósł świecę, a jej płomyk oświecił większą część piwnicznego pomieszczenia. Ze zgrozą Quentin dostrzegł, jak za beczkami i skrzyniami coś zaczęło się ruszać.

Wyszły zza nich postacie, które tylko przy bardzo dużej dozie dobrej woli można było nazwać istotami ludzkimi. Ich odzież była brudna i cała w strzępach. Nie różniła się niemal wcale od kaprawej, pokrytej plamami skóry. Z twarzy poranionych i zniekształconych bliznami spozierały przekrwione oczy, a wyszczerzone żółte zęby zwiastowały nieskrywaną żądzę mordy.

Quentin słyszał o tych ludziach - nazywano ich bezimiennymi.

Byli trędowatymi wyrzutkami społeczeństwa, nie mieli ani pochodzenia, ani dachu nad głową. Żyli w najciemniejszych zakątkach miasta, a kto wpadł w ich ręce, ten nie mógł liczyć na łaskę.

Nigdy wcześniej Quentin nie spotkał żadnego z nich, a teraz był ich tutaj cały tuzin jednocześnie. Mimo woli cofał się, aż dotknął plecami drabiny.

Wychodzili z ciemnych kątów, bardziej pełzali i chodzili w kucki, niż szli. W ich dłoniach tkwiły noże i pokryte rdzą sztylety, połamane rapiery, których klingi wciąż jeszcze zbrukane były krwią przeciętych ostatnio gardeł. Ci ludzie byli nieudanymi płodami nocy - a mroczny złoczyńca ukryty za maską najwyraźniej posłużył się nimi.

- Należy do was - zwrócił się do nich.

Potem rozległ się obrzydliwy chichot. Ich oczy ciskały błyskawice, a jeden z nich, który miał długie włosy i którego nos rozdzielony był blizną spowodowaną cięciem nożem w trakcie rozróby, trzymał w ręku sztylet wymierzony w Quentina, którym chciał go pchnąć bez zbędnej zwłoki.

Quentin zareagował błyskawicznie. Musiał najpierw odwrócić się i chwycić za szczeble drabiny. Potem wystarczyło tylko wydostać się z piwnicznej dziury i uciec spod ostrzy żądnych krwi skrytobójców.

Bezimienni krzyknęli głośno, gdy zobaczyli, że szkuje się do ucieczki. Unieśli morderczą broń i rzucili się w stronę drabiny.

Quentin wspinał się do góry tak szybko, jak tylko potrafił.

Zauważył, że sztylet zmierza ku niemu, poczuł powiew powietrza od stali, która chybiła o włos. Kościste, wychudzone dłonie sięgnęły w jego kierunku, a jedna z nich złapała go za stopę.

Wrzasnął wniebogłosy i strzepnął nogą, broniąc się ze wszystkich sił, i po chwili znów był wolny. Szybko wspiął się po następnych szczeblach, szedł w górę najszybciej, jak mógł. W końcu dotarł do otworu.

Banda morderców deptała mu po piętach, nie zamierzając wypuścić ofiary, którą już uważali za swoją. W ich oczach życie człowieka było niewiele warte i z pewnością już niejedną raz zabijali z mniej ważkich powodów. Surdut Quentina i jego nowe trzewiki z pewnością stanowiły dostateczny powód, by zamienili się w mordercze bestie. Quentin z ledwością wydobył się z szybu i uratował się, wyskakując na podwórze.

- Pomocy! - ryknął z całych sił, lecz nikt go nie słyszał albo też ci, którzy słyszeli, woleli trzymać się z daleka.

Bezimienni wychodzili teraz jeden za drugim z szybu, liczni jak stado szczurów. Quentin pobiegł szybko przed siebie do wyjścia, do

którego prowadziła uliczka. W przerażeniu jednak stwierdził, że dojście na podwórko zostało zablokowane - stały tam już dwa kolejne typy o krępych sylwetkach w postrzępionych ubraniach, które wisały na nich. Uzbrojeni byli w drewniane pałki, na które nabite mieli długie gwoździe - była to zabójcza broń z czasów, kiedy nie istniały jeszcze żadne prawa ani reguły. Jeden z tych dwóch, który miał opaskę na prawym oku, ryknął jak drapieżne zwierzę i zamachnął się maczugą, chcąc przeciąć drogę swej ofierze.

Quentin stanął w miejscu. Zrozpaczony szukał wzrokiem innej drogi ucieczki. Bezimienni, zorientowawszy się, że ich ofiara jest w pułapce, nie spieszyli się teraz. Rozdzielili się i otaczali go, ustawiając się dookoła podwórka ze złowieszczymi grymasami na zniekształconych twarzach. Nigdzie też nie było widać złoczyńcy ukrytego za maską; najprawdopodobniej już dawno zbiegł.

Quentin czuł, jak wielka gula w gardle przesuwała mu się to w górę, to w dół. Po raz niewiadomo który przywołał w myślach jedną z zasad swego wuja, że panika rzadko kiedy przynosi pożytek i że racjonalnie pracujący umysł nawet w krytycznych sytuacjach wciąż pozostaje najlepszym doradcą. Tym razem jednak sytuacja była tak beznadziejna, że nawet najbardziej bystry umysł nie mógł nic poradzić. Bowiem nie widział żadnej drogi ucieczki. Quentin nie był też w stanie powstrzymać śmiertelnego strachu, który wypełzał z głębi jego duszy i przenikał go na wskroś.

Osaczony spoglądał to tu, to tam i ze wszystkich stron widział



obnażone klingi oraz wykrzywione i uradowane cudzym

nieszczęściem, wyniszczzone i koszmarnie twarze. Wiedział, że nie

może od nich oczekiwać ani łaski, ani pobłażliwości.

Wokół niego rozlegały się chichot i szepty, gdy bezimienni

ukradkowo porozumiewali się ze sobą. Quentin nie rozumiał ani słowa,

jakby posługiwali się własną mową. Krąg coraz bardziej się zacieśniał,

a zardzewiałe klingi i ostrza znajdowały się coraz bliżej niego.

- Błagam - zwrócił się do nich Quentin ogarnięty rozpaczą. -

Pozwólcie mi odejść, nic wam nie zrobiłem.

Jednakże jego błagania spotkały się tylko z szyderczym śmiechem.

Jeden z napastników - był to jednooki - wymachiwał maczugą w

powietrzu i wykonywał takie ruchy, jakby szykował się do ataku.

Quentin uniósł ręce w obronnym geście i zamknął oczy, oczekując, aż

narzędzie mordy zada mu śmiertelny cios.

Jednak maczuga nie dosięgła celu. Usłyszał natomiast bardziej

twarde odgłosy, którym towarzyszyły głośne okrzyki. Zaskoczony

Quentin otworzył oczy i zorientował się, co się stało.

Mordercy mieli towarzystwo.

Bezgłośnie, niczym niosące ratunek anioły z dachów sąsiednich

domów, zeskakiwały na podwórze postacie w długich brązowych

habitach z kapturami. Przez moment Quentina ogarnęła zgroza, gdyż

wziął ich za członków Bractwa Runów. Potem jednak dostrzegł

drewniane drągi w ich dłoniach i rozpoznał tych, którzy stoczyli

zażartą walkę wręcz w uliczce na tyłach uniwersytetu z członkami

bractwa. Kimkolwiek byli, z pewnością nie stali po stronie bractwa.

Jednooki, który szykował się do ataku na Quentina, leżał teraz nieruchomo u jego stóp. Dług jednego z tajemniczych wojowników powalił go z ogromną siłą na ziemię. Bezimienni, których pojawienie się ludzi w kapturach zaskoczyło w nie mniejszym stopniu niż Quentina, zaczęli wykrzykiwać gniewnie jak dzieci, którym przerwano ulubioną zabawę.

- Zostawcie tego młodego człowieka w spokoju - zażądał przywódca grupy wojowników uzbrojonych w drągi, jednak bezimienni wcale nie myśleli o tym, by za darmo oddać swoją ofiarę. Wymienili między sobą ukradkowe spojrzenia, szacując siłę przeciwników. Ponieważ bronią nieoczekiwanych rywali były jedynie zwykłe drewniane drągi, podczas gdy oni sami byli uzbrojeni w noże i sztylety, doszli najwyraźniej do wniosku, że mają spore szanse wygrać w bezpośrednim starciu. Już w następnym momencie rzucili się do ataku na mężczyzn w kapturach z głośnym bojowym okrzykiem na ustach, przesyconym nienawiścią tak wielką, że Quentin aż się wzdrygnął.

Młody mężczyzna, który wciąż jeszcze nie mógł pojąć, skąd nadeszło nieoczekiwane wybawienie, przyglądał się bez tchu, jak na podwórku rozgorzała zazarta walka wręcz. Czternastu bezimiennych stało naprzeciw sześciu wojowników z drągami, którzy teraz kręcili się sprawnie i posługiwali drewnianym orężem z ogromną wprawą.

Podczas gdy bezimienni krzyczeli, szlachetni wojownicy w białych

habtach nie wydawali z siebie żadnych dźwięków. Quentin stał zdjęty grozą i zdumiony. Jeszcze nigdy dotąd nie widział ludzi, którzy walczyli w taki sposób. Wydawało się niemalże, iż stanowili jedność ze swoim orężem, ponieważ ich ruchy były do tego stopnia eleganckie i płynne. Kładli pokotem przeciwników, zmuszając ich w końcu do ucieczki.

Liczni spośród skrytobójców leżeli już nieprzytomni na ziemi.

Pozostali wciąż krzyczeli i wymachiwali zardzewiałymi klingami, chcąc dźgnąć nimi przeciwników.

Jednak ci, którzy walczyli drągami, nie pozwalali podejść do siebie blisko, lecz utrzymywali napastników na dystans dzięki sprawnemu władaniu swoją prostą bronią. Pałki śmigały w powietrzu z ogromnym impetem i powalały na ziemię nickszemnych przeciwników. W którymś momencie ręka jednego z nich została zmiażdżona, gdzieś obok kość przedramienia pękła z głośnym trzaskiem, gdy dosięgnął jej silny cios.

Właściciel ręki - był to człowiek z rozplatanym na pół nosem - wpatrywał się w swoją groteskowo wygiętą rękę i ryczał jak nieboskie stworzenie, co pozostałym całkowicie odebrało odwagę. Z głośnym wrzaskiem rzucili się do ucieczki.

Tajemniczy wojownicy zrezygnowali z pościgu. Zadowolili się zrobieniem wolnego miejsca wokół Quentina, jeden z nich podszedł do młodzieńca, który ze strachu i przyływu adrenaliny trząśł się na całym ciele.

- Nic panu nie jest? - dobiegł głos spod kaptura.

Quentin daremnie usiłował rozpoznać twarz, która kryła się w głębokim cieniu.

- Nic - zapewnił bezdźwięcznym głosem. - Dzięki waszej pomocy.

- Musi pan natychmiast stąd odejść. Dzieci rynsztoku łatwo jest przepędzić, ale kiedy powrócą, będzie ich tylu, że nawet my nie będziemy w stanie ich powstrzymać.

- Kim pan jest? - chciał wiedzieć Quentin. - Komu zawdzięczam ocalenie?

- Niech pan idzie! - polecił mu energicznie tajemniczy wojownik, którego głos wydał się Quentinowi jakby znajomy. - Tamtędy, szybko! Wskazał frontową stronę podwórza, gdzie furtka znów stała otworem. Quentin przytaknął i uklonił się, potem ruszył biegiem.

Ciekawość, która kazała mu dowiedzieć się, kim są budzący trwogę wybawcy, była daleko mniejsza niż potrzeba jak najszybszego oddalenia się z tej przerażającej okolicy. Biegiem minął bramę, a jego kroki głośno dudniły po brukowej kostce.

Po tamtej stronie furtki raz jeszcze się obejrzał, chcąc rzucić ostatnie spojrzenie na tych, którzy wybawili go z opresji. Ku swemu zaskoczeniu musiał stwierdzić, że zniknęli bez śladu.

A przecież nie zdążył im nawet podziękować, jak należy...

Tymczasem sir Walter poważnie zamartwiał się o los siostrzeńca. Z tym większą ulgą odetchnął, gdy ponownie zobaczył Quentina w domu profesora, całego i zdrowego.

Quentin przemilczał celowo to, co się wydarzyło - śmierć starego przyjaciela i mentora już w dostatecznym stopniu wstrząsnęła sir Walterem, zatem jego siostrzeniec nie chciał wyjawiać mu kolejnych złych nowin. Zadowolili się wyłącznie zdaniem raportu z tego, że morderca zdołał mu się w końcu wymknąć w ciemnych i wąskich uliczkach miasta.

- I jesteś pewien, że był to członek bractwa? - zapytał sir Walter.

- Nie ulega najmniejszej wątpliwości, wuju - zapewnił Quentin. -

Widziałem dobrze jego czarną szatę oraz maskę, pod którą skrywał twarz.

- W takim razie ich niegodziwości przyczyniły się do kolejnej śmiertelnej ofiary.

- Wszystko na to wskazuje. Pozostaje tylko pytanie, dlaczego zamordowali profesora Gainswicka.

- Sądzę, iż w międzyczasie uzyskałem odpowiedź na to pytanie, mój chłopcze - odparł przybity sir Walter.

Czas, jaki upłynął, wykorzystał do przeprowadzenia oględzin miejsca straszliwej zbrodni. Wysłał wcześniej stangreta na posterunek policji, by zaalarmować konstabli.

- W ręku profesora znalazłem to - wyjaśnił i sięgnął do kieszeni

surduta, z której wyciągnął złożoną kartkę papieru i podał ją Quentini, którą ten wyprostował i skierował na nią badawcze spojrzenie.

Na kartce znajdował się szkic, nie narysowany biegłą ręką, ale z pewnością też nie była to ręka niewprawna. Rysunek przedstawiał średniowieczny miecz. Broń posiadała długą rękojeść, dzięki czemu można było walczyć nią, posługując się obiema rękoma. Głowica miała kształt głowy lwa, tradycyjnego szkockiego herbowego zwierzęcia, natomiast jelec na końcach był bogato zdobiony. Sama głownia była długa, wąska i zwężała się ku szpicowi. Ostrze pozbawione było zdobień poza kilkoma grawiurami, które znajdowały się nieco poniżej jelca.

Quentin

wstrzymał

oddech,

gdy

pod

rysunkiem

przedstawiającym miecz rozpoznał symbol runiczny miecza.

- Rozumiesz teraz, co mam na myśli, chłopcze? - zapytał sir

Walter. - W związku z naszą wizytą profesor Gainswick najwyraźniej

również zajmował się znakiem miecza. Najwyraźniej też natrafił na

rzeczy, które zdaniem jego morderców powinny pozostać w ukryciu.

Przeszukano też biurko profesora i najprawdopodobniej wykradziono

kilka rysunków. Wedle wszelkich przesłanek członkowie bractwa nie

chcieli, aby zdobytą wiedzę przekazał dalej...

-...i to konkretnie nam- dodał Quentin i opuścił głowę w poczuciu

winy. - Profesor Gainswick został zamordowany z naszego powodu,

nieprawdaż? Żeby powstrzymać nasze dalsze poszukiwania.

- Bardzo bym chciał wykluczyć tę ewentualność, mój chłopcze.

Jak profesor nam wyjawiał, już od lat przestał zajmować się wiedzą o

runach. Dopiero nasza wizyta znów skierowała jego uwagę na te

sprawy. Wygląda na to, że pobudziliśmy jego zainteresowanie tym

tematem, co skończyło się jego śmiercią.

- Ale dlaczego? - zapytał Quentin i poczuł, jak do oczu napływają

mu łzy, które jednocześnie wyrażały żal i wściekłość. - Czyż sam nie

powiedział, że zajmowanie się znakiem miecza przynosi tylko

zatrącenie? Dlaczegoż więc sam to uczynił?

- Ponieważ był uczonym, mój chłopcze. Człowiekiem prawdy

i poszukiwań. Mimo podeszłego wieku profesor Gainswick wciąż

cechował się ową dziecięcą ciekawością, która jest przymiotem

wszyst-

kich prawdziwych badaczy. Nie mógł przecież wiedzieć, że u kresu

przyniesie mu to śmierć.

- W takim razie to rzeczywiście nasza wina - odezwał się niemal

bezglśnie Quentin. - To myśmy przynieśli profesorowi wieść o znaku

miecza. I co gorsza, to my przyprowadziliśmy do niego morderców.

Przypominasz sobie uliczną walkę, której byliśmy świadkami?

Wiedziałem, że byli w to wmieszani członkowie Bractwa Runów. A

zatem już wtedy byli w mieście. Śledzili nas.

- Na to wygląda - przyznał sir Walter. - Jednocześnie nasuwa mi się pytanie: dlaczego profesor Gainswick został zamordowany, a my wciąż jeszcze żyjemy? Logika podsuwa jedynie dwie możliwe odpowiedzi. Albo jesteśmy zbyt nieistotni, by członkowie bractwa kierowali na nas swoją uwagę...

- To raczej trudno sobie wyobrazić, wuju. Pomyśl tylko o napadzie na Abbotsford oraz o pożarze w bibliotece.

- ... albo - sir Walter podjął myślowy wątek - z jakichś względów pożądanym jest, byśmy pozostali przy życiu. Możliwe, że członkowie bractwa planują coś, i niewykluczone, że odgrywamy, bez naszej wiedzy, jakąś rolę w tych zamiarach.

- Tak sądzisz? - zapytał Quentin.

Przypuszczenie dotyczyło to wuju, ale z pewnością nie jego samego.

W końcu przed kilkoma zaledwie minutami jeden z członków bractwa usiłował pozbawić go życia przy pomocy bezimiennych...

- To niewykluczone - odparł sir Walter z przekonaniem. - W takim przypadku musimy zadać sobie pytanie o powody. Do czego właściwie zmierzają członkowie bractwa? Czy są rzeczywiście tylko rebeliantami i buntownikami, czemu mamy dać wiarę i do czego dokłada starań inspektor Dellard? A może kryje się za tym coś więcej? Być może realizują jakiś większy plan, w którym jakąś większą rolę odgrywa to?

Wskazał na rysunek, który jego siostrzeniec wciąż trzymał w dłoni.

- Masz na myśli miecz? - zapytał Quentin.



-Jak najbardziej. Profesor Gainswick najwyraźniej odkrył istnienie jakiejś zależności między znakiem miecza a tym sławetnym orężem.

- Sławetnym orężem? - Quentin wpatrywał się w rysunek z uniesionymi wysoko brwiami. - Chcesz przez to powiedzieć, że ten miecz rzeczywiście istnieje?

- Oczywiście, mój chłopcze. A przynajmniej istniał. Od setek lat nikt go jednak nie widział. To jest królewski miecz. Głownia, którą Robert Bruce poprowadził do zwycięstwa nad Anglikami pod Bannockburn.

- Robert Bruce? Bannockburn? - Quentin zrobił wielkie oczy.

Oczywiście znał historię króla Roberta, który wyzwolił Szkocję i z powodzeniem bronił kraju przed angielskimi okupantami, ale nigdy nie słyszał o królewskim mieczu.

- Nie trap się, mój chłopcze, tylko bardzo nieliczni o tym wiedzą - pocieszył go sir Walter. - O mieczu Bruce'a nie było wzmianki w żadnym starym dokumencie, i to nie bez przyczyny. Ponieważ jak chce ustna tradycja, był on obłożony klątwą.

- Jaką klątwą? - oczy Quentina zrobiły się jeszcze większe.

Sir Walter uśmiechnął się.

-Wiesz przecież, że nie daję wiary tego rodzaju rzeczom. Jednak zgodnie z ustnym przekazem miecz ten miał należeć kiedyś do Williama Walla-ce'a. Dzierżąc go w dłoniach, poprowadził Szkotów do bitwy pod Stirling i po raz pierwszy zmiotł Anglików z powierzchni ziemi. Jak jednak wiesz, Wallace'owi niezbyt długo sprzyjała wojenna fortuna. Po porażce pod Falkirk człowiek, którego nazywano „Walecznym Sercem”, został

zdradzony przez szkocką arystokrację i pojmany przez Anglików.

Zawieziono go do Londynu, gdzie odbył się proces, a później publicznie go stracono. Jednak miecz Wallace'a, jak wiadomo, pozostał w Szkocji i znalazł się w posiadaniu Bruce'a, który za jego pomocą wywalczył wolność naszego narodu.

- O tej historii rzeczywiście nigdy nie słyszałem - wyznał Quentin. - Co potem stało się z tym mieczem?

- Mówi się, że zaginął. W każdym razie źródła historyczne nic o nim nie wzmiankują. Jednak tradycja ustna głosi, że miecz Bruce'a dotrwał do naszych czasów i jest przechowywany w jakimś sekretnym miejscu. Od setek lat ten oręż jest uznawany za zaginiony. Tylko od czasu do czasu pojawia się, by znów zniknąć w mglistych oparach historii.

Quentin przytaknął. Zawsze gdy chodziło o tego typu sprawy, włosy stawały mu dęba, a po plecach przebiegały ciarki. Chociaż w międzyczasie zdołał już nieco dojrzeć, żeby móc posłużyć się własnym rozumem.

- Jednego nie pojmuję, wuju - kierując się rozsądkiem, zgłosił za strzeżenie. - Skoro miecza od tak dawna nie widziano, skąd możesz mieć pewność, że rysunek przedstawia tę właśnie broń?

-To całkiem proste, mój chłopcze. Ponieważ współcześni króla Roberta uwiecznili jego wizerunek, żeby zachować go dla potomnych. Miecz jest wyryty na płycie nagrobnej Roberta, na grobowcu, który znajduje się w opactwie Dunfermline. Wizerunek ten przedstawia miecz z głowicą w kształcie głowy lwa, dokładnie tak, jak na rysunku profesora Gainswicka.

- A znak miecza? - zapytał Quentin.

Sir Walter wzruszył ramionami.

- Tego nie jestem pewien. Odkąd przed czterema laty odkryto grób króla Roberta, byłem kilka razy w Dunfermline. Nigdy jednak nie rzucił mi się w oczy znak miecza, ale być może po prostu nie zwróciłem na to uwagi. Wiele rzeczy dostrzegamy dopiero wtedy, kiedy jesteśmy świadomi ich istnienia.

- Najwidoczniej profesor Gainswick zdołał to zauważyć. Znak runiczny na rysunku jest przecież bardzo wyraźny.

- Racja. Zadaję sobie pytanie, skąd profesor czerpał swoją wiedzę. Nie słyszałem o tym, żeby w ostatnich dniach był w opactwie i prowadził tam poszukiwania.

- Być może znalazł to w jakiejś księdze - zgadywał Quentin i wskazał na regały, których półki uginały się pod ciężarem oprawnych w skórę woluminów.

- To także nie jest wykluczone. Lecz zamiast od nowa zwracać się ku abstrakcyjnym teoriom, proponowałbym, żebyśmy zbadali sprawę na miejscu.

- Masz na myśli Dunfermline?

- Tam właśnie prowadzą ślady, mój chłopcze, zarówno runicznego symbolu, jak i tych nikczemnych morderców. Przez cały czas szukamy jakiegoś przekonującego powiązania obu tych spraw i wiele wskazuje na to, że tym elementem łączącym jest królewski miecz. Zapewne to właśnie odkrył profesor na krótko przed swoją śmiercią.

- Ale w ostatnich słowach nie wspominał przecież o opactwie, lecz

o Abbotsford - wysunął wątpliwość Quentin.

- Abbotsford i król Bruce - przytaknął sir Walter. - Nie

zapomniałem o tym. Ale przypominam sobie także, że opowiadałem

profesorowi o kasetonach, które znajdują się w holu mojego domostwa.

Na nich również odkryliśmy znak miecza, a kasetony pochodzą z

opactwa Dunfermline. I w tym miejscu koło się zamyka.

-Ale czy sam nie powiedziałaś, że symbol runiczny na kasetonach

to znak jakiegoś rzemieślnika?

- Najwidoczniej myliłem się w tej kwestii, mój chłopcze -

przyznał sir Walter matowym głosem. - Zresztą jakkolwiek by było,

zagadki mordu na profesorze nie rozwiążemy ani tutaj, ani w

Abbotsford, lecz wyłącznie tam, skąd zdaje się pochodzić runiczny

symbol.

- W Dunfermline - rzekł Quentin i w następnym momencie nie

byli już sami.

Z korytarza dobiegły odgłosy kroków, chwilę potem w progu pojawił

się mężczyzna w ciemnym mundurze konstabla. Towarzyszyło mu kilku

strażników miejskich, którzy przystąpili do oględzin domu oraz podwórza,

podczas gdy konstabl osobiście wziął się za oględziny miejsca zbrodni.

Jako członek Sądu Najwyższego sir Walter był poza wszelkim

podejrzeniem, zatem konstabl wykluczył jego oraz Quentina z kręgu

podejrzanych. Obaj złożyli jedynie zeznania do protokołu,

relacjonując, co widzieli i przeżyli na własnej skórze. Teraz Quentin,

ku zgrozie i przerażeniu sir Waltera, opowiadał, co mu się przydarzyło w trakcie przerażającego spotkania w ciemnym podwórku. Na dobrą sprawę nie był w stanie opisać mordercy profesora Gainswicka, ponieważ ten człowiek dla niepoznaki ukrył twarz pod maską. Mimo to konstabl stawiał wiele pytań i notował wszystko, co Quentin zdołał sobie przypomnieć. Później on i jego wuj zostali zwolnieni i powrócili do domu.

Po drodze nie odzywali się do siebie niemal słowem. Obaj byli posy pochłonięci przeżywaniem w duchu wydarzeń tego dnia.

Nie tylko dlatego, że sir Walter stracił dobrego przyjaciela - ten przyjaciel był kolejną ofiarą członków bractwa i fakt ten zdawał się jeszcze bardziej przygnębiać sir Waltera. Wprawdzie Quentin był w stanie dostrzec gorzką determinację w rysach wuja, ale po raz pierwszy towarzyszyła temu również rozpacz. Wciąż jeszcze nie udało się im rozwiązać zagadki runicznych symboli, a im dłużej to trwało, tym więcej ludzi musiało pożegnać się z tym światem.

W nadziei że zdołają w ten sposób uciec żądzy mordy członków bractwa, posłuchali rady inspektora Dellarda i wyjechali do Edynburga.

Teraz jednak musieli stwierdzić, że wpływy bractwa sięgały aż tutaj.

Wydarzenia nabierały tempa i zarówno Quentin, jak i jego wuj mieli wrażenie, że czasu jest coraz mniej. W ostatnich tygodniach ataki złoczyńców były coraz gwałtowniejsze i bardziej brutalne. Można było odnieść wrażenie, że zmierzali do jakiegoś celu i że szykowali się na coś, co miało się wydarzyć niebawem. Ale co to mogło być? Jak

należało połączyć poszczególne elementy łamigłówek? Czy rzeczywiście istniała jakaś wielka ponura tajemnica, która łączyła ze sobą wszystkie te zdarzenia?

Jak dotąd Quentin i jego wuj wiele razy w czasie swojego dochodzenia natrafiali na odmowę. Nieważne, czy był to szeryf Slocombe, inspektor Dellard czy też opat Andrew albo profesor Gainswick - wszyscy oni w mniej lub bardziej otwarty sposób radzili, by nie drążyć dalej tej sprawy. Ich motywy mogły być wprawdzie zróżnicowanej natury, ale koniec końców Quentin doszedł do przekonania, że chciano ich za wszelką cenę odwieść od dalszego poszukiwania tego, co się za tym kryje. Manewry odwracające uwagę, ukryte między wierszami wskazówki oraz niewyraźne sugestie były wszystkim, na co do tej pory się natknęli, podczas gdy członkowie bractwa wciąż uprawiali swój nieczyny proceder i dopuszczali się zabójstw, sami pozostając bezkarni.

Determinacja Quentina, by rozwiązać zagadkę do końca, była od dawna równie wielka, jak jego wuja. Poza tym zbrodnie ostatnich tygodni w jego oczach nie pozostawały bez związku ze sobą; w dużo większym stopniu miał przeczucie, że wszystko to łączyło się w całość.

Że stanowiło elementy tajemnego sprzysiężenia i że kryło się za tym bez porównania więcej, niż dotąd przeczuwali.

Być może, pomyślał Quentin, miecz Roberta Bruce'a stanowił klucz do rozwiązania zagadki...

Gwynneth Ruthven nie mogła zasnąć, co zresztą zdarzało się często w tych nieszczęsnych dniach.

Od czasu gdy Wallace utracił władzę, klany i szlachta znów znalazły się w chaosie. Wszędzie wrzało i kipiało, w powietrzu wisiało nieszczęście, które Gwynn wyczuwała wyraźnie.

Tak wiele zmieniło się od śmierci jej ojca; tak wiele w tak krótkim czasie. Nie dość, że powstanie wzniecone z nadziei szkockiego narodu na pokój i wolność zostało stłumione w krwawy sposób, to jeszcze szlachta była skłócona i w niezgodzie jak zawsze. Podzieliła się na tych, którzy wciąż popierali Wallace'a i chcieli dochować mu wierności, oraz na tych, którzy uważali go za niebezpiecznego parweniusza i którym jego klęska pod Falkirk była jak najbardziej na rękę.

Ponieważ jednak była kobietą, Gwynn nie przystało zabierać głosu na ten temat. Prowadzenie wojen oraz uprawianie polityki zastrzeżono dla mężczyzn, zatem teraz wyłącznie jej brat Duncan kierował losami klanu Ruthven.

Na początku swych rządów Duncan jeszcze dość często wysłuchiwał rad siostry w spornych kwestiach, lecz w ostatnim czasie już tego nie czynił. Pod wpływem doradców, którymi się teraz otoczył, Duncan zmienił się. Na niekorzyść, jak przekonała się Gwynneth.

Co chwilę przywoływała w myślach osobliwe spotkanie ze starą Kałą. Runiczna wieszczka ostrzegała ją, że jej brat wdaje się w konszachty z siłami, których ani nie rozumiał, ani nad którymi nie był w stanie

zapanować. Początkowo Gwynneth pocieszała się jeszcze, że Kala była staruchą, której pomieszało się w głowie i do której słów lepiej nie przywiązywać żadnej wagi. Jednak im więcej czasu upływało, tym wyraźniej dostrzegała, że Kala miała rację pod każdym względem. Początkowo Duncan był tylko nieprzychylny. W coraz większym stopniu zamykał się w sobie i przestał się dzielić swymi myślami z siostrą. Jego serce zmąciła śmierć ojca, a żałoba zmieszała się z nienawiścią - nienawiścią do człowieka, którego obwiniał za śmierć głowy klanu i za fiasko powstania: Williama Wallace'a. I nienawiść ta sprawiła, że dał posłuch swoim nowym doradcom, którzy już od dłuższego czasu nie odstępowali go nawet na krok.

Co się tyczy Wallace'a, Duncan nie był wcale jedynym spośród sceptycznych głów klanów. Wielu było takich, którzy nie ufali „Walecznemu Sercu”, a całkiem liczni z nich uciekli nawet tchórzliwie z pola bitwy pod Falkirk. Fakt, że później Wallace i wierni mu rycerze zemścili się za to krwawo, wcale nie poprawił sytuacji. Szkocka szlachta znów była gotowa powyrzynać się nawzajem, co skończyłoby się ponownym triumfem Anglików.

Gwynn próbowała daremnie wyjaśnić to swemu bratu, lecz on tylko wyśmiewał się z niej i twierdził, że białogłowa nic z tych rzeczy nie rozumie. I co oczywiste, próbowała, mając na uwadze słowa Kali, ostrzec go przed nowymi doradcami. Na te słowa Duncan zareagował złością, ona zaś przez moment dojrzała w jego oczach błysk, który wzbudził w niej trwogę.



Od tamtej pory Gwynneth nie mogła zaznać spokoju.

Co noc leżała bezsenne w swojej komnacie i przewracała się z boku na bok na łożu. Kiedy w końcu sen brał górę, nawiedzały ją koszmary - koszmary, w których pojawiał się jej ojciec i brat i w których dochodziło do krwawej kłótni między nimi. Gwynneth za każdym razem usiłowała ich rozdzielić, jednak senna mara zawsze kończyła się tak samo, czemu ona nie była w stanie zapobiec. Ojciec i syn dobywali oręża i rzucali się na siebie, aż w końcu głowa klanu padała od pchnięcia mieczem przez własnego potomka, który potem wznosił zakrwawioną głownię ku niebu i mówił coś w języku, którego Gwynneth nie rozumiała.

Były to słowa, których nigdy wcześniej nie słyszała, lecz brzmiały złowrogo i zimno. Duncan mruczał te słowa niczym jakąś formułę przysięgi, raz za razem, podczas gdy Gwynneth zamierała z przerażenia.

Jej serce waliło jak szalone - i budziła się ze snu złana zimnym potem...

Mary Egton wzdrygnęła się.

Otworzyła nagle oczy i przez moment nie wiedziała, gdzie się znajduje. Serce biło szybko, na czole pojawił się zimny pot. Ręce i stopy miała lodowate, przebiegły po niej dreszcze.

Gdy jej wzrok przywykł do półmroku, powróciła też pamięć.

Pojęła, że wciąż jeszcze znajduje się w pomieszczeniu na szczycie wieży, do którego uciekła, chroniąc się przed lubieżną żądzą Malcolma Ruthven drżała na całym ciele, kiedy przypomniała sobie koszmarną ucieczkę przez korytarze zamku i zwierzęce sapanie swego

prześladowcy. Musiała stanowczo powiedzieć sobie, że znajduje się w bezpiecznym miejscu, by znów odzyskać spokój.

Nic dziwnego, że marzła. Była odziana tylko w nocną koszulę i poranny płaszcz, siedziała w kucki na nagich kamieniach, a lodowaty nocny wiatr owiewał zachodnią wieżę. Na jej kolanach leżały dokumenty, które odnalazła. Pamiętniki Gwynneth z Ruthven, w których odzwierciedlony był jej osobliwy los.

Mary przypomniała sobie, że zaczęła czytać ten rękopis, będący swego rodzaju kroniką, dziennikami, w których Gwynneth uwieczniła własne uczucia i przeżycia, swoje nadzieje i lęki - młoda kobieta w wieku Mary, która żyła przed około pięciuset laty. Mary była całkowicie zauroczona i mimo trudności z tłumaczeniem łaciny, nie mogła oderwać wzroku od tekstu. W którymś momencie musiała zasnąć nad wyczerpującą lekturą i najwyraźniej jej sny i to, co przeczytała, znów zlały się w pogmatwaną wizję.

Tymczasem zaczęło świtać i blada księżycowa poświata stopniowo ustępowała szaremu mrokowi, który wpadał przez niskie otwory okienne.

Mary zastanawiała się nad opuszczeniem pomieszczenia na wieży i udaniem się z powrotem do swojej komnaty, lecz chociaż poranny chłód wciskał się przez szczeliny i fugi murów i niemiłosiernie ją ziębił, zdecydowała się nie czynić tego. Malcolm wciąż mógł czaić się na zewnątrz. Bezpieczniej było zatem odczekać, aż wyjedzie na łowy, jak czynił to niemal każdego ranka. Poza tym Mary nie czuła

najmniejszej potrzeby, by znów spotkać się ze swoim pyszałkowatym narzeczonym ani z jego pozbawioną wszelkich uczuć matką. Woląca zostać na zawsze tu, na szczycie wieży, i spędzać czas na czytaniu testamentu Gwynneth.

Gdy tylko jej wzrok padł na zapisane linijki, lektura pochłonęła ją całkowicie. Pamiętniki młodej kobiety przyciągały ją w magiczny sposób, zupełnie tak jakby na arkuszach pergaminu nie był opisany los Gwynneth Ruthven, lecz jej własny...

Gwynneth obudziła się.

Oddychała ciężko. Mokre od potu włosy lepiły się do jej głowy. W którymś momencie musiała zasnąć, lecz znów nawiedził ją koszmar.

Wizja odległych czasów, niewyraźne obrazy, które wzbudzały w niej strach.

Gwynneth czuła, jak jej serce wali niczym młot, oddychała głęboko, chcąc się uspokoić. Nagle uświadomiła sobie, że głosy, które słyszała, nie były jednak snem, lecz rzeczywistością. Głuchy, monotony pomruk, który przenikał przez mury zamczyska i który dał się słyszeć to tu, to tam.

Wzbudziło to w niej ciekawość. Wstała z łóżka, chcąc przekonać się, skąd dobiegały te osobliwe odgłosy. Cienka płócienna koszula, którą miała na sobie, nie chroniła przed chłodem, zatem sięgnęła po derkę z gęsto utkanej owczej wełny i narzuciła ją na siebie.

Ostrożnie wymknęła się na korytarz. Drzwi od jej komnaty zaskrzypiały, potem zamknęły się. Migoczące pochodnie, które były

umieszczone tu i ówdzie na ścianie, stanowiły jedyne oświetlenie.

Wokoło nie było żywego ducha. Gdzie podziały się strażę?

Gwynn naciągnęła derkę mocniej na ramiona i przemykała bezgłośnie w głąb korytarza. Drżała - nawet nie z powodu przenikliwego zimna, do którego zdążyła przywyknąć, lecz z uwagi na zaśpiew, który wciąż jeszcze rozbrzmiewał na korytarzu. Nie słyszała nic poza głuchym pomrukiem, który naśladował jakąś ponurą melodię.

Jednak z każdym krokiem, który stawiała, zaśpiew stawał się odrobinę głośniejszy. W końcu dotarła do głównych schodów prowadzących do przedsionka. Po cichu zeszła na dół z akompaniamentem ponurego pomruku.

W holu nie było nikogo. Straży, które zazwyczaj strzegły wejścia, nie było na miejscu, co wzbudziło niepokój Gwynneth. W półmroku rozejrzała się dookoła. Wciąż słyszała śpiew, teraz nawet lepiej i wyraźniej niż przedtem. Dobiegał z lochów, mrocznych podziemi, które rozciągały się pod zamkiem Ruthven.

Znów wstrząsnęły nią dreszcze. Nie cierpiała podziemi, nigdy nie lubiła tego miejsca. Kiedyś przetrzymywano tam więźniów, poza tym opowiadano, że jej pradziad Argus Ruthven w ciemnych lochach w okrutny sposób torturował swoich wrogów, doprowadzając ich do śmierci. Później przez całe lata lochy były puste, teraz jednak wyglądało na to, że znów się z nich korzysta...

Mimo oporu, jaki czuła, Gwynn ruszyła w kierunku schodów i potem zaczęła powoli schodzić nimi w dół. Śpiew był teraz

głośniejszy, rozpoznała też słowa obcej mowy - mowy, której Gwynneth nie rozumiała, ale której dźwięki sprawiły, że po jej plecach przebiegały zimne dreszcze, ponieważ brzmiały chłodno i przerażająco. Tchnęło z nich zło, takie wrażenie odniosła młoda białogłowa.

Doszła do końca schodów. Przed nią znajdował się wąski korytarz, od którego odchodziły cele oddzielone kratami. Śpiew dobiegał z końca korytarza, w którym znajdowało się główne, zwieńczone sklepieniem pomieszczenie. Migoczące płomienie ognia przebijały się poświatą ku niej. Zwlekając nieco, Gwynneth ruszyła dalej.

Trzymała się blisko chłodnych, pokrytych mchem i pleśnią kamieni, przykucnęła w cieniu, który rzucał migoczący ogień. Śpiew nabrał mocy i osiągnął kulminacyjny punkt, w którym dysharmonia stała się niemal nie do zniesienia. Później zaśpiew zamilkł, dokładnie w momencie, w którym Gwynneth dotarła do końca korytarza i mogła zajrzeć do podziemnej krypty.

To co zobaczyła, wzbudziło w niej grozę. Oczy Gwynneth rozszerzyły się z przerażenia i zakryła dłonią usta, żeby nie zdradzić swej obecności raptownym krzykiem.

Niską podziemną kryptę, której sklepienie osmalone było sadzą, rozświetlało ognisko rozpalone pośrodku sali. Wokół stały postacie, których wygląd budził grozę - mężczyźni w czarnych opończach z kapturami, a ich twarze były potwornie zniekształcone.

Przez moment Gwynneth pomyślała, że ma przed sobą demony,

potomków świata ciemności, którzy zjawili się tutaj, by wszystko zniszczyć. Lecz wtedy dostrzegła, że z demonicznych twarzy spoglądają oczy należące do istot ludzkich. Ludzie ci mieli na twarzach wycięte z drewna maski, na których wyryte były szpetne rysy i które posmarowano sadzą, aby nasilić grozę, jaką budziły.

Postacie stały w szerokim kręgu i nie znajdowały się blisko ognia, lecz otaczały inną grupę mężczyzn, wśród których Gwynn ku swemu przerażeniu rozpoznała Duncana, rodzonego brata.

Był nagi. Przed chwilą zrzucił z siebie szaty, a jeden z zamaskowanych mężczyzn, którzy stali wokoło, wziął je i wrzucił do ognia. Potem drugi z nich zaczął malować czerwoną farbą na ciele Duncana jakieś osobliwe symbole z charakterystycznymi zawijasami.

Były to runiczne znaki. Jednak wszystkie były runami, których Gwynneth nigdy dotąd nie widziała. Chociaż znała niektóre ze starych symboli, które jeszcze w wielu miejscach używano, nie była w stanie żadnego z nich rozszyfrować. Zatem musiało tu chodzić o tajemne znaki. O runy, które były zakazane. I raptownie w głowie Gwynn zajaśniało, że to nie farbą malowano ciało jej brata, lecz krwią...

Znów przebiegły ją dreszcze. Zdjęta grozą patrzyła, jak ramiona, nogi, plecy i tors Duncana pomazano pogańskimi symbolami. On sam zaś zdawał się nie pojmować, co się wokół niego dzieje. Stał tam z rozłożonymi ramionami i spoglądał przed siebie, jakby duszą i ciałem w ogóle nie był w tym miejscu. Przy tym mamrotał jakieś bezdźwięczne słowa.

Gwynn poczuła, jak w jej sercu rodzi się strach. Trwoga o brata.

Poczuła w sobie wszechogarniający przymus, by wyciągnąć go z kręgu kryjących się za maskami ludzi, którzy zapewne knowali coś bluźnierczego i niecnego. Bez względu na to jak bardzo się zmienił, Duncan wciąż przecież był jej bratem i była winna nie tylko jemu, ale także ojcu, bronić go przed krzywdą i niebezpieczeństwem.

Lecz dokładnie w momencie, gdy chciała wyjść z ukrycia i głośno krzyknąć, coś się wydarzyło. Zamaskowane postacie, które stały wokół jej brata, odstąpiły na bok, a kordon tych, którzy stali z tyłu i obserwowali, rozdzielił się. Pojawiła się jeszcze jedna postać, której twarz również kryła się za maską. Jednak w odróżnieniu od pozostałych zgromadzonych w krypcie, ta postać była ubrana w śnieżnobiałą opończę, a jej maska wykonana była z połyskliwego srebra. Choć Gwynneth Ruthven nigdy wcześniej nie widziała druida, wiedziała, że teraz ma go przed sobą.

Słyszała wcześniej o magach i runicznych wieszczach z dawnych czasów. Choć mnisi zakazali odprawiania pogańskich rytuałów, druidzi wciąż żyli w podaniach i wspomnieniach ludu. Wieść gminna niosła, że tak jak kiedyś wciąż jeszcze żyją i sprzeciwiają się nakazom Kościoła oraz prowadzą życie w ukryciu, czekając, aż wybije godzina, w której powrócą dawne bóstwa.

Nie mogła dostrzec twarzy mężczyzny w białej opończy, ale jego postawa oraz sposób, w jaki się poruszał, kazała się domyślać, że był bardzo stary. Wszedł do środka szerokiego kręgu, tam, gdzie stał

Duncan. Pozostali zamaskowani cofnęli się. Brat Gwynneth stał teraz sam przed trzaskającymi płomieniami, które rzucały nieregularne cienie na jego nagą, pomalowaną krwistymi znakami skórę.

Gwynn znów przeszły dreszcze i mimowolnie przyłgnęła do zimnej skały, jakby kamień mógł ją skryć i nie pozwolić, by została odkryta. Poczła jakiś impuls, który kazał jej uciekać, jednak niepokój o brata zatrzymał ją w miejscu. Poza tym do troski dołączyła ogromna ciekawość.

Kim byli ludzie w maskach? Co wspólnego miał z nimi Duncan? I dlaczego poddał się temu pogańskiemu ceremoniałowi? Czy to oni go zmusili, czy też zrobił to z własnej i nieprzymuszonej woli?

Gwynneth miała nadzieję poznać odpowiedzi, gdy jak zauroczona patrzyła, co działo się dalej.

Duncan wciąż stał w bezruchu z rozłożonymi ramionami. Druid stanął przed nim i mrucał jakieś niezrozumiałe słowa, które brzmiały jak formuła przysięgi. Potem powiedział głośno i dosadnie:

- Duncanie Ruthven, zjawiłeś się tu dzisiaj, by prosić o przyjęcie w szeregi naszego sekretne go bractwa?

- Tak - dobiegła cicha odpowiedź.

Oczy Duncana były szkliste, a jego spojrzenie dziwnie nieobecne.

Można było odnieść wrażenie, że nie panuje nad własnym ciałem.

- Czy uczynisz wszystko, czego od ciebie zażądamy? Czy odłożysz wszystkie sprawy na bok i dasz pierwszeństwo sprawom bractwa i czy od tej pory zawsze będziesz dążył do pomnażania potęgi i wpływów bractwa?



Początkowo głos druida był cichy i brzmiał spiskowo. Teraz

jednak stał się głośny i wyrażał żądanie.

-Tak- odparł Duncan i skinął głową. - Moim jedynym dążeniem

będzie dobro bractwa, aż po śmierć. I nawet po śmierci.

- Czy zatem uroczycie przysięgasz dochować posłuszeństwa

nakazom twojego druida?

-Tak.

- Czy oddasz życie własne oraz następnych pokoleń służbie

bractwu i poświęcisz je walce z nowym ładem?

-Tak.

- Czy przysięgasz także zwalczać wrogów bractwa bez względu

na to, kim będą?

-Tak.

- Nawet jeśli będą to twoi potomkowie? Z twojej krwi i kości?

- Tak - zapewnił Duncan, nie wahając się nawet przez moment, a

Gwynn znów przeszły dreszcze.

- Niech zatem tak będzie. Od tego momentu Duncanie Ruthven

jesteś przyjęty do Bractwa Runów. Twoje imię i twoja pozycja nie

mają odtąd żadnego znaczenia, ponieważ to runy teraz będą

decydowały o twoim życiu. W Bractwie Runów znajdziesz spełnienie.

Wspólnie będziemy walczyć z wrogami, którzy pojawili się, by

wygnąć stare bóstwa.

-Wspólnie - zawtórował Duncan i nagi, tak jak stał, upadł na

zimną kamienną posadzkę.

Druid rozłożył ramiona i wymówił ponownie formułę w obcej, ohydnej mowie, potem dał znak ludziom ze swego orszaku.

Zamaskowane postacie podeszły z czarną opończą, którą nałożono na Duncana. Na koniec podano mu również maskę wyrytą z drewna i poczernioną nad ogniem. Założył ją i zarzucił na głowę kaptur opończy. Teraz nie różnił się już niczym od pozostałych uczestników sekretnej ceremonii, których twarze skrywały maski.

Gwynneth zdjęła groza. Zimne oczy, które spoglądały przez szczeliny w masce, opończa z czarnej wełny. Jej brat w jej obecności zamienił się w złowieszczonego członka bractwa, ukrytego pod maską, ona zaś w ogóle nie spróbowała temu przeszkodzić.

Ale jeszcze nie było za późno.

Mogła jeszcze wyjść z ukrycia i ujawnić swoją obecność. Mogła zawołać Duncana po imieniu. Jednak na to młodej kobiecie zabrakło odwagi. Strach ścisnął jej gardło, owinął się niczym żelazna obręcz wokół piersi i pozbawił ją tchu w piersiach. Od tych ludzi emanowało jakieś zagrożenie, a teraz, kiedy jej brat skrył się pod maską oraz opończą i wyglądał tak jak oni, wzbudzał w niej strach nie mniejszy niż pozostali. To zatem był powód, dla którego tak zmieniony otaczał się nowymi doradcami. Znalazł się pod wpływem członków bractwa, którzy wyznawali starą pogańską wiarę.

Mimowolnie Gwynneth chwyciła za drewniany krzyż, który wisiał na jej szyi zawieszony na skórzanym rzemyku. Podarował go jej ojciec, by chronił ją przed złymi wpływami i pokusami. Lepiej by

jednak zrobił, darując go Duncanowi.

Teraz również jej brat zaczął śpiewać w owej obcej, budzącej lęk mowie, której najwidoczniej nauczył się w tajemnicy przed nią.

Pozostali zamaskowani dołączyli do śpiewu i znów rozległa się złowieszcza melodia, która zatrzęsła posadami podziemnej krypty. W końcu druid podniósł rękę i zebrani natychmiast zamilkli. Również Duncan, który przysiągł przywódcy bractwa wierność i posłuszeństwo, zamilkł w jednej chwili.

- Ponieważ teraz stałeś się jednym z nas, Duncanie - starzec znów przemówił - powinieneś uczestniczyć w realizacji naszych planów oraz w naszej walce z wrogami starego porządku. Nasz cel jest jasno określony. Chcemy, żeby dawne bóstwa powróciły oraz żeby mnisi, ci bezecni przedstawiciele nowych czasów, zostali przepędzeni na zawsze. Krzyżami, które przynieśli, zbeczczęli tę ziemię.

Kościołami, które wznieśli, zhańbili nasze miejsca kultu. Weszli w konszachty z Anglikami, by ujarznić nasz naród. Z nimi chcemy walczyć przy użyciu wszelkich sił i środków, które są w naszej mocy.

- Poświęcę własne życie, by służyć tej sprawie - zapewnił Duncan.

- Dopiero gdy ostatni mnich zostanie wypędzony ze Szkocji i gdy klany znów zapanują, nasza misja zostanie wypełniona. Stare bóstwa powrócą, a druidzi znów będą potężni, jak to kiedyś bywało.

-Jak to kiedyś bywało - potwierdził Duncan z pełnym przekonaniem, a Gwynn poczuła, jak dreszcze biegną jej po plecach.

Coś w głosie jej brata zmieniło się. Brzmiał teraz równie zimno i

przebiła z niego pełna determinacja, jak z głosu druida.

- Po długim czasie oczekiwania - podjął przemowę przywódca

bractwa - nadeszła pora na czyny. Runy powiedziały mi, iż nigdy nie było jeszcze tak sprzyjającej sposobności, by obrócić w perzynę nową władzę i by ponownie ustanowić stary ład.

- Jakim sposobem, wielki druidzie? - zapytał jeden z jego wyznawców.

-Jak wiecie, kraj pogrążony jest w chaosie. Nowy porządek chwieje się, odkąd miecz znalazł się w rękach Williama Wallace'a, a klany zwały szeregi w walce przeciwko Anglikom.

-Jak to możliwe? Czyż Wallace nie jest oddanym poplecznikiem Kościoła?

- W istocie - potwierdził druid. - Daremnie usiłowaliśmy przeciągnąć go na naszą stronę. Pozostał niewzruszony i wzgardził naszą przyjaźnią. To zaś rozstrzygnęło o jego przeznaczeniu. Zaczął się już jego upadek, bracia moi. Dni chwały Wallace'a są już policzone.

Szlachta zwróciła się przeciw niemu, a jego los ostatecznie przypieczętuje klątwa, która przyniesie mu zgubę.

- Klątwa, potężny druidzie?

Przywódca bractwa przytaknął.

- Miecz jednego człowieka rozstrzygnie o zwycięstwie lub klęsce.

Dzieje się tak już od wieków. Głownia „Walecznego Serca" nie odniesie już jednak żadnego zwycięstwa. Zostanie przez nas obłożona klątwą, która przyczyni się do upadku Wallace'a, nam jednak zapewni władzę.

Stare runy, które pochodzą z czasów założenia naszego bractwa, zdradziły mi tę tajemnicę. Miecz „Walecznego Serca”, dzięki któremu odniósł zwycięstwo pod Stirling, nie jest zwykłym orężem. To jest runiczny oręż, który został przed wiekami wykuty przez głowy klanów dzięki ostrym cięciom, którym od setek lat pisana jest historia naszego narodu. Miecz dysponuje siłą runów, która pomaga osiągnąć zwycięstwo lub ponieść klęskę.

- Zamierzasz obłożyć klątwą runiczny oręż „Walecznego Serca”, wielki druidzie?

- To właśnie uczynię. Gorzkie tchnienie zdrady przylgnie do niego i nie będzie już żadnej możliwości oczyszczenia głowni. Wallace poniesie klęskę, jego los został przypieczętowany. Ci, którzy są mu wierni, opuszczą go i podążą za innym wodzem, tym, który wykazuje większą przychylność wobec naszego bractwa i wobec naszych celów.

- Przeprowadziłem już rozmowy z wysłannikami hrabiego Bruce - odezwał się Duncan. - Twierdzą, że jest gotów przyjąć nasze warunki. Druid potwierdził skinieniem głowy.

- Niczego innego nie oczekiwałem. Już wkrótce gwiazda Wallace<sup>^</sup> zgaśnie. Wojenna fortuna opuści go, a wierni mu druhowie zdradzą go. Jego miecz dostanie się jednak w ręce Roberta Bruce'a, który będzie kontynuował dzieło Wallace'a i poprowadzi wojnę z Anglikami do zwycięskiego kresu. W ten sposób uwolnimy się od niechcianego wroga, jednocześnie zdobywając wartościowego sojusznika.

- Hrabia obiecał, że złamie władzę klasztorów. Zniesie też zakaz

tworzenia runicznych gmin, a druidzi znów odzyskają dawną władzę.

-Tak też będzie. Wallace jest stary i uparty. Robert natomiast młody i będzie nim łatwo sterować. W trakcie kolejnego zjazdu szlachty wysuniemy jego osobę jako kandydata na przywódcę. Potem wydarzy się wszystko to, co wcześniej zaplanowałem. Dopiero kiedy Robert zasiądzie na tronie, zaczniemy kierować nim stosownie do naszych zamysłów. Nasza władza znów będzie taka jak kiedyś i nawet po tamtej stronie granicy będą drżeć ze strachu przed nami. Runy i krew, tak było kiedyś i tak znowu będzie.

- Runy i krew - zawtórowali ludzie w maskach.

Potem znów rozległ się monotony zaśpiew, który brzmiał już na początku ceremonii.

Przerażona Gwynn ruszyła z powrotem ciemnym korytarzem. To co usłyszała, zdjęło ją grozą ponad wszelką miarę. Pogańscy członkowie bractwa - tego bractwa, jak sami siebie nazywali - planowali diabelski spisek, którego ofiarą miał paść „Waleczne Serce”.

Gwynn nigdy nie spotkała Williama Wallace'a, jednak słyszała o nim dużo i najczęściej to co słyszała, podobało się jej. Jak mówiono, Wallace był człowiekiem o wielkim poczuciu sprawiedliwości, któremu zależało ponad wszelką miarę na wolności. Był twardy i nie znał litości w stosunku do wrogów, to pewne, ale też troszczył się o tych, którzy potrzebowali jego opieki. Ojciec Gwynneth wierzył mu, wierzył w jego wizję wolnej i silnej Szkocji, która nie musiałaby obawiać się Anglików.

Na początku wojny z Brytyjską Koroną taktyka „Walecznego Serca” okazała się skuteczna. Po pierwszych zwycięstwach coraz więcej rycerzy stawało pod jego sztandarami. Klany z regionu Highlands, które zawsze były ze sobą śmiertelnie skłócone, zapomniały o dawnych waśniach i również dołączyły do niego, by służyć wielkiej i dobrej sprawie: wolności szkockiego ludu. Potem nadeszły porażki i po pierwszych sukcesach w Anglii „Braveheart” musiał wycofać się.

Tajemnicą poliszynela było, że przede wszystkim młoda szlachta opuszczała Wallace'a i chciała wysunąć na przywódcę Roberta Bruce'a, którego zamierzali uczynić królem w Perth. Teraz Gwynneth poznała też siłę sprawczą, która kryła się za tymi dążeniami: Bractwo Runów. Nigdy nie sądziła, że jej brat będzie tak nierozumny i zaślepiony, by wdać się w konszachty z ciemnymi siłami. Czyż ojciec nie wbijał im nieustannie do głowy, że czas druidów już minął? I że ich naród może uratować jedynie nowa wiara? Że klasztory przyczyniały się do rozwoju kultury i edukacji kraju oraz że gromadzenie wiedzy i umiejętność pisania były nie mniej ważne niż rycerskie cnoty oraz biegłość w posługiwaniu się mieczem? Jak Duncan mógł o tym wszystkim zapomnieć?

Poruszona do głębi Gwynneth chciała zawrócić i uciec stamtąd, gdy z tyłu za sobą usłyszała ciche skrzypnięcie. Niemal w tej samej chwili poczuła czyjąś dłoń na ramieniu...

Mary obudziła się, wydając półgłówny okrzyk.

Zdumiona stwierdziła, że wciąż siedzi na posadzce sali na szczycie

wieży ze zrolowanymi pergaminami na kolanach. Serce biło jej szybko, a na dłoniach perlił się pot. Czuła ucisk w gardle i strach, jak gdyby to nie Gwynneth Ruthven, lecz ona sama była tą, która przyglądała się złowieszczy scenom w podziemiach zamku.

Nigdy wcześniej Mary nie była pod urokiem tekstu do tego stopnia, że nie umiała odróżnić tego, co zapisane, od tego, co przeżywała. Nie zdarzało się to nawet wtedy, gdy oddawała się lekturze powieści sir Waltera Scotta, który przecież jak nikt inny potrafił ją zafascynować. To co Mary przeżyła, było tak namacalne, tak bliskie rzeczywistości, że faktycznie miała wrażenie, że owe ponure godziny były jej własnym doświadczeniem. Czy zasnęła i wszystko to tylko jej się przyśniło? Mary nie umiała przypomnieć sobie tego, ale najwyraźniej tak musiało się stać. Pogrążona w lekturze starego rękopisu pozwoliła, by ogarnęło ją zmęczenie, i nie zauważyła, kiedy w końcu zamknęły się jej oczy. I znów terażniejszość oraz przeszłość w jej śnie mieszały się w sposób budzący jej niepokój.

Wzdrygając się, Mary przywołała w myślach dlorl, która wyrwała ją ze snu. Czuła jej dotyk na swym ramieniu. Gdyby Mary nie siedziała oparta plecami o ścianę, odwróciłaby się, chcąc zyskać pewność, że za nią nikogo nie było.

Tylko sen... A może jednak coś więcej?

Mary znów nie mogła odeprzeć myśli o słowach służącej i zadała sobie pytanie, czy ta dziwna stara kobieta jednak miała rację. Czy rzeczywiście było coś, co łączyło ją i Gwynneth Ruthven? Coś, co



więzało losy ich obu mimo upływu setek lat?

Umysł Mary wzbraniał się przed wiarą w tego rodzaju rzeczy, ale jak inaczej mogła to wszystko wyjaśnić? Choćby to, że cierpiała razem z Gwynneth, jakby były bliskimi sobie przyjaciółkami, które znały się od dziecka? I jak wytłumaczyć wrażenie, że to ona sama była świadkiem wydarzeń w tamtych ponurych dniach?

Musiała dowiedzieć się więcej o Gwynneth i o wydarzeniach, które rozegrały się wówczas na zamku Ruthven. Chociaż jakaś częśćka w jej duszy czuła przed tym trwogę, Mary znów pogрузzyła się w lekturze i już po kilku wierszach relacja Gwynneth ponownie rzuciła na nią urok...

Biorąc krótki oddech, Gwynneth odwróciła się - i spojrzała w pomarszczone rysy starej kobiety. Z ulgą stwierdziła, że była to Kala. Runiczna wieszczka przyłożyła palec wskazujący do ust i nakazała jej zachować milczenie. Potem wzięła Gwynneth za rękę i odciągnęła ją od tego miejsca. Poszły schodami na górę, oddalając się od członków bractwa, których monotonny zaśpiew wciąż rozlegał się za nimi.

Dotarły do przedsionka, a stara kobieta ze zwinnością zupełnie nieprzystającą jej wiekowi przemykała po zamkowych schodach w górę. Ku zdumieniu Gwynneth wydawało się, że Kala dobrze zna rozkład zamku. Bez trudu odnajdowała właściwą drogę wśród słabo oświetlonych korytarzy i zdawała się wiedzieć dokładnie, jaki jest cel ich wędrówki.

W końcu dotarły do schodów, które stromymi zakrętami prowadziły na szczyt zachodniej wieży, a Kala dała Gwynn znak, by podążyła za nią.

Młoda kobieta rozejrzała się ukradkiem dookoła, zanim w końcu ruszyła za staruchą, przechodząc przez drzwi, i zaczęła wchodzić na górę.

W wieży było chłodno i czuć było przeciąg. Wiatr wiał przez wysokie szczeliny okienne, Gwynneth zaczęła drżeć, gdy jej nagie stopy stapały po zimnych kamieniach schodów. W mdłej poświacie księżycy widziała postać Kali tylko jako zarys ciemnego cienia. Czuła, jak jej puls przyspiesza, jednak stara kobieta sprawiała wrażenie, jakby wchodzenie na górę nie sprawiało jej najmniejszego wysiłku.

Młodzieńczymi susami mknęła na górę i po chwili obie stały już przed drzwiami pomieszczenia na szczycie wieży.

Ku zdumieniu Gwynneth Kala posiadała klucz. Otworzyła drzwi i wpuściła Gwynn do środka. Wewnątrz było ciemno i zalegał kurz, mrok rozpraszało jedynie księżycowe światło, które wpadało przez nisko umieszczone okna.

- Usiądź - nakazała Gwynn Kala.

Ponieważ nie było tu żadnej ławki ani krzesła, młoda kobieta usiadła na posadzce. Również Kala opadła na podłogę, stękając i znów reagując jak stara kobieta.

- No i? - zapytała. - Czy teraz rozumiesz, o czym mówiłam, kiedy spotkałyśmy się w wąwozie?

Gwynneth skinęła głową.

- Sądzę, że tak. Po prostu przez długi czas nie rozumiałam wszystkiego, co...

- Więcej nie potrzebujesz wiedzieć - Kala wpadła jej w słowo, a

potem dodała łagodniejszym tonem: - Nie jest dobrze zbyt dużo

wiedzieć o tych sprawach, moje dziecko. Zbyt rozległa wiedza tylko szkodzi, spójrz na mnie. Zestarzałam się i pochyliłam pod ciężarem tej wiedzy. W twoim przypadku wystarczy, jeśli będziesz wiedzieć, że ci ludzie skryci za maskami nie praktykują białej magii, lecz stoją po jej drugiej ciemnej stronie, która posługuje się zakazanymi runami.

- Rozumiem - odparła Gwynn i nie odważyła się zadawać kolejnych pytań.

- To pomieszczenie - podjęła Kala i wykonała okrężny gest ręką - jest ostatnim i jedynym miejscem w tym zamku, którego nie przenika jeszcze władza zła. Jest ono najbardziej oddalone od miejsca działania ciemnych sił, które znajduje się w podziemiach zamku.

- Kim są ci ludzie? - chciała wiedzieć Gwynneth.

- Członkami Bractwa Runów - odparła Kala, nie kryjąc pogardy w głosie. - Oddają cześć ponurym bóstwom i odprawiają okrutne rytuały. Nierzadko w trakcie ich ceremonii płynie ludzka krew, jeśli służy to ich celom. Twój brat okazał się na tyle głupi, by zadać się z nimi.

- Teraz jest jednym z nich. Widziałam, jak do tego doszło. Przestał już być sobą.

- Oczywiście - zagrzmiała Kala. - Ci przekłęci runiczni bracia zatruli myśli twojego brata. Teraz on należy do nich i od tej pory nie da już posłuchu twoim słowom. Już nic więcej nie możemy dla niego uczynić.

- Cóż to ma znaczyć?

- To, że on opuścił ścieżkę światła, moje dziecko. Przestał być

twoim bratem. Musisz to zrozumieć i pogodzić się z tym.

- Nie mogę tego uczynić - sprzeciwiła się krnąbrnie Gwynn. -

Duncan i ja mamy przecież wspólnego ojca. W naszych żyłach płynie ta sama krew. Darzę go miłością. Nigdy nie mogłabym się go wyprzeć.

- To zaiste godne pożałowania, moje dziecko, ponieważ on już wypędził ciebie ze swojego serca.

- To nie może być prawda.

- To prawda i ty o tym wiesz. Już od dłuższego czasu twój brat przestał cię słuchać, czyż nie? Przestał zwracać na ciebie uwagę, przestał prosić cię o radę i przestał ci okazywać sympatię. Mam rację?

Gwynn przytaknęła ze smutkiem.

- Skąd o tym wiesz?

- To wszystko jest dziełem druida. To on zatrzał słowami serce

Duncana i sprawił, iż stał się ślepy na wszystkie szlachetne rzeczy. Dla twojego brata znikąd nie ma już nadziei. Musisz to zrozumieć. Każda próba uratowania go skaze ciebie na zagładę, a druid zatriumfuje.

- Kim on jest?

- Kim on jest? - Kala zdobyła się na krzywy uśmiech, który odsłonił resztki zębów. - Jego imię jest zbyt długie, żebyś była w stanie je zapamiętać, moje dziecko. Druid żyje na tym świecie już bardzo długo, dłużej niż ja czy ktokolwiek inny. Niektórzy sądzą, że za każdym razem za srebrną maską kryje się ktoś inny. Ja jednak uważam, że zawsze jest to ta sama osoba. Ten sam zły duch, który od stuleci nieustannie sieje zamęt i chce zmienić bieg dziejów tej epoki.

- Tej epoki? - Gwynneth wzdrygnęła się i naciągnęła derkę na plecy. Jednak nie była w stanie ochronić się przed grozą.

- Bractwo Runów jest stare, moje dziecko, bardzo stare. Istniało już, kiedy nasz naród był jeszcze młody, wierzył w olbrzymów i bóstwa, w duchy, które żyły na ziemi, oraz błędne ogniki na bagnach i mokradłach. W międzyczasie nastąpiła nowa epoka, a wraz z nią nowy ład.

Wskazała na krzyż, który wisiał na szyi Gwynneth.

- W tym nowym porządku nie ma miejsca dla istot ze starego świata. Runy tracą znaczenie. To, co kiedyś istniało, ulegnie zagładzie.

- I to cię nie martwi?

Kala uśmiechnęła się słabo.

- Również ci, którzy byli biegli w sztuce jasnych runów, czują, że ich czas na ziemi dobiega kresu. Zresztą pozostało nas już tylko kilkoro, ale inaczej niż druid i bractwo pokładamy ufność w biegu życia i w prawie czasu. We wszechświecie nic nie zostaje utracone.

Dzieło rozpoczęte kiedyś przez nas, będzie kontynuowane przez innych.

- Przez innych? O kim mówisz?

- O tych, którzy swoje życie oddali nowemu porządkowi i którzy ustanowili nową wiarę.

- Masz na myśli klasztory, mnichów i zakonnice?

- Oni będą kontynuować dzieło światła - podjęła Kala z przekonaniem. - Ich nauka być może jest inna, a ich Bóg potężniejszy

niż nasze bóstwa starej wiary. Jednak oni szanują życie i czują równie silną odrazę przed ciemnością, tak jak myśmy czynili to dawniej.

Jednak ci, którzy chcą utrzymać starą wiarę, są ich wrogami. Paktują z demonicznymi siłami i rzucają mroczne klątwy, żeby za pomocą wszelkich środków nie dopuścić do własnego upadku. Wiedzą też, że ich czas minął, ale nie chcą się z tym pogodzić. Dlatego właśnie druid i jego współspiskowcy czynią wszystko, by obalić nowy porządek i przywrócić starą władzę. Do tego potrzebują chętnych pomocników, takich jak twój brat. Łatwowiernych patriotów, którzy wierzą, iż czynią dla Szkocji to, co najlepsze, dla jej honoru i jej wolności. Bractwu jednak chodzi tylko o zwiększanie własnej siły oraz własnych wpływów. Druid oraz jego zwolennicy chcą sięgnąć po władzę, moje dziecko. Twój brat stanowi jedynie środek do osiągnięcia celu. On nawet nie przeczuwa, w jak niecnym celu został wykorzystany.

- W takim razie muszę mu o tym powiedzieć. Musi się dowiedzieć o tym wszystkim, zanim będzie za późno.

- Już jest za późno, moje dziecko. On nie da ci ani posłuchu, ani też wiary twoim słowom. Duncan wdał się w konszachty z siłami zła.

Przeszedł na ciemną stronę, nosi jej znaki i jej szaty. Podjął decyzję, od której nie ma już odwrotu.

- W takim razie powinniśmy ostrzec Williama Wallace'a. Musi dowiedzieć się, co knuje bractwo. Jest jedynym, który dysponuje dostateczną władzą, by ich powstrzymać.

- Mądrze powiedziane, moje dziecko - pochwaliła ją starucha. - W

końcu wiemy, skąd nadchodzi zagrożenie i jakie są knowania naszych wrogów. Jednak Wallace znany jest nie tylko ze swej odwagi, ale także ze swego uporu. Czy naprawdę sądzisz, iż da wiarę młodej dziewczynie z klanu i starej runicznej wieszczce?

- W takim razie porozmawiam z ojcem Dougalem - zdecydowała Gwynneth. - Nasi wrogowie są także jego wrogami, a słowa wypowiedziane przez człowieka w habicie „Waleczne Serce” zapewne potraktuje z należytą powagą.

Kala uśmiechnęła się tajemniczo.

-Widzę - oznajmiła - że nie myliłam się co do ciebie. Ale musimy zachować ostrożność. Wśród twarzy kryjących się za maskami Bractwa Runów są ludzie wpływowi, rycerze oraz wodzowie klanów. Nie możemy nikomu zaufać i nie powinniśmy...

Nagle przerwała i szeroko otwartymi oczami spojrzała na drzwi sali. Gwynn odwróciła się, wstrzymała oddech i również zauważyła ciemny cień, który widoczny był w wąskiej szczelinie między drzwiami a posadzką.

Ktoś stał za drzwiami...

Mary Egton wzdrygnęła się, gdy nagle ktoś zastukał w drzwi pomieszczenia na szczycie wieży.

-

Mary? - zawołał energicznie jakiś głos. - Dziecko, jesteś tam?

Mary raptownie powróciła do rzeczywistości. Głos należał do Eleonory Ruthven.

Znów rozległo się pukanie. Tym razem bardziej natarczywe. I znów rozległ się skrzekliwy, władczy głos Eleonorę.

- Porozmawiaj ze mną! Jakiż sens ma twoje skrywanie się tutaj niczym upartej i krnąbrnej dziewczki? Czy naprawdę sądzisz, że nikt cię tu nie znajdzie?

Mary nawet nie zauważyła, że już nastał dzień. Słońce wzeszło i posyłało mdławe promienie do sali na szczycie wieży. Po raz pierwszy widziała w świetle dnia miejsce wybranego przez siebie azylu.

Pergamin z zapiskami Gwynneth z Ruthven wciąż leżał na jej kolanach.

- Jeśli nie otworzysz, przyślę tutaj kowala, aby wyłamał drzwi - oświadczyła Eleonorę. - Czy naprawdę sądzisz, że działasz coś tymi dziecinnymi wybiegami?

Nieskrywana groźba pobrzmiewała w jej słowach. Delikatnym ciałem Mary znów targnęły dreszcze, lecz nie z zimna, tylko ze strachu. Groza minionej nocy jeszcze tkwiła w jej członkach. Przekonała się, do czego był zdolny jej przyszły małżonek, i gdyby to od niej zależało, nie opuściłaby już nigdy sali na szczycie wieży, która przed pięciuset laty również posłużyła za miejsce schronienia.

- Chcesz wystawić nas na pośmiewisko? - zapytała ostro Eleonorę.

- Chcesz nas poniżyć w oczach całej służby?

Mary wciąż nie odpowiadała. Strach ścisnął jej krtań. Nawet gdyby chciała odpowiedzieć, nie byłaby w stanie.

- Jak sobie życzysz. W takim razie przywołam tutaj kowala i każę



mu wyważyć drzwi. Ale nie spodziewaj się wtedy żadnego współczucia ani pobłażania.

Mary wzdrygała się przy każdym słowie niczym pod razami batoga. Jej wzrok padł na zapiski i zrozumiała, że Eleonorę w żadnym wypadku nie może odnaleźć pergaminowych zwojów. Ta okropna kobieta nie powstrzymała się przed spalaniem ksiązek Mary. Zapewne zabrałaby jej również dzienniki Gwynneth.

Szybkimi ruchami Mary zrolowała pergamin, włożyła go do skórzanego kołczanu i wsunęła z powrotem do skrytki w murze.

Następnie zamknęła otwór poluzowanym kamieniem tak, że prawie wcale się nie wyróżniał. Wtedy Mary znów zdjęła trwoga i pospieszyła do drzwi. Powoli odsunęła rygiel, otworzyła odrobinę drzwi i wyjrzała z mieszkanką strachu i podejrzliwości.

Eleonorę, która stała już na schodach, odwróciła się.

- Ach - odezwała się, unosząc wyniośle brwi - jednak postanowiłaś kierować się rozsądkiem.

- Jest pewna przyczyna, dla której schroniłam się tutaj - odparła Mary przez szczelinę.

Nie chciała otwierać szerzej drzwi. Czuła się bezradna oraz sponiewierana i wstydziła się tego, zaszło.

- Przyczyna? Jakaż przyczyna może usprawiedliwiać tego rodzaju niedojrzałe i dziecinne zachowanie? Wiesz, co opowiada o tobie służba? Śmieją się za twoimi plecami i mówią, że z twoją głową nie wszystko jest w porządku.

- Jest mi to obojętne - odparła krnąbrnie Mary.

Eleonorę nie wiedziała zatem o nocnej eskapadzie jej syna. Zapewne nie miało najmniejszego sensu opowiadać jej o tym. Tak czy owak pani zamku Rutlwen nie dałaby jej wiary, a sprawy przybrałyby jeszcze gorszy obrót.

- Być może tobie jest wszystko jedno, ale mnie nie jest obojętne, co myśli o nas służba. Od wielu stuleci to zamczysko stanowi siedzibę naszego rodu i nigdy nie zdarzyło się, by ktoś tak bardzo skalał nazwisko naszej rodziny, nie ponosząc za to srogiej kary. Możesz mówić o szczęściu, że mój syn jest tak dobrotliwy. Wstawił się za tobą i wyba-

wił cię od kary. Okaż mu za to wdzięczność. Gdyby chodziło o mnie, twój upór i twoją krnąbrność złamałabym innymi sposobami.

- Tak - odparła bezdźwięcznym głosem Mary. - Malcolm jest rzeczywiście prawdziwym aniołem, prawda?

- Widzę, że w twoim przypadku każde słowo wypowiedziane w dobrej intencji idzie na marne. Najwyraźniej więc myliłam się co do ciebie. Być może twoja matka przesadzała również, kiedy wychwalała twoje przymioty. W każdym razie Malcolm i ja doszliśmy do przekonania, iż najlepiej będzie, jeśli twoje życie jak najszybciej zostanie skierowane na właściwie tory, a twoja buntownicza natura zostanie poskromiona.

- Cóż, pani, zamierzasz? - zapytała Mary, przeczuwając coś złego.

- Przyjęliśmy cię w progi naszego domostwa z przyjaźnią i miłością. Ty wszelako bezczelnie to odrzuciłaś. Mimo twojej wołającej

o pomstę do nieba niewdzięczności Malcolm wyraził jednak zgodę na poślubienie cię, i to już w najbliższych dniach.

- Co? - Mary sądziła, że się przesłyszała.

- Mój syn i ja jesteśmy zdania, że zmienisz swoje zachowanie dopiero wtedy, kiedy staniesz się jego żoną i będziesz wypełniała obowiązki, które niesie tego rodzaju związek. Jako młoda pani Ruthven nauczysz się zachowywać poprawnie i okazywać posłuszeństwo, jak się od ciebie oczekuje.

-Ale...

- Możesz sprzeciwiać się temu tak długo i tak często, jak ci się po doba, lecz na nic to się nie zda. Termin ślubu został już ustalony. Będzie to skromna uroczystość bez specjalnych ceremonii. W końcu wszyscy chcemy uniknąć kompromitacji z twojego powodu. Lecz potem staniesz się Mary Ruthven i tym samym żoną mojego syna. A jeśli wtedy wciąż jeszcze będziesz łamać reguły i dobre obyczaje tego domu, zyskasz sposobność poznania mnie bliżej. Staniesz się wierną i posłuszną małżonką mojego syna, jak się tego od ciebie oczekuje. Będziesz mu służyć i jako niewiasta będziesz mu posłuszna. Wydasz również na świat jego potomka, który będzie kontynuować tradycje rodu Ruthvenów.

-1 przy tym nikt mnie nie będzie o nic pytał? - zapytała cicho Mary.

- A niby po co? Jesteś młodą kobietą wysokiego rodu. Takie jest twoje przeznaczenie. Przez całe życie się do tego przygotowywałaś. Znasz swoje obowiązki, więc je teraz wypełniaj.

Po tych słowach Eleonorę odwróciła się i ruszyła schodami w dół.

Po chwili zniknęła za wąskim zakrętem. Mary słyszała, jak jej kroki pobrzmiwają na stopniach schodów, potem niczym w transie zamknęła drzwi i zasunęła rygiel, jakby były w stanie oddzielić ją od ponurego losu, jaki ją czekał.

Jej serce ogarnęła rozpacz. Oparta plecami o drzwi osunęła się i rozplakała bez żadnych hamulców.

Przez długi próbowała być opanowana i powstrzymywała łzy.

Teraz jednak nie zdołała ich powstrzymać i dała niepohamowany upust strachowi, przygnębieniu oraz bezsilnej złości.

Jak Eleonorę ją nazwała? Młodą kobietą wysokiego rodu?

Dlaczegoż zatem traktowano ją jak niewolnicę? Dlaczego poniżano ją przy każdej nadarzającej się okazji, dlaczego usiłowano złamać jej wolę, dlaczego nocą musiała uciekać ciemnymi korytarzami tego zimnego i mrocznego zamczyska?

Gdy Mary opuszczała Egton, miała złe przecucia co do swej przyszłości, jednak wydarzenia w trakcie podróży, cudowny ratunek na moście oraz nieoczekiwane spotkanie z Walterem Scottem przywróciły jej nadzieję i przez jakiś czas rzeczywiście wierzyła, że wszystko jeszcze się ułoży.

Jakże była głupia!

Przy tym dysponowała wszystkimi wskazówkami, jakie były potrzebne, by mieć jasność, iż w Ruthven nigdy, ale to przenigdy nie może być szczęśliwa.

Najpierw były to drobne rzeczy, uwagi oraz napomnienia, które tak na dobrą sprawę nie sprawiały jej bólu. Potem zaczęto ją strofować z uwagi na jej poglądy dotyczące polityki oraz ze względu na jej zachowanie w stosunku do służby. Odesłano Kitty, jej wierną pokojową i przyjaciółkę, odebrano książki, które tak bardzo kochała. I jakby tego było mało, przyszły mąż poprzedniej nocy usiłował posiąść ją siłą.

Gdyby Kitty, osoba o tak niezłomie pogodnym uosobieniu, wciąż tutaj była, zapewne nawet ona musiałby przyznać, że nie mogło być już gorzej.

Mary była więźniem. Zamkniętym w warownym zamku, pozbawionym kontaktu ze światem zewnętrznym i z tymi nielicznymi rzeczami, które sprawiały jej radość. Jej przyszły małżonek, którego nie kochała ani nie darzyła szacunkiem, był obrzydliwym potworem.

Wydawało się, że jedyną rzeczą, do której dążyła jego matka, było poskromienie jej wolności i złamanie woli. Oboje myśleli tylko o tym, by stać na straży sławy i tradycji domu Ruthven, a w głowie Mary zaświtało przekonanie, że jej osoba była całkowicie obojętna zarówno

Malcolmowi, jak i jego matce. Stanowiła wyłącznie środek służący osiągnięciu celu, zło konieczne, które należało nabyć drogą kupna i które miało wydać na świat potomka, który miał kontynuować tradycje rodu.

W świecie, gdzie rządziły żądza pieniądza i rozgrywki o władzę, nie było miejsca na marzenia i nadzieje. Mary pojęła, że jej marzenia i nadzieje nie zdołają tu przetrwać. Znow w jej oczach stanęły łzy i

znów spłynęły po delikatnych policzkach. Oddychała z trudem,

ponieważ rozpacz ścisnęła jej piersi.

Siedziała tak w kucki chwilę, która wydawała się trwać wieczność,

bezzadna i zrozpaczona. Do chwili, gdy przypomniała sobie o zapiskach

Gwynneth Ruthven. Czyż tamtej młodej kobiety nie spotkał podobny

los? Czy i ona również nie była więźniem, obcym wśród ludzi, którzy

powinni być jej bliscy?

Ta myśl dodała Mary odwagi. Energicznym ruchem starła łzy z

policzków, wyciągnęła poluzowany kamień z muru i następnie wyjęła

futurał z zapisanymi zwojami pergaminu.

A ponieważ była to jedyna rzecz, która mogła odciągnąć jej uwagę

od beznadziejnego położenia, zaczęła ponownie czytać legat Gwynneth

Ruthven. Kobiety, która żyła przed ponad pięciuset laty.

Tutaj, w tym miejscu...

Opactwo Dunfermline zostało założone około roku 1070. Na polecenie królowej Małgorzaty benedyktyni założyli tu przeorstwo, które w 1128 roku zyskało status opactwa i które aż do końca średniowiecza stanowiło ośrodek krzewienia wiary, nauki oraz kultury.

Zachodnia część ogromnego kościoła zbudowanego z jasnego piaskowca zachowała się aż do czasów sir Waltera, natomiast skrzydło wschodnie zostało zburzone w czasie średniowiecznej wojennej zawieruchy. Dopiero przed kilkoma laty rozpoczęto jego odbudowę. Architekt William Burns, którego sir Walter znał osobiście, otrzymał zadanie odbudowania starego kościoła według dawnych planów. Była to praca, która w sumie zajęła trzy lata i została ukończona zaledwie przez paroma miesiącami. Podczas prac budowlanych w dawno zasypanej podziemnej krypcie odnaleziono grób króla Szkocji, Roberta I, który przeszedł do historii jako Robert Bruce.

- To naprawdę robi wrażenie - odezwał się Quentin, spoglądając na odbudowaną kościelną wieżę.

Budowlę obronną wzniesiono na planie prostokąta i zwieńczono na szczycie kamienną balustradą. Na ścianie wyryty był w kamieniu napis KRÓL ROBERT BRUCE, żeby z daleka można było przeczytać, czyje doczesne szczątki spoczywają w opactwie Dunfermline.

- Czyż nie? - przytknął sir Walter. - W miejscach takich jak to historia wciąż żyje i być może też zechce ona wyjawić nam tę czy inną tajemnicę.

Weszli do kościoła nie przez wejście od frontu, lecz furką w nawie bocznej, której mury wspierane były potężnymi skarpami. Od czasu renowacji kościół prezentował się znów zwiedzającym w pełnej krasie.

Quentin był pod ogromnym wrażeniem biegłości dawnych budowlanych mistrzów i rzemieślników. Wnętrze sakralnej budowli, które stanowiło serce świętego miejsca, wzniesione zostało przez mistrzów z Durham. Było jedyne w swoim rodzaju, otoczone arkadami o sześciu łukach, podparte gładkimi cylindrycznymi kolumnami.

Quentin z chęcią zatrzymał się w kościelnym wnętrzu. W jego oczach miejsce to emanowało godnością i spokojem, które gdzie indziej trudno było znaleźć, jak gdyby obecność wyższej siły troszczyła się o to, by w tych murach nie wydarzyło się nic złego. W Dunfermline to wrażenie było szczególnie silne. Być może dlatego, że Małgorzata, fundatorka klasztoru, została wyniesiona na ołtarze, ale być może także ze względu na znaczenie, jakie to miejsce miało dla każdego Szkota.

- Tam, po drugiej stronie - wyszeptał sir Walter i pociągnął Quentina za rękaw surduta.

Z pokornie pochylonymi głowami przeszli w poprzek nawy głównej i ruszyli ku wąskim schodom prowadzącym do podziemnej krypty. Sir Walter kroczył z przodu. Po chwili zeszli do wąskiego podłużnego pomieszczenia, na którego frontowej ścianie wzniesiony był mały ołtarz. Poświęcony był świętemu Andrzejowi, patronowi szkockiego



narodu. Przed nim stał sarkofag króla otoczony dziesiątkami płonących świec.

Był to grobowiec wykonany z drewna, który mierzył dobry metr wysokości oraz szerokości i był dwa razy dłuższy. Mimo wieku sarkofag prezentował się dobrze. Wyrzeźbione w drewnie sceny i reliefy, którymi go ozdobiono, wciąż były łatwe do rozpoznania.

Na płycie nagrobnej znajdował się relief przedstawiający króla w pełnej zbroi z mieczem oraz tarczą, na której widniał herb z lwem. W migoczącym świetle świec można było odnieść wrażenie, że Robert Bruce tylko spał i w każdej chwili mógł się przebudzić.

- A zatem tutaj spoczywa król - odezwał się Quentin głosem drżącym od czci i szacunku. - Od ponad pół tysiąca lat.

- Początkowo nie było pewności, czy rzeczywiście odnaleziono grób króla Roberta. Ale potem stwierdzono, że klatka piersiowa zmarłego została otwarta i przypomniano sobie wtedy o ustnym przekazie, według którego ostatnim życzeniem władcy było, aby jego serce dotarło do Ziemi Świętej. Źródła historyczne potwierdzają, że króla trapiło poczucie winy, którego nie był w stanie stłumić.

Pierwotnie sam zamierzał wyruszyć do Ziemi Świętej. Gdy jednak stało się oczywiste, że stan zdrowia nie pozwoli mu na to, poprosił swych wiernych drużów, by spełnili jego ostatnie życzenie, gdyż dopiero wtedy jego dusza uwolni się od winy i zazna spokoju.

- Cóż to była za wina, wuju?

- Na ten temat źródła milczą, ale musiało to być rzeczywiście coś

ważkiego, ponieważ wieść gminna niesie, że król borykał się z tym aż do śmierci.

Wygląd Quentina zdradzał, jak silne wrażenie zrobiły na nim słowa sir Waltera. Jednakże - a także dlatego, że nie chciał przebywać w krypcie dłużej niż to konieczne, wyciągnął kartkę, którą znaleźli u profesora Gainswicka, i porównał rysunek uczonego z reliefem na nagrobnej płycie.

- Wizerunki są identyczne - stwierdził. - Z jednym wyjątkiem.
- Na płycie nagrobnej sarkofagu brakuje runicznego znaku
- oświadczył sir Walter, rzucając tylko krótkie spojrzenie na rysunek.
- Tak właśnie sobie pomyślałem, gdyż w przeciwnym razie już wcześniej rzuciłoby mi się to w oczy. Z drugiej strony...

Postąpił krok do przodu i pochylił się nad płytą nagrobną, chcąc przyrzeć się jej uważnie.

- Świeca, szybko - szepnął do Quentina, który pospieszył wykonać jego polecenie.

W blasku płomyka dostrzegł, co przyciągnęło uwagę wuja. W miejscu gdzie znajdował się znak runiczny, na płycie nagrobnej dębowe drewno było zeszlifowane.

- Czy myślisz to, co myślę ja, młodzieńcze? - zapytał sir Walter.
- Chyba tak, wuju. Ktoś usunął ten symbol. Nasuwa się tylko pytanie, z jakiego powodu.
- By odciągnąć uwagę od siebie - orzekł z przekonaniem sir Walter.
- Sądzisz więc, iż to członkowie Bractwa Runów mogli

własnoręcznie usunąć ten znak?

- A ktoś by inny? Czynili przecież rzeczy o wiele gorsze, by zacierać ślady.

- Cóż, być może był ktoś, kto chciał wymazać pamięć o członkach Bractwa Runów.

- Tę ewentualność również należy rozważyć - przyznał sir Walter.

- Niestety ani jedna, ani druga opcja nie wyjaśnia, jaki związek istnieje między królem Robertem a członkami bractwa. Co jest ogniwem łączącym te osoby? Pożar w bibliotece w Kelso, napad na Abbotsford, mord na profesorze Gainswicu, zbliżająca się wizyta króla, a teraz jeszcze grób Roberta Bruce'a; jak to wszystko jest ze sobą powiązane. Muszę przyznać, mój chłopcze, że zagadka ta przekracza możliwości mojego skromnego rozumu.

- Ale przecież musi istnieć odpowiedź - odezwał się z przekonaniem Quentin. - Profesor Gainswick zdaje się ją znalazł i dlatego musiał umrzeć.

- Jest to następna zagadka. Skąd profesor wiedział, że kiedyś na mieczu widniał znak runiczny? O ile wiem, nie istnieją żadne współczesne Robertowi ryciny przedstawiające sarkofag. Wydaje się też, że symbol ten został usunięty już bardzo dawno temu. Skąd więc profesor Gainswick zdobył wiedzę na ten temat?

- Być może on tylko wyciągał wnioski - wysunął przypuszczenie Quentin.

W migoczącym świetle świec zaczął oglądać pozostałe ściany

sarkofagu, które podobnie jak płyta nagrobna były ozdobnie płaskorzeźbami przedstawiającymi różnorodne sceny. Chociaż ząb czasu nagryzł je już mocno, a drewno w niektórych miejscach zaczynało butwieć, wizerunki były jeszcze dobrze widoczne.

Przedstawiały one poszczególne etapy życia króla.

Po prawej stronie widniała scena bitwy pod Bannockburn, w której Robert odniósł legendarne zwycięstwo nad Anglikami. Na przeciwległej stronie przedstawione były wybór przez akłamację oraz koronacja z udziałem szkockiej szlachty w pałacu Scone. Natomiast na przedniej ścianie znajdowała się scena przedstawiająca uznanie jego królewskiej władzy przez papieskich legatów, a na tylnej części przedstawiony był rycerz w drodze do zamku o dosyć osobliwym wyglądzie, z wysokimi sklepieniami dachami. Z innych rycin Quentin wiedział, że wielu artystów średniowiecza w ten właśnie sposób przedstawiło Ziemię Świętą. Rycerz miał przy sobie szkatułę, na której widniały słowa *COR REGIS*.

- Serce króla - przetłumaczył Quentin z nabożną czcią. - A zatem to prawda, co przekazuje ustna tradycja. Serce króla Roberta zostało przewiezione przez jego wiernych poddanych do Ziemi Świętej.

- Bez względu na powód - dodał sir Walter z kwaśną miną.

Quentin zdążył poznać swego wuja na tyle dobrze, by umieć interpretować w dostatecznym stopniu rysy jego twarzy i wiedzieć, kiedy ten podążał tokiem myśli, które jemu samemu wcale się nie podobały.

- Wuju - zapytał dlatego ostrożnie. - Czy uważasz za możliwe, że ta zagadka, na której tropie jesteśmy, ma coś wspólnego ze ślubami króla? Że brzemień winy, o której wspominałeś, jest związane ze znakiem miecza albo nawet z tajemnym bractwem?

- Muszę przyznać, że myślałem wcześniej o tej ewentualności, ale już sama ta myśl wydaje mi się bluźnierstwem. Pytanie brzmi, jaki związek istnieje między tym wszystkim...

-Wuju! -zawołał głośno Quentin, który nagle wypatrzył coś w scenie przedstawiającej bitwę pod Bannockburn.

Sir Walter natychmiast stanął przy nim, a Quentin z drżącymi z ekscytacji dłońmi wskazywał na miejsce w reliefie, gdzie przedstawione były szeregi angielskich łuczników. Pośrodku, pod małutkimi, wycie-

tymi w drewnie postaciami, w sposób, który na pierwszy rzut oka **nie** pozwalał tego wypatrzyć, znajdował się jakiś osobliwy znak. Znak runiczny.

- Boże wszechmogący - wyrwało się sir Walterowi, który spoj rzał na siostrzeńca wzrokiem pełnym uznania. - Z całym szacunkiem, chłopcze, masz naprawdę sokole oko. Ten znak został wkomponowany w scenę w sposób tak nierzucający się w oczy, że niemal nie można go wypatrzyć.

-To osobliwe - oznajmił Quentin, którego ta nadmierna pochwała przyprawiła o rumieniec. - Na pierwszy rzut oka tego znaku nie da się dostrzec. Jeśli jednak już się go dostrzeże, nie można patrzeć na tę

scenę i nie widzieć go.

- To sekretne przesłanie - wyszeptał sir Walter - sprytnie ukryte przed oczyma wszystkich.

- Cóż może oznaczać ten symbol?

- Nie jestem zbyt biegły w piśmie runicznym - wyznał sir Walter i podał siostrzeńcowi arkusz papieru oraz węgiel do rysowania. -

Wykonaj kopię tego symbolu, a potem będziemy kontynuować poszukiwania w domu.

Quentin przytaknął, położył arkusz papieru na postumencie i zaczął rysować węglem. Po chwili ukazał się zarys runicznego znaku.

Później uskrzydłony swoim odkryciem przystąpił do szukania ukrytych symboli także na innych stronach sarkofagu - i znalazł ich całą gromadę.

Co chwilę ukryte symbole wyłaniały się z chaosu przedstawionych scen, zupełnie tak jakby przed paroma chwilami wcale ich nie było. W świetle świec sir Walter i Quentin dokonywali dokładnych oględzin grobowca. Im dłużej przypatrywali się poszczególnym scenom, tym więcej symboli wychwytywali z natłoku rzeźbionych scen. Po około dwóch godzinach zdołali wypatrzeć dwanaście odmiennych symboli, które Quentin skrupulatnie odrysował.

- Sądzę, że to już wszystkie - wyraził przekonanie sir Walter.

- Dlaczego tak sądzisz, wuju?

- Ponieważ w sumie mamy trzynaście znaków, a liczba ta w piśmie runicznym ma szczególne znaczenie.

- Trzyście? Znaleźliśmy dwanaście runów.

- Zapominasz o znaku miecza na płycie nagrobnej. Być może profesor Gainswick rzeczywiście wywnioskował jego istnienie na podstawie pozostałych dwunastu runów. Najwyraźniej on również odkrył te symbole.

- Oczywiście - przytknął Quentin. - Dlatego podał jako wskazówkę Abbotfsord. Profesor chciał tym samym powiedzieć, że znak na kasetonie nie stanowi godła rzemieślnika, lecz jest znakiem wyrytym przez członków bractwa.

- Być może. Oznaczałoby to jednakowoż, że bractwo musiało wówczas dysponować ogromnymi wpływami, skoro jego wysłannicy znaleźli się na dworze króla. Przypuszczenia jednak nie zaprowadzą nas ani o krok dalej. Wracamy więc do Edynburga i spróbujemy przetłumaczyć te symbole. Jeśli rzeczywiście ukryte jest w tym sekretne przesłanie, uczynimy wszystko, żeby je rozszyfrować. Być może już niedługo ta tajemnica przestanie być dla nas sekretem.

-Tego się obawiam - wymamrotał Quentin, lecz tak cicho, że wuj nie zdołał tego usłyszeć.

- Jesteś, pani, pewna, iż stało się tak rzeczywiście, na jawie? Jesteś pewna, że nie był to koszmar, który cię nawiedził?

- Tak było naprawdę - zapewniła Gwynneth Ruthven, chociaż samo wspomnienie wydarzeń, które miały miejsce w ponurych podziemiach zamku, przyprawiały ją dreszcze. - Tak realnie jak ty i ja, ojczy.

Ojciec Dougal, młody mnich premonstratens, którego zakon wysłał do Ruthven, by ofiarował duchową posługę panu tego zamku i jego poddanym, spojrział na Gwynneth badawczym wzrokiem. Widać było, że relacja młodej niewiasty wprawiła go w prawdziwy szok. Duncan Ruthven miał stać się członkiem pogańskiego bractwa? Na dodatek takiego, które za cel postawiło sobie przepędzenie chrześcijańskiej religii i ponowne wyniesienie na ołtarze pogańskich bóstw?

Ojciec Dougal nie był głupcem. Wiedział dobrze, że wprowadzenie chrześcijańskiej wiary wcale jeszcze nie oznaczało zwycięstwa nad pogaństwem. Chociaż większość przywódców klanów wraz z rodzinami nawróciła się, w wielu okolicach wciąż jeszcze utrzymywała się nieustępliwa, zabobonna wiara w duchy natury, w czarną i białą magię, a także w runiczne znaki, którym przypisywano tajemnicze znaczenie.

Także Dougal sam kiedyś w nie wierzył i chociaż w międzyczasie odnalazł prawdziwą wiarę, jakaś część jego duszy wciąż jeszcze odczuwała lęk przed władzą runicznych symboli. Druidzi, tajne sekty



oraz magiczne znaki - wszystkie te rzeczy budziły w nim trwogę. I jak się teraz dowiedział, te złe siły działały w jego najbliższym otoczeniu.

-Jeśli masz pani rację, lady Gwynneth, to...

-Jakiż miałabym powód, by ojca okłamywać? Jestem siostrą księcia. Czy ojciec nie jest w stanie dać wiary moim słowom?

- Uczyniłbym to chętnie - zapewnił mnich i opuścił w zażenowaniu wzrok - ale chcę być z tobą, pani, zupełnie szczery.

Widziano panią w towarzystwie pewnej osoby, który to fakt przynajmniej podaje w wątpliwość pani słowa. Nie chcę przez to powiedzieć, że pani nie wierzę, ale fakt, iż sama, pani, zajmujesz się tymi sprawami, o które oskarżasz, pani, Duncana Ruthvena, wcale nie umniejsza moich wątpliwości.

- O czym ojciec mówi? - zapytała Gwynn.

I nagle zrozumiała - stara Kala. Zapewne widziano je razem i najwyraźniej rozpowiada się plotki o tym, kogo spotkała poza murami zamku.

- Wiem, co mówi się o tamtej kobiecie, ojcie - wyjaśniła w związku z tym Gwynn. - Ale mogę ojca zapewnić, że nie ma w tym ani krzty prawdy. Ona również jest biegła w tajemnicach runów i wie o rzeczach, o których wiedza dawno zaginęła. Lecz ona wcale nie stoi po stronie bractwa i również nie zależy jej na tym, by ciemne czasy znów powróciły. Ona zdaje sobie sprawę z tego, że jej czas dobiegł końca, i uważa ciebie, ojcie, oraz twoich braci za tych, którzy będą kontynuowali tradycję białych magów.

- Białych magów? Jak mam to rozumieć?

- Kala utrzymuje, że kiedyś istniały dwie grupy runicznych

wieszczów. Tacy, którzy zajmowali się jasnymi, świetlanymi runami i

posługiwali się nimi dla dobra ludzi. Ale istnieli też inni, którzy źle

wykorzystywali moc runów. Do zdobycia władzy i posłuchu oraz do

obalenia

istniejącego porządku. Jak ów tajemniczy druid i jego bractwo, którzy

rzucili urok na mojego brata.

- Czy usiłowałaś, pani, porozmawiać o tym z twoim bratem?

- Nie. Muszę przyznać, że w ostatnich tygodniach i miesiącach

coraz bardziej oddalał się ode mnie. Obawiam się, iż zdradziłby mnie

współspiskowcom i w ten sposób nic nie zostałoby osiągnięte.

- A zatem mamy do czynienia ze spiskiem - podsumował niemal

bez tchu Dougal, a Gwynneth dostrzegła, jak pod grubym szarym

habitem z wełny jego ciało drżało z niepokoju. - Ze spiskiem, którego

celem jest pozbawienie władzy Williama Wallace'a i wydanie go

wrogom.

- I na tym Bractwo Runów nie zamierza poprzestać. W następnej

kolejności obłożony klątwą miecz dostanie się w ręce młodego

hrabiego Bruce'a, który na zgromadzeniu szlachty zostanie wybrany na

przywódcę. W ten sposób zyska możliwość odniesienia zwycięstwa

nad wrogami i zdobycia dla siebie korony. Lecz Robert zawsze będzie

pod wpływem członków Bractwa Runów. I będzie czynił to, czego oni

od niego zażądają. Słyszałam też, jak mówili, że chcą zmieść krzyże z

powierzchni tej ziemi.

Ojciec Dougal zrobił się blady jak kreda. Jego zapadnięte rysy, ostrzyżona na łyso głowa i rzadka blond broda oraz ciemne worki pod oczyma sprawiły, że nie wyglądał na zdrowego. Teraz jednak sprawiał wrażenie, jakby postarzał się o całe lata. Opuścił głowę, potrząsając nią z niedowierzaniem, i stał przed Gwynneth Ruthven, usiłując pojąć w pełni znaczenie jej słów.

- Czy teraz wierzysz mi, ojcze? - zapytała młoda kobieta niemal z trwogą w głosie.

Ojciec Dougal był jedynym, do kogo mogła się zwrócić w tej potrzebie. Jeśli on nie da wiary jej słowom, nie mówiąc już o opowieści o zdradzie i wydaniu na pastwę jej brata, to wszystko będzie stracone.

- Wierzę ci, pani - zapewnił ku jej uldze. - W rzeczy samej jednak wcale nie jestem pewien, czy zaufałaś, pani, właściwemu człowiekowi, lady Gwynneth. Jestem tylko prostym zakonnikiem. Jak więc mógłbym ci pomóc?

- Przekazując Williamowi Wallace'owi ostrzeżenie. Jak słyszałam, ukrywa się obecnie wśród mnichów, gdzie leczy odniesione rany. Zatem zapewne możliwe jest, żebyś przekazał mu wiadomość za pośrednictwem twoich braci zakonnych.

- Zaiste, to prawda.

- W takim razie mogę na ciebie liczyć, ojcze?

Ojciec Dougal spojrział jej głęboko w oczy i przez krótką chwilę Gwynneth odniosła wrażenie, jakby nie spoglądał na nią oczyma mnicha,

lecz młodego mężczyzny. W końcu przytaknął, a na jego bladej i wymizerowanej twarzy pojawił się nieśmiały uśmiech.

- Pomogę ci, lady Gwynneth - złożył obietnicę. - W czasie, który spędziłem tu, na zamku Ruthven, zawsze byłaś, pani, wierną córką Kościoła. Zatem głupie plotki, które rozprowadają wokół, zignoruję.

Natychmiast wyruszam w drogę do moich współbraci. Sir William musi dowiedzieć się, jakie niebezpieczeństwo zawisło nad nim.

- Dziękuję ci, ojciec Dougal - zapewniła Gwynn szeptem. - I proszę, miej się na baczności.

Po tych słowach opuściła konfesjonał i kaplicę zamku Ruthven.

Szybkim krokiem wróciła do swojej komnaty. Nieustannie przy tym oglądała się za siebie, chcąc upewnić się, czy nikt za nią nie podąża.

Chociaż nie dostrzegła nikogo, jej rozmowie z ojcem Dougalem przysłuchiwał się świadek.

Odkąd Duncan Ruthven znajdował się pod wpływem Bractwa Runów, zamek Ruthven stał się miejscem, gdzie zapanowała nieufność, kłamstwa oraz intrygi. Szpiegów, którzy służyli druidowi i jego tajnej sekcji, czaili się w każdym cieniu i każdej niszy, a ściany miały oczy i uszy; jeden z tych szpiegów podsłuchiwał rozmowę Gwynneth Ruthven z ojcem Dougalem.

Nie upłynęło wiele czasu, gdy Gwynneth doczekała się wizyty w swojej komnacie. Kiedy drzwi się otworzyły i zobaczyła swego brata, ucieszyła się, ponieważ już od bardzo długiego czasu nie rozmawiali ze sobą. Potem jednak dostrzegła mężczyzn, którzy mu towarzyszyli.

Dwóch uzbrojonych strażników oraz człowieka, którego wieku nie dało się oszacować. Jego włosy były siwe, długie i opadały na ramiona.

Twarz pokrywała niesamowicie splątana i bujna broda.

Spojrzenie jego oczu, które spozierały spod czarnych brwi, było zimne i złowieszcze. Zakrzywiony nos był ostry niczym nóż, usta zaś tworzyły jedynie wąską kreskę. Gwynn nie przypominała sobie, by tego mężczyznę widziała wcześniej - do chwili, gdy pochylił się, by wraz z Duncanem wejść do jej komnaty.

Nierówny, nieco powłóczący krok obcego natychmiast wydał się Gwynneth znajomy. Był to druid. Przywódca bractwa. Dokładała wszelkich starań, by ukryć konsternację. Zmuszając się do zachowania spokoju, czekała, aż Duncan i jego towarzysze wejdą do środka.

Powoli drzwi zamknęły się za nimi, a obaj strażnicy pozostali na zewnątrz.

- Jak ci się wiedzie, siostrze? - zapytał Duncan tonem, w którym czaiło się coś złowróżbnego, a Gwynn doznała przecucia, że przebieg tej rozmowy nie będzie dobry.

- A jak ma mi się wieść? - zapytała, podczas gdy towarzysz Duncan bezceremonialnie wbił w nią wzrok.

Obecność tego człowieka wzbudzała w niej trwogę na tyle silną, że Gwynn mimowolnie cofnęła się.

- Żywię jednak nadzieję, że wiedzie ci się dobrze?

Gwynn знаła Duncana dostatecznie długo, by wiedzieć, że wcale nie leżało mu na sercu jej dobro.

- Czegóż chcesz, Duncanie? - zapytała bez ogródek. - I kim jest ten człowiek?

- Oczywiście - przytaknął Duncan. - Uszanujmy dobre obyczaje.

To jest, kochana siostró, graf Millencourt.

- Graf? - zapytała zdziwionym głosem Gwynn. - Z jakiegoż klanu?

- Z żadnego klanu, moja droga - odparł Millencourt osobiście, a Gwynneth rozpoznała głos, który nocą wypowiadał złowieszcze słowa zaprzysiężenia i który oznajmił plany spiskowców. - Nie pochodzę ze Szkocji, lecz z Francji. Wielkiej krainy, która leży po drugiej stronie morza.

- Dobrze wiem, gdzie leży Francja - odparła Gwynn, nie kryjąc wcale niechęci. - Nie wiedziałam tylko, że mój brat ma tam przyjaciół.

- Graf jest kimś więcej, siostró - oświecił ją szorstko Duncan. - Jest nie tylko przyjacielem, lecz także wiernym sojusznikiem, który dopomoże mi pokonać wrogów rodu Ruthven. Nie jest też nikim obcym w naszym kraju, ponieważ posiada celtyckie korzenie. Dokładnie tak jak my.

- Od tamtej pory minęło sporo czasu - podjął rozmowę graf, a na jego wąskich ustach pojawił się fałszywy uśmiech. - Wiele zmieniło się w tym kraju. Ale być może pewnego dnia wszystko znowu będzie tak, jak bywało drzewiej.

- Żywię nadzieję, że tak jednak nie będzie - odparła Gwynn w nagłym przypływie uporów.

Sposób zachowania grafa zupełnie jej się nie podobał; przesycony był fałszem i arogancją.

- Powinnaś okazać grafowi nieco więcej uprzejmości, siostrze - na pomnił ją Duncan. - W końcu jest gościem w naszym domu.

- W pierwszym rzędzie jest twoim gościem, Duncanie. Nie sądzę, by ojciec przywitał go chętnie w naszym domu.

- Ale nasz ojciec nie chodzi już po ziemskim padole! - odrzekł

Duncan tak głośno, że jego głos przebił się ponad wszystkim. - Czasy się zmieniły. Teraz ja jestem panem Ruthven. Tylko i wyłącznie ja, mam też pełną swobodę w samodzielnym dobieraniu sobie przyjaciół i sojuszników.

- Zaiste, tak jest - przyznała Gwynneth. - Wszelako powinienes kierować się przy tym wielką przezornością, gdyż ludzie nie zawsze są tymi, za których się podają.

- Wiem - odparł Duncan i opuścił głowę.

Przez moment Gwynneth nawet uwierzyła, że jej słowa rzeczywiście skłoniły go do chwili refleksji. Kiedy jednak ponownie podniósł wzrok, w jego oczach płonął ogień, który wzbudził w niej grozę.

- Niedawno przekonałem się, siostrze, iż tymi, którym nie powinienem ufać, są ci, którzy są mi najbliżsi. To oni właśnie w ostatnich dniach odwrócili się ode mnie.

W tym momencie sięgnął pod swoją opończę i wyciągnął jakiś przedmiot, który podał Gwynneth.

- Czy poznajesz to?

Gwynn rozpoznała od razu i gwałtownie zakryła usta dłonią, by powstrzymać głośny krzyk. Był to prosty drewniany krzyż - krzyż, który nosił ojciec Dougal, zawieszony na szyi.

- Co się stało? - zapytała szeptem, spoglądając ze zgrozą na brata.

- Nic takiego - Duncan wzruszył ramionami. - Postanowiłem jedynie, że nie będziemy dłużej potrzebować duchowej posługi ze strony ojca Dougala.

- Ty... Ty go zabiłeś - Gwynneth wymówiła to, czego nie była w stanie sobie wyobrazić. - Człowieka Kościoła.

- Nic takiego nie zrobiłem - odparł Duncan złośliwie. - Ale jak słyszałem, strzała któregoś z łuczników zboczyła i trafiła w plecy nieszczęsnego ojca. Dokładnie w momencie, kiedy opuszczał zamek.

Czy domyślasz się, dokąd zmierzał?

- Nie - odparła niemal bezgłośnie Gwynneth i opadła na zydel.

Poczuła, jak jej kolana raptownie zrobiły się miękkie, ogarnęły ją mdłości. Do jej serca zakradły się ponure przeczucia.

- W takim razie nieco dopomożemy twojej pamięci, moja droga

- wtrącił Millencourt.

Stanął we władczej pozie przed nią, spojrział na nią z góry, ręce opierając na biodrach niczym władca ziemski, który wymierza sprawiedliwość swemu poddanemu.

- Podślucho cię, Gwynneth Ruthven, kiedy powierzałaś ojcu

Dougalowi tajemnicę, która powinna pozostać w ukryciu. Sprawy, o



których nigdy nie powinnaś się dowiedzieć i których nigdy nie powinnaś widzieć. Sprawy, które nie były przeznaczone ani dla twoich oczu, ani dla twoich uszu. Przyczyną była twoja kobieca ciekawość, lecz lepiej byłoby, gdybyś jej nie uległa. Bowiem teraz srodze za to odpokutujesz. Dokładnie tak jak Dougal.

- To byłeś ty, nieprawdaż? - zapytała Gwynn. - Ty stoisz za tym wszystkim. Ty zatrąłeś umysł mego brata i uczyniłeś z niego cień samego siebie. Uczyniłeś z niego swego poddanego, który okazuje ci bezwolne posłuszeństwo.

-Pohamuj swój język, siostró! - krzyknął Duncan. - Graf Millencourt jest moim przyjacielem i mentorem. Pod jego przewodnictwem Szkocja znów będzie tym, czym była kiedyś. Krajem silnym i potężnym. On pragnie, by ród Ruthven stał się najsilniejszym klanem w Szkocji, co z resztą było życzeniem naszego ojca.

- Czyż jesteś ślepy? - zapytała Gwynn, potrząsając głową - Czyż to nie on rzucił na ciebie klątwę, w rezultacie której nie jesteś w stanie rozpoznać swego prawdziwego oblicza? Jemu nie chodzi o ciebie, Duncanie. I nie chodzi mu również o ród Ruthvenów. Jemu chodzi wyłącznie o własne cele. Żeby je osiągnąć, nie zawaha się sięgnąć po każdy możliwy sposób i środek.

- Nie słuchaj jej, mój bracie - szepnął graf do ucha Duncana. - Po mieszało jej się w głowie i nie wie, o czym mówi.

- Wiem bardzo dobrze, o czym mówię - zaproponowała Gwynn.

Jej zazwyczaj łagodna twarz oblała się rumieńcem, a wzburzenie

zastąpiło trwogę.

- Wiem, że ten tutaj - wskazała na grafa - nie jest tym, za kogo się podaje. Nie jest wcale szlachcicem i nie pochodzi z Francji. Być może wcale nie jest człowiekiem.

- Ależ moja droga - wtrącił Millencourt, uśmiechając się szyderczo. - Kimże w takim razie jestem?

- Tego nie wiem. Ale powiedziano mi, że jesteś starszy niż jakikolwiek człowiek i że tułasz się po tej ziemi już od setek lat. Być może jesteś posłańcem zła. Demonem. Wysłannikiem ciemności.

Przez dłuższą chwilę Millencourt nie mówił nic. Potem odrzucił głowę do tyłu i rozległ się jego donośny śmiech, który odbił się echem od niskiego sklepienia komnaty. Duncan, w którym słowa siostry przez niemal niezauważalny moment wzbudziły przerażenie, dołączył do śmiejącego się grafa. Gwynneth zrozumiała wtedy, że nie ma już żadnej szansy odegnania uroku, pod którego działaniem się znalazł.

- Cóż zatem już wiesz, siostro? - drwił z niej Duncan, nie przerywając śmiechu. - Jesteś nierozumną białogłową i nawet nie przeczuwasz możliwości, które się przed nami otwierają. Stoimy u progu nowej i wielkiej epoki, w której znów będziemy silni, w której będziemy panować.

- Powinieneś usłyszeć własne słowa - odparła z gniewem Gwynn.

- Ojciec nigdy by tego nie zaaprobował. Zawsze pozostał wierny swojej ojczyźnie i swojej wierze. Ty jednak zdradziłeś to wszystko.

- Ojciec był głupcem - syknął nienawistnie Duncan. - Mówiłem

mu, że „Waleczne Serce” jest zdrajcą, że posłał nas wszystkich na zatracenie. Jednak on nie chciał mnie słuchać. Podejmował własne decyzje, tak jak ja podejmuję swoje. Nie prosiłem go o to, żeby wyruszał na bitwę i żeby przekazał mi w dziedzictwie Ruthven.

Nieproszony zrzucił mi na barki to brzemię, zostawił mnie samego bez rady i planu.

- Twoje uczucia zostały zranione - stwierdziła Gwynneth.

W tym momencie w rysach Duncana coś drgnęło i przez krótki moment przypominał małego niewinnego chłopca, którego znała kiedyś jako swojego brata i którego kochała.

Ostrożnie wyciągnęła ku niemu dłoń.

- Bracie - powiedziała cicho. - Wiem, że dźwigasz brzemię wielkiej odpowiedzialności. Ciężko być zdany wyłącznie na siebie i być zmuszonym podejmować decyzje, nieprawdaż? Ale przecież nie jesteś sam, Duncanie. Ojciec zawsze będzie przy tobie, podobnie jak ja. Wspólnie możemy osiągnąć wiele. Jeszcze nie jest za późno. Wszystko jeszcze może być dobrze, słyszysz?

Przez moment w oczach Duncana Ruthvena rzeczywiście można było wyczytać wahanie, jakąś nieokreśloną tęsknotę za czasami, kiedy sprawy były mniej skomplikowane. Kiedy wiedział, komu jest winien lojalność i do czego przynależał.

Graf dostrzegł to wyraźnie. Nagle doszedł do wniosku, że oddany uczeń może się od niego odwrócić.

- Nie słuchaj jej, Duncanie! - odezwał się z werwą. - Czyż nie

widzisz, do czego zmierza? Chce odebrać ci determinację i zatruć twój umysł.

- Nie - zaprzeczyła stanowczo Gwynneth. - Tego nie chcę. Chcę jedynie, żeby mój brat znów był tym, kim był kiedyś.

- Nie zwracaj na nią uwagi, Duncanie. Jej słowa pełne są fałszu i szyderstwa. Ona chce jedynie pozbawić cię należnego ci dziedzictwa oraz tego, co ci się należy z mocy prawa. Czyż nie wyczuwasz trucizny, która sączy się z jej słów? Ona jest czarownicą.

- Czarownicą - zawtórowały bezgłośnie usta Duncana.

Złowieszcze błyski w jego oczach znów się pojawiły, niepewność zniknęła. W tym momencie Gwynn zrozumiała, że przegrała. Wpływ grafa był większy niż jej, dokładnie tak jak przepowiedziała to Kala.

- Zejdź mi z oczu! - wykrzyknął Duncan. - Słowa, które mówisz, siostrze, nie odwiodą mnie od podjętych postanowień. Zdecydowałem już, po której stronie stoję, i nie zmienię stanowiska ani teraz, ani później. Ród Ruthven powinien na wieki utworzyć sojusz z Bractwem Runów. Przysięgam na moją krew!

- Och, Duncanie! - Gwynn potrząsnęła ze zgrozą głową. - Nie wiesz zupełnie, co mówisz.

- Wręcz przeciwnie. Historia od wieków kołem się toczy, siostrze.

Wszystko się powtarza. William Wallace oszukał nas wszystkich.

Zdradził naszego ojca i teraz sam zostanie zdradzony. Czy naprawdę sądzi-

łaś, że będziesz w stanie nas powstrzymać? Wysyłając do Wallace'a

prostego mnicha z ostrzeżeniem? Jedna jedyna strzała wystarczyła, żeby zgasić w nim rządzący czynu. Nikt nie jest w stanie nas powstrzymać, Gwynneth. Nikt, słyszysz?

Znów ogarnął go chłodny, szyderczy śmiech, do którego dołączył również graf. Gwynn nie mogła pozbyć się uczucia głębokiej odrazy.

- Co się z tobą stało, bracie? - wyszeptała targana dreszczami.

- Rozpoznałem prawdziwą istotę rzeczy. I nie nazywaj mnie nigdy więcej twoim bratem, ponieważ od tej chwili wszelka więź między nami zostaje przecięta. Knowałaś przeciwko mnie i zamierzałaś zdradzić mnie wrogowi. Nie jesteś już zatem członkiem naszego rodu, lecz wygnańcem bez ziemi i bez nazwiska. Otrzymasz to, na co zasługujesz jako zdrajczynie.

- Nie - wyszeptała Gwynn, lecz rysy twarzy jej brata pozostały twarde i niewzruszone. Zawołał głośno strażę i polecił im, by zaprowadziły ją do pomieszczenia na szczycie zachodniej wieży, dopóki on nie podejmie decyzji, jaki los powinien ją spotkać.

- Duncanie, mój bracie - zawołała Gwynn ze łzami w oczach. - Co się z tobą stało? Jakiż demon zawładnął tobą?

- Nie słyszę cię - odparł pan Ruthven z lodowatym chłodem. -

Ponieważ nie mam już siostry. A ty, niewiasto, pohamuj język, zanim ci go wyrwę. Zabrać ją!

Strażnicy pochwycili Gwynn i wyprowadzili ją z komnaty na korytarz. Raz jeszcze odwróciła się i rzuciła ostatnie spojrzenie na kamienną twarz brata i na śmiejącego się perfidnie grafa. Potem drzwi

zamknęły się za nią, a przed nią widniał długi ciemny korytarz

prowadzący ku nieznannej przyszłości.

Jak zauroczona Mary doczytała opowieść do końca i po raz kolejny poczuła, jak gdyby to wszystko przydarzyło się jej samej. Wszystko to, co wówczas wydarzyło się na zamku Ruthven...

Gwynneth zaprowadzono do wieży zachodniej i zamknięto na jej szczycie. Tam prowadziła smętny żywot w chłodzie, o wodzie i chlebie, zrozpaczona złym obrotem spraw. Po kilku dniach ktoś ją odwiedził. Była to Kala, która nieoczekiwanie zjawiła się przed progiem i rozmawiała z nią przez drzwi. Kala uważała, że nadzieja jeszcze nie

była całkowicie utracona i dodawała Gwynneth otuchy oraz odwagi.

Potem wsunęła coś pod drzwiami, co Gwynn przyjęła ze zdumieniem - atrament, lak oraz pergamin.

Runiczna wieszczka zachęciła Gwynn do spisania własnych dziejów, każdego smętnego szczegółu. Poleciała jej potem ukryć te zapiski w murze, gdzie znajdowała się wydrążona skrytka, w której znajdzie także skórzany futerał. Nie podała jednak żadnego wytłumaczenia, a Gwynn nie wypytywała o szczegóły. Była niezmiernie wdzięczna za to, iż otrzymała coś, co mogło odwrócić jej myśli od ponurego losu. Jej ojciec postanowił, że córka nauczy się języka i pisma, chociaż było to niezwykle jak na niewiastę. Zatem teraz nie szczędziła wysiłków, by spisać swoje dzieje, tak jak zażądała tego Kala.

Kiedy starucha chciała się z nią pożegnać, Gwynn zapytała o swoją przyszłość.

-Przyszłość- odparła Kala- trudno dostrzec w tych dniach. Na świecie panuje chaos, a runy nie ujawniają wszystkich swoich tajemnic.

- W takim razie powiedz mi przynajmniej, co się ze mną stanie  
- nalegała Gwynn.

Runiczna wieszczka przez chwilę zwlekała.

- Musisz być silna - rzekła w korlcu. - Widziałam twój kres ciemny i ponury. Twój brat zdradził wasz ród na rzecz mrocznych sił, moje dziecko. I w ich mocy wasz ród będzie trwał przez wiele pokoleń.

- W takim razie... nie ma już żadnej nadziei?

- Nadzieja jest zawsze, Gwynneth Ruthven. Nawet w takim miejscu jak to. Nie teraz, ale za wiele setek lat. Kiedy upłynie połowa tysiąclecia, moje dziecko, ktoś przypomni sobie o twoich czynach i twoich cierpieniach. Pewna młoda niewiasta dowie się o tym, jak bardzo jej los przypomina twoją niedolę. Wtedy postanowi zmienić to i stanie do walki z mrocznymi mocami. Dopiero potem rozstrzygnie się los rodu Ruthven.

Tymi słowy kończyła się opowieść Gwynneth Ruthven, a Mary siedziała jak rażona gromem. Cofnęła się i raz jeszcze przeczytała ostatni akapit. Przetłumaczyła raz jeszcze każde słowo, by mieć pewność, że nie popełniła żadnego błędu.

Tłumaczenie tekstu pozostało takie samo - ale jak coś takiego było

w ogóle możliwe? Jakim cudem stara Kala przed wieloma setkami lat wiedziała, co wydarzy się w odległej przyszłości? Czy rzeczywiście była runiczną wieszczką, kobietą, która posiadała magiczne zdolności i potrafiła spojrzeć w przyszłość? Czy już wtedy dostrzegła, jaki los spotka Mary?

Mary Egton stąpała jednak zbyt twardo po ziemi, by uznać takie rzeczy za możliwe. Wierzyła w romantyzm i siłę miłości, w dobro tkwiące w ludziach, a także w to, że wszystko w życiu dzieje się w określonym celu. Jednak magia i czary były rzeczami, które zupełnie nie mieściły się w jej nowoczesnym widzeniu świata.

Czy zatem wszystko to było jedynie przypadkiem?

Czyż w przyływie rozpacz i samotności chciała dostrzec więź, która w rzeczywistości nie istniała?

Z drugiej jednak strony była przecież stara służąca, która w tak zdumiewający sposób przypominała Kałę. A te liczne zbieżności między nią a Gwynneth Ruthven? Wszystkie te sny, które jej się przyśniły i które tak osobliwie wydawały się realne...

Czy zatem starucha miała rację? Czy Mary i Gwynneth Ruthven rzeczywiście łączyło pokrewieństwo dusz? Czy były duchowymi siostrami, więź między nimi była tak bliska, że zdołała przetrwać setki lat? I czy runiczna wieszczka oraz owa tajemnicza służąca były jedną i tą samą osobą?

Mary pokręciła głową z powątpiewaniem. Wydawało się to nazbyt fantastyczne, by można to było pojąć. Jediną osobą, która mogła jej



powiedzieć, czy wszystko to działo się w rzeczywistości, czy też, co bardziej prawdopodobne, to ona postradała rozum, była stara służąca.

Jeśli Mary chciała zyskać pewność, musiała rozmówić się ze staruchą i zażądać od niej wyjaśnień.

Mary była przekonana, że to najbardziej rozsądny sposób postępowania. Miał wszelako jedną zdecydowaną wadę. Żeby wypytać służącą, musiała opuścić pomieszczenie na szczycie wieży.

Z dużym trudem przyszło jej wstać i podejść do drzwi. Jej członki były zeszywniałe od zimna, dłonie lodowate i pozbawione czucia.

Ostrożnie przyłożyła ucho do drzwi, przez chwilę nasłuchując. Potem nachyliła się i rzuciła spojrzenie przez szczelinę między dolną krawędzią drzwi a posadzką. Wydawało się, iż nie dostrzegła żadnego cienia.

Mary odetchnęła głębiej. Wiedziała, że nie może wiecznie ukrywać się tu, na wieży, ale przynajmniej w ciągu ostatniej nocy ta sala okazała się bezpiecznym schronieniem. Przypomniała sobie, co stara Kala mówiła o pomieszczeniu na szczycie wieży. Że było to jedyne miejsce w zamku, do którego nie przeniknęło jeszcze zło. Być może był to powód, dla którego Mary musiała zebrać siły, żeby pokonać opór i nacisnąć przerdzewiałą klamkę, a potem wymknąć się na zewnątrz.

Przed drzwiami rzeczywiście nie było nikogo. Mary bezgłośnie stawiała krok za krokiem i szła schodami w dół. Futerał z zapiskami Gwynneth przyciskała do siebie niczym najbardziej wartościowy skarb. Były wszystkim, co jej zostało, jej jedynym pocieszeniem.

Oceniając po słonecznym świetle, które wpadało przez wysoko

umieszczone wąskie otwory okienne, Mary doszła do wniosku, że było już południe. Nie przyniesiono jej żadnej stawy. Przypuszczalnie chciano ją zmusić, by sama opuściła miejsce dobrowolnego azylu. Gdyby chodziło tylko o głód, Mary spędziłaby chętnie jeszcze dużo czasu w pomieszczeniu na szczycie wieży. Potrafiła się zadowolić byle czym i nie miała nic przeciw temu, by znosić wyrzeczenia. I tak zresztą wolała cierpieć głód, niż zasiąść do jednego stołu z Malcolmem Ruthvenem.

Powoli przemykała korytarzami, przez które w nocy uciekała zdjęta paniką. Wciąż jeszcze czuła strach, który niczym echo panoszył się na zamku. Mary postanowiła, że nie uda się do swej komnaty, lecz skierowała się na dół, w stronę kuchni, gdzie czeladź spożywała obiad. W obecności służby, miała nadzieję, członkowie rodu Ruthvenów nie odważą się jej skompromitować i zostawią ją w spokoju.

Salę jadalną, gdzie Malcolm i jego matka przypuszczalnie spożywali teraz posiłek, ominęła z daleka i skierowała się na wąskie strome schody, z których na dobrą sprawę korzystali wyłącznie służący i pokojówki. W ten sposób znalazła się w tej części zamku, do której wielmożni państwo w ogóle się nie zapuszczali.

Ściany nie były wyłożone gobelinami ani obrazami. Stały tu jedynie nieliczne meble, grubo ciosane, solidne szafy. Z kuchni dobiegał zapach świeżo przygotowanej dziczyzny, co wywołało burczenie w żołądku Mary. Służąca, która z tacą w dłoniach wyszła wprost na nią, o mało jej nie upuściła, gdy spostrzegła przed sobą

Mary.

- Milady! - zawołała zaskoczona.

- Bez obaw - uspokoiła ją Mary i rozejrzała się ostrożnie dookoła.

- Proszę, nie bój się, chcę cię tylko o coś zapytać.

- Jak sobie życzysz, milady - służąca, młoda kobieta w wieku

około siedemnastu lat, ukloniła się naprędce. - Cóż mogę uczynić dla ciebie, milady?

- Szukam kogoś - wyjaśniła Mary. - Pewnej starej Szkotki, która pracuje tu jako służąca.

- Starej Szkotki? - służąca spojrzała na nią osobliwym wzrokiem. - Jak ma na imię?

- Tego nie wiem - odparła Mary nieco zmieszana. - Sądziłam, że być może będzie tutaj. Jest bardzo stara i ma białe włosy.

Służąca przez chwilę zastanowiła się, a potem zdecydowanie potrząsnęła przecząco głową.

- Nie ma tu nikogo, kto tak wygląda - oświadczyła bez wahania.

- Ale ja spotkałam ją wiele razy.

- Przykro mi - wydukała służąca. - Milady musi się mylić.

I zanim Mary zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, dziewczyna przemknęła z tacą wzdłuż korytarza i zniknęła za zakrętem.

Mary nie potrafiła tego sobie wytłumaczyć. Ale ta służąca była przecież młoda i być może nie pracowała dostatecznie długo na zamku Ruthven, by znać wszystkich z czeladzi. Mary wmawiała sobie, że tak właśnie musiało być i podążyła korytarzem w stronę kuchni. Przy tym

minęła pomieszczenie jadalne służby - ciemną, pozbawioną okien izbę, której sklepiony sufit pokryty był sadzą oraz pleśnią. Długi stół z nieoheblowanego drewna oraz zużyte krzesła stanowiły jedyne umeblowanie; kilka świec stojących na stole rzucało słabe światło.

Mary poczuła nagły ścisk w gardle na myśl, że Kitty tu właśnie musiałyby jadać. Nawet jeśli tęskniła za swoją pokojówką i odczuwałaby radość, że ma przy swoim boku przyjaciółkę, być może lepiej się stało, iż Eleonorę odesłała ją do domu. Przynajmniej nie musiała dłużej znosić tego wszystkiego.

Przy stole siedziało kilku młodych parobków zajętych właśnie spożywaniem cienkiej zupy. Z dziczyzny, którą raczyli się państwo, nie przypadł im nawet jeden ochłap. Jednym z młodych mężczyzn był Sean, pomocnik kowala, na którego weselu Mary gościła. Kiedy ją zauważył, wzdrygnął się i zerwał na równe nogi, chcąc się uklonić. Pozostali parobkowie zamierzali uczynić to samo, jednak Mary powstrzymała ich uspokajającym gestem dłoni.

- Proszę - powiedziała szybko. - Siedźcie i nie przerywajcie jedzenia. Nie chciałabym wam przeszkadzać, tylko szukam kogoś.

- Kogóż to, milady? - zaoferował pomoc Sean. - Być może będę mógł pomóc tobie, pani.

Mary ponownie opisała kobietę, której szukała - starą służącą w czarnej szacie, o białych jak śnieg włosach, na której ogorzałym obliczu wyryte były głębokie zmarszczki. Jednak na twarzy pomocnika kowala dostrzegła wyraz konsternacji.

- Przykro mi, milady - odrzekł Sean - ale takiej służącej nie znam.

- Musisz się mylić - Mary uparcie obstawała przy swoim. -

Rozmawiałam z nią wielekroć. Odwiedzała mnie w mojej komnacie.

Sean wymienił znaczące spojrzenia z pozostałymi młodzieńcami.

- Naprawdę bardzo mi przykro, milady - powiedział i spuścił wzrok.

Jego proste, lecz szczere rysy twarzy z pewnością wiele razy

zataiły prawdę. Mary widziała wyraźnie, że coś przemilczał.

- Tym się jednak nie zadowolę - postawiła sprawę jasno. - Chcę wiedzieć, o co chodzi z tą służącą. Jeśli coś wiesz, Sean, musisz mi to powiedzieć. Bez chwili zwłoki.

- Nie - młody pomocnik kowala pokręcił przecząco głową. -

Proszę cię, milady, nie wymagaj tego ode mnie.

- Dlaczegoż nie? Czy wszyscy w tym zamku sprzysięgli się przeciwko mnie? Nawet ty, mój drogi Seanie? Byłam przecież na twoim weselu, nie zapominaj o tym. I złożyłam tobie oraz twojej młodej żonie życzenia szczęścia.

- Jakże mógłbym o tym zapomnieć, milady? - odparł, a jego głos brzmiał niemal błagalnie. - Ale błagam, pani, nie wpytaj mnie dalej.

- Obawiam się, iż nie mam innego wyboru, Sean. Powiedz mi, co wiesz. Jeśli moje prośby nie mogą złamać twojego oporu, wydaję ci polecenie.

Znów spojrzenia młodego mężczyzny szukały pomocy u

pozostałych parobków, ale ci trzymali głowy opuszczone. W końcu

przypadła, przełamując swój opór. Rozejrzał się podejrzliwie dookoła, a potem pochylił się w stronę Mary.

- Musisz się mieć na baczności, milady - wyszeptał tak cicho, że z ledwością go słyszała. - Ponure rzeczy dzieją się w tym miejscu. Złe rzeczy.

- O czym mówisz?

Sean zawahał się przez moment, lecz teraz pojął, iż nie ma już odwrotu.

- Czy słyszałaś już kiedyś, milady, o Glencoe? - zapytał. - O masakrze, która tam właśnie miała miejsce?

- Oczywiście - potwierdziła Mary.

Przypominała sobie, jak w podręczniku historii sir Waltera czytała na ten temat. W styczniu 1692 roku w dolinie Glencoe doszło do podstępного napadu członków klanu Campbellów na klan MacDonaldów, który to atak wielu członków klanu MacDonaldów przyplącało życiem. Był to krwawy epizod szkockiej historii, chociaż upłynęło od niego już dobre sto trzydzieści lat.

- W wieczór poprzedzający masakrę - podjął Sean głosem, który sprawił, iż po plecach Mary przebiegły ciarki - w dolinie Glencoe widziano Bean Nighe.

- Któż to taki?

- Pewna stara kobieta - odparł Sean ponurym głosem. - Widziano ją, jak prała szaty w rzece.

- I co z tego? - Mary postawiła pytanie, gdyż nie była w stanie

zrozumieć, jaki związek mogło to mieć ze starą służącą.

- Tamta stara kobieta - podjął pomocnik kowala - również nosiła czarną suknię i miała długie białe włosy. Dokładnie jak służąca, o której nam powiedziałaś. Na zamku Ruthven starzy ludzie nie pełnią służby, ponieważ lord oraz pani życzą sobie mieć na swych usługach jedynie młode twarze i silne ręce. Ale sądzę, że kobieta, którą widziałaś, pani...

- Tak?

Sean pokręcił głową i zacisnął usta, jakby za wszelką cenę nie chciał pozwolić, by wyszło z nich choć jeszcze jedno słowo.

- Proszę, Sean - naciskała Mary. - Muszę to wiedzieć. Bez względu na to, co mi powiesz.

- Nawet jeśli jest to przerażające? - zapytał bezradnie młody mężczyzna.

- Nawet wtedy.

- Powinnaś więc wiedzieć, milady, że Bean Nighe widziano przed masakrą, a także później. Jest bardzo stara i pojawia się w najróżniejszych miejscach. Nie każdy może ją widzieć, ale każdy, komu się objawi...

- Tak?

- Mówi się, że ten, komu się objawi, już długo nie pożyje, mila-dy

- wyszeptał Sean.

Mary stała jak rażona gromem.

- Dziękuję, Sean - wyszeptała bezgłośnie, jednocześnie czując, jak

uginają się pod nią nogi.

- Przykro mi, milady - zapewnił poruszony do głębi młody kowal.

- Nie chciałem ci tego mówić, pani, ale nie pozostawiłaś mi innego wyboru.

- Wiem - przytaknęła Mary.

- Przykro mi.

- Już dobrze, Sean - zmusiła się do uśmiechu. - Przecież to nie twoja wina. Chciałam koniecznie wiedzieć. Usiądź i wróć do przerwane go posiłku. Zapewne wciąż jesteś głodny.

- Nie bardzo... Być może jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić, milady. Czy potrzebujesz pomocy, milady?

- Nie, mój drogi przyjacielu. Bez względu na to co się z tymi sprawami wiąże, sama muszę to wyjaśnić. Nikt nie jest w stanie mi w tym pomóc.

Odwróciła się i opuściła izbę, odprowadziły ją przestraszone spojrzenia. Idąc na górę, Mary wciąż jeszcze słyszała słowa Seana, które niczym echo odbijały się w jej głowie. Przeszły ją dreszcze.

W końcu dotarła do przedsionka i minęła duże drzwi. Czuła mdłości i koniecznie chciała wyjść na świeże powietrze. Gdy zobaczyła jasne światło dnia i wciągnęła do płuc rześkie powietrze, rzeczywiście poczuła się odrobinę lepiej. I w końcu znów do głosu doszedł jej rozsądek.

Powszechnie wiadomo było, że Szkoci są narodem przesądnym.

Wierzyli w tajemnicze znaki i różne magiczne symbole, w duchy



natury i baśniowe stwory. Bean Nighe również była wytworem szkockiej duszy o bogatej wyobraźni, przekonywała samą siebie Mary ze wszystkich sił. A mimo to...

Jak mogła wyjaśnić, że tylko ona widziała starą kobietę, podczas gdy nikt inny nawet jej sobie nie przypominał? Jakim sposobem ta stara niewiasta wiedziała o rzeczach, które wydarzyły się tak dawno temu?

Nie wspominając już nawet o pomieszczeniu na szczycie wieży, w którym znajdował się dziennik Gwynneth Ruthven, i o osobliwych snach Mary... Nawet racjonalny umysł musiałby przyznać, że nagromadzenie zbiegów okoliczności rzeczywiście było co najmniej zastanawiające.

Najchętniej Mary porozmawiałaaby z kimś, wysłuchałaby opinii kogoś trzeciego, niezwiązanego ze sprawą. Jednak była tutaj sama, otoczona wrogami, a przed sobą miała ponurą wizję, iż być może jej dni są już policzone.

Jeszcze poprzedniego dnia zapewne wyśmiałaby słowa Seana, jednak po minionej nocy Mary nie było już do śmiechu. Z głębokich zakamarków jej duszy wypelzał strach i ścisnął gardło. Tak bardzo pragnęła racjonalnego wyjaśnienia - jednak istniało zbyt wiele przeciwności, zbyt wiele pytań, na które nie umiała odpowiedzieć.

Niech tak będzie, pogodziła się z tym, że między niebem a ziemią istnieją rzeczy, których nie da się wyjaśnić za pomocą zdrowego rozsądku.

Duchy i przepowiednie. Dusze, które są połączone ze sobą wbrew granicom czasu... Czy coś takiego rzeczywiście istnieje? A może ona sama była bliska postradania zmysłów? Czy niepokój i samotność nie

przyprawiły jej o obłąd? Czy w ten sposób jej dusza nie chciała uciec od ponurej rzeczywistości?

Nie.

To co widziała i przeżyła, było realne. Nie był to wytwór wyobraźni ani żaden zabobon, lecz rzeczywistość. Również furii Malcolma sobie nie wymyśliła, chociaż wydarzenia minionej nocy zdawały się być jej przygnębiającym koszmarem. Jeśli Mary odłoży na bok wszystkie rozsądne myśli, pozostanie tylko jedno. Los daje jej ostrzeżenie w postaci przecucia tego, co może się wydarzyć, jeśli nie zmieni swej drogi.

Gwynneth Ruthven do ostatniej chwili wierzyła w to, co dobre w jej bracie, jednak nie zauważyła, jakie zło go otoczyło - a tym samym również ją samą. Mary nie zamierzała popełnić tego samego błędu. Musiała działać, zanim będzie za późno. Tylko z tego powodu stara służąca radziła jej, żeby opuściła Ruthven. Wszystko zatem pasowało do siebie. Sen i rzeczywistość.

Mary z porażającą grozą zrozumiała, że znalazła się w przełomowym punkcie swego życia. Jeśli pozostanie w Ruthven, najprawdopodobniej niedługo pożyje. Początkowo uważała swego przyszłego małżonka jedynie za głupiego arystokratę, którego horyzonty były w równym stopniu ograniczone, co jego wiedza. W międzyczasie jednak stało się dla niej jasne, że drzemały w nim żądze, o których nikt - przypuszczalnie nawet jego matka - nie miał pojęcia.

Mary zyskała pewność, że Malcolm znów podejmie próbę wzięcia tego, czego mu odmówiła. Jeśli tego nie dostanie, użyje przemocy i biada jej, jeśli ponownie mu się sprzeciwi. Minionej nocy dziedzic Ruthven pokazał swoje prawdziwe oblicze. Mary w rzeczywistości obawiała się o własne życie. Ponura przepowiednia pomocnika kowala dodatkowo napawała ją trwogą. Być może jednak nie było jeszcze za późno, by wymknąć się temu, co niósł okrutny los.

Jak wszystkie młode kobiety wysokiego urodzenia Mary wychowano do wypełniania obowiązków. Nawet jeśli nie przypadła jej do gustu eskapada w dalekie strony w celu poślubienia Malcolma Ruthvena, by spełnić życzenia jej rodziny i zapewnić sławę domowi Egton.

Jednak nikt, ani ojciec, ani ktokolwiek na tym świecie, nie był w stanie zmusić jej do pozostania tu, jeśli jej życie było zagrożone. Mary nie zamierzała poświęcić własnego istnienia tylko po to, by przypodobać się własnej rodzinie.

Dojrzewała w niej śmiała decyzja.

Tłumaczenie znaków, które sir Walter i Quentin odnaleźli na grobowcu Roberta Bruce'a, okazało się daleko trudniejsze, niż się spodziewali.

Nie chodziło tylko o to, że każdy znak miał kilka znaczeń, ale ich kolejność była również całkowicie nieczytelna, zatem obydwaj spędzili całe popołudnie, wciąż przypisując runom nowe powiązania, jednocześnie nie mogąc do końca odszyfrować ich znaczenia. Niejeden raz sir Walter żałował, że jego starego przyjaciela i mentora Gainswicka nie ma obok i nie może ich wesprzeć w rozwiązaniu tej zagadki.

Za dwa dni profesor Gainswick miał być pochowany na starym cmentarzu w Edynburgu, w bezpośrednim sąsiedztwie tych artystów i uczonych, których przez całe życie podziwiał. Sir Walter wiedział, że profesor ucieszyłby się z tego powodu, jednak nie stanowiło to dla niego zbyt wielkiej pociechy. Strata, którą spowodowała śmierć Gainswicka, była bolesna i nie dała się niczym zastąpić, a jego mordercy wciąż jeszcze chodzili na wolności. Wprawdzie konstable czynili wszystko, żeby wpaść na ich trop, jednak wiara sir Waltera w stróżów prawa w ostatnich tygodniach znacznie osłabła.

Czyż inspektor Dellard nie obiecał, że w Edynburgu będą bezpieczni? Że członkowie bractwa nie odważyli się dotąd działać w dużych miastach? Po raz kolejny zatem pomylił się, a sir Walter dochodził do przekonania, że sam musi rozwiązać tę łamigłówkę.

Stawka w grze była zbyt wielka, a poza nim, jak mu się wydawało, nikt

nie chciał dostrzec tych powiązań. Im dłużej z Quentinem zgłębiali tę sprawę, tym coraz bardziej skomplikowany splot intryg, zabobonów, zwodzenia na manowce oraz przestępstw odkrywali. Jednak sir Walter miał także przecucie, że znajdowali się już blisko rozwikłania tajemnicy.

- Zaczniemy jeszcze raz - zaproponował, gdy z namysłem spoglądał na kartki, które leżały przed nim porozkładane na stole i na których widniały ryciny runicznych znaków. - Ten symbol znamy z całą pewnością. To znak miecza, który dominuje nad wszystkimi pozostałymi znakami. Tamten symbol runiczny, który odkryliśmy na frontowej stronie sarkofagu, oznacza społeczność lub bractwo, a zatem mógłby oznaczać sektę.

- Również w przypadku tych tam możemy być do pewnego stopnia pewni - rzekł Quentin i wskazał na dwa kolejne symbole. - Ten znak oznacza kamień, drugi natomiast to gaelickie słowo *cairn*, co również oznacza skałę lub kamień.

- Albo też cały zbiór kamieni - sir Walter podsunął myśl.

-Wuju! - zawołał nagle Quentin. - Czyż nie powiedziałaś, iż znak runiczny, który tam leży, oznacza doskonałość oraz spełnienie?

- Do czegoś zmierzasz?

- No cóż - mruczał pod nosem Quentin, którym nagle zawładnęło wyraźne ożywienie. - Sądzę, iż w wielu starych kulturach geometryczna forma okręgu uchodziła za uosobienie najwyższej doskonałości.

-I?

- Być może - kontynuował Quentin triumfującym głosem - należy ten znak czytać razem z dwoma pozostałymi i w ten sposób będzie to oznaczało kamienny krąg, o którym czytaliśmy w bibliotece.

Sir Walter wlepił wzrok w Quentina, co raptownie osłabiło jego euforię.

- To jest tylko teoria, wuju - dodał ostrożnie i wzruszył ramionami.

- Z pewnością coś przeoczyłem, o czym ty już od dawna wiesz.

- W żadnym wypadku - zaprzeczył sir Walter. -1 nie powinienes błędnie interpretować mego spojrzenia, mój chłopcze. Jestem pełen podziwu dla twojej spostrzegawczości.

- Rzeczywiście?

-W rzeczy samej. Masz całkowitą rację. Jest to jedyna kombinacja, która naprawdę ma sens. Bractwo miecza przy kamiennym kręgu.

- Nasuwa się tylko pytanie, jakie jest znaczenie pozostałych ośmiu symboli.

- Ten tutaj oznacza wydarzenie - podjął sir Walter. - A tamten należy zinterpretować jako nieszczęście i zagrożenie, jak już wcześniej to odkryliśmy.

- Być może trzeba wszystkie te znaki połączyć ze sobą - zastanawiał się Quentin. - Być może chodzi o jakieś nieszczęsne wydarzenie. O sytuację związaną z zagrożeniem.

- Widzę, mój chłopcze, że jesteś bieglejszy ode mnie w rozwiązywaniu starych zagadek. Tak trzymaj. Jesteśmy już blisko

rozwiązania tajemnicy, czuję to.

- Możliwa jest każda interpretacja - wysunął przypuszczenie

Quentin. - Być może jest to ostrzeżenie. A może też rodzaj klątwy, którą obłożono grób króla.

Sir Walter westchnął ciężko.

- Ile razy jeszcze mam ci to powtarzać, chłopcze? W przypadku wszystkich tych zagadek, które mogą dotyczyć bractwa, chodzi wyłącznie o ludzi z krwi i kości. Poza tym w żadnym punkcie historii nie istnieli znający czary magowie, którzy obrzucali władców klątwą. Historię tworzą ludzie, Quentinie. Zwyczajni śmiertelnicy, jak ty i ja.

- Raczej tacy jak ty - odparł nieco zażenowany Quentin. - Mnie nigdy nie postawią pomnika, tego jestem pewien. A tobie postawią.

- Ach, chłopcze - sir Walter pokręcił przecząco głową. - Cóż za brednie opowiadasz. Jeśli w mojej pracy czasami zaczyna brakować mi pomysłów, wtedy mogę z całą pewnością zwrócić się do ciebie, żeby...

Gdy sir Walter wypowiadał te słowa, spojrzenie Quentina padło na sekretarzyk, na którym znajdowała się poczta, na jaką należało odpowiedzieć. Nagle jego twarz pojaśniała.

- Sądzę, iż znalazłem rozwiązanie - wpadł w słowo swemu wujowi.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Widzisz to? - zapytał Quentin i sięgnął po jeden z listów, który znajdował się na sekretarzyku, i zaczął machać nim w geście triumfu. -

Sądzę, że to jest rozwiązanie!

- Rozwiązanie? To jest zaproszenie na uroczystość żałobną ku czci

profesora Gainswicka. Zwrócono się do mnie z prośbą, bym wygłosił mowę ku jego czci.

- Czyż to nie jest dziwne? - twarz Quentina promieniała. - I tym razem profesor dopomógł nam w rozwikłaniu znaczenia symboli.

- Jesteś pewien, że czujesz się dobrze, mój chłopcze? - sir Walter obdarzył swego siostrzeńca podejrzliwym spojrzeniem. - Być może wysiłek ostatnich dni stanowił dla ciebie zbyt wielkie obciążenie.

- Nie martw się, wuju. Czuję się dobrze. Ty również za moment poczujesz się lepiej, gdyż właśnie w tej chwili odkryłem, co chcą przekazać nam symbole z sarkofagu.

- Tak?

- To jest zaproszenie - oznajmił z dumą Quentin.

- Zaproszenie? Jak mam *to* rozumieć?

- Ta myśl przysłała mi, gdy spojrzałem na tamten list. Nagle zrozumiałem, jakie jest rozwiązanie. To całkiem proste. Wszystkie zaproszenia zawierają te same dane, nieprawdaż?

- Zazwyczaj tak - przytaknął sir Walter. - Informują, kto jest gospodarzem, jaka jest okazja, ponadto podają miejsce i czas.

- Właśnie tak - potwierdził Quentin. - Nic innego nie odnaleźliśmy na grobowcu. Okazją jest groźące niebezpieczeństwo, miejscem kamienny krąg, gospodarzem sekretne bractwo. Brak nam tylko wskazania czasu.

- Boże wszechmogący! - sir Walter znieruchomiał niczym rażony gromem. - Masz rację, mój chłopcze. Może tu chodzić o zaszyfrowane



przesłanie, które przetrwało przez setki lat. Pozwól mi spojrzeć...

Odkryliśmy już, że tamte dwa symbole oznaczają słońce oraz księżyc, racja?

- Racja - zgodził się Quentin, którego twarz zrobiła się czerwona od zapału.

Z pełnego trwogi młodego mężczyzny, który najchętniej wycofałby się z drażenia tej sprawy, nie pozostał nawet ślad. Quentin pałał teraz żądzą rozwiązania zagadki i również on odnosił wrażenie, że znajdowali się niemalże w przełomowym punkcie.

- O starych druidach wiemy, że ich rachuba czasu opierała się na konstelacjach nieba - zastanawiał się na głos sir Walter. - Słońce i Księżyc wyznaczały kalendarz dawnych czasów i tym dwóm ciałom niebieskim było podporządkowane wszystko. Ale co oznaczają pozostałe znaki? Nie może to być liczba lat, ponieważ Celtowie nie znali kalendarza w naszym rozumieniu.

-1 wcale nie potrzebowali, ponieważ orientowali się według astronomicznych zdarzeń - odparł Quentin. - Przypomnij sobie, w jaki sposób ułożone były znaki na grobowcu, wuju. Symbol księżyca był podporządkowany symbolowi słońca. A zatem może to oznaczać zaćmienie Księżyca.

- Zaćmienie księżyca? - sir Walter spojrzał ze zdumieniem na swego siostrzeńca i można było odnieść wrażenie, że raptem coś sobie przypomniał.

Sięgnął po gazetę, która leżała na stoliku obok fotela, i zaczął ją

kartkować. Kiedy w końcu znalazł to, czego szukał, na jego twarzy pojawił się uśmiech zadowolenia, po czym podał Quentinowi gazetę na otwartej stronie.

-Przeczytaj to- polecił swemu siostrzeńcowi, a Quentin przebiegł linijki artykułu oczyma szeroko otwartymi ze zdumienia.

- „Towarzystwo Astronomiczne Uniwersytetu w Edynburgu informuje, że w piątek, trzynastego bieżącego miesiąca, dojdzie do całkowitego zaćmienia księżyca” - przeczytał cichym głosem.

- To za pięć dni - potwierdził sir Walter.

- Czy to może być przypadek? - zapytał zdziwiony Quentin.

- Być może. Albo też niezwykle szczęśliwe zrządzenie losu. Druidzi z zamierzchłych czasów przypisywali szczególne znaczenie zaćmieniom słońca i księżyca, a ich współcześni zdeklarowani zwolennicy zdają się czynić tak samo. Dla nas oznacza to, że wiemy, gdzie i kiedy możemy pojmać członków bractwa. Mianowicie za pięć dni przy kamiennym kręgu.

- To niewiarygodne - myślał na głos Quentin. - Ale o który kamienny krąg chodzi? I co dokładnie stanie się za pięć dni?

- Zakładam, że pozostałe znaki mogą powiedzieć nam coś na ten temat. Niestety, wiemy tylko, co oznacza tamten znak runiczny. Należy go interpretować jako powrót lub ponowne narodzenie. Pozostałych symboli nie ma w naszym kompendium. Mogą więc należeć do zakazanych znaków, których symbolika znana była tylko nielicznym wtajemniczonym.

- Oraz członkom bractwa - dodał Quentin.

- W rzeczy samej.

- Nasuwa się tylko pytanie, do czego zmierzają. I jak się to wszystko ze sobą wiąże? Znak runiczny miecza, bractwo, kamienny krąg, grób Roberta Bruce'a...

- Tego nie wiem, mój chłopcze, ale nie pozostało nam wiele czasu, by to rozwikłać. Kiedyś w trakcie nocy z zaćmieniem księżyca odbywały się pogańskie ceremonie i składano ofiary z ludzi. Nie chcę, żeby szaleństwo tych ludzi ktoś jeszcze przypłacił życiem. Poza tym... - sir Walter przerwał i spojrzał na podłogę, a Quentin dostrzegł, z jakim zdenerwowaniem jego wuj pocierał zuchwę.

- Obawiasz się najgorszego, prawda? - zapytał ostrożnie. - Myślisz o wizycie króla w Edynburgu.

Sir Walter przytaknął.

- Wizyta Jego Wysokości jest zaplanowana na następny tydzień, zaledwie kilka dni po zaćmieniu księżyca. I to właśnie, mój drogi chłopcze, nie może być zbiegiem okoliczności. Sądzę, iż inspektor Dellard nie mylił się w swoich podejrzeniach. Członkowie bractwa zamierzają zebrać się tej nocy i być może planują zamach na życie króla.

- Tak sądzisz? - głos zawiódł Quentina z podniecenia i dało się słyszeć jedynie ciche chrypienie. - Być może to jest zagrożenie, o którym mowa w inskrypcji na nagrobku...

- Nie trzymasz się logiki, siostrzeńcze. Co było pierwsze? Kura

czy jajo? Jakim cudem inskrypcja, która liczy pięćset lat, może odnosić się do czegoś, co miało stać się w odległej przyszłości? To przecież oczywiście jest niemożliwe. Członkowie bractwa odkryli inskrypcję, przetłumaczyli ją w odpowiedni dla siebie sposób i to wszystko. Ale teraz, kiedy udało nam się przejrzeć ich plany, mamy szansę ich powstrzymać.

- Cóż chcesz uczynić, wuju? Powiadomić Londyn?

- Jeszcze nie, mój chłopcze. Wizyta króla w Szkocji w tych niespokojnych czasach jest ważniejsza niż kiedykolwiek. Jeśli Szkoci i Anglicy mają kiedykolwiek stać się jednym narodem, wizyta króla musi się odbyć. A zatem to, co wiemy, zachowamy wyłącznie dla siebie, przynajmniej na razie.

- Czy bezpieczeństwo króla nie powinno mieć pierwszeństwa przed patriotycznymi racjami?

- Oczywiście, mój chłopcze. Możesz mi wierzyć, że wcale nie zamierzam narażać bezpieczeństwa króla Jerzego. Jeśli nie uda się nam pokrzyżować niecnym zamierzeń członków bractwa, natychmiast powiadomię Londyn, żeby wizyta została odwołana.

- Masz nie tylko przyjaciół na dworze, wuju. Z pewnością odezwą się głosy, że przedkładasz interesy Szkocji ponad swoją wierność Anglii.

- Kto mnie zna, ten wie, że nie jest to prawdą. Ale oczywiście biorę pełną odpowiedzialność za swoje działanie, ze wszystkimi konsekwencjami, które mogą z tego wyniknąć. Po wszystkim, co udało nam się wykryć, nie ma już odwrotu.

- Ale czy nie powinniśmy przynajmniej powiadomić konstabli?

- Ryzyko byłoby zbyt wielkie. Skoro tylko członkowie bractwa spostrzegliby, że depcze im się po piętach, natychmiast zapadaliby się pod ziemię. Nam natomiast nasuwa się sposobność wykrycia ich spisku oraz pochwylenia ich. Tylko wtedy jednak, gdy będziemy działać mądrze i dyskretnie.

Quentin spojrzał na wuja z podziwem.

Od tygodni sir Walter prawie nie spał. Dźwigał na barkach brzemię, pod którym wielu innych zapewne już dawno by upadło, a mimo to wciąż zachował śmiałość i zdecydowanie, które w oczach Quentina budziły nieustanny podziw. Pragnął tylko usilnie, żeby choć odrobina tych cnót spłynęła na niego.

- Za pięć dni runiczni bracia spotkają się przy kamiennym kręgu - podsumował sir Walter. - Tyle czasu nam pozostało, by wykryć, o który kamienny krąg chodzi. I odnaleźć kryjówkę bractwa. Z nastaniem dnia zaczynamy więc nasze poszukiwania. Czas nagli...

- A więc?

Malcolm Ruthven trząsał się z niecierpliwości. Jego blada twarz przybrała kolor purpurowy i nabrzmiała tak, jakby lada chwila miała pęknąć.

- Przykro mi, milordzie - powiedział służący, któremu przypadł w udziale nieszczęsny los przekazania lordowi złych wieści. - Nigdzie nie można odnaleźć lady Egton.

- Nigdzie nie można odnaleźć? Cóż to ma znaczyć, że nigdzie nie można jej znaleźć?

- Przeszukaliśmy całą posiadłość, ale nigdzie nie ma po niej nawet śladu - odparł służący zatrwożonym głosem.

Kąciki jego ust drżały nerwowo. Gniew lorda był powszechnie znany i budził grozę.

- To przecież niemożliwe - warknął Malcolm i wpatrywał się w służącego płomiennym wzrokiem. - Przecież żaden człowiek nie może ot tak, rozplynąć się w powietrzu. Ktoś przecież musiał ją widzieć.

- Pokojówki utrzymują, że widziały lady Egton po raz ostatni około południa. Kiedy udały się do jej komnaty, by przygotować nocny odpoczynek, nie było tam już nikogo. Poza tym brakowało kilku sukien oraz paru rzeczy osobistych.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Malcolm, a jego głos nie wróżył nic dobrego.

Służący wił się niczym piskorz. Usiłował w taki sposób

przedstawić prawdę, aby jego pan sam doszedł do tego, co się stało.

Jednak Malcolm Ruthven po raz kolejny pokazał, jak bardzo nieustępliwy i uparty potrafi być. Kazał więc wypowiedzieć służącemu to, co nietrudno było pojąć - choćby tylko po to, by mieć pretekst i wyładować na nim niewypowiedzianą wściekłość.

- Lady wyjechała - wyznał cicho pokojowy i przez kilka sekund w sali audiencyjnej lorda panowała tak głęboka cisza, iż sługa słyszał bicie własnego serca.

Przez moment wydawało się, że tym razem Malcolm Ruthven zapanuje nad swym osławionym gniewem. Wtedy jednak z jego ust wyrwał się niepoohamowany i nieokiełznany wrzask.

- To przecież niemożliwe! - ryknął i walnął pięścią w stół, a służący wzdrygnął się. - To przecież zupełnie niemożliwe! Moja narzeczona nie mogła przecież mnie opuścić! Nikt nie opuszcza przedstawiciela rodu Ruthvenów!

- Milordzie, jeśli wolno mi wtrącić - rzekł służący cichym głosem, niemal szeptem. - Z całym należnym ci, panie, szacunkiem, chciałbym zapewnić, że jakakolwiek pomyłka jest wykluczona. Lady Egton opuściła zamek Ruthven we wczesnych godzinach wieczornych. Wrzask, który wydał z siebie lord, był prawie zwierzęcy. Był to wyraz surowej, nieokiełzanej wściekłości. Zacisnął pięści tak mocno, że kłykcie zrobiły się białe. Jego oczy miały gromy, które przyprawiły służącego o śmiertelny strach.

- Jak to się stało, że nikt jej nie zatrzymał? - wrzeszczał

chrapliwym głosem. - Czyż nie wydałem polecenia, że nikomu nie wolno opuszczać zamku bez mojego wyraźnego zezwolenia?

- Proszę o wybaczenie, milordzie. Żaden ze służących nie widział lady, jak opuszczała zamek. Jednakże ze stajni wyprowadzono jednego z twoich koni, panie.

- Jednego z moich koni? A zatem zostałem również okradziony?

- Gzy życzysz sobie, panie, żeby złożyć u szeryfa doniesienie na twoją narzeczoną? - zapytał służący zupełnie niedyplomatycznie.

- I tym samym wystawić mnie na pośmiewisko całego świata?

Czyż nie jest już dostatecznym złem, że ta niewierna żmija pod postacią kobiety złamała obietnicę, którą wcześniej mi dała? Czy chcesz mnie upokorzyć publicznie, ty tępy idioto?

- Proszę o wybaczenie, milordzie. Oczywiście, nie było to wcale moim zamiarem. Sądziłem tylko, że skoro spotkała cię, panie, taka niesprawiedliwość...

- Myślenie nie jest zadaniem lokaja - przerwał mu szorstko lord.

Jego nozdrza rozdęły się, on zaś sapał jak rozwścieczony byk.

W bezsilnym szale zerwał się na równe nogi, podszedł do wysokiego okna i spojrzął na blanki i wieże zamku Ruthven, które przez cały dzień spowite były gęstą mgłą. Nawet pogoda, pomyślał Malcolm, sprzyściła się przeciwko mnie i sprzyja tej zdrajczyni.

Mary Egton była dla niego tylko i wyłącznie źródłem gniewu i złości. W żadnym momencie nie podjęła nawet próby zdobycia jego przychylności, wręcz przeciwnie. Przy każdej nadarzającej się okazji



atakowała go i znieważała, kompromitowała go w obecności przyjaciół

i wystawiała na pośmiewisko, stawiając ponad jego towarzystwo

kompanię ciemnych stajennych parobków. A na koniec odmówiła mu

tego, co mu się z mocy prawa należało jako jej narzeczonemu.

Poniósł uszczerbek na dumie, ponieważ go upuściła. On zaś nie

zamierzał puścić tego pohańbienia płazem, bez odwetu. Ale czy z

drugiej strony nie wyświadczyła mu tym samym przysługi? On sam

nigdy nie był za tym związkiem, który zaaranżowała dla niego matka.

Miał ciekawsze plany, niż być tylko posłusznym synem Eleonore

Ruthven. Zgodził się ożenić z Mary Egton wyłącznie po to, by przejąć

na własność swoje włości - cóż jednak mógł zaradzić temu, że ona go

nie chciała i wolała uciec od niego w siną dal? Mimo swego uporu jego

matka musiała teraz pojąć, że jej plany obróciły się wni-wecz, a

Malcolm zyskał swobodę i wreszcie będzie mógł realizować własne

zamiary.

Czuł, jak wściekłość w nim słabnie i przemienia się w radość z

cudzej krzywdy. Gorzki śmiech dobiegł z jego gardła i wzbudził nagły

niepokój służącego.

- Czy aby na pewno czujesz się dobrze, milordzie? - zapytał

zatroskany. - Czy może powinienem wezwać medyka?

- Nie potrzebuję żadnego medyka - zapewnił Malcolm i znów

odwrócił się ku swemu poddanemu.

Z jego oblicza zniknęło gniewne zaczerwienienie, a twarz znów

stała się blada i przybrała pokazową niewzruszoną minę, która w żaden

sposób nie pozwalała rozpoznać, co działo się w jego głowie.

- W rzeczy samej moja matka z żalem usłyszy nowinę, że wesele musi zostać odwołane. O ile wiem, goście zostali już zaproszeni.

-W takim razie... Chcesz, panie, pozwolić, by lady odjechała?

- Oczywiście. Czy naprawdę sądzisz, że poślubiłbym kobietę, która nie potrafi okazać mi szacunku? Którą muszę ścigać, by niczym trofeum zawlec przed ślubny ołtarz? Tak bardzo się nie poniżę.

- Masz rację, milordzie - odparł służący i uklonił się głęboko, najwyraźniej odczuwając ulgę, że gniew jego pana zniknął.

Razy wymierzane kijem *na* grzbiecie tych, którzy przynosili niechciane wiadomości, nie były rzadkością na zamku Ruthven.

- Zostaw mnie teraz samego - polecił Malcolm i odczekał, aż służący oddali się i zamknęli za sobą drzwi.

Potem podszedł do biurka, usiadł i sięgnął po papier oraz gęsie pióro.

Fakt, że nie chciał już poślubić Mary Egton, nie oznaczał wcale, że zamierza pogodzić się z upokorzeniem, jakie przeżył z jej powodu.

Jego niesłowna narzeczona powinna zostać ukarana. Pozostawało jedynie pytanie, dokąd zamierzała uciec, lecz tę zagadkę wcale nietrudno było rozwiązać.

Było oczywiste, że będzie starała się uciec jak najdalej od Ruthven. Nie mogła jednak powrócić do Egton, ponieważ wiarołomna narzeczona oznaczała dla rodziny zniewagę i hańbę, a zatem musiała szukać schronienia u osób trzecich. Wedle tego, czego Malcolm dowiedział się od niej w trakcie nieznośnie nudnych rozmów,

nie trudno było zgadnąć, któż mógł być tą osobą.

Lord Ruthven roześmiał się cicho. Ironia losu była w tym przypadku osobliwa.

Tak więc wszystko pasowało do siebie.

Mary Egton odważyła się na ucieczkę.

Na ucieczkę od nieczułego narzeczonego, który traktował ją jedynie jako środek do osiągnięcia celu, jakim było zaspokojenie chciwości i żądz. Na ucieczkę od bezdusznej teściowej o kamiennym sercu, która usiłowała zdusić w niej każdą iskierkę życia i przemienić w bezwolną marionetkę.

Na ucieczkę ze świata, który ją osaczył i który odbierał jej swobodę oddychania.

Nie pozostało jej wiele czasu, by przemyśleć to postanowienie.

Wykorzystała sposobność, dopóki się nadarzała. Gdyby Malcolm i jego matka przeczuli, że po głowie Mary chodzą myśli o ucieczce, uczyniliby wszystko, by temu przeszkodzić.

Mary pozostało zaledwie kilka godzin, żeby zaplanować to przedsięwzięcie. Po zapadnięciu zmroku opuściła komnatę i zeszła do kuchni czeladnej, gdzie czekali już na nią Sean, pomocnik kowala, i jego przyjaciele.

Jeden z parobków stajennych wykradł dla niej rumaka ze stajni.

Jedna z pokojówek przygotowała zielony strój myśliwski, który miał ją chronić zarówno przed pogodą, jak i przed ciekawskimi spojrzeniami, natomiast jedna z dziewcząt kuchennych przygotowała

kosz z prowiantem.

Sean pomógł jej osiodłać i okiełznać konia. Potem przeprowadził ją obok straży i szpiegów Ruthvenów poza mury zamku. Wąskim tylnym wyjściem wybitym w warownym murze Mary opuściła zamek niczym złodziejka pod osłoną ciemności.

Po raz pierwszy odkąd przybyła do Ruthven, Mary była wdzięczna za mgłę, która uporczywie zalegała nad wzgórzami i chroniła ją przed niepożądanymi spojrzeniami. Raz jeszcze odwróciła się za siebie, by popatrzeć na wieżę i mury spowite mlecznym welonem, i przez krótki moment znów odniosła wrażenie, że na wysokim balkonie stoi ciemna postać, dokładnie tak jak tego dnia, kiedy tutaj przybyła. Mary wydawało się nawet, iż ta postać pomachała jej. W następnym momencie postać zniknęła jednak we mgle, a Mary sama już nie wiedziała, czy rzeczywiście to widziała, czy też było to tylko złudzenie.

Młoda kobieta chwyciła mocniej cugle i poprowadziła konia w górę kamienistą ścieżką. Chciała uniknąć głównego traktu, gdyż tam właśnie zaczęła jej szukać. Sean wyjaśnił jej dokładnie drogę do Darloe, najbliższej wioski. Szlak ten wiódł wąwozem aż do podnóża wzgórz. Tam gdzie ścieżka przecinała trakt, który prowadził z miejscowości Cults, Mary powinna ruszyć dalej wzdłuż rzeki i tym sposobem miała dostać się do wioski. Tamtejszy kowal był bratem mistrza Seana i miał jej zapewnić schronienie na noc.

W gęstej mgle koń posuwał się powoli. Ostrożnie stawiał kopyto

za kopytem, podczas gdy mleczna powłoka stawała się coraz gęstsza.

Zimno przenikało przez oponczę Mary i sprawiło, że zaczęła drzeć. We mgle odgłos końskich kopyt brzmiał osobliwie głucho. Poza tym nie dało się słyszeć świergotu ptaków ani szumu wiatru. Można było odnieść wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu. Mary poczuła, jak ogarnia ją trwoga.

Co jakiś czas oglądała się za siebie, upewniając się, czy nikt za nią nie jedzie. Co chwilę wzdrygała się, gdy dostrzegała liczne ogromne kształty, lecz szybko okazywało się, że są to rosnące wzdłuż ścieżki, pozbawione liści drzewa, których obrys za sprawą mgły stawał się niewyraźny i dziwaczny.

Mimo to Mary nie mogła się uspokoić. Miała duszę na ramieniu, a na jej czoło wystąpiły krople zimnego potu. Wciąż jeszcze obawiała się, że zostanie pojmana. Gdyby sprowadzono ją z powrotem do Ruthven, wtedy nie mogłaby być pewna, że pozostanie przy życiu. Z

drugiej natomiast strony nie mogła wrócić do swej rodziny w Egton.

Jej rodzice oddali ją Malcolmowi za żonę i dali swoje słowo, że będzie mu wierną i posłuszną małżonką. Nie mogli zatem ponownie przyjąć córki pod swój dach, nawet gdyby tego pragnęli.

Zatem Mary sama musiała rozstrzygnąć, gdzie znajdzie dla siebie schronienie. Decydując się na ucieczkę, straciła wszystko. Swoje włości, tytuł, przywileje. Lecz w zamian zyskała wolność.

Mary gorączkowo zastanawiała się, dokąd może się udać w trakcie tej rozpaczliwej ucieczki. Kto byłby w stanie okazać zrozumienie dla jej

sytuacji? Kto byłby na tyle odważny, by przyjąć młodą kobietę, która sprzeciwiła się wymogom swego stanu, by móc żyć na wolności?

Na tak postawione pytanie nasuwała się tylko jedna odpowiedź - sir Walter Scott.

Już wcześniej miała okazję zaznać dobroci oraz gościnności pana

Abbotsford i jego małżonki. Mary była pewna, że sir Walter

zapewniłby jej schronienie w swoim domu, kiedy tylko

opowiedziałaby mu, co się wydarzyło - przynajmniej na tyle długo, aż

stanie się jasne, co ma począć dalej ze swoim życiem.

Podróż do Abbotsford z pewnością miała potrwać wiele dni. Mary

posiadała dostatecznie dużo pieniędzy, by po drodze spożywać posiłki

w gospodach i tam nocować. Pytanie jednak brzmiało, czy rozsądnym

było tak właśnie czynić, ponieważ to w oberżach i zajazdach ludzie z

klanu Ruthvenów będą jej szukać w pierwszej kolejności.

Z pewnością rozsądniej byłoby, gdyby trzymała się z dala od bitych

gościńców, nocując w oddalonych od uczęszczanych traktów zagrodach.

Tylko w ten sposób mogła zyskać pewność, iż ujdzie pościgowi poryw-

czego narzeczonego. Czekwały ją dni pełne wyrzeczeń, lecz mimo trwogi

Mary wciąż nie porzucała nadziei. Ponury los Gwynneth Ruttwen oraz

wydarzenia ostatniej nocy skłoniły ją do podjęcia tego postanowienia i

nie zamierzała w żadnym razie się z tego wycofywać.

Decyzja zapadła.

Po raz pierwszy w życiu Mary Egton czuła się naprawdę wolna.

Długo po północy sir Walter wciąż siedział przy biurku w swoim gabinecie, ślęcząc przy świetle świec nad najnowszą powieścią, nad którą praca nie bardzo posuwała się do przodu. Był tutaj również Quentin, chociaż tylko ciałem. Wyczerpany mitręgą dnia młodzieniec zasnął w fotelu. Koc, którym sir Walter okrył go troskliwie, unosił się i opadał równomiernie w rytm jego oddechu.

Sir Walter niemal zazdrościł siostrzeńcowi spokojnego snu; on sam od tygodni nie spał dłużej niż trzy, cztery godziny. Nawet kiedy zasypiał, wciąż w snach dręczyły go pytania. Te same świdrujące jak zawsze. Pytania: jak oraz dlaczego? Dlaczego Jonathan musiał umrzeć? Kim byli ci, którzy pociągali za sznurki i za których sprawą działy się te straszne rzeczy? Co właściwie knuli? I co z tym wszystkim miały wspólnego tajemnicze runiczne symbole, które Quentin i on zdołali odkryć?

Gdyby sir Walter przeczuwał, że ciemne postacie podkradły się pod dom przy Castle Street i zerknęły do środka przez szczelinę między zasłonami, zapewne byłby znacznie bardziej zaniepokojony. On jednak znów uprzytomnił sobie, że wciąż ma przed sobą pracę i usiłował skoncentrować się nad powieścią, którą właśnie pisał.

Niestrudzenie zanurzał pióro w kałamarzu z atramentem i przesuwał je potem po papierze. Wszelako coraz częściej musiał je odstawić na bok i ponownie powtarzać w myślach to, co przed chwilą napisał. Nie chodziło tylko o to, że miał problemy ze skupieniem

uwagi. Do tej pory na dobrą sprawę nie wiedział jeszcze, jak powinny potoczyć się przygody bohatera. Akcja powieści rozgrywała się za panowania Ludwika XI. Jeśli sir Walter miał być wobec siebie szczery, to musiał przyznać, że nie wymyślił jeszcze chwytliwego imienia dla głównego bohatera, młodego szkockiego szlachcica, który wyjechał do Francji, by tam dokonywać sławetnych czynów.

Co do tego, że nie będzie w stanie dotrzymać zaplanowanego terminu, sir Walter nie miał już złudzeń. Będzie więc musiał napisać do Jamesa Ballantyne'a list z uprzejmymi przeprosinami za opóźnienie. Jeśli jednak wkrótce nie rozwiąże zagadki związanej z Bractwem Runów, cała ta sprawa może wpłynąć niekorzystnie na jego pisarską karierę.

Sir Walter zacisnął powieki. Własne pismo rozmywało mu się przed oczyma, co złożył na karb słabego światła, jakie rzucały płomyki świec. Dlaczego, na miłość boską, nikt jeszcze nie wpadł na pomysł, aby w domach instalować lampy gazowe, których od dawna używano na ulicach?

Z żelazną konsekwencją sir Walter wciąż miał otwarte oczy i zapełniał papier kolejnymi linijkami tekstu. Po chwili zamrugał i tym razem było to coś więcej niż tylko irytacja. Trudy dnia domagały się swego, powieki opadły. Kiedy ponownie je podniósł, jedno spojrzenie na stojący zegar pozwoliło mu stwierdzić, iż upłynęło dziesięć minut. Dziesięć minut zmarnowane, ponieważ nie był w stanie zapanować nad sobą! Besztając sam siebie, sir Walter znów przystąpił



do pracy i zakończył ustęp, w środku którego zasnął. Ledwo tylko postawił kropkę, znów zwyciężyło zmęczenie.

Kiedy następnym razem otworzył oczy, nie musiał patrzeć na zegar, by wiedzieć, że znów upłynęło nieco czasu. Zobaczył przed sobą cztery postacie odziane w habity z kapturami, które stały przed nim w jego pracowni.

Przez chwilę poczuł śmiertelny strach i natychmiast się ocknął. Z jego gardła dobiegł zduszony krzyk, który obudził również Quentina.

-Wuju, co...?

Młodzieniec przerwał, gdy dostrzegł postacie w kapturach, wciąż jednak miał otwarte usta, chociaż głos go zawiódł. Zdjęła go paniczna trwoga i mimowolnie przywołał w pamięci straszliwy moment, kiedy w bibliotece Kelso stanął twarzą w twarz z mrocznym cieniem.

Potem jednak Quentin zauważył, iż te postacie nie miały na sobie czarnych opończy, lecz brązowe, poza tym w dłoniach ścisnęły proste i długie drągi ze sprężystego drewna. Quentin nie był jednak w stanie wyjaśnić, jakim sposobem ci ludzie dostali się do domu.

- Cóż to ma znaczyć? - zapytał sir Walter, który wcześniej niż jego siostrzeniec odzyskał mowę. - Z jakiego powodu wbrew prawu nachodzicie mój dom?! Natychmiast opuść moje progi, zanim zaalarmuję konstabla!

Przywódcą intruzów, który stał najbliżej sir Waltera, sięgnął ręką do kaptura i zsunął go na plecy. Zarówno sir Walter, jak i Quentin wciągnęli głośno powietrze, gdy rozpoznali twarz opata Andrew.

-Wielebny opat! - zawołał Scott, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.

- Dobry wieczór, sir Walterze - pozdrowił go zakonnik. - I tobie również dobry wieczór, paniczu Quentinie. Proszę was, abyście wybaczyli to najście moim braciom oraz mnie, jednak okoliczności nie dały nam innego wyboru.

- Jakież okoliczności? - zapytał sir Walter, który zdołał już pokonać trwogę i znów przeważył w nim rozsądek. - Dlaczego nie jesteście w Kelso? I w ogóle, cóż ma znaczyć ta procesja?

- Wkrótce wszystkiego się pan dowie - opat zaspokoił nieco zupełnie usprawiedliwioną ciekawość sir Waltera. - Nadeszła pora, żebyśmy ujawnili się przed wami, moi panowie, gdyż sprawy przyjęły dramatyczny obrót, którego wcześniej nie mogliśmy przewidzieć. I obawiam się, że wam obu przypadnie rozstrzygająca rola...

Mary Egton kontynuowała ucieczkę.

Już od czterech dni przemierzała zdającą się nie mieć końca wyżynną krainę, wciąż kierując się na południe. Przy tym starała się w miarę możliwości omijać uczęszczane szlaki i jednocześnie unikać spotkań z innymi podróżnymi.

Mary zdawała sobie sprawę, że w ogóle nie było bezpieczne podróżowanie w samotności przez tę dziką i surową krainę, w której przydrożni rabusie uprawiali swój nieczny proceder. Jednak perspektywa, że zostanie się w ręce zbirów, wydawała się jej mniej tragiczna niż powrót do Malcolma Ruthvena i spędzenie wspólnie z

nim reszty dni w ponurych murach jego zamku. Zatem kontynuowała podróż.

Noce spędzała w obskurnych małych gospodach, z dala od głównego gościńca. Za niewielkie pieniądze, stanowiące cenę milczenia, gospodarze rezygnowali z zadawania zbędnych pytań, ona zaś mogła mieć pewność, że nie zostanie odkryta. Ostatnią noc spędziła w stodole niewielkiej zagrody. Dzięki strojowi oraz kapturowi, który miała nasunięty głęboko na twarz, chłop wziął ją za posłańca, ona zaś nie uczyniła niczego, aby wyprowadzić go z błędu. Zapewne litując się nad wychudzonym i przemokniętym do suchej nitki chłopcem, gdyż cały dzień siąpił deszcz, pozwolił Mary przenocować w stodole.

Dla młodej arystokratki spanie na słomie, jak to mieli w zwyczaju ubodzy, było zupełnie nowym doświadczeniem. Budziła się wielokrotnie z obolałymi plecami, słoma kłuła jej ciało, a w przyległej oborze bydłeta często głośno porykiwały. Jednak Mary nie odbierała tego jako niewygody, ponieważ było to życie, proste i prawdziwe. Taki był smak wolności.

Wyruszyła jeszcze przed nastaniem dnia i podążyła wąską ścieżką na południe. Po raz pierwszy od kilku dni przez mgłę przebijało wschodzące słońce. Pejzaż, który przez ostatnie dni Mary widywała, teraz się zmienił. Wzgórza nie były już takie nagie i brązowe jak w regionie Highlands, trawa stała się zieleńsza i bardziej soczysta.

Zamiast ubogich krzaków i splechci janowca ku niebu wznosiły się drzewa, które w świetle słońca połyskiwały żółto-zielonymi barwami.

Jej trwoga gdzieś zniknęła. Po raz pierwszy Mary miała uczucie, że może znowu swobodnie oddychać.

Gdy minęło południe, dotarła do skrzyżowania, gdzie ścieżka, którą jechała, przecinała się z głównym traktem. Mary przypomniała sobie, że mijala już to miejsce, gdy wraz z Kitty jechały do Ruthven.

Krew zaczęła szybciej płynąć w jej żyłach, kiedy uświadomiła sobie, że jest już niedaleko Abbotsford. Gdy była tak blisko celu podróży, zrezygnowała z ostrożności i pojechała głównym gościńcem, który prowadził wzdłuż rzeki Tweed w stronę posiadłości sir Waltera.

Im dłużej jechała traktem, tym bardziej umacniała się jej pewność siebie. Kiedy w końcu warstwa chmur przerzedziła się i przyjazne żółte promienie słońca przedzierały się przez listowie drzew, Mary poczuła prawdziwą euforię. Wtedy zdała też sobie sprawę, że jeszcze nie pomyślała o tym, co powinna powiedzieć sir Walterowi. Do tej pory cała jej uwaga koncentrowała się na ucieczce. Jej jedynym pragnieniem było wyrwanie się z objęć Malcolma Ruthvena. Teraz jednak nadeszła pora, by pomyśleć o tym, co dalej.

Czy powinna, czy wolno jej było powiedzieć prawdę sir Walterowi?

Nie chodziło o to, że Mary nie ufała panu Abbotsford. Ale czy miała prawo wciągać go w tę sprawę. W końcu między jej rodzicami a rodziną Ruthven została zawarta wiążąca prawnie umowa, ona zaś nie chciała uwikłać sir Waltera w spór, do którego z całą pewnością dojdzie. Z drugiej natomiast strony wiedziała, że był on biegły w

kwestiach prawnych jak mało kto. Któż zatem, jeśli nie on, mógł jej pomóc w rozpoczęciu nowego życia?

Pograżona w myślach jechała dalej, aż przez zieloną gęstwinę drzew dosłyszała plusk pobliskiej rzeki Tweed. Była więc już bardzo blisko Abbotsford. Gdy Mary spięła konia ostrogami, by resztę drogi pokonać jak najszybciej, gęstwina po obu stronach drogi nagle ożyła.

- Stać! - zawołał donośnie jakiś głos, a tuż przed Mary poszybowała w górę sieć, którą wcześniej przykrywał piasek i rozsypane liście, przecinając jej drogę.

Jej koń parsknął w panice i przestraszony stanął dęba na tylnych nogach. Mary musiała wykorzystać cały swój jeździecki kunszt, by nie dać się zrzucić z siodła. Dokonała tego z trudem, utrzymała się w siodle i uspokoiła zwierzę. Kiedy rozejrzała się na boki, dostrzegła wokół siebie ludzi, którzy mieli na sobie czerwone mundury i byli uzbrojeni w muszkiety o długich lufach - żołnierze!

- Cóż to ma znaczyć? - zapytała Mary, nie kryjąc wściekłości.

- Zsiadaj - polecił jeden z żołnierzy, kapral, którego mina wyrażała stanowczość i zdecydowanie.

- Cóż to jest? Napaść?

- Zsiadaj - powtórzył rozkaz kapral. - Albo wydam rozkaz, by zastrzelono cię, pachołku!

Mary wzięła głęboki oddech. Z uwagi na ubiór oraz sposób, w jaki siedziała na koniu, kapral nie zauważył, że miał przed sobą kobietę.

Być może nie powinna wyprowadzać go z błędu. Ponieważ wokół

siebie miała lufy muszkietów, Mary nie widziała innej możliwości, jak wykonać polecenie. Ociągając się, zsunęła się z siodła, starając się wyglądać jak mężczyzna.

- Tak już lepiej. A teraz ściągnij kaptur.

- Dlaczego?

- Nie słyszałeś, co mówię? Czy mam cię najpierw nauczyć posłuszeństwa, pachołku?

Mary przygryzła wargi. Fakt, że została zatrzymana tak blisko celu, rozzłościł ją i jednocześnie wywołał frustrację. Wprawdzie nie bała się żołnierzy, ale obawiała się pytań, które zapewne zostaną jej postawione, kiedy okaże się, że w rzeczywistości jest niewiastą.

Niedbałym ruchem ręki Mary zrzuciła kaptur opończy, po czym ukazały się jej blond włosy, które w przyćmionym świetle słońca połyskiwały złociście.

- Czy teraz jest pan zadowolony? - zapytała i obrzuciła kaprała wściekłym spojrzeniem.

Nawet jeśli żołnierze byli zaskoczeni, nie pokazali tego po sobie.

Kapral dal znak jednemu ze swoich podwładnych, który wycofał się i zniknął w głębi lasu.

- Cóż to ma znaczyć? - raz jeszcze zapytała Mary. - Dlaczego mnie zatrzymaliście? Protestuję stanowczo przeciwko takiemu traktowaniu, słyszy pan?

Ani podoficer, ani jego żołdacy nie odpowiedzieli. Po chwili

jednak powrócił żołnierz w towarzystwie innego człowieka, którego

wygląd oraz zachowanie wzbudzały mimowolny respekt.

Gładko zaczesane czarne włosy otaczały wąską ascetyczną twarz, z której spoglądała para lodowatych iskrzących się oczu. Rysy tego człowieka zdradzały zdecydowanie, natomiast jego postawa oraz sposób, w jaki się poruszał, także władzę oraz dumę. Mary niezbyt знаła się na stopniach wojskowych, jednak nieskazitelny mundur z epoletami pozwalał jej wywnioskować, że ten człowiek musi mieć stopień oficerski.

- Czy pan wydaje rozkazy tej hordzie? - zapytała Mary

buńczuczным tonem. - W takim razie proszę mi wyjaśnić bezczelne zachowanie pańskich ludzi. O mały włos spadłabym z konia.

- Proszę wybaczyć zachowanie moich podwładnych, pani -

odezwał się mężczyzna, a Mary, słysząc jego wymowę, domyśliła się, że nie jest on Szkotem, lecz Anglikiem. - Jednocześnie muszę wziąć w obronę moich ludzi, ponieważ uczynili to na mój rozkaz.

- Na pański rozkaz? - Mary uniosła brwi. - A kim pan jest, jeśli wolno mi spytać?

Nagabywany mężczyzna uśmiechnął się zupełnie niewzruszony.

- Czy nie sądzi pani, uwzględniając okoliczności, że to ja powinienem być osobą, która stawia pytania? Sądząc po pani mowie i zachowaniu, zakładam, że nie jest pani służącą ani wiejską dziewczką, chociaż ubiór oraz bezwstydnym sposobem, w jaki jechała pani na koniu, pozwalałoby wyciągnąć taki wniosek.

- To... prawda - potwierdziła Mary i opuściła wzrok.

Uświadomiła sobie, że jej butne zachowanie było niezbyt roztropne. Być może żołnierze wzięli ją za chłopską dziewczkę i postanowili ściągnąć z konia. Teraz jednak musiała się przed nimi tłumaczyć.

- A zatem? - ponaglił ją oficer. - Oczekuję wyjaśnienia.

Jego badawczy wzrok przeszył Mary do szpiku kości. Gorączkowo szukała odpowiedzi. W żadnym razie nie mogła wyjawić prawdy, gdyż wtedy ponownie wylądowałyby w Ruthven szybciej, niż zdążyłyby wymienić imiona swoich niezameężnych kuzynek.

- Mam na imię Rowena - podała pierwsze imię, jakie przyszło jej do głowy, i zaraz dodała. - Lady Rowena Ivanhoe.

-1 co dalej?

- Jechałam do Abbotsford, kiedy moja czeladź i ja zostaliśmy napadnięci przez rabusiów. Moim sługom udało się uciec, natomiast ja znalazłam się w rękach bandytów. Przez dwa dni trzymali mnie w niewoli, zanim w końcu także mnie udało się uciec.

- A pani szaty?

- Zostały u rabusiów. Mimo to mogę cieszyć się, że cokolwiek mam na sobie.

- Rozumiem - odparł mężczyzna i roześmiał się niejednoznacznie, w rezultacie czego Mary nie była w stanie rozstrzygnąć, czy dał wiarę jej czczym kłamstwom czy też nie.

- Skoro pan już wie, kim jestem - odezwała się - teraz ja chętnie dowiedziałabym się, kim pan jest.



- Z pewnością, milady. Nazywam się Charles Dellard. Jestem

królewskim inspektorem, który wypełnia misję specjalną.

- Misję specjalną? - Mary uniosła brwi. - Cóż to może być za

misja specjalna, inspektorze? Czatowanie w leśnej głuszy na bezbronne

kobiety? Czy nie powinien pan zatroszczyć się o to, by pojmać

rabusiów, którzy napadli na mnie?

Dellard puścił mimo uszu złośliwość, a także pozostałe słowa.

Najwyraźniej zdawał się mało przejmować tym, co mówiła Mary.

- A zatem zmierza pani do Abbotsford? - odpowiedział tylko

pytaniem.

- W rzeczy samej.

- Cóż zamierza pani tam robić?

- Odwiedzić mojego drogiego przyjaciela - odparła Mary z

triumfującym uśmiechem. - Być może zna go pan, ponieważ jest w tej

okolicy człowiekiem bardzo wpływowym. Sir Walter Scott.

- Oczywiście, znam sir Waltera - zapewnił inspektor. - Do

pewnego stopnia to on jest powodem bezprawia, które panią spotkało z

naszej strony, lady Rowena.

- Jak mam to rozumieć?

- Nie tylko pani została napadnięta przez bandytów. Lasy w tych

dniach pełne są przestępców, którzy zakłócają spokój tego regionu i

bezceremonialnie depreczują prawo. Nie powstrzymali się nawet przed

atakami na Abbotsford.

- Doszło do napadu na Abbotsford? - Mary dokładała starań, by

emocje, jakie nią targnęły, nie były nazbyt widoczne.

- Dokładnie. I z tego powodu, milady, sir Walter nie przebywa już w swojej wiejskiej posiadłości.

- Nie? - Mary poczuła, jakby świat się nagle zawalił. - Gdzie więc przebywa?

-W Edynburgu, na moje zresztą polecenie. Oświadczyłem mu, że tutaj, z dala od miasta, nie jestem w stanie zapewnić mu bezpieczeństwa, dlatego postanowił wraz z rodziną przeprowadzić się do swego domu w Edynburgu. Mówiąc szczerze, dziwi mnie fakt, że nie powiadomił o tym pani, skoro jest pani drogim przyjacielem. Ton wypowiedzi inspektora nie podobał się Mary zupełnie, a jego spojrzenie jeszcze mniej. Kryła się w nim nie tylko nieufność, lecz także duża doza uciechy z cudzego nieszczęścia.

- Wydaje mi się - kontynuował Dellard - że nie było pani przez jakiś czas w tej okolicy, lady Rowena. A tutaj sporo się zmieniło w ostatnim czasie. Okolica stała się niebezpieczna. Rabusie kryją się wszędzie, zatem nie dziwi mnie to, co się pani przydarzyło. By uniknąć ponownej napaści, moi ludzie i ja zapewnimy pani osobistą opiekę.

- To nie będzie konieczne - zapewniła Mary.

- Ależ jednak tak, milady. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby pani coś się przydarzyło w trakcie dalszej drogi. Moi ludzie i ja zapewnimy pani eskortę, żeby mieć całkowitą pewność, iż nie wpadnie pani ponownie w łapska niegodziwych rabusiów.

- Ależ nie, inspektorze - powtórzyła Mary tym razem energiczniej.

- Już panu powiedziałam, że to nie będzie potrzebne. Pan i pańscy ludzie mają zapewne do wypełnienia inne obowiązki i nie chcę w tym panu przeszkadzać.

- Niech się pani nie troska, milady. Choć z pewnością pani tego nie robi - odparł Dellard i skinieniem ręki dał znak dwóm ludziom, którzy pochwycili Mary.

- Cóż to ma znaczyć? - zapytała.

- To tylko dla pani dobra, milady - odparł Dellard, a złośliwy wyraz jego twarzy zadawał kłam jego słowom. - Otoczymy panią opieką, dopóki niebezpieczeństwo nie minie.

- Jeśli chodzi o mnie, niebezpieczeństwo minęło. Proszę wydać rozkaz swoim ludziom, by natychmiast mnie puścili.

- Żałuję, ale nie mogę tego zrobić.

- Dlaczegoż nie?

- Ponieważ ja również mam rozkazy - odparł Dellard, a najwyraźniej udawana sympatia zniknęła z jego twarzy. -

Odprowadźcie ją - rozkazał swoim ludziom, jednak Mary ani myślała odgrywać rolę bezbronnej ofiary.

Zamierzyła się ze wszystkich sił, podeszła do jednego z pilnujących ją żołdaków i kopnęła nad cholewą w kolano. Żołnierz zaklął szpetnie i przykucnął, głośno stękając. Jego kompan był do tego stopnia zaskoczony, że poluznił uścisk na ramieniu Mary. Wykorzystała tę chwilową sposobność, by się uwolnić. Zrozpaczona ruszyła pędem przed siebie na drugą stronę traktu, w kierunku zarośli.

- Zatrzymać ją! Nie pozwólcie jej uciec! - wykrzyknął Dellard

do swoich ludzi.

Już po chwili Mary znów znalazła się w silnym uchwycie i została

przywleczona z powrotem. Broniła się zażarcie, jednak uległa

fizycznej przewadze żołdaków, których było znacznie więcej, nie dając

jej nawet cienia szansy.

Jednak wciąż nie dawała za wygraną i broniła się wściekle. Fukając jak

drapieżny kot, wymierzała dookoła razy małymi piąstkami, drapała i gryzła,

co zupełnie nie przystawało szlachetnie urodzonej damie. W końcu zdołała

raz jeszcze uwolnić się. Tym razem wylądowała jednak wprost w

ramionach Dellarda, który oczekiwał na nią z zuchwałym uśmiechem.

- Dokąd się wybierasz, milady? - zapytał i zanim Mary zdołała

zareagować, wyciągnął szablę i uderzył ją.

Metalowa część rękojeści trafiła Mary w skroń. Poczowała palący

ból, później świat wokół niej zaczął mętnieć i wirować. Ostatnią

rzeczą, jaką zobaczyła, zanim straciła przytomność, była uśmiechnięta

zuchwale twarz Charlesa Dellarda.

Gdy minęło pierwsze oszołomienie, opat Andrew rozpoczął relację.

Udali się do salonu, gdzie sir Walter, Quentin oraz opat zasiedli w dużych fotelach przed kominkiem. Trzem współpracownikom opat polecił, by strzegli drzwi oraz okien.

- Te środki ostrożności są zupełnie zbędne - oznajmił sir Walter. -

Ten dom jest solidnie zbudowany i posiada mocne okna i drzwi.

- A mimo to udało nam się bez trudu wejść do środka - odparł

opat ze spokojem. - A to, co jest możliwe dla nas, może również udać się wrogowi.

- Jakiemu wrogowi?

- To pan dobrze wie, sir Walterze. Obiecałem panu prawdę, ale chciałbym również prosić, żeby przestał już pan prowadzić z nami grę-

- Pytanie brzmi, kto z kim prowadzi grę, mój zacny opacie. Po wielekroć zwracałem się do ciebie z prośbą o wyjaśnienie znaczenia runicznego znaku i za każdym razem otrzymywałem od ciebie jedynie mętne poszlaki.

- W pańskim najlepiej pojętym interesie. Gdyby pan w tamtym momencie porzucił sprawę, nikt by pana nie nagabywał. A teraz obawiam się, że nie ma już dla pana odwrotu.

- Nie ma już odwrotu? - zapytał Quentin. - Przed czym?

- Przed odpowiedzialnością, jaką przydzieliło wam przeznaczenie, paniczku Quentinie. Obawiam się, iż pański wuj oraz pan zostaliście

uwikłani w tę historię w takim samym stopniu, w jakim jesteśmy zaangażowani my.

- W jaką historię? - chciał wiedzieć sir Walter, a z jego głosu wyraźnie biła niecierpliwość. - Jakiej to tajemnicy strzegą mnisi z Kelso, o której nikt inny nie może się dowiedzieć?

- Tajemnicy z dawnych, bardzo dawnych czasów - odparł opat zagadkowo. - Zanim jednak odkryję przed panem prawdę, musi pan złożyć przysiężenie, iż nikomu nie zdradzicie ani słowa.

- Dlaczegoż nie?

- Pańskie pytanie, sir Walterze, zyska odpowiedź dopiero wtedy, kiedy dowie się pan, o co w tym wszystkim chodzi.

- Czy inspektorowi Dellardowi ojciec również założył kaganiec? - zapytał buńczucznie Scott.

- Inspektorowi Dellardowi?

- Powiedział mi, iż rozmawiałeś z nim, ojcze. Od niego też dowiedziałem się kilku rzeczy, o których teraz wiemy.

- A zatem inspektor Dellard - opat skinął głową. - Rozumiem. W ten sposób dał nam pan już pierwszą niesłychanie ważną wskazówkę.

- Cieszy mnie to - skłamał sir Walter bez zająknięcia. - Wciąż jednak mówisz zagadkami, wielebny opacie.

- Proszę o wybaczenie. Kiedy przez tak długi czas strzegło się skrupulatnie tajemnicy, ciężko jest przerwać milczenie.

- Dokładnie jak długo? - chciał wiedzieć Quentin.

- Bardzo długi czas, paniczu Quentinie. Ponad pięćset lat.

- Pięćset lat - powtórzył Quentin nieco zatrwożony.

- Od czasów Williama Wallace'a i Roberta Bruce'a. Więcej niż pół tysiąca lat.

Sir Walter był najwyraźniej mniej poruszony niż jego siostrzeniec.

- Czy teraz zbliżamy się do momentu, w którym zamierzasz, ojcze, wmówić nam, iż ty oraz twoi bracia już wtedy byliście przy tym obecni? - zapytał z odrobiną kpiny.

- Nie, sir Walterze. Ale wiedza o wydarzeniach tamtych mrocznych dni jest w moim zakonie przekazywana z pokolenia na pokolenie. Przede mną tajemnicy tej strzegło nie mniej niż trzydziestu dwóch opatów, którzy dopiero na krótko przed śmiercią przekazywali ją swoim następcom. Jestem dziedzicem długiego szeregu poprzedników i nie miałbym nic przeciwko temu, gdyby mój czas dobiegł końca. Jednakże przeznaczenie chciało inaczej. Rozstrzygnięcie nastąpi teraz, w tych dniach. Nasze pokolenie jest tym, które dźwiga to brzemień odpowiedzialności.

- Jakiej odpowiedzialności?

- Musi pan wiedzieć, sir Walterze, że mnisi z Dryburgha, których jesteśmy spadkobiercami, złożyli uroczystą przysięgę. Oni złożyli nie tylko śluby ubóstwa, czystości i posłuszeństwa, ale przysięgli również zwalczać zło, czyli pogaństwo oraz czarną magię. A powodem tej przysięgi była haniebna zdrada, której wówczas dopuścił się William Wallace.

- Musiałbyś mi, ojcze, wytłumaczyć to dokładnie - zażądał sir

Walter i uklonił się.

Blask płomieni rzucał migoczące światło na napięte rysy jego twarzy.

- Zna pan historię. William Wallace, który już za swego życia zyskał przydomek „Waleczne Serce”, zjednoczył skłócone klany regionu Highlands i poprowadził je do walki przeciw Anglikom. W roku Pańskim 1297 odniósł decydujące zwycięstwo pod Stirling, które zachęciło go do ruszenia z wyprawą na południe i do zaatakowania wroga na jego własnej ziemi. Sukcesy Wallace'a pobudziły wszelako do działania zawistników. Przywódców klanów, którzy zazdrościli mu zdobytej pozycji oraz uwielbienia ludu. Dlatego zaczęli knuć intrygi. Rozsiewali pogłoski, że Wallace sam pragnie sięgnąć po koronę, gdy ostatecznie pokona Anglików, co oczywiście było jawnym łgarstwem, jednakże w wielu miejscach wzbudziło nieufność w stosunku do Wallace'a.

- W bitwie pod Falkirk po raz pierwszy wzeszły ziarna, które zasiali wrogowie „Bravehearta”. Kilku znaczących przywódców klanów opuściło Wallace'a na polu bitwy, zostawiając go w potrzasku. Bitwa została przegrana, Wallace przeżył, ciężko raniony. Jednak jego sława doznała poważnego uszczerbku, ponieważ od tej pory wielu było takich, którzy w niego zwątpili. Wśród tych, którzy najzacieklej knowali przeciwko Wallace'owi, byli członkowie starych zakazanych bractw tworzonych przez druidów, które przetrwały jeszcze z zamierzchłych



ciemnych epok. Druidzi zwietrzyli wówczas

sposobność, iż obalając Wallace'a, który wciąż stał wiernie przy

Kościele, doprowadzą do wy-

buchu rewolty i w ten sposób rozpoczną nową erę, u kresu której stary

pogański porządek świata znów zostanie przywrócony.

- Najsilniejszą spośród owych sekt było Bractwo Runów, które

zdołało przeciągnąć na swoją stronę kilku młodych ambitnych

szkockich szlachciców, pragnących wynieść na tron młodego hrabiego

Bruce<sup>^</sup>. Posługując się nimi, Bractwo Runów opracowało perfidny

plan. Za pomocą czarnej magii Wallace miał być doprowadzony do

upadku, a Robert osadzony na tronie jako władca, choć jedynie po to,

by władać w imieniu bractwa i przywrócić stary porządek.

- Czarna magia, pogańskie klątwy - powtórzył Quentin jednym

tchem, podczas gdy sir Walter przysłuchiwał się temu w milczeniu, a z

jego twarzy bił sceptycyzm.

- Wiodącą rolę w sprzysiężeniu odgrywał miecz Wallace'a, ów

oreź, który przyczynił się do zwycięstwa pod Stirling i który stał się w

oczach szkockich klanów symbolem wolności i oporu wobec

angielskich okupantów. Rozległy się głosy, które twierdziły, że miecz

„Walecznego Serca” jest prastarą runiczną głownią, która została

wykuta w mrokach pradziejów przez pierwszych przywódców klanów i

której przypisywano magiczne zdolności. Przy pomocy jednego z

młodych szlachciców o imieniu Duncan Ruthven, którego ojciec był

wiernym popiecznikiem Wallace'a i który z tego powodu cieszył się

jego zaufaniem, miecz „Bravehearta” został wykradzony z jego siedziby i przekazany członkom bractwa, a ci, posiadłszy oręż, odprawili pogański rytuał, oblewając go ludzką krwią i rzucając na niego urok. Nie upłynęło wiele czasu, a klątwa zaczęła działać.

Wojenna fortuna odwróciła się od Wallace'a. Sojusznicy zaczęli go opuszczać, on zaś z myśliwego przeistoczył się w zwierzynę łowną. W roku Pańskim 1305 został zdradzony przez swoich ludzi. Wpadł w pułapkę zastawioną przez Anglików, pojmano go i zawieziono do Londynu, gdzie w następnym roku publicznie stracono.

- A miecz? - spytał Quentin.

- Miecz runów zniknął w tajemniczy sposób. Jedynie po to, by po kilku latach znów się pojawić, tym razem w posiadaniu Roberta Bruce'a. Bractwo wysłało do niego młodego szlachcica i w ten sposób udało mu się pozyskać zaufanie Roberta. I chociaż sam Robert nie widział szansy kontynuowania wojny przeciw Anglikom, zdobył się na to, co niewyobrażalne, i odniósł zwycięstwo na polu bitwy pod Bannockburn. Od tamtej pory liczni historycy zadają sobie pytanie, jak to się stało. Jak rozproszona garstka członków szkockich klanów zdołała pokonać regularne wojsko angielskie, które wielokrotnie przeważało na nimi liczebnością oraz uzbrojeniem?

- Zdradzisz nam to, ojcze? - wysunął przypuszczenie sir Walter.

- Próbowano przypisać to pogodzie czy też właściwościom gruntu, na którym toczyła się walka. Jednak to wcale nie była prawdziwa przyczyna. Prawdziwa przyczyna leżała w tym, że tamtego dnia do

działa przystąpiły moce, które już dawno zniknęły z tego świata.

Mroczne, pełne grozy siły, które w bitwie stanęły po szkockiej stronie i przepełniły serca Anglików trwogą. Klątwa Bractwa Runów, którą obłożono miecz Roberta Bruce'a, zadziałała.

- I wierzysz w coś takiego, wielbny opacie?

- Nie ma żadnego powodu, bym tego nie czynił, sir Walterze.

Podręczniki historii są dowodem na to, co się wówczas wydarzyło.

- Historia mówi tylko o zwycięstwie pod Bannockburn. Nic nie jest mi wiadomo o mieczu runów oraz o klątwie.

- Musi pan czytać między wierszami - uparcie trzymał się swego

opat. - Czyż nie jest prawdą, że polityka Roberta po śmierci Williama

Wallace'a uległa drastycznej zmianie? Że porzucił rolę drugoplanową i

włączył się do walki o tron? Że stał się nieufny i w każdej sytuacji

dopatrywał się spisku? W 1306 roku, w tym samym, w którym Wallace

został stracony, Bruce kazał z zimną krwią zamordować swego rywala

Johna Comyna w kościele w Dumfries, torując sobie tym samym drogę

do tronu. Krótco potem został obwołany królem Szkocji, jednak

Kościół odmówił mu uznania. Co więcej, Robert został obłożony

ekskomuniką i skazany przez Kościół na wygnanie; jak pan myśli,

dlaczego tak się stało?

- Z powodu miecza - udzielił odpowiedzi Quentin.

- Później - kontynuował opat Andrew, przytaknąwszy - w

szczególności członkowie mojego zakonu troszczyli się o to, by

Robertowi wytłumaczyć jego tragiczną pomyłkę i by przekonać go o

tym, że był bliski całkowitego oddania się we władanie złych mocy.

Dostrzegli, iż dobro w nim jeszcze nie wygasło, a król stopniowo powrócił na ścieżkę światła.

- Ale czyż nie powiedziałaś, ojcze, iż Robert walczył pod Bannockburn mieczem obłożonym klątwą?

- Tak właśnie było. Ale jeszcze w dniu, w którym odniósł zwycięstwo, odwrócił się od ciemnych mocy. Pozostawił miecz runów na polu bitwy i pełen skruchy wrócił na łono Kościoła. Odbył też pokutę za to, iż zszedł z właściwej drogi i został uznany przez papieża. Sam król jednak nigdy nie był w stanie wybaczyć sobie tego, czym okupił zwycięstwo pod Bannockburn. Do końca żywota żałował tego czynu, a żal za uczyniony grzech nakłonił go również do podjęcia postanowienia, by po śmierci jego serce zostało pochowane w Ziemi Świętej.

- Zatem to jest owa wina, której brzemień król dźwigał do ostatnich dni - Quentin wyraził na głos myśl, przypominając sobie słowa wuja. - Dlatego też jego serce zawieziono do Ziemi Świętej. Nie jest to więc tylko legenda.

- To prawda, paniczu Quentinie, podobnie jak cała reszta.

- Skąd ojciec o tym wie?

- Jeden z naszych braci o imieniu Dougal w swoim czasie ryzykował życie, by ostrzec Williama Wallace'a. Jego ostrzeżenie nigdy nie dotarło do Wallace'a, ponieważ strzała wystrzelona z ukrycia ugodziła naszego brata. Jednak Dougal żył jeszcze dostatecznie długo i

zapisał to, czego dowiedział się o planach wroga.

- A miecz? - zapytał sir Walter. - Co się stało z rzekomo obłożonym klątwą orężem?

- Jak już powiedziałem, w dniu bitwy pozostał na polu pod Bannockburn. Król odwrócił się od pogaństwa i ciemnych mocy i powrócił do światłości. Oczywiście członkowie bractwa poczuli się zdradzeni. Ich gniew zwrócił się przeciwko królowi, którego oczerniali, i po dziś dzień krąży pogłoska, iż szkocki naród co jakiś czas spotyka nieszczęście dlatego, że Robert tamtego dnia odwrócił się od pradawnych rytuałów i zwyczajów. Miecz jednak zaginął, a wraz z nim niszczycielskie siły. Ku czci ojca Dougala, a także by nie dopuścić do powtórzenia się podobnych wydarzeń, mój zakon postanowił wówczas utworzyć krąg wtajemniczonych, niewielką grupę mnichów, którzy strzeżliby tajemnicy i byli odpowiednio przygotowani na chwilę, gdy miecz znów się pojawi, a wraz z nim również złe siły w nim ukryte. Przez setki lat wielu wierzyło, że Bractwo Runów zostało rozbite, jednak moi współbracia oraz ja wciąż zachowywaliśmy czujność. Przed czterema laty ostatecznie przekonaliśmy się, iż przez cały czas czujność ta była w pełni uzasadniona.

- Jak to? - zapytał Quentin. - Cóż stało się przed czterema laty?

- Odkryto grób króla Roberta - podsunął sir Walter.

- Właśnie

tak.

Gdy

odnaleziono

grobowiec

króla,

przeczuwaliśmy, że znów obudzą się ciemne siły, które w jego czasach

działały, a my powinniśmy utrzymać porządek. Jak gdyby przez te

wszystkie lata czekali na ten moment, członkowie Bractwa Runów

znów wyszli na światło dnia.

- Ale dlaczegoż to? - chciał wiedzieć sir Walter. - Czego chcą ci

ludzie? Jaki mają cel?

- Czyż pan jeszcze tego nie zrozumiał, sir Walterze? Czy nie pojął

pan, o co chodzi pańskim przeciwnikom?

- Szczerze mówiąc, nie.

- Oni chcą sięgnąć po miecz Bruce'a - odparł opat Andrew głosem,

z którego było przeczucie nieszczęścia. - Niszczycielskie siły z

pradawnych czasów wciąż tkwią w tym orężu, a spadkobiercy członków

bractwa pragną je wykorzystać, by zmienić bieg dziejów wedle swego

planu.

- Zmienić bieg dziejów? Jakże to możliwe? I w ogóle, jakim

cudem miecz może być przeniknięty złymi mocami? Wybacz, mój

drogi opacie, ale wymaga ojciec ode mnie, bym dał wiarę rzeczom,

które przeczą wszelkiej logice i stanowią przykład najgorszego

pogańskiego zabobonu.

- Nie musi pan w to wierzyć, sir Walterze. Miecz udowodnił już

swoje niszczycielskie działanie. Po raz pierwszy na polu bitwy pod Ban-nockburn, gdzie śmierć i zatracenie spotkało Anglików, których przewaga liczebna była ogromna. Od tamtej pory miecz pojawił się tylko raz i wówczas nie przyniósł nic poza zgubą i zatraceniem. Wtedy mianowicie, kiedy doszło do przewrotu jakobitów, a Bractwo Runów usiłowało wynieść z tego korzyści. Powstanie stronnictwa wiernego królowi Jakubowi zostało jednak krwawo stłumione, jak pan wie.

Miecz ponownie zaginął, by znów pojawić się w tych dniach.

- A zatem został już odnaleziony?

- Jeszcze nie i pokładam ufność w Bogu, że runiczni bracia nie znajdą go przed nami.

- Dlaczegoż nie?

- Ponieważ znów posłużyliby się nim do tego, by zaplanować przewrót i zniszczenie oraz wprowadzić w kraju chaos i zamęt.

- Miecz, który liczy pięćset lat? - sir Walter nie był w stanie powstrzymać nieco drwiącego uśmiechu. - Bez wątpienia w tym czasie przeżarła go rdza.

- Może pan sobie z tego kpić, jeśli taka pańska wola. Ale powinien pan również pomyśleć o tym, że tamtego miesiąca, w którym William Wallace został zdradzony przez swoich zwolenników, doszło do zaćmienia Księżyca. A za kilka dni...

- ...znów dojdzie do zaćmienia Księżyca -dokończył Quentin głosem wieszczącym nieszczęście.

- Wiecie już o tym?

- Zdołaliśmy odczytać kilka runów, które znajdują się na

grobowcu króla Roberta - potwierdził sir Walter. - Bez wątpienia,

ojcze, znasz ich znaczenie.

Opat Andrew skinął głową, przytakując.

- Te runy właśnie są przyczyną naszego niepokoju. Ponieważ

podają dokładnie miejsce i czas, kiedy Bractwo Runów zamierza

uwolnić siły drzemiące w królewskim mieczu.

- Podczas zaćmienia Księżyca przy kamiennym kręgu.

- Dokładnie tak. Jak dotąd brakuje im tylko najważniejszego.

- Miecza Roberta Bruce'a.

- Racja, sir Walterze. Wiemy, że bractwo go szuka i oczywiście

jego członkowie wiedzą, że my również szukamy tego oręża. Dlatego

napadnięto na bibliotekę i z tego powodu członkowie bractwa podpalili

budynek biblioteki.

- By zniszczyć poszlaki.

- Właśnie.

- I dlatego biedny Jonathan musiał umrzeć. Z powodu jakiegoś

starego zabobonu. I niewiele brakowało, bym przy tej okazji stracił

również mego siostrzeńca.

- Nie sądzę, żeby na początku zamiarem bractwa było wciągnięcie

w to pana i pańskiej rodziny, sir Walterze. Jednakże pańskie uporczywe

próby dotarcia do prawdy sprawiły, iż sam pan się w to uwikłał.

- A zatem ponoszę winę z wszystko, co się stało? Czy to właśnie

chcesz mi powiedzieć, ojcze?



- Nikt nie ponosi winy za to, co się stało, sir Walterze. I wszystko, co możemy uczynić, to zająć te miejsca, które wskazał nam bieg dziejów.

Sir Walter przytaknął w zamyśleniu.

- Skoro jednak wiedziałeś to wszystko, opacie Andrew, skoro przez cały czas wiedziałeś, kim są prawdziwi sprawcy, dlaczego nie byłeś łaskaw mnie oświecić? Dlaczego pozwalałeś mi błąkać się po omacku?

- Dla pana ochrony, sir Walterze. Im mniej pan wiedział, tym lepiej dla pana. Początkowo miałem nadzieję, że w którymś momencie straci pan odwagę i zostawi sprawy własnemu biegowi. Jednak zdecydowanie nie doceniłem pańskiej determinacji. Od tamtej pory moi bracia i ja wspieramy pana ze wszystkich sił.

- Wy? Wspieracie mnie?

- Oczywiście. Jak pan sądzi, od kogo otrzymał pan klucz do zakazanej krypty w bibliotece?

- Cóż, Quentin przypuszczał, że byli to członkowie bractwa, którzy chcieli, byśmy tam dotarli.

- Pański siostrzeniec mylił się, sir Walterze. To nie spiskowcy, lecz mój zakon był w posiadaniu klucza. To my wysłaliśmy go panu. A wizyta pańskiego siostrzeńca u nas, w Kelso... Czy naprawdę wierzy pan, że z miejsca nie przejrzelśmy tego, że owego dnia otrzymał on zadanie, by powęszyć w naszej podręcznej bibliotece? Bez trudu moglibyśmy go przegonić, gdybyśmy tylko chcieli. I czy przypominasz sobie jeszcze tę noc, paniczu Quentinie, kiedy niemalże stałeś się ofiarą przemocy bezimiennych? To moi współbracia uratowali ci wtedy

życie.

- To naprawdę byliście wy? - zapytał zdumiony Quentln. - W takim razie to również wy wzięliście udział w ulicznej walce z zamaskowanymi w pobliżu biblioteki?

Opat przytaknął.

- Tamtej nocy członkowie Bractwa Runów usiłowali dostać się do biblioteki i tam szukać wskazówek o miejscu ukrycia miecza.

Zdołaliśmy ich przepędzić, ale stan ten nie trwał długo. Ostatecznie będziemy w stanie pokonać runicznych braci tylko wtedy, kiedy uda się nam zdobyć miecz Bruce'a i zdjąć z niego klątwę, która ciągle na nim ciąży.

- Klątwy, ciemna magia, mroczne spiski. Nie wierzę w takie rzeczy - trwał przy swoim sir Walter. - Jako człowiek Kościoła również nie powinieneś tego czynić, wielebny opacie.

- Te rzeczy, sir Walterze - odparł dość szorstko opat Andrew - są starsze niż Kościół, któremu służę. Starsze niż czasy, których sięgają historyczne źródła. Klątwa, która ciąży na mieczu runów, jest reliktem istniejącym od zarania dziejów. Z owych czasów, które poprzedzają historię. Jest to coś, co przetrwało do współczesności, chociaż jego czas już dawno dobiegł kresu. Ci, którzy pragną posiąść ten oręż, chcą go wykorzystać do szerzenia chaosu i zniszczenia. Pragną obalić istniejący porządek i przywrócić dawne bóstwa, grozę czasów przedhistorycznych. Jeśli ich nie powstrzymamy, zapanują wojny i barbarzyństwo.

- Słowa pełne patosu - przyznał sir Walter. - Być może powinieneś

spróbować swych sił w pisaniu powieści, drogi opacie. Ale zdradź mi, ojcze, proszę, jakim cudem garstka członków sekretnego bractwa za pomocą liczącego setki lat reliktu może dokonać tak straszliwych rzeczy?

- Zna pan odpowiedź - odparł zdawkowo opat Andrew.

Sir Walter chciał coś odpowiedzieć, lecz nagle zrobił się blady jak kreda.

- Król - wyszeptał.

- Bractwo wie o planowanej wizycie w Edynburgu - potwierdził

opat. - Za kilka dni pojawią się, by w pogańskim ceremoniale wyświęcić miecz w imię śmierci i zagłady, tak jak miało to miejsce kiedyś. Niewinna krew odnowi klątwę, która ciąży na tej głowni.

Później głownia zostanie wbita w serce człowieka, który uosabia nowe czasy, który jest przedstawicielem nowego ładu.

- Król Jerzy - wyszeptał sir Walter. - Więc tak to wygląda. Ci ludzie planują zamach na króla.

- Wie pan, co się wydarzy, jeżeli w czasie pierwszej oficjalnej wizyty w Edynburgu król stanie się ofiarą zamachu.

- W rzeczy samej. Do Szkocji znów wkroczą oddziały wojska, tak jak ostatnio pod wodzą Cumberlanda. Następstwem tego będzie wojna domowa, bardziej okrutna niż wszystkie poprzednie. Anglicy i Szkoci znów będą ze sobą walczyć, znowu popłynie krew, stara nienawiść ponownie rozgorzeje... Całe życie poświęciłem pojednaniu Anglików i Szkotów, a także łączeniu naszych kultur. Wszystko zostałoby

zniweczone od razu w rezultacie takiego krwawego zamachu.

- Nawet jeżeli nie daje pan wiary temu wszystkiemu, co

wyjawiałem panu o mieczu i o Bractwie Runów, sir Walterze, czy nie sądzi

pan, iż pańskim obowiązkiem jako patrioty i obywatela Brytyjskiej

Korony jest uczynienie wszystkiego, co w ludzkiej mocy, by do takiej katastrofy nie dopuścić?

- Jak najbardziej - odparł sir Walter, nie mrugnawszy nawet okiem.

Quentin stanął obok niego. Mimo zamyślenia był zdecydowany

towarzyszyć wujowi w walce przeciwko Bractwu Runów - z jedną

różnicą. Tą mianowicie, iż całkowicie wierzył słowom opata Andrew.

Z każdym słowem, które wypowiadał opat, Quentin robił się coraz

bledszy. Mroczne tajemnice, które spowijały miecz runów, budziły

jego niepokój, jednak nie zbiły go z pantałyku. Po pierwsze dlatego, że

nie opuściła go ambicja i nie zamierzał opuścić wuja w tej decydującej

godzinie. Po drugie również dlatego, że Quentin usłyszał imię młodego

przywódcy klanu, który zdradził Roberta Bruce'a i który nosił

nazwisko Ruthven. A czyż Mary Egton nie miała poślubić potomka

tegoż rodu? Ta wiadomość wzbudziła niepokój Quentina, nawet jeśli

nie bardzo potrafił powiedzieć dlaczego. Być może również dlatego, iż

w skrytości ducha żywił nadzieję, że znajdzie jakąś plamę na honorze

rodu Ruthven i że w ten sposób nieco pocieszy się i ulży swej

zazdrości...

Sir Walter zdawał się nie zauważać jego pełnej gotowości, a Quentin zachował swą wiedzę dla siebie. Jego wuj miał teraz na głowie ważniejsze rzeczy niż jego dziecinne domysły. Stawka w grze była zbyt wielka, by marnowali czas.

- Wiedziałem, że mogę liczyć na pańskie wsparcie, sir Walterze - oznajmił opat Andrew, a na jego mizernej twarzy znów pojawiła się iskierka nadziei. - Wszelako nie zostało nam wiele czasu. Naszą jedyną pociechą jest fakt, że przeciwnik zdaje się wciąż nie wiedzieć, gdzie ukryty jest miecz. Tak samo jak my błądzi po omacku.

- Czy ojciec wie, kim są te typy?

- Nie, większość członków Bractwa Runów nie zna siebie nawzajem. Podczas zgromadzeń wszyscy mają maski, więc nie mogą się rozpoznać. Jedyne ich przywódca zna z twarzy wszystkich członków, tak jest już od dawnych czasów.

- I z tego względu depczą nam cały czas po piętach - sapnął sir Walter. - Ale wciąż są o krok za nami.

- Jak już powiedziałem, także nasi przeciwnicy nie znają miejsca, w którym ukryty jest miecz. Wiedzą tylko, że w ciągu następnych czterech dni muszą znaleźć się w jego posiadaniu, by podczas zaćmienia Księżyca odnowić klątwę, która ciąży na głowni. Nie może im się to udać, sir Walterze! Musimy znaleźć miecz przed nimi i go zniszczyć!

- Jeśli w grę wchodzi bezpieczeństwo króla, chętnie uczynię wszystko, co w mej mocy. Czy istnieje jakaś wskazówka? Jakiś punkt

wyjścia, jeśli chodzi o miejsce, w którym znajduje się miecz?

- Istnieje pewien ślad, ale jest bardzo stary. Lecz nawet ci bracia z mojego zakonu, którzy prześledzili bieg historii i studiowali stare manuskrypty na temat Bractwa Runów, nie mogli tam nic odnaleźć.

- Rozumiem. Jednakże chciałbym zobaczyć ten ślad, jeśli wolno.

- Oczywiście, sir Walterze. Od tej pory nie mamy przed panem żadnych tajemnic. I szczerze żałuję, że wcześniej nie obdarzyłem pana zaufaniem.

- Późno nie zawsze znaczy za późno, wielobny opacie - zauważył Walter Scott, uśmiechając się.

- Mam taką nadzieję. Musimy jednak strzec się, sir, ponieważ nasi przeciwnicy są liczni i sprytni. Poza tym czają się gdzieś w ukryciu. Obawiam się, że uderzą tam, gdzie się tego najmniej spodziewamy.

Zaprowadzono ją do kamiennego kręgu.

Gwynneth Ruthven słyszała o tym miejscu w historiach, które opowiadali starcy. W dawnych czasach, jak mówiono, gromadzili się tutaj druidzi, żeby odprawiać pogańskie rytuały i obrzędy. Ziemia w tym miejscu przesiąknięta była krwią niewinnych, których życie składano w ofierze w kamiennym kręgu.

O wiele chętniej wciąż uważałaby to miejsce za wytwór fantazji, którym straszono małe dzieci. Teraz jednak, kiedy ściągnięto jej opaskę z oczu, stwierdziła, iż miejsce to istnieje w rzeczywistości. Dokładnie takie, jak jej opisano.

Ogromne, ułożone na okręgu skalne prostopadłościanny otaczały szeroki plac, w którego środku znajdował się kamienny stół ofiarny. Wzdłuż kamiennych bloków stali członkowie bractwa - mężczyźni w ciemnych opończach, z budzącymi grozę maskami na twarzach, które Gwynneth już знаła.

Przy stole ofiarnym czekała jeszcze jedna zamaskowana postać.

W odróżnieniu od pozostałych spiskowców miała na sobie białą szatę, a jej maska wykonana była z czystego srebra, które lśniło w księżycowej poświacie. Po parze oczu, które spoglądały przez szczeliny w masce, Gwynneth bez trudu rozpoznała mężczyznę grafa Millencourta.

Noc już zapadła. Księżyc stał wysoko na niebie. Oświetlał kamienny krąg bladą poświatą i sprawiał, że szata Millencourta

świeciła złowieszczo. Gdyby Gwynneth nie wiedziała, kto krył się za tym przerażającym przebraniem, zapewne ograniczyłby ją strach. W tej sytuacji jednak czuła w duchu buńczuczny upór i była zdecydowana nie okazywać strachu ani słabości - chociaż w jej głowie wciąż echem odbijały się słowa starej Kali: „Widziałam twój kres, mroczny i złowróźbny...”.

Z ust zamaskowanych postaci, które otaczały ofiarny plac, dobiegał głuchy zaśpiew. Słowa pieśni w starym pogańskim języku. Pojedyncze fragmenty, które Gwynneth zdołała zrozumieć, wystarczyły, by pojęła, o czym mówiła pieśń.

O mrocznych duchach.

O władzy i zdradzie.

Oraz o krwi...

Podprowadzono ją do stołu ofiarnego, gdzie rzucono ją na kolana.

Spętano jej ręce, zatem nie miała żadnej możliwości obrony. Ukryty za maską Millencourt uniósł ramiona i w jednej chwili jego poplecznicy zamilkli. W kamiennym kręgu zapanowała absolutna cisza, a Gwynneth niemal fizycznie wyczuwała żalospny los, jaki ją czekał. Rozpacz zaciskała jej gardło, chociaż dzielnie się z tym zmagala.

- Ta niewiasta - odezwał się Millencourt podniesionym głosem - odważyła się wystąpić przeciwko nam. Podśluchała nas, szpiegowała nas z ukrycia i zdradziła nas naszym wrogom. Wy wszyscy, bracia moi, wiecie, jaka kara ją czeka za ten niecny postępek.

Zamaskowani znów odpowiedzieli, używając języka celtyckiego,



tylko jednym słowem. Słowem, które oznaczało śmierć.

- Właśnie tak, bracia moi. Ale wiecie wszyscy, że w tych dniach nasze bractwo stoi przed wielkimi wydarzeniami. Dzięki pomocy tych, którzy dołączyli do naszego kręgu, pojawiła się możliwość, by wszystko odmienić. Możemy zyskać władzę oraz wpływy i zawrócić koło dziejów do tamtego dnia, gdy Rzymianie po raz pierwszy postawili nogę na tej ziemi i rzucili na nas przekleństwo nowych czasów.

- Rzymian zdołaliśmy przepędzić, po nich przybyli tu Sasi, potem wikingowie, a na koniec Normanowie. Walczyliśmy dzielnie, lecz nie zdołaliśmy przeciwstawić się temu, że nasze wpływy aż po dzień dzisiejszy stawały się coraz słabsze. Nasze osłabienie wciąż trwa, bracia moi. Coraz więcej królów i książąt odwraca się od starego porządku. Niszczą system klanów, a z wolnych ludzi czynią wasali. Odwracają się plecami od dawnych sił i zaufanie kierują w stronę wiary, którą krzewią mnisi. Wszędzie jak wrzody wyrastają klasztory, podczas gdy nas jest coraz mniej. Nasza epoka dobiega kresu, bracia moi, słysząc już jej przedśmiertny śpiew. Jeśli nie przystąpimy do działania i nie zatrzymamy biegu rzeczy, już wkrótce zostaniemy pozbawieni władzy i wpływów. Tradycja zostanie zapomniana, nowy ład zapanuje, a my wszyscy staniemy się poddanymi. Nie możemy dopuścić, by tak się stało.

Tu i tam rozległy się głosy aprobaty i słysząc było wzburzone szemranie. Każdy z obecnych zdawał się podzielać poglądy Millencourta, zaś Gwynneth poczuła nienawiść, której była obiektem.

A przecież jednym z zamaskowanych, pomyślała, wzdrygając się, jest jej brat...

- Już niedługo - podjął graf- wszystko to jednak odejdzie do historii. Przeznaczenie wybrało nas do tego, byśmy zmienili bieg rzeczy. Zatrzymamy koło historii i cofniemy je aż do dnia, w którym nadeszli obcy i zaczęli mieszać się w nasze sprawy. Nowy ład upadnie, bracia moi. Już niedługo stare bóstwa powrócą. A wraz z nimi czasy, w których byliśmy wolni i silni i w których nie musieliśmy się kryć w takich miejscach jak to. Wszystko to się wydarzy, dokładnie tak jak przepowiedziały runy.

Runiczni bracia odpowiedzieli jazgotliwym triumfalnym śpiewem, który przeniknął Gwynneth do szpiku kości.

Stara Kala miała rację. Millencourtowi i jego ludziom rzeczywiście chodziło o zatrzymanie biegu dziejów. Co więcej, pragnęli go cofnąć do pogańskich czasów, kiedy w ich mniemaniu ten kraj był jeszcze wolny.

Takimi obietnicami zdołali skusić młodych ludzi, zapaleńców takich jak Duncan, niezadowolonych z obecnego stanu rzeczy, którzy byli gotowi do rebelii. Gwynn natomiast nie miała najmniejszych złudzeń co do tego, jakie były prawdziwe cele Millencourta i jego zwolenników. Pragnęli tego, czego pragnęli wszyscy i z powodu czego od wielu pokoleń bezsensownie przelewano krew.

Władzy.

Tylko o to im chodziło. Chcieli znów zasiąść przy stole władców,

choć czaszy runów i druidów już dawno minęły. Zaplanowana

zdrada Williama Wallace'a karmiła ich nadzieję, że wszystko to już niebawem się urzeczywistni.

- Spójrzcie, bracia moi - zawołał Millencourt, trzymając w dłoniach miecz, który uniósł do góry tak, że głownia zaśniła w księżycowej poświacie. - Spójrzcie na ten oręż, rozpoznajecie go?

- Miecz Wallace'a - zewsząd dobiegły pełne czci głosy.

- W rzeczy samej, miecz Wallace'a. Wykuty w pradawnych czasach i przeniknięty wielką siłą. Przy pomocy wiernych przyjaciół znalazł się w naszym posiadaniu. To klucz do władzy, bracia moi. To oręż, dzięki któremu obalimy nowy porządek. Potem zapanują wojna i chaos, my zaś wstaniemy z popiołów jako nowi władcy tego kraju. Zapanują runy i krew, tak jak w danych czasach.

- Runy i krew - zawtórowali mu.

- Obłożona klątwą głownia doprowadzi do upadku Wallace'a, zaś nam zapewni zwycięstwo. To jest przyczyna, dla której zgromadziliśmy się tutaj, przy kamiennym kręgu. W tym miejscu, w którym od zarania dziejów oddajemy hołd bóstwom oraz ich symbolom. Tej nocy Księżyc zostanie połknięty przez smoka, bracia moi. Oznacza to, że nadszedł czas, by wypowiedzieć słowa klątwy i obwieścić naszą zemstę.

Spojrzenia wszystkich skierowały się ku nocnemu niebu. Również

Gwynneth popatrzyła w górę i ze zgrozą stwierdziła, że Księżyc rzeczywiście zaczął znikać. Coś przysłoniło go i zgasiło jego blask.

Sprawiło, że świecił teraz ciemnoczerwono.

Jak krew, pomyślała Gwynneth, wzdrygając się, podczas gdy członkowie Bractwa Runów ponownie zaintonowali złowróżbny śpiew, który stawał się coraz głośniejszy, w miarę jak Księżyc znikał w ciemności.

Gwynneth zdjęła gwałtowna trwoga. Czyżby Millencourt i jego ludzie rzeczywiście dysponowali mocą, którą sprawiła, że Księżyc zniknął? Czy wpływali na niebieskie konstelacje i rzeczywiście byli w stanie zaprowadzić nowy ład na świecie?

- Doczekaliśmy się, bracia moi! - zawołał nagle druid. - Godzina naszej zemsty nadeszła. Przyprawdźcie do mnie dziewczynę!

I znów mocne ręce uchwyciły Gwynneth i uniosły ją do góry z siłą, której nie zdołała się przeciwstawić. Zawlokły ją do kamiennego stołu i położyły ją na brzuchu na kamiennej płycie. Wszystkim, co teraz widziała, była blada ręka jej ciemżyciela, która dzierżyła miecz runów. Śpiew członków bractwa stawał się coraz głośniejszy i zmierzał do punktu kulminacyjnego. Gwynneth słyszała zimne pogańskie słowa i nagle ogarnął ją śmiertelny strach, który zacisnął jej gardło i sprawiał, że serce waliło jej jak szalone.

- Runy i krew! - zawołał Millencourt i uniósł miecz. - Niech tak się stanie!

- Nie! - krzyknęła głośno Gwynneth i skierowała wzrok ku postaciom w maskach, stojących wokół ofiarnego stołu. - Błagam was, darujcie mi życie! Duncanie, gdzie jesteś? Duncanie, błagam. Pomóż mi...!

Jednak odpowiedź nie nadeszła.

- Runy i krew - ponownie zakrzyknęli runiczni bracia.

Gwynneth dostrzegła w ich spojrzeniach widocznych w szczelinach masek dziką i nieskrywaną żądzę krwi. Wiedziała teraz, że nie ma dla niej ratunku.

Taki zatem był mroczny kres, który przepowiedziała jej Kala.

Runiczna wieszczka miała rację.

Millencourt uniósł miecz wysoko do góry i jednocześnie wypowiadał, mruczając, słowa formuły, zaklęcia w pradawnej mowie. W tym samym czasie Gwynn zaczęła się modlić do dobrych i świetlistych mocy, by zabrały jej duszę do siebie i by ulitowały się nad nią.

Zamknęła oczy i zorientowała się, że jej strach gdzieś zniknął.

Nagle poczuła, jakby była gdzieś daleko, pogrążona w myślach. Jak gdy-

by znajdowała się w innym czasie oraz w innym miejscu. Pocieszenie, jakiego nie może dać żaden człowiek, przepełniło ją. Potem miecz runów opadł z impetem.

Mary Egton ocknęła się.

Łapczywie chwyciła powietrze i otworzyła oczy.

Znów śniła. O Gwynneth Ruthven i ostatnich chwilach jej życia, o tym, jak spiskowcy zamordowali ją na kamiennym stole ofiarnym.

Mary zmrużyła oczy i zdezorientowana rozejrzała się wokół tylko po to, by stwierdzić, że sen jeszcze się nie skończył. Teraz to ona sama była tą, która leżała na ofiarnym stole, otoczona przez ludzi w

ciemnych opończach, z maskami na twarzach. W ich oczach dostrzegła też żądzę krwi.

Nic się nie zmieniło - poza tym, że to nie Gwynneth Ruthven, lecz ona sama była wydana na pastwę runicznych braci. W tym momencie przez głowę Mary Egton przeszła przerażająca myśl.

Wszystko, co wokół siebie widziała i czuła, było przerażająco realne. A jeśli to, co teraz przeżywała, nie było koszmarem? Jeśli nie był to dalszy ciąg sennej mary, lecz rzeczywistość...?

Ponieważ nie było czasu do stracenia, wyruszyli jeszcze w nocy. Sir Walter zbudził stangreta i kazał mu zaprząć konie. Niedługo potem wraz z Quentinem i opatem Andrew wyruszyli w drogę. Mnisi, jak się dowiedział, mieli jechać za nimi w pewnym odstępie, by się upewnić, że nie będą mieli niepożądanego towarzystwa.

Podczas jazdy w powozie niemal wcale nie rozmawiano. Zarówno sir Walter, jak i jego siostrzeniec rozmyślali o nowinach, które wyjawiał im opat. W końcu zagadka wyjaśniła się, a poszczególne części układanki stworzyły pełen obraz. Chociaż Quentin wcale nie był zachwycony takim obrazem całości.

To co usłyszał o magicznych wydarzeniach, o pradawnych klątwach i ponurych sprzysiężeniach, znów obudziło jego dawny strach.

Jeśli rozumny człowiek Kościoła, taki jak opat Andrew, traktował te rzeczy z powagą i przypisywał im tak duże znaczenie, nie mogły to być w żadnym razie mrzonki ani urojenia, przekonywał sam siebie. Zresztą Quentin mocno postanowił, że tym razem nie pozwoli, by strach zwyciężył. Pragnął pomóc wujowi w doprowadzeniu tej sprawy do szczęśliwego końca. Poza tym chodziło przecież o dobro Szkocji, być może nawet całej Korony.

Dopiero co kraj uniknął niebezpieczeństwa ze strony Napoleona, a już na horyzoncie pojawiło się nowe zagrożenie, relikw mrocznych pradziejów. Quentin nie miał najmniejszej ochoty przyglądać się, jak

jego kraj popada w chaos i zamęt, gdyż najwyraźniej to było celem runicznych braci. A zatem odsunie na bok trwogę i spełni swój obowiązek, jak oczekiwano tego od niego jako obywatela i patrioty. Również sir Walter pogrążony był w myślach. Lecz Quentin nie dostrzegał najmniejszego śladu lęku na twarzy wuja. Sir Walter był człowiekiem kierującym się rozumem i był z tego dumny. Nawet wywody opata nie zmieniły jego przekonań. Za to na obliczu sir Waltera rysowała się głęboka troska.

Nawet jeśli nie podzielał przekonania opata Andrew dotyczącego miecza i domniemanej klątwy, zagrożenia stwarzanego przez Bractwo Runów w żadnym wypadku nie wolno było ignorować. Jako mąż stanu sir Walter wiedział bardzo dobrze, jakie byłyby następstwa zamachu na życie króla. Wszystko, czemu poświęcił cały długi żywot - pojednanie Anglików ze Szkotami oraz odrodzenie szkockiej kultury - zostałyby bezpowrotnie zniszczone. Państwo pogrążyłoby się w kryzysie, który uczyniłby je łatwym łupem dla wrogów zewnętrznych i wewnętrznych. W oczach sir Waltera niepotrzebna była żadna mistyczna klątwa, by zagrozić królestwu - samo zagrożenie było już wystarczające. Był więc głęboko zdeterminowany, żeby przeciwstawić się temu zagrożeniu, a jeśli miecz był do tego kluczem, musiał odnaleźć oręż, zanim uczynią to spiskowcy...

Już wkrótce powóz dotarł do celu. Z mieszanymi uczuciami Quentin stwierdził, że ponownie jechali High Street pod górę ku zamkowemu wzgórzu, na którym znajdowały się, niczym na tronie,



potężne mury zamku w Edynburgu. Opat Andrew kazał zatrzymać powóz przed starym domem, który znajdował się z przodu niewielkiego podwórza.

Trójka mężczyzn wysiadła. Quentin przeszedł ciarki, kiedy spojrzał do góry na budynek. Pochodził z późnego średniowiecza, miał pruskie mury oraz wysoki dwuspadowy dach. Budowla z pewnością pamiętała lepsze czasy, co do tego Quentin nie miał wątpliwości. Głina muru w wielu miejscach zrobiła się już krucha, drewno zbutwiało i zmurszało. Budynek nie był zamieszkały, zatem jego okna spoglądały na gości niczym puste oczodoły czaszki, ciemne i wydrążone.

- Tu kiedyś znajdował się zajazd. Teraz dom jest w posiadaniu mojego zakonu.

-Jakim sposobem? - zapytał Quentin, który nie był w stanie wyobrazić sobie, dlaczego ktoś chciał kupić taką ruinę.

- To bardzo proste - odparł opat stłumionym głosem. - Wedle przekazu ten zajazd był sekretnym miejscem spotkań członków Bractwa Runów. A teraz chodźcie za mną, moi panowie. Tu, na zewnątrz, nie jest bezpiecznie, a noc ma oczy i uszy.

Weszli przez skrzypiące drzwi. W nozdrza uderzył ich zatęchły zapach. Opat Andrew zapalił kilka świec, a kiedy ich słaby płomień oświetlił nieco wnętrze, Quentin zorientował się, że nie są tu sami.

Wzdłuż ścian w szeregu stały liczne postacie w ciemnych habitach, milczące i nieruchome. Quentin wciągnął głośno powietrze, jednak opat z uśmiechem uspokoił go.

- Wybacz, paniczu Quentinie. Powiniennem cię ostrzec. Co

oczywiste, budynek ten jest strzeżony przez moich braci. Nigdy nie spuszczamy go z oka.

- Ale dlaczego oni stoją tu w ciemności? - spytał zdumiony Quentin.

- Ponieważ nikt nie powinien wiedzieć, że tu są. W końcu nie chcemy skierować swoich przeciwników na nasz trop.

Wtedy Quentin zrozumiał. Pomógł mnichom zasłonić okna, żeby żaden promyk światła nie wydostał się na zewnątrz. Następnie zapalili dodatkowe świece, które oświetliły łagodnie salę jadalną dawnego zajazdu.

Poza ladą, która ustawiona była na starych beczkach po piwie ale, nie było tu żadnych sprzętów. Przypuszczalnie zostały kiedyś skradzione, by zimą ogrzać chłodne izby. Na podłodze leżała gruba na palec warstwa kurzu, który przy każdym kroku przybyszów wznosił się kłębamii w górę.

Sir Walter, który najwyraźniej nie przejmował się ani brudem, ani zatechłym odorem, rozejrzał się dookoła z uwagą.

- I jesteś pewien, opacie Andrew, że jest to miejsce, w którym kiedyś spotykali się runiczni bracia?

- W każdym razie tak napisano w kronikach mojego zakonu.

- Ale dlaczego nie wiedzą o tym nasi przeciwnicy?

- To jest zagdaka, której do tej pory nie byłem w stanie do koiiica zgłębić - wyznał zakonnik. - Najwyraźniej pewne ważne rzeczy zostały utracone w zamęcie powstania jakobitów. O ile wiemy, miecz runów

znajdował się po raz ostatni w rękach młodego członka klanu z północy. Jak głosi przekaz, miecz zabrano do Edynburga, gdzie w trakcie ceremonii koronacyjnej miał zostać przekazany Jakubowi VII, królowi Szkocji. Jednak nigdy do tego nie doszło.

Sir Walter przytaknął.

- Rok po zajęciu Edynburga jakobici pod wodzą młodego Karola Stuarta doznali druzgocącej porażki pod Culloden. Później Edynburg został ponownie przejęty przez wojska wierne rządowi, a ruch jakobitów wtedy praktycznie przestał istnieć.

- Dokładnie tak było. I w tamtych dniach, kiedy na ulicach miasta toczyły się walki między jakobitami a żołnierzami rządowymi, miecz zaginął. Wychodzimy z założenia, że członkowie bractwa ukryli go, nie chcąc, by wpadł w ręce Anglików. Jednak dokąd go zabrali, tego naprawdę nie wiemy.

- Ale przypuszczasz, ojcze, że może być gdzieś tutaj w pobliżu?

- Jediną naszą nadzieją jest wskazówka, ślad, którym możemy podążyć. Już wielu uczonych w naszym zakonie oglądało to miejsce, lecz nikomu nie udało się nic znaleźć. Teraz nasze nadzieje pokładamy w tobie, sir Walterze.

- W takim razie chciałbym zobaczyć, co mogę dla was zrobić. Ale niczego nie chcę obiecywać, mój drogi opacie. Skoro wasi uczeni niczego nie znaleźli, jakąż nadzieję powinienem żywić ja?

- Z pełnym szacunkiem podchodzę do twej skromności - odparł opat, uśmiechając się łagodnie. - Ale w tym przypadku nie jest to

zupełnie na miejscu. Udowodnił już pan, że jest pan człowiekiem o niezwykle bystrym umyśle, sir Walterze, a pańska nieustępliwość w ostatnich tygodniach przyprawiła mnie niejedną raz o silny ból głowy.

- W takim razie możesz uznać, ojcze, iż nasze rachunki zostały wyrównane - odparł sir Walter.

Sięgnął po świecznik, chcąc ruszyć z nim wzdłuż ścian. Quentin uczynił to samo i podążył za nim, chociaż nie do końca wiedział, czego szukał jego wuj.

- Czy ściany zostały już opukane? - zapytał sir Walter.

- W rzeczy samej. Nie znaleźliśmy jednak pustych wnęk czy czegoś podobnego.

- A podłoga? - sir Walter wskazał na zbutwiałe deski.

- Również ona została skrupulatnie przeszukana. Nie znaleziono jednak ani miecza, ani też żadnej wskazówki co do miejsca ukrycia oręża.

-Rozumiem...

Sir Walter obchodził dalej pomieszczenie zamyślony, oświetlał każdą wnękę i niszę oraz spoglądał z uwagą na strop podtrzymywany przez ciężkie drewniane belki.

- Będziemy musieli zająć się każdą kondygnacją z osobna. Gdy już się z tym uporamy, zajmiemy się sufitami na każdym poziomie. W razie potrzeby rozbierzemy ten budynek, kamień po kamieniu.

-Wuju!

Okrzyk Quentina przerwał sir Walterowi jego wywody. Jeszcze

kilka tygodni temu złałaby swego popieczzonego, jednak w

międzyczasie młodzieniec udowodnił, że jest wartościowym i bystrym

pomocnikiem. Wykazał też, że z pewnością opłacało się go słuchać.

- O co chodzi, mój chłopcze? - zapytał sir Walter.

Quentin stał w miejscu i spoglądał na murowany kominek

umieszczony w tylnej części sali jadalnej. Nad otworem kominka

widniał stojący na dwóch łapach lew wyrzeźbiony w kamieniu. Było to

godło Roberta Bruce'a oraz rodziny Stuartów, która później przejęła ten

herb. Wprawdzie zęb czasu poważnie już nadgryzł płaskorzeźbę,

jednak Quentin zdawał się odkryć coś, na co wskazywał z ożywieniem.

- Spójrz na to, wuju - ponaglił.

Po chwili sir Walter stanął obok niego i w świetle świecy dostrzegł,

o co chodziło jego siostrzeńcowi.

Na królewskim godle wyryte były runiczne symbole.

To co przeżywała, było rzeczywistością.

Świadomość ta była na tyle przerażająca, że Mary Egton

otworzyła usta, chcąc panicznie krzyknąć. Jednak z jej ust nie wydobył

się żaden dźwięk. Strach był tak wielki, że jej gardło ścisnęło się i

dusiło każdy głos w zarodku.

Pozbawione wyrazu, pomazane sadzą maski, które spoglądały na

nią ze wszystkich stron, nie były wytworem kolejnego koszmaru, lecz

były tak realne jak ona sama. Nie chodziło tylko o to, że Mary wszystko

to widziała. Słyszała też głośnie oddechy mężczyzn oraz czuła w

nozdrzach gryzący zapach dymu.

Zdjęta strachem chciała stąd uciec, lecz nie mogła. Związano ją, dlatego też nie mogła się nawet ruszyć. Leżała bezbronna na ziemi, a zamaskowani ludzie spoglądali na nią z góry w milczeniu. Oczy, które patrzyły na nią przez szczeliny w maskach, były zimne i bezlitosne.

- Gdzie jestem? - w końcu zdołała z siebie wydusić Mary. - Kim jesteście? Błagam, niech ktoś mi odpowie...

Nie otrzymała jednak żadnej odpowiedzi. Szereg zamaskowanych postaci rozstał się i pojawił się kolejny człowiek w masce, który zdawał się być ich zwierzchnikiem i przywódcą. Inaczej niż pozostali miał na sobie płaszcz w śnieżnobiałym kolorze, a maska zasłaniająca twarz nie była z poczernionego drewna, lecz z błyszczącego srebra. W lewej dłoni trzymał laskę, której srebrna gałka miała postać smoczej głowy.

- Millencourt - wyszeptała Mary i zbladła.

Człowiek w masce stanął nad nią groźnie i spoglądał wyniośle z góry.

- Wreszcie się ocknęłaś, niewierna ladacznico - jego głos był przytłumiony i pobrzmiwał metalicznie spod maski, lecz mimo grozy, jaką poczuła, Mary odniosła wrażenie, że skądś znała ten głos.

- Gdzie jestem? - zapytała jeszcze raz cicho i bojaźliwie. - I kim pan jest?

- Zamilkнеш w końcu, kobieto? - krzyknął na nią. - Nie uchodzi ci odzywać się do zwierzchnika bractwa!

- Bractwa...?

Mary miała wrażenie, jakby jej sny i wizje nagle odżyły. Ludzie w

maskach oraz ich przywódca, tajemnicze bractwo - wszystko to przypominała sobie z przerażającą dokładnością z zapisków Gwyneth Ruthven.

Czy to możliwe?

Czy to Opatrzność? Przeznaczenie? Czy tylko kaprys, na jaki pozwolił sobie los? Kolejny z wielu, których Mary musiała doświadczyć w ostatnim czasie.

- Bractwa Runów - oświadczył z dumą człowiek w masce. - Założonego przed wiekami tylko w jednym celu: by strzec wiedzy o pradawnych tajemnicach. Przez stulecia uznawano nas za wrogów i prześladowano, a nawet niemal całkowicie wytępiono. Teraz jednak powróciliśmy i nic nas nie powstrzyma. Jesteśmy panami nowej epoki i biada tym, którzy nas wyśmiewali i kpili z nas, Mary Egton!

Mary drżała na całym ciele. Ze strachu w jej oczach stanęły łzy, jednocześnie zadawała sobie pytanie, skąd człowiek w masce zna jej imię. Zamaskowany trafnie odczytał wyraz jej twarzy.

- Pytasz siebie, skąd cię znam? - rzekł. - Wiedz zatem, Mary Egton, iż bractwo wie o wszystkim. Wiemy, skąd pochodzisz i że tchórzliwie uciekłaś. Że złamałaś zobowiązanie i okłamałaś swego przyszłego małżonka, Malcolma Ruthvena, wystawiając go tym samym na pośmiewisko.

Mary łapczywie chwyciła powietrze. A zatem to był powód, dla którego ją pojmano. Tuż przed celem podróży wpadła jednak w ramiona Ruthvenów, nawet stróże prawa zdawali się być na ich usługach. Nagle oprócz strachu poczuła też wściekłość. Ci ludzie mogli

nosić budzące grozę maski i uważać się za potomków pradawnych druidów, ale jeśli nie byli niczym więcej, tylko marionetkami na usługach Malcolma Ruthvena, zasługiwali na jej pogardę.

- Czy wysłał was Malcolm? - zapytała, przy czym jej głos z każdym słowem zyskiwał na mocy. - Czy on wydał rozkaz zamaskowanym sługusom, by zrobili to, do czego nie jest zdolny jako mężczyzna?

- Pohamuj swój język, kobieto! Twoje słowa mogą doprowadzić cię do zguby!

- Czegóż ode mnie oczekujecie? Że padnę przed wami na kolana?

Przed mężczyznami, którzy nie mają odwagi pokazać swoich twarzy kobiecie, która bezbronna i spętana leży przed nimi na ziemi?

Oczy za srebrną maską błysnęły. Prawa dłoń człowieka w masce zadrżała i zacisnęła się w pięść. Przez chwilę wydawało się, że mężczyzna zamierza uderzyć Mary. Powstrzymał się jednak, a spod maski dobiegł zduszony śmiech.

- Wciąż jeszcze z twoich słów bije arogancja - syknął. - Lecz już wkrótce będziesz mnie błagać o litość. Twoja duma zostanie złamana, Mary Egton, zapewniam cię na runy naszego bractwa.

- Co zamierzacie ze mną zrobić? - zapytała Mary butnie; była w niej odwaga kobiety, która nie ma już nic do stracenia, stawiała więc czoło swojemu ciemniejszyelowi. - Czy zamierzacie zniewolić mnie siłą?

Poddać mnie torturom? Pozbawić życia jak pospolici zbóje?

Zamaskowany mężczyzna roześmiał się tylko i odwrócił od niej, jakby chciał przekazać ją swoim poplecznikom.



- Żądam odpowiedzi! - zawołała za nim Mary. - Zamierzacie mnie zabić? Czy spotka mnie ten sam los co kiedyś Gwynneth Ruthven?

Sama nie wiedziała, dlaczego to powiedziała. Imię Gwynneth przyszło jej nagle na myśl i w bezradnym gniewie wykrzyczała je na głos. Nie przeczuwała nawet, jaki będzie tego skutek.

Przywódca bractwa znieruchomiał jak rażony gromem. Zawrócił i podszedł do niej.

- Co powiedziałaś przed chwilą?

- Zapytałam, czy spotka mnie ten sam koniec co Gwynneth Ruthven - wydusiła z siebie zuchwale Mary.

Każda reakcja ze strony człowieka w masce była dla niej lepsza niż pozostawienie na ziemi niczym bezwartościowy przedmiot.

- Co wiesz o Gwynneth Ruthven?

- Dlaczego pan o to pyta? Czy sam pan nie mówił, że pan i pańska zgraja wiecie wszystko?

- Co o niej wiesz?! - wykrzyknął i w przyływie nagłej wściekłości, jaka przeraziła nawet jego popleczników, pociągnął za gałkę laski i

nagle pojawiła się długa błyszcząca klinga, którą przystawił do szyi

Mary. - Mów, Mary Egton, albo przysięgam, za chwilę tego pożałujesz.

Mary poczuła zimną ostrą stal na szyi i wobec wizji okrutnej śmierci

jej determinacja nagle osłabła. Zawahała się przez chwilę, a człowiek

w masce przycisnął mocniej ostrze, w rezultacie czego po szyi Mary

spłynęła strużka krwi. Chłodne spojrzenie jej ciemnościela nie

pozostawiało cienia wątpliwości, że gotów jest ją zabić.

- Czytałam o tym - Mary przerwała milczenie.

- O Gwynneth Ruthven?

Przytaknęła.

- Gdzie?

- W starym manuskrypcie.

- Skąd go miałaś?

- Znalazłam go.

- Na zamku Ruthven? Mary

przytaknęła ponownie.

-Nędzna złodziejko! Kto pozwolił ci to przeczytać? Kto ci opowiedział o tej tajemnicy? Czy z tego powodu przybyłaś do zamku Ruth-ven? Żeby szpiegować?

- Nie - zapewniła z rozpaczą Mary. - Nic nie wiedziałam o tajemnicy, a na zapiski Gwynneth trafiłam przypadkiem.

- Gdzie?

- W pomieszczeniu na szczycie wieży - zauważyła, że nacisk klingi stał się mocniejszy i nie była już w stanie powstrzymać łez. - Znalazłam je zupełnie przypadkowo. Znajdowały się we wnęce ukrytej w murze.

-Nic nie dzieje się przypadkowo, Mary Egton. A już z pewnością nie rzeczy takie jak te. Czytałaś te zapiski? Przytaknęła.

- A zatem wiesz o klątwie. Wiesz, co się wówczas stało.

- Wiem to, ale... nie uważałam tego za możliwe, aż do teraz...

Człowiek w masce parsknął pogardliwie, potem cofnął się, chcąc zasięgnąć rady swych popieczników. Mary łapczywie chwytła

powietrze i dotknęła miejsca, w którym ostrze przecięło jej delikatną skórę. Widziała, jak mężczyzna w srebrnej masce żywo gestykułuje i naradza się z członkami bractwa. W końcu powrócił.

- Los - rzekł - czasem obiera osobliwe drogi. Najwyraźniej istnieje powód, dla którego znalazłaś się na naszym szlaku. Sprawiała to Opatrzność.

- Opatrzność? - zapytała Mary. - Raczej przekupny inspektor.

- Milcz, kobieto! Nie wiem, jaki kaprys losu to sprawił, że to właśnie ty przekażesz nam klucz do zdobycia władzy. Ale tak się stało.

Widocznie było ci pisane odnaleźć ukryte zapiski Gwynneth Ruthven.

Właściwie powinienem być ci za to wdzięczny.

- Niepotrzebne mi są pańskie podziękowania - oznajmiła gorzko

Mary. - Niech mi pan lepiej powie, co to wszystko znaczy? O czym pan mówi? O jakim kluczu mowa? I skąd pan wie o Gwynneth Ruthven?

Ponownie spod maski dobiegł złośliwy śmiech.

- W moich kręgach należy do dobrego tonu znać historię własnych przodków.

Po tych słowach mężczyzna zdjął maskę, a Mary nie uwierzyła własnym oczom, gdy ujrzała bladą, tak samo dobrze znaną, jak znienawidzoną twarz Malcolma Ruthvena.

- Malcolm - szepnęła zdjęta trwogą; to dlatego ten głos zamaskowanego mężczyzny wydawał się jej tak znajomy.

- Jeszcze przed paroma dniami daremnie zabiegałem o twoje

względy - oznajmił chłodnym głosem jej narzeczony. - A teraz, jak mi się wydaje, jesteś w pełni zdana na moją łaskę.

-Nie rozumiem... -wyjąkała Mary, bezradnie spoglądając *to* na Malcolma, to na zamaskowanych członków sekretnego bractwa.

- Oczywiście, że nie rozumiesz. Jakże mogłabyś zrozumieć?

Jesteś przecież nieoświeconą niewiastą, a twoje myśli krążą wyłącznie wokół ciebie samej. Być może przeczytałaś wiele książek, ale niczego nie rozumiałaś. Władza, Mary Egton, należy do tych, którzy po nią sięgają. To jest istota historii.

Sposób, w jaki przemawiał, oraz błyski w jego oczach wzbudziły w Mary lęk. Tak właśnie, powiedziała sobie, musi wyglądać człowiek, który jest bliski postradania rozumu.

- Nie wiem, jakim trafem przeznaczenie wybrało ciebie, żebyś pomogła nam zatriumfować - podjął - ale nasze drogi wydają się nierozdzielnie ze sobą związane. To, co zaczęło się przed pół tysiącem lat za sprawą mojego przodka, Duncana Ruthvena, teraz dobiegnie kresu. Miecz runów powróci, miecz, który posiada pradawną niszczy cielską moc. Ty, Mary Egton, będziesz tą, która odnowi klątwę, twoją własną krwią!

Potem znów roześmiał się złowieszczo, a runiczni bracia zaintonowali głuchy, barbarzyński, monotony zaśpiew

Mary nagle poczuła przerażenie. To, co widziała, stało się niewyraźne, a pocernione maski wokół niej zlały się w groźną mozaikę.

Targnął nią nagły skurcz i z jej ust wyrwał się krzyk. Wykrzyczała ze wszystkich sił przerażenie i panikę, po czym znowu dał się słyszeć jedynie zaśpiew członków bractwa.

Jej serce waliło jak szalone, zimny pot wystąpił jej na czoło. W końcu zmęczenie wzięło górę i straciła przytomność. Kurtyna opadła, ona zaś pogrążyła się w ciemności.

## ZAMEK KRÓLEWSKI W EDYNBURGU

LATO 1746 ROKU

Szacowne mury zamku, który stanowił kiedyś siedzibę królów, drżały pod ostrzałem nieprzyjacielskich armat. Oddziały rządowe były już blisko. Kwestią czasu było to, kiedy się im uda zrobić wyłom w murach obronnych i przystąpić do ostatecznego szturmu na twierdzę.

Nastąpiło kolejne uderzenie, które zatrzęsło zamkiem i jego murami. Ze stropu posypał się pył, skądś dobiegły krzyki rannych.

Galen Ruthven wiedział, że to już koniec. Rozczarowanie, jakie czuł, było nieopisane. Przez krótki moment łudził się, że uda mu się to, czego nie zdołali osiągnąć jego przodkowie. Teraz jednak ich marzenia i ambitne plany legły w gruzach pod ostrzałem rządowych wojsk.

- Grafie - zwrócił się do swego towarzysza. - Sądzę, iż nie ma sensu dłużej czekać. Z każdą sekundą niepotrzebnej zwłoki narażamy się na większe niebezpieczeństwo schwymania przez żołnierzy wojsk rządowych.

Człowiek, do którego się zwracał, stary mężczyzna z brodą i siwymi włosami, które opadały mu na ramiona, przytaknął z namysłem.

Był chudy i kościsty, a jego twarz pokrywały liczne zmarszczki.

Spojrzenie było dziwnie puste, jakby brzemień dźwigane przez długie, bardzo długie życie wyjałowilo je.

- Zatem nasza sprawa jest stracona - powiedział cicho. - Nasza ostatnia szansa przywrócenia starych czasów. To moja wina, Galenie.

- Twoja wina, grafie? Jak mam to zrozumieć?

- Widziałem to w runach. Powiedziały mi, jak skończy się bitwa pod Gulloden. Wyjawiały też, że Jakub nigdy nie zostanie królem.

Jednak nie chciałem dać im wiary. Zaprzeczyłem runom. A to jest kara, która mnie za to spotyka. Zatem nigdy nie dożyję chwili, kiedy stary ład powróci.

- Nie mów tak, grafie. Twoje oczy widziały wiele wojen.

Władców, którzy przychodzili i odchodzili. Nadarzy się nowa sposobność, by znów sięgnąć po władzę.

- Nie dla mnie. Długo byłem na tym świecie utrzymywany przy życiu przez siły, które są niedostępne twojemu rozumowi. Ale czuję, że mój czas dobiega kresu. To był powód, dla którego zaprzeczyłem runom i błędnie odczytałem symbole. Nie chciałem uznać za prawdę tego, że czas jeszcze nie nadszedł. Czekałem tak wiele stuleci, a teraz czas przecieka mi między palcami.

Ponowne uderzenie wstrząsnęło murami tak mocno, że starzec ledwie utrzymał się na nogach. Galen Ruthven przytrzymał go.

- Musimy iść, grafie - nalegał.

- Tak - odparł lakonicznie starzec.

Sięgnął po zawinięty przedmiot, który leżał na stole, i przycisnął go do siebie, jakby była to najcenniejsza rzecz, jaką posiadał na ziemi.

Spośród zbrojnych, którzy czekali z tyłu, kilku pozostało na miejscu, by zabezpieczać odwrót ich przywódcy. Reszta natomiast towarzyszyła grafowi, otoczyła go ochronnym kordonem i w razie

potrzeby była gotowa zasłonić go własnym ciałem.

Stromymi schodami weszli do pomieszczenia pozbawionego okien, a oświetlonego pochodniami, w którego wnętrzu huk armat był znacznie bardziej stłumiony. Mężczyźni otworzyli drewniane spustowe drzwi, które umieszczone były w posadzce. Potem zdjęli pochodnie ze ścian i po kolei zaczęli schodzić.

Przez chwilę słychać było tylko głuchoe odgłosy, raz bardzo odległe, to znów niebezpiecznie bliskie. Jakobici przegrywali walkę o zamek. Już niedługo miasto znów miało znaleźć się w rękach wojsk rządowych. Wtedy również mogło zostać odkryte to tajemne przejście, które wykuto bardzo dawno temu i które przez skały wzgórza zamkowego prowadziło ku wolności.

Galen Ruthven pozostał przy starcu, który wspierał się na jego ramieniu, a drugą ręką ścisnął kurczowo podłużny pakunek. Zamierzali właśnie wejść do niskiego korytarza przed nimi, który był wykuty w skale, gdy nagle rozległ się kolejny huk.

Tym razem było *to* bardzo blisko, tuż nad ich głowami. Huk był tak wielki i potężny, że mężczyźni głośno zakrzyknęli. Galen Ruthven instynktownie spojrział w górę i ku swemu przerażeniu dostrzegł rysę, która pojawiła się w sklepieniu podziemnego przejścia. W następnej chwili korytarz zawalił się.

Z ogłuszającym trzaskiem odłamy skalne oraz luźny skalny gruz zaczęły spadać z góry i zasypywać ludzi, którzy znajdowali się bezpośrednio pod miejscem zawalenia skały. Wzbił się pył i kurz



przesłonił wszelki widok, a Galen Ruthven nie mógł nic zrobić, by zapobiec temu, że starzec przestał iść obok niego. Instynktownie rzucił się do przodu, chcąc uniknąć śmiertelnego uderzenia głazem, gdy tuż za nim zerwała się dalsza część stropu i z niszczącą siłą kolejne skalne odłamy spadły na głowy uciekinierów.

W końcu nastąpiła cisza. Tu i ówdzie jeszcze spadały z hałasem mniejsze kamienie. Potem było już po wszystkim.

Galen Ruthven leżał na ziemi. Z rany na głowie sączyła się krew, jednak jego kończyny jakimś cudem były całe. W gęstym pyłe, który unosił się w powietrzu, nie był w stanie nic dojrzeć, słyszał jedynie krzyki rannych.

Z trudem wstał, sięgnął po pochodnię, która leżała na posadzce obok niego i cudownym zbiegiem okoliczności wciąż jeszcze paliła się. W żółtej poświacie patrzył, jak kurz powoli osiada i wyłania się z niego bezmiar niszczycielskiej siły.

Sklepienie zawaliło się, a wejście do podziemnego korytarza zostało zasypane. Tu i tam z gruzowiska wystawały ludzkie członki. Ku swemu przerażeniu Galen Ruthven dostrzegł wśród nich także bladą kościstą dłoń. Krztusząc się, rzucił się w jej kierunku i usiłował odrzucić gołymi rękoma skalny gruz. Jednak wtedy z góry posypały się kolejne kamienie.

Wokół powoli podnosili się ci, którzy przeżyli zawalenie się skały. Z trudem wydostawali się spod skalnych odłamów, stękając, i zdeorientowani rozglądali się dookoła.

- Tutaj! - zawołał do nich Galen Ruthven. - Chodźcie tu, musi

cie mi pomóc! Skały zasypały grafa!

W jednej chwili było przy nim dwóch ludzi, którzy przyszli mu z pomocą. Jednak nawet wspólnymi siłami nie zdołali nic osiągnąć, bowiem z góry nieustannie spadały kolejne odłamy, w rezultacie czego ciało grafa zostało całkowicie przysypane.

- On nie żyje! - zawołał jeden z mężczyzn. - To nie ma sensu.

Uciekajmy stąd.

- Nie możemy uciec - zaproponował ostro Galen Ruthven, zgrzytając zębami. - Graf ma przecież miecz. Musimy zabrać go ze sobą.

Nagle z głębi podziemnego korytarza dały się słyszeć odgłosy kroków, a potem głośnie krzyki.

-Żołnierze rządowi! Odkryli podziemne przejście! Musimy uciekać...

Galen Ruthven wiedział, że jeden z jego przybocznych miał rację.

Nie było już odwrotu, ponieważ droga była zasypana. A zatem pozostała im jedynie ucieczka przed siebie. Wbrew sobie Galen Ruthven musiał przyznać, że ich sprawa była przegrana - przynajmniej na razie.

Ci, którzy przeżyli runięcie skał, z wściekłością wyciągnęli broń, a potem ruszyli w ślad za Galenem w kierunku nacierającego wroga.

Minęli miejsce, w którym budowniczy podziemnego korytarza zbudowali śmiertelną pułapkę, i natarli wprost na nieprzyjaciela, który w znacznej liczbie atakował ich w podziemnym przejściu.

Rozległ się głośny wystrzał, a jeden z powstańców padł trafiony kulą. Przez zasłonę pyłu, która wciąż jeszcze unosiła się w powietrzu, dostrzegli mundury Czarnej Gwardii - szkockich żołnierzy, którzy pozostawali w służbie Brytyjskiej Korony i którzy walczyli przeciw własnym rodakom.

Galen Ruthven, nie przerywając szturmu, wyciągnął pistolet skałkowy i nacisnął spust. Rozległ się głuchy huk, który odbił się od niskiego stropu, a jeden z żołnierzy padł na ziemię. Z zachrypniętym okrzykiem na ustach Ruthven rzucił się na wrogów, którzy w jego oczach byli haniebnymi zdrajcami i po tysiackroć zasługiwali na śmierć. Nie był w stanie myśleć teraz o mieczu - rozgorzała walka na śmierć i życie.

W rezultacie nagłego szturmu gwardziści zaczęli się cofać. Nie liczyli się z tym, że w podziemnym korytarzu natrafią na opór, a już z pewnością nie tak zaciekły. W rozpaczliwej determinacji powstańcy szarżowali na żołnierzy. Galen Ruthven prowadził ten atak z twarzą umazaną we krwi i wykrzywioną w grymasie nienawiści.

Już wcześniej odrzucił pistolet. Nie było czasu na ponowne załadowanie, zatem do niczego by się nie przydał. Teraz z szablą w ręku niemalże tańczył między żołnierzami, uwijając się wściekle niczym żołdak ogarnięty szałem zabijania. Powstańcy nie mieli już odwrotu. Jedyłą ich nadzieją było wywalczenie drogi ku wolności, nawet jeśli mieli to przypłacić ciężkimi stratami. Żołnierze wystrzelili jeszcze z niewielkiej odległości, a potem założyli na broń zabójcze

bagnety. Krzyki rannych dobiegały ze wszystkich stron, a gryzące opary prochu wypełniły korytarz.

Galen Ruthven już prawie nic nie widział. Zadawał ciosy na oślepanowany żądzą krwi. Niemal nie zauważał, jak jego klinga natrafiła na opór i przecinała ciało i kości. Dym, który przesiąknął powietrze, wcale mu nie przeszkadzał. Jego rozpacz z powodu fiaska była przygniatająca i teraz całą swą duszą pragnął zemsty. Zemsty za zdradę szkockiego narodu, odwetu za niepowodzenie ambitnych planów, zemsty za śmierć druida. Wróg był w natarciu, lecz mimo to nie odniesie zwycięstwa. Galen Ruthven był zdecydowany walczyć do ostatniego tchu za sprawę bractwa.

Słyszał krzyki swoich towarzyszy, widział, jak padają od kul i bagnetów gwardzistów. Wciąż zaciekle walczył i nic nie było w stanie powstrzymać jego furii aż do momentu, gdy walka raptownie dobiegła końca.

Oddychając ciężko, Galen Ruthven stał w podziemnym przejściu, w jednym ręku trzymając pochodnię, w drugim zakrwawioną szablę. Serce waliło mu jak młot, długie, mokre od potu i obryzgane krwią włosy przylepiły się do twarzy. Zdjęty grozą obejrzał się dookoła, spojrzał w jedną i w drugą stronę. Wreszcie zorientował się, że był jedynym, który wciąż stał na nogach. Pozostali, towarzysze broni i wrogowie, leżeli na ziemi bez ruchu bądź też zwijali się w agonicznych konwulsjach unurzani we własnej krwi. Przed nim było podziemne przejście, teraz puste i przez nikogo niestrzeżone, więc Galen Ruthven

rzucił się do ucieczki. Biegł przed siebie co tchu podziemnym

korytarzem tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to zmęczone nogi.

W końcu do-

biegł do wyjścia, wspiał się na górę po stopniach wykutych w skale.

Dotarł wreszcie do kominka, który był końcem sekretnego przejścia.

Wyjście stało otworem, obok niego leżały ciała dwóch wartowników, których graf pozostawił na straży podziemnego korytarza. Zabili ich gwardziści.

Sala jadalna zajazdu była pusta, stoły i krzesła powywracane. Z

ulicy dobiegały głośnie krzyki, w oddali słyhać było odgłosy strzałów i huk armatnich salw.

Szybkimi ruchami Galen Ruthven zamknął wejście, przesuważąc ruszt kominka. Potem chwycił szablę i szpicem klingi wyrył tajemnicze znaki na herbie, który znajdował się nad paleniskiem u nasady komina. Teraz było zbyt niebezpiecznie, by wrócić i zabrać miecz - ryzyko, że zostanie z nim pochwycony i że oręż wpadnie w ręce wroga, było zbyt wielkie. Ale nadejdzie na to czas później. To nie był jeszcze kres istnienia bractwa...

Szyba, w którą trafiła zabłąkana kula, pękła z brzękiem. Galen Ruthven obejrzał się. Musiał uciekać, jeśli nie chciał wpaść w ręce rządowych żołdaków. Ale wróci tutaj, by zabrać to, co prawnie należało do niego i jego współtowarzyszy.

Miecz - oraz władza.

Z szablą w ręku podbiegł do drzwi, uchylił je nieco i wyjrzał na

zewnątrz. Na ulicach panował chaos. Mieszkańcy zabarykadowali się w domach, podczas gdy powstańcy z klanów Cameron i Grant wciąż pojedynczo stawiali opór nacierającym oddziałom rządowym.

Gwardziści posuwali się do przodu, krzyki i strzały dobiegały ze wszystkich stron.

Galen Ruthven wyczekał bardziej odpowiedniego momentu, potem wymknął się na zewnątrz i chciał podbiec wzdłuż ściany domu do najbliższej wnęki, by tam się skryć.

-Ty! - usłyszał zachrypnięty krzyk i zanim jeszcze zdążył się obejrzeć, wiedział, że popełnił śmiertelny błąd.

Ostatnią rzeczą, jaką widział, był ciemny wylot lufy muszkietu.

Potem padł strzał.

Głośny huk sprawił, że Mary ocknęła się. W pozycji półleżącej rozejrzała się dookoła - tylko po to, by stwierdzić, że nie znajdowała się już na ulicach Edynburga, gdzie toczyła się zażarta walka. Po raz kolejny

miała sen, który wydawał jej się tak bardzo realny, jakby rzeczywiście uczestniczyła w tych wydarzeniach.

Zresztą rzeczywistość również napełniała ją trwogą. Malclom

Ruthven stał przed nią i spoglądał z góry wzrokiem pełnym nienawiści.

Stał przy nim jeden z jego popleczników odziany w czarną opończę i z poczernioną sadzą maską runicznego bractwa na twarzy.

- Gdzie on jest? - chciał wiedzieć Malcolm. -1 radzę ci, żebyś już więcej nie mdlała.

- O czym mówisz?

- Miecz - naciskał Malcolm. - Wiesz, czego szukamy. Czytałaś pamiętniki Gwynneth. Czy jest w nich wzmianka o mieczu?

- Wiesz, gdzie znajduje się manuskrypt - odparła hardo Mary. - Sam sobie przeczytaj!

Malcolm Ruthven nie był jednak w nastroju do żartów. Pochylił się nad nią, chwycił ją za włosy i odciągnął głowę do tyłu, odsłaniając bezbronną szyję. Potem ponownie docisnął klingę do jej szyi.

- Nie ma na to dość czasu, ja zaś nie mam najmniejszej ochoty pozwolić ci wodzić się za nos - syknął gniewnie. - Zatem powiedz mi, czy w pamiętnikach są jakieś wskazówki dotyczące miecza runów.

- Nie - odpowiedziała szeptem Mary.

- Kłamiesz! Nędzna ladacznico, nie wystawisz mnie więcej na pośmiewisko ludzi. Prędeż poderżnę ci gardło, rozumiesz?

W jego bezlitosnym uścisku Mary ledwie zdołała skinać głową.

Łzy stanęły jej w oczach.

- W manuskrypcie... nie ma nawet słowa... o mieczu - wydusiła z siebie.

- Kłamstwo! Wszystko to kłamstwo! - ryknął Ruthven donośnie i już zamierzał podciąć jej gardło.

- Sen - wyznała Mary przymuszona koniecznością. - Miałam... sen.

- Jaki sen?

- Wizję... Widziałam przeszłość...

- Cóż to znowu za kłamliwe brednie?

- Żadne kłamstwo... prawda... Widziałam go.

- Miecz?

- Tak.

- Gdzie? Kiedy?

- Edynburg... Jakobici...

- Kłamiesz!

- Nie... mówię prawdę - zapewniła Mary, jęcząc. - Był tam pewien człowiek.

- Jaki człowiek?

- ..widziałam go już wcześniej, w innym śnie... Towarzysze nazywali go grafem...

Nagle Malcolm zwolnił uchwyt i odsunął klingę od jej szyi. Z mężczyzną w masce wymienili długie zdumione spojrzenie.

- Jak wyglądał ten graf?

Mary zakaszłała i musiała wielokrotnie odchrząknąć, zanim znów była w stanie mówić.

- Był szczupły, niemal chudy - przypominała sobie, a starzec w tym momencie stanął jej wyraźnie przed oczyma. - Nosił długie siwe włosy oraz brodę, jego wiek trudno było ocenić. Miał wąskie usta, a w jego spojrzeniu było coś złowróżbnego...

- Nieoświecona kobieto - syknął wściekle Malcolm. - Widziałaś założyciela naszego bractwa. Księcia Kalona, lorda Oroga, pretora Gajusza Atera Maximusa, grafa Millencourta; nazwiska i tytuły, którymi posługiwał się przez stulecia, by pozostać nierozpoznanym wśród



ludzi, są liczne. To on założył Bractwo Runów i przyczynił się do osiągnięcia przez bractwo władzy i poważania.

- Widziałam, jak umierał - rzekła z butą Mary.

- Cóż ty bredzisz?

- W moim śnie. Widziałam ucieczkę podziemnym korytarzem. Z góry dobiegał odgłos armatniej kanonady, wokół panował chaos.

- Walka o zamek królewski w Edynburgu - wyszeptał Malcolm. -

Co dokładnie widziałaś?

- Widziałam, jak twój wychwalany graf uciekał jak tchórz - odparła Mary ze złośliwym przekąsem. - A wraz z nim Galen Ruthven.

- Mój dziadek - wyszeptał Malcolm i wyglądało na to, że resztki jego wątpliwości rozwiały się. - Powiedz mi, co widziałaś, niewiasto!

Czy mieli coś przy sobie? Pewien przedmiot? Mów szybko, kobieto, albo w przeciwnym razie siłą rozwiążę ci język!

- Pakunek.

- Czy był to podłużny przedmiot wielkości miecza?

- Tak, ale został zgubiony.

- Gdzie? - zapytał Malcolm drżącym głosem, a Mary doznała uczucia, że było to decydujące pytanie.

- Nagle uderzyła armatnia kula - podjęła relację. - Część podziemnego korytarza zawaliła się, skalne odłamy przysypały grafa, a wraz z nim także miecz. Ci, którzy przeżyli, usiłowali go wydobyć spod kamieni, lecz nie dali rady. Potem zjawili się żołnierze rządowi i doszło do krwawego starcia...

- Gdzie? - powtórzył pytanie Malcolm. - Gdzie to się stało?

Przypomnij sobie, kobieto, albo będziemy przypalać cię rozżarzonym żelazem.

-Nie wiem - zaklinała się Mary. - Mój sen zakończył się na chwilę przed tym, zanim mogłam się o tym przekonać.

- Nonsens! Jaka jest ostatnia rzecz, którą sobie przypominasz?

Chcę wiedzieć wszystko, słyszysz? Każdy szczegół!

- Podziemny korytarz... kończył się - wystękiwała Mary, przywołując z zakamarków pamięci ostatnie obrazy, które widziała. - Galen Ruthven był jedynym, który zdołał ująć z życiem. Wspiął się na górę szybem, który kończył się w kominku...

- W kominku? W jakim kominku?

-W kominku, na którym znajdował się herb. -

Jaki herb?

- Tego nie wiem.

-Jaki herb? Będiesz w końcu mówić?

- Tego nie wiem - zaklinała się kolejny raz Mary i już nie była w stanie powstrzymać łez. - Była to korona, a pod nią lew stojący na dwóch nogach...

- Godło dynastii Stuartów - wyciągnął wniosek Malcolm. - Da-lej!

- Galen wyrył na kominku jakieś dziwaczne znaki. Potem opuścił budynek. W środku widziałam stoły, krzesła i ladę, była to karczma, lecz nie było w niej żywego ducha. Z zewnątrz dobiegały głośno krzyki, dało się słyszeć strzały... Galen wyszedł, i więcej już sobie nic

nie przypominam. Błagam, Malcolmie. Musisz mi uwierzyć. To wszystko, co widziałam.

Ciężko dysząc, Malcolm spoglądał na nią z góry. Jego oczy płonęły, jakby zajęły się ogniem.

- W ten sposób wszystko się łączy - wyszeptał. - Czas nadchodzi.

Zagadka rozwiązała się.

Zwrócił się do swego towarzysza, który stał obok w milczeniu.

- W końcu wiemy, co się wtedy wydarzyło.

- Ależ, sir! Chce pan rzeczywiście dać wiarę tej kobiecie?

Przecież to wszystko mogła sobie wymyślić.

- W żadnym razie. Wie o rzeczach, o których nikt

niewtajemniczony nie ma pojęcia. Z jakichś powodów, których nie

znamy, druid wybrał ją, żeby mnie, jego następcy, przekazała

informację, gdzie znajduje się miecz. Chcę więc, żebyście natychmiast

ruszyli konno do Edynburga i odnaleźli oręż. Opis jest jednoznaczny.

Zajazd w bezpośredniej bliskości zamku, w którym jest kominek z

godłem Stuartów i wrytymi na nim znakami.

- Tak jest, sir.

- W końcu wiemy, gdzie musimy szukać. Po tych wszystkich

stuleciach oczekiwań nasze przeznaczenie wreszcie się wypełni! Nie

zniosę porażki, Dellard. Nie tym razem...

- Na prochy świętego Edwarda! - zakrzyknął sir Walter. - Masz rację, mój chłopcze!

Na herbie Stuartów było wydrapanych kilka symboli runicznych, najwyraźniej w wielkim pośpiechu. Jednakże wciąż można je było łatwo rozpoznać. Były to te same runy, które Quentin oraz sir Walter odkryli na grobowcu Roberta Bruce'a.

- Czy coś pan znalazł? - zapytał z nadzieją w głosie opat Andrew.

- Nie ja, lecz mój obecny tu chwacki siostrzeniec - odparł sir

Walter i z uznaniem poklepał Quentina po ramieniu. - Te dwa symbole najwyraźniej zostały wryte na herbie w późniejszym czasie. To są runy, te same, które widać na królewskim sarkofagu Roberta. Nie może być dziełem przypadku, że znajdują się właśnie tutaj.

- Z pewnością nie. Jak już powiedziałem, sir Walterze, miejsce to było kiedyś kryjówką członków bractwa.

- O tym już wiem. Ale czy nie przyszło ojcu na myśl, że w tych runach kryje się jakieś głębsze znaczenie? Czy kominek przeszukano dokładnie?

- Cóż, mówiąc szczerze, nie sadzę, żeby ktokolwiek...

Rozległy się ciche odgłosy, gdy sir Walter zaczął obstukiwać kominek gałką swojej laski. Nigdzie jednak nie odkrył zamurowanej wnęki.

- To nie może być przypadek - myślał na głos. - Te znaki muszą coś oznaczać. Stanowią wskazówkę, trop...

Cofnął się i spoglądał na kominek jako całość. Potem wyczuł

niewielki ruch powietrza obok prawej dłoni.

- Dziwne - wypowiedział tylko jedno słowo.

Podszedł do przodu, potem przesunął się do tyłu, następnie w

lewo, potem w prawo, próbując odkryć, jaki jest powód przeciągu. Ku

swemu zdumieniu stwierdził, że ruch powietrza nie był wyczuwalny

od strony komina, który znajdował się blisko, lecz dało się go wyczuć

całkiem nisko, przy podłodze, jak gdyby lekko wiało od strony rusztu

przykrytego popiołem.

- Ruszt kominka, mój chłopcze - zwrócił się do Quentina. -

Proszę, czy mógłbyś go wyciągnąć?

- Oczywiście, wuju.

Quentin ochoczo ruszył do przodu, chwycił żelazną kratę i

wyciągnął ją z paleniska kominka. Fakt, że przy tym wzbił się tuman

sadzy i w rezultacie z przodu młodzieniec wyglądał jak górnik, w

najmniejszym stopniu go nie stropił. Pod rusztem znajdowała się

kamienna płyta również pokryta sadzą. Na prośbę wuja Quentin

oczyścił ją dłonią. W tym momencie z jego gardła wydobył się

donośny okrzyk, kiedy dostrzegł znak miecza wryty w starym

kamieniu.

- To nie do wiary! - zawołał ogarnięty entuzjazmem. - Dokonałeś

tego, wuju! Odnalazłeś go!

- My, mój chłopcze - sprostował zadowolony sir Walter z

uśmiechem. - My go znaleźliśmy.

Również opat Andrew oraz jego współpracownicy natychmiast zjawili się w tym miejscu. Rzucali zdumione spojrzenia na odkrycie.

- Wiedziałem, że nie rozczaruje nas pan, sir Walterze - oznajmił opat Andrew. - Stwórca obdarzył pana oraz pańskiego siostrzeńca szczególnie bystrym umysłem.

- Zaczekajmy - studził zapał sir Walter. - Potrzebujemy teraz paru narzędzi. Zakładam, że pod tą kamienną płytą kominka znajduje się jakaś wnęka. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy tam to, czego szukamy.

Opat Andrew posłał dwóch ze swych braci, by przynieśli potrzebne narzędzia - ciężki młot oraz kilof, za pomocą których Quentin ostro natarł na płytę z kamienia. Rozległy się wielokrotne ciężkie uderzenia, gdy młot z całą siłą spadał na płytę. W końcu pojawiło się kilka pęknięć. Używając kilofa, Quentin przesunął bryły i wykonał otwór zbliżony do kwadratu, którego boki mierzyły ponad metr. Spod spodu wyzierała nieprzenikniona czerń.

- Świeca - zażądał podekscytowany Quentin i chwycił świecznik, który mu podano, a następnie oświetlił nim wnętrze otworu.

- No i? - zapytał niecierpliwie sir Walter. - Cóż tam widzisz?

- Czy znalazł pan tam miecz, panie Quentinie? - niecierpliwiał się opat Andrew.

- Nie, jest tu jakiś szyb. I korytarz, który od niego biegnie, rodzaj podziemnego przejścia...

Sir Walter i opat wymienili zdumione spojrzenia.

- Podziemie przejście? - zapytał sir Walter, unosząc wysoko

brwi.

- O niczym takim nie słyszałem.

- Być może sekretny korytarz. W dawnych czasach nie było

niczym niezwykłym, że na czarną godzinę zostawiano sobie otwarte

tylne drzwi.

- Zaraz się temu przyjrzę - obwieścił Quentin i zanim sir Walter

zdażył cokolwiek powiedzieć, młodzieniec zeskoczył na dół, trzymając

świecznik w dłoni.

Sir Walter i opat Andrew pospieszyli do krawędzi otworu i

spojrzeli w dół. Niecałe trzy metry poniżej dostrzegli Quentina, który

stał wyprostowany w podziemnym korytarzu.

- To niewiarygodne - zawołał Quentin, a jego głos pobrzmiwał lekko.

- Przede mną biegnie korytarz, lecz nie mogę dostrzec, dokąd prowadzi.

- Potrzebujemy więcej światła - zażądał sir Walter, po czym jeden

z mnichów zrzucił dwie pochodnie, które Quentin odpalił od świecy.

- To całkiem długi korytarz - zameldował z dołu. - Końca stąd nie

widać. Po około osiemnastu metrach korytarz skręca.

- W którym kierunku? - chciał wiedzieć sir Walter.

- W lewo.

- Hm... -zastanawiał się na głos sir Walter. - Korytarz biegnie w

kierunku północno-zachodnim. Jeśli dalej będzie jeszcze jeden zakręt

w lewo, znaczy to, iż prowadzi wprost do zamku królewskiego w

Edynburgu.

- Ma pan rację - przytaknął opat Andrew.

- Być może nie chodzi o tajne przejście. Właściwie nie było to podziemne przejście, które prowadziło z tego domu, jak początkowo zakładaliśmy, ale sekretny korytarz, który wiedzie z zamku do tego budynku.

- Istnieją przekazy, na podstawie których wiemy, iż zwolennicy jakobitów w tajemniczy sposób zdołali opuścić zamek. Być może w tej chwili znaleźliśmy wytłumaczenie tego faktu.

- Być może - przytaknął sir Walter. - I tłumaczyłoby to również fakt, dlaczego członkowie Bractwa Runów tu właśnie mieli swoją kryjówkę. Czy da się przejść tym podziemnym korytarzem, chłopcze? - zawołał, zwracając się do Quentina.

- Tak mi się wydaje.

- W takim razie powinniśmy go zbadać. Czy nie jesteś tego samego zdania, opacie Andrew?

Zakonnik zmarszczył czoło.

- Zamierza pan zejść tam osobiście?

Na twarzy sir Waltera pojawił się ponownie młodzieńczy, radosny uśmiech.

- Nie sądzę, że zdołamy odkryć tajemnicę podziemnego przejścia, stojąc tu, na górze, mój drogi opacie. Zatem skoro zaszliśmy tak daleko, nie zatrzymam się przed tymi kilkoma ostatnimi metrami.

- W takim razie będę panu towarzyszyć - oświadczył opat Andrew zdecydowanie i dał znak swoim braciom, żeby pomogli jemu oraz sir



Walterowi przy schodzeniu w dół.

Ze względu na chromą nogę sir Walter męczył się przez chwilę, schodząc do podziemnego korytarza, jednak panu Abbotsford, kiedy już coś wbił sobie do głowy, nikt nie mógł tego wyperswadować żadnymi argumentami. Quentin stanął tak, żeby wuj mógł postawić nogi na jego ramionach, a ze splecionych dłoni utworzył drugi stopień, po którym sir Walter zszedł na posadzkę podziemnego korytarza.

Wkrótce po nim zeskoczył na dół opat Andrew. Sposób i lekkość, z jaką się poruszał i z jaką wykonał sprężysty zeskok, kazały przypuszczać, iż modlitwa oraz studiowanie starych manuskryptów nie były jedynymi rzeczami, którymi zajmował się opat.

Mnisi podali im z góry kolejne pochodnie. Gdy tylko trójka mężczyzn zapaliła je, ruszyli przed siebie, chcąc zbadać podziemny korytarz, który spowijał mrok. Pracowite ręce wykuły przejście w bazalcie zamkowego wzgórza prawdopodobnie już w czasach średniowiecza.

Strop korytarza był na tyle wysoki, by nieco pochylony człowiek mógł nim iść swobodnie. Ściany były wilgotne i pokryte iłem, co jakiś czas na posadzce stały kałuże, w których odbijało się światło pochodni. Gdzieś skapywała woda, a kroki trzech mężczyzn odbijały się od ścian pustym i złowieszczym echem.

Quentin, który zdołał pokonać w sobie wszelką odrazę i teraz wyłącznie pałał żądzą rozwiązania zagadki, szedł na przedzie małej grupy. Za nim podążał sir Walter, natomiast opat Andrew stanowił

tylną straż.

Szli coraz dalej korytarzem, który początkowo skręcił w lewo, tak jak opisał to Quentin, a potem łagodnym łukiem wspinał się ku górze.

- Miałem rację - stwierdził sir Walter, a jego głos rozbrzmiewał donośnie we wnętrzu korytarza. - To przejście rzeczywiście prowadzi w stronę zamku. Założę się o wszystko, że...

Nagle Quentin stanął w miejscu.

Przed nim leżał ludzki szkielet.

Był częściowo oparty o ścianę korytarza, na kościach gdzieś widniały jeszcze resztki munduru. Obok znaleźli zardzewiałą szablę oraz resztki pistoletu skałkowego. Obojczyk umarłego był roztrzaskany najwyraźniej od kuli, która musiała trafić go z niewielkiej odległości.

- Sądząc po mundurze, był żołnierzem oddziałów rządowych  
- wysunął przypuszczenie sir Walter. - Członkiem Czarnej Gwardii.

Wszystko wskazuje na to, że doszło tutaj do walki.

Szli dalej i natrafiali na wskazówki, które potwierdzały domysły sir Waltera. W korytarzu napotkali dalsze szkielety, które miejscami leżały tak gęsto, że sir Walter i jego towarzysze musieli nad nimi przechodzić. Obok znajdowały się zardzewiałe resztki broni oraz strzępy mundurów, częściowo żołnierzy rządowych, częściowo natomiast jakobińskich powstańców.

- Tu, na dole, musiało dojść do krwawej potyczki - zauważył Quentin.

- W rzeczy samej - zgodził się sir Walter. - I żołnierze rządowi

przeegrali tę walkę.

- Na jakiej podstawie tak wnioskujesz?

- To bardzo proste. Gdyby żołnierzom udało się opuścić podziemny korytarz, wiedza o nim nie pozostałaby tajemnicą. W takim razie tylko jakobitom udało się ujść z życiem. I to oni zatrzymali tę tajemnicę dla siebie.

- To brzmi logicznie - przyznał opat Andrew. - Zresztą zadaję sobie pytanie, dlaczego szczątki tych ludzi są w takim stanie. Powstanie jakobitów zostało stłumione przed siedemdziesięcioma laty. Ale te szkielety wyglądają tak, jakby tu na dole spoczywały już dobrych kilkaset lat.

- Sądzę, iż znam odpowiedź - wtrącił Quentin zduszonym głosem.

Jedną z pochodni oświetlił korytarz, a w oddali dało się słyszeć przerażone piski. Tam, gdzie docierał blask pochodni, ziemia zdawała się poruszać i było słychać tupot dziesiątek cichych kroków.

- Szczury - stęknął sir Walter i wykrzywił twarz w pełnym niechęci grymasie.

Niewiele było rzeczy, do których pan Abbotsford czuł odrazę - szare gryzonie z pewnością do nich należały.

Quentin, który znał tę słabość wuja, krzyknął głośno i machnął pochodnią, chcąc przepędzić małe potwory. Szczury z piskiem ruszyły w drugą stronę korytarza, a po chwili ponownie zostały przegnane, kiedy mężczyźni ruszyli dalej w stronę ciemności. Co jakiś czas w półmroku dawało się dostrzec czerwone świecące oczka, które spoglądały na nich z nieskrywaną wrogością.

Korytarz biegł teraz coraz bardziej stromo, w nieregularnych odstępach w posadzce wykute były stopnie. Według szacunków sir Waltera

już niebawem musieli znaleźć się pod murami królewskiego zamku - a każdy z trójki mężczyzn zadawał sobie pytanie, co znajdą na końcu podziemnego korytarza...

Oddział dragonów pędził przez noc szaleńczym galopem, bezlitośnie spinając konie ostrogami.

Mogli jechać głównym gościńcem, ponieważ nie musieli się kryć.

Ich mundury stanowiły doskonały kamuflaż. Któż mógłby podejrzewać, że oddział angielskich dragonów to w istocie członkowie zakazanego bractwa?

Charles Dellard żywił pełną pogardę dla wszystkich tych, których udało mu się wywieść w pole, poczynając od swoich przełożonych, aż po głupców w kręgach rządowych, z których wszyscy uważali go za lojalnego poddanego Jego Wysokości. Przy czym aż płonął z niecierpliwości, by zrzucić wreszcie maskę i ujawnić swe prawdziwe zamiary. Miał już dość podlizywania się i wykonywania rozkazów nierozgarniętych arystokratów, którzy tytuł i urząd wyłącznie odziedziczyli po przodkach. Sam pragnął należeć do tych, w rękach których leży władza. Dzięki Malcolmowi Ruthvenowi oraz Bractwu Runów już wkrótce znajdzie się w tym dostojnym kręgu.

Niestrudzenie wciąż zmuszał konia do galopu. Po tamtej stronie wzgórza już niebawem dotrą do pierwszych rogatek miasta. Błada

poświata ulicznych latarni sięgała ponad domy i rozjaśniała noc, dzięki czemu z dala można było dostrzec wzgórze zamkowe i potężną twierdzę stojącą na jego szczycie.

Edynburg.

Dotarli do celu.

Sierść koni błyszczała od potu z powodu ostrej jazdy. Zwierzęta parskwały i dawały z siebie wszystko, lecz jeźdźcy wciąż je ponaglali.

Malcolm Ruthven był przekonany o tym, że sen Angielki był czymś więcej, niż tylko ulotną marą czy też kłamstwem, którym chciała uratować swoje życie. Dellard nie wiedział, co powinien o tym sądzić. Jednak wiedział, że do zaćmienia Księżyca pozostało już niewiele czasu. Musieli wykorzystać każdą sposobność zdobycia miecza runów, oręza obłożonego klątwą, od którego wszystko zależało.

Byli już tak blisko.

Nie upłynie dużo czasu, a ponure przeznaczenie, w które wszyscy wierzyli, spełni się. Potem nadejdzie nowa epoka. Gdy tylko zdradziecki król zostanie usunięty z drogi - za pomocą głowni, która już wcześniej przyniosła śmierć innym zdrajcom...

Niebezpieczeństwo zawisło nad nim tak szybko, że Quentinowi zabrakło czasu, by zareagować.

Minęli już stromy odcinek korytarza i teraz znów przejście prowadziło poziomo. Gdyby Quentin nie koncentrował się tak bardzo na dotarciu do końca trasy, zapewne zauważyłby, że posadzka w tym miejscu była nieco inna niż w pozostałej części drogi. W tej sytuacji

jednak wszedł na oślep w pułapkę, którą dawno temu zastawiły tu osoby o złych intencjach.

Nieprzemyślany krok, następnie potworny trzask - a kamienna płyta grubości palca, która w tym miejscu tworzyła posadzkę, ustąpiła. Rozpadła się na części, spod których zionęła czarna otchłań.

Z gardła Quentina dobył się zduszony okrzyk, gdy zauważył, że pod jego nogami nie ma już nic. Pochodnia upadła na podłogę. W panice zamachał rękoma, lecz nie był w stanie chwycić niczego poza próżnią. W następnym momencie doznał uczucia, jak gdyby czeluść chciała go pochłonąć. Przez ułamek sekundy zawisł między życiem a śmiercią - do chwili, kiedy dwie odważne dłonie chwyciły go i przytrzymały, gdy kawałki kamiennej płyty znikły w egipskich ciemnościach.

Quentin wciąż krzyczał. Upłynęła chwila, zanim pojął, że nie spada w dół. Sir Walter i opat Andrew zareagowali szybko niczym błyskawica i chwycili go za kołnierz surduta. Teraz dyndał i bezradnie poruszał się wyciągany z przepaści.

- Niewiele brakowało, mój chłopcze - wydusił z siebie sir Walter.

Quentin drżał na całym ciele. Nie będąc w stanie powiedzieć nawet słowa, podpełzł na czworakach do krawędzi czeluści i rzucił spojrzenie w dół. Jego pochodnia leżała teraz na dole i mógł zobaczyć dno przepaści. Dół miał głębokość dziewięciu metrów, a z dna sterczały żelazne pręty. Gdyby Quentin rzeczywiście spadł, niechybnie spotkałaby go śmierć.

- Dziękuję - wydusił z siebie cichym głosem.

Przez moment naprawdę był przekonany, że jest już po wszystkim.

- Nie ma za co, mój chłopcze - sir Walter uśmiechnął się z

namysłem. - Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby coś ci się stało. A

więc był to czysty egoizm.

- Wilczy dół - stwierdził opat Andrew, którego puls nie

przyspieszył nawet o jotę. - Najwyraźniej budowniczo wie tego

korytarza obawiali się niepożądanych gości.

- Najwyraźniej - zgodził się sir Walter. - Zresztą powinni się

również liczyć z tym, że tego rodzaju niespodzianki wzbudzą w nas

jeszcze większą ciekawość. Tam, gdzie znajdują się podstępne pułapki,

z pewnością jest coś do odkrycia.

Podał Quentinowi dłoń, pomagając mu wstać.

- Wszystko w porządku, mój chłopcze?

- Tak mi się wydaje.

Quentin wciąż jeszcze miał miękkie kolana, serce waliło mu

między żebrami jak szalone. Wciąż będąc w szoku po tym wydarzeniu,

otrząpywał brud z ubrania.

- Proponuję, żebyśmy poszli tędy - rzekł sir Walter i wskazał na

wąski gzyms, który miał szerokość dwóch dłoni i biegł wzdłuż

krawędzi wilczego dołu.

Konstrukcja była równie prosta, co skuteczna. Kto wiedział, gdzie

należy postawić stopę, ten mógł bezpiecznie przejść na drugą stronę.

Kto, tak jak Quentin, szedł wprost przed siebie, narażał się na zgubę.

Quentin musiał pokonać opór, żeby ponownie zbliżyć się do dołu, nie wspominając już o tym, iż musiał obok niego przejść, balansując.

Najchętniej zamknąłby oczy, gdyby tym samym nie wystawiał się na prawdziwe niebezpieczeństwo postawienia kroku nie tam, gdzie trzeba.

A zatem przemieszczał się teraz do przodu drobnymi kroczkami, przylegając plecami do skalnej ściany i zmuszając się, by nie spoglądać w ciemną czeluść.

Mijali dół po kolei. Jako ostatni ruszył sir Walter. I znów chroma noga sprawiła mu pewne problemy, jednak dzięki niezłomnej dozie koncentracji oraz podziwu godnej odwadze poradził sobie z tą przeszkodą.

Od tego momentu trzej mężczyźni trzymali się razem i najpierw badali podłoże, zanim postawili stopę. Jak się okazało, nie było dalszych pułapek. W końcu sir Walter doszedł do wniosku, że znajdowali się już pod zamkiem królewskim - korytarz rozszerzał się, tworząc podziemną kryptę, i nagle kończył się.

Strop zawalił się, ogromna sterta skalnych odłamów i gruzu zagradzała drogę.

- Moi panowie - odezwał się zrezygnowanym głosem opat Andrew. -

Mówię to niechętnie, lecz obawiam się, że tu jest kres naszej eskapady.

- Na to wygląda - potwierdził sir Walter, zgrzytając zębami.

Fakt, iż dotarli tak daleko i narazili się na tak wielkie niebezpieczeństwa wyłącznie po to, by teraz skapitulować z powodu sterty skalnego gruzu, rozzłościł go niepomiernie, zresztą nie tylko



jego.

- To nie może być prawdą - wykrzyknął poirytowany Quentin.

- Jesteśmy tuż przed rozwiązaniem zagadki, a teraz kilka kamieni zagradza nam drogę.

Z werwą zaczął odsuwać na bok większe bryły skalne. Ledwo

jednak w pocie czoła zaczął to robić, z góry posypały się nowe głązy i odłamki skał.

- Niech pan to zostawi, paniczku Quentinie - zwrócił się z prośbą opat Andrew. - W ten sposób ryzykuje pan tylko, że reszta podziemnego korytarza zawali się nam na głowy.

- Ale... przecież musi być coś, co możemy zrobić. Przecież nie może się to tak skończyć, nieprawdaż, wuju?

Sir Walter nie odpowiedział. Również on pałał nieodpartą żądzą poznania, co rzeczywiście kryło się w podziemnym przejściu, ale istotnie nie był w stanie sprawić, żeby sterta skalnego gruzu, ot tak po prostu, zniknęła. Z namysłem oświetlił pochodnią posadzkę - i nieoczekiwanie natrafił na jakiś ślad.

- Quentinie! Opacie Andrew!

W świetle pochodni obaj dostrzegli to, co odkrył sir Walter. Pod kamieniami i skalnym pyłem leżały ludzkie zwłoki. Początkowo nie było ich widać, dopiero desperacka próba usunięcia przeszkody, którą podjął Quentin, odsłoniła ludzkie szczątki.

Inaczej niż w przypadku ciał, które znajdowały się w korytarzu, te zwłoki były zasypane, więc szczury nie miały do nich dostępu. Ostry

zapach rozkładających się zwłok uderzył całą trójkę w nozdrza, kiedy odsuwali kolejne skalne odłamy. Nagle dostrzegli, że zmarły coś trzymał.

Był to długi pakunek owinięty w skórę, który nieboszczyk obejmował rękoma... zupełnie tak, jakby był to drogocenny skarb, którego nieboszczyk pragnął strzec nawet po swej śmierci.

Trójka mężczyzn wymieniła znaczące spojrzenia, gdy uświadomili sobie, co może znajdować się w pakunku. Czyżby poszukiwania doprowadziły ich w końcu do celu?

Quentin, który nie mógł wytrzymać z niecierpliwości, wziął na siebie niezbyt przyjemne zadanie wyciągnięcia tego pakunku z uchwytu zmarłego. We własnych oczach postrzegał siebie jako grabieżcę grobów i jedynie myśl, że od tego może zależeć bezpieczeństwo kraju, nieco go uspokoiła.

Musiał trochę się namęczyć, zanim spod sterty skalnego gruzu udało mu się wyciągnąć pakunek, który mierzył ponad dwa metry długości. Zaraz potem znów posypał się skalny żwir i ponownie zasypał zwłoki - jakby odegrały już swoją rolę w tej zawiłej i niedającej się przewidzieć intrydze i w końcu znalazły upragniony spokój.

Quentin położył pakunek na posadzce korytarza. W migoczącym świetle pochodni mężczyźni przystąpili do jego rozwijania.

Minęły chwile nieznośnego napięcia, w czasie których nikt nie odezwał się ani słowem. Stare sznurki były już zbutwiałe, a sir Walter

rozwijął skórę nasmarowaną oliwą, która chroniła zawartość pakunku przed wodą i wilgotnością powietrza.

Quentin wstrzymał oddech, a w oczach sir Waltera można było dostrzec iskierki podobne do błysków w oczach chłopca, który dostawał właśnie dawno obiecany prezent. W następnej chwili płomienie pochodni odbiły się od błyszczącej powierzchni metalu, która lśniła tak mocno, że niemal oślepiła trójkę mężczyzn.

- Miecz! - zawołał opat Andrew i rzeczywiście spod warstwy starej skóry ich oczom ukazała się broń długości dobrych dwóch metrów.

Miecz był szeroki i obosieczny, wykuty wedle prาดawnej kowalskiej sztuki. Owinięta w skórę rękojeść była dostatecznie długa, by chwycić ją obiema rękami, jednak głowicę tak wyważono, iż orężem można był walczyć także za pomocą jednej ręki. Powyżej szerokiego

jelca, na zastawie głowni widniał symbol, który połyskiwał w świetle pochodni.

- Znak runiczny miecza - wyszeptał Quentin.

- Tym samym zyskaliśmy dowód - oznajmił sir Walter. - Jest to oręż, którego szukałeś, opacie Andrew.

- I dziękuję Stwórcy, że porzuciłem wszelkie opory i poprosiłem cię o pomoc, sir Walterze - odparł opat. - W najkrótszym czasie udało się panu to, czego nie zdołał dokonać żaden z naszych uczonych braci w minionych czasach.

- W rzeczywistości nie jest to moja zasługa - wzbraniał się sir

Walter. - Po pierwsze, ma w tym swój udział również Quentin. A po drugie, najwyraźniej już najwyższy czas, żeby tajemnica ujrzała światło dzienne.

Skierował wzrok na głownię i ważył oręż w obu rękach.

- To zatem jest miecz, z powodu którego knuto intrygi i mordowano.

- Więc pogłoski są zgodne z prawdą. Wśród jakobitów byli też członkowie Bractwa Runów. Byli w posiadaniu tego oręża, jednak nie zdołali wyzwolić jego niszczycielskiej siły. Za sprawą tego miecza, panowie, osiągnięto zwycięstwo w bitwie pod Stirling. Dzierżył go wtedy William Wallace, zanim również jego samego doprowadził do zguby. Później broń znalazła się w posiadaniu Roberta Bruce'a i poprowadziła go do zwycięstwa w wygranej bitwie pod Bannockburn.

Działo się to ponad pół tysiąca lat temu.

- Na głowni nie widać nawet śladu rdzy - spostrzegł Quentin.

Myśl o tym, że ten oręż był własnością najślawniejszych postaci szkockiej historii, napełniła go jednocześnie dumą i czcią, a także odrobiną niepokoju.

- Miecz był dobrze naoliwiony i zawinięty w skórę - sir Walter natychmiast podsunął wyjaśnienie, jakby chciał tym samym zdusić w zarodku wszelkie niezwykle spekulacje. - Nic zatem dziwnego, że przetrwał wszystkie te lata w dobrym stanie. Zadaję sobie wszelako pytanie, dlaczego nikt nie wiedział, gdzie pozostawiono ten miecz. W końcu przynajmniej jednemu z powstańców udało się wtedy wyjść żywemu z podziemnego korytarza.

- Zgadza się - przyznał opat Andrew. - Kiedy wojska rządowe przystąpiły do szturm, członkowie Bractwa Runów zapewne zbiegli sekretnym podziemnym przejściem, nie chcąc pozwolić na to, by miecz dostał się w angielskie ręce. Wtedy też doszło, przypuszczalnie na skutek artyleryjskiego ostrzału, do częściowego zawalenia podziemnego korytarza. Miecz został utracony, jednak kilku powstańcom udało się ująć z życiem. Doszło wtedy do zażartej walki z żołnierzami sił rządowych, którzy zapewne przypadkowo trafili na ukryte przejście. Jak już pan powiedział wcześniej, sir Walterze, najwyraźniej żaden z tych żołdaków nie przeżył walki pod ziemią, gdyż w przeciwnym razie istnienie podziemnego przejścia nie byłoby owiane tajemnicą.

- Przynajmniej jeden z powstańców - podjął wątek sir Walter - musiał przeżyć walkę. Był to ten, który zamknął wejście do sekretnego przejścia i wyrył na kominku runiczne symbole. Pozostaje więc pytanie, dlaczego wiedza o sekretnym przejściu nie została przekazana.

- To całkiem proste - odezwał się nagle głos z ciemnej głębi podziemnego korytarza. - Ponieważ ten, który przeżył, wkrótce potem został zastrzelony i nie zdążył nikomu powierzyć swej tajemnicy.

Sir Walter, opat Andrew oraz Quentin odwrócili się przerażeni i unieśli w górę pochodnie. W migoczącym świetle dostrzegli ciemne postacie w białych opończach. Maski, za którymi skrywali twarze, były poczernione sadzą. Ludzie ci trzymali w dłoniach pistolety oraz nagie szable.

- Popatrzcie - odezwał się sir Walter ze stoickim spokojem. - Nasi przeciwnicy również rozwiązali zagadkę, jednak my byliśmy pierwsi, jeśli wolno mi zauważyć.

- Niech

pan

zamilknie

-

szorstka odpowiedź została

wypowiedziana głosem, który sir Walterowi i jego towarzyszom wydał się dobrze znany.

- Dellard? - zapytał ojciec Andrew.

Przywódca zamaskowanych roześmiał się, potem sięgnął do maski i zdjął ją. Spod niej rzeczywiście wyłoniła się ascetyczna twarz królewskiego inspektora, który teraz uśmiechał się szyderczo i złośliwie.

- W rzeczy samej, wielebny opacie. A zatem widzimy się ponownie.

Opat Andrew zdawał się nie być tym zaskoczony, w przeciwieństwie do swych towarzyszy. Podczas gdy Quentin spoglądał na inspektora jak na ducha, twarz sir Waltera zaczerwieniła się z gniewu.

- Dellard! - zawołał wzburzonym głosem. - Cóż to ma znaczyć?

Jest pan oficerem Korony! Złożył pan przysięgę na wierność królowi i ojczyźnie!

- Sądząc po pańskim wzburzeniu, sir, udało mi się wyprowadzić w pole wielkiego Waltera Scotta. Sztuka, która, jak sądzę, zasługuje na wielki szacunek i podziw. W końcu słynie pan z bystrego umysłu.

- Chyba okaże pan zrozumienie, jeśli nie będę bił panu braw. Jak pan mógł, Dellard? Oszukiwał pan nas wszystkich. Udawał pan, że walczy z członkami bractwa, jednocześnie będąc jego członkiem.

- Wilk ukrywający się pod owczą skórą zawsze był skutecznym podstępem - oznajmił Dellard z kpiącym uśmiechem. - Poza tym to właśnie pan powinien najbardziej docenić mój drobny manewr maskujący, sir Walterze.

- O czym pan mówi?

- Niech pan pomyśli, Scotcie. To pan sprawił, że wszystko to stało się możliwe. Odbierając dochodzenie Slocombe'owi i przekazując je mnie, bezwiednie oddał nam pan wielką przysługę. Później wścibiając nos w nie swoje sprawy i działając z uporem, coraz bardziej działał nam pan na nerwy, muszę przyznać.

- Czy to właśnie jest przyczyna, dla której za wszelką cenę powinienem był opuścić Abbotsford?

- Popatrzcie, bystre rozumowanie znów powraca - szydził Dellard.

- Ale ma pan rację. Początkowo rzeczywiście chodziło o to, żeby pozbyć się pana oraz pańskiego siostrzeńca. Potem jednak stało się jasne, że będzie pan nam o wiele bardziej przydatny, jeśli zacznie pan działać na naszą korzyść zamiast przeciwko nam. A zatem wysłaliśmy pana do Edynburga, by kontynuował tam pan dla nas poszukiwania

miecza. No i jak widać - skierował wzrok na oręż, który Quentin

trzymał w dłoniach - odniósł pan sukces.

Dał znak gestem swoim zbirom, którzy podeszli z uniesioną bronią.

Jednak opat Andrew stanął z przodu, zasłaniając ciałem Quentina.

- Nie! - rzekł stanowczym głosem. - Miecz nie dostanie się w

pańskie ręce, Dellard. Po moim trupie!

- Czyżby I? Sądzi ojciec, że będę miał skrupuły, żeby ojca

uśmiercić? Tacy jak ty, ojczco, dostatecznie długo mieszały nam szyki.

Zakonnik jednak ani drgnął, lecz odważne spojrzenie skierował ku

wylotom luf pistoletów.

- Nie wolno panu tego uczynić, Dellard - odezwał się, zaklinając

inspektora. - Jeśli wskrzesicie klątwę, wszystkich nas dotknie bieda i

nieszczęście. Wybuchnie wojna, która podzieli kraj, a brat będzie

walczył z bratem. Zginą tysiące.

- O to właśnie chodzi - przyznał Dellard ze złośliwą satysfakcją. -

Az popiołu tej wojny powstanie nowa władza. Ci, którzy teraz panują,

zostaną przepędzeni i zapanuje nowy ład.

- Wierzy pan w to?

- A jeśli tak, to co?

- W takim razie jest pan głupcem, Dellard, ponieważ nigdy nie

zwyciężycie - prorokował opat Andrew. - Wszystkim, co macie

ludziom do zaoferowania, jest strach, przemoc oraz groza.

- To wystarczy, by dźwżyć władzę - odparł z przekonaniem

zdrajca.



- Być może. Pozostaje tylko pytanie, jak długo przetrwa wasza władza. Pragniecie ożywić przeszłość i oddajecie hołd dawnej epoce, która już dawno temu minęła. Wasze zamiary spalą na panewce, Dellard. Zaś my wszyscy będziemy świadkami waszego upadku.

- Twoje proroctwo zdolności, z całym szacunkiem, wielbny opacie - ripostował inspektor. - Obawiam się, że niespecjalnie nadajesz się na wyrocznię. Zanim bowiem doliczę do trzech, będziesz martwy. Raz...

- Oddaj mu miecz, opacie Andrew - odezwał się z determinacją sir Walter. - Ten człowiek nie ma skrupułów.

- Nie, sir Walterze. Przez całe życie przygotowywałem się na tę chwilę. Nie okażę słabości teraz, kiedy ta minuta nadeszła.

- W takim razie będzie to twoja ostatnia minuta, ojciec - oznajmił Dellard, nie kryjąc nienawiści. - Dwa...

- W imię Boga, Dellard! To jest tylko miecz, pradawny artefakt! Cóż można nim osiągnąć?

Opat odwrócił się i skierował na sir Waltera znaczące spojrzenie.

- Wciąż jeszcze pan wątpi - odezwał się cichym głosem. - Ale już wkrótce, sir Walterze, również pan uwierzy.

- Trzy! - powiedział głośno Dellard i w tym momencie wydarzenia potoczyły się błyskawicznie.

Quentin, który doszedł do wniosku, iż opat Andrew nie powinien stracić życia bez sensu, postanowił przekazać oręż Dellardowi i jego ludziom. Jednak opat przytrzymał go żelaznym chwytem - a w następnym momencie wystrzeliły pistolety runicznych braci.

- Nie! - wykrzyknęli jednocześnie Quentin i sir Walter, ale było już za późno.

Przez ułamek sekundy opat Andrew trzymał się jeszcze na nogach, gdy jego habit na wysokości piersi zabarwił się na czerwono. Potem upadł.

Sir Walter natychmiast znalazł się przy nim, jednocześnie zamaskowani podeszli, by odebrać miecz Quentinowi. Zszokowany młody człowiek praktycznie nie stawiał oporu - w tej chwili z troską i niepokojem patrzył na opata Andrew.

Zakonnik dostał dwie kule w ramię, trzecia trafiła prosto w serce.

Krew z rany tryskała niepoahamowanymi strumieniami i wsiąkała w habit mnicha. Twarz opata w jednej chwili zrobiła się blada jak kreda.

- Sir Walterze, paniczku Quentin - wyszeptał i skierował na nich obu gasnące spojrzenie.

- Tak, wielebny opacie?

-Próbowaliśmy... uczynić wszystko... przykro mi... popełniłem błąd...

- Nic nie mogłeś zaradzić - rzekł sir Walter, pocieszając go, podczas gdy Quentin rozpaczliwie próbował powstrzymać krwawienie.

Jednak nie zdołał tego uczynić i już po chwili także jego ubranie było umazane krwią opata.

- Daliśmy z siebie wszystko... walczyliśmy wiele stuleci... nie mogą zwyciężyć...

- Wiem - odparł lakonicznie sir Walter.

Opat Andrew przytaknął, potem w nagłym przyływie resztek sił chwycił sir Waltera za ramiona i podciągnął się do góry. Spojrzał na niego mętnymi oczyma i wyszeptał zachrypniętym głosem ostatnie słowa.

- Ceremonia... nie przeprowadzać... przeszkodzić...

Opuściły go wszystkie siły, a jego tors osunął się do tyłu. Jeszcze raz jego umęczone ciało uniosło się. Potem głowa opata opadła na bok i wydał ostatnie tchnienie.

- Nie - wyszeptał Quentin, którego rozsądek wzbraniał się przed zaakceptowaniem tego, co się stało. - Nie, nie!

Sir Walter na chwilę pogрузzył się w cichej modlitwie. Potem zamknął opatowi oczy. Kiedy spojrział w górę, jego twarz przybrała taki wyraz, jakiego Quentin nigdy wcześniej u niego nie widział. W jego twarzy było widać czystą nienawiść.

- Mordercy - powiedział bez ogródek do Dellarda i jego popleczników. - Nikczemni zbrodniarze. Opat Andrew był człowiekiem pokoju i miłosierdzia. Nie wyrządził panu żadnej krzywdy!

- Naprawdę pan w to wierzy, Scotcie? - inspektor pokręcił głową. - Jest pan naiwny, zdaje pan sobie z tego sprawę? Chociaż wie pan już tak wiele, wciąż nie poznał pan prawdziwej istoty tej sprawy. Opat Andrew nie był człowiekiem pokoju i miłosierdzia, Scotcie. Był wojownikiem, dokładnie jak ja. Już od wieków tam, nad nami, toczy się zaciekle walka, która zadecyduje o losie i przyszłości tego kraju.

Lecz nie spodziewam się wcale, że pan oraz pański nie grzeszący bystrością siostrzeniec to rozumiecie.

- Tu nie ma nic do rozumienia. Jest pan tchórzliwym mordercą, Dellard. I uczynię wszystko, żeby pan i pana poplecznicy zostali pociągnięci do odpowiedzialności za wasze zbrodnie.

Dellard westchnął.

- Widzę, że absolutnie nic pan z tego nie pojął. Może zrozumie to pan, kiedy spojrzy na to moimi oczyma.

- O czym pan mówi?

- O długiej podróży, w którą wybierzemy się razem. Czy naprawdę wierzył pan, że odbierzemy panu miecz i pozwolimy odejść?

Wie pan zbyt dużo, Scotcie. A i tak może pan mówić o szczęściu, skoro nie spotka pana ten sam los co czciwego opata.

Na dany przez niego znak towarzyszący mu ludzie pochwycili sir Waltera oraz Quentina. Sir Walter stanowczo protestował, Quentin natomiast próbował bronić się pięściami. Walka trwała jednak krótko, gdyż w jednej chwili obu powalono na ziemię, pozbawiając przytomności.

Żaden z nich nie był świadomy, kiedy ich spętano, a potem wywieziono w nieznane miejsce, gdzie miały się wydarzyć rzeczy mroczne i ponure...

To było nieprzyjemne przebudzenie.

Nie tylko dlatego, że w głowie Quentina huczało, a w skroniach pulsował przejmujący ból. Lecz również dlatego, że pamięć powróciła.

Wspomnienia o podziemnym przejściu, o mieczu runów - i o spotkaniu z zamaskowanymi złoczyńcami.

Quentin wzdrygnął się, gdy przypomniał sobie, jak opat Andrew umarł na jego oczach. Przypomniał sobie szyderczy śmiech Charlesa Dellarda, który okazał się wiarołomnym zdrajcą - i nagle uświadomił sobie, że jest w niewoli.

Z jego gardła wydobył się cichy jęk, potem chłopiec otworzył oczy.

Jednak to co zobaczył, wcale nie było tym, czego się spodziewał.

Zamiast zamaskowanych runicznych braci obok siebie zobaczył nieziemsko piękne rysy twarzy Mary Egton.

- Czy... jestem martwy? - zabrzmiało jedyne pytanie, jakie przyszło mu do głowy.

W końcu było absolutnie niemożliwe, żeby spotkał Mary na ziemskim padole. Musiał zatem umrzeć i trafić do nieba, gdzie spełniły się jego wszystkie życzenia i sny.

Mary uśmiechnęła się. Jej twarz była bledsza, niż ją zapamiętał, a długie włosy w nieładzie. Jednak ani jedno, ani drugie nie zaszkodziło jej urodzie, która znów wprowadziła go w zachwyt.

- Nie - odpowiedziała. - Nie sędzę, żeby był pan martwy, mój drogi paniczku Quentinie.

- Nie? - podniósł się nieco i rozejrzał się z zakłopotaniem.

Znajdowali się w małym pomieszczeniu z niskim sufitem oraz podłogą i ścianami z drewna. Dopiero teraz Quentin zauważył, że ich więzienie się poruszało. Ciężko podskakiwało co jakiś czas, a z zewnątrz dochodziło ciche pobrękiwanie uprzęży oraz odgłos końskich kopyt.

Znajdowali się w powozie - i to nie była jedyna niespodzianka. W przeciwległym rogu Quentin spostrzegł sir Waltera, który oparty o ścianę siedział na podłodze, a na głowie miał prowizoryczny opatrunek.

- Wuju - odezwał się Quentin ze zdziwieniem.

- Dzień dobry, mój chłopcze. Chociaż może powinienem powiedzieć dobry wieczór? Wątpię, żeby te łotry miały wobec nas dobre zamiary.

-

Gdzie... właściwie jesteśmy? - spytał oszołomiony Quentin.

Stopniowo docierało do niego, że jednak nie pożegnał się ze światem doczesnym. Lecz jak znalazła się tu Mary?

- W drodze do siedziby bractwa - odparła. - Wszakże gdzie to jest, tego mi nie powiedziano. Jestem więźniem tak jak wy.

- Ale... to przecież jest niemożliwe - bełkotał bezradnie Quentin.

- Przecież pani nie może tutaj być. Pani powinna być przecież dobrze strzeżona u swojego narzeczonego, na zamku Ruthven.

- Właściwie tak - przyznała Mary.

Potem opowiedziała Quentinowi o wszystkim, co się wydarzyło od

chwili, kiedy opuściła Abbotsford.

Chociaż skracała opowieść, niczego nie pominęła - także tamtej nocy, w trakcie której Malcolm Ruthven chciał posiąść ją siłą i ścigał po pogrążonym w mroku zamku. Quentin skrzywił się z obrzydzenia, a sir Walter, który ocknął się wcześniej i słuchał tej historii po raz drugi, ponownie potrząsał głową z oburzenia.

Mary relacjonowała, jak znalazła pamiętniki Gwynneth Ruthven, i opowiadała o swoich snach, o Bractwie Runów i spisku sprzed ponad pięciuset lat. Policzki Quentina w widoczny sposób zaczerwieniły się przy tym.

-Wreszcie- zakończyła opowieść- nie mogłam dłużej tego znieść.

Postanowiłam uciec, a niektórzy służący pomogli mi wymknąć się z zamku. Nie wiedziałam, dokąd powinnam się skierować, więc zdecydowałam się jechać do Abbotsford. Z początku wszystko szło dobrze, ale niedaleko od celu wpadłam w ręce Charlesa Dellarda. Nie mogłam wiedzieć, że on i Malcolm działali razem, stało się to jasne dopiero wtedy, kiedy kazał mnie pochwyć i związać.

- Malcolm Ruthven jest szefem tej bandy - dodał gorzko sir

Walter. -To nie do pomyślenia! Szkocki lord za pomocą zdrady pragnie zdobyć koronę. To hańba.

- W takim razie to... to wszystko prawda - stęknął Quentin, który wciąż miał trudności z uporządkowaniem najświeższych wiadomości.

- Spisek przeciwko Williamowi Wallace'owi, przeklęty miecz, który przyniósł zwycięstwo pod Bannockburn. To wszystko naprawdę się

wydarzyło. Sny lady Mary to potwierdzają.

- Sen jest jedynie snem, mój chłopcze, nie zaś dowodem.

Wprawdzie muszę dodać, że faktycznie zbieżności między snami lady

Mary a tym, czego dowiedzieliśmy się o runicznej sekcie, są

zadziwiające. Aczkolwiek jestem pewien, że na to wszystko da się

znaleźć proste i racjonalne wytłumaczenie. Być może Malcolm

Ruthven opowiedział pani o swoich planach?

- Ani słowem - Mary pokręciła głową, zaprzeczając.

- Albo podsłuchiła pani nieświadomie rozmowę, w której była

mowa o tamtych wydarzeniach. Umysł czasem płata nam figle.

- To nie było urojenie, sir Walterze - zapewniła Mary. - Co mi się

śniło, to mi się śniło. Nawet więcej, wydawało mi się, jakbym była

wtedy tam, jakbym dzieliła los Gwynneth Ruthven. Ona też została

uwięziona przez sektę i zaprowadzono ją do ich kryjówki, do

kamiennego kręgu.

- Do kamiennego kręgu - powtórzył Quentin, drżąc. - I co tam się

wydarzyło?

Mary zwlekała przez chwilę, zanim udzieliła odpowiedzi.

- Gwynneth z okrucieństwem została zamordowana. Mieczem,

który miał doprowadzić do upadku Williama Wallace'a. Jej krew przy

pieczętowała klątwę.

- I co wydarzyło się potem? - chciał wiedzieć sir Walter. - Co się

stało z mieczem?

- Tego nie wiem. Ostatni sen, jaki miałam, nie był o Gwynneth,



lecz o młodym mężczyźnie imieniem Galen Ruthven. To było setki lat później, w czasach powstania jakobitów. Również Galen Ruthven należał do bractwa. On i jego ludzie uciekali z zamku królewskiego w Edynburgu podziemnym przejściem.

Quentin i sir Walter wymienili zdziwione spojrzenia.

- Podziemnym przejściem?

- Korytarzem wykutym w skale. Sekretna droga ucieczki, której używali członkowie bractwa.

- Mieli coś przy sobie? - dopytywał w napięciu sir Walter.

- W rzeczy samej. Był to miecz. Owinęli go w skórę, by go nie uszkodzić. Niósł go stary człowiek, którego nazywali grafem. Jak mi powiedział później Malcolm, ten starzec był założycielem bractwa. Ale potem zamek znalazł się pod ostrzałem armat i sekretny korytarz zawalił się. Pogrzebał grafa wraz z mie...

Mary przerwała, kiedy zauważyła, że obydwaj mężczyźni przyglądają się jej natarczywie.

- O co chodzi? - zapytała. - Powiedziałam coś niewłaściwego?

- Nie, moja droga - odpowiedział sir Walter. - Ale muszę przyznać, że również ja docieram do granic racjonalnego myślenia. To co się pani przyśniło, lady Mary, wydarzyło się w rzeczywistości.

Quentin i ja byliśmy w tym podziemnym korytarzu w Edynburgu.

Widzieliśmy szczątki tamtego człowieka i znaleźliśmy miecz.

- Miecz jest tym, czego ci ludzie potrzebują - dodał Quentin. -

Przez setki lat szukali go i teraz, gdy znajduje się w ich posiadaniu, za

jego pomocą planują ponowny spisek. Dokładnie tak, jak przed

wiekami uknuli spisek przeciwko Williamowi Wallace'owi.

- Rozumiem - wyszeptała Mary i można było zauważyć, że zrobiło jej się nieswojo. - Więc wszystko się łączy. Ale skąd wzięły się moje sny?

Dlaczego widzę rzeczy, które wydarzyły się naprawdę? To niesamowite.

-Jakiś czas temu przeczytałem pewien artykuł- powiedział z namysłem sir Walter. - Pewien uczyony z Paryża prezentował w nim pogląd, że w określonych warunkach może się zdarzyć, iż wspomnienia z odległej przeszłości mogą przetrwać i ponownie odżyć w teraźniejszości. Jako przykład podał pewną młodą kobietę z Egiptu, która utrzymywała, że zna drogę do zasypanego grobowca. Kiedy podążono zgodnie z jej opisem, faktycznie natrafiono na szczątki ukryte w komorze wykopanej pod warstwami piasku. Na pytanie, skąd o tym wiedziała, odpowiedziała, że miała sen o egipskiej księżniczce, która pokazała jej drogę.

- Tak samo było również ze mną - potwierdziła Mary. - Mówi pan o swego rodzaju...wędrowce dusz?

Sir Walter roześmiał się.

- Raczej o swego rodzaju pokrewieństwie dusz. Ów Francuz wychodzi zresztą z założenia, że te przypadki są nadzwyczaj rzadkie.

Ponieważ tylko wtedy, kiedy charakter i losy obydwu osób są zdumiewająco podobne, może dojść do objawienia się wspomnień z odległej przeszłości, jak echo, jeśli woli pani tak to nazwać.

- Rozumiem - odrzekła Mary, której twarz zrobiła się niemalże bezbarwna.

- To nie jest, jak powiedziałem, moja teoria, tylko jakiegoś Francuza o bogatej wyobraźni. Dodam jednak, że z uwagi na to, co panią spotkało, jakaś prawda musi się w tym kryć.

- Mówi pan o podobieństwie przeznaczenia, sir Walterze - powiedziała cicho Mary. - Czy to znaczy, że czeka mnie ten sam los co Gwynneth Ruthven?

Quentin, który słuchał z napięciem, nie wytrzymał dłużej. Nie potrafił patrzeć, jak Mary cierpi, więc zebrał się na odwagę.

- Nikt tego nie powiedział, lady Mary - rzekł. - To tylko teoria i jeśli mnie pani o to pyta, niespecjalnie przekonująca. Czyż nie może to być zdumiewający przypadek? Przeżyła pani ciężkie chwile na zamku Ruthven. Czy sam ten fakt nie może być przyczyną pani snów?

- Naprawdę tak pan myśli? - zapytała go, on zaś dostrzegł w jej błyszczących oczach łzy.

- Oczywiście - skłamał i nawet nie drgnęły mu powieki, chociaż musiał dokładać wszelkich starań, by ukryć swój strach.

Bardzo zaniepokoiło go to, co powiedział jego wuj. Czyż nie wystarczyły mroczne klątwy i pogańscy spiskowcy? Musiały do tego jeszcze dochodzić takie niesamowite rzeczy jak pokrewieństwo dusz czy złowróźbne przepowiednie? Było jednakże coś silniejszego od strachu, który ogarnął Quentina Haya - nieodparty pociąg, jaki odczuwał do lady Mary.

Aby ją pocieszyć i sprawić, żeby poczuła się bezpieczna, był gotów wyśmiać wszystkie teorie z wyższością. Wydawało mu się, jakby właśnie zaliczył kolejną lekcję ze stawania się mężczyzną. Przychylne skinienie głową, którą przesłał mu sir Walter, dodało mu odwagi na tej drodze.

Mary szlochała cicho, a Quentin nie potrafił pocieszyć jej inaczej, niż wzięc ją w ramiona, nawet jeśli nie przystało mu to z uwagi na różnicę urodzenia. Teraz, w tym momencie, byli sobie równi bez względu na pochodzenie. Przypuszczalnie członkowie Bractwa Runów pozbawią życia ich wszystkich, jakie więc miało to znaczenie?

- Nie martw się, lady Mary - wyszeptał. - Nic złego się pani nie stanie. Obiecuję pani, że mój wuj i ja uczynimy wszystko, żeby obronić panią przed tymi nikczemnikami kryjącymi się za maskami. Ten nędzny Malcolm nie dostanie pani, nawet jeśli będę musiał osobiście stawać mu czoła.

- Mój drogi Quentinie - wyszeptała. - Jest pan moim bohaterem.

Po tych słowach oparła głowę na jego ramieniu i zapłakała gorzko.

-A zatem to ona!

Z niemym osłupieniem Malcolm spoglądał na broń, która leżała przed nim na stole. Na pierwszy rzut oka był to zwyczajny miecz, którego wygląd nie pozwalał domyślać się, z jak potężnym orężem miało się do czynienia. Dwie rzeczy były przy tym niezwykle. Fakt, że miecz liczył sobie setki lat, a na jego głowni nie było nawet plamki rdzy czy jakiegokolwiek innej skaży, oraz symbol runiczny

wygrawerowany na zastawie tuż powyżej jelca.

W tym znaku były zaklęte mroczne siły - siły, które drzemały przez ponad pół tysiąca lat i czekały, aż ktoś ponownie je wyzwoli. Tym kimś był on, Malcolm Ruthven, spadkobierca wielkich druidów.

Jego oczy lśniły, a na ustach pojawił się zagadkowy uśmiech, gdy sięgnął po oręż. W chwili gdy dotknął miecza, przeszył go zimny dreszcz - uczucie, jakby spłynęły na niego moc i wiedza minionych stuleci. Z jego gardła wyrwał się mroczny śmiech. Uniósł miecz, chcąc przyjrzeć mu się w świetle lampy.

- Wreszcie - rzekł. - W końcu jest mój! Tak jak od zawsze było to przeznaczone. W chwili zaćmienia księżyca głównia powróci. Teraz my będziemy rządzić. Runy i krew.

- Runy i krew - odrzekł Charles Dellard, który wszedł w milczeniu do namiotu.

Wiarołomny inspektor dostrzegł błysk w oczach Malcolma Ruthvena i wiedział, co to oznaczało. Strzegł się jednak przed wypowiedzeniem choćby słowa komentarza. Malcolm Ruthven był wszechwładnym i niekwestionowanym przywódcą Bractwa Runów.

Kto zaś pragnął korzystać z przywilejów władzy, musiał opanować sztukę zachowywania milczenia we właściwym momencie.

- Jutro nadejdzie ten dzień, Dellard. Zgromadzimy się przy kamiennym kręgu i odprawimy rytuał, który już raz odbył się tak dawno

temu. Wielkiemu druidowi nie było dane dożyć odnowienia klątwy,

która ponownie przyniesie śmierć i zatracenie zdrajcy. Ale my, jego spadkobiercy, będziemy myślami przy nim, gdy rytuał się dokona.

- Co się stanie z więźniami?

Malcolm uśmiechnął się z wyższością.

- Los nam sprzyja, Dellard. Czy naprawdę pan wierzy, iż jest dziełem przypadku, że ścieżki Scotta skrzyżowały się z naszymi? W żadnym razie! Runy to przepowiedziały. Scott był nie tylko tym, który odnalazł dla nas miecz, będzie również tym, który przekaże potomnym wydarzenia jutrzejszej nocy.

- Sir? - Dellard uniósł brwi.

- Dobrze mnie pan zrozumiał. Chcę, żeby Scott był przy tym.

Powinien przeżyć mój największy triumf. Będzie naocznym świadkiem dziejowej chwili, która zmieni historię nie tylko tego kraju, ale także całego świata. Przed ponad pięciuset laty ten miecz przyczynił się do zguby Williama Wallace'a i wyniósł na tron Szkocji Roberta Bruce'a. Już wkrótce wypędzi z tronu Szkocji tego zdrajcę Jerzego i uczyni jego następcą mnie, Malcolma Ruthvena. To potężny oręż, Dellard, którego przeznaczeniem jest być królewską bronią.

Charles Dellard przygryzł wargi. Inspektor zdawał sobie sprawę, iż stan umysłu Malcolma Ruthvena w ostatnich dniach znacznie się pogorszył. Jak do tego doszło, Dellard nie wiedział, jednak postanowił milczeć. Zbyt długo wiernie podążał za nim, żeby teraz zawrócić.

- O co chodzi, Dellard? - zapytał Malcolm, który nagle dostrzegł cień zwątpienia na twarzy swojego pomocnika. - Sądzi pan, iż

postradałem rozum?

- Naturalnie, że nie, sir - zapewnił pospiesznie Dellard. - Zadaję sobie tylko pytanie, czy pańskie plany nie idą nieco zbyt daleko... jak na tę chwilę.

- Zbyt daleko? - Malcolm Ruthven znów roześmiał się złowieszczo. - Mówi pan to jedynie dlatego, że w odróżnieniu ode mnie nie wierzy pan w moc tego oręża. Nie mogę brać tego panu za złe, Dellard. Jest pan Anglikiem oraz, inaczej niż ja, nie jest pan tak zakorzeniony w tradycji tego kraju. Ten miecz, mój drogi inspektorze, kryje w sobie siły, których pan nawet nie przeczuwa. One potrafią bez trudu wstrząsnąć posadami królestwa.

Siła i zdecydowanie ludzi, którzy tworzą ten naród, drzemią w tej broni, i jeśli w noc zaćmienia księżyca w końcu odprawię rytuał, zarówno siła, jak i determinacja spłyną na mnie. Zyskam siłę Wallace'a oraz serce Bruce'a. Dysponując jednym i drugim, uwolnię ten kraj od tych, którzy bezprawnie go okupują, i w końcu sam sięgnę po koronę. Obecny ład odejdzie precz, a stary porządek powróci. Rozpocznie się nowa epoka, w której zapanują stare bóstwa i demony. Tak jak przepowiedziały to runy.

Wtedy Malcolm Ruthven znów wybuchł śmiechem, głośnym, rehotliwym śmiechem człowieka obłąkanego.

## PRZY KAMIENNYM KRĘGU

Kiedy usłyszeli odgłos kroków przed chatą, wiedzieli, że nadeszła ta chwila.

Dwa dni przewożono ich przez ten kraj w nieznanym kierunku, zamkniętych w drewnianej klatce jak zwierzęta. W pewnym momencie, kiedy słońce już zaszło, powóz zatrzymał się. Wtedy wyprowadzono sir Waltera, Quentina oraz lady Mary z ich ciasnego więzienia. Noc oraz następny dzień spędzili w prostej chacie. Siedzieli w kucki na wilgotnym klepisku, głodni i spragnieni, zmarznięci i pełni najgorszych przeczuć.

Kroki przed drzwiami chlupały w rozmiękczonej gruncie. Mary, która przytuliła się mocno do Quentina, posłała mu pełne grozy spojrzenie, a młody mężczyzna, kiedyś tak lękliwy, stanął na wysokości zadania.

- Nie martw się - odezwał się opanowanym głosem. - Bez względu na wszystko co się wydarzy, będę przy tobie.

Drzwi otworzyły się z hałasem. Na dworze panował już mrok, a światło okopconych pochodni wpadło do chaty. Przed drzwiami stało pięciu zamaskowanych ludzi. Wszyscy mieli na sobie opończe oraz maski bractwa.

- Wyprowadźcie kobietę - polecił pozostałym jeden ze złoczyńców, a oni zamierzali pochwycić Mary.

Jednak wtedy Quentin wstał i wszedł między nich.



- Nie - oznajmił energicznie. - Zostawcie ją w spokoju, łotry!

Jednak runiczni bracia wcale nie zamierzali pozwolić na to, by młody mężczyzna ich powstrzymał. Brutalnie odepchnęli go na bok.

Uderzył mocno o ścianę i oszołomiony osunął się na klepisko.

Bezradnie patrzył, jak nikczemnicy schwycili broniącą się zaciekle

Mary i zaczęli ją wywlekać z chaty.

- Protestuję! - zawołał sir Walter, któremu chroma noga nie pozwoliła wstać. - Natychmiast wypuście lady!

- Zamknij pysk, stary błaznie - padła opryskliwa odpowiedź, a nikczemnicy zdążyli już dowlec młodą kobietę do drzwi.

- Zostawcie ją w spokoju - wykrzyknął Quentin. - Weźcie mnie zamiast niej.

Lecz po chwili zamaskowani złoczyńcy opuścili chatę. Drzwi zostały zatrzaśnięte, a rygiel ponownie zasunięty. Później sir Walter i Quentin słyszeli tylko rozpaczliwe wołania Mary Egton o pomoc, które rozlegały się wśród nocnych ciemności.

- Do licha! - zawołał Quentin i z bezsilną wściekłością kopnął w ścianę, a w jego oczach pojawił się łzy, gdy zrozpaczony szarpał włosy dłonią. - Dlaczego ich nie powstrzymałem? Koniecznie powinienem jej pomóc! Mary mi zaufała! Obiecałam jej, że będę ją chronić, i tak sromotnie zawiodłem!

- Uczyniłeś wszystko, co było w twojej mocy, mój chłopcze - odezwał się ponurym głosem sir Walter. - Nie obwiniaj się. Tylko mnie należy obciążyć tym, że to wszystko się wydarzyło. Zawiniła moja

głupia duma i mój upór. Dlaczego musiałem wtykać nos w nie swoje sprawy? Gdybym tylko posłuchał opata Andrew albo profesora Gain-  
swicka! Tak wielu poniosło bezsensowną śmierć tylko dlatego, że nie  
mogłem się powstrzymać. A teraz my wszyscy zapłacimy cenę za moją  
próżność.

Quentin nieco się uspokoił. Energicznym ruchem otarł łzy i usiadł  
na klepisku obok wuja.

- Nie wolno ci tak mówić - zaproponował. - To co uczyniłeś,  
wuju, było słuszne. Ci przestępcy mają na sumieniu Jonathana. Cóż  
miałeś uczynić? Stać z boku i patrzeć, jak cała sprawa się rozmywa?  
Miałeś rację pod każdym względem. I bez względu na ostateczne  
rozstrzygnięcie jestem ci wdzięczny za to, że mogłem stać u twojego  
boku.

- I cóż ci dałem, mój chłopcze? - sir Walter potrząsnął z desperacją  
posiwiałą głową. - Nic poza trwogą i nieszczęściem.

- To nieprawda. Przy tobie nauczyłem się, że istnieją rzeczy, o  
które warto walczyć. Wpoiliś mi, co znaczy lojalność. Od ciebie też  
nauczyłem się, czym jest odwaga.

- A byłeś pojętym uczniem, Quentinie - zapewnił cichym głosem  
sir Walter. - Najlepszym, jakiego kiedykolwiek miałem.

- Naprawdę tak sądzisz?

- W rzeczy samej. Podążałeś za mną, chociaż nie podzielałeś  
moich przekonań, a to nazywam lojalnością. Pokonałeś strach i dotarłeś  
do sedna sprawy, co nazywam odwagą. Twoją największą zasługą zaś

jest to, iż do ostatniej chwili dodawałeś otuchy lady Mary i nawet chciałeś poświęcić swoje życie, by uratować ją. To zaś, mój drogi chłopcze, nazywam rycerskością.

Quentin posłał wujowi uśmiech. Wcześniej taka pochwała z jego ust byłaby dla niego wszystkim -jednak uwzględniając okoliczności, teraz stała się jedynie marną pociechą.

- Dziękuję ci, wuju - rzekł mimo to. - To dla mnie zaszczyt, być twoim uczniem.

- Zaś dla mnie było honorem nauczać cię - odparł sir Walter, a w kącikach jego oczu Quentin dostrzegł skrywane łzawe błyski.

Potem nastąpiło milczenie.

Żaden z tej dwójki nie odezwał się już słowem. Obaj wpatrywali się nieruchomo przed siebie. Cóż jeszcze mieli powiedzieć? Wszystko zostało powiedziane, każde kolejne słowo pogłębiałoby jedynie ich ból.

Obaj wiedzieli, że znikąd już nie ma nadziei. Nie było jeszcze oczywiste, jakie zamiary wobec nich mieli runiczni bracia, jednak Malcolm Ruthven oraz jego niegodziwa banda już wcześniej udowodnili, że ludzkie życie mają za nic. Runiczni bracia byli gotowi iść po trupach do celu. Ani sir Walter, ani Quentin nie karmili się zatem fałszywymi złudzeniami. Zapewne opuszczą ziemski padół, prawdo-

podobnie jeszcze tej nocy, jak przepowiedziały to runy na nagrobku Roberta Bruce'a.

Nocy zaćmienia księżyca...

Siedzieli, długo milcząc, każdy pograżony we własnych myślach.

Zapewne było już po północy, gdy znów usłyszeli kroki przed chatą.

Otworzono drzwi, a zamaskowani złoczyńcy powrócili.

Tym razem przyszła kolej na sir Waltera i Quentina.

Sceneria była równie ponura, co złowieszcza.

W starym kamiennym kręgu, który pamiętał zamierzchłe pradzieje

i którego potężne kamienne bloki wznosiły się wysoko ku nocnemu

niebu, członkowie bractwa znów się zgromadzili. Dziesiątki postaci

ukrytych za czarnymi maskami i odzianych w oponcze.

Pochodnie w ich rękach stanowiły jedyne źródło światła, ponieważ

księżyc, który stał wysoko na nocnym niebie, zaczął już pograżać się w

mroku. Można było dostrzec jeszcze jedynie wąski sierp, który rzucał

bladą i słabą poświatę. Zaćmienie księżyca niemal nastąpiło.

Sir Waltera i Quentina zaprowadzono do środka kręgu, tam gdzie

stał kamienny stół ofiarny i dwie kolejne postacie ukryte za maskami.

Jedna z nich była wysokiego wzrostu i mimo czarnej szaty, jaką

miała na sobie, wyraźnie dało się dostrzec, że człowiek ten był

szczupły, a nawet chudy. Czarna maska przesłaniała jego oblicze,

jednak sir Walter nie wątpił, że pod tym przebraniem kryje się nie kto

inny, jak Charles Dellard, wiarołomny inspektor.

Drugi z mężczyzn był niższy; od pozostałych członków sekty

odróżniał się białą szatą oraz srebrną maską, która zasłaniała jego

twarz. Przez szczeliny w masce spozierała para oczu pałających

nienawiścią.

Musiał to być Malcolm Ruthven, domyślił się sir Walter.

Natomiast Quentin widział tylko młodą kobietę, która z zawiązanymi rękoma i nogami leżała na kamiennym ofiarnym stole. Narzucono na nią zgrzebną szatę z szarego lnu, a jej długie rozpuszczone włosy leżały teraz na liczącym tysiące lat kamieniu. Z jej oczu biła rozpacz.

- Mary! - zawołał Quentin i jednym gwałtownym ruchem wyrwał się swoim oprawcom.

Po kilku krokach pokonanych w biegu był już przy ofiarnym stole i upadł obok niej bez tchu.

- Mary - wyszeptał. - Tak mi przykro. Tak przykro, słyszysz?

- Najukochańszy Quentinie - odparła drżącym głosem - nic nie możesz na to poradzić. Los jest przeciw nam. Żałuję, że kiedykolwiek się spotkaliśmy.

- Nie - sprzeciwił się, a w jego oczach zaszklili się łzy. - Bez względu na to co się wydarzy, jestem szczęśliwy, że spotkałem ciebie.

- Popatrzcie - mężczyzna w srebrnej masce podszedł do nich i spoglądał władczo na oboje; jego głos przesiąknięty był złem. - A zatem w końcu znalazłaś kogoś, kto roztopił twoje lodowate serce, Mary Egton? Kogoś, kto jest ciębie godzien, mieszczańskiego golca najgorszego rodzaju.

- Nie waż się go obrażać - syknęła Mary. - Quentin ma więcej honoru w małym palcu niż ty w całym swoim zepsutym ciele, Malcolmie Ruthvenie. Jesteś marnym potomkiem szlacheckiego rodu,

odziedziczyłeś wyłącznie tytuł i włości. Quentin natomiast zdobył uczciwie wszystko, co ma. Gdybym miała wybierać między tobą a nim, zawsze wybrałabym jego.

Mężczyzna w masce zgiął się, jakby otrzymał cios pięścią. Tak bardzo dotknęły go słowa Mary.

- Pożałujesz tego - prorokował. - Kiedy starałem się o twoje względy, wzgardziłaś mną. Teraz za to zapłacisz. Wszyscy za to zapłacicie - dodał, zwracając się do Quentina i sir Waltera. - Jeszcze zanim Księżyc ponownie się pokaże, pożałujecie tego, że wystąpiliście przeciwko nam. Nastaną nowe czasy, jeszcze dzisiejszej nocy!

- Do czego pan zmierza? - chciał wiedzieć sir Walter zupełnie niewzruszony patetycznymi słowami przywódcy bractwa. - Czemu ma służyć ten cały rozlew krwi? Po co ta bezsensowna nienawiść? Ta śmieszna maskarada? Czy rzeczywiście daje pan wiarę temu całemu teatrowi?

Mężczyzna w srebrnej masce spojrzał na niego dziwnym wzrokiem. Potem podszedł do niego powoli.

- Czy to możliwe - odezwał się przy tym - że po tym wszystkim, co pan widział i przeżył, wciąż jeszcze pan w to nie wierzy, Scotcie?

A przecież wyraźnie dostrzegam trwogę w pańskich oczach.

- Tu ma pan rację. Ale to nie wiekowe klątwy ani ta bzdurna maskarada napędlają mnie trwogą, lecz znacznie bardziej to, co w przyływie szaleństwa zamierza pan uczynić szkockiemu narodowi.

Do czego pan zmierza, Malcolmie Ruthven?

- A zatem wie pan, kim jestem - odparł jego rozmówca i niedbałym ruchem ręki ściągnął maskę; jego bladą twarz wykrzywiały grymas nienawiści. - Uczynię więc panu uprzejmość i w ostatnim akcie dramatu wystąpię przed publicznością z odsłoniętą przyłbicą.

Dlaczegoż by nie? Kiedy rytuał dobiegnie końca, nie będzie miało żadnego znaczenia, kim czy też czym byłem. Wtedy będą pytać tylko o to, kim jestem.

- Naprawdę? - sir Walter zupełnie nieporuszony uniósł brwi. -

Kimże pan jest, Ruthven? Szaleńcem? Marzycielem, który stracił wszelki kontakt z rzeczywistością? A może jest pan tylko pospolitym złodziejem i mordercą?

Na twarzy Malcolma Ruthvena pojawił się grymas gniewu.

- Nic pan nie wie - oznajmił. - Jest pan równie ciemny jak pierwszego dnia, a przecież miał pan okazję pojąć i dołączyć do tych, którzy wierzą. Zapewniam jednak pana, Scotcie, jeszcze przed wschodem słońca przekona się pan, że nie jestem szalony i że klątwa rzeczywiście wisi nad mieczem runów. Bowiem dzisiejszej nocy jej moc zostanie przeze mnie wyzwolona.

- A zatem to jest przyczyna? Z tego właśnie powodu musieli ginąć wszyscy ci nieszczęśliwi ludzie? Mój biedny Jonathan? Profesor Gainswick? Opat Andrew?

- To tylko ostatnie ofiary. Ostatnie w długim szeregu ofiar, których wymagała walka o miecz runów. Przed wieloma stuleciami został zawarty pakt, Scotcie. Pakt z mrocznymi siłami, które od tamtej

pory zamieszkują w mieczu runów i są w mocy jednych władców

obalać, a innych wynosić na tron. Ten oręż przyczynił się do upadku

„Walecznego Serca" i uczynił króla z Roberta Bruce'a.

- Robert Bruce był prawowitym królem Szkocji - przypomniał

Scott. - Zyskał też błogosławieństwo Kościoła.

- Absurd. Jego królewska godność była jedynie atrapą, a jego

władza trwała krótko. Bruce mógłby panować wiecznie, jednak był

zbyt prostoduszny, by pojąć, jaką sposobność zaoferowało mu

przeznacze-

nie. Zostawił miecz na polu bitwy pod Bannockburn i jednocześnie

wszystko odrzucił.

- Uczynił tylko to, co nakazywało mu sumienie.

- Przyczynił się tym do własnego upadku i zdradził nas

wszystkich. Jak głosi przekaz, bezpośrednio po bitwie miecz zabrała

runiczna wieszczka, która wyznawała wiarę w moc jasnej magii, a

potem go ukryła. Szukaliśmy tego oręża daremnie przez wiele stuleci.

- My? Kim są owi „my"?

- Bractwo Runów oraz ród Ruthvenów - odpowiedział Malcolm z

dumą w głosie. - Nierozzerwalnie związani od tamtego dnia triumfu pod

Bannockburn. Przez setki lat szukaliśmy miecza i czyniliśmy wszystko,

by odzyskać panowanie, podczas gdy nowy porządek coraz bardziej się

umacniał. Przyszli Anglicy i najechali nasz kraj. Członkowie klanów, jak

bezrozumne barany, pozwolili im się prowadzić. Zabrakło siły, która

zjednoczyłaby klany, ponieważ symbol tej jedności został zagubiony



tamtego dnia, kiedy rozegrała się brzemenna w skutki bitwa. W końcu jednak miecz został ponownie odnaleziony, a członkowie bractwa doszli do przekonania, że nadszedł właściwy czas. Niestety musimy przyznać, że wówczas pomylił się.

- Powstanie jakobitów - domyślił się sir Walter. - To zatem była siła napędowa, która stała za tamtymi wydarzeniami. Mieliście nadzieję, iż z pomocą rodu Stuartów obalicie istniejącą władzę. Jednak wasze plany spaliły na panewce, dlatego też uciekliście w twódze z zamku królewskiego w Edynburgu.

- Czas jeszcze wtedy nie nastał, a runy zostały błędnie odczytane.

Wielki druid, który kierował naszym bractwem przez stulecia, zginął podczas ostrzału zamku w Edynburgu. Mój dziad Galen Ruthven był jedynym, który wiedział, gdzie znajduje się miecz. W chaosie ulicznych walk on również poniósł śmierć i zabrał tajemnicę do grobu.

- Jaka szkoda - odrzekł sir Walter bez cienia ubolewania.

- W rezultacie tej nagłej śmierci łańcuch został przerwany. Przez stulecia członkowie Bractwa Runów przekazywali sobie tajemnicę z ojca na syna. Mój ojciec nie miał jednak o niczym pojęcia. Wziął za żonę arystokratkę, która dostosowała się do brytyjskich obyczajów i za nic miała dawne tradycje swojego narodu. Do dziś jest owładnięta myślą, by lord Ruthven, jej jedyny syn, poślubił Angielkę. Jednakowoż lord trafił przypadkowo na dokumenty dziadka i dowiedział się, na straży jakże dumnej tradycji stał ród Ruthvenów. Kiedy potem został odkryty grób Roberta Bruce'a, a on zobaczył runiczne symbole

na jego grobowcu, wiedział, iż jego przeznaczeniem było

wskreszenie bractwa i wyruszenie na poszukiwania miecza, bowiem nadszedł czas spełnienia.

- Ale przecież pan go nie znalazł - ripostował sir Walter, który w lot pojął, iż Malcolm mówił teraz o sobie.

- Nie było niemal żadnych śladów, jedynie wskazówka o istnieniu księgi, w której zapisane były tajemnice naszego bractwa, na wypadek gdyby kiedykolwiek zostało rozproszone i musiało zostać utworzone od nowa. I chociaż nasi najwięksi wrogowie, mnisi z Dryburgha, przez setki lat obserwowali nas, nie przeczuwali, że tę księgę mieli bezpośrednio przed swoimi oczyma. Podzieloną na fragmenty i ulokowaną w różnych bibliotekach, której strzegli oni sami.

- I poszukując tych fragmentów, dotarł pan do Kelso - domyślił się sir Walter.

- Dryburgh to jedyna z bibliotek, którą w dawnych czasach wybrano, by ukryć w niej jeden fragment. Zresztą nie wiedziałem, czy fragment zdołał przetrwać zburzenie klasztoru. Musieliśmy zatem szukać w Kelso przez wiele pełnych mozołu nocy. W końcu jednak nie udało się nam niczego znaleźć. Dopiero niczego nieświadomy młody student zupełnym przypadkiem natrafił na informacje, które dla niego powinny pozostać tajemnicą.

- Jonathan - westchnął sir Walter. - Dlatego właśnie musiał umrzeć.

- Pański student znalazł się w niewłaściwym miejscu i w

niewłaściwym czasie, Scotcie. Chcąc zatrzeć ślady naszej bytności w bibliotece, kazałem podłożyć pod nią ogień. Pożar biblioteki, o czym byłem przekonany, wywołał dostateczną sensację, by naszemu emisariuszowi, który już był na miejscu, umożliwić kontynuowanie poszukiwań miecza runów.

- Mówi pan o Charlesie Dellardzie.

- W rzeczy samej. Fakt, że pański pechowy siostrzeniec o mały włos nie zginął w pożodze, ułatwił nam sprawę, gdyż to pan osobiście nalegał na prowadzenie oficjalnego dochodzenia i dał tym samym Dellardowi sposobność doskonałego kamuflażu. Do pewnego stopnia, mój drogi Scotcie, pomógł nam pan. Aż do momentu, kiedy zaczął pan wściubiać nos w nie swoje sprawy. Natychmiast pojąłem, że jest pan niebezpieczny, postanowiłem więc usunąć z drogi pana oraz pańskiego siostrzeńca.

- Katastrofa na moście - domyślił się sir Walter.

Malcolm przytaknął.

- Jednakże zamach nie przebiegł zgodnie z naszym planem, a zamiast pańskiego na podpiłowany most wjechał inny powóz, karoca z dwiema młodymi damami.

- Ty nędzny szubrawcze! Przez ciebie te kobiety o mały włos nie przeniosły się na tamten świat!

- Wiem. I proszę sobie wyobrazić moje zaskoczenie, kiedy dowiedziałem się, że jedną z tych dwóch kobiet była moja własna narzeczona. W międzyczasie jednak doszedłem do wniosku, iż

wszystko to nie było jedynie dziełem przypadku, lecz zrzędzeniem

Opatrzności. Nieudany zamach na moście postawił mnie w trudnej sytuacji. Mnisi z Kelso zwrócili na nas uwagę, a pan, mój drogi Scotcie, coraz bardziej naciskał na Dellarda, podczas gdy poszukiwania miecza runów nie posuwały się nawet o jotę. Musiałem więc podjąć decyzję...

-.. i postanowił pan pozbyć się Quentina oraz mnie - dokończył sir

Walter. - Dlatego też doszło do najazdu na moją posiadłość. Chciał nas pan wystraszyć, abyśmy opuścili Abbotsford i wyjechali do Edynburga.

- Błędnie interpretuje pan moje zamiary, Scotcie - zbeształ go

Malcolm niczym nauczyciel uczniaka. - Nie chodziło mi o to, aby się pana pozbyć. Wręcz przeciwnie, od tamtej pory czyniłem wszystko, by wspierać pana w poszukiwaniach. Zrozumiałem bowiem, że pański błyskotliwy umysł oraz pańska sława mogą się okazać bardzo przydatne, jeśli pozwolimy panu pracować dla nas. Dopiero znacznie później zrozumiałem, że mnisi z Kelso doszli do tego samego wniosku.

Od tamtej pory dostarczaliśmy panu na przemian kolejnych wskazówek i poszlak, przy czym każdy z nas był zdumiony szybkimi postępami, jakie pan czynił. Czyż zaiste nie jest to ironia losu? Był pan naszą oraz ich marionetką, Scotcie, i nigdy niczego pan nie zauważył.

- Pan kłamie - odparł sir Walter, jednak wyraźnie było widać jego głębokie poruszenie.

Czy tak było naprawdę?, pytał sam siebie. Czy przez cały ten czas był manipulowany i sterowany, niczego nie zauważając? Czy na skutek własnego uporu oraz dążenia do prawdy pracował na rzecz swoich

wrogów?

- A jeśli chodzi o profesora Gainswicka? - zapytał.

- Co interesuje pana w związku z jego osobą?

- Dlaczego musiał umrzeć? Tylko dlatego, iż obawiał się pan, że zdradzi mi zbyt wiele. To stanowi dowód, że pan kłamie.

- Rzeczywiście pan w to wierzy? - Malcolm Ruthven parsknął z pogardą. - Cóż ten stary błazen mógł panu wyjawić? Był w równym stopniu niegroźny, co bezużyteczny. Wszelkie informacje, które panu przekazał, również my mogliśmy panu przekazać.

- Dlaczego więc musiał umrzeć? Dlaczego, skoro nie stanowił dla pana nawet najmniejszego zagrożenia?

- To całkiem proste - przyznał Malcolm ze złośliwą satysfakcją.

- Ponieważ to, co zdarzyło się w bibliotece, uświadomiło mi, że nic tak bardzo nie motywuje pana, jak utrata kolejnego bliskiego człowieka i pana poczucie winy. I miałem rację, zgodzi się pan?

Przez moment sir Walterowi odebrało mowę, do tego stopnia był przerażony tym, co usłyszał.

- Ty nędzny, pozbawiony skrupułów łotrze - wyszeptał. -

Mordował pan niewinnych ludzi tylko po to, żeby pobudzać mnie do działania? Profesor Gainswick musiał umrzeć, żebym z jeszcze większą determinacją poszukiwał miecza?

- To brzmi niedorzecznie, przyznaję. Ale musi pan przyznać, że ten ruch rzeczywiście przyniósł spodziewany skutek, mój drogi Scotcie. Od tego momentu nie był pan już w stanie odeprzeć

ambitnego zamiaru rozwiązania zagadki Bractwa Runów.

-A... rysunek, który pozostawił Gainswick?

- Mała wskazówka z naszej strony, w końcu musieliśmy podsunąć panu kolejną podpowiedź. Była to przynęta, którą pan i pański naiwny siostrzeniec połknęliście bez cienia podejrzeń. Odnaleźliście inskrypcję na grobie Bruce'a i rozszyfrowaliście znaczenie runicznych symboli. W przeciwnym razie dziś nie byłoby tu pana.

- Nie wszystkie znaki - zaprzeczył sir Walter.

- Oczywiście, że nie. W przeciwnym razie również nie byłoby tu pana

- dodał z perfidią Malcolm. - Chce pan wiedzieć, co oznaczają runiczne symbole? Każdy członek bractwa znał to kiedyś na pamięć, a słowa te były przekazywane z pokolenia na pokolenie od ponad pięciuset lat.

W noc ciemnego księżyca

Bractwo zgromadzi się

Przy kamiennym kręgu

By stawić czoła zagrożeniu

I przynieść z powrotem to, co kiedyś zaginęło:

Miecz runów.

- Widzi pan, Scotcie? - zapytał Malcolm i wskazał na niebo, na

którym sierp Księżyca jeszcze bardziej pociemniał.

Wyglądał teraz, jakby nasiąknął krwią, purpurowy pośród gwiazd.

Sierp miał teraz postać wąskiego paska na brzegu.

- W przepowiedni jest mowa o tej właśnie nocy! Nocy, w której

nastąpi zaćmienie księżyca, tak jak kiedyś, a klątwa, która już kiedyś

przyniosła wolność szkockiemu narodowi, zostanie odnowiona.

- Wolność - szydził sir Walter. - Jak często to słowo było już używane jedynie po to, by utorować drogę do władzy bezwzględnym uzurpatorom? Nie chodzi panu o wolność, Ruthven, lecz wyłącznie o zwiększenie własnej władzy i wpływów. Jednak nie uda się panu, ponieważ przyczyni się pan jedynie do tego, iż w Szkocji będzie jeszcze więcej cierpień i chaosu. Ludzie wycierpieli tu już dostatecznie dużo. Tym, czego im najbardziej potrzeba, jest pokój.

- Będą mieli pokój - zapewnił Malcolm. - Kiedy fałszywy król zostanie wypędzony z tronu i kiedy ja sam założę koronę, wtedy nastanie pokój.

- Pan? Chce się pan koronować? - sir Walter roześmiał się smutno.

- Przynajmniej teraz wiem, iż postradał pan rozum.

- Rozumiem, że pan nie podziela mojej wizji, Scotcie. Wszystkie wielkie postacie historii cieszyły się sławą szaleńców i ludzi obłąkanych. Aleksander Wielki, Juliusz Cezar, Napoleon...

- Czy naprawdę bierze pan za wzór człowieka, który zainicjował krwawą rewolucję i pogrążył całą Europę w bezsensownej wojnie?

- Dlaczegoż by nie? Opatrzność mnie wybrała, Scotcie. Mnie i nikogo innego. Miecz runów, wykuty w zamierzchłych czasach i posiadający wielką moc, da mi siłę, która jest do tego konieczna.

Stanowi klucz, z którego pomocą cofniemy bieg czasów i ustanowimy nowy

porządek. Podniesiemy się z popiołów jako nowi władcy tego kraju, a

kiedyś być może również całego świata!

- Pan postradał rozum - oznajmił sir Walter z przekonaniem.

Nie był to zarzut, lecz stwierdzenie, którym jednak Malcolm z Ruthven w ogóle się nie przejął. Gorączkowe błyski w jego oczach pozwalały wnioskować, że jego umysł pograżył się w otchłani, z której już nie było powrotu.

Jego rozmowa z sir Walterem dobiegła końca. W triumfującym geście uniósł ręce.

- Zwyciężyliśmy, bracia moi! - zawołał do swoich popleczników.

- Runy i krew.

- Runy i krew - zawtórowano mu ze wszystkich stron.

Po chwili odzew rozległ się raz jeszcze, tym razem głośniejszy i bardziej wyzywający.

- Runy i krew!

W asyście chóru runicznych braci Malcolm powrócił do ofiarnego stołu, na którym wciąż leżała Mary z Egton. Quentin siedział w kucki obok niej i usiłował ją pocieszyć - jakaż jednak mogła być pociecha wobec ponurego losu, jaki ją czekał?

Malcolm ponownie założył maskę na twarz. Potem rozłożył szeroko ramiona, a jego poplecznicy w ułamku sekundy zamilkli.

Dellard podszedł i podał mu miecz, a Malcolm uniósł go, żeby każdy z członków Bractwa Runów mógł dobrze widzieć oręż. W ich szeregach rozległ się szept - pełen czci, podziwu i nieskrywanej żądz.

- To jest miecz runów, bracia moi, ostrze, które wykuto w



zamierzchłych czasach i które doprowadziło do zwycięstwa tego zdrajcę Wallace'a, zanim później obróciło się przeciw niemu i ukarało go. Klątwa, jaka wisi nad tą głownią, wciąż jeszcze działa. Musi tylko zostać odnowiona, żeby dzięki niej wrogowie Szkocji raz jeszcze zostali zniszczeni. Tak jak przed pięciuset laty nadeszła noc ciemnego księżycy, w którą się zgromadziliśmy, żeby uczynić to, czego wymaga od nas historia. I tak jak kiedyś oręż ten musi zostać unurzany we krwi nietkniętej kobiety, żeby obudziły się drzemiące w nim moce.

- Nie! - Quentin zerwał się na nogi. - Ty zamaskowany łotrze, nic jej nie zrobisz! Nie waż się podnieść na nią ręki, w przeciwnym razie...

Nagle zamilkł, gdy otrzymał cios pięścią w kark, zadany przez jednego z pilnujących go siepaczy. Quentin osunął się na ziemię, ale nie leżał długo. Rozpacz oraz trwoga, iż straci Mary, dodały mu odwagi oraz sił, jakich wcześniej nie znał. Nieustraszenie zerwał się na równe nogi i znów spojrzał gniewnie na Malcolma Ruthvena.

- Zabierzcie go - polecił szorstko przywódca bractwa, a siepacze znów pochwycili Quentina.

- Nie! - krzyknął.

Bronił się zaciekle przed tymi, którzy go schwytali, i wyciągnął rękę w stronę Mary, by dotknąć ją po raz ostatni.

- Quentinie! - zawołała.

Jej pełne trwogi oczy szukały jego wzroku, potem ich spojrzenia spotkały się i przez krótką chwilę przesyłali sobie pociechę i znak pokoju.

- Tak bardzo mi przykro, Mary - wyznał. - Słyszysz? Tak bardzo mi przykro!

- Nie ma powodu, Quentinie. Zrobiłeś dla mnie wszystko, co możliwe. I nawet więcej. Kocham ciebie...

- Urocze - prychnął pogardliwie Malcolm Ruthven. - W końcu znalazłaś kogoś, kto ci dorównuje, najdroższa Mary? Niestety, wasze ledwie narodzone szczęście nie ma przyszłości, bowiem za kilka minut Księżyc pograży się w całkowitej ciemności. Wtedy rozpocznie się moja epoka, Mary Egton, twoja natomiast dobiegnie kresu.

-1 dobrze, Malcolmie Ruthven - odparła Mary z niezachwianym spokojem - ponieważ nie chcę żyć w twojej epoce.

Rozgorączkowany Quentin podniósł wzrok ku niebu. Malcolm miał rację. W międzyczasie księżyc zmienił już barwę na tak ciemną, że widoczny był zaledwie jako blada tarcza na tle czarnej nocy.

Gwiazdy zniknęły za ciemnymi chmurami, a w oddali dał się słyszeć odgłos grzmotu, który sprawił, iż ta noc wydawała się jeszcze bardziej ponura i mroczna. Zerwał się lodowato zimny wiatr i hulał wśród skalnych bloków kamiennego kręgu. Za kilka chwil czas się wypełni...

Malcolm Ruthven uniósł już miecz, ściskając rękojeść obiema rękoma, zamierzając z ogromną siłą opuścić ostrze na bezbronną ofiarę. Jego poplecznicy znów zaintonowali złowróżbny monotony zaśpiew w nienawistnej, surowej mowie, której Quentin nie rozumiał. Śpiew zagłuszył wiatr i odległy grzmot piorunów.

- Nie! - ryknął.

I raz jeszcze zaczął wyrywać się trzymającym go oprawcom, jednak oni pochwycili go mocniej i odciągnęli, on zaś był zupełnie bezradny.

Zaciągnęli go do miejsca, gdzie stał jego wuj, na którego twarzy rysowało się bezgraniczne przerażenie.

- Nie, Ruthven! - zawołał Walter Scott ze wszystkich sił. - Niech pan tego nie czyni...

To, co się działo, przypominało koszmar.

Nagle wszystko zaczęło toczyć się jakby w zwolnionym tempie, a

Quentin odniósł wrażenie, że to, co widzi, rozplywa się we mgle.

Zupełnie jakby tracił przytomność, nie mogąc znieść potwornej prawdy i nie chcąc patrzeć na to, jak głównia miecza runów okrutnie i bezlitośnie przecina nić życia kobiety, którą on niedawno pokochał.

W obliczu śmierci Mary wyznała mu miłość. Wysztydzaną miłość szlachcianki do mieszczanina - lecz cóż miała począć wobec nieszczęścia, które z gwałtownością burzy porywało ją w swoje objęcia.

Spojrzenie ku niebu...

Zaćmienie księżyca osiągnęło punkt kulminacyjny.

Ciemna tarcza widniała na niebie przesłonięta chmurami, rozjaśniana błyskami piorunów, które uderzały w mroku nocy.

Chwila, na którą członkowie Bractwa Runów czekali od ponad pół tysiąca lat, nadeszła. Monotonny śpiew członków sekty przybrał na sile w głośnym jak gromy *crescendo*, a Malcolm Ruthven przystąpił do dzieła.

Nagle Quentin znów odzyskał zmysły i widział wszystko wyraźniej niż kiedykolwiek wcześniej. Z niezwykłą jasnością umysłu dostrzegł przywódcę Bractwa Runów, który stał w świetle pochodni z uniesionym w górę mieczem. Przez ułamek sekundy odniósł wrażenie, że czas zatrzymał się w miejscu. Quentin zamarł w bezruchu, a potem szeroko otwartymi ze zgrozy oczyma dostrzegł, jak Malcolm Ruthven wziął zamach przed zadaniem śmiertelnego ciosu.

W tym momencie stało się coś zupełnie niespodziewanego.

Rozległ się ogłuszający grzmot i sprawił, że skalne bloki kamiennego kręgu zadrżały. Wielu członków bractwa rzuciło się w przerażeniu na ziemię. W tym samym momencie bezpośrednio nad kamiennym kręgiem mignęła błyskawica, która błysnęła z oślepiającą jasnością

i zamieniła noc w dzień. Iskra piorunu, jak gdyby szpic miecza runów w jakiś magiczny sposób kusił ją, z ogromną siłą spłynęła przez prastarą głównię i uderzyła w Malcolma Ruthvena z niszczącą siłą.

Śpiew runicznych braci raptownie zamilkł. Przez moment wszyscy byli oślepieni, a przerażający krzyk, jaki dobywał się z gardła Malcolma Ruthven, nie pozwalał mieć najmniejszych wątpliwości, że przeznaczenie wybrało jednak inną drogę. Czerwone i zielone błyski rozsypały się na wszystkie strony. Później błyskawica zgasła.

Poparzony na całym ciele Malcolm chwiał się na nogach. Maska opadła z jego twarzy i odsłoniła poczerniałe, zniekształcone oblicze, z którego spozierały szeroko otwarte oczy wyrażające bezgraniczne

zduwienie. Z jego ust dobiegły ostatnie charczące słowa.

- Bruce - wymamrotał. - To był duch Bruce'a...

Potem runął na ziemię.

- Klątwa! Klątwa! - wykrzyknął któryś z członków bractwa. -

Obróciła się przeciwko nam!

Bezgraniczne przerażenie, które ogarnęło runicznych braci, płynęło wraz z lodowatym wiatrem przez ich szeregi i napełniło ich serca paniczną trwogą.

Również ci, którzy strzegli Quentina, nie uchronili się przed grozą.

Ich uściski osłabły, dzięki czemu młodzieńcowi udało się wyrwać z ich łapsk. Szybko podbiegł do Mary, która leżała bez ducha na chłodnym kamieniu ofiarnego stołu. Czy niszczący piorun poraził także ją?

- Nie! Błagam, nie...

Quentin w mgnieniu oka był przy niej i pochylił się nad nią, by z niewypowiedzianą ulgą stwierdzić, iż jej serce wciąż bije.

Gdy jego wzrok padł na miecz runów, który wbity w ziemię znajdował się obok ofiarnego stołu, dostrzegł, skąd wzięły się czerwone i zielone promienie. Z mieniących się rubinów i błyszczących szmaragdów, którymi była inkrustowana rękojeść magicznego oręża i które to szlachetne kamienie ujrzały światło dnia spod spalonej skóry rękojeści. Jednakże runiczny znak, który wcześniej szpecił głownię miecza, zniknął całkowicie ku bezgranicznemu zdumieniu Quentina!

Młody mężczyzna nie zdołał jednak wypowiedzieć swojego zaskoczenia. Zdarzenia następowały teraz z niezwykle gwałtownością.

Charles Dellard, który padł na kolana obok pozbawionego życia ciała przywódcy bractwa i stwierdził jego śmierć, zerwał się na równe nogi, dysząc wściekle. Szybkim ruchem sięgnął prawą ręką pod opończę i wyciągnął zakrzywiony sztylet.

- Czarownica musi umrzeć! - wrzasnął głosem, którego zapamiętałość dorównywała furii jego nieszczęsnego przywódcy.

Już chciał rzucić się w stronę Mary, by dokończyć to, czego nie dokonał Malcolm Ruthven.

Quentin zadziałał szybciej, niż zareagował jego umysł, albo też ostrzegła go przezorność. Zwinnie niczym dziki kot zerwał się na równe nogi, zeskokczył ze stołu ofiarnego, na którym leżała wciąż nieprzytomna dama jego serca, i skoczył na napastnika. Nie zważał przy tym zupełnie na niebezpieczeństwo, choć sam mógł zostać dźgnięty sztyletem przez Dellarda. Wściekłość, desperacja oraz trwoga minionych dni znalazły ujście i dodały Quentinowi nadludzkich sił.

W locie chwycił Dellarda, pociągnął go za opończę i zwałił z nóg.

Obaj mężczyźni wylądowali twardo na ziemi w śmiertelnym uścisku.

Zaczęła się zażarta walka o broń.

Strażnicy pilnujący sir Waltera już dawno postanowili uciec z tego miejsca, więc on przykuśtykał w stronę kamiennego stołu, chcąc przyjść z pomocą siostrzeńcowi. Nagle wśród ciemnej nocy rozległ się charczący krzyk, który zagłuszył nawet ożywione pokrzykiwania runicznych braci.

- Quentinie! - jęknął sir Walter i w rozpaczy skierował kilka słów modlitwy ku niebiosom.

Dotarł do ofiarnego stołu, na którym leżała Mary Egton, dostrzegł miecz, na którego rękojeści szlachetne kamienie mieniły się w blasku pochodni - i dostrzegł też dwóch mężczyzn, leżących bez życia na ziemi, w którą wsiąkała krew.

-Quentinie...

Jedna z dwóch postaci poruszyła się, następnie uniosła tylko w połowie i w oszołomieniu rozejrzała dookoła, w końcu stanęła na nogi.

Ku swej niewypowiedzianej uldze sir Walter rozpoznał w tej postaci swego ukochanego siostrzeńca. Dellard leżał nieruchomo z własnym sztyletem wbitym w serce.

Sir Walter podbiegł do siostrzeńca i wspólnie zatroszczyli się o Mary, która powoli odzyskiwała przytomność. Jednak niebezpieczeństwo nie było jeszcze wcale zażegnane. Kiedy członkowie bractwa zobaczyli, że ich drugi przywódca zginął nagłą śmiercią, początkowe przerażenie przerodziło się w ślepe wściekłość i rozległy się krzyki wzywające do odwetu.

- Zabić ich! Ponoszą winę za wszystko!

- Skierowali klątwę przeciwko nam!

- Nie mogą ujść z życiem!

- Runy i krew...

Ze wszystkich stron podchodzili, tworząc krąg, który zamknął się wokół kamiennego stołu ofiarnego i stopniowo zaciskał. Z ich oczu widocznych przez szczeliny w maskach wyzierała żądza mordy, z gardeł dobywało się złowróżbne murmurando przypominające pomruk jakiegoś archaicznego potwora, który odniósł śmiertelne rany i ostatni

raz zapragnął zaznać smaku krwi.

Przytuleni do siebie Quentin, Mary i sir Walter spoglądali na wrogów, którzy nadchodzili ze wszystkich stron. Runiczni bracia ściskali w dłoniach obnażone sztylety i noże, a każde z tych trojga wiedziało, że nie mogą liczyć na darowanie życia.

Zaćmienie skończyło się. Niebieski firmament powoli znów nabierał koloru, a blady sierp ziemskiego satelity znów się wyłonił. Burza przeszła dalej, jak gdyby nadeszła tylko po to, by udowodnić Malcolmowi Ruthvenowi, że jego żywot miał jednak śmiertelny charakter.

Ambitne plany Bractwa Runów znów spaliły na panewce, jednakże rozlew krwi jeszcze nie ustał ostatecznie. Członkowie sekty pragnęli teraz, by ktoś zapłacił za to, co rozegrało się na ich oczach i czego wciąż nie mogli pojąć.

Quentin instynktownie uścisnął dłoń Mary. Przytuliła się do niego, a sir Walter rozłożył nad nimi ramiona niczym ojciec, który pragnął ochronić swoje dzieci przed krzywdą. Zapewne zginęliby w okrutny sposób, gdyby w tym momencie nie rozległ się nagle tętent kopyt nadjeżdżających koni.

Po raz kolejny kamienny krąg zadrżał, gdy z ciemności nocy wyłoniły się parskające rumaki, których dosiadali mężczyźni w szerokich płaszczach z kapturami. W dłoniach trzymali długie drewniane drągi i natychmiast przystąpili do szarży.

- Mnisi z Kelso - wyrwało się z ust sir Waltera. - Jesteśmy uratowani!



W ułamku sekundy rozgorzała zaciekła walka między mnichami a członkami bractwa, bez porównania bardziej zażarta i zaciekła niż ta, która miała wcześniej miejsce na jednej z uliczek Edynburga. Bitwa między siłami światła i ciemności, do której zakonnicy przygotowywali się od setek lat, wreszcie rozgorzała. Wokół rozlegał się bitewny zgiełk, tu i ówdzie w ciemnościach nocy rozlegał się huk strzałów, czemu towarzyszył krzyk nieszczęśnika, którego dosięgnęła kula. Pochodnie zgasły, a w czerwonej poświacie, którą rzucał księżyc powracający na niebieski firmament, postacie w szerokich habitach przemykały cicho i przystępowały do zagorzałych pojedynków.

Trudno było stwierdzić, ilu było tych, którzy walczyli w półmroku.

W końcu jednak mnisi z Kelso zdobyli przewagę. Większość z członków bractwa leżała pokonana ciosami walczących dziarsko zakonników. Inni rzucili się do ucieczki, ale mnisi podążyli za nimi, a jeszcze inni składali broń. .

Z mroku nocy wyłonił się cień i stanął w pobliżu sir Waltera, Quentina oraz Mary, którzy bez tchu przyglądali się okrutnemu widowisku. Postać ta miała na sobie biały zakonny habit, a gdy zdjęła kaptur, Quentin i sir Walter poznali, że stał przed nimi brat Patrick, zastępca i prawa ręka opata Andrew.

- Czy jesteście cali? - pragnął wiedzieć.

- Na szczęście tak - odparł sir Walter. - Gdybyście jednak, ty ojciec i twoi współbracia, nie dotarli na czas...

- Żałuję bardzo, że przybyliśmy tak późno. Ale gdy tylko

dowiedzieliśmy się, co wydarzyło się w Edynburgu, potrzebowaliśmy trochę czasu, by dociec, przy którym kamiennym kręgu członkowie Bractwa Runów zaplanowali spotkanie.

- A zatem wie ojciec, co się przydarzyło opatowi Andrew?

Brat Patrick skinął głową.

- Poniósł śmierć w imię tego, w co wierzył. Zawsze był przekonany, że któregoś dnia będziemy musieli stawić czoła złu. I miał rację. Teraz jednak niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Quentin obszedł dookoła ofiarny stół i schylił się po miecz runów.

Przeniknęło go dziwne uczucie w chwili, gdy chwycił oręż. Ze zdumieniem przyglądał się szlachetnym kamieniom, które tak nieoczekiwanie zostały odkryte. Potem przekazał głównię swemu wujowi, który z kolei podał ją bratu Patrickowi.

- Proszę - rzekł sir Walter. - Oto jest głównia, która wywołała tak wiele złego i tyle cierpień. Niech ojciec weźmie ten miecz na przechowanie i zatroszczy się o to, żeby już nikomu więcej nie stała się krzywda.

- Nie, sir Walterze! - mnich wzbraniał się, unosząc dłonie. - Jakże mógłbym rościć sobie prawo do ukrycia tego oręża? Inni już usiłowali to uczynić, mądrzejsi i potężniejsi ode mnie, lecz wszyscy oni zawiedli. Miecz nie może zostać ukryty. Wydaje się, że posiada własną wolę, bowiem za każdym razem powraca.

- W takim razie niech ojciec zniszczy ten miecz.

- To nie jest konieczne. Miecz bowiem sam w sobie nie kryje zła,

jedynie ludzie wykorzystywali go w złych intencjach. Kiedyś był symbolem, sir Walterze, symbolem jedności i wolności Szkocji i znów powinno tak być. Proszę, niech pan zabierze go z powrotem do Edynburga i przekaże przedstawicielom rządu. Oni będą wiedzieć, co z tym dalej zrobić.

Sir Walter zastanawiał się przez chwilę, potem skinął głową, przytakując.

- Być może masz rację, ojcze. Będziemy trzymać się wersji, że miecz został znaleziony w innym czasie i w innych okolicznościach.

Uwzględniając niestabilną sytuację polityczną, nietrudno będzie znaleźć wiarygodnego świadka, który pod przysięgą potwierdzi tę wersję. O tym natomiast, co zdarzyło się przy kamiennym kręgu, nie pisnę ani słowa.

- Tak będzie lepiej - przytaknął brat Patrick. - Bractwo Runów zostało rozbite, a niebezpieczeństwo zostało zażegane. Po wielu setkach lat ten kraj zazna wreszcie spokoju.

LEITH, ZATOKA W EDYNBURGU

DWA MIESIĄCE PÓŹNIEJ

W porcie Leith panował ożywiony ruch.

Poranne słońce świeciło na niebie, a morze było spokojne.

Niestrudzenie napływały statki od strony zatoki Firth of Forth - statki

handlowe,

które wiozły towary przede wszystkim z Hiszpanii i Afryki Zachodniej,

ale przybywały tu także jednostki z Francji oraz z wysp. Na przystani,

przy której zakotwiczyły żaglowce, tłoczyli się marynarze, robotnicy

portowi oraz pasażerowie. Przeładowywano skrzynie pełne towarów oraz

pakunków, ładowano też na pokład beczki z wodą pitną, dowożone

przez wozy zaprzęgnięte w szóstkę koni. W jednym miejscu do

wyruszenia w otwarte morze szykował się trójmasztowy bark, gdzie

indziej bryg królewskiej marynarki wojennej powracał z rejsu

patrolowego.

Przy nabrzeżu, przy którym cumowały statki zza oceanu, stał

zakotwiczony „Fortune”, dumny szkuner pływający pod flagą

brytyjską. Szkuner lada chwila miał wypłynąć w morze. Bagaże zostały

już załadowane, zapasy zabrane na pokład, a pod surowym okiem

pierwszego oficera załoga czyniła ostatnie przygotowania przed

wyruszeniem w rejs.

Przy nabrzeżu stali pasażerowie, w tej chwili właśnie żegnali się z

krewnymi przed rozpoczynającą się podróżą, która miała trwać parę

tygodni, a jej celem była druga strona oceanu - Nowy Świat.

Wśród nich znajdowali się również sir Walter, Quentin oraz Mary, która nie była już członkinią rodu Egton, lecz nosiła proste nazwisko Mary Hay, po tym jak w kościele w Dunfermline powiedziała sakramentalne „tak” Quentinowi.

- Jesteście pewni, że nie zamierzacie tego przemyśleć jeszcze raz?

- dopytywał sir Walter. - Nie musicie wcale wyruszać do Nowego Świata, żeby być ze sobą szczęśliwi. W Abbotsford zawsze będziecie mile widzianymi gośćmi lady Charlotte i moimi.

- Dziękuję, wuju. Ale Mary i ja już podjęliśmy decyzję.

Postanowiliśmy odważyć się na nowy początek. W kraju, w którym nikt nie pyta o to, kim się jest, lecz o to, czego można dokonać.

- Tam z pewnością pokażesz, co potrafisz, mój chłopcze.

Posiadasz wszystko, czego potrzebuje młody człowiek, żeby wziąć własny los w swoje ręce. Przysłano cię do mnie, byś poznał arkana pisarskiego warsztatu. Ale możesz zostać, kim tylko chcesz, Quentinie.

Musisz tylko chcieć - po tych słowach sir Walter zwrócił się do Mary. -

I ty również jesteś gotowa tam szukać swego szczęścia, moje dziecko?

- Jestem, wuju. Po raz pierwszy w życiu rzeczywiście będę wolna.

I zamierzam wykorzystać tę wolność. Chciałabym pisać wiersze, dokładnie tak jak ty.

- Wyborny pomysł. Jestem pewien, że posiadasz do tego talent.

- A cóż ty będziesz robił? - zapytał Quentin. - Czy ciotka

Charlotte i ty nie chcecie pojechać z nami? Jestem pewien, że Ameryka

przyjęłaby słynnego pisarza z otwartymi ramionami.

- Miałbym opuścić Szkocję? Przenigdy, mój chłopcze. Tu się urodziłem, tutaj żyję i tutaj pewnego dnia wydam ostatnie tchnienie. Za bardzo kocham ten kraj, żebym miał kiedyś odwrócić się do niego plecami. Będę dalej zabiegał o to, żeby ta kraina na nowo rozkwitła, nie nastawiając się wrogo wobec Anglików, lecz działając z nimi ramię w ramię, dając początek nowej erze. Po wizycie króla w Edynburgu różne możliwości stoją przed nami otworem. Mam przecucie, że ten kraj czeka teraz dobra przyszłość, jak gdyby dzięki mieczowi nasz naród znów odzyskał nadzieję.

-Wciąż nie pojmuję, jak *to* wszystko mogło się wydarzyć - wtrąciła się do rozmowy lady Mary. - Dlaczego proroctwo bractwa nie spełniło się? Dlaczego piorun uderzył właśnie w tym momencie, kiedy Malcolm zamierzał mnie zabić?

- To był duch Bruce'a - oznajmił z przekonaniem Quentin. -

Ruthven sam wypowiedział to przypuszczenie tuż przed wydaniem ostatniego tchnienia. Duch króla Roberta strzegł miecza i nie dopuścił do tego, by znów doszło do potwornych wydarzeń, jakie miały miejsce dawno temu. Być może była to sposobność, na którą czekał od ponad pół tysiąca lat. Sposobność uwolnienia się wreszcie od klątwy miecza oraz zadośćuczynienia.

- Piękna historia, mój chłopcze - sir Walter pokiwał z namysłem głową. - Swoją drogą skłaniam się raczej ku przekonaniu, iż Malcolm Ruthven stał się ofiarą zwykłego prawa fizyki, mianowicie tego, że piorun

wykazuje tendencję do wyładowywania się na wystających

przedmiotach, zwłaszcza jeśli zawierają one metal. Pewien

Amerykanin nazwiskiem Benjamin Franklin napisał na ten temat

interesujący traktat.

-Ale przecież jest jeszcze wiele innych rzeczy, które nie dadzą się

wyjaśnić - trwał przy swoim Quentin. - Wszystkie te poszlaki, które

otrzymywaliśmy...

- Manipulowano nami, jak sam wiesz. Wszystko, co się

wydarzyło, było dokładnie zaplanowane.

- A sny Mary?

- Te sny pojawiły się wtedy, kiedy przeczytała pamiętniki Gwyn-

neth Ruthven. Każdy wie, że często śnimy o tych rzeczach, którymi

zajmujemy się na jawie.

- A znak runiczny miecza? Sam przecież widziałeś, że zniknął z

głowni broni.

- To prawda. Ale czy nie przypominasz sobie, jak mówiłem ci, że

wiele rzeczy zauważamy dopiero wtedy, kiedy zdajemy sobie sprawę z

ich istnienia? Być może wszyscy pragnęliśmy widzieć na głowni znak

miecza, który członkowie Bractwa Runów obłożyli klątwą. Wraz z

upadkiem bractwa znak również zniknął z naszej świadomości. W

każdym razie jestem pewien, że da się znaleźć racjonalne wyjaśnienie.

Epoka magii dobiegła nieodwołalnie końca, mój chłopcze, nawet jeśli

Malcolm Ruthven i jego poplecznicy nie chcieli przyjąć tego do

wiadomości.

- Wy oboje nigdy się ze sobą nie zgodzicie, prawda? - chciała

wiedzieć Mary, robiąc dla żartu poważną minę.

- Jesteśmy tego samego zdania, moja droga - zapewnił sir Walter.

- W sprawach, które naprawdę się liczą, zawsze się zgadzamy. Nie  
prawdaż, mój chłopcze?

Podał Quentinowi dłoń na pożegnanie. Quentin sięgnął po nią,  
lecz i tak przyciągnął wujka i objął go serdecznie. Sir Walter zawahał  
się przez moment, potem odwzajemnił uścisk, chociaż niezbyt  
przystało to dżentelmenowi.

- Dziękuję, wuju - wyszeptał Quentin. - Za wszystko, co dla mnie  
uczyniłeś.

- To ja jestem winien ci podziękowania, mój synu. Te dni, w  
których wydarzyło się tyle dobrego i złego, na zawsze pozostaną w  
mojej pamięci.

Później sir Walter zwrócił się ku Mary, lecz ona nie zadowolila się  
jedynie objęciami, lecz złożyła delikatny pocałunek na jego policzku.

- Bądź zdrowa, moje dziecko - rzekł ze śmiechem sir Walter.

- Jeszcze przed paroma miesiącami zapewne nakazałbym ci czuwać  
nad moim siostrzeńcem. W międzyczasie jednak zyskałem dostateczne  
dowody, by twierdzić, że to on powinien uważać na ciebie. I być  
dla ciebie dobrym oraz wiernym małżonkiem. A zatem nie rozczaruj  
mnie, mój chłopcze, słyszysz?

- Nie musisz się obawiać, wuju - zapewnił Quentin, uśmiechając  
się od ucha do ucha.



- Życzę wam obojgu wszelkiego szczęścia na tej ziemi.

- Szczęścia? - Mary uniosła brwi. - Sądziłam, iż nie wierzysz w takie rzeczy?

Sir Walter uśmiechnął się łagodnie.

- Nie wierzę w magię, moje dziecko. Ale nikt przecież nie zabrania ci wierzyć w siłę Opatrzności oraz w szczęśliwy los. Niech wam zawsze towarzyszy.

Pozostał na nabrzeżu i patrzył, jak Quentin i Mary wchodzą po trapie na pokład „Fortune”. Mat sprawdził ich dokumenty podrózne, potem wpuścił ich na statek. Z tylnego pokładu, gdzie zebrali się pasażerowie, pomachali sir Walterowi, podczas gdy marynarze kończyli przygotowania do wypłynięcia w morze.

Wybrano cumy i postawiono żagle, potem „Fortune” opuściła port i wyruszyła w kierunku Nowego Świata, który Mary Hay miał przynieść wolność, wolność tak bardzo wytęsknioną, a jej małżonkowi Quentinowi kolejną wielką przygodę.

Sir Walter stał na przystani i spoglądał na statek do chwili, kiedy żaglowiec opuścił port i był jedynie malutkim punktem na horyzoncie.

Potem zawrócił i ruszył w drogę powrotną.

Chociaż czuł smutek w sercu z powodu pożegnania z Quentlnem i Mary, to jednak ucieszył się na myśl o tym, że wraz z małżonką wróci niebawem do Abbotsford i wreszcie będzie mógł podjąć pracę nad powieścią, do której ukończenia w ostatnich tygodniach tak często musiał go ponaglać nieszczęsny James Ballantyne.

Kiedy sir Walter wszedł do powozu, znalazł wreszcie odpowiednie imię dla bohatera nowej powieści.

Dlaczego, powiedział do siebie, nie miałbym nadać mu imienia Quentin...?

## EPILOG

Powieść *Quentin Durward* sir Waltera Scotta - obok *Ivanhoe* jedno z jego najbardziej znanych dzieł - została opublikowana w 1823 roku. W rok po niezwykłych wydarzeniach, które doprowadziły do odnalezienia królewskiego miecza oraz do rozbicia Bractwa Runów. Bohaterem tej powieści jest człowiek rodem ze Szkocji, który przeżywa pełne emocji przygody we Francji za panowania Ludwika XI, wyróżniając się przy tym brawurą i odwagą.

Odnaleziony przez sir Waltera królewski oręż został zawieszony do Edynburga, gdzie został potem z należnym ceremoniałem przekazany na ręce Jerzego IV wraz z pozostałymi monarszymi insygniami. Tym sposobem miecz stał się symbolem Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Szkocji, zostawiając za sobą swą przeszłość i otwierając się ku nowej przyszłości.

Oręż po dziś dzień można oglądać w Królewskim Muzeum w Edynburgu. Oficjalna historia podaje jednak inną wersję zdarzeń, które doprowadziły do odnalezienia miecza oraz królewskich insygniów.

Wiść niesie, że sir Walter Scott oraz gubernator Edynburga natrafili na miecz, kiedy otworzyli skrytkę w dawno zamkniętej sali tronowej zamku. Niemal nikt z tych, którzy podziwiają cenną głownię; nie

przeczuwa, jak dramatyczne dzieje kryją się za nią...

## PODZIĘKOWANIA

Pomysł tej książki narodził się w szczególnej chwili - kiedy przed kilkoma laty stanąłem w pracowni Sir Waltera Scotta w jego posiadłości ziemskiej Abbotsford i spojrzałem, tak jak kiedyś sam mistrz, na soczyście zielone stoki po obu stronach rzeki Tweed. Od pomysłu, by pobudzić do życia tamten czas, przesycony i tradycją, i współczesnością, a zarazem by postawić pomnik wynalazcy powieści historycznych poprzez wcielenie go w postać z powieści, nie byłem już w stanie się uwolnić. Rezultat, drogi czytelniku, trzymasz w dłoniach. Co oczywiste, w powstawaniu powieści uczestniczy o wiele więcej osób, niż można by wnioskować z nazwiska widniejącego na okładce. Szczególne wyrazy wdzięczności należą się mojej rodzinie i przyjaciołom - z jednej strony za duchowe wsparcie, lecz również za to, że nigdy nie ogarniało ich znużenie, kiedy omawiali ze mną ten czy inny aspekt fabuły lub charakterystykę postaci. Przede wszystkim pragnę wymienić Stefana Bauera z grupy wydawniczej Lubbe, którego podziw dla projektu pozwolił poprowadzić prace nad nim od pierwszego momentu i umożliwił pokonanie niejednej przeszkody. W następnej kolejności dziękuję Angeli Kuepper za bardzo miłą współpracę przy redagowaniu książki. Słowa podziękowań należą się również kompozytorom Jamesowi Homerowi oraz Howardowi Shore, których muzyka filmowa towarzyszyła narodzinom książki. I naturalną kolejną rzeczą

dziękuję Sir Walterowi Scottowi, którego literackie dokonania skierowały moje pisarskie rzemiosło na nowe tory.

Nie jest możliwe odtworzenie postaci historycznej ze wszystkimi jej cechami, zatem czytelnik zechce mi wybaczyć, że przy kształtowaniu tego czy innego przymiotu nieraz puściłem zbyt swobodnie wodze fantazji. Chodziło mi przede wszystkim o intrygującą opowieść - oraz o wcielenie Waltera Scotta, który osobiście ofiarował światowej literaturze tak wiele barwnych postaci, w jedną z nich.

Michael Peinkofer

Lipiec 2004 r.